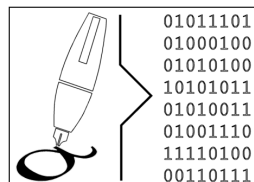


# ROBERT JORDAN

## Czarna Wieża

szósty tom z cyklu „Koło Czasu” cz. 2

Przełożyła: Katarzyna Karłowska



Tytuł oryginału:

*Lord of Chaos. Vol. 2*

Data wydania polskiego: 1998 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1994 r.

# POSELSTWO

Egwene odwróciła spojrzenie od muzykantów, grających na rogu ulicy — spoczonej kobiety dmuchającej w długi flet oraz mężczyzny o czerwonej twarzy, który szarpał struny *bitterny* — i poszła dalej z lżejszym sercem, przepychając się przez cizbę. Słońce stało wysoko na niebie, lśniło blaskiem stopionego złota, a kamienie chodnika były tak rozpalone, że parzyły przez podeszwy miękkich butów. Kropla potu spłynęła jej po nosie, szal zaciążył niby gruby koc, mimo tego nawet, że zsunęła go luźno na ramiona, w powietrzu zaś wisiało tyle pyłu, że właściwie już teraz miała ochotę wyprać swe rzeczy — a jednak, mimo wszystko, uśmiechała się. Niektórzy mierzyli ją spojrzeniami z ukosa, kiedy zdawało im się, że tego nie widzi, a to z kolei sprawiało, że miała ochotę roześmiać się w głos. Tak właśnie bowiem patrzono na Aielów. Ludzie widzieli to, co spodziewali się zobaczyć, a ponieważ mieli przed sobą kobietę w stroju Aielów, nawet nie byli w stanie zauważyć, że jej wzrost i kolor oczu przeczą przynależności do tego ludu.

Domokrączy i sprzedawcy krzykiem ogłaszali swe ceny, współzawodnicząc z wrzaskami rzeźników i wytwórców świec; z warsztatów złotniczych i garncarskich dobiegał szcęk i grzechot, w powietrzu unosił się skrzyp źle naoliwionych osi. Woźnice o niewyparzonych gębach i chłopci prowadzący wozy zaprzężone w woły w niewybredny sposób spierali się o pierwszeństwo przejazdu z tragarzami dźwigającymi polakierowane na ciemno lektyki albo z forysiami powozów z godłami rozmaitych Domów na drzwiach. Wszędzie, gdzie nie spojrziała, widziała muzykantów, żonglerów i akrobatów. Minęła ją gromadka białych kobiet odzianych w suknie do konnej jazdy i z przypasanymi mieczami; naśladowały sposób, w jaki ich zdaniem zachowują się mężczyźni, śmiejąc się zbyt głośno i przepychając przez tłum. Wywołałyby kilkanaście zwad na przestrzeni stu kroków, gdyby naprawdę były mężczyznami. Młot kowalski dobywał z kowadła dźwięczne echa. A na to wszystko nakładał się nieustający pomruk ludzkich głosów i szum ulicznego ruchu, odgłosy miasta, które niemalże już zdążyła zapomnieć podczas pobytu u Aielów. A za którymi, jak czuła, naprawdę zateęskniła.

Śmiała się więc, tutaj, na samym środku ulicy. Pierwszy raz w życiu, kiedy usłyszała gwar wielkiego miasta, niemalże ją ogłuszył. Teraz czasami wydawało jej się, że tamta wielkooka dziewczyna była zupełnie kimś innym.

Kobieta na bułanej klaczy przeciskała się mozolnie przez tłum. W pewnej chwili odwróciła się i spojrzała z ciekawością na Egwene. W długą grzywę i ogon konia wplecione były liczne małe, srebrne dzwoneczki, kolejne zaś zdobiły długie, czarne włosy właścicielki, sięgające jej aż do połowy pleców. Była urodziwa i niewiele starsza od Egwene, ale na jej twarzy gościł twardy wyraz, oczy patrzyły ostro, za pasem zaś tkwiło sześć co najmniej noży; jeden był niemalże tak wielki jak te, którymi posługiwali się w boju Aielowie. Uczestniczka Polowania na Róg, bez najmniejszych wątpliwości.

Wysoki, przystojny mężczyzna w zielonym kaftanie, z rękojeściami dwóch mieczy sterczącymi sponad ramion, przyglądał się jadącej kobiecie. Najpewniej jeszcze jeden. Wydawali się być wszędzie. Kiedy tłum pochłonął kobietę, odwrócił się i zauważył, że Egwene na niego patrzy. Uśmiechnąwszy się na tak niespodziewany objaw zainteresowania, wyprostował szerokie plecy i ruszył w jej stronę.

Egwene pospiesznie spojrzała na niego w tak lodowaty sposób, jak tylko potrafiła, próbując stworzyć kombinację najgorszej miny Sorilei z obliczem Siuan Sanche, z czasów, kiedy na jej ramionach spoczywała jeszcze stuła Zasiadającej na Tronie Amyrlin.

Tamten przystanął, wyraźnie zaskoczony. Kiedy się odwracał, usłyszała, jak warknął:

— Przekłęci Aielowie. — Znowu nie potrafiła stłumić głośnego śmiechu; musiał ją usłyszeć mimo panującego wokół hałasu, ponieważ zeszywniał i pokręcił głową. Jednak nie obejrzał się.

Jej dobry nastrój miał dwojakie źródło. Jedno stanowił fakt, że Mądre ostatecznie przystały na to, iż wędrowka po mieście stanowi równie stosowne ćwiczenie jak spacer wokół jego murów. Chociaż wszystkie, a zwłaszcza Sorilea, wydawały się nie pojmować, dlaczego miałyby chcieć spędzić chociaż minutę dłużej niżli to konieczne wśród mieszkańców mokradeł tłoczących się w obrębie murów miasta. Co więcej, i co znacznie ważniejsze, czuła się dobrze, ponieważ wreszcie doszły do wniosku, że te bóle głowy, które wprawiały je w taką konfuzję, w obecnej chwili zniknęły właściwie bez śladu — niczego nie potrafiła skryć przed ich baczny spojrzeniem — a więc będzie mogła wkrótce powrócić do *Tel'aran'rhiod*. Może nie podczas następnego spotkania, które przypadało za trzy noce od dziś, ale z pewnością wcześniej, niżli miało nastąpić kolejne.

Poczuła prawdziwą ulgę, kiedy się o tym dowiedziała, i to z wielu powodów. Nareszcie koniec z potajemnym zakradaniem się do Świata Snów. Koniec z mozolnymi próbami rozwikływania wszystkiego na własną rękę. I koniec z obawami, że Mądre przyłapią ją i odmówią udzielania dalszych nauk. I nie będzie musiała już więcej kłamać. To wprawdzie było konieczne — nie mogła sobie pozwolić na marnowanie czasu; zbyt wielu rzeczy należało się nauczyć, a ona w pewnym momencie prawie przestała wierzyć, że w ogóle starczy jej czasu na jakąkolwiek

naukę — jednakże one nigdy by tego nie zrozumiały.

W tłumie od czasu do czasu mignęła jej sylwetka jakiegoś Aiel, odzianego w *cadin'sor* bądź też w biel *gai'shain*. *Gai'shain* udawali się tam, dokąd ich posłano, za to wśród tych pierwszych mogli być tacy, którzy w obrębie miejskich murów znaleźli się po raz pierwszy w życiu. I być może po raz ostatni, sądząc z ich min. Aielowie najwyraźniej w ogóle nie lubili miast, chociaż wielu ich przybyło do Cairhien sześć dni temu, by obejrzeć egzekucję Mangina. Powiadano potem, że sam założył sobie pętlę na szyję i wygłosił jakiś Aielowy żart na temat tego, że nie wiadomo, czy to pętla skręci mu kark, czy to raczej kark skręci pętlę. Słyszała już, jak wielu Aielów opowiada o tym, nikt jednak nawet słowem nie zająknął się na temat przebiegu samej egzekucji. A przecież Rand lubił Mangina, tego była pewna. Berelain poinformowała Mądre o wyroku, takim tonem, jakby mówiła, że ich pranie będzie gotowe następnego dnia, one zaś przyjęły to w podobnie lekki sposób. Egwene nie przypuszczała, by kiedykolwiek miała zrozumieć Aielów. Coraz bardziej jednak obawiała się, że Randa również za grosz nie rozumie. Jeśli zaś chodziło o Berelain, Egwene pojmowała tamtą aż za dobrze — interesowali ją przecież wyłącznie żywi mężczyźni.

Kiedy głowę wypełniają tego rodzaju myśli, to naprawdę trzeba włożyć sporo wysiłku w zachowanie dobrego humoru. Z pewnością w mieście nie było chłodniej niż poza jego murami — w rzeczy samej było chyba jeszcze goręcej, bo ani podmuchu wiatru i tak wielu ludzi wokół — i na dodatek w powietrzu wisiało tyle samo kurzu, ale przynajmniej nie musiała brnąć bez celu przed siebie, nie widząc nic prócz zgliszczy Podgrodzia. Jeszcze kilka dni i będzie mogła z powrotem wziąć się do nauki, do prawdziwej nauki. Gdy o tym pomyślała, uśmiech powrócił na jej oblicze.

Zatrzymała się obok żylastego Iluminatora o twarzy złanej potem; jego profesja, obecna lub przeszła, nie mogła budzić większych wątpliwości. Sumiastych wąsów nie osłaniała przezroczyta zasłona, jaką zazwyczaj nosili Tarabonianie, jednak workowate spodnie haftowane na nogawkach oraz równie luźna koszula ozdobiona takimż haftem skroś piersi jednoznacznie dawały do zrozumienia, kim jest. Sprzedawał zięby i inne ptaki śpiewające, zamknięte w nieporządnie skleconych klatkach. Odkąd Shaido spalili ich kapitularz, wielu Iluminatorów imać się najrozmaitszych zajęć, by zdobyć środki na powrót do Tarabonu.

— Otrzymałem te wieści z najbardziej wiarygodnego źródła — zwracał się właśnie do przystojnej, siwiejącej kobiety w ciemnoniebieskiej sukni prostego kroju. Najpewniej była kupcem, z tych, którzy oczekiwali w Cairhien na lepsze czasy, próbując wykorzystać każdą nadarżającą się okazję. — Aes Sedai — wyznał Iluminator, pochylając się nad klatkami, aby móc szeptać jeszcze ciszej — podzieliły się. Aes Sedai walczą pomiędzy sobą. — Kobieta pokiwała głową.

Egwene przystanęła na moment, udając, że przygląda się ziębie o zielonym łebku, a potem poszła dalej, chociaż zaraz i tak musiała ustąpić drogi bardowi

o krągłej twarzy, który kroczył naprzód pełen poczucia własnej ważności. Bardowie wiedzieli aż nazbyt dobrze, że zaliczają się do tych nielicznych mieszkańców mokradeł, których chętnie przyjmowano na Pustkowi; Aielowie nie onieśmielali ich. Przynajmniej udawali, że tak jest.

Plotki zmartwiły ją. Nie chodziło o to, że w Wieży doszło do jawnego rozłamu — tego i tak nie dałoby się długo utrzymać w tajemnicy — ale całe to gadanie o wojnie między Aes Sedai... Dowiedzieć się, że Aes Sedai walczą z innymi Aes Sedai, to było jakby zdać sobie sprawę, że jedna część rodziny toczy wojnę z drugą; ledwie była w stanie to znieść, mimo iż znała przecież powody, jednak na myśl, że cała sytuacja może się jeszcze zaognić... Gdyby tylko istniał jakiś sposób na uzdrowienie Wieży, żeby bez rozlewu krwi mogła stać się ponownie całością.

W głębi ulicy, spocona jak mysz kobieta z Podgrodzia, którą można by uznać za bardzo ładną, gdyby jej twarz była nieco czystsza, rozdzieliała po równo plotki wraz ze wstążkami i szpilkami, które sprzedawała z tacy zawieszanej na szyi. Miała na sobie suknię z błękitnego jedwabiu, w dolnej części ozdobioną czerwonymi paskami, najwyraźniej zresztą uszytą na kobietę o wiele niższą — straszliwie postrzępiona lamówka znajdowała się na tyle wysoko ponad ziemią, aby każdy mógł zobaczyć mocne buty; dziury w rękawach i staniku zdradzały miejsca, skąd wyrwano hafty.

— Prawdę ci powiem — poinformowała kobietę, która grzebała wśród drobiazgów rozłożonych na jej tacy — niedaleko miasta widziano trolloki. O tak, zielona będzie pasowała do twoich oczu. Setki trolloków i...

Egwene na moment zwolniła kroku. Gdyby w pobliżu miasta znalazł się choćby jeden trollok, Aielowie wiedzieliby o tym znacznie wcześniej, niżli stałoby się to przedmiotem ulicznej plotki. Żałowała jednak, że Mądre nie plotkują. Cóż, czasami im się zdarzało, ale tylko na temat innych Aielów. To, co dotyczyło mieszkańców mokradeł, nie było nigdy szczególnie interesujące. Egwene jednakże nabrała zwyczaju dowiadywania się, co dzieje się w świecie, bo przecież mogła w każdej chwili wejść w *Tel'aran'rhiod* do gabinetu Elaidy i przeczytać jej korespondencję.

Nagle przyłapała się na tym, że inaczej rozgląda się dookoła, inaczej patrzy w twarze otaczających ją ludzi. W Cairhien z pewnością znajdowały się szpiedzy Aes Sedai; to było równie niewątpliwe jak fakt, że ludzie pocili się tu w upale. Elaida na pewno otrzymuje codziennie jeden raport przyniesiony przez gołębia, jeśli nie więcej. Szpiedzy Wieży, szpiedzy Ajah, prywatni szpiedzy niektórych Aes Sedai. Byli wszędzie, często tam, gdzie można się ich było najmniej spodziewać; nierzadko okazywali się nimi ludzie, których nigdy by się nie podejrzewało. Dlaczego ci dwaj akrobaci stoją tak bez ruchu? Dlaczego odpoczywają? A może przypatrują się jej? Nie, jednak wzięli się z powrotem do swoich sztuk; jeden podskoczył i stanął na barkach drugiego.

Kiedys pewna kobieta, która była szpiegiem Żółtych Ajah, próbowała pojmać Elayne i Nynaeve, a potem odesłać je do Tar Valon, zgodnie zresztą z rozkazami wydanymi przez Elaidę. Egwene nie miała tak naprawdę pojęcia, czy Elaida również ją chce złapać, ale założenie, iż jest inaczej, byłoby dowodem braku rozważliwej. Egwene jakoś nie potrafiła uwierzyć w to, że Elaida wybaczy komuś, kto ściśle współpracował z kobietą, którą zdetronizowała.

A skoro już o tym mowa, to prawdopodobnie niektóre z Aes Sedai znajdujących się w Salidarze też miały tutaj swoich szpiegów. Gdyby kiedykolwiek dotarły do nich wieści o „Egwene Sedai z Zielonych Ajah. . .” To mógł być przecież każdy. Ta koścista kobieta na progu sklepu, z pozoru mocno zajęta oglądaniem beli czarno-szarej materii. Albo ta o pospolitym wyglądzie, która stała przy drzwiach karczmy i ze znudzoną miną ocierała fartuchem twarz. Albo ten gruby mężczyzna z wózkiem pełnym ciastek — dlaczego tak dziwnie na nią patrzy? Niewiele brakowało, a odruchowo ruszyłaby w stronę najbliższej bramy wychodzącej z miasta.

To właśnie widok tego grubasa sprawił, że tego nie zrobiła, chociaż być może należałoby powiedzieć, że sprawił to raczej sposób, w jaki nagle próbował zasłonić ciastka swymi dłońmi. Patrzył na nią, ponieważ ona pierwsza na niego spojrzała. Prawdopodobnie bał się, że „dzika” Aiel ma zamiar zabrać mu trochę ciepłego towaru, nie płacąc nic w zamian.

Egwene zaśmiała się cichutko. Nawet ci ludzie, którzy przyglądali się jej dokładniej, nie mieli wątpliwości, że jest Aielem. Agentka Wieży przeszłaby obok, nie zwróciwszy na nią żadnej uwagi. Ta myśl sprawiała, że poczuła się znacznie lepiej, zawróciła więc i poszła dalej, lawirując między tłumami zalegającymi ulice, przysłuchując się, o czym mówią.

Kłopot polegał na tym, że przywykła do tego, iż o przeróżnych rzeczach dowiaduje się całe tygodnie albo przynajmniej dni po tym, jak nastąpiły. Nigdy też nie miała pewności, czy wieści są prawdziwe. Jedna plotka potrafiła pokonać sto mil i w jeden dzień, w miesiąc, a codziennie rodziła dziesięć następnych. Tego dnia na przykład dowiedziała się, że Suan została stracona, ponieważ odkryła spisek Czarnych Ajah; że Suan była sama Czarną Ajah i wciąż jeszcze żyje; że Czarne Ajah wygnały z Wieży te Aes Sedai, które nie należały do Czarnych. Nie były to nowe opowieści, a tylko wariacje na temat dawnych. Jedyna świeża historia, która zresztą szerzyła się niczym ogień po wyschniętej łące, głosiła, że to Wieża stała za wszystkimi fałszywymi Smokami; usłyszawszy to, Egwene wpadła w taką wściekłość, że aż sztywniał jej kark za każdym razem, gdy ta pogłoska ponownie wpadła jej w ucho. A zdarzało się to naprawdę często. Usłyszała także, że Andoranie znajdujący się w Aringill ogłosili pewną arystokratkę królową, teraz kiedy Morgase już nie żyła — Dylin, Delin, imię zmieniało się w zależności od opowiadającego — co mogło zresztą nawet być prawdą, a także, że Aes Sedai grasują po całym Arad Doman, robiąc zupełnie nieprawdopodobne rzeczy, co z pewnością było nieprawdą. Prorok zmierzał do Cairhien; Prorok został ko-

ronowany na króla Ghealdan — nie, Amadicii; Smok Odrodzony zabił Proroka za bluźnierstwo. Aielowie odchodzili; nie, mieli zamiar osiedlić się i zostać na zawsze. Berelain miała zasiąść na Tronie Słońca. W jednej z małych karczm jakiś niski, wychudzony człeczyna z rozbieganymi oczami omal nie został pobity przez swoich słuchaczy, ponieważ zaklinał się, że Rand jest jednym z Przeklętych. Egwene wkroczyła w całą sytuację, nie zastanawiając się ani przez moment.

— Czy nie macie choćby za grosz honoru? — zapytała zimno. Czterej mężczyźni o ordynarnych twarzach, którzy właśnie brali się za tamtego, wytrzeszczyli na nią oczy. Wszyscy pochodzili z Cairhien i nawet nie bardzo przewyższali ją wzrostem, ale byli za to znacznie masywniej zbudowani, mieli połamane nosy i zdeformowane stawy dłoni charakteryzujące zabijaków, a jednak sama intensywność jej spojrzenia osadziła ich w miejscu. To oraz obecność Aielów na ulicy; nie byli na tyle głupi, aby w takich okolicznościach wszczynać awanturę z kobietą z ich ludu, za którą ją uznali. — Skoro już koniecznie chcecie bić się z jakimś człowiekiem za to, co powiedział, to zróbcie to przynajmniej jeden na jednego, honorowo. To nie bitwa, sami ściągacie na siebie hańbę, rzucając się we czterech na jednego.

Patrzyli na nią takim wzrokiem, jakby była niespełna rozumu, a jej twarz powoli pokrywała się czerwienią. Miała nadzieję, że uznają, iż to z gniewu. Nie: jakim prawem porywacie się na słabszego, ale: jakim prawem nie pozwalacie mu kolejno z wami walczyć? Pouczyła ich właśnie w taki sposób, jakby oni wszyscy żyli zgodnie z zasadami *ji'e'toh*. Oczywiście, gdyby tak było, to nie istniałaby potrzeba wygłaszania żadnej takiej mowy.

Jeden z mężczyzn przekrzywił głowę w rodzaju płytkiego ukłonu. Jego nos nie tylko był złamany, ale nadto brakowało mu koniuszka.

— Hmm... on już uciekł... hm... proszę pani. Czy my też możemy odejść?

— Prawda kościsty człeczyna skorzystał z okazji i gdzieś się zapodział. — Poczula przyływ pogardy. — Uciekł, ponieważ bał się stawić czoła czterem przeciwnikom. W jaki sposób uda mu się udźwignąć ciężar tej hańby. Światłości, znowu to samo.

Otworzyła usta, chcąc powiedzieć, że oczywiście wolno im odejść, ale nie wykrztusiła ani słowa. Wzięli jej milczenie za zgodę czy raczej wymówkę, Egwene jednakże ledwie zauważyła, że odeszli. Była zbyt zajęta przyglądaniem się orszakowi konnych podążającemu ulicą.

Nie rozpoznała żadnego z kilkunastu żołnierzy w zielonych płaszczach torujących mu drogę przez ciżbę, ale ci, których eskortowali, przykuli jej uwagę. Mogła dojrzeć jedynie plecy kobiet, pięć ich było, czy sześć może, skrytych wśród żołnierzy — a właściwie jedynie fragmenty ich pleców, ale to jej wystarczyło. Aż nadto. Kobiety miały na sobie lekkie płaszcze, z bladego lnu w brązowych odcieniach. Egwene zaś przyłapała się na tym, że tępo wbija wzrok w krąg czystej bieli wyhaftowany na jednym z tych płaszczy. Gdyby nie szew, w ogóle nie byłoby



widać Płomienia Tar Valon przy pasie oznaczającym Białe Ajah. Potem zauważyła błysk zieleni, czerwieni. Czerwone! Pięć czy sześć Aes Sedai zmierzało do Królewskiego Pałacu; na szczycie wysokiej wieży, obok zwisającej nieruchomo repliki Sztandaru Smoka pysznił się szkarłatem sztandar Randa, na którym widniał starożytny symbol Aes Sedai. Niektórzy ten właśnie drugi sztandar nazywali Sztandarem Smoka, a ten pierwszy Sztandarem Al'Thora czy nawet Sztandarem Aielów, jak również rozmaitymi innymi określeniami.

Przepychając się przez tłum, podążała za nimi w odległości może jakichś dwudziestu kroków, po chwili jednak przystanęła. Obecność Czerwonej siostry — zauważyła przynajmniej jedną — znała, że była to od dawna spodziewana misja poselska z Wieży, która, jak pisała Elaida w liście, miała stanowić eskortę Randa w drodze do Tar Valon. Minęły już ponad dwa miesiące od dnia, w którym kurier na zziąjanym koniu przywiózł list; ta grupa musiała opuścić Wieżę krótko po nim.

Nie spotkają się z Randem — przynajmniej do czasu aż, jak zawsze nie zapowiedziany, pojawi się w Cairhien; rozmyślając wiele nad tą kwestią, doszła do wniosku, że udało mu się powtórnie odkryć w jakiś sposób Talent nazywany Podróżowaniem, ale w niczym jej to nie zbliżało do rozwiązania zagadki, a mianowicie odkrycia sposobu, w jaki on to właściwie robi — jednak niezależnie od tego, czy miały znaleźć Randa czy nie, na pewno należało zadbać o to, żeby to jej nie znalazły. Gdyby tak się stało, najlepszą rzeczą, jakiej mogła z ich strony oczekiwać, byłoby to, że natychmiast zawloką ją z powrotem, jak to powinno mieć miejsce w przypadku Przyjętej, która znajdowała się poza Wieżą, pozbawiona towarzystwa pilnującej jej pełnej siostry; stałoby się tak niezależnie od tego, czy Elaida naprawdę jej poszukiwała, czy też nie. Nawet wówczas zawiozłyby ją do Tar Valon, gdzie czekałaby na nią nieprzyjemna audyencja u obecnej Zasiadającej; nie łudziła się, że uda jej się stawić opór pięciu lub sześciu Aes Sedai naraz.

Spojrzała po raz ostatni na oddalające się Aes Sedai, podkasała spódnicę i rzuciła się do biegu, prześlizgując się między ludźmi, niekiedy zderzając z nimi, przeskakując tuż przed samym nosem zaprzęgów ciągnących wozy lub powozy. Ściagały ją pełne złości krzyki. Kiedy wreszcie przemknęła przez jedną z wysokich, kanciastych bram miasta, gorący wiatr uderzył ją w twarz. Nie powstrzymywany przez budynki, niósł tumany kurzu, który sprawił, że się rozpaczliwie rozkaszała, ale nie przestawała biec, dopóki nie dotarła do niskich namiotów Mądrych.

Ku swemu zaskoczeniu obok namiotu Amys spostrzegła siwą klacz z pozłocanym siodłem i uprzężą ozdobioną złotymi frędzlami; pilnowali jej *gai'shain*, którzy mieli spuszczone oczy i z rzadka klepali uspokajająco nerwowe zwierzę po karku. Pochyliła się, weszła do środka i zobaczyła Berelain, która popijała herbatę w towarzystwie Amys, Bair i Sorilei; wszystkie rozciągnięte były wygodnie na jaskrawych poduszkach z chwostami. Odziana na biało Roderą kłęczała z boku, pokornie czekając, by napełnić im filiżanki.

— Aes Sedai są w mieście — oznajmiła Egwene, gdy tylko weszła do środka

— kierują się do Pałacu Słońca. To musi być poselstwo Elaidy do Randa.

Berelain podniosła się z wdziękiem; ta kobieta miała w sobie niezwykły urok — tyle Egwene musiała jej oddać, nawet jeśli niechętnie. A jej suknia do konnej jazdy była przyzwoicie skrojona, ponieważ nawet skończona idiotka nie jeździłaby w takim słońcu w jednej z tych szat. Jakże zazwyczaj zakładała Berelain. Pozostałe wstały również.

— Wygląda na to, że muszę wracać do pałacu — westchnęła Berelain. — Światłość jedna wie, jak one się poczuja, kiedy nikt nie wyjdzie im na spotkanie. Amys, jeżeli wiesz, gdzie jest Rhuarc, to wyślij mu proszę wiadomość, że ma się natychmiast ze mną spotkać.

Amys przytaknęła, ale Sorilea powiedziała:

— Nie powinnaś aż tak się uzależniać od Rhuarka, dziewczyno. Rand al'Thor tobie oddał Cairhien pod opiekę. Z większością mężczyzn jest tak, że gdy dasz im palec, to ani się obejrzą, a już schwyca całą rękę. Dasz wodzowi klanu palec, a złapie całe ramię.

— To prawda — wymruczała Amys. — Rhuarc jest cieniem mego serca, niemniej to prawda.

Berelain wyciągnęła cieniutkie rękawiczki do konnej jazdy zza paska i zaczęła je naciągać.

— On mi przypomina mojego ojca. Czasami doprawdy aż za bardzo. — Przez chwilę na jej twarzy gościł smutek. — Ale daje znakomite rady. I wie też, kiedy się postawić i do jakich granic. Moim zdaniem spojrzenie Rhuarka robi wrażenie nawet na Aes Sedai.

Amys zaśmiała się gardłowo.

— Faktycznie potrafi wyrzucić wrażenie. Poślę po niego. — Lekko pocałowała Berelain w czoło, a potem w oba policzki.

Egwene patrzyła na to, zupełnie nic nie rozumiejąc; w taki sposób matka całuje syna lub córkę. Co właściwie się działo między Berelain a Mądrymi? Oczywiście nie mogła zapytać wprost. Takie pytanie byłoby hańbiące zarówno dla niej, jak i dla Mądrych. A także dla samej Berelain, chociaż ona nie miałaby o tym pojęcia.

Kiedy Berelain odwróciła się, żeby wyjść z namiotu, Egwene położyła dłoń na jej ramieniu.

— Z nimi trzeba postępować ostrożnie. Nie będą usposobione przyjaźnie względem Randa. Złe słowo, czy niewłaściwe posunięcie, mogą z nich zrobić otwartych wrogów. — Miała jak najbardziej rację, ale tak naprawdę wcale nie to winna była powiedzieć. Raczej jednak dałaby sobie wyrwać język, niżby poprosiła Berelain o przysługę.

— Miałam już wcześniej do czynienia z Aes Sedai, Egwene Sedai — sucho odrzekła tamta.

Egwene udało się nie okazać zaskoczenia. Trzeba to powiedzieć, ale nie pozwoli, by tamta zobaczyła, z jakim trudem jej to przyszło.

— Elaida życzy Randowi dobrze w nie większym stopniu niżli łasica życzy dobrze kurczakom, a te Aes Sedai przyjechały z polecenia Elaidy. Jeżeli się dowiedzą, że po jego stronie stoi jakaś Aes Sedai, to będą ją chciały dostać w swoje ręce... i pewnego dnia ona również może zniknąć. — Spojrzała prosto w nieprzeniknioną twarz Berelain i nie potrafiła się zmusić, by powiedzieć cokolwiek więcej.

Po dłuższej chwili Berelain uśmiechnęła się.

— Egwene Sedai, zrobię co tylko będę mogła dla Randa. — Zarówno uśmiech jak i ton głosu... dawały dużo do zrozumienia.

— Dziewczyno! — skarciła ją Sorilea i, o dziwo, na policzkach Berelain wykwitły rumieńce.

Berelain, nie patrząc na Egwene, odparła rozmyślnie neutralnym tonem, ostrożnie dobierając słowa:

— Będę wdzięczna, jeśli nie powiecie o tym Rhuarkowi. — W rzeczy samej, nie patrzyła na żadną z nich, ale wyraźnie próbowała zignorować obecność Egwene.

— Nie powiemy — szybko wtrąciła Amys, pozostawiając Sorileę z otwartymi ustami. — Na pewno nie — powtórzyła na użytek tamtej tonem niewzruszonym, a jednocześnie jakby proszącym, i ostatecznie najstarsza Mądra skinęła głową, nawet jeśli z pewną niechęcią. Berelain westchnęła z ulgą, zanim opuściła namiot.

— Ta dziewczyna ma w sobie ducha — zaśmiała się Sorilea, gdy tylko Berelain wyszła. Ponownie ułożyła się na poduszkach i poklepała wolne miejsce tuż obok siebie, dając znak Egwene, że może się do nich przyłączyć. — Powinnyśmy znaleźć dla niej właściwego męża, mężczyznę, który będzie w stanie sobie z nią poradzić. Jeżeli w ogóle ktoś taki istnieje wśród mieszkańców mokradeł.

Ocierając dłonie i twarz wilgotnym ręcznikiem, który podała jej Rodera, Egwene zastanawiała się, czy teraz już może wypytać o Berelain i nie naruszyć honoru tamtej. Przyjęła herbatę w filiżance z zielonej porcelany Ludu Morza i zajęła swe miejsce w kręgu Mądrych. Wystarczy, że któraś odpowie na propozycję Sorilei.

— Jesteś pewna, że Aes Sedai zamierzają zrobić coś złego *Car'a'carnowi*? — zapytała zamiast tego Amys.

Egwene spłonęła rumieńcem. Ona tu myślała o plotkach, a tymczasem do omówienia było tyle poważnych spraw.

— Tak — odparła szybko, a dalej ciągnęła już wolniej. — Przynajmniej... Nie wiem z całą pewnością, czy zamierzają mu zrobić coś złego. W każdym razie chyba nie takie są ich intencje. — List Elaidy mówił o „wszelkich honorach i szacunku”, jakie mu się należą. Ile, zdaniem byłej Czerwonej siostry, należy się mężczyźnie, który potrafi przenosić? — Nie wątpię jednak, iż ich zamiarem

jest podporządkowanie go w jakiś sposób, zmuszenie, by robił to, czego zechce Elaida. One nie są mu przyjazne. — Do jakiego stopnia Aes Sedai zgromadzone w Salidarze są życzliwsze? Światłości, trzeba koniecznie porozmawiać z Nynaeve i Elayne. — I nie będą dbały o to, że jest *Car'a'carnem*. — Sorilea mruknęła coś kwaśno.

— Sądzisz, że spróbują tobie również jakoś zaszkodzić? — zapytała Bair, a Egwene żywo przytaknęła.

— Jeżeli odkryją, że tu jestem... — Spróbowała ukryć dreszcz, który nią wstrząsnął, potem upiła łyk miętowej herbaty. Niezależnie od tego, czy potraktują ją jako haczyk na Randa, czy też jako zbiegłą Przyjętą, zrobią wszystko, by zawlec ją do Wieży. — Nie pozwolą mi odejść wolno. Elaida nie zechce, by Rand słuchał kogokolwiek prócz niej. — Bair i Amys wymieniły ponure spojrzenia.

— A więc odpowiedź jest prosta. — Głos Sorilei brzmiał tak, jakby już wszystko było postanowione. — Zostaniesz z nami w namiotach, a wtedy cię nie znajdą. Mądre, jakby nie było, unikają Aes Sedai. Jeżeli pobędziesz tutaj przez kilka jeszcze lat, zrobimy z ciebie znakomitą Mądrą.

Egwene omal nie upuściła filiżanki.

— Schlebiasz mi — odparła ostrożnie. — Wcześniej czy później jednak, będę musiała odejść. — Sorilea nie wyglądała na przekonaną. Egwene nauczyła się już, jak bronić swego zdania w dyskusjach z Amys i Bair, przynajmniej do pewnego stopnia, jednak gdy chodziło o Sorileę...

— Nie nastąpi to szybko, jak mniemam — powiedziała Bair, okraszając swe słowa uśmiechem, aby nie zabrzmiały aż tak boleśnie. — Dużo się jeszcze musisz nauczyć.

— Tak, i najwyraźniej aż palisz się do nauki — dodała Amys. Egwene próbowała się nie zarumienić, zaś Amys zmarszczyła brwi. — Wyglądasz dziwnie. Może nadmiernie nadwreżyłaś siły dzisiejszego ranka? Pewna byłam, że doszłaś do siebie w wystarczającym stopniu...

— Bo tak też jest — pośpiesznie odpowiedziała Egwene. — Naprawdę, jestem już zdrowa. Głowa nie bolała mnie od wielu już dni. To tylko kurz i ten bieg z miasta. A tłumy w nim były znacznie gęstsze, niżli zapamiętałam. I byłam tak podniecona. Prawie nic nie zjadłam na śniadanie.

Sorilea dała znak Roderze.

— Przynieś trochę miodu, jeżeli jeszcze jakiś został, oraz sera i wszystkie owoce, jakie znajdziesz. — Szturchnęła Egwene pod żebra. — Kobieta powinna mieć trochę ciała. — I to mówiła Sorilea, która wyglądała, jakby leżała na słońcu tak długo, aż prawie cała wyschła.

Egwene tak naprawdę wcale nie miała ochoty jeść — zbyt dużo wrażeń tego poranka — ale Sorilea obserwowała ją uważnie, sprawiając swym badawczym spojrzeniem, że przetykanie przychodziło jej z coraz większym trudem. Nie ułatwiał też sytuacji fakt, że chciały omówić z nią sposób postępowania z Aes Sedai.

Jeżeli te Aes Sedai były wrogo nastawione wobec Randa, to trzeba było obserwować ich poczynania oraz znaleźć jakiś sposób na to, żeby go ochronić. Nawet Sorilea zaniepokoiła się odrobinę, gdy usłyszała, że być może będą musiały otwarcie wystąpić przeciwko Aes Sedai — one się tego nie bały; to tylko myśl o występowaniu przeciwko obyczajowi sprawiała, iż czuły się nieswojo — jednak każde działanie konieczne dla ochrony *Car'a'carna* musiało zostać podjęte.

Natomiast sama Egwene martwiła się, że mogą wziąć na poważnie sugestie Sorilei i kazać jej beczynn timer czekać w namiotach na polecenia. Jeżeli do tego dojdzie, to nie pozostanie jej nic innego, jak tylko usłuchać, nie istniał bowiem inny sposób na ucieczkę przed pięćdziesięcioma parami oczu oprócz zamknięcia się we własnym namiocie. W jaki sposób Rand Podróżował? Mądre na pewno zrobią wszystko co konieczne, póki w grę nie będzie wchodzić naruszenie *ji'e'toh*: w niektórych kwestiach mogły go interpretować odmiennie, jednak swej oceny będą przestrzegać równie niewzruszenie jak każdy Aiel. Światłości, Roderą była Shaido, jedną z tysięcy schwytych podczas bitwy, po której tamci zostali odpędzeni od miasta, ale Mądre traktowały ją w taki sam sposób jak innych *gai'shain*, nie czyniąc najmniejszej różnicy. Nie sprzeciwia się nakazom *ji'e'toh*, niezależnie od tego, jak trudna byłaby sytuacja.

Na całe szczęście do tego tematu już więcej nie wrócili. Na nieszczęście zaś wciąż przewijało się pytanie o stan jej zdrowia. Te Mądre nie znały się na Uzdrowianiu, nie umiały też badać stanu zdrowia, używając Mocy. Zamiast tego odwoływały się do swoich własnych, sprawdzonych metod. Z których część do złudzenia przypominała to, czego nauczyła się od Nynaeve, kiedy jeszcze pisany był jej los Wiedzącej: zagłębienie w oczy, nasłuchiwanie bicia serca przez wydrążoną drewnianą tubę. Inne metody były specyficznie Aielowe. Dotykała palców stóp, dopóki nie zakręciło jej się w głowie, skakała w górę i w dół w miejscu, aż nie zaczynało jej się wydawać, że oczy wyskoczą jej z orbit, biegała wokół namiotów Mądrych, póki pot całkowicie nie zrosił jej skóry, potem *gai'shain* lali jej wodę na głowę, piła jej tyle, ile tylko zdołała, zbierała spódnice i biegała dalej. Aielowie bardzo cenili hart ducha. Gdyby okazało się, że jest za wolna, gdyby zatrzymała się, zanim Amys jej na to zezwoli, to nieuchronnie wyciągnęłyby z tego wniosek, że mimo wszystko nie doszła jeszcze do siebie w wystarczającym stopniu.

Kiedy Sorilea w końcu skinęła głową i powiedziała: — Jesteś równie krzepka jak Panna, dziewczyno. . . — Egwene dyszała ciężko i zataczała się. Panna z pewnością tak by się nie zachowywała, co do tego nie miała wątpliwości. A jednak była z siebie dumna. Nigdy nie uważała siebie za miękką, wiedziała jednak bardzo dobrze, że w swoim dawnym życiu, zanim zamieszkała wśród Aielów, zemdlaby, nie dochodząc nawet do połowy tych testów.

„Jeszcze rok — pomyślała — i będę biegać równie sprawnie jak każda z *Far Dareis Mai*”.

Z drugiej jednak strony Mądre najwyraźniej nie zamierzały udzielić jej po-

zwolenia na powrót do miasta. Przyłączyła się więc do towarzystwa w namiocie, w którym mieściła się łaźnia parowa — przynajmniej tym razem nie kazały jej polewać wodą rozgrzanych kamieni; tym zajmowała się Roderą — cieszyła się więc niespodziewaną wygodą i odpoczywała, rozluźniając mięśnie, a wyszła stamtąd tylko dlatego, że Rhuarc i pozostali dwaj wodzowie klanów, Timolan z Miagoma oraz Indirrian z Codarra, wszyscy wysocy, potężni mężczyźni z siwiejącymi włosami i twardymi, poważnymi twarzami, chcieli się do nich przyłączyć. To sprawiło, że natychmiast wypadła na zewnątrz, pośpiesznie otulając się szalem. Jak zwykle spodziewała się, że wszyscy wyśmieją ją w głos, jednak Aielowie zdawali się po prostu nie pojmować, dlaczego tak nagle wypada z namiotu-łaźni za każdym razem, kiedy mężczyźni wchodzi do środka. Żarty na ten temat byłyby w ich stylu, na szczęście jednak nikomu nie przyszło do głowy, żeby skojarzyć ze sobą fakty, z czego bardzo się cieszyła.

Zebrała resztę swoich rzeczy ze schludnego stosika leżącego obok namiotu-łaźni, i ściskając je w ramionach, pospieszyła w stronę swojego namiotu. Słońce stało już nisko na niebie, a po lekkim posiłku gotowa była już do snu, zbyt zmęczona, by choćby pomyśleć o *Tel'aran'rhiod*. Zbyt zmęczona również, by zapamiętać większość swych snów — to była kolejna rzecz, której uczyły ją Mądre — jednak te, które zapamiętała, dotyczyły Gawyna.

## JAKBY PIORUN I DESZCZ

Kiedy szarym świtem przyszła ją obudzić Cowinde, Egwene czuła się wypoczęta, mimo iż w nocy męczyły ją złe sny. Wypoczęta i gotowa sprawdzić, czego uda jej się dowiedzieć w mieście. Jedno szerokie ziewnięcie, potem przeciągnęła się i już była na nogach, nucąc podczas mycia się i pospiesznego odziewania; uczesała się byle jak. Uciekłaby natychmiast od zbiorowiska namiotów, nie marnując nawet czasu na śniadanie, gdyby nie przyuważyła jej Sorilea, która natychmiast położyła kres tym zamiarom. Co ostatecznie jednak wyszło jej tylko na dobre.

— Nie powinnaś tak szybko uciekać z namiotu-łazni — pouczyła ją Amys, biorąc jednocześnie miskę owsianki i suszone owoce z rąk Rodery. Przeszło dwadzieścia Mądrych tłoczyło się w namiocie Amys, a Roderę, Cowinde oraz odziany w biel mężczyzna imieniem Doilan, a także Shaido, uwijali się gorączkowo, by wszystkie obsłużyć. — Rhuarc miał nam dużo do opowiedzenia o twoich siostrach. Może potrafiłabyś coś do tego dodać.

Po całych miesiącach udawania Egwene nie musiała się długo zastanawiać, by wiedzieć, że tamtej chodzi o poselstwo z Wieży.

— Powiem wam wszystko, co wiem. A co on powiedział?

Najpierw dowiedziała się, że do miasta przybyło sześć Aes Sedai, w tym dwie Czerwone, nie zaś tylko jedna — Egwene usłyszawszy to, nie potrafiła uwierzyć w arogancję, czy może głupotę, Elaidy, każącą jej wysłać choćby jedną z nich — ale przynajmniej na czele delegacji stała Szara. Mądre, leżące w większości w kręgu niczym szprychy koła — kilka stało lub klęczało między leżącymi — zwróciły swe spojrzenia na Egwene, gdy tylko wymienianie sześciu nazwisk dobiegło końca.

— Obawiam się, że znam tylko dwie spośród nich — zaczęła ostrożnie. — Mimo wszystko Aes Sedai jest naprawdę wiele, ja zaś nie jestem pełną siostrą od dostatecznie długiego czasu, by poznać choćby większość. — Skinęły głowami, na znak, że przyjęły jej wyjaśnienia. — Nesune Bihara jest rozważna i bezstronna... wysłucha wszystkich stron, zanim wyrobi sobie własne zdanie... ale jest w stanie znaleźć każdą, najmniejszą choćby rysę w tym, co powiesz. Dostrzeżga wszystko, wszystko pamięta; potrafi raz tylko rzucić okiem na stronę księgi,

a potem powtórzyć ją dokładnie słowo w słowo, to samo odnosi się do rozmowy, której przysłuchiwała się nawet rok temu. Jednakże czasami zdarza jej się mówić do siebie, a wówczas zdradza swe myśli, nie zdając sobie z tego sprawy.

— Rhuarc powiedział, że zainteresowała ją Królewska Biblioteka. — Bair zamieszała owsiankę łyżką, jednocześnie obserwując Egwene. — Powiedział, że usłyszał, jak mruknęła coś na temat pieczęci. — Wśród pozostałych kobiet rozszedł się cichy szmer, ucichł natychmiast, gdy tylko Sorilea głośno chrząknęła.

Egwene zajadała owsiankę — do jej porcji dodano kawałki suszonych śliwek i jakieś słodkie jagody — i równocześnie zastanawiała się. Jeżeli Elaida przesłuchiwała Siuan przed jej egzekucją, to w takim razie wiedziała o trzech pękniętych pieczęciach. Rand schował gdzieś dwie następne — Egwene dużo by dała, by się dowiedzieć gdzie; ostatnimi czasy najwyraźniej nikomu już nie ufał — a Nynaeve i Elayne znalazły jedną w Tanchico i zabrały ze sobą do Salidaru, jednak o tym Elaida żadną miarą wiedzieć nie mogła. Chyba, że miała szpiegów także w Salidarze. Nie. To kwestie, nad którymi będzie się zastanawiać kiedy indziej; teraz byłyby to jałowe spekulacje. Elaida z pewnością rozpaczliwie poszukuje pozostałych pieczęci. Wyślanie Nesune do drugiej, po zbiorach Białej Wieży, największej biblioteki świata, miało sens. Powiedziała im o tym, przełknąwszy uprzednio kawałek suszonej śliwki.

— To samo mówiłam ubiegłej nocy — warknęła Sorilea. — Aeron, Colinda, Edarra, wy trzy pójdziecie do Biblioteki. Jeżeli jest tam coś do znalezienia, to trzy Mądre powinny znaleźć to szybciej niż jedna Aes Sedai. — Odpowiedziały jej wydłużone miny; Królewska Biblioteka była wszak ogromna. Niemniej jednak Sorilea była Sorileą i nawet jeśli trzy wymienione kobiety mamrotały coś i wzdychały cicho, to jednak odłożyły posłusznie swoje miski i natychmiast wyszły. — Powiedziałaś, że dwie z nich znasz — podjęła temat Sorilea, zanim tamte opuściły namiot. — Nesune Bihara i którą jeszcze?

— Sarene Nemdahl — odrzekła Egwene. — Ale zrozum mnie. Żadnej z nich nie znam dobrze. Sarene jest jak większość Białych... do wszystkiego dochodzi drogą logicznego rozumowania, czasami wydaje się naprawdę zaskoczona, widząc, jak ktoś kieruje się porywem serca... jednak nie znaczy to, że jest pozbawiona uczuć. Na ogół trzyma je na wodzy, jednak wystarczy zrobić niewłaściwy krok w nieodpowiednim czasie, a wtedy ona... potrafi dać ci po nosie, zanim bodaj mrugniesz. Jednak słucha uważnie tego, co się do niej mówi, potrafi też przyznać się, jeśli nie ma racji, nawet wtedy, gdy straci panowanie nad sobą. A w każdym razie wtedy, gdy już się uspokoi.

Włożywszy do ust łyżkę pełną owsianki i jagód, próbowała przyjrzeć się Mądrym w taki sposób, by one tego nie widziały; najwyraźniej żadna nie zauważyła chwilowego wahania. Omal nie powiedziała, że Sarene odesłałaby cię do szorowania podłóg, zanim zdążyłabyś mrugnąć. Obie kobiety tak naprawdę znała tylko z wykładów, jakich udzielały nowicjuszkom. Nesune, smukła Kandori o ptasich



oczach, odwrócona plecami do uczestniczek wykładu, potrafiła wyczuć, kiedy któraś zaczynała bujać w obłokach; prowadziła kilka kursów, w których uczestniczyła Egwene. Egwene wysłuchiwała tylko dwóch wykładów wygłoszonych przez Sarene, dotyczących zresztą natury rzeczywistości, ale nie potrafiła zapomnieć kobiety, która z całą powagą twierdziła, iż piękno i brzydota to jednakowa iluzja, a miała taką twarz, że nie znalazłby się mężczyzna, który nie zechciałby na nią powtórnie spojrzeć.

— Mam nadzieję, że pamiętasz coś więcej — powiedziała Bair, pochylając się w jej stronę i podpierając na łokciu. — Wychodzi na to, że stanowisz nasze jedyne źródło informacji.

Egwene dopiero po chwili zrozumiała, co tamta ma na myśli. Oczywiście. Bair i Amys musiały próbować zajrzeć do snów Aes Sedai zeszłej nocy, jednak te pilnie ich strzegły. Bardzo żałowała, że nie opanowała tej umiejętności przed opuszczeniem Wieży.

— Sama chciałabym wiedzieć coś więcej. Które komnaty przydzielono im w Pałacu? — Jeżeli miała spotkać się z Randem, kiedy ten znowu pojawi się w mieście, to lepiej dla niej, żeby przypadkiem nie weszła do ich apartamentów, gdy będzie próbowała odnaleźć drogę do jego komnat. W szczególności nie miała ochoty spotykać Nesune. Sarene mogła nie zapamiętać jednej z nowicjuszek, które kiedyś uczyła, jednak Nesune z pewnością sobie przypomni. A skoro już o tym mowa, to mogła ją rozpoznać jedna z tych, których ona z kolei nie знаła; podczas jej pobytu w Wieży dużo się mówiło o Egwene al'Vere.

— Odmówiły, gdy Berelain zaproponowała im cień, choćby na jedną noc. — Amys zmarszczyła brwi. U Aielów propozycji gościny nie należało odrzucać; odmowa, nawet między wrogami krwi, oznaczała hańbę. — Będą mieszkały u kobiety o imieniu Arilyn, jakiejś arystokratki wywodzącej się z morderców drzew. Rhuarc uważa, że Coiren Saeldain zna ją nie od dzisiaj.

— Jedna ze szpiegów Coiren — oznajmiła z całym przekonaniem Egwene. — Albo jedna z agentek Szarych Ajah.

Kilka Mądrych zamruczało coś gniewnie do siebie; Sorilea głośno parsknęła z niesmakiem, a Amys westchnęła, głęboko rozczarowana. Na twarzach pozostałych można było dostrzec całą gamę uczuć. Corelna, zielonooka kobieta o drapieżnej twarzy i lnianych włosach gęsto przetykanych pasmami siwizny, z powątpiewaniem pokręciła głową, podczas gdy Tialin, szczupła, rudowłosa, z orlim nosem, popatrzyła na Egwene z jawnym niedowierzaniem.

Szpiegowanie stanowiło pogwałcenie *ji'e'toh*, chociaż w jaki sposób się to miało do zaglądania do czyichś snów, kiedy im tylko na to przyszła ochota, stanowiło kwestię, której Egwene nie potrafiła rozwikłać. Nie było sensu wykazywać, że Aes Sedai nie stosują się do nakazów *ji'e'toh*. Mądre o tym wiedziały; po prostu trudno im było w to uwierzyć czy zrozumieć, tak w odniesieniu do Aes Sedai, jak i kogokolwiek innego.

Cokolwiek sobie pomyślały, gotowa była się założyć o dowolną kwotę, że ma rację. Galldrian, ostatni król Cairhien, miał doradczynię Aes Sedai, zanim zginął skrytobójczą śmiercią. Niande Moorwyn pozostawała całkiem niewidoczna, praktycznie rzecz biorąc, jeszcze zanim do cna zniknęła po śmierci Galldriana, ale Egwene dowiedziała się o niej jednej rzeczy, a mianowicie tego, że od czasu do czasu odwiedzała wiejskie posiadłości lady Arilyn. Niande była Szarą.

— Zdaje się, że umieściły pod dachem dobrą setkę żołnierzy — odezwała się po chwili Bair. Mówiła głosem całkiem pozbawionym wyrazu. — Powiadają, że miasto wciąż nie jest bezpieczne, ale moim zdaniem po prostu boją się Aielów. — Na kilku twarzach pojawiło się niepokojące zaciekawienie.

— Setkę! — wykrzyknęła Egwene. — Sprowadziły ze sobą setkę żołnierzy? Amys pokręciła głową.

— Więcej niż pięciuset. Zwiadowcy Timolana wykryli, że większość z nich obozuje nie dalej niżli pół dnia drogi na północ od miasta. Rhuarc poruszył tę kwestię, a Coiren Saeldain odpowiedziała, że oni stanowią gwardię honorową, z tym że większość z nich pozostawiły za miastem, żeby nas nie przestraszyć!

— Sądzą, że przyjdzie im eskortować *Car'a'carna* do Tar Valon. — Głos Sorilei mógłby skruszyć kamień, jednak zdawał się miękki w porównaniu z wyrazem twarzy. Egwene nie zatrzymała dla siebie treści listu Elaidy do Randa. Za każdym razem, gdy Mądre o nim słyszały, najwyraźniej podobał im się coraz mniej.

— Rand nie jest taki głupi, żeby przyjąć jej propozycję — powiedziała Egwene, ale myślami błędziła gdzieś indziej. Pięciuset ludzi mogło stanowić gwardię honorową, a Elaida mogła przecież sądzić, iż Smok Odrodzony będzie oczekiwał czegoś w tym rodzaju, że to wręcz pochlebi jego próżności. Przychodziły jej do głowy liczne sugestie, ale wiedziała, że powinna zachować ostrożność. Jedno niewłaściwe słowo mogło sprawić, że Amys lub Bair — albo co gorsza, Sorilea; próba okpienia Sorilei przypominała próbę wyplątania się z krzewu dzikiej róży — wydadzą jej polecenia, których nie będzie mogła usłuchać, a mimo to będzie musiała dalej robić co tylko w jej mocy. A przynajmniej to, co robić powinna. — Zakładam, że wodzowie kazali obserwować uważnie tych żołnierzy za miastem. — Pół dnia drogi na północ, zapewne prawie cały dzień skoro tamci nie byli Aielami. Zbyt daleko, by stanowili realne zagrożenie, jednak ostrożności nigdy dosyć. Amys pokiwała głową; Sorilea spojrzała na Egwene, jakby tamta zapytała właśnie w samym środku dnia, czy słońce znajduje się na nieboskłonie. Egwene odkasznęła. — Tak. — Wodzowie nie popełniliby przecież takiego błędu. — Cóż. Oto moja rada. Jeżeli któraś z tych Aes Sedai uda się do pałacu, to wtedy jedna z was, ta, która potrafi przenosić, winna pójść w ślad za nią i sprawdzić, czy tamta nie przygotowuje jakiejś pułapki. — Równocześnie skinęły głowami. Dwie trzecie ze zgromadzonych tu kobiet władało mocą *saidara*; niektóre w stopniu niewiele lepszym niżli Sorilea, inne jednak dorównywały umiejętnościami Amys, która była równie silna jak każda Aes Sedai, jaką Egwene w swoim życiu spotka-

ła; proporcje te odnosiły się zasadniczo do wszystkich Mądrych. Ich umiejętności były różne od tych, którymi poszczycić mogły się Aes Sedai, gorsze w wielu przypadkach, w kilku lepsze, ale ogólnie rzecz biorąc po prostu odmienne, jednak powinny być zdolne wyczuć, kiedy tamte będą korzystać z jakichś nieprzyjemnych darów. — I musimy mieć pewność, że jest ich tylko sześć.

Tę ostatnią kwestię należało wyjaśnić. Czytały książki pisane przez mieszkańców mokradeł, jednak nawet te, które potrafiły przenosić, nie miały tak naprawdę pojęcia, jakie rytuały rozwinęły Aes Sedai, zajmujące się mężczyznami skazanymi na dotknięcie *saidina*. Wśród Aielów mężczyzna, który przekonywał się, że jest w stanie przenosić, uznawał, iż oto został wybrany, by udać się na północ i rzucić wyzwanie Czarnemu; żaden z nich oczywiście nigdy nie wracał. Jeśli już o to chodzi, sama Egwene nie miała zielonego pojęcia o tych rytuałach, póki nie udała się do Wieży; opowieści, jakie na ich temat słyszała wcześniej, rzadko, jak się to później okazało, miały cokolwiek wspólnego z prawdą.

— Rand poradzi sobie z dwoma kobietami naraz — skończyła swe wyjaśnienia. To sprawdziła na własnej skórze. — Może być nawet zdolny do zneutralizowania sześciu, jeżeli jednak jest ich więcej, niżli naliczyliśmy, to wówczas będzie to stanowiło dowód, że skłamały lub przynajmniej coś przed nami zataiły. — Omal się nie skrzywiła na widok marsów na ich czołach; ten, kto kłamał, zaciągał *toh* u tego, kogo okłamał. Jednak w jej przypadku było to konieczne. Naprawdę było.

Reszta śniadania upłynęła na naradach Mądrych, próbujących zdecydować, która z nich ma się tego dnia udać do pałacu, oraz którym wodzom można zaufać w kwestii właściwego doboru wojowników i Panien, mających wysledzić, czy Aes Sedai jest więcej. Niektórzy wśród nich mogli się odnieść z niechęcią do pomysłu występowania przeciwko Aes Sedai w jakikolwiek sposób; Mądre nie powiedziały niczego wprost, jednak taki wniosek można było bez trudu wysnuć z tego, co, często z niewesołymi minami, mówiły. Inni z kolei mogli uznać, że z zagrożeniem życia *Car'a'carna*, nawet ze strony Aes Sedai, najlepiej poradzić sobie za pomocą włóczni. Kilka Mądrych najwyraźniej również przychyliło się do tego zdania; Sorilea musiała nie raz surowo dławić w zarodku zakamuflowane sugestie, w myśl których cały problem przestałby istnieć, gdyby Aes Sedai po prostu zniknęły. W końcu zostali im tylko dwaj kandydaci: Rhuarc i Mandelain z Daryne.

— Dopilnujcie, by nie wybrali żadnych *siswai'aman* — dodała jeszcze Egwene. Ci z pewnością odpowiedzialiby ciosem włóczni na najmniejszy choćby ślad groźby. Tą uwagą ściągnęła na siebie liczne spojrzenia, w których krył się niekiedy nieskrywany gniew, czasami zaś całkowity brak wyrazu. Mądre nie były przecież głupie. Martwiła ją tylko jedna rzecz. Żadna z nich ani razu nie wspomniała o czymś, o czym mówiły niemalże za każdym razem, gdy padała wzmianka o Aes Sedai: że mianowicie Aielowie zawiedli ongiś Aes Sedai i że czeka ich zagłada,

jeżeli dopuszczą się tego ponownie.

Wyjawszy ten pojedynczy komentarz, Egwene nie wtrącała się więcej do dyskusji, poświęcając większość swej uwagi kolejnej misce owsianki, do której dodano nie tylko suszone śliwki, lecz również suszone gruszki, czym zasłużyła sobie na pełne aprobaty spojrzenie ze strony Sorilei. Ale przecież nie o pochwałę tamtej jej chodziło. Była po prostu głodna, a poza tym nade wszystko pragnęła, by zapomniano o jej obecności. Sposób najwyraźniej okazywał się skuteczny.

Kiedy śniadanie i rozmowa dobiegły końca, wróciła do swego namiotu, a następnie przykucnęła w nim, tuż za opuszczoną klapą wejścia, obserwując małą gromadkę Mądrych zmierzającą w stronę miasta; Amys szła na czele. Kiedy zniknęły jej z oczu za najbliższą bramą, ponownie wyściubiła nos na zewnątrz. Wszędzie dookoła było pełno Aielów, nie tylko *gai'shain*, jednak wszystkie Mądre skryły się w namiotach; żadna nie odprowadzała jej wzrokiem, kiedy niezbyt szybkim krokiem wędrowała w stronę murów miasta. Jeżeli ją zauważą, to zapewne pomyślą, że właśnie zamierza odbyć codzienną porcję porannych ćwiczeń. Zerwał się wiatr, unosząc w górę tumany kurzu i starych popiołów z Podgrodzia, ale nie zwolniła kroku. Równym krokiem maszerowała przed siebie. Po prostu udawała się na poranne ćwiczenia.

Pierwsza osoba, którą zapytała w mieście o drogę, koścista kobieta sprzedająca z wozu pomarszczone jabłka po zupełnie niewiarygodnej cenie, nie umiała jej powiedzieć, jak trafić do pałacu lady Arilyn; nie powiodło jej się również z pulchną szwaczką, która wytrzeszczyła oczy ze zdumienia na widok kobiety Aielów, za jaką ją wzięła, wchodzącej do jej sklepu; nie pomógł jej też łysiejący nożownik, który uznał, że jego wyroby z pewnością zainteresują ją o wiele bardziej niżli jakaś lady. Na koniec wreszcie jubiler, który przez cały czas, kiedy znajdowała się w jego sklepie, obserwował ją uważnie spod przymrużonych powiek, udzielił jej niezbędnych informacji. Chwilę później, wędrując już przez tłumy zalegające ulice, Egwene kręciła głową nad własną naiwnością. Czasami doprawdy zapominała, jak wielkim miastem jest Cairhien, w którym nie każdy musiał wiedzieć, gdzie się co znajduje.

Właśnie z tego powodu zgubiła się jeszcze trzy razy i dwukrotnie musiała pytać o drogę. Wreszcie znalazła się pod jakąś stajnią do wynajęcia, zerkając ostrożnie zza jej rogu na kwadratowy masyw ciemnego kamienia po przeciwnej stronie ulicy, na jego wąskie okna, balkony o ostrych kątach i strzeliste wieżyczki. Jak na pałac budowla była stosunkowo niepozorna, aczkolwiek za duża, by nadać jej miano zwykłego domu; w hierarchii cairhieniańskiej szlachty Arilyn zajmowała dość wysokie miejsce, o ile Egwene dokładnie zapamiętała wyjaśnienia, jakich jej w tej kwestii udzielono. Szerokich schodów strzegli żołnierze w zielonych kaftanach i metalowych napierśnikach, kolejni stali przy każdej bramie, jaką mogła dostrzec z miejsca, w którym się znajdowała. Rozstawiono ich nawet na balkonach. A co najdziwniejsze, wszyscy zdali jej się bardzo młodzi. Jednak nie zastanawiała

się nad tym dłużej. Gdzieś we wnętrzu budowli przenosiły jakieś kobiety, a jeśli potrafiła to wyczuć z ulicy, jeśli potrafiła wyczuć to tak wyraźnie, to z pewnością nie chodziło tu o małe porcje *saidara*. Wyczuwany przez nią strumień Mocy prawie natychmiast skurczył się raptownie, wciąż jednak był znaczny.

Przygryzła wargę. Nie potrafiła określić, czym tamte się zajmowały — przynajmniej dopóki nie zobaczy strumieni — jednak z drugiej strony musiano również widzieć strumienie, aby móc je spleść. Nawet jeśli stały przy jakimś oknie, to wszystkie sploty Mocy wypływające z posesji, których ona sama nie potrafiła dojrzeć, musiały być skierowane w stronę południa, czyli w stronę przeciwną niżli Pałac Słońca, w stronę, w której nic interesującego nie było. Co one tam robią?

Jedna z bram otworzyła się i wypadł z niej ciągniony przez sześciokonne zaprzęg czarny powóz z lakierowanym herbem na drzwiach — dwie srebrne gwiazdy na tle zielonych i czerwonych pasków. Ruszył na północ, torując sobie drogę wśród tłumów; odziany w liberię woźnica używał długiego bata w równym stopniu do popędzania koni, jak i nakłaniania opieszających przechodniów do ustępowania mu z drogi. Lady Arilyn udawała się dokądś... a może to któraś z posłanek?

Cóż, nie przyszła tutaj tylko po to, żeby się gapić. Cofnęła się jeszcze trochę, tak, że teraz łapała zza węgła tylko jednym okiem, ale nadal widziała wielką budowlę, a potem wyciągnęła mały, czerwony kamyk z sakwy przy pasie, zrobiła głęboki wdech i zaczęła przenosić. Gdyby któraś z nich wyjrzała właśnie przez okno od tej strony, zobaczyłaby sploty, ale nie samą Egwene. Tyle ryzyka trzeba było podjąć.

Gładki kamień był tylko zwykłym kamykiem, o powierzchni wygładzonej przez wody strumienia, jednak tej sztuczki Egwene nauczyła się od Moiraine, a Moiraine używała właśnie kamienia jako ogniska koncentracji — kamienia szlachetnego, skoro już o tym mowa, jednak rodzaj nie miał znaczenia — więc Egwene postępowała podobnie. W jej splotach znalazło się głównie Powietrze, z odrobiną Ognia stosownie weń wplecioną. Taki splot umożliwiał podsłuchiwanie. Szpiegowanie, jak by powiedziały Mądre. Egwene nie dbała jednak o to, jak ktoś określiłby jej poczynania, dopóki dzięki nim mogła dowiedzieć się czegoś o zamiarach Aes Sedai z Wieży.

Splot dotknął ostrożnie otworu okiennego, ach, jakże delikatnie, potem kolejnego i następnego. Cisza. I wtedy...

— ... a ja mu na to — powiedział tuż przy jej uchu kobiecy głos — jeżeli chcesz, żebym pościeliła im łóżka, to lepiej przestań łaskotać mnie pod brodą, Alwinie Raelu.

Rozległ się chichot jakiejś innej kobiety.

— Nie wierzę, że to powiedziałaś.

Egwene skrzywiła się. Służące.

Krępa kobieta przechodząca obok z koszem chleba ustawionym na ramienia spojrzała na Egwene z konsternacją. I naprawdę nie było czemu się dziwić, sko-

ro słyszała dwa kobiece głosy, podczas gdy widziała jedynie samotną Egwene, na dodatek z zamkniętymi ustami. Egwene rozwiązała ten problem w najprostszy sposób, jaki przyszedł jej do głowy. Spojrzała z taką wściekłością, że kobieta pisnęła tylko, iomalże nie upuściwszy kosza, szybko wmieszała się w tłum.

Egwene z niechęcią osłabiła moc splotu; być może w ten sposób nie będzie słyszała wszystkiego równie wyraźnie, ale przynajmniej nie przyciągnie uwagi niepożądanych gapiów. Już i tak zbyt wielu ludzi się za nią oglądało — kobieta Aielów przyciśnięta do ściany — aczkolwiek nikt nawet nie przystanął i nie przyjrzał się dokładniej; nikt nie chciał kłopotów z Aielami. Przestała zaprzętać tym sobie głowę. Przesuwała splot okno za oknem, pocąc się obficie, i to nie tylko z powodu wzmagającego się upału. Wystarczy, że jedna tylko Aes Sedai zobaczy jej strumienie, a nawet jeśli nie rozpozna ich przeznaczenia, to będzie wiedziała, że ktoś próbuje wykorzystać przeciwko nim Moc. Będą mogły bez większego trudu domyślić się celu, w jakim to uczyniono. Egwene cofnęła się jeszcze o cal, zza rogu wystawał już tylko kącik jej oka.

Cisza. Cisza. Jakiś szmer. Jakiś ruch? Pantofle szurające po dywanie? Jednak żadnych zrozumiałych słów. Milczenie. Pomrukujący pod nosem mężczyzna, najwyraźniej opróżniający nocniki i bynajmniej nie zadowolony z tej funkcji; z pałającymi uszami spieszyła dalej. Cisza. Cisza. Cisza.

— ...naprawdę uważasz, że to konieczne? — Kobieta mówiła szeptem, ale jej głos był melodyjny i pełen godności.

— Musimy być przygotowane na każdą ewentualność, Coiren — odrzekła druga kobieta, głosem niczym żelazny pręt. — Słyszałam plotki o aresztowaniu... — Ktoś zamknął drzwi, nie pozwalając jej usłyszeć więcej.

Egwene, pod którą ugięły się nogi, bezwładnie wsparła się o kamienną ścianę stajni. Gotowa była krzyżeć, tak była zawiedziona. Szara siostra, która stała na czele poselstwa, oraz druga, która również musiała być Aes Sedai, gdyż w przeciwnym nie zwracałaby się takim tonem do Coiren, jednej z Aes Sedai. Nikt inny nie mógłby jej dostarczyć więcej informacji, na jakich jej zależało, a te dwie musiały akurat odejść gdzieś, skąd nie mogła ich podsłuchiwać. Jakie plotki o aresztowaniach? Jakie ewentualności? W jaki sposób miałyby się na nie przygotować? Strumienie Mocy przenoszonej wewnątrz posiadłości zmieniły się znowu, stając się silniejsze. Co one zamierzają? Zrobiła kolejny głęboki wdech i uparcie próbowała dalej.

Zanim słońce wspięło się wyżej na nieboskłon, zdążyła usłyszeć wiele, zazwyczaj niemożliwych do zidentyfikowania, odgłosów oraz sporą porcję plotek służby i ich bezsensownej paplaniny. Ktoś o imieniu Ceri miał mieć następane dziecko, a dla Aes Sedai trzeba było sprowadzać wino z Arindrim, niezależnie od tego, gdzie też się ono znajdowało, do ich południowego posiłku. Z bardziej interesujących informacji dowiedziała się, że w powozie istotnie była Arilyn, która wyjechała na spotkanie ze swoim mężem przebywającym na prowincji. I to było

wszystko, co udało jej się uzyskać. Cały ranek zmarnowany.

Frontowe drzwi posesji otworzyły się szeroko, służący w liberiach zgięli się w ukłonach. Żołnierze nawet nie drgnęli, chociaż wyraźnie zdwoili czujność. Nesune Bihara wyszła na ulicę, wyprzedzając wysokiego, młodego mężczyznę, który wyglądał tak, jakby go wyciosano z jednej bryły głazu.

Egwene pośpiesznie uwolniła spłoty, wypuściła saidara i wzięła głęboki, uspokajający oddech; nie miała czasu na uleganie panice. Nesune i jej Strażnik naradzali się przez moment, potem ciemnowłosa Brązowa siostra zerknęła w głąb ulicy, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Najwyraźniej czegoś wypatrywała.

Egwene doszła do wniosku, że być może jednak nastał już właściwy moment na poddanie się panice. Wycofała się bardzo powoli, tak, aby nie ściągnąć na siebie bystrego spojrzenia Nesune, a kiedy tylko upewniła się, iż tamta nie może jej zobaczyć, odwróciła się gwałtownie, podkasała suknie i wcisnęła w tłum. Udało jej się przebiec nie więcej jak trzy kroki. Nagle zatrzymała się, jakby uderzyła w kamienną ścianę, a potem odbiła od niej i upadła na rozgrzane kamienie bruku z głuchym łupnięciem.

Oszołomiona spojrzała w górę i w tym samym momencie poczuła, że panujący w jej głowie zamęt pogłębił się jeszcze bardziej. Ten kamienny mur, od którego się odbiła... to był Gawyn; stał nad nią i patrzył z równie ogłupiałą miną. Jego oczy błyszczały najbardziej lśniącym z błękitów. I te rudo-złote loki. Przez chwilę miała ochotę tylko na to, by raz jeszcze owinać je sobie wokół palców. Jej twarz oblała się purpurą.

„Nigdy przedtem tego nie robiłam — pomyślała gniewnie. — To był tylko sen!”

— Nic ci się nie stało? — zapytał z niepokojem, pochylając się już, by uklęknąć przy niej.

Podniosła się z ziemi, pośpiesznie otrzepując suknię; gdyby w tej chwili mogła wygłosić jakieś życzenie, które potem miałyby się spełnić, to chciałaby nigdy w życiu więcej się nie zarumienić. Już zgromadził się wokół nich krąg gapiów. Ujęła go pod ramię i pociągnęła za sobą w tę stronę, w którą zmierzała wcześniej. Kiedy po chwili obejrzała się przez ramię, dostrzegła tylko kłębiącą się ludzką cizbę. Nawet jeśli Nesune ruszyła w stronę tego rogu, za którym ukrywała się chwilę przedtem, to już nic nie zdążyła zobaczyć. A jednak Egwene nie zwołała kroku, a tłum bez protestów rozstępował się przed kobietą Aielów i mężczyzną na tyle wysokim, iż z łatwością za Aiela mógł uchodzić; cóż z tego, że do pasa przypięty miał miecz. Po sposobie, w jaki się poruszał, było widać wyraźnie, iż wie, jak używać swej broni, a poruszał się w istocie niczym Strażnik.

Po kilkunastu kolejnych krokach niechętnie puściła jego ramię. Zanim jednak zdążyła na dobre wyswobodzić rękę, on ujął jej dłoń i dalej szli w ten sposób. Nie zaprotestowała.

— Przypuszczam — oznajmił tonem zadumy po jakiejś chwili — że powi-

nieniem ignorować fakt, iż odziana jesteś jak Aiel. Z tego, co słyszałem ostatnio, miałaś być w Illian. Mniemam dalej, iż nie powinienem komentować faktu, że uciekałaś spod pałacu, w którym zatrzymała się szóstka Aes Sedai. Wszakże zgodzisz się, iż to dosyć dziwne zachowanie jak na Przyjętą.

— Nigdy nie byłam w Illian — odparła, pospiesznie rozglądając się dookoła, czy w pobliżu nie ma żadnego Aiela, który mógłby ją usłyszeć. Kilku, owszem, spojrzało w jej stronę, żaden jednak nie znajdował się na tyle blisko, by zrozumieć jej słowa. Nagle uderzyło ją coś w tym, co przed momentem powiedział. Objęła spojrzeniem jego zielony płaszcz, identycznej barwy jak u żołnierzy. — Jesteś z nimi. Z Aes Sedai należącymi do Wieży. — Światłości, ależ okazała się głupia, że nie zdała sobie z tego sprawy natychmiast, jak tylko go ujrzała.

Jego rysy wygładziły się nieco, choć przed chwilą naprawdę patrzył na nią twardo, ze stężałą twarzą.

— Dowodzę gwardią honorową, którą Aes Sedai przywiodły ze sobą, aby zapewnić Smokowi Odrodzonego godną eskortę do Tar Valon. — Ton jego głosu stanowił osobliwą mieszaninę gniewu i czujności. — Pod warunkiem, rzecz jasna, że zgodzi się pojechać. I oczywiście pod warunkiem, że przebywa w mieście. Jak zrozumiałem... pojawia się tu i znika. Coiren jest tym zupełnie wyprowadzona z równowagi.

Egwene poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

— Muszę... muszę prosić cię o przysługę, Gawyn.

— Wszystko oprócz dwóch rzeczy — oznajmił bez ogródek. — Nie skrzywdzę Elayne z Andoru i nie stanę się jednym z Zaprzysięgłych Smokowi. Prócz tego zrobię dla ciebie wszystko co w mojej mocy.

Kilka głów obróciło się w ich stronę. Jakakolwiek wzmianka o Zaprzysięgłych Smokowi natychmiast wzbudzała zaniepokojenie. Czterej mężczyźni o twardych twarzach, z batami, jakich używają woźnice, owiniętymi wokół ramion, przyjrzało się bacznie Gawynowi, prostując z trzaskiem palce w taki sposób, w jaki zwykle czynią to mężczyźni, kiedy zanoszą się na bójkę. Gawyn obrzucił ich tylko przelotnym spojrzeniem. Żaden z nich nie był ułomkiem, jednak ich zapalczywość pierzchała pod jego wzrokiem. Dwaj nawet dotknęli kciukami czoła, zanim cała czwórka roztopiła się w ludzkiej rzece. Wciąż jednak zbyt wiele oczu im się przyglądało, zbyt wielu z otaczających ich ludzi starało się pokazać, że wcale nie podsłuchiwali. Tak odziana przyciągała spojrzenia, nawet jeśli nie odzywała się słowem. Na dodatek jeszcze ten mężczyzna o rudozłotych lokach, wyższy od niej o głowę, który wyglądał na Strażnika; stojąc tak razem nie mogli nie przyciągać uwagi.

— Muszę porozmawiać z tobą na osobności — powiedziała.

„Jeżeli jakakolwiek kobieta nałożyła na Gawyna zobowiązania Strażnika, to ja...” — Co ciekawe, myśl ta nie miała w sobie prawdziwej pasji.

Bez słowa powiodł ją w stronę najbliższej gospody, gdzie rzucona karczma-



rzowi złota korona natychmiast wywołała uniżony niemalże ukłon i sprawiła, że znalazł się niewielki, ustronny gabinet, o ścianach wyłożonych ciemną boazerią, z blatem wypolerowanym gładko łokciami licznych użytkowników oraz pękiem zeschniętych kwiatów w wazonie na gzymsie kominka. Gawyn zamknął drzwi, a nagle obcość, jaka przed chwilą jeszcze między nimi panowała, rozwiała się, gdy zostali sami. Światłości, jakich on był piękny; w niczym nie ustępował Galadowi, i jeszcze te złote loki. . .

Gawyn odkasznął.

— Z każdym dniem upał staje się coraz gorszy. — Wyciągnął chusteczkę i otarł twarz, potem zaproponował ją Egwene. Zmieszany odkasznął znowu, kiedy zdał sobie sprawę, że przecież przed momentem sam jej użył. — Chyba mam jeszcze jedną.

Kiedy nerwowo przeszukiwał kieszenie, wyciągnęła własną chusteczkę.

— Gawyn, jak możesz służyć Elaidzie po tym, co zrobiła?

— Młodzi służą Wieży — odrzekł sztywno, ale równocześnie niepewnie przechylił głowę. — Będzie tak dopóki. . . Suan Sanche. . . — Na chwilę w jego oczach zalśnił lodowaty chłód. Ale to była tylko chwila. — Egwene, moja matka zawsze powtarzała: „Nawet królowa musi być posłuszna prawom, które stanowi, w przeciwnym razie nie ma mowy o żadnym prawie”. — Gniewnie pokręcił głową. — Nie powinienem być zaskoczony, znajdując cię tutaj. Powinienem wiedzieć, że będziesz tam, gdzie jest al’Thor.

— Dlaczego tak go nienawidzisz? — To, co brzmiało w jego głosie, to była prawdziwa nienawiść, albo ona nigdy się z nią nie zetknęła. — Gawyn, on jest naprawdę Smokiem Odrodzonym. Musiałeś przecież słyszeć o tym, co zdarzyło się w Łzie. On. . .

— Nie dbam o to, czy jest choćby Stwórcą wcielonym — zazgrzytał zębami. — Al’Thor zabił moją matkę!

Oczy Egwene omal nie wyszły z orbit.

— Gawyn, nie! Nie, on tego nie zrobił!

— Mogłabyś przysiąc? Byłaś tam, kiedy umierała? Wszyscy o tym mówią. Smok Odrodzony zdobył Caemlyn i zabił Morgase. Najpewniej zabił również Elayne, bo wszelki ślad po niej zaginął. — Nagle cały gniew jakby go opuścił. Zachwiał się, zwiesił głowę i stanął tak bezwładnie z zaciśniętymi pięściami i zamkniętymi oczyma. — Nigdzie nie mogę jej znaleźć — wyszeptał.

— Elayne włos nie spadł z głowy — powiedziała Egwene i z zaskoczeniem stwierdziła, że stoi tuż przed nim. Wyciągnęła dłoń i przeżyła jeszcze większe zaskoczenie, gdy zorientowała się, iż wsunęła palce w jego włosy, kiedy uniósł głowę. Czowała wszystko dokładnie w taki sposób, jak zapamiętała. Cofnęła się gwałtownie. Pewna była, że zarumieni się tak mocno, że twarz stanie jej w ogniu, a tymczasem. . . Policzki Gawyna także okryła purpura. Oczywiście. On również pamiętał, chociaż dla niego wszystko było jedynie snem. Pomyślała, że teraz

z pewnością zaczerwieni się jeszcze bardziej, jednak jakimś sposobem stało się inaczej. Rumieniec Gawyna ostudził jej zdenerwowanie, udało jej się nawet zdobyć na uśmiech. — Elayne jest bezpieczna. To mogę ci przysiąc.

— Gdzie ona jest? — W jego głosie zabrzmiała udręka. — Gdzie ona się schowała? Jej miejsce jest teraz w Caemlyn. Cóż, może nie w Caemlyn... przynajmniej dopóki al'Thor tam przebywa... ale z pewnością winna być w Andorze. Gdzie ona jest, Egwene?

— Nie... nie mogę ci powiedzieć. Nie mogę, Gawyn.

Przypatrywał się jej przez chwilę z twarzą zupełnie pozbawioną wyrazu, potem westchnął:

— Za każdym razem, kiedy cię widzę, w coraz większym stopniu stajesz się Aes Sedai. — Jego śmiech zabrzmiał sztucznie. — Czy wiesz, że wyobrażałem sobie, że będę mógł zostać twoim Strażnikiem? Czy to nie głupie?

— Będziesz moim Strażnikiem. — Słowa te wyrwały się z jej ust zanim zdążyła się pohamować, ale kiedy już je usłyszała, wiedziała, że to prawda. Tamten sen. Gawyn kłękający przed nią, skłaniający głowę. Obraz ten mógł znaczyć tysiące różnych rzeczy albo jeszcze więcej, wiedziała jednak, że to akurat, co powiedziała, to czysta prawda.

Uśmiechnął się do niej. Ten idiota myślał, że ona żartuje!

— To nie będę ja; sądzę, że raczej Galad. Ale pewnie będziesz musiała odpedzać od niego inne Aes Sedai kijem. Aes Sedai, dziewczki służebne, królowe, pokojówki, handlarki, żony wieśniaków... Sam widziałem, w jaki sposób one wszystkie na niego patrzą. Nie próbuj nawet zaprzeczać, przecież i tak myślisz, że on...

Najprostszym sposobem powstrzymania go przed mówieniem kolejnych bzdur było położyć mu dłoń na ustach.

— Nie kocham Galada. Ciebie kocham.

On wciąż próbował udawać, że to wszystko żarty, bo uśmiechał się przez jej przyciśnięte palce.

— Nie mogę zostać Strażnikiem. Jestem przeznaczony Elayne jako jej Pierwszy Książę Miecza.

— Jeżeli królowa Andoru może być Aes Sedai, to Książę może zostać Strażnikiem. A ty będziesz moim. Chciałbym, żeby to wreszcie dotarło do tej twojej tępej głowy. I kocham cię. — Zagapił się na nią. Przynajmniej już się nie uśmiechał. Ale nie powiedział nic. Tylko patrzył. Odsunęła dłoń. — Cóż więc? Nie masz zamiaru nic powiedzieć?

— Kiedy od tak dawna zależy ci, by usłyszeć jakieś słowa — zaczął powoli, — a potem nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, się dzieje tak, jakby piorun uderzył i deszcz spadł równocześnie na wyschniętą ziemię. Jesteś ogłuszony, ale nie potrafisz uwierzyć w to, co słyszysz.

— Kocham cię, kocham cię, kocham cię — powtarzała, uśmiechając się do niego. — No i co?

Zamiast odpowiedzi porwał ją w ramiona i pocałował. Było to równie piękne jak we śnie. Piękniejsze. To było... Kiedy w końcu postawił ją z powrotem na podłodze, przywarła do jego piersi, czując, że z jej kolanami dzieje się coś dziwnego.

— Moja pani z Aielów, Egwene Aes Sedai — powiedział — kocham cię i nie mogę się doczekać, kiedy nałożysz na mnie to zobowiązanie. — Po chwili dodał cieplejszym tonem: — Kocham cię, Egwene al'Vere. Powiedziałaś, że chcesz, bym oddał ci przysługę. Jaką? Czego sobie życzysz? Naszyjnika z księżycem? W ciągu godziny zapędzę złotników do pracy. Gwiazd, byś mogła wplatać je we włosy? Sprawię...

— Nie mów Coiren i pozostałym, że jestem tutaj. W ogóle nie wspominaj o mnie w ich obecności.

Spodziewała się przynajmniej śladu wahania, ale on zwyczajnie oznajmił:

— Ode mnie niczego się na twój temat nie dowiedzą. Ani też od nikogo innego, jeśli będę w stanie temu zapobiec. — Przerwał na chwilę, potem ujął ją za ramiona. — Egwene, nie będę pytał, dlaczego tutaj jesteś. Nie, nie przerywaj, tylko posłuchaj. Wiem, że Suan wciągnęła cię podstępem w swoje knowania, rozumiem też, że poczuwasz się do lojalności względem człowieka ze swojej wioski. To nie ma znaczenia. Powinnaś być w Białej Wieży i powinnaś się uczyć; pamiętam przecież, jak wszystkie mówiły, że pewnego dnia staniesz się potężną Aes Sedai. Czy masz jakiś plan, który pozwoliłby ci wrócić, unikając jednocześnie... kary? — W całkowitym milczeniu pokręciła głową, on zaś, jakby nie mógł się powstrzymać, ciągnął dalej: — Może uda mi się coś wymyślić, jeśli tobie nic wcześniej nie przyjdzie do głowy. Wiem, że nie miałaś innego wyboru, jak być posłuszną Suan, wątpię wszakże, by dla Elaidy znaczyło to cokolwiek. Za wspomnienie choćby imienia Suan w jej obecności można zapłacić głową. Pewnego dnia jednak znajdę jakiś sposób. Przysięgam. Ale obiecaj mi, że póki to nie nastąpi, ty nie... nie zrobisz nic głupiego. — Na moment zacisnął dłonie, mocno, niemalże aż do bólu. — Obiecaj mi, że będziesz ostrożna.

Światłości, ależ się wpakowała. Nie, nie mogła mu powiedzieć, że nie ma najmniejszego zamiaru wracać do Wieży, póki Elaida zasiada na Tronie Amyrlin. A te głupie rzeczy, o których wspominał, niemalże na pewno oznaczały zadawanie się z Randem. Wyglądał na tak zmartwionego. O nią się martwił.

— Będę ostrożna, Gawyn. Obiecuję.

„Tak ostrożna, jak tylko będę mogła być” — poprawiła się w myślach; tylko nieznacznie wypaczało to sens jej słów, jednak wystarczyło, by to, co powiedziała potem, przyszło jej ze znacznie większym trudem:

— Muszę cię prosić o jeszcze jedną rzecz. Rand nie zabił twojej matki. — W jaki sposób miała to sformułować, żeby sprawić mu możliwie jak najmniej

bólu? Niemniej jednak musiała to powiedzieć, niezależnie od tego, ile miało to go kosztować. — Obiecuj mi, że nie podniesiesz ręki na Randa, póki nie uda mi się dowieść, że tego nie zrobił.

— Przysięgam. — Znowu ani śladu wahania, jednak jego głos był nieco przytłumiony, a palce dłoni zacisnęły się na krótką chwilę, mocniej jeszcze niżli poprzednio. Ona sama nawet nie mrugnęła; leciutkie ukłucie bólu wydawało się stosowną odpłatą za cierpienie, jakiego mu przysporzyła.

— Nie ma innego wyjścia, Gawyn. On tego nie zrobił, ale minie trochę czasu, zanim będę w stanie tego dowieść. — W jaki sposób, na Światłość, miałyby jej się to udać? Słowo Randa przecież nie wystarczy. Wszystko było takie skomplikowane. Powinna skupić się na jednej rzeczy. Co knują te Aes Sedai?

Drgnęła zaskoczona, gdy Gawyn głośno wciągnął powietrze.

— Porzucę wszystko, zdradzę wszystkich, dla ciebie. Chodź ze mną, Egwene. Oboje możemy to wszystko zostawić za sobą. Mam niewielką posiadłość na południe od Białego Mostu, z winnicą i wioską, na prowincji tak głuchoj, że słońce zachodzi tam dwa dni później niżli tu. Tam sprawy tego świata przestaną nas dotyczyć. Po drodze możemy wziąć ślub. Nie mam pojęcia, ile czasu nam zostało. . . al’Thor, Tarmon Gaid’on. . . naprawdę nie wiem, ale możemy przeżyć go razem.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Potem zdała sobie sprawę, że tę ostatnią myśl wypowiedziała na głos: „Co knują te Aes Sedai?” — i kluczowe słowo — „zdrada”; dopełniło obrazu całości. On uznał, że będzie chciała, aby je szpiegował. I zrobiłby to dla niej. Rozpaczliwie poszukując jakiegoś sposobu, aby tego uniknąć, wciąż gotów byłby to dla niej uczynić. Powiedział: „Wszystko” i naprawdę wszystko miał na myśli, niezależnie od tego, ile by to miało go kosztować. Złożyła więc sobie w duchu obietnicę; tak naprawdę to jemu ją złożyła, nie mogła jej jednak wypowiedzieć na głos. Jeżeli jemu wymknie się coś, co ona będzie mogła wykorzystać, to zrobi to — musi przecież tak postępować — jednak pod żadnym pozorem nie będzie się starała czegoś z niego wyciągnąć, nawet najdrobniejszego okruszka informacji. Niezależnie od tego, ile miałyby zapłacić. Sarene Nemdahl nigdy by tego nie zrozumiała, ale był to jedyny sposób, w jaki mogła odpłacić za dar, jaki złożono u jej stóp.

— Nie mogę — odrzekła miękko. — Nigdy nie dowiesz się, jak bardzo bym chciała, ale nie mogę. — Zaśmiała się nagle, gdy poczuła łyzy nabiegające jej do oczu. — A ty? Zdradzić? Gawyn Trakand, to słowo pasuje do ciebie tak, jak mrok pasuje do słońca. — Niewypowiedziana obietnica sprawiła, że poczuła się lepiej, jednak nie mogła wszystkiego tak zostawić. Musi wykorzystać to, co jej dał, wykorzystać przeciwko temu, w co wierzył. A więc musiała mu coś ofiarować z siebie. — Sypiam w namiotach, ale każdego ranka wędruję do miasta. Przekraczam Bramę Muru Smoka tuż po wschodzie słońca.

Zrozumiał, rzecz jasna. Ofiarowała mu wiarę w wartość jego słowa, złożyła swą wolność w jego ręce. Ujął jej dłonie, odwrócił je i delikatnie ucałował ich

wnętrza.

— Drogocenną rzecz powierzyłaś mej opiece. Gdybym chodził pod Bramę Muru Smoka każdego ranka, ktoś z pewnością by zauważył, poza tym mogę po prostu nie mieć codziennie czasu, nie dziw się jednak, jeśli będę pojawiał się za twymi plecami wkrótce po tym, jak znajdziesz się w mieście.

Kiedy Egwene wyszła w końcu z gospody, słońce zdążyło już pokonać znaczący etap swej drogi po nieboskłonie i nastąpiła najgorsza część dnia, co sprawiło, że tłum przeredził się nieznacznie. Nawet nie sądziła, że można się żegnać tak długo; całowanie się z Gawynem z pewnością nie stanowiło tego rodzaju ćwiczeń, jakie zamierzyły dla niej Mądre, jednak jej serce wciąż biło jak po wyczerpującym biegu.

Stanowczo przegnała z głowy myśli o nim — cóż, przynajmniej, wkładając w to sporo wysiłku, zepchnęła je gdzieś na dno umysłu; całkowite zapomnienie przekraczało jej możliwości — i wróciła do jakże korzystnego ze względów obserwacyjnych stanowiska przy stajni. Wewnątrz rezydencji ktoś wciąż prznosił; zapewne więcej niżli jedna, chyba, że któraś z nich splatała coś naprawdę potężnego; czuła to mniej wyraźnie niż poprzednio, wciąż jednak nie mogło być najmniejszych wątpliwości. Jakaś kobieta właśnie wchodziła do domu, ciemnowłosa kobieta, której Egwene nie rozpoznała, chociaż widoczny brak śladów działania czasu na twarde rysach twarzy jednoznacznie stanowił o jej tożsamości. Tym razem nie próbowała już podsłuchiwać i nie została długo — jeżeli miały tak wchodzić i wychodzić, rosło zagrożenie, że zostanie dostrzeżona i rozpoznana mimo tego ubioru — wszakże kiedy opuszczała swój posterunek, jedna myśl nieznośnie tłukła się po jej głowie. Co one knują?

— Zamierzamy złożyć mu propozycję odprowadzenia pod eskortą do Tar Valon — powiedziała Katerine Alruddin, nieznacznie zmieniając pozycję. Nie potrafiła ostatecznie zdecydować, czy cairhieniańskie krzesła są tak niewygodne, na jakie wyglądały, czy po prostu każdy z góry zakłada, że są niewygodne, ponieważ tak właśnie wyglądają. — Kiedy już opuści Cairhien i wyruszy do Tar Valon, to tutaj pojawi się... luka.

Lady Colavaere, która siedziała naprzeciwko niej na złożonym krześle, pochyliła się lekko w jej stronę, bez cienia uśmiechu na twarzy.

— Mówisz ciekawe rzeczy, Katerine Sedai.

Zostawcie nas warknęła na służbę.

Katerine uśmiechnęła się.

— Zamierzamy złożyć mu propozycję odprowadzenia pod eskortą do Tar Valon — powiedziała, wyraźnie artykułując słowa, Nesune, ale wewnątrz poczuła

lekkie uklucie irytacji. Pomimo z pozoru szczerego oblicza, Tairenianin nie przedstawiał przestępować z nogi na nogę, najwyraźniej odczuwając niepokój w obecności Aes Sedai; być może nie potrafił przestać myśleć o tym, iż ona właśnie w tej chwili może przenosić. Tylko Amadicjanin mógłby być trudniejszym partnerem do rozmów. — Kiedy już wyjedzie do Tar Valon, w Cairhien pojawi się zapotrzebowanie na kogoś o silnej ręce.

Wysoki Lord Meilan oblizał wargi.

— Dlaczego mi o tym mówisz?

Uśmiech Nesune mógł oznaczać wszystko i nic.

Kiedy Sarene weszła do salonu, w środku zastała jedynie Coiren i Erian. Piły herbatę. Rzecz jasna towarzyszył im sługa, gotów im w każdej chwili dolać do filiżanek. Sarene odprawiła go ruchem dłoni.

— Berelain może przysporzyć nam kłopotów — oznajmiła, gdy tylko drzwi zamknęły się za tamtym. — Nie mam pojęcia, czy w jej przypadku skuteczniejsze okaże się jabłko, czy bat. Jutro mam się spotkać z Aracome... nieprawdaż?... Sądzę jednak, iż Berelain będę musiała poświęcić znacznie więcej czasu.

— Jabłko albo bat — odpowiedziała Erian spiętym głosem. — Cokolwiek będzie konieczne. — Jej twarz przypominała maskę wyrzeźbioną z białego marmuru, otoczoną skrzydłami kruka. Sarene żywiła skrywaną słabość do poezji, aczkolwiek nigdy nie pozwoliłaby, aby ktokolwiek się dowiedział, że może ją zajmować coś tak... uczuciowego. Umarłaby ze wstydu, gdyby Vitalien, jej Strażnik, odkrył, że spod jej pióra wyszło porównanie, w którym stawał się on panterą albo innym pełnym wdzięku, silnym i niebezpiecznym zwierzęciem.

— Weź się w garść, Erian. — Jak zwykle głos Coiren brzmiał tak, jakby wygłaszała jakąś mowę. — Sarene, ona się martwi plotką, jaką zasłyszała Galina, plotką, w myśl której Zielona siostra była w Łzie razem z młodym Randem al'Thorem, a obecnie przebywa w Cairhien. — Zawsze mówiła o nim „młody Rand al'Thor”, jakby wciąż chciała przypominać swoim słuchaczom, że jest młody, a tym samym niedoświadczony.

— Moiraine i jeszcze na dodatek jakaś Zielona — zadumała się Sarene. To mogło naprawdę oznaczać kłopoty. Elaida upierała się, że Moiraine i Sivan działały całkowicie na własną rękę, kiedy pozwalały na to, by al'Thor spokojnie chodził sobie po świecie bez żadnego nadzoru, ale jeżeli w całą sprawę wmieszana była choćby jeszcze jedna Aes Sedai, mogło to oznaczać, iż inne też brały udział w spisku, a ta Zielona mogłaby stanowić nitkę wiodącą do kilku dalszych, być może nawet wielu, z tych, które uciekły z Wieży po obaleniu Sivan. — Nie należy jednak zapominać, że to tylko plotka.

— Być może nie tylko — oznajmiła Galina, wślizgując się do komnaty. — Nie słyszałyście? Ktoś przynosił niedaleko nas tego ranka. Co miała zamiar osiągnąć,

nie potrafiłam stwierdzić, ale chyba bez trudu potrafimy się domyśleć.

Paciorki wplecione w cieniutkie, ciemne warkocze Sarene zastukały, kiedy żywo pokręciła głową.

— To nie jest żaden dowód na obecność Zielonej, Galina. To nie jest nawet wystarczająca przesłanka, by wnosić, że była to Aes Sedai. Słyszałam opowieści, że niektóre kobiety Aielów, spośród tych zwanych Mądrymi, potrafią przenosić To mogła być też jakaś biedaczka, którą wypędzono z Wieży, ponieważ nie przeszła inicjacji Przyjętej.

Galina uśmiechnęła się, ukazując lśniące, białe zęby.

— A ja uważam, że to dowód na obecność Moiraine. Słyszałam, że opanowała sztukę podsłuchiwania i nie wierzę w opowieść o jej nazbyt wygodnej w tych okolicznościach śmierci, skoro nikt nie widział ciała i nikt też nie potrafił podać żadnych dokładniejszych szczegółów.

Tym Sarene niepokoiła się co najmniej w równym stopniu. Po części dlatego, że lubiła Moiraine — były przyjaciółkami jako nowicjuszek, a potem jako Przyjęte, chociaż Moiraine była o rok bardziej zaawansowana w naukach; przyjaźń zresztą utrzymywała się również w późniejszych latach, przynajmniej podczas tych kilku spotkań, jakie im były dane — po części zaś dlatego, że naprawdę zbyt niejasna i zbyt wygodna była ta śmierć Moiraine, która w istocie jakby się pod ziemię zapadła, kiedy wydano na nią nakaz aresztowania. Moiraine potrafiłaby przecież bez trudu sfingować własny zgon, biorąc pod uwagę okoliczności.

— A więc naprawdę wierzysz, iż mamy tu do czynienia z Moiraine i jakąś Zieloną siostrą, której imienia nie znamy? To wciąż są jedynie spekulacje, Galina.

Uśmiech Galiny nie zmienił się ani na jotę, jednak jej oczy rozblęły. Była zbyt przywiązana do logicznego rozumowania wierzyła w to, w co wierzyła, nie dbając o żadne świadectwa — jednak Sarene zawsze podejrzewała, że gdzieś głęboko w niej płoną potężne ognie namiętności.

— Ja wierzę — powiedziała Galina — że to właśnie Moiraine jest tą rzekomą Zieloną. Jaki jest lepszy sposób na uniknięcie aresztowania niż umrzeć i pojawić się jako inna kobieta, z innych Ajah? Plotki zawsze głośniły, że ta Zielona jest bardzo niska, a wszystkie wiemy, że Moiraine naprawdę nie sposób określić jako kobiety wysokiej. — Erian siedziała sztywno, jakby kij połknęła; jej brązowe oczy wyglądały teraz jak dwa rozpalone węgle. — Kiedy już uda nam się dostać tę Zieloną siostrę w swoje ręce — zwróciła się do niej Galina — proponuję, żebyśmy oddały ją do twojej dyspozycji na czas podróży do Wieży. — Erian ostro skinęła głową, ale płomień w jej oczach nie wygasł.

Sarene czuła się jak ogłuszona. Moiraine? Podszywająca się pod inną Ajah? To z pewnością niemożliwe. Sarene nigdy nie wyszła za mąż — zdawało jej się całkowicie nielogiczne wierzyć w to, że dwoje ludzi może przez resztę życia zgadzać się ze sobą — ale jedyną rzeczą, do jakiej mogłaby przyrównać coś takiego, było spanie z mężem innej kobiety. Jednak to sama natura zarzutu ją tak ogłu-

szyla, nie zaś możliwość, iż może okazać się prawdziwy. Chciała już powiedzieć, że po świecie spaceruje wiele niskich kobiet, oraz że czyjś wzrost stanowi rzecz względną, ale w tym momencie Coiren przemówiła tym swoim wzburzonym głosem.

— Sarene, teraz ty. Musimy być przygotowane, cokolwiek się wydarzy.

— Nie podoba mi się to — zdecydowanie oznajmiła Erian. — To wygląda tak jakbyśmy przygotowywały się na porażkę.

— To jest jedyne logiczne rozwiązanie — zapewniła ją Sarene. — Jeżeli podzielicie czas na najmniejsze możliwe odcinki, to nie uda wam się stwierdzić z jakąkolwiek pewnością, co się zdarzy między pierwszym a następnym. Wyruszenie za al'Thorem do Caemlyn może skończyć się tak, że przybędziemy na miejsce i dowiemy się, że już go tam nie ma, że kiedyś tu wróci, chociaż może to nastąpić albo jutro, albo za miesiąc. Poczekamy więc na niego. Każde pojedyncze wydarzenie podczas każdej godziny tego oczekiwania czy też splot wydarzeń nie pozostawi nam żadnego innego wyboru. A więc przygotowania są jak najbardziej logiczne.

— Pięknie to wyjaśniłaś — sucho powiedziała Erine. Nie miała głowy do logiki. Sarene czasami myślała, że dotyczy to wszystkich pięknych kobiet, chociaż nie potrafiła dostrzec żadnego uzasadnionego związku między tymi dwoma cechami.

— Mamy tyle czasu, ile potrzeba — stwierdziła Coiren. Kiedy nie wygłaszała mów, wygłaszała oświadczenia. — Beldeina przyjechała dzisiaj i wynajęła izbę nie opodal rzeki, ale Mayam nie pojawi się wcześniej jak za dwa dni. Musimy się zatroszczyć o wszystko, a to daje nam trochę czasu.

— Dalej nie podoba mi się to przygotowywanie do porażki — wymruczała Erian, kryjąc usta za filiżanką.

— Nie byłoby źle — powiedziała Galina — gdybyśmy znalazły czas na oddanie Moiraine w ręce sprawiedliwości. Czekaliśmy tak długo, więc nie ma się co spieszyć z al'Thorem.

Sarene westchnęła. Dawały sobie znakomicie radę ze wszystkimi sprawami, do których się zabierały, ona jednak nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak się dzieje — żadna z nich nie mogła się poszczycić choćby cieniem logiki w swoim rozumowaniu.

Kiedy wróciła już na górę do swoich komnat, usiadła naprzeciw kominka i zaczęła przynosić. Czy ten Rand al'Thor naprawdę zdołał powtórnie odkryć, na czym polega Podróżowanie? Nie mogła w to uwierzyć, a jednak nie znajdowała innego wyjaśnienia. I jaki to właściwie człowiek? To się jeszcze okaże, kiedy przyjdzie jej stanąć z nim twarzą w twarz, w tej chwili to próżne spekulacje. Wypełniona *saidarem* niemalże do punktu, w którym słodycz stawała się bólem, zaczęła powtarzać sobie ćwiczenia nowicjuszek. Były równie dobre jak cokolwiek innego. Przygotowania stanowiły jedyne logiczne czynności, jakimi mogła się zająć.



# LINIE POKREWIEŃSTWA

Grzmot potoczył się z przeciągłym łoskotem pośród niskich, porośniętych zbrązowiałą trawą wzgórz, chociaż na niebie nie było ani jednej chmurki, tylko palące słońce, wciąż wspinające się wyżej po nieboskłonie. Na szczycie jednego ze wzgórz Rand ściągnął wodze i wsparł Berło Smoka na łąku siodła; czekał. Grzmot wzmógł się. Ledwie się powstrzymywał, by stale nie oglądać się przez ramię, w stronę południa, gdzie była Alanna. Obtarła sobie piętę tego ranka i zadrapała dłoń; nadto była w złym nastroju. Nie wiedział z jakiego powodu: nie miał nawet pojęcia, skąd w ogóle o tym wie. Grzmot coraz bardziej przybierał na sile.

Na szczycie sąsiedniego wzgórza pojawili się saldaeańscy jeźdźcy, dziesięć tysięcy mężczyzn, po trzech w rzędzie; długi ludzki wąż, który nie przestawał pełznąć, przemieszczał się teraz w dół zbocza, w stronę rozległej doliny oddzielającej kolejne wzgórza. U podnóża stoku rozdzielili się; środkowa kolumna dalej zmierzała prosto, a dwie pozostałe rozjechały się w lewo i prawo. Każda z trzech kolumn dzieliła się dalej, aż wreszcie jechali w stuosobowych oddziałach, szybko się wzajem mijając. Jeźdźcy zaczęli stawać w siodłach; niektórzy nawet na rękach. Zwieszali się nieprawdopodobnie nisko, aby musnąć dłońią grunt, to z jednej, to z drugiej strony swych galopujących wierzchowców. Żołnierze ześlizgiwali się z siodła, aby zawisnąć pod brzuchem rozpedzonego konia, albo zeskakiwali na ziemię, robili jeden krok obok zwierzęcia i wskakiwali z powrotem na siodła, by dokonać tej samej sztuki z drugiej strony.

Rand ujął wodze i wbił obcasy w boki Jeade'ena. Gdy ten ruszył z miejsca, podobnie postąpili otaczający go Aielowie. Tego ranka byli to Górscy Tancerze, *Hama N'dore*, wśród których więcej niż połowa nosiła na głowach przepaski *si-swai'aman*. Caldin, siwiejący i pomarszczony, próbował nakłonić Randa, by ze względu na to, że dookoła będzie tylu uzbrojonych mieszkańców mokradeł, pozwolił mu zabrać więcej niż tylko dwudziestu ludzi; żaden z Aielów nie marnował teraz nawet chwili na to, by spojrzeć z pogardą na miecz Randa. Nandera spędzała więcej czasu na obserwowaniu grupy złożonej z około dwustu kobiet, które jechały w ślad za nimi na koniach; z pozoru większego zagrożenia dopatrywała się ze strony saldaeańskich dam i żon oficerów niżli samych żołnierzy, a Rand, który zdążył już wcześniej poznać kilka saldaeańskich kobiet, nie miał zamia-

ru się z nią sprzeczać. Sulin przypuszczalnie by się zgodziła. W tym momencie przyszło mu do głowy, że nie widział Sulin już od... Na pewno od czasu powrotu z Shadar Logoth. Osiem dni. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zrobił czegoś, czym mógł ją obrazić.

Nie było teraz czasu, aby się martwić Sulin czy też *ji'e'toh*. Objechał dookoła dolinę i dotarł do szczytu przeciwnego wzgórza, tego, na którym po raz pierwszy zobaczył saldaeańskich żołnierzy. Sam Bashere jeździł w dole na swoim wierzchowcu, przyglądał się jednej z grup podczas akrobacji, potem podjeżdżał do kolejnej; robił to, stojąc w siodle.

Na moment Rand objął *saidina*. . . i natychmiast wypuścił go. W tej przelotnej chwili, gdy mógł widzieć znacznie lepiej, zobaczył dwa białe kamienie spoczywające w pobliżu podnóża stoku, dokładnie tam, gdzie Bashere umieścił je osobiście zeszłej nocy; dzieliła je odległość czterech kroków. Przy odrobinie szczęścia nikt go nie widział. Przy odrobinie szczęścia nikt nie będzie zadawał zbyt wielu pytań dotyczących wydarzeń tego ranka. W tej chwili poniżej jego stanowiska niektórzy z kawalerzystów jechali na dwóch koniach jednocześnie, wspierając stopy o dwa siodła, cały czas w pełnym galopie. Inni jechali normalnie, za to na ich ramionach stał jeszcze jeden jeździec, niekiedy na rękach.

Usłyszawszy zbliżający się tętent końskich kopyt, rozejrzał się dookoła. Deira ni Ghaline t' Bashere przedarła się przez otaczający go pierścień Aielów, wyraźnie nie zwracając na nich uwagi; uzbrojona jedynie w mały nóż wiszący u srebrnego paska, w jedwabnej, szarej sukni do konnej jazdy o rękawach wyszywanych srebrem i wysokim karczku, wydawała się zachęcać ich do ataku. Równie wysoka jak większość Panien, niemalże o dłoń wyższa od swego męża, była kobietą, która naprawdę robiła wrażenie. Ani krępa, nawet nie pulchna, po prostu potężna. Jej czarne włosy przetykały pasma siwizny, a ciemne oczy o cętkowanych źrenicach spoczywały niewzruszenie na Randzie. Podejrzewał, że była piękną kobietą, póki jego obecność nie sprawiała, że twarz jej skrzepła w granit.

— Czy mój mąż... dostarcza ci stosownej rozrywki? — Przy zwracaniu się do Randa nigdy nie używała jego tytułu, nigdy nawet nie wymieniła jego imienia.

Spojrzał na towarzyszące jej saldaeańskie kobiety. Obserwowały go niczym żołnierze kawalerii gotowi w każdej chwili do szarży, z twarzami równie niewzruszonymi; nakrapiane oczy patrzyły lodowato. Czekwały tylko na rozkaz Deiry. Kiedy tak je obserwował, łatwo mu było uwierzyć w opowieści o saldaeańskich kobietach, które porwały miecze poległych mężów i prowadziły swych żołnierzy do ataku. Uprzejmość zawiodła go donikąd w przypadku żony Bashere; sam zaś Bashere tylko wzruszył ramionami i poinformował go, że jego żona niekiedy bywa trudna w pożyciu, a przez cały czas uśmiechał się w sposób, który jednoznacznie należało zakwalifikować jako dumę.

— Powiedz lordowi Bashere, że jestem usatysfakcjonowany — odparł. Zawrócił Jeade'ena i ruszył z powrotem w kierunku Caemlyn. Spojrzenia saldaeańskich

kobiet zdawały się wwiercać w jego plecy.

Lews Therin chichotał; inaczej nie można było tego nazwać.

„Nigdy nie próbuj wtykać szpilek kobiecie, jeśli naprawdę nie jesteś do tego zmuszony. Zabije cię szybciej niż mężczyzna i ze znacznie bardziej błahych powodów; cóż z tego, że potem będzie cię opłakiwała?”

„Naprawdę tam jesteś? — zapytał Rand. — Czy jest tam ktoś jeszcze oprócz samego głosu?” — Odpowiedział mu tylko cichy, szalony śmiech.

Nad sprawą Lewsa Therina zastanawiał się przez całą drogę powrotną do Camlyn i potem, gdy przejeżdżał przez jedno z długich targowisk obrzeżających dojazd do bramy a dalej do Nowego Miasta. Martwił się, że ogarnia go szaleństwo. Przerazał go nie tyle sam tego fakt, choć oznaczałoby to katastrofę gdyby zwariował, w jaki sposób miałby dokonać tego, co musiał? — ile to, że jak dotąd jednak nie zaobserwował u siebie żadnych jednoznacznych oznak. Gdyby jego umysł ogarniał mrok, skąd miałby o tym wiedzieć? Nigdy w życiu nie spotkał żadnego szaleńca. Jedynym objawem zbliżającego się obłądu był Lews Therin bredzący w jego głowie. Czy wszyscy mężczyźni tracą zmysły w ten sam sposób? Czy skończy, śmiejąc się i opłakując rzeczy, których nikt inny nie będzie dostrzegał, o których nikt nie będzie miał nawet pojęcia? Wiedział, że ma szansę przeżyć, nawet jeśli ta szansa z pozoru wydawała się zupełnie nieprawdopodobna. „Żeby żyć, będziesz musiał umrzeć” — była to jedna z trzech rzeczy, o których wiedział, iż muszą być prawdziwe, jedna z tych, które usłyszał wewnątrz *ter'angreala*, w którym odpowiedzi były zawsze prawdziwe, nawet jeśli z pozoru nie były łatwe do zrozumienia. Ale żyć w taki sposób... Nie był pewien, czy nie wolałby raczej umrzeć.

Tłumy na ulicach Nowego Miasta rozstępowały się przed oddziałem złożonym z ponad czterdziestu Aielów, garstka spośród zgromadzonych rozpoznała również Smoka Odrodzonego. Być może było ich nawet więcej, ale kiedy przejeżdżał obok nich, usłyszał tylko kilka pojedynczych wiwatów.

— Niech Światłość oświeca Smoka Odrodzonego!

— Łaska Światłości dla Smoka Odrodzonego!

— Smok Odrodzony, Król Andoru!

To ostatnie pozdrowienie gniewało go za każdym razem, kiedy je słyszał, a zdarzało się to już niejednokrotnie. Musiał znaleźć Elayne. Niemalże słyszał zgrzytanie własnych zębów. Nie potrafił się zmusić, by spojrzeć na ludzi na ulicy — pragnął smagnąć ich Mocą, tak by padli na kolana, wrzasnąć choćby, że to Elayne jest ich królową. Próbując nie słuchać okrzyków, wbił wzrok w niebo, a potem omiótł spojrzeniem dachy, wszystko, byle tylko nie widzieć tych ludzi. I właśnie dlatego udało mu się dojrzeć mężczyznę w białym płaszczu, który wyprostował się nagle na jednym z dachów i uniósł kuszę.

Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Rand ujął *saidina*, przeniósł go już w momencie, gdy bełt leciał w jego stronę... i wtedy grot uderzył w Po-

wietrze, które srebrno-błękitnym masywem zawisło ponad ulicą, wydając szcęk, jakby metal trał w metal. Kula ognia wyskoczyła z dłoni Randa, trafiła kusznika w pierś, wszystko w tej samej chwili, gdy bełt z brzękiem odskakiwał od tarczy utkanej z Powietrza. Płomienie ogarnęły tamtego, który wrzeszcząc spadł z dachu. A ktoś tymczasem skoczył na Randa strącając go z siodła.

Twardo uderzył o kamienie bruku, przygnieciony dodatkowym ciężarem, zabrakło mu oddechu, stracił panowanie nad *saidinem*. Usiłując zaczerpnąć powietrza, walczył z przygniatającym go ciężarem, wreszcie zrzucił go z siebie... i okazało się, że trzyma za ręce Desorę. Uśmiechnęła się do niego pięknie, potem jej głowa opadła na bok. Jej błękitne oczy znieruchomiały i zachodziły mgłą. Bełt kuszy sterzący spomiędzy jej żeber uciskał jego nadgarstek. Dlaczego zawsze skrywała taki piękny uśmiech?

Pochwyciły go liczne dłonie, pomogły mu powstać; Panny i Górscy Tancerze popchnęli go na skraj ulicy, prawie pod same drzwi sklepu ślusarza, tworząc ściśły krąg zasłoniętych twarzy, łuki z rogu w dłoniach, oczy bacznie przepatrywały ulicę i dachy domów. Wszędzie słychać było wrzaski i lamenty, ale na przestrzeni co najmniej pięćdziesięciu kroków w każdą stronę ulica była opustoszała, a dalej kłębiła się zbita masa ludzi próbujących uciec z miejsca zamachu. Tylko zwłoki zostały. Desora oraz sześć pozostałych, z których trzy należały do Aielów. Jeszcze jedna Panna, pomyślał. Trudno było to stwierdzić z tej odległości, gdy ciała leżały bezwładnie niczym kupka łachmanów.

Rand poruszył się, a otaczający go Aielowie przylgnęli doń jeszcze ściślej; lita ściana utworzona z ciał.

— Te miejsca są niczym królicze nory — oznajmiła Nandera tonem stosownym dla zwykłej pogawędki, nie przerywając ani na chwilę bacznej obserwacji otoczenia. — Jeżeli w takim miejscu włączysz się do tańca, możesz otrzymać cios sztyletem w plecy, zanim się w ogóle zorientujesz, że coś ci grozi.

Caldin pokiwał głową.

— Przypomina mi to czasy, kiedy byłem przy Ściętym Cedrze... W każdym razie mamy jeńca. — Kilku jego *Hama N'dore* wyszło z gospody po przeciwnej stronie ulicy, popychając przed sobą człowieka, którego ręce, zostały dokładnie związane za plecami. Przez cały czas szarpał się w więzach, póki nie zmusili go, by ukląkł na bruku i nie przyłożyli mu ostrza włóczni do gardła. — Być może on nam powie, z czyjego działali rozkazu. — Caldin mówił to takim tonem, jakby nie miał w tej kwestii najmniejszych wątpliwości.

Chwilę później z następnego budynku wyłoniły się Panny, które prowadziły jeszcze jednego związanego jeńca; utykał, a jego twarz spływała krwią. Po chwili czterej mężczyźni klęczeli na ulicy pod czujną strażą Aielów. Na koniec wreszcie otaczające Randa półkole rozluźniło się nieco.

Wszyscy jeńcy byli mężczyznami o twardych twarzach, chociaż ten zlany krwią chwiał się i przewracał oczyma, kiedy patrzył na Aielów. Na obliczach

dwóch pozostałych zastygł grymas ponurego wyzwania, trzeci szczyrzył zęby.

Dłonie Randa drżały.

— Jesteście pewni, że oni w tym uczestniczyli? — Sam nie potrafił uwierzyć, jak miękko zabrzmiał jego głos, jak spokojnie. Ogień stosu rozwiązałby wszystkie problemy.

„Tylko nie ogień stosu — wydyszał Lews Therin. — Nigdy więcej”.

— Naprawdę jesteście pewni?

— Brali w tym udział — odpowiedziała jedna z Panien; za zasłoną nie potrafił rozpoznać twarzy. — Wszyscy ci, których zabiłyśmy, nosili coś takiego. — Szarpnięciem zdarła płaszcz ze związanych ramion krwawiącego mężczyzny. Znoszony biały kaftan, brudny i rdzawy od krwi, ze złotym słońcem wyhaftowanym na piersi. Pozostali trzech ubrani byli identycznie.

— Ci mieli wszystko obserwować — dodał barczysty Górski Tancerz — i donieść, czy atak zakończył się powodzeniem. — Jego śmiech przypominał warczenie psa. — Ktokolwiek ich wysłał, nie miał pojęcia, jak źle się wszystko skończy.

— Żaden z tych mężczyzn nie strzelał z kuszy? — zapytał Rand. Ogień stosu. „Nie” — wrzasnął z oddali Lews Therin.

Aielowie wymienili spojrzenia, pokręcili owiniętymi w *shoufy* głowami.

— Powiesić ich — rozkazał Rand. Mężczyzna o zakrwawionej twarzy omal nie zemdlał. Rand otoczył go strumieniami Powietrza, postawił na nogi. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że obejmuje *saidina*. Radością napępiała go walka o przetrwanie w rwącym strumieniu, chętnie nawet powitał skazę, brukającą jego kości niczym żrąca galareta. Sprawiała, że w mniejszym stopniu świadomy był rzeczy, o których wolał nie myśleć, uczuć, jakich chętnie by się pozbył. — Jak się nazywasz?

— F-faral, m-mój panie. D-dimir Faral. — Kiedy patrzył na Randa przez maskę zalewającej mu twarz krwi, oczy omalże nie wychodziły mu z orbit. — P-proszę nie w-wieszaj mnie, m-mój panie. I-idę ścieżką Światłości, p-przysięgam!

— Jesteś naprawdę szczęśliwym człowiekiem, Dimirze Faralu. — Własny głos brzmiał mu w uszach tak odległe, jak wrzaski Lewsa Therina. — Będziesz patrzył, jak zawisną twoi przyjaciele. — Faral zaczął łkać. — Potem dostaniesz konia i zawieszysz Pedronowi Niallowi wiadomość, że pewnego dnia jego również powieszę za to, co się tutaj wydarzyło. — Kiedy rozluźnił sploty Powietrza, Faral osunął się zupełnie bezwładnie na ziemię, wiedząc, że pojedzie do Amadoru, nie zatrzymując się nawet na chwilę po drodze. Trzej mężczyźni, którzy mieli umrzeć, patrzyli z pogardą na szlochającego człowieczka. Jeden z nich splunął na niego.

Rand szybko wygnał ich ze swych myśli. Niall był jedynym, o którym należało pamiętać. Było coś jeszcze, co powinien zrobić. Odepchnął od siebie *saidina*, przeszedłszy wprawdzie całą udrekę wyrywania się mu bez jednoczesnej zatruty, wysiłek nakłonienia samego siebie do wypuszczenia go. Ze względu na to, co musiał

zrobić, wolał, żeby od własnych emocji nie oddzielała go żadna bariera.

Któraś z Panien ułożyła prosto ciało Desory, ale nie uniosła jeszcze zasłony. Wyciągnęła już dłoń, aby powstrzymać go przed dotknięciem kawałka czarnej *algode*, potem zawahała się, spojrzała mu w twarz i z powrotem przysiadła na piętach.

Unosząc zasłonę, próbował jednocześnie przypomnieć sobie twarz Desory. Teraz wyglądała jak pogrążona we śnie. Desora, ze szczepu Musara z Reyn Aiel. Tak wiele tych imion. Liah z Cosaida Chareen i Dailin z Żelaznych Gór Taardad, i Lamelle z Dymnych Wód Miagoma, i... Tak wiele. Czasami powtarzał sobie w głowie tę listę, imię po imieniu. Ale było też jeszcze jedno imię, imię, którego nigdy nie wymieniał. Ilyena Therin Moerelle. Nie miał pojęcia, w jaki sposób Lewsowi Therinowi udało się wedrzeć do tego zakątka jego umysłu, ale i tak już nie wymazałby tamtego imienia, nawet gdyby wiedział, jak to zrobić.

Kosztowało go to dużo wysiłku, ale ostatecznie przyniosło mu ulgę. Gdy odwrócił się od zwłok Desory, poczuł czystą, niczym nie zmaconą ulgę, kiedy przekonał się, że to drugie ciało, o którym sądził, że również należało do Panny, było w istocie ciałem mężczyzny, nadzwyczaj niskiego jak na Aiela. Bolał również nad mężczyznami poległymi w jego służbie, ale jeśli o nich chodziło, powtarzał sobie stare powiedzenie: „Pozwól zmarłym spoczywać w spokoju i troszcz się o żyjących”. Nie było to łatwe, jednak potrafił się do tego zmusić. Kiedy ginęła kobieta, nie potrafił myśleć w ten sposób.

Jego wzrok padł na spódnicę rozpostartą na bruku. Nie tylko Aielowie ginęli.

Bełt kuszy ugodził nieszczęsną dokładnie między łopatki. Tyłu jej sukni nie plamiła ani jedna plamka krwi; wszystko odbyło się szybko, drobny akt miłosierdzia. Ukląkł i odwrócił ciało tak delikatnie, jak tylko potrafił; z klatki piersiowej sterczał grot bełtu. Kobieta miała kwadratową twarz, była w średnim wieku, jej włosy prószyła już siwizna. W szeroko rozwartych, ciemnych oczach zastygł wyraz zaskoczenia. Nie znał jej imienia, ale tę twarz pamiętał. Zginęła dlatego, że znalazła się na tej samej ulicy co on.

Schwycił ramię Nandery, a ona straciła jego dłoń, gdyż mógłby jej przeszkodzić w razie konieczności użycia łuku, ale spojrzała na niego.

— Znajdź rodzinę tej kobiety i dowiedz się, czy nie można im jakoś pomóc. Złoto... — To nie wystarczy. Oni powinni odzyskać żonę, matkę; nie potrafił im tego dać. — Zobacz się z nimi — powiedział. — I dowiedz się, jak się nazywała.

Nandera wyciągnęła dłoń w jego stronę, po czym ponownie ułożyła ją na swym łuku. Kiedy wstawał, Panny bacznie go obserwowały. Och, obserwowały wszystko dookoła równie bacznie jak zazwyczaj, ale te zasłonięte twarze cokolwiek za często zwracały się w jego stronę. Sulin wiedziała, jak on się czuje, nawet jeśli nie zdawała sobie sprawy z istnienia listy, nie miał jednak pojęcia, czy poinformowała o wszystkim pozostałe. Jeżeli tak uczyniła, to nie miał pojęcia, jakie właściwie to wzbudziło w nich uczucia.

Poszedł do miejsca, w którym się przewrócił, podnosząc po drodze z ziemi Berło Smoka. Samo pochylenie się kosztowało go mnóstwo wysiłku, a krótkie przecież drzewce włóczni zaciążyło w dłoniach. Jeade'en nie odbiegł daleko, kiedy poczuł, że jego siodło jest puste; zwierzę było dobrze wyćwiczone. Rand wspiał się więc z powrotem na grzbiet srokacza.

— Tutaj już zrobiłem wszystko, co tylko było można — powiedział. . .

„Niech sobie myślą co chcą”.

. . . i spał konia.

Nawet jeśli nie potrafił uciec przed wspomnieniami, uciekł jednak Aielom. Na jakąś chwilę przynajmniej. Zdążył już oddać wodze Jeade'ena stajennemu i wejść do pałacu, zanim dogonili go Nandera i Caldin, a wraz z nimi około dwu trzecich całego stanu Panien i Górskich Tancerzy, których wzięli ze sobą. Reszta została, aby zająć się ciałami poległych. Na twarzy Caldina zastygł grymas irytacji. Na widok tego ognia, jaki rozgorzał w oczach Nandery, Rand ucieszył się, że nie zasłoniła twarzy.

Zanim Rand zdążył przemówić, podeszła do niego Pani Harfor i ukloniła się głęboko.

— Lordzie Smoku — zaczęła niskim, silnym głosem. — Nadeszła prośba o audiencję u ciebie, wystosowana przez Mistrzynie Żeglugi z klanu Catelar, Atha'an Miere.

Nawet jeśli znakomity krój biało-czerwonej sukni Reene nie stanowił dostatecznego dowodu na to, że jej tytuł: „Pierwszej Pokojówki” stanowi niezbyt stosowne określenie, to jej maniery z pewnością zadawały mu ostateczny kłam. Ta pulchna kobieta z siwymi włosami i ostrym podbródkiem próbowała patrzeć Randowi prosto w oczy (musiała odchyłać w tym celu głowę do tyłu), nadto w jakiś sposób udawało jej się połączyć stosowną porcję szacunku z całkowitym brakiem służalczości oraz godnością, na jaką nie byłoby stać większości szlachcianek. Podobnie jak Halwin Norry, została, kiedy większość uciekła, chociaż Rand podejrzewał, że uczyniła tak po to, aby ocalić i ochronić Pałac przed najeźdźcami. Nie byłby zaskoczony, gdyby się pewnego dnia okazało, że od czasu do czasu przetrząsa komnaty w poszukiwaniu ukrytych wartościowych przedmiotów będących na stanie Pałacu. Nie byłby zaskoczony, gdyby się dowiedział, że próbuje robić rewizję osobistą Aielom.

— Lud Morza? — zapytał. — Czego oni chcą?

Odrzuciła go cierpliwym spojrzeniem, próbując zdobyć się na odrobinę tolerancji dla jego niewiedzy. Czego zresztą nie omieszkała wyraźnie okazać.

— Petycja tego nie stwierdza, mój Lordzie Smoku.

Jeżeli nawet Moiraine wiedziała coś o Ludzie Morza, to nie uznała tej wiedzy za niezbędną część jego edukacji, jednak wnioskuje z postawy Reene, ta kobieta musiała być kimś ważnym. Sam tytuł „Mistrzynie Żeglugi” z pewnością miał swój ciężar. To oznaczało, że będzie musiał przyjąć ją w Wielkiej Komnacie. Nie był

w niej od czasu powrotu z Cairhien. Nawet nie dlatego, by miał jakieś szczególne powody do unikania sali tronowej — po prostu nie było takiej potrzeby.

— Dziś po południu — oznajmił powoli. — Powiedz jej, że spotkam się z nią wczesnym popołudniem. Przydzieliłaś jej dobre apartamenty? Zadbałaś o jej świętę? — Wątpił, by ktoś noszący tak znaczący tytuł podróżował samotnie.

— Chciałam to uczynić, ale odmówiła. Zatrzymała się wraz z towarzyszącymi jej ludźmi w „Kuli i Pierścieniu”. — Skrzywiła się nieznacznie; najwyraźniej jej zdaniem pozycja Mistrzynie Żeglugi nie upoważniała do takiego zachowania. — Byli bardzo zmęczeni po podróży, stroje całkiem zakurzone, ledwie trzymali się na nogach. Wszyscy przyjechali na koniach, nie w powozach, a nie wydaje mi się, by byli przyzwyczajeni do takiego sposobu podróżowania. — Zamrugała oczami, jakby sama zaskoczona, że do tego stopnia straciła kontrolę nad sobą, i po chwili była już równie chłodna i zdystansowana jak przedtem. — Jeszcze ktoś chce się z tobą zobaczyć, mój Lordzie Smoku. — W jej głosie pobrzmiwała tym razem ledwo wyczuwalna nuta niesmaku. — To lady Elenia.

Randomalże sam się nie skrzywił. Z pewnością tamta uraczy go kolejnym wykładem dotyczącym podstaw jej roszczeń do Tronu Lwa; jak dotąd podczas takich okazji udawało mu się nie usłyszeć więcej niżli jednego słowa na trzy. Z łatwością mógłby jej odmówić. A jednak naprawdę powinien dowiedzieć się więcej na temat dziejów Andoru, a nikt ze znajdujących się w jego otoczeniu nie dysponował szerszą ich znajomością niżli Elenia Sarand.

— Czy naprawdę zamierzasz oddać Dziedzicze Tronu to, co jej należne? — Ton, jakim Reene wygłosiła te słowa, nie był ostry, a jednak trudno byłoby się w nim doszukać choćby śladu szacunku. Wyraz jej twarzy nie zmienił się, jednak Rand był pewien, że gdyby udzielił niewłaściwej odpowiedzi, tamta w każdej chwili mogłaby krzyknąć: „Za Elayne i Białego Lwa!” — i zapewne spróbowałby go uderzyć, nie dbając o obecność Aielów.

— Tak uczynię — westchnął. — Tron Lwa należy do Elayne. Na Światłość, na moją nadzieję powtórnego odrodzenia i zbawienia, nie może być inaczej.

Reene przez chwilę wpatrywała się w niego badawczo, potem raz jeszcze ukloniła się głęboko.

— Przyślę ją do ciebie, mój Lordzie Smoku. — Kiedy odchodziła, jej plecy były sztywno wyprostowane, ale zawsze przecież tak było; nie umiał stwierdzić, czy uwierzyła chociaż w jedno jego słowo.

— Zręczny przeciwnik — stwierdził Caldin, zanim Reene odeszła choćby na pięć kroków. — Zastawi na ciebie jakąś dającą się łatwo przejrzeć zasadzkę, z której wywiniesz się bez trudu. Nabierzesz wtedy ufności we własne siły, stracisz czujność i wpadniesz w drugą, tym razem groźniejszą.

Nandera niemalże weszła mu w słowo:

— Młodzi mężczyźni mogą być impulsywni, mogą postępować pochopnie, mogą być głupcami, jednak *Car'a'carn* nie może pozwolić sobie na bycie mło-



dym mężczyzną.

Rand spojrział na nich przez ramię i rzucił krótko:

— Jesteśmy teraz wewnątrz pałacu, wybierzcie swoje dwójki.

Zdziwił się trochę, że Nandera i Caldin również siebie włączyli w skład jego eskorty, natomiast w najmniejszym stopniu nie poczuł się zaskoczony, gdy ruszyli za nim pogrążeni w grobowym milczeniu.

Przy drzwiach do komnat nakazał im wpuścić Elenię do wnętrza, kiedy się tylko pojawi, i zostawił ich na korytarzu. W środku czekał już na niego śliwkowy poncz w kutym, srebrnym dzbanie, ale nawet nie spojrział w jego stronę. Stał tylko nieruchomo, wpatrzony weń pustym wzrokiem, i zastanawiał się, co powiedzieć Elenii, póki nie przyłapał się na tym, co właściwie robi. Aż chrząknął z zaskoczenia. Po cóż niby miał planować?

Pukanie do drzwi zapowiedziało przybycie słomianowłosej Elenii, która natychmiast po wejściu skłoniła się przed nim. Miała na sobie suknię haftowaną w złote róże. W przypadku każdej innej kobiety te róże stanowiłyby wyłącznie motyw zdobniczy, jednak na Elenii musiały zawierać jakąś sugestię względem Różanej Korony.

— Mój lord Smok okazał się prawdziwie łaskawy, że zechciał mnie przyjąć.

— Chciałbym zadać ci kilka pytań odnośnie dziejów Andoru — powiedział Rand. — Napijesz się śliwkowego ponczu?

Oczy Elenii aż rozszerzyły się z radości; opanowała się dopiero po chwili. Bez wątplenia wcześniej dokładnie zaplanowała sobie, w jaki sposób sprowadzi rozmowę na kwestie choćby odległe powiązane z jej roszczeniami, a teraz on sam jej to proponuje. Na lisiej twarzy rozkwitł szeroki uśmiech.

— Czy wolno będzie mi nalać memu Lordowi Smokowi? — zapytała, nie czekając nawet, by skinieniem dłoni wyraził zgodę. Była tak zadowolona z kierunku rozwoju wydarzeń, że oczekiwał niemalże, iż za chwilę usadzi go w fotelu i podsunie podnózek. — Na jaki okres historii mam rzucić ci nieco światła?

— Chodziłoby mi o ogólne wprowadzenie... — Rand zmarszczył brwi, takie pytanie stanowiłoby dla niej doskonały pretekst do wymienienia szczegółowo wszystkich swoich przodków — ...to znaczy, chciałbym się dowiedzieć, jak doszło do tego, że Souran Maravaile sprowadził tutaj swoją żonę. Czy on pochodził z Caemlyn?

— To Ishara sprowadziła tutaj Sourana, mój Lordzie Smoku. — W oczach Elenii rozbłysła przelotna pogarda. — Matką Ishary była Endara Casalain, która z kolei była w owym czasie gubernatorem Artura Hawkwinga na tych terenach... prowincja nazywała się Andor... a także córką Joala Ramedara, ostatniego króla Aldeshar. Souran był jedynie... jedynie generałem — chciała już powiedzieć „plebejuszem”, gotów był się o to założyć — chociaż jednym z najlepszych, jacy służyli pod Hawkwingiem, rzecz jasna. Endara zrezygnowała ze swoich roszczeń i oddała hołd Isharze, uznając w niej królową. — Rand jakoś nie potrafił uwie-

rzyć, by przebiegło to w taki sposób, tak gładko. — Oczywiście, były to najgorsze czasy, jakie sobie można wyobrazić, tak samo złe jak okres Wojen z Trollokami, nie mam w tej kwestii najmniejszych wątpliwości. Kiedy umarł Hawkwing, każdy szlachcic sądził, że to właśnie on zostanie Najwyższym Królem. Albo Najwyższą Królową, jeśli chodzi o szlachcianki. Ishara wszakże doskonale zdawała sobie sprawę, że nikt nie podoła temu zadaniu, zbyt wiele było zwalczających się frakcji, przymierza zaś rozpadały się nazajutrz po tym, jak zostały zawarte. Przekonała więc Sourana, by poniechał oblężenia Tar Valon, i sprowadziła go tutaj z tak liczną armią, jaką tylko potrafił zebrać.

— To Souran Maravaile oblegał Tar Valon? — zapytał zaskoczony Rand. Artur Hawkwing przez dwadzieścia lat oblegał Tar Valon i wyznaczył nagrodę za głowę każdej Aes Sedai.

— W trakcie ostatniego roku oblężenia — odparła z lekkim zniecierpliwieniem — przynajmniej tak odnotowują źródła historyczne. — Wyraźnie było widać, że Souran nie interesuje jej w najmniejszym stopniu, ważne było to tylko, iż był mężem Ishary. — Ishara była mądra. Obiecała Aes Sedai, że jej najstarsza córka zostanie odesłana na nauki do Białej Wieży, tym samym uzyskała ich poparcie oraz doradczynię z Wieży o imieniu Ballair; była pierwszą władczynią, która tak postąpiła. Oczywiście pozostali poszli potem w jej ślady, nie potrafili jednak zrezygnować z tronu Hawkwinga. — Mówiła teraz z wyraźnym ożywieniem, z pojaśniałą twarzą, gestykulując wolną dłonią, podczas gdy w drugiej trzymała zapomniany zupełnie puchar. Słowa wypływały z jej ust niepowstrzymanym strumieniem. — Całe pokolenie musiało przeminąć, zanim sama idea umarła, chociaż Narasim Bhuran próbował dopiąć swego jeszcze w ostatniej dekadzie Wojny Stu Lat. . . skończyło się to całkowitą porażką i ostatecznie jego głowę zatknęto na ostrzu piki. . . zaś wysiłki Esmary Getares, poczynione trzydzieści lat wcześniej, z początku również przyniosły jej znaczne powodzenie, zanim nie spróbowała podbić Andoru, w efekcie czego resztę swego życia spędzić musiała jako „gość” królowej Telaisien. W końcu Esmara została zamordowana skrytobójczo, chociaż nie istnieją żadne zapisy, z których wynikałoby, dlaczego ktoś mógłby pragnąć jej śmierci, po tym jak Telaisien rozbiła jej potęgę. Rozumiesz, królowe, które nastąpiły po Isharze, począwszy od Alesinde a skończywszy na Lyndelle, kontynuowały tylko to, co ona zaczęła, i nie sprowadzało się to jedynie do wysyłania córek na naukę do Wieży. Ishara wykorzystała Sourana, by zabezpieczył zbrojnie granice jej ziem; pierwotnie było to tylko kilka wiosek wokół Caemlyn, potem jednak powoli rozszerzała zakres swej władzy. Cóż, docieranie do brzegów Erinin zabrało jej kilka lat. Jednak kraj, którym władały królowe Andoru, znajdował się pod ich rzeczywistym panowaniem, podczas gdy większość tych, którzy mienili się królami i królowymi, wciąż bardziej zajęta była nowymi podbojami, niżli umacnianiem swej pozycji na ziemi, jaka przypadła im w udziale.

Przerwała na chwilę, by zaczerpnąć tchu, a Rand wtedy pospiesznie wtrącił

słowo. Elenia mówiła o tych wszystkich ludziach, jakby ich osobiście znała, jednak jemu aż kręciło się w głowie od niezliczonych imion, które słyszał po raz pierwszy w życiu.

— Dlaczego więc Dom Maravaile już nie istnieje?

— Żaden z synów Ishary nie przeżył dwudziestego roku życia. — Elenia wzruszyła ramionami i upiła łyk ponczu; ten temat najwyraźniej jej nie interesował. Ale nasunął jej na myśl nową kwestię. — Przez okres Wojny Stu Lat rządziło dziewięć królowych i żadna z nich nie miała syna, który dożyłby dwudziestego trzeciego roku życia. Jedna bitwa goniła drugą i zewsząd nadciągali wrogowie Andoru. Cóż, za panowania Maragaine czterech królowie powiedli przeciwko niej swe armie... na marginesie, jest takie miasto, które nazwę swoją wzięło od tej bitwy. Królowie ci nazywali się...

— Ale wszystkie królowe były potomkiniami Sourana i Ishary? — wtrącił szybko Rand. Ta kobieta gotowa zamęczać go codziennymi wykładami, jeśli jej na to tylko pozwoli. Siadając, dał jej znak, by również zajęła miejsce.

— Tak — odparła z wahaniem. Być może przyczyną tego wahania był Souran. Jednak zaraz potem jej twarz znowu pojaśniała. — Rozumiesz więc, jest to kwestia tego, ile ktoś ma w swoich żyłach krwi Ishary. Ile pokoleń go z nią łączy i jaki stopień pokrewieństwa mu przysługuje. W moim przypadku...

— Trudno mi to zrozumieć. Dla przykładu, weźmy Tigraine i Morgase. Roszczenia Morgase do sukcesji po Tigraine były najsilniej ugruntowane. Przypuszczam więc, że Morgase i Tigraine były ze sobą blisko spokrewnione?

— Były kuzynkami. — Elaine z wysiłkiem stłumiła irytację, wywołaną tym, że tak często się jej przerywa, szczególnie teraz, gdy już była tak blisko kwestii, którą chciała poruszyć. Starła się panować nad sobą, zaciskając usta. Przypominała lisa, który już miał zewrzeć szczęki, ale kurczak właśnie uciekł z ich zasięgu.

— Rozumiem. Kuzynki. — Rand upił tęgiego łyka, do połowy opróżniając puchar.

— My tutaj wszyscy jesteśmy ze sobą spokrewnieni. Wszystkie Domy. — Jego milczenie najwyraźniej dodało jej ducha. Uśmiech powrócił na twarz. — Ponieważ wzajemnie łączymy się przez małżeństwa od ponad tysiąca lat, nie ma takiego Domu, w którego żyłach nie płynęłaby chociaż kropla krwi Ishary. Jednak to stopień pokrewieństwa jest ważny, stopień pokrewieństwa i liczba dziedzicznych linii rodowych. W moim przypadku...

Rand zamrugał.

— Wszyscy jesteście kuzynami? Wszyscy? To przecież niemoż... — Z napięciem pochylił się do przodu. — Elenio, gdyby Morgase i Tigraine pochodziły... z rodzin kupieckich, albo chłopskich... to jak blisko wówczas byłyby spokrewnione?

— Chłopki? — wykrzyknęła, patrząc na niego szeroko rozwartymi oczyma. — Mój Lordzie Smoku, co za osobliwy... — Krew powoli odpłynęła jej z twa-

rzy; ostatecznie on sam był chłopem. Nerwowo oblizła usta. — Przypuszczam... Musiałabym pomyśleć. Chłopki. Przypuszczam, że powinnam sobie wszystkie Domy wyobrazić jako chłopskie rodziny. — Nerwowo zaszczękała zębami, zanim udało się jej upić głęboki łyk z pucharu. — Gdyby one były chłopkami, przypuszczam, że nikt w ogóle nie uważałby, że są spokrewnione. Wszystkie związki rodzinne sięgają zbyt głęboko w przeszłość. Ale one, mój Lordzie Smoku, nie były...

Pozwolił, by jej słowa wpadały mu jednym uchem i wypadały drugim, sam zaś wygodniej rozparł się w fotelu. Nie były ze sobą związane.

— ... wiązało ją z Isharą tylko trzydzieści jeden linii pokrewieństwa, podczas gdy Dyelin jedynie trzydzieści, zaś...

Dlaczego znienacka poczuł taki spokój? Dlaczego mięśnie, które napięły się nie wiadomo nawet kiedy, teraz się rozluźniły?

— ... jeżeli tak można to określić, mój Lordzie Smoku.

— Co? Wybacz mi. Zamyśliłem się na moment... problemy... nie usłyszałem ostatniego zdania, jakie wypowiedziałaś. — A jednak w jej słowach było coś, co poruszyło czułą strunę.

Na twarzy Elenii zastygł unізony, drżący uśmiech; wyglądała z nim dość dziwnie.

— Cóż, powiedziałam właśnie, że ty sam jesteś nieco podobny do Tigraine, mój Lordzie Smoku. Może nawet w twoich żyłach płynie odrobina krwi Ishary...

— Urwała nagle z piskiem, on zaś zdał sobie sprawę, że zerwał się na równe nogi.

— Czuję się... czuję się odrobinę zmęczony. — Próbował nadać głosowi normalne brzmienie, jednak nawet we własnych uszach brzmiał mu odległe, jakby właśnie pogrążył się głęboko w Pustce. — Zechciej mnie teraz zostawić samego, proszę.

Nie mógł widzieć swojej twarzy, musiała jednak wyglądać przerażająco, bo Elenia poderwała się z krzesła jak smagnięta biczem, po czym pośpiesznie odstawiła puchar na stolik. Nie potrafiła opanować drżenia, a jeśli przed chwilą jej twarz można było określić jako bezkrwistą, to teraz była blada niczym śnieg. Ukłon, jaki mu złożyła, był tak głęboki i unізony, że przywodził na myśl pomysłą przyłapaną na kradzieży. Po chwili biegła prawie w stronę drzwi, rozwarła je z impetem i tylko odgłos stukania pantofli dobiegający z korytarza świadczył, że w ogóle tu była. Nandera wsunęła głowę do środka, sprawdziła, czy nic się nie stało, potem zatrzasnęła drzwi.

Rand przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, zagapiony w przestrzeń. Nic dziwnego, że te starożytne królowe tak się weń wpatrywały. Wiedziały o tym, o czym on sam nie miał pojęcia. Ten nieoczekiwany robak smutku, który wgrzył się w jego duszę, kiedy odkrył, jak brzmiało imię jego prawdziwej matki. Ale Tigraine nie była spokrewniona z Morgase. Jego matka nie była spokrewniona z matką Elayne. On nie był spokrewniony z...

— Jesteś kimś jeszcze gorszym od jakiegoś rozpustnika — powiedział z goryczą. — Jesteś głupcem i . . . — Żałował, że Lews Therin się nie odzywa, wówczas mógłby zapewnić samego siebie:

„Oto jest szaleniec, ja jestem normalny”.

Czy to te dawno temu zmarłe królowe Andoru patrzyły na niego, czy też czuł tylko obecność Alanny? Podszedł do drzwi. otworzył je szeroko. Nandera i Caldin siedzieli w kucki pod draperią przedstawiającą jaskrawo ubarwione ptaki.

— Zbierzcie swoich ludzi — rozkazał. — Udaję się do Cairhien. Proszę, nie mówicie o niczym Aviendzie.

# DARY

Egwene wędrowała z powrotem w stronę wielkiego skupiska namiotów, starając się po drodze odzyskać panowanie nad sobą, jednak w istocie nie była pewna nawet tego, czy czuje ziemię pod stopami. Cóż, wiedziała, że musi ją czuć. Jej stopy wzbijały niewielkie kłęby kurzu, rozplywające się w wielkich jego chmurach, gnanych gorącymi podmuchami wiatru; rozkaszła się i pożałowała, że Mądre nie noszą zasłon. Szal udrapowany wokół głowy to jednak nie było to samo, a poza tym przypominało to trochę noszenie na głowie namiotu-łaźni. A mimo to miała wrażenie, że przebiera nogami w powietrzu. W głowie jej wirowało i to nie tylko z gorąca.

Z początku uznała, że Gawyn nie chce się z nią spotkać, ale chwilę potem pojawił się jednak, kiedy przepychała się przez tłum. Spędzili cały ranek w prywatnym gabinecie gospody pod „Długim człowiekiem”, trzymając się za ręce i rozmawiając przy herbacie. Zachowała się całkowicie bezwstydnie, całując go, gdy tylko drzwi za nimi się zamknęły, zanim on wykonał choćby najdrobniejszy ruch, by pocałować ją, raz nawet usiadła mu na kolanach, aczkolwiek nie wytrzymała długo w tej pozycji. To sprawiło, że zaczęła myśleć o jego snach, o tym, że może mogłaby znowu wślizgnąć się do któregoś z nich, a potem już przychodziły jej do głowy rzeczy, które powinny być obce każdej przyzwoitej dziewczynie! A przynajmniej kobiecie, która nie jest zameżna. Podskakiwała niczym przerażona łania, a on nie przestawał się dziwić.

Pospiesznie rozejrzała się dookoła. Znajdowała się wciąż, w odległości połowy mili od namiotów, w pobliżu nie było żywej duszy, a gdyby nawet ktoś był, to i tak nie mógłby dostrzec jej rumieńców. Zagryzła wargi, kiedy zdała sobie sprawę, że szczerzy się idiotycznie w cieniu szala. Światłości, naprawdę powinna lepiej się kontrolować. Zapomnieć o silnym uścisku ramion Gawyna, myśleć zaś o tym, dlaczego spędzili tak dużo czasu pod „Długim człowiekiem”.

Przepychała się przez tłum, rozglądając się jednocześnie dookoła w poszukiwaniu Gawyna, i ze zmiennym powodzeniem próbowała wyglądać na niczym szczególnie nie zainteresowaną; mimo wszystko nie miała ochoty, aby spostrzegł, jak bardzo jej na nim zależy. Zupełnie zniecka jakiś człowiek pochylił się ku niej i wyszeptał gorączkowo:

— Idź za mną do „Długiego człowieka”.

Aż podskoczyła, nie potrafiła się opanować. Po chwili dopiero udało jej się w tamtym rozpoznać Gawyna. Miał na sobie prosty kaftan z brązowej wełny i cienki płaszcz podróżny; kaptur niemalże zakrywał mu twarz. Oprócz Aielów prawie każdy, kto wychodził poza mury miasta, okrywał się płaszczem — jednak w tym upale niewielu naciągało na głowy kaptury.

Mocno chwyciła go za rękaw, kiedy próbował ruszyć przed nią.

— Na jakiej podstawie myślisz sobie, że udam się z tobą do gospody, Gawynie Trakand? — zapytała, mrużąc oczy. Jednak głos przyciszyła; nie było potrzeby zwracać na siebie uwagi przechodniów, którzy zapewne zerkaliby w stronę kłócej się pary. — Pójdziemy na spacer. Z pewnością nazbyt wiele sobie wyobrazasz, jeżeli sądzisz, że chwila. . .

Skrzywił się i pośpiesznie wyszeptał jej do ucha:

— Kobiety, z którymi tu przybyłem, szukają kogoś. Kogoś takiego jak ty. W mojej obecności niewiele o tym mówią, jednak tu i tam udało mi się podchwycić słowo. Teraz idź za mną. — Nie oglądając się więcej za siebie, ruszył szybkim krokiem w głąb ulicy, a jej nie pozostawało nic innego, jak ze ściśniętym żołądkiem powędrować za nim.

Wspomnienie tej sytuacji sprawiło, że ruszyła teraz krokiem bardziej zdecydowanym. Spieczona powierzchnia ziemi pod podeszwami jej miękkich butów zdawała się niemalże równie gorąca jak kamienie miejskiego bruku. Brnęła móżolnie przez tumany kurzu i myślała wściekle, że Gawyn w istocie nie miał jej wiele do powiedzenia poza tą pierwszą uwagę. Później dowodził, że to wcale nie jej tamte muszą poszukiwać, ale mimo to powinna uważać, kiedy przenosi, i na ile to możliwe, trzymać się z dala od miejsc, w których ktoś mógłby ją zobaczyć. Tyle, że sam nie wydawał się do końca wierzyć w to, co mówi; w przeciwnym razie nie zadbałby tak o swoje przebranie. Egwene powstrzymała się jednak i nie skomentowała jego ubioru — tak bardzo zamartwiał się faktem, iż gdyby te Aes Sedai ją znalazły, to popadłaby w poważne tarapaty, zamartwiał się tym, iż to on doprowadziłby je do niej. Najwyraźniej nie miał najmniejszego zamiaru przestać się nią opiekować, nawet jeśli wprost o tym nie wspominał. I nadal był święcie przekonany, że wszystko się rozwiąże, jeżeli ona wróci jakoś niepostrzeżenie do Tar Valon i do Wieży. Zawrze jakiś układ z Coiren i pozostałymi Aes Sedai, które przybyły do Caemlyn, i wróci razem z nimi. Światłości, ona przecież powinna naprawdę być na niego zła, skoro wydawało mu się, że lepiej od niej samej wie, co jest dla niej dobre, jednak z jakiegoś powodu ta myśl sprawiała, że uśmiechała się pobłaźliwie, nawet teraz. Z jakiegoś powodu nie potrafiła myśleć o nim tak, jak na to zasługiwał, a on zdawał się wślizgiwać do wszystkich myśli, jakie przelatowały jej przez głowę.

Zagryzła wargę i skupiła myśli na prawdziwym kłopotcie. Aes Sedai z Wieży. Gdyby tylko potrafiła się zmusić i porządnie przepytac Gawyna. . . Z pewnością

nie zdradziłby nikogo, gdyby odpowiedział jej na parę drobnych pytań, o przynależność do Ajah, o to dokąd chodziły, albo... Nie! Złożyła tę obietnicę wyłącznie samej sobie, złamanie jej jednak równałoby się dyshonorowi dla niego. Żadnych pytań. Tylko to, co powie jej z własnej woli.

A z tego co powiedział, nie miała podstaw dla domniemywań, iż one szukają właśnie Egwene al'Vere. Ale, musiała też przyznać, że nie ma wyraźnych przesłanek, by sądzić, że tak nie jest. Wszystko to były tylko przypuszczenia i nadzieje. To prawda, że agentka Wieży nie byłaby w stanie rozpoznać Egwene w stroju Aielów, nie powiedziane jednak, iż przypadkiem nie usłyszała gdzieś jej imienia czy nie podsłuchiwała jakiejś plotki o Egwene Sedai z Zielonych Ajah. Od tej pory powinna bardzo uważać, kiedy będzie chodziła po mieście. Nie tylko uważać — powinna być naprawdę bardzo czujna.

Dotarła na skraj obszaru zajętego przez namioty. Obóz rozciągał się na całe mile we wszystkie strony, zarówno na porośniętych drzewami, jak i całkowicie nagich wzgórzach otaczających go od wschodu. Między niskimi namiotami kręcili się Aielowie, w pobliżu jednak dostrzegła tylko nielicznych *gai'shain*. I żadnej Mądrej. Złamała daną im obietnicę. Niby złożyła ją Amys, ale to było tak, jakby oszukała je wszystkie. Konieczność takiego a nie innego postępowania wydawała jej się teraz znacznie słabszą wymówką dla usprawiedliwienia kłamstwa, jakiego się dopuściła.

— Przyłącz się do nas, Egwene — usłyszała kobiecy głos. Nawet z zasłoniętą twarzą, Egwene było łatwo rozpoznać, chyba że znajdowała się w otoczeniu dziewcząt, które jeszcze nie do końca wyrosły. Surandha, uczennica Sorilei, wystawiła z namiotu otoczoną ciemnozłotymi lokami twarz i machała ręką w jej stronę. — Mądre mają jakieś spotkanie w głębi obozu, wszystkie są na nim, nam zaś dały dzień wolny. Cały dzień. — Był to luksus, na jaki rzadko im pozwalano i Egwene nie potrafiłaby zeń zrezygnować.

Wewnątrz namiotu na poduszkach leżały wygodnie kobiety i czytały przy świetle olejowych lampek — wejście było zasłonięte, aby kurz nie dostawał się do środka, tym samym więc światła było w nim niewiele — albo siedziały, zajęte szyciem. cerowaniem bądź haftem. Dwie bawiły się w „kocią kołyskę”. Słychać było gwar rozmów, a na jej widok kilka twarzy rozpromieniło się. Nie wszystkie były uczennicami — z wizytą przyszły również dwie matki i kilka pierwszych siostr. Starsze kobiety miały na sobie tyle biżuterii, co każda z Mądrych. Bluzki były głęboko rozpięte, szale zaś zawiązane wokół talii, chociaż upał, jaki panował we wnętrzu namiotu, zdawał się im w najmniejszej mierze nie dokuczać.

Któryś z *gai'shain* zabrał się za nalewanie herbaty do filiżanek. Coś w jego ruchach zdradzało, że to rzemieślnik, a nie *algai'd'siswai*; jego twarz również wyglądała twardo i nieugięte, jednak w porównaniu z wojownikami Aielów znaczył ją ślad jakiejś delikatności, okazywanie zaś pokory przychodziło mu z mniejszym wysiłkiem. Na czole miał jedną z tych przepasek, które naznaczały *siswai'aman*.



Żadna z kobiet nie spojrzała nawet na niego po raz drugi, chociaż *gai'shain* nie pozwalano nosić nic innego prócz bieli.

Egwene również owinęła swój szal wokół bioder i z wdzięcznością przyjęła miskę z wodą do obmycia twarzy i dłoni, potem odwiązała kilka tasiemek bluzki, wreszcie zajęła czerwoną poduszkę ze złotymi frędzlami między Surandhą a Estair, rudowłosą uczennicą Aeron.

— W jakiej sprawie Mądre zwołały naradę? — Zapytała, mimo że jej myśli wcale nie krążyły wokół Mądrych. Nie miała zamiaru całkowicie zrezygnować z odwiedzania miasta, przystała na to, by każdego ranka zaglądać do „Długiego człowieka”, sprawdzać, czy Gawyn przypadkiem nie czeka na nią w środku, mimo że uśmiezek, jaki widziała na twarzy grubej karczmarki, przyprawiał ją każdorazowo o rumieniec... Światłość jedna wiedziała, co tamta musiała sobie pomyśleć!... Jednak z pewnością należało zaprzestać prób podsłuchiwania pod pałacem lady Arilyn. Po tym, jak już pożegnała się z Gawynem, podeszła dość wystarczająco blisko by wyczuć, że w środku kobiety dalej przenosiły Moc, ale wystarczyło jedno spojrzenie zza rogu, by natychmiast uciekła. Stała tak blisko, że nie mogła się pozbyć nieprzyjemnego uczucia, że w każdej chwili za jej plecami może pojawić się Nesune. — Czy któraś to wie?

— Chodzi oczywiście o twoje siostry — zaśmiała się Surandha. Miała wielkie, błękitne oczy, a kiedy się śmiała, była naprawdę piękna. Miała kilka lat więcej od Egwene i potrafiła przenosić równie silnie jak wiele Aes Sedai, z utęsknieniem też oczekiwała już chwili, gdy wolno jej będzie samej wybrać sobie siedzibę. A tymczasem musiała tańczyć tak, jak zagrała jej Sorilea. — Cóż innego mogłoby je skłonić do takiego pośpiechu, jakby przed chwilą usiadły właśnie na cierniach segada?

— Powinnyśmy wysłać Sorileę na rozmowy z nimi — stwierdziła Egwene, biorąc z rąk *gai'shain* herbatę w ozdobionej niebieskimi paskami filiżance. Gawyn, w trakcie opowieści o tym, jak to jego Młodzi zostali upchnięci do wszystkich sypialń nie zajętych przez Aes Sedai, podczas gdy pozostali musieli spać w stajniach, zdradził mimo woli, że w pałacu nie było wolnych izb nawet dla pomocy, oraz że Aes Sedai żadnych takich miejsc nie przewidywały. To były dobre wieści. — Sorilea zdolna jest sprawić, że dowolna liczba Aes Sedai będzie siedziała prosto. — Surandha aż odchyliła do tyłu głowę, zanosząc się śmiechem.

Uśmiech na twarzy Estair był ledwie widoczny, a jej wyraz twarzy zdradzał niejakie oburzenie. Szczupła, młoda kobieta z poważnymi, szarymi oczyma zawsze zachowywała się w taki sposób, jakby Mądre ją właśnie obserwowały. Egwene nigdy nie przestawało zdumiewać, że Sorilea mogła mieć tak roześmianą uczennicę, podczas gdy Aeron, zawsze miła i pogodna, która nigdy nikomu nie dokuczała, miała taką, która zdawała się wręcz poszukiwać kolejnych reguł, którym należało się podporządkować.

— Ja sądzę, że to chodzi o *Car'a'carna* — oznajmiła Estair najbardziej ponu-

rzym z tonów.

— Dlaczego tak myślisz? — zapytała nieobecny głosem Egwene. Nie wiedziała innego wyjścia, jak całkowicie zrezygnować z wypraw do miasta. Wyjawszy spotkania z Gawynem, oczywiście; niezależnie od tego, ile ją kosztowało przyznanie się przed sobą, że nie odwoła spotkań z nim dla przyczyny mniej istotnej niżli Nesune oczekująca w „Długim człowieku”. Oznaczało to jednak powrót do praktyki spacerów wokół murów miasta, w chmurach kurzu. Ten ranek stanowił wyjątek, nie miała jednak najmniejszego zamiaru dawać Mądrym powodów dla dalszego odmawiania jej wstępu do *Tel'aran'rhiod*. Dzisiejszej nocy same jeszcze spotkają się z Aes Sedai z Salidaru, jednak za siedem nocy ona będzie już wśród nich. — O co tym razem chodzi?

— Nie słyszałaś? — wykrzyknęła Surandha.

Za dwa, trzy dni będzie mogła spotkać się już z Nynaeve i Elayne albo przynajmniej nawiedzać je w ich snach. Spróbować z nimi porozmawiać w każdym razie; nigdy nie można było mieć absolutnej pewności, że osoba, z którą się w ten sposób nawiązywało kontakt, nie uzna tego wyłącznie za zwykły sen. Chyba, że wcześniej nawykła do komunikowania się taką drogą, co jednak z pewnością nie odnosiło się do Nynaeve i Elayne. Jak dotąd zdarzyło im się to przecież tylko raz. W każdym razie na myśl, że w ogóle miałyby starać się je znaleźć, poczuła niepokój. Jak przez mgłę przypomniawszy sobie dręczący ją koszmar: za każdym razem, gdy któraś z tamtych wypowiadała słowo, wszystkie się potykały i przewracały, upuszczały filiżankę bądź talerz, czy też kopnięciem potraçały wazon; za każdym razem było to coś, co roztrzaskiwało się od uderzenia o ziemię. Od czasu gdy poprawnie udało jej się zinterpretować sen o Gawynie, zostającym jej Strażnikiem, próbowała tego również w przypadku innych snów. Jak dotąd te usiłowania nie zaowocowały powodzeniem, z pewnością jednak tamten koszmar musiał mieć określone znaczenie. Być może zrobi lepiej, jeśli po prostu zaczeka do następnego spotkania i zapyta je wprost. A poza tym zawsze jeszcze istniała możliwość, że wpadnie ponownie do snu Gawyna, że zostanie przezeń pochwycona. Na samą myśl pokraśniały jej policzki.

— *Car'a'carn* wrócił — wyjaśniła Estair. — Ma się spotkać z twoimi siostrami dziś po południu.

Wszystkie myśli na temat Gawyna i jego snów pierzchły, Egwene zmarszczyła czoło i wbiła wzrok w filiżankę. To już drugi raz w ciągu dziesięciu dni. Tak szybki powrót był czymś niezwykłym w jego przypadku. Dlaczego teraz to zrobił? Czy w jakiś sposób dowiedział się o tych Aes Sedai z Wieży? W jaki? I tak, jak to się zwykle działo, kiedy o tym myślała, same jego Podróże budziły w jej umyśle mnóstwo kolejnych pytań. W jakiz sposób on potrafił tego dokonać?

— W jaki sposób czego potrafił dokonać? — zapytała Estair, zaś Egwene aż zamrugnęła, zaskoczona tym, że znowu myślała na głos.

— W jaki sposób dało mu się tak łatwo spowodować, że ścisnęło mnie w żo-

ładku?

Surandha pokręciła głową ze współczuciem, ale ona również się uśmiechnęła.

— On jest mężczyzną, Egwene.

— On jest *Car'a'carnem* — dodała Estair, z naciskiem wymawiając ostatnie słowo, a w jej głosie było coś więcej niż tylko szczypta szacunku. Egwene nie byłaby tak znowu całkiem zaskoczona, gdyby zobaczyła, że tamta w pewnym momencie sama również zawinie sobie wokół głowy ten idiotyczny kawałek szmatki.

Surandha natychmiast zaczęła kpić z Estair, powątpiewając, czy tamta kiedykolwiek będzie w stanie poradzić sobie z wodzem siedziby, a co dopiero z wodzem szczepu bądź klanu, skoro nie rozumie, że mężczyzna nie przestaje być mężczyzną tylko dlatego, że zostaje przywódcą, natomiast Estair upierała się twardo, że jednak w przypadku *Car'a'carna* cała sprawa ma się zupełnie inaczej. Jedna ze starszych kobiet, Mera, która przysłała tutaj specjalnie po to, żeby zobaczyć się ze swoją córką, pochyliła się w ich stronę i wyjaśniła, że sposób na poradzenie sobie z dowolnym wodzem — siedziby, szczepu, klanu, czy nawet z samym *Car'a'carnem* — jest dokładnie taki sam, jak sposób na radzenie sobie z mężem. To z kolei wywołało śmiech Baerin, także przybyłej z wizytą do córki, oraz komentarz z jej ust, że faktycznie jest to najlepszy sposób na to, aby pani dachu złożyła u twoich stóp swój nóż, co w istocie równa się deklaracji waśni. Baerin była Panną, zanim wyszła za mąż, jednak u Aielów każdy mógł zadeklarować swą wrogość względem każdego, wyjątek stanowiły Mądre i kowale. Zanim Mera skończyła mówić, już do sprzeczki dołączyły wszystkie pozostałe, z wyjątkiem *gai'shain* oczywiście, które rzuciły się na biedną Estair — *Car'a'carn* to tylko wódz pośród wodzów, co do tego nie ma wątpliwości — kłótnia dotyczyła jednak tego, czy lepiej próbować dać sobie radę z wodzem samodzielnie, czy szukać pośrednictwa jego pani dachu.

Egwene niewiele przykładała do tego wagi. Z pewnością Rand nie zrobi nic głupiego. Wyraził przecież stosowne wątpliwości odnośnie listu Elaidy... niemniej jednak uwierzył w ten, który napisała Alviarin, a który nie tylko był znacznie bardziej serdeczny, lecz wręcz otwarcie służalczy. Sądził, że posiada przyjaciółki, a nawet zwolenniczki w samej Wieży. Ona tak nie sądziła. Była przekonana, że Elaida i Alviarin napisały ten drugi list wspólnie, co do ostatniej litery, wraz z tym idiotycznym sformułowaniem o „klękaniu w jego świetlistości”. I że to wszystko stanowi element spisku, którego celem jest zwabienie go do Wieży.

Spojrzała z żalem na swoje dłonie, westchnęła i odstawiła filiżankę. *Gai'shain* pochwyił ją, zanim zdążyła cofnąć rękę.

— Muszę już iść — zwróciła się do obu uczennic. — Naprawdę mam jeszcze coś do zrobienia.

Surandha i Estair podniosły wrzawę, że pójdą razem z nią cóż, z pewnością było to szczerze; Aielowie nigdy nie składali żadnych propozycji jedynie grzez-

nościowo — ale wciągnęła je tocząca się dyskusja i nie upierały się, gdy nalegała, żeby zostały. Owinęła ponownie szal wokół głowy i niebawem gwar ich głosów ścichł w oddali — Mera pouczała Estair, tonem pozbawionym śladu wahania, że ostatecznie tamta może sobie zostać Mądrą, póki jednak nie będzie w stanie nauczyć się słuchać kobiety, która zdobyła męża i wychowała trzy córki oraz dwu synów bez żadnej siostry żony do pomocy... — zanurzyła się w unoszony podmuchami wiatru kurz.

W mieście próbowała przekradać się przez zatłoczone ulice w taki sposób, aby to wcale tak nie wyglądało, usiłowała rozglądać się równocześnie we wszystkie strony naraz, sprawiając wrażenie, iż interesuje ją jedynie cel przechadzki. Szanse natknięcia się wprost na Nesune były niewielkie, ale... Przed nią dwie kobiety w skromnych sukniach i sztywno wykrochmalonych fartuchach próbowały właśnie się wyminąć, ale obie zboczyły w tę samą stronę i w efekcie wpadły na siebie. Wymamrotały przeprosiny i znowu próbowały zejść sobie z drogi. I ponownie ruszyły w tę samą stronę. Wygłosiły kolejne przeprosiny, a potem, jak w tańcu, wykonały identyczny manewr. Kiedy Egwene przechodziła obok nich, wciąż daremnie starały się jakoś wyminąć, dokładnie naśladowując swoje ruchy. Twarze ich zaczynał już pokrywać rumieniec, przeprosiny zaś mamrotały zaciśnięte ponuro usta. Ten epizod dał jej do myślenia. Światłości, kiedy Rand był w okolicy, wcale nie było takie nieprawdopodobne, że oto zaraz wpadnie na wszystkie sześć Aes Sedai, a równocześnie podmuch wiatru zerwie jej szal z twarzy, zaś troje ludzi naraz wykrzyknie jej imię, dodatkowo tytułując ją Aes Sedai. Kiedy przebywało się w pobliżu Randa, możliwość natknięcia się nawet na samą Elaidę nie była wcale taka mało prawdopodobna.

Pośpieszyła naprzód, z każdym krokiem coraz bardziej obawiając się, że zostanie pochwycona w jedno z tych zawirowań Wzoru, które roztaczał wokół siebie jako *ta'veren*, z każdą chwilą coraz bardziej przerażona. Na szczęście, widząc rozszerzone oczy i ukrytą pod szalem twarz Aiela — czy ci ludzie mieli choćby blade pojęcie, czym różni się szal od zasłony? — przechodnie schodzili jej z drogi, co pozwalało poruszać się naprzód prawie truchtem. Nie pozwoliła sobie jednak na krótką choćby chwilę odprężenia, póki nie weszła do Pałacu Słońca przez tylne drzwi dla służby.

W wąskim korytarzu zalegał silny zapach gotowanej stawy; gdzie nie spojrzeć we wszystkie strony śpieszyli mężczyźni i kobiety w liberiach. Byli tam też tacy, którzy odpoczywali z podwiniętymi rękawami, wachlując się fartuchami; ci patrzyli na nią ze zdziwieniem. Jakby co najmniej od roku nikt prócz służących nie zbliżał się do kuchni. A już z pewnością nie jakiś Aiel. Spoglądali na nią w taki sposób, jakby spodziewali się, że w każdej chwili może wyciągnąć włócznię spod spódnic.

Wycelowała palec w stronę tłustawego, niskiego człowieczka, który właśnie ocierał kark chustką.

— Czy wiesz, gdzie przebywa Rand al'Thor?

Wzdrygnął się, potoczył spojrzeniem po swych towarzyszach, którzy jednak szybko się ulotnili. Zaszurał nogami, najwyraźniej gotów iść w ich ślady.

— Lord Smok, mhm. . . W swoich komnatach. Tak w każdym razie przypuszczam. — Kłaniając się, próbował umknąć na bok. — Jeśli panienka. . . hmm. . . jeśli pani wybaczy, muszę wrócić do moich. . .

— Zaprowadzisz mnie tam — oznajmiła zdecydowanie. Tym razem nie miała czasu na błąkanie się i szukanie drogi.

Po raz ostatni przewrócił oczami, zerknął na swoich oddalających się przyjaciół, stłumił westchnienie, szybko spojrzął na nią spode łba, czy przypadkiem się nie obraziła, a potem pomknął przywdziać kaftan. Znakomicie orientował się w labiryncie pałacowych korytarzy, śpieszył naprzód i ukłonem wskazywał jej drogę przy kolejnych zakrętach, kiedy jednak po raz ostatni pochylił się uniesienie w kierunku wysokich drzwi z inkrustowanymi wschodzącymi słońcami, których strzegły Panny i jeden mężczyzna Aiel, i kiedy pozwoliła mu już odejść, dostrzegła na jego twarzy przelotny błysk pogardy. Nie potrafiła tego zrozumieć; przecież robił to, za co mu płacono.

Aiel wstał, kiedy podeszła do drzwi. Był wysokim mężczyzną w średnim wieku, z klatką piersiową i ramionami jak u byka oraz zimnymi szarymi oczami; Egwene go nie знаła. Najwyraźniej chciał zagrozić jej drogę. Na szczęście twarz Panny była znajoma.

— Pozwól jej przejść, Maric — powiedziała Somara, uśmiechając się. — To uczennica Amys, Bair i Melaine, jedyna, o ile mi wiadomo, uczennica służąca trzem jednocześnie Mądrym. A jej wygląd wskazuje na to, że kazały jej biegiem zanieść jakieś, nieprzyjemne słowa dla Randa al'Thora.

— Biegiem? — Chichot Marica nie zdołał złagodzić ani jego rysów, ani wyrazu oczu. — Wygląda raczej jakby pełzła. — Powrócił do obserwacji korytarza.

Egwene nie musiała pytać, co właściwie miał na myśli. Wyciągnęła swoją chusteczkę z sakwy przy pasie, pośpiesznie otarła twarz; kiedy jesteś brudna, nikt nie potraktuje cię poważnie, a Rand musiał jej wysłuchać.

— W każdym razie są to ważne wieści, Somaro. Mam nadzieję, że jest sam. Aes Sedai jeszcze nie przybyły? — Popatrzyła na zupełnie szarą chusteczkę i z westchnieniem wsunęła ją do sakwy.

Somara pokręciła głową.

— Jeszcze dużo czasu do godziny, na którą zostały umówione. Powiesz mu, żeby był ostrożny? Nie chcę w niczym obrazić twoich sióstr, ale on jest taki nieostrożny i taki uparty.

— Powiem mu. — Egwene nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Słyszała już wcześniej, jak Somara mówi takie rzeczy, z rodzajem przesadnej dumy, jaką odczuwać może matka względem nazbyt żywego dziecka w wieku jakichś dziesięciu lat, słyszała też jak podobnie o Randzie wyrażały się inne Panny. Musiał być to

znowu rodzaj Aielowego żartu, a nawet jeśli nie potrafiła go zrozumieć, rada była wszystkiemu, co sprzyjało osłabieniu jego pychy. — Powiem mu także, żeby umył sobie uszy. — Somara przytaknęła, nim się połapała, co właściwie robi. Egwene zrobiła głęboki wdech. — Somara, moje siostry nie mogą się dowiedzieć, że jestem tutaj. — Maric zerknął na nią z ciekawością, w przerwie między przyglądaniem się twarzy każdego ze służących, którzy się kręcili po korytarzu. Musiała być naprawdę ostrożna. — Nie stanowimy jedności, Somara. Tak naprawdę, to można rzec, iż jesteśmy sobie tak dalekie, jak tylko siostry mogą być.

— Najgorsze właśnie przydarzają się między pierwszymi siostrami — stwierdziła Somara, skinąwszy głową. — Wejdz do środka. Ode mnie nie usłyszysz twego imienia, a jeśli Maric będzie chlapał ozorem, to zawiążę mu go w supeł. — Maric, któremu sięgała tylko do piersi i który ważył przynajmniej dwa razy więcej, uśmiechnął się tylko nieznacznie i nawet na nią nie spojrzał.

Zwyczaj Pani, które pozwalały jej wchodzić do komnat Randa bez wcześniejszego anonsu, niejednokrotnie już w przeszłości doprowadził do kłopotliwych sytuacji, tym razem jednak Rand nie siedział w wannie. Komnaty, które zajmował, musiały uprzednio należeć do króla, zaś przedpokój stanowił miniaturę sali tronowej. Faliste promienie złotych słońc, długie na całą piędź lśniły w wypolerowanej, kamiennej posadzce i stanowiły jedyne miękkie linie w zasięgu wzroku. Wysokie lustra w surowych, złotych ramach wisały na ścianach pod szerokimi, prostymi pasami złocień, zaś wystający gzyms wykonano ze złotych trójkątów zachodzących na siebie niczym łuski. Bogato złoczone fotele stojące po obu stronach wschodzącego słońca stały względem siebie idealnie równolegle, tak prosto, jak proste były ich wysokie oparcia. Rand zaś siedział w dwakroć bardziej okazałym fotelu, o dwukrotnie wyższym oparciu, stojącym na niewielkim podwyższeniu, które również było pokryte złotem. Ubrany w czerwony, jedwabny, haftowany kaftan, w zagięciu łokcia trzymał seanchańską włócznię; na jego twarzy zastygł ponury grymas. Wyglądał jak król, i to taki, który właśnie ma wydać na kogoś wyrok śmierci.

Wsparła dłonie na biodrach.

— Somara mówi, że masz natychmiast umyć uszy, młody człowieku — powiedziała, a on poderwał się z miejsca.

Zaskoczenie i gniew na jego twarzy ukazały się tylko przez króciutki moment. Uśmiechnął się i zszedł z podwyższenia, wsparłszy kikut włóczni o siedzisko fotela.

— A cóż ty, na Światłość, wyprawiałaś z sobą? — Przeszedł przez całą długość komnaty, ujął ją za ramiona i odwrócił jej twarz do najbliższego z luster.

Wbrew samej sobie aż zamrugła oczami. Naprawdę wyglądała dość osobliwie. Kurz, który przeniknął przez jej szal — nie, teraz to była już glina, odkąd kurz wymieszał się z potem układał się na policzkach w smugi, zaś na czole, gdzie próbowała go zetrzeć, w koliste kręgi.

— Powiem Somarze, żeby posłała po wodę — oznajmił wesoło. — Być może uzna, że to do moich uszu. — Ten uśmiech na jego twarzy był doprawdy nieznośny!

— Nie ma potrzeby — odrzekła z taką godnością, na jaką tylko było ją stać. Nie miała zamiaru pozwolić, by stał tak tutaj i patrzył, jak ona się myje. Wyciągnęła już i tak szarą chusteczkę, zaczęła czyścić najgorsze plamy. — Wkrótce masz się spotkać z Coiren i pozostałymi. Nie muszę cię chyba ostrzegać, że są niebezpieczne, nieprawdaż?

— Sądzę, że właśnie to zrobiłaś. Nie ze wszystkimi mam się spotkać. Powiedziałem im, że przyjmę tylko trzech, a więc tyle też wysyłają. — Obserwując jego postać w lustrze, zauważyła, że przekrzywił głowę, jakby czegoś słuchał, a potem skinął i zniżył głos do szeptu. — Tak, jestem w stanie poradzić sobie z trzema, jeżeli nie będą zbyt silne. — Nagle zauważył jej spojrzenie. — Oczywiście, gdyby jedną z nich była Moghedien w peruce albo Semirhage, wówczas mógłbym mieć kłopoty.

— Rand, nie wolno ci tego bagatelizować. — Chusteczka nie na wiele się przydała. Splunęła na nią z najwyższą niechęcią; nie istniał żaden w miarę godny sposób splunięcia na chusteczkę. — Ja wiem, jaki jesteś silny, jednak to są Aes Sedai. Nie możesz traktować ich tak, jakby to były jakieś wieśniaczki. Nawet jeśli sądzisz, że Alviarin naprawdę uklęknie u twych stóp, a wszystkie jej przyjaciółki razem z nią, to te, z którymi masz się spotkać, zostały wysłane przez Elaide. Nie możesz podejrzewać jej o nic innego, jak tylko o to, że będzie próbowała wziąć cię na smycz. Wniosek z tego jest prosty: powinieneś je odesłać.

— I zaufać twoim ukrywającym się przyjaciółkom? — zapytał cicho. O wiele za cicho.

Z twarzą nic się nie dawało zrobić; powinna była pozwolić mu posłać po wodę. Teraz jednak nie mogła o to poprosić, skoro wcześniej odmówiła.

— Wiesz, że nie możesz ufać Elaizie — powiedziała ostrożnie, zwracając się do niego. Pamiętając o tym, co zdarzyło się ostatnim razem, nie chciała nawet wspominać o Aes Sedai przebywających w Salidarze. — Wiesz o tym.

— Nie ufam żadnej Aes Sedai. One... — w jego głosie zabrzmiało wahanie, jakby już chciał wypowiedzieć jakieś inne słowo, a potem nagle zrezygnował, chociaż nie potrafiła sobie wyobrazić, co to mogło być. — Będą próbowały mnie wykorzystać, ale to ja wykorzystam je. Piękne koło, nie sądzisz? — Jeżeli nawet kiedykolwiek rozważała możliwość zdradzenia mu, gdzie przebywają Aes Sedai z Salidaru, wyraz jego oczu rozwiął w niej wszelkie wątpliwości; był taki twardy, taki zimny, że aż cała zadrżała w środku.

Być może, jeśli dostatecznie się rozzłości, jeżeli wystarczająco często ścierać się będzie z Coiren, poselstwo powróci do Wieży z pustymi rękami, wioząc ze sobą tylko to, co stamtąd zabrało... .

— Jeżeli uważasz, że tak jest ładnie, to zapewne masz rację; ty jesteś Smokiem

Odrodzonym. Cóż, ponieważ zamierzasz przejść przez to wszystko, od początku do końca, równie dobrze możesz postąpić wedle swego mniemania. Pamiętaj tylko, że one są Aes Sedai. Nawet król słucha Aes Sedai z szacunkiem, nawet jeśli nie zgadza się z nimi, i wyprawia się do Tar Valon tego samego dnia, kiedy go wzywają. Nawet taireniańscy Wysocy Lordowie postąpiliby tak, nawet Pedron Niall. — Ten głupi mężczyzna znowu się do niej uśmiechnął, czy raczej wykrzywił usta w czymś na kształt uśmiechu, ale reszta jego twarzy pozostała niewzruszona niczym skała w nurcie rzeki. — Mam nadzieję, że słuchasz tego, co mówię. Próbuje ci pomóc. — Tylko, że nie w taki sposób, jak on sobie wyobrażał. — Jeżeli zamierzasz je wykorzystać, to nie możesz sprawić, by jeżyły się niczym rozłoszczone kotki. Smok Odrodzony nie wyrze na nich większego wrażenia niżli na mnie, z tymi twoimi świetnymi kaftanami, tronami i głupim berłem. — Obrzuciła ponurym spojrzeniem włócznię opartą o krzesło; Światłości, na widok tego przedmiotu ciarki jej chodziły po skórze! — Na pewno nie padną przed tobą na kolana, a ty nie umrzesz, gdy to nie nastąpi. Nie umrzesz również, kiedy będziesz musiał okazać im odrobinę grzeczności. Zegnij swój uparty kark. Nie ma nic upadającego w okazaniu stosownego szacunku, odrobiny pokory.

— Stosowny szacunek — powtórzył z namysłem. Westchnął i ponuro pokręcił głową, potem przecesał dłonią włosy. — Przypuszczam, że nie mogę mówić do Aes Sedai w taki sam sposób, w jaki zwracam się do wszystkich tych lordów, którzy knują za moimi plecami. To dobra rada, Egwene. Spróbuję. Będę pokorny jak baranek.

Starając się nie zdradzać nadmiernego pośpiechu, znowu potarła twarz chusteczką, tym razem żeby zamaskować zdumienie. Naprawdę nie była pewna, czy nie wybałuszyła oczu, słysząc jego słowa uznała jednak, że jest to bardzo prawdopodobne. Przez całe swe życie, kiedy upierała się, że droga w prawo wiedzie do celu, on zadzierał podbródek i nalegał, by udać się w lewo! Dlaczego teraz miałby jej posłuchać?

Ale czy z tego wyniknie coś dobrego? Z pewnością nic mu się nie stanie, jeśli okaże odrobinę szacunku. Nawet jeśli tamte były zwolenniczkami Elaidy, sama myśl, że ktoś mógłby obrazić Aes Sedai, budziła w niej zdenerwowanie. Tylko, że tak naprawdę to chciała, żeby okazał się wobec nich impertynencki, żeby był tak arogancki, jak tylko potrafi. Nie było jednak najmniejszego sensu próbować teraz wszystkiego odwracać, już za późno; nie był przecież upośledzony na umyśle. Tyle, że nieco przesadził.

— Czy to wszystko, z czym do mnie przyszedłeś?

Nie mogła jeszcze odejść. Być może istniała szansa, że sprawy ułożą się po jej myśli, albo przynajmniej, że ten wełnianogłowy idiota nie okaże się na tyle głupi, aby pojechać z nimi do Tar Valon.

— Czy wiesz, że Mistrzynie Żeglugi Ludu Morza czeka na statku na rzece? Statek nazywa się „Biała Piana”. — Była to równie dobra zmiana tematu jak każ-



da inna. — Przybyła, aby się z tobą zobaczyć, słyszałam też, że powoli już się niecierpliwi. Tę wiadomość uzyskała od Gawyna. Erian osobiście udała się na nabrzeże, żeby się dowiedzieć, co robi statek Ludu Morza tak daleko w głębi łądu, ale odmówiono jej pozwolenia wejścia na pokład. Wróciła w nastroju, który można by nazwać skrajną wściekłością u każdej kobiety, która nie byłaby Aes Sedai. Egwene miała swoje podejrzenia, odnośnie celu wizyty A'than Miere, nie zamierzała jednak dzielić się nimi z Randem; niech choć raz spotka się z kimś, nie oczekując z góry, że tamten ugnie przed nim kolana.

— Atha'an Miere są wszędzie, jak się zdaje. — Rand usiadł na jednym z krzesel; z jakiegoś powodu wydawał się rozbawiony, ale mogłaby przysiąc, że nie ma to nic wspólnego z Ludem Morza. — Berelain twierdzi, że powinienem się spotkać z tą Harine din Togara Dwa Wiatry, ale jeżeli ona ma taki charakter, jak donoszą raporty Berelain, to może sobie jeszcze poczekać. W obecnej chwili mam w swoim otoczeniu dosyć wściekłych na mnie kobiet.

W tym momencie mogła już właściwie powiedzieć to, co zamierzała, ale jeszcze nie do końca.

— Nie potrafię zrozumieć, dlaczego. Ty zawsze potrafiłeś zachowywać się w taki sposób, żeby zapewnić sobie przewagę. — Pragnęła cofnąć te słowa już w momencie gdy je wypowiedziała; popychały go jedynie w kierunku, w którym nie chciała, aby podążył.

Zmarszczył czoło, zdawał się w ogóle nie słuchać.

— Egwene, wiem, że nie lubisz Berelain, ale nie posunęłaś się w tej sprawie poza samą tylko niechęć, czy tak? Chodzi mi o to, że tak znakomicie wywiązujesz się ze swej roli Aiela, iż potrafiłbym sobie niemalże wyobrazić, jak proponujesz jej taniec włóczni. Ona martwi się czymś, jest niespokojna, ale nie chce powiedzieć o co chodzi.

Zapewne ta kobieta znalazła sobie wreszcie mężczyznę, który powiedział jej „nie”; tego bez wątplenia byłoby aż nadto, żeby wstrząsnąć fundamentami świata Berelain.

— Nie zamieniłam z nią nawet dziesięciu słów od czasu Kamienia Łzy, a również i tam tego typu konwersacji nie uznawałam za szczyt szczęścia. Rand, czy nie uważasz...

Jedne z drzwi uchylły się na tyle tylko, by mogła wejść przez nie Somara, natychmiast zresztą zatrzasnęła je za sobą.

— Aes Sedai już tu są, *Car'a'carnie*.

Rand szybko spojrział w kierunku drzwi, jego twarz stężała, jakby była wykuta z kamienia.

— Miały przyjść dopiero za...! Wydaje im się, że przyłapią mnie nie przygotowanego, nieprawdaż? Muszą się wreszcie nauczyć, kto tutaj ustala reguły.

W tej chwili Egwene nie dbała o nic; mogły go przyłapywać nawet w samej bieliźnie. Wszystkie myśli dotyczące Berelain natychmiast się gdzieś ulot-

niły. Somara wykonała nieznaczny gest, który można było odczytać jako wyraz współczucia. Ona również o to nie dbała. Rand mógł nie dopuścić, żeby ją zabrały, gdyby tylko poprosiła. Ale oznaczało to, że będzie musiała trzymać się od tej chwili blisko niego, aby nie mogły oddzielić jej tarczą od Źródła i porwać natchmiast, gdy tylko wytknie nos na ulicę. Oznaczało to, że będzie musiała uciec się pod jego opiekę. Wybór między tą możliwością a podróżą w worku do Wieży był tak trudny, że ze zdenerwowania niemalże rozboleł ją żołądek. Po pierwsze, nigdy nie zostanie Aes Sedai, jeśli będzie się cały czas chować za jego plecami, po drugie zaś, myśl o podobnej zależności od kogokolwiek sprawiała, że miała ochotę zgrzytać zębami. Tylko, że one już tu były, stały za tymi drzwiami, więc za godzinę może znaleźć się w drodze do Wieży, zapakowana w worek. Głębokie, powolne oddechy nie przywróciły jej spokoju.

— Rand, czy jest stąd jakieś inne wyjście? Jeżeli nie ma, schowam się w którymś z pozostałych pomieszczeń. Nie mogą się dowiedzieć, że tutaj jestem. Rand? Rand! Czy ty mnie słuchasz?

Przemówił, ale z pewnością nie kierował swoich słów do niej.

— Jesteś tutaj — wyszeptał ochryple. — Zbyt wielki byłby to zbieg okoliczności, byś mógł teraz właśnie o tym myśleć. — Wpatrywał się w przestrzeń, a na jego twarzy zastygł wyraz wściekłości, a może lęku. — Żebyś szczeł, odpowiedz mi! Wiem, że tam jesteś!

Egwene nie pohamowała się i oblizwała wargi. Somara patrzyła na niego w sposób, który można by opisać jako czułą, macierzyńską troskę, jednak Egwene czuła, jak powoli wszystko przewraca jej się w żołądku. Przecież nie mógł oszaleć tak w jednej chwili. To niemożliwe. Ale zdawał się być wsłuchany w jakiś ukryty głos, być może nawet doń przemawiał!

Nie pamiętała nawet, w jaki sposób przebyła dzielącą ich przestrzeń, jednak nagle trzymała już dłoń przyciśniętą do jego czoła. Nynaeve zawsze kazała najpierw sprawdzać gorączkę, chociaż na co mogło się to teraz zdać... Gdyby tylko poznała więcej niżli tych kilka okruchów wiedzy na temat Uzdrawiania... Ale z tego także nic by nie przyszło. Nie, jeśli on miał...

— Rand, czy ty...? Czy ty się dobrze czujesz?

Doszedł wreszcie do siebie, uchylił się przed dotknięciem jej dłoni, spojrzał na nią podejrzliwie. W następnej chwili stał już na nogach, ściskając jej ramię, niemalże zawlókł ją w głąb komnaty, tak szybko, że prawie potykała się o swoje spódnice, próbując dotrzymać mu kroku.

— Stań tutaj — rozkazał żywo, ustawiając ją za podwyższeniem, a potem zawrócił.

Demonstracyjnie rozcierając ramię, ruszyła za nim. Mężczyźni nigdy nie zdawali sobie sprawy z tego, jacy są silni, nawet Gawyn nie zawsze o tym pamiętał, chociaż akurat w jego przypadku nie przeszkadzało jej to w najmniejszej mierze.

— Co ty sobie wyobrażasz...?

— Nie ruszaj się! — Powiedział tonem pełnym niesmaku. — A żeby sześć; to się chyba marszczy, kiedy się poruszasz. Przymocuję to do posadzki, ale pamiętaj: nie możesz wykonywać gwałtownych ruchów. Nie wiem, jakie duże uda mi się zrobić, a teraz nie pora, żeby to sprawdzać. — Somara szeroko otworzyła usta, jednak natychmiast je zamknęła.

Co przymocować do posadzki? O czym on mówi? Zrozumiała wszystko tak nagle, że aż zupełnie wypadło jej z głowy pytanie, kim jest ów „on”. Rand oplół ją *saidinem*. Jej oczy rozszerzyły się, oddech przyśpieszył, ale nie potrafiła na to nic poradzić. Jak blisko niej znajdowała się sieć? Każda racjonalna myśl przekonywała ją, że skaza nie przesaczy się przecież przez to, co przeniósł, wcześniej już zdarzyło mu się dotknąć ją przecież *saidinem*, ale ta myśl zamiast pomóc, sprawiła, iż poczuła się jeszcze gorzej. Instynktownie skuliła ramiona i zebrała ciasno spódnice.

— Co...? Co ty zrobiłeś? — Miała powody, by być dumna z siebie; jej głos był może odrobinę niepewny, jednak w niczym nie przypominał skowytu, jaki obawiała się z siebie wydać.

— Spójrz w to lustro — zaśmiał się. Zaśmiał!

Niechętnie posłuchała... i aż zaparło jej dech. W srebrnym szkle zwierciadła widać było połączone krzesło stojące na podwyższeniu. Część komnaty. Ale jej samej nie było.

— Jestem... niewidzialna — wyszeptwała. Pewnego razu Moiraine ukryła ich wszystkich za zasłoną z *saidara*, ale w jaki sposób on się tego nauczył?

— To znacznie lepsze, niżli ukrywać, się pod moim łóżkiem — powiedział, kierując swe słowa do pustej przestrzeni gdzieś w odległości stopy od jej głowy. Jakby w ogóle mogła wpaść na taki pomysł! — Chcę, żebyś na własne oczy zobaczyła, z jakim szacunkiem potrafię się do nich odnosić. Poza tym... — Ton jego głosu stał się bardziej poważny — ... być może tobie uda się wyłapać coś, co ujdzie mojej uwagi. Być może nawet zechcesz mi o tym powiedzieć. — Wybuchnął śmiechem, wskoczył na podwyższenie, porwał opartą o fotel włócznię i sam zajął w nim miejsce. — Wpuść je, Somara. Niech poselstwo Białej Wieży stanie przed Smokiem Odrodzonym. — Jego krzywy uśmiech sprawił, że Egwene zrobiło się równie nieprzyjemnie jak przedtem w bliskości *saidina*. Gdzie znajdowała się w tej chwili ta przeklęta rzecz?

Somara zniknęła, a po chwili drzwi otworzyły się szeroko.

Pierwsza szła pulchna, stateczna kobieta, którą mogła być jedynie Coiren, odziana w ciemnoniebieską szatę; tuż za nią kroczyła Nesune w prostych, brązowych wełnach oraz kruczowłosa Aes Sedai w zielonych jedwabkach, urodziwa kobieta o okrągłej twarzy i wydętych ustach. Egwene wiedziała, że Aes Sedai nie zawsze noszą barwy swych Ajah — Białe jednak czyniły tak przy każdej okazji — i była pewna, że ta kobieta nie należała, do Zielonych. Świadczyło o tym także ciężkie spojrzenie, jakim obrzuciła Randa zaraz po wejściu do komnaty. Chłod-

na uprzejmość ledwie maskowała pogardę; mogła oszukać tylko tych, którzy nie byli obeznani ze sposobem zachowania Aes Sedai. Czy Rand to dostrzega? Być może wcale nie, wydawał się zupełnie skoncentrowany na Coiren, której twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu. Nesune, rzecz jasna, otwarcie rozglądała się dookoła, omiatając spojrzeniem wnętrze komnaty.

Do tej chwili Egwene była całkowicie zadowolona z tego płaszcza niewidzialności, który dla niej uplótł. Zaczęła już ocierać czoło chusteczką, wciąż trzymaną w dłoniach, i w tym momencie zastygła w bezruchu. Powiedział, że przymocuje go do posadzki. Czy tak uczynił? Światłości, być może ona stoi teraz przed nimi zupełnie obnażona, a nie było sposobu, żeby to sprawdzić. A jednak spojrzenie Nesune prześlizgnęło się przez nią, nie zatrzymując nawet na chwilę. Po twarzy Egwene spływały strumienie potu. A żeby szczeż! Byłaby doskonale szczęśliwa, gdyby dane jej było ukryć się pod jego łóżkiem.

W ślad za Aes Sedai szło kilkanaście kobiet w pospolitym odzieniu; z ramion zwisały im płaszcze ze zgrzebnego lnu. Większość była dosyć mocno zbudowana, jednak ich grzbiety pochylały się pod ciężarem dwu sporych skrzyń; obejmą z wypolerowanego mosiądzu naznaczone były płomieniem Tar Valon. Zanim jeszcze drzwi zamknęły się na dobre, służące postawiły skrzynie na posadzce, wydając z siebie słyszalne westchnienia ulgi, po czym jeły ukradkiem masować sobie ramiona i plecy, natomiast Coiren i pozostałe dwie kobiety w tym samym dokładnie momencie wykonały ukłony, doskonałe w formie, aczkolwiek nieszczególnie głębokie.

Rand poderwał się ze swojego krzesła, zanim zdążyły się wyprostować. Poświata *saidara* otoczyła Aes Sedai, wszystkie trzy połączyły się w krąg. Egwene próbowała zapamiętać sobie to, co zobaczyła, sposób, w jaki tego dokonały; mimo otaczającej je łuny, nic nie zburzyło ich zewnętrznego spokoju, kiedy Rand je mijał, by podejść kolejno do każdej dziewczki służebnej i zajrzeć jej w twarz.

Co on...? No przecież. Upewniał się, czy oblicze którejś nie ma tego charakterystycznego dla Aes Sedai braku śladów upływu lat. Egwene pokręciła głową, potem ponownie zamarła. Był głupcem, jeśli wydawało mu się, że to wystarczy. Większość była już nazbyt stara — nie całkiem stara, żadną miarą, niemniej ich wieku można się było domyślić — jednak dwie były dość młode, by być Aes Sedai, niedawno wyniesionymi do godności. Nie były nimi Egwene wyczuwała zdolność do przenoszenia jedynie u trzech Aes Sedai, a znajdowała się wystarczająco blisko — z pewnością jednak on nie mógł tego stwierdzić, wyłącznie im się przyglądając.

Uniósł palcami podbródek jednej z potężnie zbudowanych kobiet, potem spojrział jej w oczy i uśmiechnął się.

— Nie bój się — powiedział łagodnie.

Zatoczyła się, jakby zaraz miała zemdleć. Rand westchnął i odwrócił się od niej. Nawet nie spojrział na Aes Sedai, kiedy je mijał. — Nie będziecie przenosić

w mojej obecności — oznajmił zdecydowanie. — Przejdźmy do rzeczy. — Przelotny wyraz namysłu zagościł na twarzy Nesune, jednak dwie pozostałe obserwowały go niewzruszenie, kiedy zajmował miejsce. Pocierając ramiona — Egwene była świadkiem, kiedy się nauczył, co oznacza to mrowienie pod skórą — przemówił znacznie twardszym tonem. — Nie będziecie przenosić w mojej obecności. Nie wolno wam nawet obejmować Źródła.

Zapadła pełna napięcia cisza, podczas której Egwene modliła się bezgłośnie. Co on zrobi, jeśli nie wypuszcza Źródła? Spróbuje je odciąć? Odcięcie kobiety od *saidara*, kiedy już zdążyła go ująć, było znacznie trudniejsze niżli odgradzenie jej od niego, zanim zdołała tego dokonać. Nie była pewna, czy nawet jemu mogłoby się to udać z trzema kobietami naraz, na dodatek jeszcze połączonymi ze sobą. Co gorsza, jaka będzie ich reakcja, gdy on czegoś takiego spróbuje? Wreszcie poświata zniknęła, ona zaś ledwie powstrzymała przemożne westchnienie ulgi. Utkany przez niego płaszcz uczynił ją niewidzialną, jednak nie tłumił dźwięków.

— Znacznie lepiej — uśmiechnął się Rand do nich, jednak jego oczy pozostały chłodne. — Zaczniemy więc od początku. Jesteście szacownymi gośćmi, w tej chwili weszłyście do środka.

Rzecz jasna zrozumiwały. Nie zgadywał. Coiren zeszywniała lekko, a oczy kobiety o kruczych włosach rozszerzyły się nieznacznie. Nesune pokiwała głową do jakichś swoich myśli, rejestrując nowe fakty w swej pamięci. Egwene miała rozpaczliwą nadzieję, że Rand okaże się rozsądny. Nesune z pewnością niczego nie przegapi.

Coiren opanowała się z wyraźnym wysiłkiem, wygładziła suknię i omalże nie poprawiła na ramionach szala, którego wszak tam nie było.

— Mam zaszczyt — oznajmiła dźwięcznym tonem — być Coiren Saeldain Aes Sedai, ambasadorem Białej Wieży i emisariuszką Elaidy do Avriny a’Roihan, Strażniczki Pieczęci, Płomienia Tar Valon, Zasiadającej na Tronie Amyrlin. — Następnie w sposób nieco mniej kwiecisty, aczkolwiek z zachowaniem wszelkich tytułów przedstawiła swe towarzyszkę; kobieta o twardym spojrzeniu okazała się Galiną Casban.

— Jestem Rand al’Thor. — Prostota tej prezentacji stanowiła wyraźny kontrast z pompatycznym zachowaniem przybyłych. One nie wspomniały tytułu Smoka Odrodzonego, on również go nie wymienił, w jakiś sposób jednak to, że go pominął, wywołało wrażenie, jakby leciutkim szeptem niósł się po wnętrzu komnaty.

Coiren wzięła głęboki oddech i poruszyła głową, jakby usłyszała ten szept.

— Przywozimy Smokowi Odrodzonemu łaskawe zaproszenie. Zasiadająca na Tronie Amyrlin w pełni zdaje sobie sprawę, że znaki zostały ujawnione, zaś proctwa spełniły się, że... — Te okrągłe słowa wypowiedane głębokim głosem miały stanowić wstęp do zasadniczej kwestii. Rand mianowicie powinien im towarzyszyć „wraz ze wszelkimi honorami, na jakie zasługuje” do Białej Wieży,

a jeśli przyjmie to zaproszenie, Elaida ofiaruje mu nie tylko ochronę Wieży, ale też wesprze go całą siłą swego autorytetu i wpływów, jakie posiada. Potem nastąpił kolejny kwiecisty fragment pompatycznej przemowy, który skończył się słowami: — . . . a dla podkreślenia swych intencji Zasiadająca na Tronie Amyrlin przesyła ten oto drobny podarek.

Zwróciła się w stronę skrzyń, uniosła dłoń, potem zawahała się z leciutkim grymasem na twarzy. Dwukrotnie musiała powtarzać ten gest, zanim służące zrozumiały i uniosły wzmacniane mosiądzem wieka; najwyraźniej pierwotnie zaplanowała otwarcie ich przy pomocy *saidara*. Skrzynie wypełnione były skórzanymi workami. Na drugi, ostrzejszy już gest, służące zaczęły je rozwiązywać.

Egwene aż zaparło dech. Nic dziwnego, że te kobiety tak się męczyły! Z pierwszych otwartych worków wysypały się złote monety wszelkich rozmiarów, iskrzące się pierścienie i połyskujące naszyjniki, a także nie oprawione klejnoty. Nawet jeśli zawartość pozostałych worków nie przedstawiała się tak imponująco, całość i tak stanowiła prawdziwą fortunę.

Rand opadł na oparcie swego podobnego do tronu krzesła i patrzył na skrzynie, prawie się uśmiechając. Aes Sedai natomiast patrzyły na niego, z maskami opanowania na twarzach, jednak Egwene zdało się, że dostrzegła ślad zadowolenia w oczach Coiren, ledwie widoczne pogardliwe wydęcie pełnych ust Galiny. Nesune. . . Nesune stanowiła prawdziwe niebezpieczeństwo.

Wtem wieka odpadły, mimo iż nie dotknęła ich żadna ręka, zaś służące odskoczyły, nawet nie próbując tłumić okrzyków przerażenia. Aes Sedai zeszywniały, Egwene zaś znowu modliła się tak intensywnie, że aż jej czoło spłynęło potem. Chciała, żeby Rand był arogancki i wyniosły, ale tylko na tyle, by obraziły się na niego i wyjechały z Caemlyn, nie zaś by postanowiły poskromić go na miejscu.

W tym momencie przyszło jej do głowy, że nie okazał jeszcze choćby śladu tej pokory, jaką zapowiadał. Od początku nie miał takiego zamiaru. Ten człowiek przekomarzał się z nią. Gdyby nie przerażenie, które odbierało jej pewność, że nogi ją uniosą, z pewnością natychmiast ruszyłaby na niego, by wytargać go za uszy.

— Sporo tego złota — stwierdził Rand. Wydawał się zupełnie rozluźniony i szeroko się teraz uśmiechał. — Zawsze znajdę sposób na wykorzystanie złota. — Egwene zamrugnęła oczami. W jego głosie pobrzmiwała niemalże chciwość!

Coiren odpowiedziała mu szerokim uśmiechem, w tej chwili stanowiła istny obraz samozadowolenia.

— Zasiadająca na Tronie Amyrlin jest nadzwyczaj szczodra. Kiedy już dotrzesz do Białej Wieży. . .

— Kiedy dotrę do Białej Wieży — Rand wszedł jej w słowo, jakby właśnie myślał na głos. — Tak, już wybiegam myślami do dnia, kiedy zatrzymam się w Wieży. — Pochylił się naprzód, wsparłszy łokieć na kolanie. — Ale to trochę potrwa, same rozumiecie. Mam do wypełnienia najpierw określone zobowiązania,

tutaj, w Andorze... i w wielu innych miejscach.

Coiren zacisnęła usta, ale tylko na chwilę. Jej głos był równie łagodny jak przedtem.

— Z pewnością nie zaszkodzi nam kilka dni odpoczynku przed udaniem się w powrotną drogę do Tar Valon. A tymczasem, czy wolno mi zasugerować, by jedna z nas pozostawała zawsze blisko ciebie i służyła ci radą w razie potrzeby? Słyszałyśmy, rzecz jasna, o nieszczęsnym zgonie Moiraine. Nie mogę zaproponować własnej osoby, jednak z pewnością Nesune czy Galina zgodzą się z radością.

Rand wpatrywał się w obie wymienione ze zmarszczonym czołem, Egwene zaś wstrzymała dech. Wydawało się, jakby znowu czegoś nasłuchiwał. Nesune przyglądała mu się otwarcie. Palce Galiny nieświadomie skubały fałdy sukni.

— Nie — powiedział na koniec, rozsiadłszy się znowu z rękoma na poręczach fotela, który dzięki temu jeszcze bardziej niżli dotąd przypominał tron. — To mogłoby okazać się niebezpieczne. Nie chciałbym, żeby któraś z was przypadkiem otrzymała cios grotem włóczni między żebra. — Coiren otworzyła już usta, ale nie dopuścił jej do głosu. — Dla waszego własnego bezpieczeństwa żadna z was nie ma prawa zbliżać się do mnie na odległość bliższą niż mila bez mojego wyraźnego pozwolenia. Najlepiej będzie, jeśli utrzymacie taki sam dystans względem pałacu, póki nie postanowię inaczej. Dowiedcie się, kiedy będę gotów z wami pojechać. Obiecuję wam. — Znienacka poderwał się z miejsca. Stał teraz na podwyższeniu, dostatecznie wysoki, by Aes Sedai musiały wykrzywić szyje, żeby go zobaczyć, a wyraźnie można było dostrzec, iż żadnej z nich nie podoba się to w takim samym stopniu jak ograniczenia, jakie na nie nałożył. Trzy twarze, tak beznamienne, jakby je kto wyrzeźbił z kamienia, patrzyły na niego. — Teraz pozwolę wam już odejść do miejsca waszego wypoczynku. Im szybciej uda mi się zadbać o pewne rzeczy, tym szybciej będę mógł wyruszyć do Wieży. Zawiadomię was, kiedy będę chciał się z wami spotkać ponownie.

Tak nagła odprawa również nie była im w smak; żadna odprawa nie byłaby dla nich niczym przyjemnym, jednak niewiele mogły zrobić, prócz wykonania nieznacznych ukłonów, zaś ich niezadowolenieomalże nie zburzyło w widoczny sposób charakterystycznego opanowania Aes Sedai.

Kiedy już się odwracały w stronę wyjścia, Rand przemówił ponownie, tym razem zupełnie niedbałym tonem.

— Zapomniałem zapytać. Jak się miewa Alviarin?

— Miewa się dobrze. — Usta Galiny pozostawały przez moment otwarte, jej oczy rozszerzyły się. Sama wydawała się zaskoczona tym, że w ogóle cokolwiek powiedziała.

Coiren zawahała się przez chwilę, zastanawiając, czy nie powinna wykorzystać jego pytania, by dodać coś jeszcze, jednak z postawy Randa było wyraźne zniecierpliwienie;omalże stukał stopą o powierzchnię podwyższenia. Kiedy już poszły sobie, zszedł na dół, i ważąc w dłoniach kikut włóczni, patrzył na drzwi,

które zamknęły się za nimi.

Egwene, nie tracąc ani chwili, natychmiast ruszyła w jego stronę.

— W co ty grasz, Randzie al’Thor? — Wykonała chyba z sześć kroków, dopóki widok własnego odbicia w lustrze nie uświadomił jej, że przeszła dokładnie przez sam środek jego splotu *saidina*. Przynajmniej nie wiedziała, kiedy właściwie jej dotknął. — A więc?

— Ona jest jedną ze zwolenniczek Alviarin — powiedział z namysłem. — Galina. Ona jest jedną z przyjaciółek Alviarin. Mogę się o to założyć.

Stała na przeciw niego i parsknęła.

— Przegrasz zakład. Galina jest Czerwoną, albo ja nigdy w życiu żadnej nie widziałam.

— Dlatego, że mnie nie lubi? — Teraz patrzył wprost na nią, ona zaśomalże nie zapragnęła, by znowu odwrócił oczy. — Ponieważ się mnie boi? — Nie krzywił się ani nie patrzył na nią wściekłym, czy chociażby szczególnie twardym wzrokiem, jednak jego oczy zdawały się dostrzegać rzeczy, jakich jej nie dane było widzieć. Nienawidziła tego. Uśmiechnął się tak nagle, że aż zamrugowała oczami. — Egwene, czy ty myślisz, że ja uwierzę, iż jesteś w stanie określić Ajah danej kobiety na podstawie jej twarzy?

— Nie, ale...

— W każdym razie, nawet Czerwone mogą w końcu opowiedzieć się po mojej stronie. Znają Proroctwa tak samo dobrze jak wszyscy pozostali. „Niepokalana Wieża kruszy się i ugina kolana przed zapomnianym znakiem”. Napisane jeszcze zanim zaistniała Biała Wieża, czym jednak może być „niepokalana Wieża”? A „zapomniany znak”? Mój sztandar, Egwene, ze starożytnym symbolem Aes Sedai.

— A żebyś szczeł, Randzie al’Thor! — Przekleństwo wypadło znacznie bardziej niezgrabnie, niżby sobie życzyła; nie była wszak przyzwyczajona do mówienia takich rzeczy. — Żeby cię Światłość spaliła! Nie możesz poważnie rozważać pomysłu pojechania z nimi. Nie możesz!

Rozbawiony, obnażył zęby w uśmiechu. Rozbawiony!

— Czy nie zachowałem się tak, jak chciałaś? Tak jak chciałaś i jak powiedziałaś, że mam się zachować?

Obrażona zacisnęła usta. To, że wiedział, już było wystarczająco złe, ale rzuwanie jej tego w twarz zakrawało na grubiaństwo.

— Rand, proszę cię posłuchaj mnie. Elaida...

— Pytanie teraz brzmi, w jaki sposób mam cię dostarczyć do namiotów, aby one nie dowiedziały się, że tu byłaś. Spodziewam się, że mają swoich agentów również w Pałacu.

— Rand, musisz...!

— A co powiesz na temat przewiezienia cię w jednym z tych wielkich koszy z praniem? Mogę poprosić kilka Panien, aby cię przeniosły.



Omial nie załamała ręk. Równie chętnie pozbyłby się jej, jak przedtem tych Aes Sedai.

— Moje stopy mi wystarczą, zapewniam cię. — Kosz z praniem, dobre sobie! — Natomiast nie miałabym nic przeciwko, gdybyś mi powiedział, w jaki sposób przenosisz się z Caemlyn do tych wszystkich miejsc, do których tylko zechcesz. — Nie rozumiała, w jaki sposób sama treść pytania może wywołać tak zgrzytliwy ton głosu, jednak jakoś się to stało. — Wiem, że nie możesz mnie nauczyć, jeśli jednak powiesz mi, jak to robisz, być może uda mi się wypracować sposób podobnego wykorzystania *saidara*.

Zamiast zabawić się jej kosztem, czego oczekiwała, ujął koniec jej szala w swe dłonie.

— Wzór — powiedział. — Caemlyn — palcem lewej dłoni wybrzuszył kawałek wełny — i Cairhien. — Palcem drugiej dłoni zrobił wybrzuszenie w innym miejscu, a potem oba palce złączył razem. — Naginam kształt Wzoru i przebijam dziurę z jednego miejsca do drugiego. Nie mam pojęcia, w czym robię tę dziurę, ale między jednym jej krańcem a drugim nie istnieje żadna przestrzeń. — Wypuścił szal z rąk. — Czy to ci w czymś pomoże?

Zagryzając wargę, spod zmarszczonych brwi patrzyła na szal. W niczym jej to nie pomogło. Na samą myśl o przebijaniu dziury we Wzorze robiło jej się słabo. Miała nadzieję, że będzie to coś takiego, czym zajmowała się w *Tel'aran'rhiod*. Nie chodziło nawet o to, żeby kiedykolwiek chciała tę umiejętność wykorzystać, ale miała teraz mnóstwo czasu dla siebie, zaś Mądre nie przestawały narzekać na Aes Sedai, próbujące dowiedzieć się, w jaki sposób można cielesnie wejść do Świata Snów. Doszła do wniosku, że to chyba polega na tworzeniu — analogia wydawała się jej jedynym możliwym sposobem wytłumaczenia całej rzeczy — analogonu między rzeczywistym światem a jego odbiciem w *Tel'aran'rhiod*. W ten sposób stworzyłoby się miejsce, w którym zwyczajnie można przejść od jednego do drugiego. Jeżeli sposób podróżowania Randa wydawał się choćby w przybliżeniu podobny, chętnie by go wypróbowała, jednak to... *Saidar* zachowywał się dokładnie tak, jak się tego odeń chciało, nie należało jednak zapominać, że jest nieskończenie potężniejszy od osoby, która nim kierowała, toteż wszelkie tego typu operacje należało przeprowadzać jak najdelikatniej; próba wymuszenia niewłaściwego zachowania mogła skończyć się natychmiastową śmiercią albo wypaleniem.

— Rand, pewien jesteś, że nie ma żadnego sensu w próbie uczynienia rzeczy takimi samymi... albo... — Nie umiała tego przekazać, jednak on potrząsnął głową, jeszcze zanim urwała.

— Wydaje ci się, że to zmiana osnowy Wzoru? Myślę, że gdybym próbował czegoś takiego, to rozerwałoby mnie na strzępy. Ja wierzę dziurę. — Dźgnął ją palcem, jakby chciał to zademonstrować.

Cóż, dalsze pytania nie miały sensu. Z irytacją poprawiła szal.

— Rand, w kwestii tego Ludu Morza. Nie wiem o nich nic ponad to, co czytałam — nie była to prawda, ale nie miała zamiaru go o tym informować — jednak to musi być coś ważnego, skoro pokonali taki szmat drogi, aby cię odnaleźć.

— Światłości — wymamrotał nieobecny głosem — przeskakujesz z tematu na temat, jakbyś była kroplą wody na rozgrzanym ruszcie. Zobaczą się z nimi, kiedy znajdę na to czas. — Przez chwilę nie mówił nic i tylko pocierał dłonią czoło, jego oczy zaś wpatrzone były w pustkę. Zamrugnął oczami i powrócił do rzeczywistości. — Masz zamiar stać tutaj i czekać, póki nie przyjdą znowu? — Naprawdę chciał się jej pozbyć.

Przy drzwiach zatrzymała się jeszcze na moment, jednak on już spacerował po komnacie z rękoma zaplecionymi za plecami i mówił coś do siebie. Cicho, ale potrafiła rozróżnić niektóre słowa.

— Gdzie się ukrywasz, żebyś szczeł? Wiem, że tam jesteś!

Drżąc, zmusiła się do wyjścia. Jeżeli naprawdę pogrążył się w szaleństwie, to nie było jak temu zaradzić. Koło splata Wzór tak jak chce; nie ma innego wyjścia, jak tylko zaakceptować dany spłot.

Przyłapawszy się na tym, że obserwuje uważnie przechodzących korytarzami służących i zastanawia się, którzy z nich mogą być agentami Aes Sedai, wzięła się w garść. Koło splata Wzór tak jak chce. Skinęła jeszcze w stronę Somary, uniosła głowę i bardzo się starała nie biec, kiedy wędrowała w stronę najbliższego wejścia dla służby.

W najlepszym powozie Arilyn, który oddalał się od Pałacu Słońca, niewiele rozmawiano; w ślad za nim jechał wóz, na którym przywieziono skrzynie; obecnie znajdowały się na nim jedynie służące i woźnica. Nesune uniosła w zamyśleniu palce złączonych dłoni ku górze, a potem przytknęła je do ust. Fascynujący młodzieniec. Fascynujący przedmiot badań. Jej stopa dotknęła jednej ze skrzynek na okazy, wetkniętej pod siedzenie; nigdzie się bez nich nie ruszała. Można by pomyśleć, że świat już dawno temu został skatalogowany, jednak od czasu opuszczenia Tar Valon udało jej się znaleźć pięćdziesiąt gatunków roślin, dwakroć tyle owadów, skórę i kości lisa, trzy gatunki skowronków oraz co najmniej pięć gatunków wiewiórki, co do których pewna była, że nie znalazły się jeszcze w żadnych systematykach.

— Nie miałam pojęcia, że przyjaźnisz się z Alviarin — powiedziała po jakimś czasie Coiren.

Galina parsknęła.

— Nie muszę być jej przyjaciółką, żeby wiedzieć, iż czuła się dobrze, gdy wyjeżdżałyśmy. — Nesune zastanawiała się, czy tamta zdaje sobie sprawę, że wydyma wargi. Być może nie było to nazbyt widoczne, ale człowiek powinien panować nad swoją twarzą. — Czy sądzisz, że on naprawdę wiedział? — ciągnęła

dalej Galina. — Że my... To jest niemożliwe. Musiał zgadywać.

Nesune nadstawiała uszu, chociaż z pozoru wciąż w roztargnieniu pocierała palcami wargi. Najwyraźniej była to próba zmiany tematu, znak tego, że Galina jest rozdygotana. Zapadła długa cisza, której żadna z nich nie przerywała, ponieważ żadna nie chciała wymienić imienia al'Thora, a inne kwestie jakoś nie wydawały się nawet w połowie równie doniosłe. Dlaczego Galina nie chciała mówić o Alviarin? One dwie z pewnością nie były przyjaciółkami; rzadkością była Czerwona, która dobierała sobie przyjaciółki spoza własnej Ajah. Nesune zanotowała sobie to pytanie w odpowiedniej przegródce umysłu.

— Jeżeli zgadywał, to w takim razie zbilby majątek na jarmarku. — Coiren nie była głupia. Napuszona ponad wszelkie wyobrażenie, ale nigdy nie zachowywała się głupio. — Jakkolwiek bezsensowne się to może wydawać, musimy zakładać, że potrafi wyczuć obecność *saidara* w kobiecie.

— To może być równoznaczne z katastrofą — wymruczała Galina. — Nie. To niemożliwe. Musiał zgadywać. Każdy mężczyzna potrafiący przenosić założyby, że objęłyśmy *saidara*.

To wydymanie warg irytowało Nesune. Cała ta wyprawa ją irytowała. Byłaby więcej niż szczęśliwa, gdyby ją poproszono o przyłączenie się do niej, ale Jesse Bilal nie poprosiła; Jesse, praktycznie rzecz biorąc, przemocą wsadziła ją na konia. Bez względu na to jak działo się to w pozostałych Ajah, po przewodniczącej rady Brązowych nie spodziewano się takiego zachowania. A ze wszystkiego najgorsze było to, że towarzyski Nesune do tego stopnia skupiały się na młodym al'Thorze, że zdawały się ślepnąć na wszystko inne.

— Czy macie jakiegokolwiek podejrzenia — zastanowiła się na głos — względem tożsamości siostry, która uczestniczyła w naszym posłuchaniu?

To mogła nawet nie być siostra — trzy kobiety Aielów odwróciły głowy, kiedy weszła do Królewskiej Biblioteki, a dwie z nich potrafiły przenosić — jednak zadała to pytanie, żeby sprawdzić, jak zareagują. Nie rozczarowała się; albo raczej właśnie się rozczarowała. Coiren tylko wyprostowała się bardziej, jednak Galina zapatrzyła się na nią ogłupiała. Nesune mogła tylko powstrzymać westchnienie. Naprawdę były ślepe. Znajdowały się w odległości jedynie kilku kroków od kobiety, która potrafiła przenosić, i nie wyczuły jej tylko dlatego, że nie mogły jej zobaczyć.

— Nie mam pojęcia, w jaki sposób została ukryta — ciągnęła dalej Nesune — niemniej dobrze byłoby poznać ten sposób. — To musiało być jego dziełem, spostrzegłyby przecież każdy splot *saidara*. — Nie pytały wszak, czy na pewno się nie myli, wiedziały, że kiedy stawia hipotezę, zawsze to wyraźnie zaznacza.

— Potwierdzenie, iż Moiraine żyje. — Galina rozparła się na siedzeniu z ponurym uśmiechem. — Proponuję, byśmy wysłały Beldeine na jej poszukiwanie. Potem możemy ją pojmać i związaną wrzucić do piwnicy. Dzięki temu nie stanie już między nami a al'Thorem; na koniec będziemy mogły zawieźć ją do Tar Valon

razem z nim. Wątpię, by w ogóle zauważył jej brak, póki będziemy mu błyskać złotem przed oczami.

Coiren zdecydowanie pokręciła głową.

— W sprawie z Moiraine nadal nie mamy żadnego przekonującego potwierdzenia. To mogła być ta tajemnicza Zielona. Należy sprawdzić, kim ona jest; co do tego sprzeciwu nie zgłaszam, ale całą resztę należy bardzo dokładnie przemyśleć. Nie będę ryzykowała losów tak dokładnie zaplanowanego przedsięwzięcia. Musimy zdawać sobie sprawę, że al'Thor jest związany z tą siostrą... kimkolwiek ona jest... oraz że jego prośba o więcej czasu może być tylko rozmyślnym posunięciem strategicznym. Na szczęście czasu nam nie brakuje. — Galina pokiwała głową, jakkolwiek z wahaniem; wydano by ją za mąż i osadzono na jakiejś farmie, gdyby naraziła na ryzyko ich plany.

Nesune pozwoliła sobie na leciutkie westchnienie. Absorbując od tego nadymania się, mówienie rzeczy oczywistych stanowiło jedyną prawdziwą wadę Coiren. Miała bystry umysł, tyle że rzadko kiedy decydowała się go używać. Ale z drugiej strony czasu im rzeczywiście nie brakowało. Ponownie dotknęła stopą skrzynki na okazy. Niezależnie od tego, jak się potoczą wydarzenia, artykuł, który zamierzała napisać na temat al'Thora, stanowić będzie ukoronowanie jej życia.

# LISTY

Lews Therin naprawdę tam był — Rand nie miał już odnośnie tej kwestii żadnych wątpliwości — ale w tej chwili w jego głowie nie rozbrzmiewał nawet najcichszy szept, który nie należałby do niego. Przez resztę dnia próbował myśleć o innych rzeczach, niezależnie od tego jak bezużyteczne te deliberacje się wydawały. Berelain była już gotowa niemalże wyjść z siebie, kiedy próbował wchodzić w jej kompetencje i zajmować się kwestiami, z którymi znakomicie poradziłyby sobie bez jego pomocy; o ostateczną pewność było tu trudno, jednak wydało mu się, że powoli zaczyna go unikać. Nawet na twarzy Rhuarka pojawił się wyraz udreki, kiedy Rand dziesiąty raz z rzędu próbował przycisnąć go w sprawie Shaido; Shaido trwali na swoim miejscu, a jedyne, co Rhuarkowi przychodziło do głowy w związku z nimi, było pozostawienie ich na Sztylcie Zabójcy Rodu albo próbowanie ich stamtąd wykurzyć. Herid Fel zniknął gdzieś, jak to miał w zwyczaju niekiedy czynić, o czym go natychmiast poinformowała Idrien, i nigdzie nie można było go znaleźć; Fel potrafił niekiedy zagubić się w mieście, kiedy się zatracił we własnych myślach. Rand nakrzyczał na Idrien. Jednak nie była przecież winna postępowaniu Fela, opieka nad nim nie należała do jej obowiązków, niemniej jednak Rand pozostawił ją bladą i roztrzęsioną. Jego nastrój zmieniał się z minuty na minutę niczym front burz pełznący zza horyzontu. Krzyczał na Meilana i Maringila póki nie zaczęli dygotać, a potem odszedł, oni zaś stali z twarzami białymi niczym mleko. Doprowadzał też Colavaere do niekontrolowanych wybuchów płaczu i naprawdę kazał Anaiyelli biegać ze spódnicami uniesionymi ponad kolana. A kiedy Amys i Sorilea przyszły zapytać, co powiedział Aes Sedai, na nie również nakrzyczał; na podstawie wyrazu twarzy Sorilei, który miał możliwość obserwować, gdy odchodziły, podejrzewał, iż był to pierwszy raz, kiedy ktokolwiek podniósł głos w jej obecności. Jego nerwowe zachowanie było efektem pewności — niezachwianej pewności — że Lews Therin naprawdę gdzieś tam jest, że nie tylko głos, a prawdziwy człowiek ukrywa się w jego głowie.

Niemalże bał się zasnąć, kiedy już przyszła noc; bał się, że Lews Therin może przejąć kontrolę, podczas gdy on będzie spał, a kiedy już wreszcie zasnął, niespokojne sny sprawiały, że rzucał się na łożu i mamrotał. Pierwszy promień słońca wpadający przez okno obudził go w przesiąkniętej potem pościeli, z piachem pod

powiekami oraz posmakiem w ustach przypominającym sześciodniowe końskie truchło. I bolały go nogi. We wszystkich snach, które potrafił sobie przypomnieć, uciekał przed czymś, czego nie potrafił dojrzeć. Wygramolił się z wielkiego łoża z baldachimem i umył w złoconej miednicy. Niebo za oknem przybrało szarą barwę, *gai'shain*, którzy przynosili świeżą wodę, jeszcze się nie pojawili, jednak woda z nocy wystarczyła mu w zupełności.

Prawie już kończył się golić, kiedy zamarł z ostrzem brzytwy przytkniętym do policzka, obserwując swoje odbicie w lustrze na ścianie. Uciekał. Pewien był, że to przed Przekłętymi uciekał w snach, albo przez samym Czarnym, albo przed Tarmon Gai'don, może wreszcie nawet przed Lewsem Therinem. Tyle było w nim pychy; z pewnością Smok Odrodzony nie będzie uciekał przed nikim innym, jak tylko przed Czarnym. Mimo całego zaklinania się, iż jest tylko Randem al'Thorem, wychodziło na to, że potrafi zapomnieć się jak każdy inny człowiek. Rand al'Thor uciekał od Elayne, uciekał przed swoim strachem, jakim napawała go miłość do niej, podobnie jak uciekał przed strachem, by nie zakochać się w Aviendzie.

Lustro rozprysnęło się na kawałki, które powpadały do porcelanowej misy. Te, które pozostały w ramie, odbijały fragmentaryczny wizerunek jego twarzy.

Wypuścił *saidina*, starannie startł resztki piany z brody, ostrożnie złożył brzytwę. Żadnego uciekania. Zrobi, co będzie musiał zrobić, ale nie będzie więcej uciekał.

Dwie Panny czekały już na niego w korytarzu, gdy wyszedł z komnaty. Hari-lin, koścista i rudowłosa, mniej więcej w jego wieku, pobiegła skrzyknąć resztę, kiedy tylko go zobaczyła, Chiarid, blondynka o wesołych oczach, dostatecznie stara, by móc być jego matką, szła w ślad za nim po korytarzach, na których poruszali się niemrawo nieliczni służący, zaskoczeni, że widzą go o tak wczesnej porze. Zazwyczaj Chiarid lubiła żartować sobie z niego, kiedy znajdowali się sam na sam — niektóre z jej żartów nawet rozumiał; w jej oczach był młodszym bratem, którego należy strzec, aby nie nabrał zbyt wielkiego mniemania o sobie — teraz jednak wyczuła jego nastrój i nie powiedziała ani słowa. Obdarzyła jego miecz pełnym niesmaku spojrzeniem, ale tylko jednym.

Nandera wraz z resztą Panien dogoniła ich, nim zdążył pokonać połowę drogi do komnaty służącej Podróżowaniu, szybko też zorientowała się, co oznacza jego milczenie. Podobnie zresztą jak i Mayenianie oraz Czarne Oczy strzegący rzeźbionych w prostopadłe linie drzwi. Rand powoli zaczynał już podejrzewać, że uda mu się opuścić Cairhien i nikt nie powie ani słowa, póki pewna młoda kobieta w czerwieniach i błękitach prywatnej służby Berelain nie podbiegła szybko do niego i nie skłoniła się głęboko, dokładnie w chwili, gdy już otwierał bramę.

— To od Pierwszej — powiedziała bez tchu i podała mu list opatrzony wielką, zieloną pieczęcią. Najwyraźniej biegła całą drogę do niego. — To posłanie od Ludu Morza, Lordzie Smoku.

Rand wepchnął list do kieszeni kaftana i przeszedł przez bramę, ignorując cał-

kowicie pytanie kobiety, czy może spodziewać się odpowiedzi. Tego ranka nade wszystko pragnął ciszy. Przesunął palcem po rzeźbieniach Berła Smoka. Będzie silny i twardy; przestanie się użalać nad sobą.

Kiedy znalazł się w ciemnej Wielkiej Komnacie pałacu w Caemlyn, w jego głowie natychmiast zagnieździła się z powrotem Alanna. Tu wciąż jeszcze panowała noc, ale ona nie spała; nie miał najmniejszych wątpliwości, wiedział, że płakała, ale z równą pewnością wiedział, iż jej łzy przestały płynąć kilka chwil po tym, jak zamknął bramę za ostatnią z Panien. Maleńki kłębek splątanych i nieczytelnych emocji wciąż tkwił w głębi jego umysłu, pewien był jednak, że Alanna wie, iż powrócił. Zarówno ona sama, jak i zobowiązania, jakie na niego nałożyła, odegrały swoją rolę w jego ucieczce, teraz jednak potrafił już zaakceptować istnienie tej więzi, nawet jeśli mu się nie podobała. Omal nie zaśmiał się gorzko; lepiej robi, jeśli ją zaakceptuje, ponieważ i tak nic w tej kwestii nie mógł zmienić. Uwiązała do niego nitkę — nic więcej, tylko nitkę; Światłości spraw, żeby to nie było coś więcej — ale nie powinna sprawić mu kłopotu, chyba że dopuści ją do siebie na tyle blisko, aby mogła zamienić tę nitkę w smycz. Żałował, że nie ma przy nim Thoma Merrilina. Thom na pewno wiedział wszystko o Strażnikach i więziach zobowiązań; znał się na wielu zaskakujących rzeczach. Cóż, kiedy odnajdzie Elayne, to odnajdzie i Thoma. Również w tej sprawie nic więcej nie mógł teraz zrobić.

*Saidin* rozjarzył się w postaci kuli światła; splecione razem Powietrze i Ogień oświetlały mu drogę z komnaty tronowej. Starożytne królowe, ukryte w ciemnościach daleko przed nim, przestały go już wytrącać z równowagi. Były tylko obrazkami z pokolorowanego szkła.

Tego samego nie dałoby się wszak rzec o Aviendzie. Kiedy doszli do jego apartamentów, Nandera odprawiła wszystkie Panny z wyjątkiem Jalani, potem obie weszły wraz z nim do środka, aby sprawdzić komnaty. Rand zajął się zapalaniem świec, po chwili wypuścił Moc i oparł Berło Smoka o mały stolik inkrustowany kością słoniową, który wyposażony był w wyraźnie mniejszą ilość złocień niż jego ewentualny odpowiednik, który stałby w Pałacu Słońca. Całe umeblowanie miało podobny charakter — znacznie skromniejsze złocenia, więcej zaś rzeźbień, zazwyczaj lwy i róże. Posadzkę pokrywał wielki, czerwony dywan, złotą nitką wyszyto na nim kontury kwiatów róż.

Bez *saidina* zapewne nie byłby w stanie usłyszeć cichych kroków Panien, zanim jednak tamte przeszły przez przedpokój, Aviendha wyłoniła się ostrożnie z wciąż ciemnej sypialni; włosy miała w dzikim nieładzie, w jej dłoni zaś lśnił mały nóż. I nie miała na sobie literalnie nic. Usłyszawszy jego westchnienie, zastygła niczym słup soli, a potem równie ostrożnie wróciła tam skąd przyszła, z tym że znacznie szybciej. W drzwiach rozbłysło blade światło, gdy zapaliła lampkę. Nandera zaśmiała się cicho i wymieniła rozbawione spojrzenia z Jalani.

— Nigdy nie zrozumieć Aielów — wymruczał Rand, odpychając od siebie

Źródło. Nawet nie chodziło o to, że sytuacja sprzed chwili wydała się Pannom śmieszna; minęło już dużo czasu, od kiedy poddał się w kwestii humoru Aielów. Chodziło o Aviendhę. Mogła uważać za bardzo śmieszne całkowite rozbieranie się do snu w jego obecności, kiedy jednak zdarzało mu się przelotnie obejrzeć choćby obnażoną kostkę, w sytuacji, gdy to nie ona zdecydowała się mu ją pokazać, zmieniała się we wściekle prychającego kota. Nie wspominając już o tym, że całej winą obciążała jego.

Nandera zarechotała.

— To nie Aielów nie potrafisz zrozumieć, ale kobiet. Żaden mężczyzna jeszcze nigdy nie zrozumiał kobiety. Są zbyt skomplikowane.

— Mężczyźni natomiast wręcz przeciwnie — wtrąciła Jalani — są bardzo prości. — Zagapił się na nią, na te dziecięco jeszcze pulchne policzki. Nieznacznie wtedy pokraśniała. Nandera wyglądała na gotową zaśmiać się w głos.

„Śmierć” — wyszeptał Lews Therin.

Rand zapomniał o wszystkim innym.

„Śmierć? Co masz na myśli?”

„Śmierć nadchodzi”.

„Czyja śmierć? — dopytywał się Rand. — O czym ty mówisz?”

„Kim jesteś? Gdzie ja jestem?”

Rand miał wrażenie, że czyjaś dłoń zacisnęła się na jego gardle. Nie miał wątpliwości, jednak... To był pierwszy raz, kiedy Lews Therin powiedział coś, zwracając się bezpośrednio do niego, coś, co było jednoznacznie zaadresowane do niego.

„Ja jestem Rand al'Thor. Ty znajdujesz się wewnątrz mojej głowy”.

„Wewnątrz...? Nie! Jestem sobą! Jestem Lews Therin Telamon! Jestem sobą! — Wrzask ścichł w oddali.

„Wróć! — wykrzyknął Rand. — Czyja śmierć? Odpowiedz mi, a żebyś szczeł!” Cisza. Poruszył się niepewnie. Wiedza jest ważna, ale martwy człowiek, mówiący w jego wnętrzu o śmierci, sprawił, że poczuł się nieczysty, jakby muśnięty najlżejszym dotknięciem skazy *saidina*.

Kiedy coś dotknęło jego dłoni, omal ponownie nie pochwycił Źródła, zanim zorientował się, że to Aviendha. Musiała chyba błyskawicznie wskoczyć w swoje ubranie, a jednak wyglądała, jakby poświęciła godzinę na ułożenie każdego włosa z osobna, idealnie wedle precyzyjnego projektu. Ludzie powiadali, że Aielowie nie okazują żadnych emocji, ale oni tylko zachowywali się z większą rezerwą niżli większość nacji. Z ich twarzy wyczytać można było dokładnie tyle samo, co z twarzy każdego człowieka, trzeba było tylko wiedzieć, czego szukać. Aviendha rozdarła była właśnie między troską o niego a chęcią wyładowania gniewu.

— Dobrze się czujesz? — zapytała.

— Tylko się zamyśliłem — odparł jej. Zgodnie z prawdą.



„Odpowiedz mi, Lewsie Therinie! Wróc i odpowiedz mi!” Skąd ten pomysł, że cisza będzie stanowiła najlepszą oprawę dla tego poranka?

Na nieszczęście Aviendha uwierzyła mu na słowo, a skoro nie było powodu do zatroskania. . . Wsparła zaciśnięte w pięści dłonie na biodrach. To była jedyna rzecz, jaką rozumiał, jeśli szło o kobiety Aielów, kobiety z Dwu Rzek, czy jakiegokolwiek jeszcze inne — pięści na biodrach oznaczały kłopoty. Nawet nie musiał zadbać o zapalenie lamp — ona swoim spojrzeniem była zdolna rozświetlić każde pomieszczenie.

— Znowu odszedłeś beze mnie. Obiecałam Mądrym, że będę trzymać się blisko ciebie, do czasu aż zwolnią mnie z tego obowiązku, a ty obracasz moje obietnice wniwecz. Masz wobec mnie *toh* za to, Randzie al’Thor. Nandera, od tej chwili należy mnie informować, dokąd on się udaje i kiedy. Nie wolno mu pozwolić, aby odszedł dokądś beze mnie, skoro mam mu zawsze towarzyszyć.

Nandera nie wahała się ani chwili, tylko skinęła głową.

— Będzie jak sobie życzysz, Aviendha.

Rand popatrzył ze zdumieniem na obie.

— Dobrze, teraz wy poczekajcie! Nikt nikomu nie będzie mówił, dokąd się udaje i kiedy wracam, przynajmniej bez mojego wyraźnego polecenia.

— Dałam słowo, Randzie al’Thor — odparła Nandera bezbarwnym głosem. Spojrzała mu prosto w oczy i w tym momencie było jasne, że nie ma najmniejszego zamiaru się wycofać.

— Podobnie jak i ja — dodała Jalani identycznym tonem.

Rand otworzył usta i zaraz je zamknął. Przeklęte *ji’e’toh*. Oczywiście nic by nie zyskał, gdyby im przypomniał, że jest przecież *Car’a’carnem*. Aviendha zdawała się być nieco zaskoczona, że w ogóle zaprotestował; w jej mniemaniu w tej sprawie decyzja już zapadła. Niepokojnie zgarbił ramiona, chociaż nie z powodu tego, co się przed chwilą stało. To poczucie zbrukania wciąż mu towarzyszyło, było coraz silniejsze. Być może Lews Therin wróci. Rand zawołał go w myślach, ale nadal nie było odpowiedzi.

Pukanie do drzwi zapowiedziało panią Harfor, która, nie czekając nawet na zaproszenie, weszła do środka i wykonała swój zwyczajowy głęboki ukłon. Pierwsza Pokojówka oczywiście nie zdradzała ani śladu zmęczenia o tak wczesnej godzinie; niezależnie od pory dnia Reese Harfor zawsze wyglądała tak, jakby właśnie skończyła się stroić przed lustrem.

— Do miasta przybyło wielu ludzi, mój Lordzie Smoku, o których obecności lord Bashere kazał cię poinformować najszybciej jak to tylko możliwe. Lady Aemlyn oraz lord Culhan przyjechali wczoraj w południe, zatrzymali się u lorda Pelivara. Lady Arathelle pojawiła się godzinę po nich, wiodąc ze sobą znaczną świtę. Lord Barel i lord Macharan, lady Sergase i lady Negara przyjechali w nocy, każde z nich przyprowadziło ze sobą jedynie po kilkoro ludzi. Żadne z nich nie złożyło dotąd wizyty w Pałacu. — Tę ostatnią informację podała identycznym

tonem co poprzednie, toteż nie może było orzec, jakie jest jej zdanie odnośnie tej kwestii.

— To dobre wieści — odparł, i faktycznie tak było, niezależnie od tego, czy tamci okazali mu stosowny szacunek, czy nie. Aemlyn i jej mąż Culhan byli niemalże równie potężni jak Pelivar, Arathelle zaś bardziej wpływowa od wszystkich pozostałych, wyjąwszy Dyelin oraz Luana. Reszta wywodziła się z pomniejszych Domów, jedynie Varel, jako jedyny spośród nich, zasiadał na Wysokim Tronie swego Domu, ale wynikało z tego, że arystokraci, będący uprzednio w opozycji wobec „Gaebrila”, zaczęli się na powrót jednoczyć. Wieści były rzeczywiście dobre, pod warunkiem, że uda mu się znaleźć Elayne, zanim postanowią odebrać mu Caemlyn.

Pani Harfor zmierzyła go przelotnym spojrzeniem, potem podała mu list opatrzone niebieską pieczęcią.

— To zostało dostarczone zeszłego wieczora, mój Lordzie Smoku. Przez stajennego. Brudnego stajennego. Mistrzynie Żeglugi Ludu Morza nie była szczególnie zadowolona, że cię nie zastała. — Tym razem jej dezaprobata dała o sobie znać w jej głosie, chociaż nie było jasne, czy dotyczyła reakcji Mistrzynie Żeglugi, zachowania Randa, czy też sposobu, w jaki doręczono list.

Westchnął; zapomniał na śmierć o emisariuszach Ludu Morza w Caemlyn. To przypomniało mu o liście, który doręczono mu w Cairhien, wyciągnął go więc z kieszeni. Zarówno na zielonym, jak i na niebieskim wosku odciśnięty był ten sam znak, chociaż nie potrafił powiedzieć, cóż takiego mógłby przedstawiać. Dwa przedmioty przypominające spłaszczone czary oplecione ornamentami. Każdy z listów adresowany był do „Coramoora”, kimkolwiek lub czymkolwiek miałby on być. Jak przypuszczał, chodziło właśnie o niego. Być może pod tym imieniem Lud Morza znał Smoka Odrodzonego. Najpierw zerwał niebieską pieczęć. Na początku listu brakło choćby śladu zwyczajowego pozdrowienia, z pewnością w najmniejszej mierze nie przypominał żadnego z listów skierowanych do Smoka Odrodzonego, jakie Rand miał okazję widzieć w życiu.

„Z woli Światłości, ostatecznie może kiedyś wrócisz do Caemlyn.  
Jako że podróżowałam daleko, żeby się z tobą spotkać, być może uda  
mi się znaleźć czas, aby to nastąpiło, kiedy wreszcie powrócisz.

Zaida din Parede Czarne Skrzydło  
z Klanu Catelar, Mistrzynie Żeglugi”

Wyglądało na to, że pani Harfor ma rację; Mistrzynie Żeglugi była nieszczerze zadowolona. Treść drugiego listu była niewiele bardziej zachęcająca.

„Jeżeli taka będzie wola Światłości, przyjmę cię na pokładzie  
"Białej Piany" przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

Harine din Togara Dwa Wiatry  
z Klanu Shodeinm, Mistrzynie Żeglugi”

— Czy wieści są złe? — zapytała Aviendha.

— Nie mam pojęcia. — Oglądał oba listy spod zmarszczonych brwi, ledwie zauważając, że pani Harfor wpuściła do środka jakąś kobietę w czerwieniach i białach, a następnie zamieniła z nią kilka cichych słów. Z żadną z tych dwu kobiet Ludu Morza nie miałby ochoty spędzić choćby godziny. Czytał wszystkie tłumaczenia Proroctw Smoka, jakie mu tylko wpadły mu w ręce, a z których najjaśniejsze były nieznośnie zawile, ale w żadnym nie znalazł najmniejszej choćby wskazówki odnoszącej się do Atha’an Miere. Być może oni akurat, na tych swoich statkach, na odległych wyspach, okażą się jedynym ludem, którego nie dotkną konsekwencje jego oddziaływania na świat oraz Tarmon Gai’don. Winien był tej Zaidzie przeprosiny, może jednak uda mu się jakoś ją zbyć z pomocą Bashere; Bashere miał dosyć tytułów, aby zaspokoić czyjąś próżność. — Chyba nie.

Służąca ukłękła przed nim, pochylając nisko siwą głowę, i podała mu jeszcze jeden list, tym razem napisany na grubym pergaminie. Na widok takiej uniżoności aż zamrugał oczami; nawet w Łzie nie widział nigdy służących płaszczących się do tego stopnia, a cóż dopiero w Andorze. Pani Harfor zmarszczyła czoło. Klęcząca kobieta przemówiła wreszcie, nadal nie podnosząc głowy.

— To właśnie przyszło do mego Lorda Smoka.

— Sulin? — wyszeptał. — Co to wyprawiasz? Co ty robisz w tej... sukni?

Sulin uniosła głowę; wyglądała po prostu strasznie. Jak wilczyca, która udaje, że jest łanią.

— To właśnie noszą kobiety, które za pieniądze usługują i słuchają rozkazów.

— Machnęła listem, który wciąż trzymała w wyciągniętej ręce. — Kazano mi powiedzieć, że to właśnie przyszło dla mojego Lorda Smoka, a przywiózł go... jeździec, który oddalił się natychmiast po tym, jak doręczył przesyłkę.

Pierwsza Pokojówka z irytacją cmoknęła językiem.

— Domagam się prostej odpowiedzi — oznajmił, biorąc jednocześnie do ręki zapieczętowany pergamin. Podniosła się, gdy tylko przesyłka opuściła jej ręce. — Wracaj tutaj zaraz. Sulin. Sulin, domagam się odpowiedzi! — Ale ona uciekała równie swobodnie, jakby miała na sobie *cadin’sor*; pobięła prosto do drzwi, a potem wypadła na korytarz.

Z jakiegoś powodu pani Harfor popatrzyła groźnie na Nanderę.

— Mówiłam ci, że nic z tego nie wyjdzie. I mówiłam wam obu, że dopóki ona będzie nosiła liberię Pałacu, dopóty ja będę po niej oczekiwała, że będzie okazywać stosowną dla Pałacu dumę, niezależnie od tego, czy jest kobietą Aielów,

czy też królową Saldaei. — Skłoniwszy się, poczęstowała Randa pośpiesznym: — Mój Lordzie Smoku — i z tym odeszła, mamrocząc coś do siebie na temat zwariowanych Aielów.

Gotów był się z nią zgodzić. Popatrzył na Nandere, potem na Aviendhę, a na koniec przeniósł spojrzenie na Jalani

— Czy możecie mi powiedzieć, co się tutaj wyprawia? To była Sulin!

— Najpierw Sulin i ja poszłyśmy do kuchni — odparła Nandera. — Ona pomyślała sobie, że szorowanie garnków i temu podobne czynności wystarczą. Ale tam jakiś człowiek powiedział, że ma tyle pomywaczek, ile potrzebuje; najwyraźniej uznał, że Sulin będzie zawsze walczyła z innymi. Nie był szczególnie wysoki — wykonała dłonią gest gdzieś na wysokości jego policzka — ale dosyć barczysty, myślę więc, że zaproponowałby nam taniec włóczni, gdybyśmy nie odeszły. Potem poszłyśmy do tej kobiety, Reene Harfor, ponieważ ona wydaje się być tu tejszą panią dachu. — Jej twarz przeciął przelotny grymas; kobieta albo jest panią dachu, albo nie... w światopoglądzie Aielów nie było miejsca na Pierwszą Pokojówkę. — Nie zrozumiała nas, ale ostatecznie się zgodziła. Już myślałam, że Sulin zmieni zdanie, kiedy nareszcie zrozumiała, że Reene Harfor zamierza ubrać ją w suknię, ale oczywiście tak się nie stało. Sulin okazała więcej odwagi niż ja. Ja wolałabym raczej zostać uczyniona *gai'shain* przez nowych *Seia Doon*.

— Ja — wtrąciła Jalani — wolałabym być raczej bita każdego dnia w roku przez pierwszego brata mego najgorszego wroga przed obliczem mojej matki.

Nandera przymknęła powieki na znak dezaprobaty; jej palce zadrżały, jednak zamiast wykonać jakiś gest, powiedziała po namyśle:

— Przechwalasz się niczym Shaido, dziewczyno. — Gdyby Jalani była starsza, te trzy z rozmysłem dobrane zniewagi mogłyby wywołać kłopoty, jednak w takiej sytuacji tylko zamknęła oczy, aby ukryć się przed wzrokiem tych, którzy słyszeli, jak ją obrażono.

Rand przeczesał dłonią włosy.

— Reene nie rozumiała? To ja nie rozumiem, Nandera. Dlaczego ona to robi? Czy porzuciła włócznie? Jeżeli chce wyjść za Andoranina — dziwniejsze rzeczy działy się, kiedy on był w pobliżu — dam jej dość złota, by mogła sobie kupić farmę czy też co tam będzie chciała. Nie musi być służącą. — Oczy Jalani rozwarły się jak szeroko, a wszystkie trzy kobiety popatrzyły na niego, jakby to on oszalał.

— Sulin postanowiła sprostać swemu *toh*, Randzie al'Thor — oznajmiła zdecydowanie Aviendha. Stała wyprostowana jak struna i patrzyła mu prosto w oczy, całkiem nieźle naśladując Amys. Tylko że z każdym dniem wychodziło jej to coraz bardziej naturalnie; najwyraźniej ten sposób bycia stawał się częścią jej samej. — To nie dotyczy ciebie.

Jalani skinęła głową, wyrażając swe zdecydowane poparcie. Nandera stała tylko bez ruchu, wpatrując się tępo w grot swej włóczni.

— Oczywiście, że mnie dotyczy — poinformował je. — Jeśli Sulin coś się

stanie. . . — Nagle przypomniał sobie wymianę zdań, którą podsłuchał przed wyprawą do Shadar Logoth. Nandera oskarżyła Sulin o przemówienie do *ga'shain* tak, jakby tamta była *Far Dareis Mai*, Sulin zaś zgodziła się z zarzutem i powiedziała, iż zajmą się tym później. Od powrotu z Shadar Logoth nie widział już Sulin, ale założył, że jest do tego stopnia zła na niego, iż zwyczajnie pozostawiła innym obowiązek strzeżenia go. Że też się nie domyślił. Przebywanie przez dłuższy czas z Aielami każdemu wpoiłoby bodaj odrobinę wiedzy o *ji'e'toh*, Panny zaś były jeszcze bardziej drażliwe niżli wszyscy pozostali, wyjąwszy może Kamienne Psy i Czarne Oczy. No i jeszcze była Aviendha oraz jej wysiłki zmienienia go w Aiela.

Sytuacja nie była szczególnie skomplikowana, lecz równie prosta jak wszystko, co wiązało się z *ji'e'toh*. Gdyby nie był tak bardzo skupiony na swoim wnętrzu, pierwszy wiedziałby o wszystkim. Nawet dawnej pani dachu, która nosiła biel *gai'shain*, można było codziennie przypominać, kim była kiedyś — było to bardzo zawstydzające, niemniej dozwolone, czasami nawet zalecane jednak dla członków dziewięciu z trzynastu społeczności takie przypomnienie stanowiło głęboki dyshonor, poza wyjątkowymi zupełnie okolicznościami, których w tej chwili nie potrafił sobie przypomnieć. *Far Dareis Mai* zdecydowanie kwalifikowały się do tej dziewiątki. To, co wybrała Sulin, było jednym z kilku sposobów na wymazanie *toh* względem *gai'shain*, jednak ogólnie rzecz biorąc, uważano tego typu zobowiązanie za najcięższe z istniejących. Najwyraźniej więc Sulin zdecydowała się wyjść naprzeciw swemu *toh*, przyjmując na siebie wstyd większy niżli ten, na jaki w oczach Aielów naraziła tamtą. To było jej *toh*, więc do niej należał wybór, jak długo będzie wykonywała czynności, którymi pogardzała. Któż mógł lepiej znać wartość jej honoru oraz głębię jej zobowiązania niżli ona sama? A jednak zrobiła to, co zrobiła, w pierwszym rzędzie dlatego, że on nie dał jej dość czasu.

— To była moja wina — powiedział.

Zdecydowanie nie powinien tego mówić. Jalani obdarzyła go zaskoczonym spojrzeniem. Aviendha aż zarumieniła się z konsternacji; powtarzała mu przecież bez przerwy, że w sytuacjach, w które zaangażowane jest *ji'e'toh*, nie istnieją żadne wymówki. Jeżeli ratowanie życia dziecka jest równoznaczne ze zobowiązaniem względem wroga krwi, to należy bez wahania zapłacić cenę.

Spojrzenie, jakim Nandera obrzuciła Aviendhę, tylko przy dużej dozie miłosierdzia można było określić jako lekceważące.

— Jak przestanieś śnić na jawie o jego oczach, to będziesz go lepiej uczyła.

Twarz Aviendhy pociemniała z obrazy, a Nandera przekazała jakieś gesty w Mowie Panien Jalani, sprawiając, że tamta odrzuciła głowę do tyłu i zaniosła się śmiechem, natomiast szkarłat policzków Aviendhy nieco pojaśniał. Rand byłby niemal skłonny przypuszczać, że zaraz usłyszy zaproszenie do tańca włóczni. Cóż, być może nie dokładnie to; Aviendha nauczyła go, że ani Mądre, ani ich uczennice nie biorą udziału w takich rytuałach. Nie zdziwiłby się jednak, gdyby

wytargała Nanderę za uszy.

Przemówił więc szybko, aby z góry zapobiec takiemu rozwojowi wydarzeń.

— Ponieważ to ja sprawiłem, że Sulin zachowała się w taki właśnie sposób, to czy w takim razie sam nie mam *toh* wobec niej?

Najwyraźniej dalej potrafił robić z siebie większego jeszcze głupca niżli do tej pory. Aviendha jeszcze mocniej poczerwieniała, natomiast Jalani nagle zainteresowała się bardzo dywanem pod swoimi stopami. Nawet Nandera zdawała się odrobinę zmartwiona jego ignorancją. Można było powiedzieć komuś, że ma względem kogoś innego *toh*, chociaż to samo w sobie już stanowiło obrazę, można też było przypomnieć mu o nim, ale takie pytanie oznaczało, że zwyczajnie o niczym nie wiesz. No cóż, sam przecież zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił. Powinien kazać Sulin porzucić tę idiotyczną pracę służącej, pozwolić jej ponownie włożyć *cadin'sor* i... I nie dopuścić, by sprostowała własnemu *toh*. Zamiast jej ulżyć, naraziłby na szwank jej honor. Jej *toh*, jej wybór. Za tym wszystkim coś się kryło, ale nie potrafił zrozumieć co. Być może powinien zapytać Aviendhę. Zrobi to jednak później jednak, w takim momencie, w którym pytaniem tego typu nie spowoduje, że Aviendha umrze z upokorzenia. Wszystkie trzy kobiety były najwyraźniej zdania, że tym razem zawstydził ją aż nadto, przynajmniej na jakiś czas. Światłości, co za bałagan.

Zastanawiając się, jakie mógłby znaleźć wyjście z tej sytuacji, przypomniał sobie nagle, że wciąż trzyma w ręku list, który przyniosła Sulin. Wsunął go do kieszeni, potem odpiął pas z mieczem i położył na Berle Smoka, wreszcie ponownie wyciągnął pergamin. Któż mógł wysłać do niego wiadomość przez posłańca, który nawet nie zatrzymał się na śniadanie? Z zewnątrz nie było nic, co pomogłoby zidentyfikować nadawcę, żadnego imienia; jedynie kurier, który tak szybko zniknął, mógłby powiedzieć coś na ten temat. Również pieczęć była mu zupełnie nieznana; jakiś rodzaj kwiatu odbitego w purpurowym wosku, jednak sam pergamin był gruby, z pewnością z tych najdroższych. Treść zaś listu, którego słowa skreśliła kobieca ręka eleganckim, pajęczym pismem, przywołała na jego oblicze pełen namysłu uśmiech.

„Kuzynie! Czasy są trudne, czuję jednak, iż muszę napisać do ciebie, aby zapewnić cię o mej dobrej woli i wyrazić nadzieję, iż mogę liczyć na podobne uczucia z twojej strony. Nie obawiaj się, znam cię i uznaję twe prawa, jednak są tacy, którym nie w smak będzie każdy, kto spróbuje zbliżyć się do ciebie, chyba że za ich wstawiennictwem. Nie proszę o nic innego, jak tylko o to, byś zatrzymał me wyznania w ogniu swego serca.

Alliandre Maritha”

— Z czego się tak śmiejesz? — zapytała Aviendha, zerkając z ciekawością na list. Jej ciągle jeszcze wygięte usta świadczyły o gniewie, wywołanym tym, przez co kazał jej przejść.

— Po prostu miło jest czasem dostać od kogoś list z pytaniem, jak ci się wiedzie — odparł. Gra Domów była czymś banalnym w porównaniu z *ji'e'toh*. Wystarczyło samo imię, by wiedział od kogo list pochodzi, jednak gdyby pergamin wpadł w niepowołane ręce, to na pierwszy rzut oka wydawałby się tylko krótką notką do przyjaciela bądź ciepłą odpowiedzią dla starającego się o protekcję. Alliandre Maritha Kigarin, Błogosławiona w Światłości, królowa Ghealdan, z pewnością nie podpisałaby w tak intymny sposób listu skierowanego do kogoś, kogo w życiu nie widziała na oczy, w szczególności zaś do Smoka Odrodzonego. Najwyraźniej martwiły ją Białe Płaszcz w Amadicii, a także Prorok, Masema. Naprawdę powinien coś zrobić z Masemą. Alliandre była ostrożna; nie napisała w liście więcej niżli to było konieczne. I przypominała mu, żeby go spalił. Ogień jego serca. A jednak był to pierwszy raz, kiedy któryś z władców zwrócił się doń, zanim zdążył przyłożyć miecz do gardła jego narodu. Gdybyż teraz jeszcze udało się odnaleźć Elayne i zwrócić jej Andor, nie rozdarty wojną domową.

Drzwi otworzyły się delikatnie, uniósł wzrok znad listu, ale nikogo nie zobaczył, wrócił więc z powrotem do lektury, zastanawiając się, czy udało mu się trafnie odczytać wszystko, co zostało w nim zawarte. Czytając, pocierał palcem nos. Lews Therin i jego gadanie o śmierci. Wciąż nie potrafił pozbyć się tego uczucia, że jest zbrukany.

— Jalani i ja zajmujemy nasze stanowiska za drzwiami — oznajmiła Nandera.

Machinalnie skinął głową, nie odrywając oczu od listu. Thom przypuszczalnie na pierwszy rzut oka odnalazłby w nim parę rzeczy, które mu umknęły.

Aviendha położyła mu dłoń na ramieniu, a potem cofnęła ją.

— Randzie al'Thor, muszę z tobą poważnie porozmawiać.

Nagle wszystko ułożyło mu się w całość. Drzwi się otworzyły. Poczul woń brydu, ale nie było to tylko złudzenie jak poprzednio i nie był to też prawdziwy zapach. Upuścił list, odepchnął od siebie Aviendhę, tak silnie, że aż się przewróciła z głośnym okrzykiem, zaskoczona — jednak znalazła się w ten sposób daleko od niego, daleko od niebezpieczeństwa, a czas nagle jakby zwolnił swój bieg — i obróciwszy się na pięcie, pochwycił *saidina*.

Nandera i Jalani właśnie się odwracały, żeby sprawdzić, dlaczego Aviendha krzyknęła. Rand musiał się naprawdę uważnie rozejrzeć, żeby zobaczyć wysokiego mężczyznę w szarym kaftanie, którego ani Panny, ani on nie dostrzegli, kiedy wślizgiwał się do komnaty; ciemne, pozbawione życia oczy były utkwione w Randzie. Nawet przymuszając się do koncentracji, czuł niemalże fizycznie, że spojrzenie jego oczu chce ześlizgnąć się po postaci Szarego Człowieka. Bo to był właśnie Szary Człowiek, jeden z zabójców Cienia. Kiedy upuszczony list opadał na posadzkę, Szary Człowiek zdał sobie sprawę, że Rand go zauważył. Krzyk

Aviendhy wciąż jeszcze wisiał w powietrzu, ona zaś znajdowała się w półprzysiadzie, chroniąc się przed twardym upadkiem na posadzkę. Szary Człowiek, w którego dłoni błysnął nóż, rzucił się naprzód. Rand z pogardą niemalże pochwycił go splotami Powietrza. I wtedy gruba jak nadgarstek pręga światła przeleciała ponad jego ramieniem i wypaliła w piersi Szarego Człowieka dziurę, w którą mogłaby się zmieścić pięść. Zabójca umarł, zanim zdążył choćby drgnąć; głowa opadła mu na bok, a oczy, nie bardziej martwe niżli przed chwilą, patrzyły wciąż z uporem na Randa.

Był martwy, a więc ten czar, dzięki któremu tak trudno było go dostrzec, przestał działać. Po śmierci stał się równie widoczny jak wszyscy pozostali. Z gardła Aviendhy, która wciąż jeszcze próbowała podnieść się z posadzki, wydobył się zdławiony krzyk, Rand zaś poczuł dreszcz i zrozumiał, że objęła *saidara*. Nandera stłumiła cisnący się na jej usta okrzyk i ręką sięgnęła do zasłony; Jalani zdążyła już zakryć twarz.

Rand pozwolił, by ciało Szarego Człowieka osunęło się na posadzkę, ale nie wypuścił *saidina*, kiedy odwróciwszy się, zobaczył Taima, który pojawił się w drzwiach do sypialni.

— Dlaczego go zabiłeś? — Chłodny i twardy ton głosu jedynie po części wynikał z obojętności sprawowanej przez Pustkę. — Pojmałem go już, mógł mi coś powiedzieć, być może nawet wyjawiłby, kto go wysłał. A poza tym co ty tutaj robisz, dlaczego zakradałeś się przez sypialnię?

Taim podszedł bliżej, z pozoru całkowicie spokojny; miał na sobie czarny kaftan z błękitno-złotymi smokami wyhaftowanymi wokół rękawów. Aviendha wstała wreszcie, i mimo iż obejmowała *saidara*, jej oczy mówiły wyraźnie, że w każdej chwili jest gotowa rzucić się na Taima z nożem trzymanym w dłoni. Nandera i Jalani nie opuściły zasłon; stały przyczajone na czubkach palców, z włócznieami przygotowanymi do rzutu. Taim całkowicie je ignorował; po chwili Rand poczuł, jak Moc opuszcza tamtego. Taim zdawał się nie dbać wcale o to, że Rand wciąż obejmuje *saidina*. Ten szczególny półuśmiech dalej błąkał się na jego ustach, gdy oglądał ciało Szarego Człowieka.

— Paskudne istoty, ci Bezduszni. — Każdy na taki widok zadrżałby przynajmniej, ale nie Taim. — Przeszedłem bramą na twój balkon, ponieważ uznałem, że będziesz chciał natychmiast usłyszeć wieści.

— O kimś, kto za szybko się uczy? — wtrącił Rand, Taim zaś obdarzył go ponownie tym swoim półuśmiechem.

— Nie, nie o żadnym Przeklętym w przebraniu, chyba że udało mu się przybrać postać chłopca nie mającego wiele więcej jak dwadzieścia lat. Nazywa się Jahar Narishma i posiada iskrę wrodzonego talentu, chociaż jeszcze się nie ujawniła. U mężczyzn dzieje się to zazwyczaj później niż u kobiet. Powinieneś odwiedzić szkołę, byłbyś zaskoczony zmianami.

Rand nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Jahar Narishma to nie



było nazwisko andorańskie; na ile się orientował, Podróżowanie nie posiadało żadnych przestrzennych ograniczeń, wychodziło jednak na to, że akcja werbunkowa Taima zataczała doprawdy szerokie kręgi. Nie odpowiedział nic, dalej wpatrywał się w ciało leżące na dywanie.

Taim skrzywił się z irytacją, ale wciąż nie tracił rezonu.

— Wierz mi, ja też żałuję, że nie żyje. Zobaczyłem, jak cię atakuje, i zadziałałem bez namysłu; ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależy, jest twoja śmierć. Pochwyliłeś go w tej samej chwili, gdy przeniosłem, było już za późno, by to zatrzymać.

„Muszę go zabić” — wymamrotał Lews Therin i Rand poczuł, jak w jego wnętrzu wzbiera fala Mocy. Zastygł i ze wszelkich sił próbował odepchnąć *saidina*, a to naprawdę nie było łatwe. Lews Therin próbował przejąć nad nim kontrolę, próbował przenosić. Na koniec wreszcie, powoli, Jedyna Moc wycofała się niczym woda wyciekająca przez dziurawe wiadro.

„Dlaczego? — zapytał. — Dlaczego chcesz go zabić?”

Zamiast odpowiedzi usłyszał tylko szalony śmiech i łkanie cichnące w oddali.

Aviendha patrzyła teraz nań z nieskrywaną troską na twarzy. Schowała nóż, jednak ciarki przebiegające po jego skórze świadczyły o tym, że dalej obejmuje *saidara*. Dwie Panny opuściły zasłony, skoro stało się oczywiste, iż nagłe pojawienie się Taima nie oznacza napaści; w jakiś sposób jednak udawało im się nie spuszczać go z oka i jednocześnie obserwować resztę komnaty, a nawet od czasu do czasu popatrywać na siebie zdumionymi spojrzeniami, w których widać było prośbę o wyjaśnienia.

Rand usiadł na krześle stojącym obok stołu, na którym spoczywał jego miecz i Berło Smoka. Walka trwała jedynie chwilę, jednak w kolanach czuł słabość. Lews Therin omal nie przejął nad nim władzy, omal nie zdobył kontroli nad *saidinem*. Poprzednim razem, w szkole, udało mu się oszukać samego siebie w tej kwestii, teraz to było już niemożliwe.

Jeżeli Taim zauważył cokolwiek, to nie dał nic po sobie poznać. Schylił się, podniósł z posadzki list i podał go Randowi z nieznacznym ukłonem.

Rand wepchnął pergamin do kieszeni. Nic nie było w stanie wstrząsnąć Taimem, nic nie zakłócało jego spokoju. Dlaczego Lews Therin tak bardzo chciał go zabić?

— Kiedy zastanawiam się nad tym, że tak chętnie mówisz o walce z Aes Sedai, zaskoczony jestem, że nie zaproponujesz, abyśmy uderzyli na Sammaela. Ty i ja razem, ewentualnie jeszcze kilku silniejszych uczniów, możemy przejść przez bramę i runąć mu na głowę w Illian. To na pewno Sammael przysłał tego człowieka.

— Być może — uciął krótko Taim, zerkając na Szarego Człowieka. — Dużo bym dał, żeby mieć pewność. Jeżeli zaś chodzi o Illian, wątpię, by było to tak proste jak poradzenie sobie z dwoma Aes Sedai. Cały czas się zastanawiam, co bym zrobił najpierw, będąc na miejscu Sammaela. Zapewne zabezpieczyłbym się,

dzieląc Illian na strefy tak, że jeśli jakikolwiek mężczyzna chociażby pomyślał o przenoszeniu, wiedziałbym od razu dokładnie, gdzie się taki znajduje, a wtedy nawet ziemię w tym miejscu wypaliłbym na popiół, zanim by tamten się zorientował, co się dzieje.

Rand również podobnie myślał o tej kwestii; nikt lepiej od Sammaela nie wiedział, jak bronić swego miejsca. Być może chodziło tylko o to, że Lews Therin był szalony. A może również zazdrosny. Rand próbował wmówić sobie, iż nie unika szkoły wyłącznie dlatego, że on sam był zazdrosny, a jednak w towarzystwie Taima zawsze czuł się nieswojo.

— Dostarczyłeś swą wiadomość. Proponuję więc, byś teraz wrócił i dopatrzył, by ten Jahar Narishma został odpowiednio wyszkolony. Być może wkrótce będziemy musieli skorzystać z jego zdolności.

Ciemne oczy rozblęły na chwilę, a potem Taim lekko skłonił głowę. Bez słowa pochwycił *saidina* i otworzył bramę dokładnie przed sobą. Rand siedział bez ruchu, czując całkowitą pustkę w głowie, póki tamten nie odszedł i brama nie zwinęła się w cienką pręgę światła; nie mógł teraz ryzykować następnego starcia z Lewsem Therinem, skoro groziło mu, że w każdej chwili straci nad sobą kontrolę i opamięta się dopiero podczas walki z Taimem. Dlaczego Lews Therin tak bardzo chciał śmierci tamtego? Światłości, Lews Therin chciał, żeby wszyscy umarli, jego samego nie wyłączając.

Ten ranek był doprawdy brzemienny w wydarzenia, a przecież dzień dopiero się zaczynał, niebo wciąż jeszcze było szare. Usłyszał jednak więcej dobrych wieści niż złych. Ponownie objął spojrzeniem ciało Szarego Człowieka rozciągnięte na dywanie; rana zapewne została zadana w tym samym momencie, gdy trafił je cios energii, ale pani Harfor z pewnością nie omieszka go poinformować, jeżeli na dywanie znajdzie choćby plamkę krwi. Jeśli zaś szło o Mistrzynie Żeglugi Ludu Morza, to jego zdaniem mogła się dalej dusić z irytacji — dosyć miał rzeczy do zrobienia, żeby kłopotać się jeszcze jedną drażliwą kobietą.

Nandera i Jalani wciąż stały przy drzwiach, przestępując z nogi na nogę. Taim już sobie poszedł, więc powinny zająć swe stanowiska na korytarzu.

— Jeżeli wy dwie macie do siebie jakieś pretensje w związku z Szarym Człowiekiem — powiedział — to natychmiast o nich zapomnijcie. Tylko głupiec mógłby uważać, że powinien zauważyć Bezdusznego nawet wtedy, gdy nie pomoże mu w tym przypadek, a żadna z was nie jest głupia.

— To nie o to chodzi — sztywno oznajmiła Nandera. Jalani z całej siły zaciskała usta; najwyraźniej musiała się bardzo ze sobą zmagać, żeby powściągnąć język.

W tym momencie zrozumiał. Wcale nie uważały, że powinny być spozrzec Szarego Człowieka, a mimo to wstydziły się, że im się to nie udało. Wstydziły się i jednocześnie bały tej hańby, jaką się okryją, gdy wieści o ich „porażce” się rozejdą.

— Nie mam zamiaru rozgłaszać, że był tu Taim, ani też tego, co powiedział. Ludzie już i tak się dostatecznie się niepokoją z powodu bliskości szkoły, więc lepiej, żeby nie wiedzieli, iż Taim bądź któryś z jego uczniów niedawno tu był. Myślę, że najlepiej będzie zachować dla siebie wszystkie wydarzenia tego poranka. Nie jesteśmy w stanie usunąć potajemnie ciała, chcę jednak, byście mi obiecały, że nic nikomu nie powiecie, za wyjątkiem tego, że jakiś człowiek próbował mnie zabić i sam przy tym zginął. To właśnie bowiem wszystkim oznajmię i znienawidzę was, jeśli sprawicie, że wyjdę na kłamcę.

Na ich twarzach widział teraz niekłamana wdzięczność.

— Mamy *toh* — wymamrotały.

Rand odkaszlnął ochryple; przecież wcale nie o to chodziło, przynajmniej jednak udało mu się je uspokoić. Nagle przyszedł mu do głowy sposób na rozwiązanie sprawy Sulin. Jej się to z pewnością nie spodoba, ale dzięki temu wciąż będzie mogła sprostać wymogom swego *toh*, być może nawet bardziej, on zaś ulży swemu sumieniu i do pewnego stopnia wymaże *toh*, jakie sam miał względem niej.

— Stańcie teraz na straży, bowiem w przeciwnym wypadku dojdę do wniosku, że to właśnie wy pragniecie oglądać moje oczy. — To właśnie Nandera powiedziała. Aviendha zafascynowana jego oczami? — Idźcie już. I przyslijcie kogoś, kto zajmie się ciałem. — Poszły więc, cały czas uśmiechając się i gestykulując, on zaś wstał i wziął Aviendhę pod ramię. — Powiedziałaś, że musimy porozmawiać. Chodźmy do sypialni, póki nie uprzątną tego pomieszczenia. — Jeżeli okaże się, iż plama jednak powstała, może uda mu się ją wywabić, wykorzystując Moc.

Aviendha wyrwał rękę.

— Nie! Nie tam! — Zrobiła głęboki wdech, a dalej mówiła już łagodniejszym tonem, chociaż wciąż spoglądała podejrzliwie i najwyraźniej dalej była bardziej niżli tylko odrobinę rozszłoszczona. — Dlaczego nie mielibyśmy porozmawiać tutaj? — Nie było innego argumentu przeciw, jak tylko ciało martwego człowieka na dywanie, a to się dla niej nie liczyło. Popchnęła Randa z powrotem na fotel, niemalże gwałtownie, potem patrzyła na niego przez moment, odetchnęła głęboko i przemówiła:

— *Ji'e'toh* stanowi samo serce ludu Aielów. My jesteśmy naszym *ji'e'toh*. Tego ranka zhańbięś mnie całkowicie. — Zaplotła ramiona na piersiach, spojrzała mu prosto w oczy, a potem wygłosiła długi wykład na temat jego ignorancji i konieczności skrywania jej, póki ona sama nie będzie miała możliwości rozproszenia wszelkich wątpliwości w danej kwestii. Następnie zaś przeszła do stwierdzenia, iż *toh* trzeba sprostać niezależnie od kosztów, jakie za sobą pociąga. I dalej przez dłuższy czas mówiła wyłącznie o tym.

Kiedy wcześniej oznajmiła, że musi z nim porozmawiać, był pewien, że nie o tym chce z nim mówić, jednak aż za bardzo podobało mu się spoglądanie w jej oczy, żeby w ogóle się nad tym zastanawiał. Przeanalizował dokładnie to wrażenie przyjemności, jaką mu sprawiał widok jej oczu, i tak długo je w sobie dławił, aż

nie został tylko głuchy ból.

Wydawało mu się, że żaden ślad tej wewnętrznej walki nie odbił się na jego twarzy, jednak musiało być inaczej. Głos Aviendhy powoli cichł, aż wreszcie zamilkł zupełnie. Patrzyła na niego, głęboko oddychając. Z wyraźnym wysiłkiem oderwała wreszcie spojrzenie od jego oczu.

— Przynajmniej teraz coś więcej rozumiesz — wymamrotała. — Muszę... powinnam... Pod warunkiem, że to rozumiesz.

Podkasała spódnice, przebiegła przez komnatę — leżące na jej drodze ciało równie dobrze mogłoby być jakimś pierwszym lepszym krzakiem, który należy ominąć — a potem wypadła na zewnątrz.

Zostawiła go samego w komnacie, która nagle jakby pociemniała, sam na sam z martwym człowiekiem. Wszystko to naprawdę za bardzo do siebie pasowało. Kiedy przyszli *gai'shain*, żeby zabrać zwłoki Szarego Człowieka, zastali Randa śmiejącego się cicho.

Padan Fain siedział ze stopami wspartymi na podnóżku i napawał się widokiem promieni słońca odbijających się od zakrzywionego ostrza sztyletu, który bez końca obracał w dłoniach. Nie wystarczało mu, że nosił go przy pasie; od czasu do czasu po prostu musiał potrzymać go w rękach. Wielki rubin osadzony w głowni błyszczał wrogo. Sztylet stanowił jakby jego część, a może to on był częścią sztyletu. Sztylet należał przecież do Aridhol, miejsca, które ludzie zwali Shadar Logoth, ale przecież on również doń należał. A może było na odwrót. Był szalony i doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale nie dbał o to. Światło słońca odbijało się od stali, obecnie znacznie bardziej śmiercionośnej niżli cokolwiek wykutego w Thakandar.

Usłyszał jakiś szmer i spojrzał w kierunku przeciwległego krańca pomieszczenia, gdzie siedział Myrddraal, oczekujący swojej codziennej porcji przyjemności. Nawet nie próbował spojrzeć mu w oczy, złamał go już dawno temu.

Pragnął nadal przyglądać się klindze, która w jego oczach równała się doskonałemu pięknu śmierci, pięknu tego, czym było niegdyś Aridhol i czym mogło jeszcze się stać, ale Myrddraal rozproszył jego koncentrację. Skaził ją. Omal nie podszedł do niego i nie zabił na miejscu. Półludzie umierali powoli; jak długo to potrwa, jeśli użyje sztyletu? Tamten poruszył się znowu, jakby czytał w jego myślach. Nie, mimo wszystko Myrddraal wciąż jeszcze może się przydać.

W każdym razie i tak miał trudności ze skoncentrowaniem się przez dłuższy czas na jednej rzeczy. Wyjąwszy oczywiście Randa al'Thora. Potrafił wyczuć al'Thora, potrafił wskazać dokładnie, gdzie tamten przebywa. Jakby go szarpał za jakieś niewidzialne sznurki, szarpał tak, że aż bolało. Ostatnimi czasy zresztą pojawiła się pewna różnica w tym doświadczeniu, pojawiła się zupełnie znienacka, niemalże tak, jakby ktoś jeszcze wszedł po części w posiadanie al'Thora, wdarł-

szy się do obszaru posiadania Faina. Nieważne. Al'Thor należał do niego.

Żałował, że nie czuje bólu al'Thora; z pewnością wiele mu go ostatnio zadał. Były to tylko drobne ukłucia, ale dostateczna ich ilość mogła go wysssać do cna. Białe Płaszczki już na serio zawzięły się na „Smoka Odrodzonego”. Ściągnął wargi w grymasie. Mało prawdopodobne, by Pedron Niall miał kiedykolwiek udzielić swego poparcia al'Thorowi, podobnie rzecz się miała w przypadku Elaidy, ale jeśli chodzi o przekłętą Randa al'Thora, lepiej było nie przesądzać niczego z góry. Cóż, rozdrażnił ich już dosyć za pomocą sztuczek, których nauczył się w Aridhol; teraz być może skłonni byliby zaufać własnym matkom, ale na pewno nie al'Thorowi.

Drzwi rozwarły się szeroko i do izby wpadł młody Perwyn Belaman ściągany przez swoją matkę. Nan Belaman była przystojną kobietą, na co zresztą Fain rzadko zwracał uwagę; była nadto Sprzymierzeńcem Ciemności, któremu wydawało się, że przysięgi to tylko taplanie się w nikczemności, dopóki Padan Fain nie stanął na jej progu. Uważała go również za Sprzymierzeńca Ciemności, jednego z wysoko postawionych w hierarchii. Fain, rzecz jasna, daleko już poza to wykroczył; byłby martwy w momencie, w którym jedna z Przyjętych położyłaby na nim swe ręce. Na myśl o tym zachichotał.

Perwyn i jego matka wzdrygnęli się na widok Myrddraala, jednak chłopak pierwszy doszedł do siebie i ruszył w stronę Faina, podczas gdy kobieta wciąż jeszcze z trudem łapała oddech.

— Panie Mordeth, panie Mordeth — zapiszczał odziany w czerwono-biały kaftan chłopak, przestępując z nogi na nogę. Mam wieści, na które pan czeka.

Mordeth. Naprawdę wymienił to imię? Czasami nie potrafił sobie przypomnieć, którego imienia w danym momencie używał albo które z używanych imion naprawdę należało do niego.

— A cóż to za wieści, chłopcze?

— Tego ranka ktoś próbował zabić Smoka Odrodzonego. Mężczyzna. Nie żyje. Udało mu się wejść do jego komnat, wymijając po drodze Aielów i wszystkie pozostałe straże.

Fain poczuł, że jego uśmiech zamienia się w grymas obnażający zęby. Próbowali zabić al'Thora? Al'Thor należał do niego! Al'Thor zginie z jego ręki, żadnej innej! Zaraz. Zabójca wyminął Aielów i dostał się do apartamentów al'Thora?

— Szary Człowiek! — Sam nie rozpoznał w tym skrzypiącym dźwięku własnego głosu. Obecność Szarego Człowieka oznaczała interwencję Wybranych. Czy nigdy nie przestaną mu przeszkadzać?

Cały ten gniew musiał znaleźć jakiegoś ujście w przeciwnym razie groził mu wybuch. Poglądził dłonią twarz chłopca. Ten wytrzeszczył oczy; trząsnął się tak gwałtownie, że aż szczękały mu zęby.

Fain w najmniejszej mierze nie rozumiał, na czym polegają sztuczki, które potrafił wykonać. Przypuszczalnie po części jego zdolności pochodziły od Czar-

nego, po części zaś z Aridhol. W każdym razie, od pewnego momentu, po tym jak już przestał być Padanem Fainem, rozmaite talenty zaczęły się powoli ujawniać. Wiedział tylko, że jest teraz w stanie dokonywać pewnych rzeczy, pod warunkiem, że uda mu się dotknąć tego, na co oddziaływał.

Nan padła na kolana obok krzesła, wbijając dłonie w poły jego kaftana.

— Litości, panie Mordeth — wydyszała. — Proszę, miej litość. On jest tylko dzieckiem. To tylko dziecko!

Przez chwilę wpatrywał się w nią z ciekawością, przekrzywając głowę. Była rzeczywiście całkiem urodziwą kobietą. Oparł but o jej klatkę piersiową i pchnął z całej siły, dzięki czemu mógł powstać z krzesła. Myrddraal, który przypatrywał się wszystkiemu ukradkiem, odwrócił spojrzenie bezokiej twarz w tej samej chwili, kiedy zauważył, że Fain to widzi. Pamiętał bardzo dobrze na czym polegają jego... sztuczki.

Fain zaczął spacerować; odczuwał potrzebę ruchu. Klęska al'Thora musi być jego dziełem — jego! — nie zaś Wybranych. Jak zranić tego człowieka, jak dopieć mu do żywego? Prawda, były te gadatliwe dziewczyny w „Psie Culaina”, ale skoro al'Thor nie przybył do Dwu Rzek, kiedy Fain je nękał, to dlaczego miałyby go obejść, gdyby Fain spalił całą gospodę wraz z obecnymi w niej dziewczątkami? A co miał jeszcze do dyspozycji? Z Synów Światłości, którzy niegdyś należeli do niego, została jedynie garstka. Tak naprawdę tamto stanowiło jedynie próbę — człowieka, któremu uda się zabić al'Thora, doprowadzi do tego, że będzie błagał, aby go żywcem obdarto ze skóry! — próbę, która niestety kosztowała go wiele żywotów. Miał Myrddraala, garść trolloków ukrytych za miastem, kilku Sprzymierzeńców Ciemności zebranych w Caemlyn oraz po drodze z Tar Valon. Więż, która łączyła go z al'Thorem, zaczęła go fascynować. Jeśli chodzi o Sprzymierzeńców Ciemności, nikt nie potrafił odróżnić ich od zwykłych ludzi, on jednak przekonał się ostatnimi czasy, iż potrafi rozpoznać takiego na pierwszy rzut oka, nawet jeśli był to człowiek, który jedynie pomyślał o złożeniu przysięgi Cieniowi; jakby widział piętna wypalone na czołach.

Nie! Trzeba się skoncentrować! Oczyścić umysł. Jego spojrzenie spoczęło na kobiecie, zawodzącej i głaszczącej swego mamroczonego chłopca; przemawiała do niego miękko, jakby to mogło cokolwiek pomóc. Fain nie miał pojęcia, jak zatrzymać działanie sztuczki; kiedy cały proces dobiegnie końca, chłopiec powinien przeżyć, nawet jeśli nie będzie w pełni sprawny. Fain nie włożył w to całego serca. Oczyścić umysł. Pomyśleć o czymś innym. Piękna kobieta. Ile czasu minęło, od kiedy ostatni raz miał kobietę?

Uśmiechając się, wziął ją pod ramię. Musiał ją niemalże siłą odrywać od głupiego chłopaka.

— Chodź ze mną. — Przemówił innym głosem, potężniejszym. Lugardzki akcent zniknął, ale nie zwrócił na to uwagi, nigdy nie zwracał. — Jestem pewien, że wiesz, jak okazać prawdziwy szacunek. Jeżeli mnie zadowolisz, nie stanie ci

się żadna krzywda. — Dlaczego się opierała? Wiedział przecież, że jest czarujący. Będzie musiał jednak zrobić jej krzywdę. Wszystko to wina al'Thora.

# OGIEŃ I DUCH

Nynaeve zatrzymała się w cieniu rozpościerającym się przed frontem Małej Wieży, starannie otarła twarz, a potem schowała chusteczkę z powrotem do rękawa. Osiągnęła niewiele — na czole od razu wystąpiły nowe krople potu — jednak chciała wyglądać najlepiej jak to tylko możliwe. Chciała wyglądać spokojnie i dostojnie. Małe szanse. W skroniach jej łupało, żołądek miała ściśnięty; tego ranka nie była nawet w stanie zjeść śniadania. Oczywiście to wszystko przez ten upał, niemniej miała ochotę wrócić do łóżka, zwinąć się w kłębek i umrzeć. A na dodatek jej wyczucie pogody zawiodło; wedle wszystkich oznak słońce powinny zakrywać czarne chmury niosące ze sobą burzę.

W mężczyznach, którzy wałęsali się u wejścia, trudno było na pierwszy rzut oka rozpoznać Strażników. Przypominali jej Aielów, których widziała w Kamieniu Łzy; zapewne nawet pogrążeni we śnie przypominali wilki. Nagle z Wieży wypadł jakiś łysy mężczyzna o kanciastej twarzy, nie wyższy od niej, chociaż szerokość barków nadawała jego sylwetce niemalże kwadratowy wygląd. Pognał ulicą, nie zważając na to, że rękojeść miecza stercząca zza pleców obija mu się boleśnie o ramię. Nawet on miał na imię Jori, związany był z Morvrin — w jakiś sposób wyglądał identycznie jak tamci.

Obok zauważyła sylwetkę Uno na koniu, całą jakby z poskręcanych węzłów; mozolnie przedzierał się przez tłum i ledwie zdawał się zwracać uwagę na upał, mimo iż miał na sobie stalowy napierśnik. Kiedy okręcił się w siodle i popatrzył na nią bystro, twarz jej pociemniała. Birgitte wszystko rozgadała. Ten mężczyzna najwyraźniej się spodziewał, że poprosi go o konie. Była już niemalże gotowa to uczynić. Nawet Elayne nie mogła się dłużej upierać, że są jeszcze w czymkolwiek przydatne. No cóż, jednak mogła, i tak też robiła, ale z pewnością nie powinna tego czynić.

Uno zniknął jej z oczu za rogiem i Nynaeve odetchnęła z ulgą. Spróbowała przybrać bardziej pokorną minę. Myrelle mogła być w Wieży. Powtórnie otarła twarz, zmarszczyła brwi, patrząc na swe spierzchnięte ręce — dzień dzisiejszy miał być jedenastym dniem szorowania garnków, zostało więc jeszcze dwadzieścia dziewięć; dwadzieścia dziewięć! — i weszła do środka.

W pomieszczeniu stanowiącym wspólną salę niegdysiejszej gospody, prze-



kształconej obecnie w Małą Wieżę, było nieco chłodniej, co przyniosło niejaką ulgę jej skołatanej głowie. Wszyscy nazywali tę izbę „poczekalnią”. Nie zmarnowano tutaj czasu na jakiegokolwiek naprawy. W kominkach brakowało kamieni, przez dziury w gipsie wyzierała słoma. Areina i Nicola wraz z jeszcze jedną nowicjuszką zamiatały, niewielki to jednak przynosiło efekt na szorstkiej ze starości podłodze; twarz Areiny zastygła w ponurym grymasie, ale komu by się podobało, że została zmuszona do wykonywania obowiązków nowicjuszek. Jednak w Sali-darze nikt nie mógł się uchylać od obowiązków. W przeciwległym kącie pomieszczenia Romanda rozmawiała z dwoma szczupłymi, wiekowymi Aes Sedai — na ich obliczach nie odbijał się upływ czasu, a mimo to włosy miały białe jak mleko — najwyraźniej nowo przybyłymi, wnosząc z kurzu pokrywającego płaszcze, których jeszcze nie zdjęły z siebie. Nigdzie nie widać było Myrelle, co sprawiło, iż odetchnęła z ulgą; ta kobieta przypiekała Nynaeve żywym ogniem za każdym razem, gdy się spotkały! Aes Sedai siedziały przy stołach ustawionych w równe rzędy, pochylając się nad pergaminami albo wydając rozkazy Strażnikom, jednak było ich znacznie mniej niżli wówczas, gdy po raz pierwszy weszła do tej izby. Jedynie Zasiadające i ich służba mieszkały teraz w pokojach na piętrach, pozostałych usunięto stąd, aby Aes Sedai miały więcej miejsca do pracy. Mała Wieża przejęła wszystkie atrybuty Białej Wieży, nade wszystko precyzyjny formalizm tamtej. Kiedy Nynaeve po raz pierwszy ujrzała to miejsce, panował w nim zgiełk, atmosfera wytężonej pracy. Ale były to tylko pozory. Teraz wszystko zdawało się niemalże ospałe, ale nadal czuło się tu atmosferę żywcem przeniesioną z Białej Wieży.

Podeszła do jednego ze stołów i ukłoniła się starannie.

— Wybacz mi, Aes Sedai, ale powiedziano mi, że znajdzie tutaj Suan i Leane. Czy mogłabyś mi powiedzieć, gdzie one są?

Pióro Brendas zatrzymało się w swej wędrówce, ona zaś spojrzała w górę chłodnymi, ciemnymi oczami. Nynaeve właśnie ją wybrała, miast którejś z siedzących bliżej drzwi, ponieważ Brendas była jedną z tych nielicznych Aes Sedai, które jej nie zadreślały nie kończącymi się pytaniami o Randa. A poza tym Suan, dawno temu, kiedy jeszcze była Amyrlin, wymieniła Brendas wśród tych, którym można zaufać. Nie miało to zresztą nic wspólnego z tą sprawą, niemniej Nynaeve szukała drobnych pociech tam, gdzie tylko mogła.

— Przebywają w towarzystwie Zasiadających, dziecko. Brendas mówiła dźwięcznym głosem, równie pozbawionym emoeji jak jej blada twarz. Białe rzadko zdradzały swe uczucia, jednak Brendas nie okazywała żadnych, nigdy.

Nynaeve stłumiła pełne irytacji westchnienie. Jeżeli Zasiadające odbierały od nich raporty zebrane przez siatki szpiegowskie, mogło to potrwać jeszcze wiele godzin. Być może nawet spotkanie będzie możliwe dopiero wieczorem. A wtedy będzie musiała zająć się garnkami.

— Dziękuję ci, Aes Sedai.

Brendas gestem dała znak, że nie musi się kłaniać.

— Czy Theodrin odniosła wczoraj jakieś sukcesy w pracy z tobą?

— Nie, Aes Sedai. — Nawet jeśli powiedziała to głosem nieco może zbyt napiętym, nazbyt grzecznym, miała swoje powody. Theodrin oznajmiła jej, że zamierza wypróbować wszelkie metody i najwyraźniej mówiła poważnie. Wczorajsze ćwiczenia obejmowały kilka łyków wina dla rozluźnienia, tylko że Nynaeve jakoś nie potrafiła skończyć na kilku łykach. Chyba nigdy nie będzie w stanie zapomnieć o tym, jak zaniecono ją śpiewającą do pokoju — śpiewającą! — albo wspominać tego faktu bez rumieńca na twarzy. Brendas z pewnością wiedziała. Wszyscy musieli wiedzieć. Nynaeve czuła, że się cała skręca.

— Pytam tylko dlatego, że twoje ćwiczenia zdają się być bardzo męczące. Słyszałam, jak kilka siostr napomykało, że chyba zbliżasz się już do kresu swoich znaczących odkryć. Twoje dodatkowe obowiązki mogą tu stanowić problem... chociaż Elayne każdego właściwie dnia pokazuje nam coś nowego i mimo iż nie przestała prowadzić lekcji, również szoruje garnki. Wiele siostr zastanawia się, czy nie mogłyby okazać się bardziej pomocne niżli Theodrin. Gdybyśmy się zajmowały tobą na zmianę, pracując przez cały dzień, mogłoby to przynieść lepsze efekty, niżli te na poły nieoficjalne lekcje z kimś, kto, mimo wszystko, ma pozycję niewiele bardziej znaczącą od Przyjętej. — Wszystko to powiedziane zostało zupełnie bezbarwnym tonem, bez śladu oskarżenia, jednak Nynaeve poczerwieniała, jakby ją ktoś przed chwilą uderzył.

— Pewna jestem, że Theodrin lada dzień znajdzie klucz do moich problemów, Aes Sedai — niemalże wyszeptła. — Będę się bardziej starać, Aes Sedai. — Pospiesznie skłoniła się i odwróciła, zanim Brendas zdążyła ją zatrzymać. Skończyło się na tym, że wpadła na jedną z nowo przybyłych siwowłosych. Były do siebie na tyle podobne, że mogły być naprawdę siostrami, stanowiły niemalże wzajemne lustrzane odbicia subtelnych rysów i arystokratycznych twarzy.

Zderzenie to nie było tylko lekkim, przypadkowym dotknięciem, zaczęła więc przeproszać, lecz Aes Sedai zmierzyły ją spojrzeniem, z którego nawet sokół byłby dumny.

— Uważaj jak chodzisz, Przyjęta. Za moich czasów Przyjęta, która spróbowała by stratować Aes Sedai, miałyby włosy bielsze niż moje, zanim skończyłyby szorować podłogi.

Druga dotknęła jej ręki.

— Och, pozwól odejść temu dziecku, Vandene. Mamy pracę do wykonania.

Vandene zareagowała na te słowa ostrym parsknięciem, jednak pozwoliła tamtej wyprowadzić się na zewnątrz.

Nynaeve postanowiła zaczekać, aż tamte odejdą na dobre, i wtedy zobaczyła, jak Sheriam wychodzi z jednego z gabinetów w towarzystwie Myrelle, Morvrin i Beonin. Myrelle również ją dostrzegła i ruszyła już w jej kierunku, ale zdążyła zrobić tylko jeden krok, kiedy Sheriam i Morvrin, równocześnie niemal, położyły

swe ręce na jej ramionach i powiedziały do niej coś przyciszonymi głosami, kilkukrotnie zerkając na Nynaeve. Nie przestając rozmawiać, cała czwórka przeszła przez salę i zniknęła za kolejnymi drzwiami.

Dopiero gdy znalazła się ponownie przed frontem Małej Wieży, Nynaeve pozwoliła sobie z rozmysłem mocno szarpnąć za warkocz. Ostatniej nocy spotkały się z Mądrymi. Rozwiązanie zagadki, w jaki sposób tamte powstrzymały Myrelle przed powiedzeniem jej czegoś do słuchu, było aż nazbyt łatwe. Jeżeli Egwene pojawiła się w końcu w Sercu Kamienia, to ona nie miała o tym wiedzieć. Nynaeve al'Meara popadła w niełaskę. Nynaeve al'Meara szorowała garnki niczym nowicjuszką, mimo iż jej status mógł być przynajmniej o jeden stopień wyższy niżli Przyjętej. Nynaeve al'Meara nie czyniła postępów podczas ćwiczeń z Theodrin, a źródło wszystkich jej cudownych odkryć najwyraźniej wyschło. Nynaeve al'Meara nigdy nie zostanie Aes Sedai. Wiedziała, że robią błąd, gdy postanowiły, że wszystko, co wyciągną z Moghedien, będą przekazywać przez Elayne. Wiedziała!

Jej język skręcił się na wspomnienie odrażającego smaku. Gotowany koci bluszcz i sproszkowana mawinia. Sama podała to lekarstwo niezliczonym dzieciom, które nie chciały przestać kłamać. W porządku, sama to zaproponowała, ale to był błąd. Aes Sedai nie mówiły już o jej pomysłach, mówiły o ich braku. Aes Sedai, które zawsze najwyżej przelotnie interesowały się jej blokadą, obecnie zastanawiały się wspólnie, jak ją przełamać. Nie mogła wygrać. W taki czy inny sposób, wszystko skończy się tym, że Aes Sedai będą ją badać od czubka głowy aż po pięty, od świtu do zmierzchu.

Szarpnęła jeszcze mocniej warkocz, tak mocno, aż ją rozbolała skóra na głowie, ale w żaden sposób nie zmniejszyło to jej wewnętrznego rozdygotania. Przechodzący obok żołnierz w płaskim hełmie łuczника i watowanym kaftanie zwolnił i przyjrzał się jej ciekawie, ale odpowiedziała mu tak wrogim spojrzeniem, że aż się zachwiał i szybko wmieszał w tłum. Dlaczego ta Elayne musi być taka uparta?

Poczuła, że na jej ramionach zaciskają się męskie dłonie; odwróciła się, zamierzając użyć takich słów, które wbiją tamtego w ziemię. Ale słowa zamarły jej na ustach.

Thom Merrillin uśmiechał się do niej z za długich, siwych wąsów, błękitne, przenikliwe oczy iskrzyły się w pomarszczonej twarzy.

— Na widok twojej miny, Nynaeve, jestem gotów pomyśleć, że jesteś wściekła, ale przecież wiem, że z racji twego słodkiego usposobienia ludzie proszą cię, byś im swoim palcem mieszała w herbacie.

Juilin Sandar stał obok niego, wsparty na bambusowej pałce; szczupły mężczyzna wyglądał tak, jakby go wyciosano z ciemnego drzewa. Juilin był Tairenianinem, a nie Tarabonianinem, jednak wciąż nosił na głowie ten głupawy kapelusz w kształcie stożka o ściętym wierzchołku, bardziej jeszcze odkształcony, niżli go zapamiętała. Zdarł go z głowy, kiedy nań spojrzała. Obaj mężczyźni byli okryci

kurzem i najwyraźniej zmęczeni po podróży, mieli zapadnięte policzki, chociaż żaden z nich jeszcze przed wyruszeniem w drogę nie wyglądał jak okaz zdrowia. Teraz, widząc ich, była skłonna przypuszczać, że wszystkie te tygodnie, jakie minęły, odkąd opuścili Salidar, spędzili albo w siodle, albo śpiąc w ubraniach.

Zanim Nynaeve zdążyła otworzyć usta, rozpętała się prawdziwa burza. To Elayne rzuciła się Thomowi na szyję tak gwałtownie, że aż się zachwiało. On oczywiście też ją przytulił, podniósł do góry i zakreślił niby dzieckiem, mimo iż jedna z jego nóg nie była przecież do końca sprawna. Kiedy postawił ją z powrotem, twarz miał całą roześmianą, ona też zanosila się chichotem. Szarpnęła go za wąsy, a potem wybuchnęli oboje jeszcze głośniejszym śmiechem. Przyjrzał się badawczo jej dłoniom, bardziej jeszcze spierzchniętym niż u Nynaeve, zapytał, w jakie też kłopoty się wpakowała, kiedy jego nie było na miejscu i nie mógł przypilnować, aby zachowywała się poprawnie i skromnie, ona zaś odrzekła, że nikt jej nie będzie mówił, jak się ma zachowywać, tylko że zepsuła całą kwestię, bo rumieniła się, chichotała i zagryzała wargi.

Nynaeve zrobiła głęboki wdech. Czasami ci dwoje posuwali się zdecydowanie za daleko w tej swojej zabawie w ojca i córkę. Czasami w jego obecności Elayne zachowywała się tak, jakby myślała, że wciąż ma dziesięć lat, on zaś na wszystko jej pozwalał.

— Myślałam, że tego ranka masz zajęcia z grupą nowicjuszek, Elayne.

Tamta spojrzała na nią z ukosa, potem zebrała się w sobie na tyle, by okazać odrobinę przynajmniej godności, i zaczęła wygładzać pomiętą suknię.

— Poprosiłam Calindin, by je za mnie poprowadziła — odrzekła obojętnie. — Postanowiłam dotrzymać ci towarzystwa. I dobrze się stało — dodała, uśmiechając się do Thoma. — Dzięki temu dowiemy się, jakie wieści przywozisz z Amadicii.

Nynaeve parsknęła. Dotrzymać jej towarzystwa, dobre sobie. Nie pamiętała wszystkiego, co wydarzyło się wczoraj wieczorem, była jednak pewna, że Elayne zaśmiewała się, kiedy ją rozbierała i kładła do łóżka, mimo iż słońce jeszcze nie całkiem zaszło za horyzont. I pewna była także, że pamięta, jak tamta zapytała, czy potrzebny będzie jej kubek zimnej wody dla ostudzenia głowy.

Thom niczego nie zauważył; czasami bywał ślepy jak większość mężczyzn, mimo iż zazwyczaj nie brakowało mu przenikliwości.

— Będziemy musieli się spieszyć — zauważył. — Niedawno Sheriam przesłuchała nas dokładnie, wręcz wyżeła nas do sucha. Mało tego, zamierza jeszcze nas nakłonić do złożenia sprawozdania niektórym Zasiadającym. Na szczęście mamy dobre wieści. Wzdłuż Eldar nie ma wielu Białych Płaszcz. Wyjawszy dosyć silne oddziały wzdłuż granicy z Tarabon oraz wojska powstrzymujące pochód zastępów Proroka na północy, Niall najwyraźniej zbiera wszystkie Białe Płaszcze wokół Amadicii. Również Ailron ściga swych żołnierzy. Zanim stamtąd wyjechaliśmy, na ulicach już mówiono o Salidarze, jednak nawet jeśli Niall poświęcił

choćby trochę uwagi tym pogłoskom, to nigdzie nie natknąłem się na nic, co by na to wskazywało.

— Tarabon — mruknął Juilin, wpatrując się w swój kapelusz. — Złe miejsce dla każdego, kto nie potrafi o siebie zadbać, tak przynajmniej słyszeliśmy.

Nynaeve sama już nie wiedziała, który z nich jest bardziej obłudny, była jednak pewna, że obaj potrafią tak zręcznie kłamać w żywe oczy, że kupiec wełniany zzieleniałby z zazdrości. A teraz nie miała najmniejszych wątpliwości, że coś ukrywają.

Elayne udało się z tego zrozumieć więcej niż jej. Chwyciła Thoma za połe kaftana i spojrzała mu prosto w oczy.

— Słyszałeś coś o mojej matce — powiedziała spokojnie i nie było to pytanie. Tom podkręcił wąsa.

— Po każdej ulicy w Amadicii krążą setki plotek, dziecko, każda z nich bardziej zwariowana od poprzedniej. — Jego pomarszczona twarz stanowiła wizerunek nieskalanej wręcz niewinności i otwartości, ale ten mężczyzna nie był niewinny nawet w dniu, w którym się urodził. — Powiadają, że cała Biała Wieża przeniosła się tutaj, do Salidaru, a tysiąc Strażników czeka tylko, by pokonać Eldar. Powiada się, że Aes Sedai zdobyły Tanchico, a Rand ma skrzydła, na których lata nocą po świecie, a...

— Thom? — powiedziała Elayne.

Warknął, potem popatrzył groźnie na Juilina i Nynaeve, jakby to była ich wina.

— Dziecko, to tylko plotka, równie zwariowana jak wszystkie, które słyszeliśmy. Nie potrafiłem niczego potwierdzić, a uwierz mi, że się starałem. Nie chciałem nawet o tym wspominać. To tylko przysporzy ci dodatkowego bólu. Zapomnij o tym, dziecko.

— Thom — powiedziała bardziej zdecydowanie. Przeszczepiając z nogi na nogę Juilin miał taką minę, jakby chciał się znaleźć zupełnie gdzie indziej. Thom zaś tylko spochmurniał.

— No cóż, skoro już koniecznie chcesz wiedzieć... Wszyscy w Amadicii zdają się sądzić, że twoja matka przebywa w Fortecy Światłości i że niebawem wprowadzi armię Białych Płaszczy do Andoru.

Elayne pokręciła głową i zaśmiała się cicho.

— Och, Thom, czy myślisz, że mogłabym to potraktować poważnie? Matka nigdy nie udałaby się do Białych Płaszczy. Żałuję nawet, że się tak nie stało. Nawet gdyby miała w ten sposób pogwałcić wszystko, czego mnie uczyła... wprowadzenie obcych wojsk do Andoru i to na dodatek Białych Płaszczy!... Żałuję, że się tak nie stało. Gdyby jednak życzenia miały skrzydła... — Uśmiechnęła się smutno. — Ja już ją oplakałam, Thom. Matka nie żyje, a ja muszę teraz postępować najlepiej jak potrafię, żeby okazać się jej godną. Ona nigdy nie uwierzyłaby w głupie plotki, ani nad nimi nie płakała.

— Dziecko... — wybąkał Thom.

Nynaeve zastanawiała się, co też on czuje w związku ze śmiercią Morgase, o ile w ogóle coś czuł. A przecież był kiedyś jej kochankiem. Na pewno w tamtych czasach nie wyglądał, jakby go trzymano na słońcu tak długo, aż wysechł. Nynaeve niewiele wiedziała o tym, dlaczego musiał potem uciec z Caemlyn ścigany nakazem aresztowania. Takiego końca miłosnego związku raczej nie uwiecznia się w opowieściach. W tym momencie, kiedy tak klepał Elayne po ramieniu i głaskał ją po głowie, najwyraźniej interesowało go tylko to, czy tamta mówi prawdę, czy też maskuje po prostu swój ból. Gdyby Nynaeve nie wołała, żeby po prostu walczyli na siebie jak normalni ludzie, to zapewne taki obrazek bardzo by się jej spodobał.

Czyjeś kasznięcie przerwało tę sielankę.

— Panie Merrillin? — zapytała Tabitha, rozkładając poły swej białej sukni w płytkim ukłonie. — Panie Sandar? Sheriam Sedai mówi, że Zasiadające gotowe są was przyjąć. Mówi też, że nie powinniście opuszczać Małej Wieży.

— Małej Wieży, doprawdy? — sucho odrzekł Thom, mierząc wzrokiem byłą gospodę. — Elayne, nie mogą nas tam trzymać wiecznie. Kiedy skończymy, ty i ja będziemy mogli pomówić... o czymkolwiek będziesz chciała. — Nakazał gestem Tabicie, że ma iść przodem, po czym ruszył w kierunku wejścia, wyraźnie kulejąc, w taki sposób, w jaki to zawsze czynił, kiedy był zmęczony. Juilin sztywno wyprostował plecy i podążył za nim, jakby siedł na szubienicę. Ostatecznie był przecież Tairenianinem.

Nynaeve i Elayne stały bez ruchu, żadna nawet nie spojrzała na drugą.

Na koniec Nynaeve powiedziała:

— Ja nie... — w tym samym momencie, gdy Elayne zaczęła mówić:

— Nie powinnam... — Obie urwały, a potem przez dłuższy czas w milczeniu wyglądały spodnie i ocierały twarze z potu.

— Jest zbyt gorąco, byśmy tak tutaj stały — powiedziała na koniec Nynaeve.

Było zupełnie nieprawdopodobne, aby Zasiadające, które wysłuchiwały doniesień Sivan i Leane, przerwały, chcąc przepytac Thoma i Juilina. Tego typu obowiązki zazwyczaj dzieliły między siebie. Co pozostawiało jej tylko Logaina, mimo iż nie miała na to najmniejszej ochoty. Niczego się nie nauczy. Lepiej jednak robi, jak się nim zajmie, zamiast czekać z założonymi rękoma, aż kilkanaście Aes Sedai rzuci się na nią z gotowym rozkładem zajęć.

Westchnęła i rozejrzała się po ulicy. Elayne towarzyszyła jej, jakby ją o to poprosiła. Co z kolei pomogło Nynaeve wzbudzić w sobie gniew, którego tak potrzebowała. Nagle spostrzegła, że nadgarstki Elayne są nagie.

— Gdzie bransoleta? — zapytała cicho. Nikt na ulicy i tak nie zrozumiałby o czym mówią, nawet gdyby usłyszał, ale jeśli raz zapomnisz o ostrożności, to potem wejdzie ci to w nawyk. — Gdzie jest Marigan?

— Bransoleta jest w mojej sakwie, Nynaeve. — Elayne odeszła na bok, żeby przepuścić wóz na wysokich kołach, potem wróciła do Nynaeve stojącej obok

innego wozu. — Marigan pierze nasze rzeczy, otoczona przynajmniej dwudziestoma kobietami. I wydaje jęki przy każdym ruchu. Coś jej się wymknęło, bo myślała, że Birgitte tego nie słyszy, ale Birgitte... Musiałam z niej to zdjąć, Nynaeve. Birgitte miała rację, ale to musiało boleć. Kazałam Marigan mówić, że spadła z jakichś schodów.

Nynaeve pociągnęła nosem, niezbyt jednak przejęta. Ostatnimi czasy rzadko nosiła bransoletę. Nie dlatego, że nie podobało jej się, że musi przekazywać tamtym coś, czego nie wymyśliła sama. Wciąż była pewna, że Moghedien musi wiedzieć coś o Uzdrawianiu, nawet jeśli sama nie zdawała sobie z tego sprawy — nikt nie mógł przecież być do tego stopnia ślepy — a poza tym trzeba było ćwiczyć tę sztuczkę z wykrywaniem przenoszenia u mężczyzn, co do której Moghedien twierdziła, iż prawie już ją opanowały. Prawda jednak była taka, że obawiała się, iż sama może zachować się znacznie gorzej niż Birgitte, jeżeli będzie przebywała z tamtą częściej niżli to konieczne. Być może to przez to zadowolenie, kładące się u podstaw wszystkich innych uczuć, które odczuwała w chwilach, gdy tamta krzyczała z bólu, potęgowanego przez Nynaeve ćwiczącą sztukę takiego wykrywania. A może to przez wspomnienia o tym strachu, który czuła, gdy ta kobieta nie nosiła bransolety. Może wzmagający się niesmak na myśl o chronieniu jednej z Przeklętych przed ręką sprawiedliwości. Może po trochu wszystkie te rzeczy. Wiedziała natomiast, że będzie musiała się wziąć w garść i włożyć teraz bransoletę. Wiedziała też, że za każdym razem, gdy widzi twarz Moghedien, ma ochotę uderzyć w nią pięścią.

— Nie powinnam się wtedy śmiać — oznajmiła Elayne. Przepraszam za to.

Nynaeve zatrzymała się jak wrośnięta w ziemię, tak nagle, że jeździec, któremu stanęła na drodze, musiał ściągnąć wodze, żeby na nią nie najechać. Wykrzyknął coś w jej stronę, zanim porwał go potok pieszych, ale była zbyt zdenerwowana, żeby zrozumieć to, co powiedział. Nie była to oczywiście reakcja na przeprosiny Elayne; bała się tego, co musiała powiedzieć. Jediną stosowną rzecz, jaka została do powiedzenia. Prawdę.

Niezdolna spojrzeć Elayne w oczy, ruszyła dalej.

— Miałaś wszelkie prawo się śmiać. Ja... — Z trudem przełknęła ślinę. — Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. — Zrobiła. Kilka łyków, powiedziała Theodrin, najwyżej kubek. A tymczasem opróżniła cały dzban. Jeżeli nie da się uniknąć porażki, to lepiej znaleźć dla niej inne wytłumaczenie niżli to, że się czegoś nie umie. — Powinnaś posłać po wiadro z wodą i zamoczyć w nim moją głowę, póki nie będę w stanie bez pomyłki wyrecytować w całości *Wielkiego Polowania na Róg*. — Zaryzykowała spojrzenie kątem oka. Na policzkach Elayne wykwitły małe plamki czerwieni. Dlatego, że wspomniała o wiadrze.

— Każdemu się to mogło zdarzyć — odparła zdawkowo.

Nynaeve poczuła, jak palą ją policzki. Kiedy przydarzyło się to Elayne, polewała ją wodą tak długo, aż tamta nie wytrzeźwiała.

— Powinnaś była zrobić. . . to co konieczne, abym wytrzeźwiała.

To był najdziwniejszy spór między nimi ze wszystkich, jakie Nynaeve pamiętała — ona upierała się przy tym, że okazała się skończenie głupia i zasłużyła na wszystko, co z tego wynikało, natomiast Elayne wynajdywała dla niej wymówkę za wymówką. Nynaeve nie pojmowała, dlaczego to było takie krzepiące, że brała w ten sposób na siebie całą winę. Nie potrafiła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wcześniej zachowywała się podobnie. Niemalże rozzłościła się na Elayne, ponieważ tamta nie chciała przyznać, że zachowała się jak głupie dziecko. Trwało to do czasu, aż dotarli do małego, krytego strzechą domu, gdzie trzymano Logaina.

— Jeżeli natychmiast nie przestaniesz — oznajmiła na koniec Elayne — to przysięgam, że w tej chwili poślę po wiadro z wodą.

Nynaeve otworzyła usta, potem szybko je zamknęła. Nawet w tej na nowo odkrytej euforii się myliła, posuwała się za daleko. Z tak dobrym samopoczuciem nie mogła zajmować się Logainem. Tak dobre samopoczucie okaże się całkowicie bezużyteczne bez Moghedien i bransolety, a z kolei zbyt dobrze się teraz czuła, żeby ją nakładać. Zerknęła na dwóch Strażników stojących na warcie przy drzwiach osadzonych w kamiennej ościeżnicy. Nie byli dostatecznie blisko, aby je słyszeć, jednak mimo to zniżyła głos.

— Elayne, chodźmy. Niech to się stanie wieczorem. — Skoro Thom i Julin byli w Salidarze, nie było potrzeby prosić Uno o zdobycie koni. — Nie do Caemlyn, jeśli nie chcesz. Do Ebou Dar. Merilille nigdy nie znajdzie tej czary, a Sheriam nie pozwoli nam wyprawić się na jej poszukiwania. Co ty na to? Dziś wieczorem?

— Nie, Nynaeve. Czy przysłużymy się Randowi, jeśli będą nas traktować jako uciekinierki? Bo właśnie nimi się staniemy. Obiecałaś, Nynaeve. Obiecałaś, że jeśli uda nam się coś odkryć. . .

— Obiecałam, że jeśli odkryjemy coś, co będziemy mogły wykorzystać. A odkryliśmy tylko to! — Nynaeve podsunęła tamtej pod nos zwiniętą pięść.

Wyraz zdecydowania zniknął z twarzy Elayne, jej głos również stał się bardziej miękki, zacisnęła usta i wbiła spojrzenie w ziemię.

— Nynaeve, powiedziałam Birgitte, że zostajemy; wiesz o tym przecież. Cóż, wygląda na to, że ona z kolei powiedziała Uno, iż pod żadnym pozorem nie ma dostarczać ci koni, chyba że na wyraźny jej rozkaz. Powiedziała mu, że planujesz ucieczkę. Nie zorientowałam się, póki nie było za późno. — Przekrzywiła z irytacją głowę. — Jeżeli na tym polega posiadanie Strażnika, to nie mam pojęcia, dlaczego one się na to godzą.

Nynaeve miała wrażenie, że z oburzenia zaraz oczy jej wyjdą z orbit. A więc to dlatego tak na nią patrzył. Przepelniająca ją euforia rozviała się niczym mgła w podmuchach wiatru — cóż, po części był to gniew, po części poczucie poniżenia. Ten mężczyzna wiedział, pomyślał sobie, że ona. . . Zaraz. Przez chwilę wpa-



trywała się w Elayne spod zmarszczonych brwi, potem jednak postanowiła nie wypowiadać głośno pytania, które przyszło jej do głowy. Czy Nynaeve była jedyną, na którą Birgitte doniosła Uno, czy może o Elayne też powiedziała? Elayne trafiła jakby do rodziny zastępczej. W Thomie znalazła pobłażliwego ojca, który chciał ją nauczyć wszystkiego, co wiedział, w Birgitte zaś starszą siostrę, która sądziła, że do jej obowiązków należy powstrzymywanie tej młodszej od skręcenia sobie karku przy dosiadananiu konia, którego jeszcze nie ujeździła.

— W takim razie — oznajmiła głosem bez wyrazu — sprawdźmy, czego możemy się nauczyć od Logaina.

Domek był naprawdę niewielki, tylko dwie izby, jednak grube, kamienne ściany zapewniały we wnętrzu względny chłód. Logain, ubrany w samą koszulę, palił fajkę i czytał przy oknie. Aes Sedai dobrze o niego dbały. Stoły i krzesła były porządne jak wszędzie w Salidarze — nic wyszukanego, jednak dobrze zbite, chociaż znowuż nic do niczego nie pasowało — czerwono-złoty dywan zakrywał większą część podłogi tak czysto wyszorowanej, iż Nynaeve wątpiła, by to on sam zajmował się sprząaniem.

Kiedy weszły do środka, odłożył książkę, z pozoru zupełnie nie dbając, iż wcześniej nie zapukały. Podniósł się leniwie, wystukał fajkę, wdział kaftan, a dopiero potem ukłonił się.

— Dobrze jest znowu was widzieć po tak długim czasie. Myślałem, że o mnie zapomnieliście. Czy wypijecie ze mną odrobinę wina? Aes Sedai mnie nie rozpieszczają, jednak to co mi serwują, nie jest wcale takie złe.

Propozycja wypicia wina byłaby już dostatecznym zaskoczeniem — Nynaeve ledwie udało się nie okazać zdziwienia — nawet gdyby miała jeszcze na nie ochotę. Przedtem myślała o Uno; fakt że ten również był mężczyzną wystarczał sam w sobie. Nie było potrzeby dodatkowego rozniecania gniewu myślami o Małej Wieży. Kiedy jednak już o niej pomyślała, jej gniew stosownie wzrósł. Nagle Prawdziwe Źródło było już w zasięgu ręki, niewidzialne ciepło tuż poza polem widzenia. Otworzyła się i przeppełnił ją *saidar*; jeżeli to, co czuła wcześniej, można było określić jako euforię, to teraz opanowała ją ekstaza. Potrafiła się temu poddać, żeby Theodrin szczęła!

— Usiądź — poleciła mu chłodno. — Nie mam czasu na pogaduszki z tobą. Masz tylko odpowiadać na moje pytania.

Logain wzruszył ramionami i zastosował się do rozkazu, pokorny niczym szczenię. Nie, to jednak nie była pokora; w tym uśmiechu kryła się najczystsza obraza. Po części wynikała ona z uczuć, jakie żywił względem Aes Sedai, co do tego Nynaeve nie miała wątpliwości, po części jednak... Obserwował Elayne, która zasiadała właśnie na drugim krześle, układając suknię z wystudiowaną dbałością. Nawet gdyby Nynaeve nie widziała, na co tamten patrzy, to jako kobieta i tak by rozumiała. Nie chodziło o żadne uśmieszki, o żadne pożądlive zerkanie, po prostu... Nynaeve nie wiedziała, o co, czuła tylko, że tamten podobne uczucia

kieruje w jej stronę i nagle zaczęła bardzo wyraźnie uświadamiać sobie, że oto on jest mężczyzną, a ona kobietą. Być może spowodował to fakt, że był tak przy stojny, miał takie szerokie ramiona, jednak przyzwyczajona była lepiej myśleć o samej sobie. Oczywiście, że nie o to chodziło.

Odkasznęła i oplotła go cienkimi włókienkami *saidara* — Powietrze i Woda, Ogień i Ziemia, Duch. Wszystkie żywioły Uzdrawiania, teraz jednak wykorzystane w postaci sondy. Pomogłoby, gdyby mogła położyć na nim swe dłonie, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Wystarczająco nieprzyjemne było to, że musiała dotykać go strumieniami Mocy. Był zdrowy jak byk i niemalże równie silny, niczego mu nie brakowało. . . a jednak czuła jakąś lukę.

Nie była to w istocie żadna luka, raczej poczucie, że coś, co powinno być ciągle, wcale takie nie jest, że to, co wydawało się gładkie i równe, naprawdę jest tylko obrzeżem nieobecności. Znała dobrze to wrażenie, od pierwszych dni, kiedy się nim zajmowała, kiedy jeszcze myślała, że czegoś się może nauczyć. Wciąż przyprawiało ją to o gęsią skórę.

Logain spojrział na nią z uwagą. Nawet nie zauważyła, kiedy przysunęła się bliżej. Jego twarz skrzepła w maskę bezczelnej pogardy — być może nie była Aes Sedai, ale kimś do nich bardzo zbliżonym.

— Jak ty potrafisz robić to wszystko naraz? — zapytała Elayne. — Nie jestem w stanie śledzić połowy twoich poczynań.

— Cicho — wymruczała Nynaeve. Skrywając wysiłek, jaki ją to kosztowało, ujęła szorstkim ruchem głowę Logaina w obie dłonie. Tak. Przy kontakcie fizycznym było znacznie lepiej. Wrażenia stawały się ostrzejsze.

Skierowała pełen strumień *saidara* w miejsce, gdzie powinna być luka — i była niemalże zaskoczona, gdy zrozumiała, że nic tam nie ma. Oczywiście, dalej nie spodziewała się, że się czegoś nauczy. W użytku czynionym z Mocy mężczyźni różnili się od kobiet w takim samym stopniu, jak różni byli od nich cieleśnie, być może nawet bardziej. Równie dobrze mogłaby badać kamień, spodziewając się nauczyć czegoś o rybie. Z trudem udawało jej się koncentrować na tym, co robi, wiedziała, że wykonuje tylko kolejne, wyuczone ruchy, że zwyczajnie zabija czas.

„Ciekawe, co powie Myrelle. Czy zatrzymała wiadomości od Egwene dla siebie?”

Ta pustka, tak niewielka, że mogłaby jej nie dostrzec, a jednocześnie na tyle szeroka, kiedy już wsunęła w nią swe sploty, na tyle rozległa, by wchłonąć je wszystkie.

„Gdybym tylko mogła porozmawiać z Egwene. Założę się, że kiedy się dowie, iż Wieża wysłała poselstwo do Randa, a te Aes Sedai siedzą tylko z założonymi rękami, pomoże mi przekonać Elayne, że tutaj już zrobiliśmy wszystko, co było można”.

Rozległa pustka, nicość. A co z tym wrażeniem, jakie ją przepęłniało, kiedy badała Siuan i Leane, z tym poczuciem, jakby coś zostało odcięte? Mężczyźni

i kobiety mogli być różni, a jednak...

„Wystarczy, jeśli uda mi się z nią porozmawiać. Ona zrozumie, że dla Randa to tylko lepiej, jeśli nas tu nie będzie. Elayne jej posłucha; Elayne sądzi, że Egwene zna Randa lepiej niż ktokolwiek inny”. Jest. Coś odciętego. Tylko wrażenie, ale identyczne jak u Siuan i Leane.

„Tylko jak ją znaleźć? Żeby tak raz jeszcze zajrzała do naszych snów. Założę się, że potrafiłabym ją namówić, żeby się do nas przyłączyła. We trzy zrobiłybyśmy znacznie więcej dobrego dla Randa. Mogłybyśmy mu powiedzieć, czego dowiedziałyśmy się w *Tel'aran'rhiod*, powstrzymać przed zrobieniem jakiejś pomyłki podczas spotkań z Aes Sedai. Ona to zrozumie”.

Coś w związku z odcięciem... Jeżeli zostało uczynione za pomocą Ognia i Ducha, to...

Zrozumiała, co zrobiła, gdy zobaczyła, jak oczy Logaina leciutko się rozszerzają. Oddech uwiązł jej w gardle. Cofnęła się tak gwałtownie, że aż się potknęła o własną suknię.

— Nynaeve — powiedziała Elayne, prostując się na krześle — co się...?

W mgnieniu oka Nynaeve skierowała całą posiadaną moc *saidara* w zbudowaną naprędce tarczę.

— Idź i znajdź Sheriam — rzuciła pospiesznie. — Nikogo, tylko Sheriam. Powiedz jej... — Wciągnęła głęboki oddech, który wydawał się jej pierwszym od wielu godzin; jej serce cwałowało niczym stado koni. — Powiedz, że uzdrowiłam Logaina.

## UZDROWIĆ PONOWNIE

Coś naparło na tarczę, którą Nynaeve ustanowiła między Logainem a Prawdziwym Źródłem. Nacisk narastał, dopóki tarcza nie zaczęła się wyginać, splot zaś zadrżał, niemalże grożąc rozerwaniem. Pozwoliła, by przepływał przez nią *saidar*, słodycz sięgała aż do granic bólu, każdy przeniesiony strumyczek Mocy wplatał się kolejną niteczką Ducha w tarczę.

— Ruszaj się, Elayne! — W ogóle jej nie obeszło, że ten okrzyk brzmiał jak pisk.

Elayne, oby ją Światłość oświeciła, nie marnowała czasu na zadawanie głupich pytań. Poderwała się z krzesła i pobiegła.

Logainowi nie drgnął nawet jeden mięsień. Nie odrywał wzroku od Nynaeve; jego oczy zdawały się jarzyć blaskiem. Światłości, ależ był potężnie zbudowany. Próbowwała wymacać dłonią nóż, który nosiła przy pasie, po chwili zrozumiała bezsens swego zachowania — przypuszczalnie byłby go w stanie jej odebrać bez najmniejszego wysiłku; jego barki zdały się nagle tak szerokie jak ona wysoka — i wtedy przeznaczyła część splotu Powietrza na to, żeby przywiązać go do krzesła, za nogi, za ręce. Wciąż przecież tak samo potężny, jednak nagle zdał się jej bardziej normalny, możliwy do opanowania. Jednak w tym momencie dotarło do niej, że zluzowała część mocy tarczy. A nie potrafiła przenieść nawet odrobiny więcej. . . Czysta radość życia, jaką dawał *saidar*, była tak silna, że niemalże chciało jej się płakać. Uśmiechnął się do niej.

Jeden ze Strażników, ciemnowłosa mężczyzna z wyrazistym nosem i białą blizną przecinającą szczupłą szczękę wsadził głowę przez drzwi.

— Czy coś się stało? Ta druga Przyjęta wybiegła stąd, jakby usiadła na kępie pokrzyw.

— Wszystko jest całkowicie pod kontrolą — poinformowała go chłodno. Tak chłodno jak tylko było ją stać. Nikt nie może wiedzieć. . . nikt! . . . póki nie będzie miała szansy porozmawiać z Sheriam, szansy przeciągnąć ją na swoją stronę. — Elayne po prostu uświadomiła sobie, że o czymś zapomniała. — Zabrzmiało to zupełnie idiotycznie. — Możesz odejść. Jestem zajęta.

Tervail — tak miał na imię, Tervail Dura, związany z Beonin; a jakież, na Światłość, mogło to mieć znaczenie? Tervail obdarzył ją krzywym uśmiechem

oraz szyderczym ukłonem, a potem wycofał się na zewnątrz. Strażnicy rzadko pozwalali Przyjętym zabawiać się w Aes Sedai.

Powstrzymywanie się przed ciągłym oblizywaniem warg kosztowało ją немало wysiłku. Wpatrywała się w Logaina. Na zewnątrz pozostawał całkowicie opanowany, jakby nic się nie zmieniło.

— Nie ma potrzeby tego robić, Nynaeve. Czy sądzisz, że zdecyduję się zaatakować wioskę, w której są setki Aes Sedai? Rozedrą mnie na strzępy, zanim zdołam zrobić dwa kroki.

— Cicho bądź — odrzekła mechanicznie. Macając dłonią za plecami, znalazła krzesło i usiadła na nim, nawet na chwilę nie odrywając odeń wzroku. Światłości, co też zatrzymuje Sheriam? Sheriam powinna zrozumieć, że to był przypadek. Musi zrozumieć! Gniew, który ją przepełniał, stanowił jedyną rzecz, która jeszcze pozwalała jej przetrwać. Jak mogła być tak nieostrożna, zachować się jak zupełna idiotka?

— Nie bój się — powiedział Logain. — Teraz nic im nie zrobię. One są częścią moich planów, niezależnie od tego, czy zdają sobie z tego sprawę, czy nie. Czerwone Ajah są skończone. Za rok nie będzie żadnej Aes Sedai, która odważyłaby się przywdziać Czerwień.

— Powiedziałam, że masz być cicho! — warknęła. — Myślisz, że ci uwierzę, iż to tylko Czerwonych nienawidzisz?

— Wiesz, raz widziałem człowieka, który spowoduje znacznie więcej kłopotów, niżli mnie się kiedykolwiek udało. Może był to Smok Odrodzony, nie mam pojęcia. To było wtedy, kiedy wiozły mnie przez Caemlyn, zaraz po pojmaniu. Znajdował się daleko, ale widziałem. . . poświatę, i zrozumiałem, że to on wstrząśnie światem. Byłem zamknięty w klatce, a mimo to nie mogłem powstrzymać śmiechu.

Oddzieliła niewielką porcję Powietrza od krępujących go więzów i zakneblowała mu usta. Ze złości aż zmrużył oczy, jednak prawie natychmiast się opanował, ona za to nie dbała o nic. Teraz miała go pod kontrolą. W końcu. . . Nawet nie próbował się wyrwać, być może dlatego, że od początku wiedział, iż ona ma zamiar tylko go spętać. Zapewne tak właśnie było. Ale ile wysiłku włożył tak naprawdę w próbę przedarcia się przez tarczę? Tamto pierwsze pchnięcie — było ani szczególnie powolne, z rozmysłem podjęte, z drugiej strony wcale też nie jakieś raptowne. Jakby mężczyzna napinał mięśnie od dawna nie używane, jakby przykładł dłoń nie tyle z zamiarem przesunięcia przedmiotu, ile po to, by poczuć swą powracającą siłę. Ta myśl sprawiła, że jej żołądek zamienił się w bryłę lodu.

Ku jej jeszcze większemu rozdrażnieniu, wyraźnie rozbawiony Logain zmrużył oczy, jakby dokładnie znał myśli przelatujące jej przez głowę. Siedział tam z głupawo rozwartymi ustami, związany i oddzielony tarczą, a jednak to on zachowywał całkowity spokój. Jak mogła być taką idiotką? Jeśli jednak jej blokada załamała się w tej chwili, teraz, to widocznie nie została stworzona po to, by zostać

Aes Sedai. Widocznie jest zbyt słaba, żeby puszczano ją samodzielnie. Birgitte powinna pilnować, by przypadkiem nie upadła twarzą w kurz podczas zwykłego przechodzenia przez ulicę.

Nie robiła tego z rozmysłem, ale to dzięki tym skargom na samą siebie udało jej się podsycać własny gniew, do czasu aż drzwi rozwarły się z łomotem. To nie była Elayne.

Do środka, za Romandą, weszła Sheriam, potem Myrelle, Morvrin i Takima, za nimi Lelaine i Janya, Delana i Bharatine, Beonin, a potem następne, aż wreszcie wypełniły całą izbę. Przez otwarte drzwi, których z powodu panującego ścisku nie było jak zamknąć, Nynaeve mogła dostrzec pozostałe, które stały na zewnątrz. Te, które weszły do komnaty, patrzyły teraz na nią i na jej splot, z taką uwagą, że nie wytrzymała i z wysiłkiem przełknęła ślinę... a wtedy cały jej gniew rozwiął się niczym mgła. A wraz z nim, oczywiście, i tarcza, i więzy krępujące Logaina.

Zanim Nynaeve zdążyła poprosić którąś, aby ponownie oddzieliła go od Źródła, wprost przed nią stanęła Nisao. Mimo iż taka niska, w tym momencie przytoczyła ją.

— Natychmiast mi wytłumacz, co znaczą te bzdury, że niby go Uzdrowiłaś?

— Powiedziała coś takiego? — Logainowi naprawdę udało się odegrać całkowite zaskoczenie.

Varilin niemalże następowała Nisao na pięty. Szczupła, rudowłosa Szara była wyższa od swej siostry, niemal równie wysoka jak Logain.

— Obawiałam się tego od chwili, gdy wszyscy zaczęli chwalić ją za jej odkrycia. Kiedy odkrycia skończyły się, pochwały przestały płynąć, ona zaś musiała wymyślić coś, żeby je znowu usłyszeć.

— To przez to, że jej pozwalano marnować czas nad Sivan i Leane — oświadczyła surowym tonem Romanda. — Oraz nad tym człowiekiem. Powinno się jej powiedzieć, że są przypadki, których nie da się Uzdrowić, i niech się to wszystko nareszcie skończy!

— Kiedy mi się naprawdę udało! — zaprotestowała Nynaeve. — Dokonałam tego! Błagam, oddzielcie go tarczą. Błagam, musicie to zrobić! — Stojące przed nią Aes Sedai odwróciły się, żeby spojrzeć na Logaina, rozstępując się przy tym, dzięki czemu ona również mogła go widzieć. Na wszystkie spojrzenia odpowiadał zupełnie beznamietną miną. Nawet wzruszył ramionami!

— Myślę, że możemy jednak oddzielić go tarczą, przynajmniej póki nie uzyskamy ostatecznej pewności — zaproponowała Sheriam. Romanda pokiwała głową i natychmiast pojawiła się tarcza, tak silna, że byłaby w stanie powstrzymać giganta, a równocześnie poświata *saidara* otoczyła niemalże wszystkie kobiety znajdujące się w izbie. Romanda zaraz zaprowadziła trochę porządku, szybko wywołując z imienia sześć kobiet, które miały podtrzymywać mniejszą, ale wciąż wystarczająco silną tarczę.

Dłoń Myrelle zacisnęła się na ramieniu Nynaeve.

— Wybacz nam, Romanda. Chciałybyśmy porozmawiać z Nynaee na osobności.

Ręka Sheriam zacisnęła się na drugim ramieniu.

— Najlepiej nie odkładać tego na później.

Romanda z roztargnieniem skinęła głową. Spod zmarszczonych brwi patrzyła na Logaina. Podobnie jak większość Aes Sedai, nie miała zamiaru odchodzić.

Sheriam i Myrelle podniosły niemalże Nynaee i popchnęły w kierunku drzwi.

— Co wy robicie? — dopytywała się bez tchu. — Dokąd mnie zabieracie? — Na zewnątrz musiały torować sobie drogę przez tłum Aes Sedai, wśród których wiele patrzyło na nią karcąco, spojrzenia niektórych zaś miały wyraźnie oskarżycielski charakter. Wpadły wreszcie prosto na Elayne, która uśmiechnęła się przepaszająco. Kiedy dwie Aes Sedai wlokły ją za sobą, tak szybko, że aż się potykała, Nynaee cały czas zerknęła przez ramię za siebie. Oczywiście nie spodziewała się pomocy ze strony Elayne, ale mógł to być ostatni raz, kiedy ją widziała. Beonin powiedziała coś do Elayne i ta natychmiast puściła się biegiem przez tłum. — Co macie zamiar mi zrobić? — wyjęczała Nynaee.

— Możemy sprawić, że będziesz szorowała garnki przez resztę swego życia na tym świecie — oznajmiła Sheriam tonem stosownym dla zwykłej towarzyskiej rozmowy.

Myrelle przytaknęła.

— Możesz przez cały dzień pracować w kuchni.

— Albo możemy każdego dnia urządzać ci chłostę.

— Zedrzyć pasami skórę.

— Zamknąć cię w baryłce i karmić przez otwór na szpunt.

— Ale tylko jakąś papką. Zeschniętą papką.

Nynaee poczuła, jak uginają się pod nią kolana.

— To był przypadek! Przysięgam! Nie chciałam tego zrobić!

Sheriam potrząsnęła nią mocno, odrobinę nawet nie zwalniając kroku.

— Nie bądź głupia, dziecko. Być może udało ci się dokonać niemożliwego.

— Wierzycie mi? Wierzycie mi! Dlaczego nic nie powiedziałyście, kiedy Nisao i Varilin, i... Dlaczego nic nie powiedziałyście?

— Powiedziałam „może”, dziecko. — Głos Sheriam brzmiał przygnębiająco obojętnie.

— Inna możliwość — dodała Myrelle — jest taka, że twój umysł doznał przeciążenia od ciągłego napięcia. — Jej oczy mierzyły Nynaee spod ciężkich powiek. — Byłabyś zaskoczona, wiedząc, jak wiele jest Przyjętych, a nawet nowicjuszek, które utrzymują, że odkryły jakiś zapomniany Talent, albo wynalazły nowy. Kiedy ja byłam nowicjuszka, pewna Przyjęta o imieniu Echiko była tak przekonana, że potrafi latać, iż skoczyła ze szczytu Wieży.

Czując beznadziejny zamęt w głowie, Nynaee popatrywała to na jedną kobietę, to na drugą. Wierzą jej czy nie? Czy naprawdę myślą, że przewróciło jej się

w głowie?

„Co, na Światłość, one zamierzają ze mną zrobić?”

Próbowała znaleźć jakieś słowa, które by je przekonały — nie kłamała, nie zwariowała, naprawdę Uzdrawiała Logaina — ale poruszała tylko bezdźwięcznie ustami, kiedy tak gnały razem do Małej Wieży.

Dopiero gdy weszły do pomieszczenia, które kiedyś stanowiło prywatny gabinet, długiego pokoju, w którym stał pod ścianą wąski stół z przystawionymi krzesłami, Nynaeve zdała sobie sprawę, że podąża za nimi niewielki orszak. Kilkanaście Aes Sedai szło, następując im na pięty, Nisao, z ramionami ściśle zaplecionymi na piersiach, Dagdara, wystawiająca podbródek tak, jakby przy jego pomocy zamierzała sforsować ścianę, Shanelle i Therva, i... Same Żółte Ajah, oprócz Sheriam i Myrelle. Widok tego stołu w niewielkim pomieszczeniu kojarzył się z salą sądu, szereg ponurych twarzy przywodził na myśl proces. Nynaeve z trudem przełknęła ślinę.

Sheriam i Myrelle kazały jej stać, same zaś podeszły do stołu, gdzie krótko się naradzały, zwrócone do niej plecami. Kiedy się odwróciły, wyraz ich twarzy dalej pozostawał zagadką.

— Utrzymujesz więc, że Uzdrawiałś Logaina. — W głosie Sheriam zabrzmiała nutka pogardy. — Utrzymujesz, że Uzdrawiałś poskromionego mężczyznę.

— Musicie mi uwierzyć — zaprotestowała Nynaeve. — Powiedziałyście, że wierzycie. — Podskoczyła, kiedy coś niewidzialnego smagnęło ją mocno po biodrach.

— Nie zapominaj się, Przyjęta — zimno napomniała ją Sheriam. — Czy podtrzymujesz swe zdanie?

Nynaeve zapatrzyła się na nią. Jeżeli ktoś tu oszalał, to chyba Sheriam, bo tak bezustannie zmieniała front. A jednak zdobyła się na pełne szacunku:

— Tak, Aes Sedai. — Parsknięcie Dagdary zabrzmiało niczym odgłos dartego płótna.

Sheriam gestem nakazała się uciszyć szemrającym coś bez przerwy Żółtym.

— I powiadasz, żeś dokonała tego przez przypadek. Jeżeli tak ma się sprawa, to przypuszczam, iż nie ma możliwości, abyś dowiodła prawdziwości swych słów, dokonując ponownego Uzdrawienia?

— A niby jak miałyby to zrobić? — zapytała Myrelle, która wyglądała na rozbawioną. Rozbawioną! — Jeżeli przez ślepy traf odgadła właściwe rozwiązanie, jak mogłaby to teraz powtórzyć? Ale nawet to nie ma znaczenia, jeśli naprawdę choćby jeden raz udało jej się tego dokonać.

— Odpowiedz mi! — warknęła Sheriam i niewidzialna witka uderzyła ją powtórnie. Tym razem Nynaeve udało się nie podskoczyć. — Czy jest jakaś szansa, że pamiętasz choćby najmniejszą część tego, co zrobiłaś?

— Pamiętam, Aes Sedai — powiedziała ponuro, gotując się na następny cios. Nie doczekała się, ale teraz już była w stanie dostrzec otaczającą Sheriam poświa-



tę *saidara*. W tym lśnieniu zdawała się tkwić groźba.

Przy drzwiach nastąpiło nieznaczne poruszenie, Carlinya i Beonin przepchnęły się przez szereg Żółtych sióstr, jedna popychała przed sobą Siuan, druga zaś Leane.

— Nie chciały przyjść — powiedziała Beonin tonem pełnym irytacji. — Dacie wiarę? Próbowały nam wmówić, iż są zajęte. — Twarz Leane była zupełnie pozbawiona wyrazu jak u wszystkich Aes Sedai, za to Siuan rzucała ponure, wściekłe spojrzenia na wszystkie, w szczególności zaś na Nynaeve.

W końcu Nynaeve zrozumiała. W końcu wszystko złożyło się w jedną całość. Obecność Żółtych sióstr. Sheriam i Myrelle, które raz jej wierzyły, później zaś zarzucały jej kłamstwo, groziły jej, warczały na nią. Wszystko to było zupełnie zainscenizowane, by wywołać w niej wściekłość, dzięki której byłaby w stanie zademonstrować swe talenty Uzdrawiania na Siuan i Leane, a tym samym dowieść swych umiejętności w obecności Żółtych. Nie, nie tak. Wnioskując z wyrazu ich twarzy, przyszły tutaj, aby obserwować jej porażkę, nie zaś triumf. Nawet nie próbowała skrywać ostrego szarpnięcia, jakie zaaplikowała swemu warkoczowi. W rzeczy samej zrobiła to nawet dwukrotnie, na wypadek, gdyby któraś nie dostrzegła tego za pierwszym razem. Miała ochotę bić je po twarzach. Pragnęła zadać im jakąś taką miksturę z ziół, od której samego zapachu usiadłyby wszystkie na posadzce i załkały jak dzieci. Miała ochotę szarpać je za włosy, a potem dusić je nimi, aż...

— Czy ja muszę znosić te bzdury? — jęknęła Siuan. — Mam ważną pracę do wykonania, ale nawet gdyby chodziło tylko o oprawianie ryb, byłoby to bardziej wa...

— Och, zamknij się — gniewnie wtrąciła Nynaeve. Jeden krok i już ujęła głowę Siuan oburącz, jakby miała zamiar skrócić tamtej kark. Uwierzyła w te idiotyczne groźby, nawet w baryłkę! Manipulowały nią niczym kukielką!

Wypełnił ją *saidar*, a potem przeniosła tak, jak to wcześniej zrobiła w przypadku Logaina, łącząc wszystkie Pięć Mocy. Tym razem wiedziała już, czego szuka — tego prawie nie istniejącego wrażenia, że coś zostało odcięte. Duch i Ogień, żeby zacerować rozdarcie i...

Przez chwilę Siuan patrzyła tylko, z twarzą zupełnie pozbawioną wyrazu. Potem otoczyła ją poświata *saidara*. Wszystkim obecnym w pokoju zapało dech w piersiach. Siuan powoli pochyliła się naprzód i pocałowała Nynaeve w oba policzki. Łza spłynęła po jej twarzy, potem następna, i nagle Siuan zanosła się płaczem, obejmując się ramionami i drżąc; otaczająca ją lśniąca aura zaczęła zanikać. Sheriam szybko podeszła i utuliła ją w ramionach. Sama wyglądała, jakby miała się rozpłakać.

Wszystkie pozostałe obecne w pokoju patrzyły bez słowa na Nynaeve. Wstrząs widoczny na tych opanowanych obliczach Aes Sedai był dostateczną nagrodą, podobnie jak ich wyraźne niezadowolenie. Oczy Shanelle, błady błękit na

tle śniadej twarzy, wyglądały tak, jakby za chwilę miały wyskoczyć z orbit. Nisao zamarła z rozdziawionymi ustami, póki nie zauważyła, że Nynaeve patrzy na nią, i wtedy zamknęła je gwałtownie.

— Co cię skłoniło do użycia Ognia? — zapytała Dagdara zduszonym głosem, który stanowczo zdawał się zbyt cienki jak na tak potężną kobietę. — I Ziemi? Użyłaś Ziemi. Uzdrawianie polega na wykorzystaniu Ducha, Wody i Powietrza. — I w tym momencie na Nynaeve runął istny grad pytań; zadawały je wszystkie, używając innych słów, ale w gruncie rzeczy chodziło im o to samo. Dlaczego zrobiła to w ten sposób?

— Nie mam pojęcia, dlaczego — odpowiedziała Nynaeve, kiedy nareszcie udało jej się wtrącić słowo. — Po prostu to wydawało mi się właściwe. Ja niemal zawsze używam wszystkich Mocy. — To wyznanie znowu wywołało liczne napomnienia. Uzdrawianie to Duch, Woda i Powietrze. Eksperymenty z Uzdrawianiem są niebezpieczne; pomyłka może zabić nie tylko Uzdrawiającą, lecz również pacjenta. Nie odpowiedziała, ale ostrzeżenia ucichły wkrótce, ustępując miejsca ponurym spojrzaniom i zbiorowemu wygładzaniu spódnic; nie zabiła nikogo, za to Uzdrawiała to, co ich zdaniem Uzdrowić się nie dawało.

W uśmiechu Leane było tyle nadziei, że to nieomal bolało. Nynaeve podeszła do niej, również się uśmiechając, ale jej pogoda maskowała rozdrażnienie, które tliło się gdzieś w głębi. Żółte Ajah i ich chełpliwość w kwestii Uzdrawiania. Teraz były gotowe błagać na kolanach, żeby podzieliła się z nimi swą wiedzą. Wiedziała o Uzdrawianiu więcej niżli którakolwiek z nich!

— Teraz patrzcie uważnie. Nie będziecie miały tak szybko następnej okazji, żeby zobaczyć, jak to się robi.

Kiedy tym razem przeniosła, niemal natychmiast poczuła złącze, chociaż nie miała pojęcia, co właściwie łączy. Teraz było inaczej niż z Logainem — i z Siuan zresztą również — ale przecież — nie przestawała sobie powtarzać — mężczyźni i kobiety naprawdę różnili się między sobą.

„Światłości, mam szczęście, że w ich przypadku to działa równie skutecznie jak u niego!”

Co przywiodło ją ostatecznie do niezbyt miłych spekulacji. A jeśli naprawdę pewne rzeczy należy Uzdrawiać w odmienny sposób u kobiet i u mężczyzn? Być może w rzeczywistości wcale nie wiedziała wiele więcej od tych Żółtych?

Leane zareagowała zupełnie inaczej niż Siuan. Żadnych łez. Objęła *saidara* i uśmiechnęła się uszczęśliwiona, potem wypuściła go, ale uśmiech na jej twarzy pozostał. I wtedy otoczyła Nynaeve ramionami i uściskała tak mocno, że aż jej zatrzeszczały żebra, jednocześnie szepcząc:

— Dziękuję ci, dziękuję ci, dziękuję ci — i tak bez przerwy.

— ... użyła Ognia i Ziemi, jakby próbowała wywiercić dziurę w kamieniu. — To była Dagdara.

— Delikatniejsze dotknięcie byłoby znacznie lepsze — zgodziła się Shanelle.

— ...rozumiem teraz, jak Ogień może być skuteczny przy problemach z sercem — powiedziała Therva, pocierając swój długi nos. Beldemaine, pulchna Arfellianka z pasmami siwizny we włosach, pokiwała w zamyśleniu głową.

— ...gdyby Ziemię połączyć w taki sposób z Powietrzem, wtedy, rozumiecie...

— ...Ogień wpleciony w Wodę...

— ..Ziemia przemieszana z Wodą...

Nynaeve patrzyła na to wszystko zupełnie oniemiała. Całkowicie o niej zapomniały. Wydawało im się, że to co im pokazała, potrafią zrobić lepiej od niej samej!

Myrelle poklepała ją po ramieniu.

— Spisałaś się znakomicie — wymruczała. — Nie przejmuj się, jeszcze przyjdzie czas na pochwały. Na razie są jeszcze trochę wstrząśnięte.

Nynaeve parsknęła głośno, jednak żadna z Żółtych nie zwróciła na nią uwagi.

— Mam nadzieję, że ta ostatnia uwaga oznacza, iż nie muszę już szorować garnków.

Sheriam rozejrzała się dookoła z miną wyrażającą zdumienie.

— A skąd ci to przyszło do głowy, dziecko? — Wciąż trzymała w ramionach Siuan, która ocierała oczy koronkową chusteczką, nie mogąc przyjść do siebie. — Gdyby tak każdy mógł łamać każdą zasadę, jaką tylko zechce, gdyby każdy mógł robić, co mu się żywnie podoba, i uniknąć kary tylko dlatego, że uczynił coś dobrego, to na świecie zapanowałby chaos.

Nynaeve westchnęła ciężko. Jak mogła nie wiedzieć.

Z grupki Żółtych wysunęła się Nisao, odkaszlnęła i obdarzyła Nynaeve przelotnym spojrzeniem, w którym można było wyczytać jedynie oskarżenie.

— Przypuszczam, iż to oznacza, że będziemy musiały poskromić Logaina ponownie. — Z tonu jej głosu należało wnosić, że ze wszystkich sił stara się umniejszyć uwagę tego, co się tu przed chwilą wydarzyło.

Wszystkie zaczęły jej przytakiwać i wtedy przemówiła Carlinya, głosem przywodzącym na myśl sopel lodu.

— A możemy? — Skupiła na sobie całą uwagę obecnych, ale spokojnie, rzeczowo ciągnęła dalej. — Z czysto etycznego punktu widzenia, w jaki sposób możemy w ogóle brać pod uwagę ewentualne wspieranie mężczyzny, który może przenosić, mężczyzny zbierającego wokół siebie innych mężczyzn, którzy to również potrafią, a równocześnie zachowywać się tak jak przedtem i poskramiać wszystkich innych, których znajdziemy? Niezależnie od tego, jak się może nam nieszczęsnym w wyniku tego wydawać aktualny stan rzeczy, on będzie postrzegał nas jako coś innego niż Wieża, a co ważniejsze, dostrzeże różnicę dzielącą nas od Elaidy i Czerwonych Ajah. Jeżeli poskromimy jednego mężczyznę, możemy utracić w jego oczach tę pozycję, a wraz z nią naszą jedyną szansę zdobycia nad nim pewnej kontroli, zanim uczyni to Elaida.

Kiedy zamilkła, w izbie zapanowała cisza. Aes Sedai wymieniały zakłopotane spojrzenia, a te, którymi obdarzyły Nynaeve, sprawiły, że przy nich spojrzenie Nisao zdało się być przepelnione życzliwością. Podczas chwytania Logaina kilka siostr straciło życie; nawet jeśli teraz był bezpiecznie odgradzony tarczą, ponownie postawiła przed nimi wszystkie problemy, jakich nastęrczały jego zdolności, a tym razem okoliczności były znacznie bardziej kłopotliwe.

— Myślę, że powinnaś już sobie pójść — powiedziała cicho Sheriam.

Nynaeve nie miała zamiaru się kłócić. Wykonała stosowne ukłony tak szybko i grzecznie jak umiała, a potem już tylko ze wszystkich sił starała się nie biec.

Na zewnątrz Elayne podniosła się z kamiennego schodka.

— Przykro mi, Nynaeve — powiedziała, otrzepując suknię. — Byłam taka podniecona, że wypaplałam wszystko Sheriam, zanim zdałam sobie sprawę, że Romanda i Delana są w środku.

— To nie ma znaczenia — grobowym głosem odrzekła Nynaeve, ruszając w dół zatłoczonej ulicy. Wcześniej czy później i tak by się wszystko wydało. — Jednak to po prostu było nie w porządku.

„Dokonałam czegoś, co ich zdaniem było niemożliwe, a wciąż muszę szorować garnki!”

— Elayne, nie dbam o to, co powiesz, ale my musimy stąd wyjechać. Carlinya mówiła o poddaniu Randa „kontroli”. Ta banda nie jest w niczym lepsza od Elaidy. Thom i Juilin zdobędą dla nas konie, a Birgitte może się ugryźć w nos.

— Obawiam się, że na to jest za późno — żałośnie odrzekła Elayne. — Wieść już się rozniosła.

Larissa Lyndel i Zenare Ghodar runęły na Nynaeve z dwu przeciwnych stron niczym jastrzębie. Larissa była kościstą kobietą o tak zwyczajnych rysach twarzy, że ich pospolitość niemalże przyćmiewała ten charakterystyczny dla Aes Sedai brak śladów upływu lat; Zenare była pulchna i do tego tak wyniosła, że starczyłoby dla dwu królowych. Na twarzach obu zastygł wyraz chciwego oczekiwania. Obie należały do Żółtych Ajah, choć żadnej nie było w gospodzie, gdy Nynaeve Uzdrowiła Siuan i Leane.

— Chcę, żebyś dokładnie pokazała mi wszystko, krok po kroku — powiedziała Larissa, łapiąc ją pod ramię.

— Nynaeve — mówiła Zenare, chwytając drugie ramię — założę się, że odkryję setkę rzeczy, o których nawet nie pomyślałaś, kiedy dostatecznie wiele razy powtórzysz swój splot.

Salita Toranes, Tairenianka niemalże równie smagła jak kobiety Ludu Morza, wyrosła jakby spod ziemi.

— Jak widzę, inne były szybsze. Cóż, niech szczerze ma dusza, jeśli będzie czekała w kolejce.

— Ja byłam pierwsza, Salita — zdecydowanie stwierdziła Zenare. I wzmocniła swój uchwyt.

— To ja byłam pierwsza — oznajmiła Larissa, zaciskając mocniej palce.

Nynaeve rzuciła Elayne spojrzenie pełne najczystszej przerażenia, a w zamian otrzymała jedynie grymas współczucia i wzruszenie ramion. To właśnie miała na myśli Elayne, mówiąc, że jest za późno. Po tym wszystkim nie będzie miała dla siebie ani jednej wolnej chwili.

— ...rozzłoszczona? — pytała Zenare. — Od razu mogę wymienić pięćdziesiąt sposobów, dzięki którym zrobisz się tak rozzłoszczona, że będziesz miała ochotę gryźć kamienie.

— Ja potrafię wymyślić sto — powiedziała Larissa. — Zamierzam rozbić jej blokadę, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

Magla Daronos przepchnęła się przez zgromadzoną wokół Nynaeve grupkę; nie sprawiło jej to szczególnego kłopotu, gdyż była potężnej postury. Wyglądała tak, jakby właśnie przed chwilą odłożyła na bok miecz albo młot kowalski.

— Rozbijesz ją, Larissa? Ha! A mi tu na miejscu przychodzi do głowy kilka sposobów, jak tę blokadę z niej wyrwać.

Nynaeve miała ochotę krzyknąć.

Siuana ledwie potrafiła się powstrzymać przed ciągłym obejmowaniem *saidara*, a potem trzymaniem go w uścisku, ale doszła do wniosku, że jeżeli to uczyni, to zaraz rozplacze się ponownie. A z tego jej nic nie przyjdzie. Poza tym zachowywała się jak jakaś głupia nowicjuszka, robiąc z siebie widowisko na oczach tych wszystkich kobiet tłoczących się wokół niej w poczekalni. Wszelkie wyrazy zdumienia i zadowolenia, cieplejsze pozdrowienia, jakby przez wiele lat przebywała gdzieś w dalekich stronach, spływały niczym balsam na jej duszę; w szczególności sprawiały jej radość wszystkie oznaki żywszych emocji ze strony tych, z którymi się przyjaźniła, zanim została Amyrlin, zanim brak czasu i nawet obowiązków spowodowały ochłodzenie wzajemnych stosunków. Lelaine i Delana objęły ją ramionami, czego nie czyniły od wielu już lat. Tylko z Moiraine była bliżej, tylko z nią, prócz Leane, udawało jej się pozostać blisko, ale w tym przypadku to właśnie obowiązek je do siebie zbliżał.

— Jak to dobrze, że znowu jesteś z nami — śmiała się Lelaine.

— Naprawdę dobrze — szepnęła serdecznym tonem Delana.

Siuana śmiała się i jednocześnie musiała ocierać łzy z policzków. Światłości, co się z nią działo? Nawet jako dziecko nie płakała z taką łatwością!

Może to tylko z radości, że odzyskała *saidara*, że otaczała ją tyle życzliwości. Światłości, to wszystko mogłoby każdego wyprowadzić z równowagi. Dotąd nawet nie ośmieliła się marzyć, że nadejdzie kiedyś taki dzień, a teraz, kiedy tak się stało, zapomniała o wszystkich pretensjach, jakie mogła żywić do tych kobiet, o tym chłodnym dystansie, jaki do tej pory zachowywały względem niej, o tym, jak przywoływały ją do porządku. Linia podziału między Aes Sedai a tymi, które

Aes Sedai nie były, została wykreślona jasno — sama przedtem, zanim została ujarzmiona, kładła na to nacisk, było również oczywiste, iż tak będzie dalej — ona zaś wiedziała, jak, dla ich własnego dobra oraz dla dobra tych, które mogły przenosić, należy postępować z ujarzmionymi kobietami. I tak też postąpiono z nią samą. Jakie to dziwne, że tak już nigdy nie będzie.

Kątem oka dostrzegła Garetha Bryne, który właśnie wbiegał po schodach.

— Przepraszam was na chwilę — powiedziała i pospieszyła za nim.

Starła się iść szybko, ale przez całą drogę do schodów musiała przystawać co dwa kroki, aby odbierać kolejne gratulacje; dogoniła go dopiero na drugim piętrze. Podbiegła i stanęła mu na drodze. Jego prawie już całkiem siwe włosy zmierzwił wiatr, kwadratową twarz i znoszony kaftan o bufiastych rękawach pokrywał kurz. Wyglądał niewzruszenie niczym kamień.

Uniósł do góry zwój dokumentów, powiedział:

— Muszę to natychmiast dostarczyć, Suan — i próbował ją wyminąć.

Rękoma zagroziła mu drogę.

— Zostałam Uzdrowiona. Mogę znowu przenosić.

Pokiwał głową; zwyczajnie tylko pokiwał głową!

— Słyszałem, jak o tym mówiono. Przypuszczam, że to znaczy, iż odtąd będziesz wykorzystywała Moc do prania moich koszul. Być może teraz wreszcie będą czyste. Bo już żałowałem, że tak się łatwo zgodziłem na wyjazd Min.

Patrzyła na niego wytrzeszczonymi oczyma. Ten człowiek nie był głupcem. Dlaczego udawał, że nie rozumie?

— Znowu jestem Aes Sedai. Czy naprawdę oczekujesz, że Aes Sedai będzie się zajmowała praniem twoich rzeczy?

I tylko po to, aby dodać powagi swoim słowom, ujęła *saidara* — ta utracona, a teraz odzyskana słodycz była tak cudowna, że aż przeszył ją dreszcz — owinęła go strumieniami Powietrza i podniosła do góry. To znaczy próbowała go podnieść. Trochę ogłupiała, zaczerpnęła więcej, spróbowała mocniej, póki słodycz nie wpiła się w nią jakby tysiącem igiełek. Jego buty nawet się nie oderwały od podłogi.

To było niemożliwe. Prawda, tak prosta czynność jak podnoszenie do góry jakiegoś przedmiotu należała do najtrudniejszych, gdy się ją wykonywało z użyciem Mocy, ale niegdyś była w stanie podnieść coś, co trzykrotnie przekraczało jej ciężar.

— Czy w ten sposób chcesz wyrzucić na mnie wrażenie spokojnie zapytał Bryne. — Czy też mnie przestraszyć? Sheriam i jej przyjaciółki dały mi słowo, Komnata złożyła swoje obietnice, a co ważniejsze, ty również, Suan, coś mi przyrzekałaś. Nie pozwoliłbym ci odejść ode mnie, nawet gdybyś znowu została Amyrlin. Teraz cofnij to, co przed chwilą zrobiłaś, bowiem w przeciwnym razie, kiedy już się uwolnię, przełożę cię przez kolano i dam ci parę klapsów za twoje dziecinne zachowanie. Bardzo rzadko zachowujesz się jak dziecko, ale nie powinnaś sądzić, że teraz ci na to pozwolę.

Zupełnie oszołomiona, uwolniła Źródło. Nie dlatego, że jej groził — byłby gotów spełnić tę obietnicę, robił to już wcześniej, choć nie za takie głupstwo — ale dlatego, że przeżyła prawdziwy wstrząs, nie mogąc go podnieść. W oczach wezbrało jej tyle łez, że lada chwila mogły wytrysnąć niczym fontanna, ale miała nadzieję, że uwolnienie *saidara* powstrzyma ich napływ. Kilka jednak zdążyło potoczyć się po policzkach, niezależnie od tego, jak mocno mrugała.

Gareth już trzymał jej twarz w swoich dłoniach, zanim w ogóle zdała sobie sprawę, że ruszył się z miejsca.

— Światłości, kobieto, nie mów mi, że cię przestraszyłem. A ja już myślałem, że ciebie nie przerazi nawet groźba wrzucenia do studni pełnej panter.

— Wcale mnie nie przeraziłeś — odparła sztywno. Dobrze chociaż, że wciąż potrafiła kłamać. Szloch wzbierał jej w gardle.

— Musimy wypracować jakiś nowy rodzaj wzajemnych stosunków, który powstrzyma nas przed ciągłym skakaniem sobie do gardeł — powiedział cicho.

— Nie ma żadnego powodu, byśmy razem próbowali cokolwiek wypracować. — Łzy wzbierały w niej niepowstrzymanie. Nie potrafiła stłumić łkania. Och Światłości, żeby tylko on tego nie zobaczył. — Tylko teraz zostaw mnie samą. Proszę, idź już sobie. — I ku jej zdumieniu zawahał się tylko przez moment, zanim zrobił to, o co go poprosiła.

Słyszając jeszcze za plecami odgłos jego kroków, zdołała skrócić do bocznego korytarza, po czym runęły wszystkie bariery i upadła na kolana, płacząc żałośnie. Teraz już wiedziała, co się stało. Alric, jej Strażnik. Jej martwy Strażnik, zamordowany podczas przewrotu Elaidy. Potrafiła wprawdzie kłamać — Trzy Przysięgi dalej nie obowiązywały — jednak jakaś część jej więzi z Alrikim, więzi wzajemnych zobowiązań łączących ciało z ciałem a umysł z umysłem, została nagle wskrzeszona. Ból z powodu jego śmierci, ból z początku przytłumiony przez wstrząs, jaki sama przeżyła, kiedy wszystko wyszło na jaw, potem zaś pogrzebany w mroku ujarznienia, ten ból wypełnił ją teraz bez reszty. Przytulona do ściany zaczęła krzyczeć jak opętana, ciesząc się resztkami przytomności, że nie widzi tego Gareth Bryne.

„Nie mam teraz czasu, aby się zakochiwać, a żeby szczeł!”

Ta myśl podziałała niczym kubeł zimnej wody wylany na głowę. Ból pozostał, lecz łzy przestały płynąć; wyprostowała się niepewnie. Miłość? To było równie nieprawdopodobne jak... jak... Nie potrafiła wymyślić żadnego trafnego porównania. Przecież ten człowiek był zupełnie nieznośny!

Nagle zdała sobie sprawę, że dwa kroki obok stoi Leane, która jej się przypatruje. Siuan z wysiłkiem próbowała otrzeć łzy z twarzy, potem zrezygnowała. Na twarzy Leane nie było nic prócz współczucia.

— Jak dałaś sobie radę ze... śmiercią Anjena, Leane? — Od tego czasu minęło już piętnaście lat.

— Płakałam — odpowiedziała Leane. — Przez pierwszy miesiąc jakoś uda-

wało mi się trzymać w dzień, ale noce spędzałam zwinięta w drżący kłębek na łóżku, bez przerwy płacząc. Póki nie podałam na strzepy prześcieradeł. Przez następne trzy miesiące łzy bez ostrzeżenia napływały mi do oczu. Przeszło rok minął, zanim przestało mnie boleć. Właśnie dlatego nigdy już nie związałam zobowiązaniami nikogo innego. Chyba nie potrafiłabym przejść przez to jeszcze raz. Ale to w końcu mija, Sivan. Uśmiechnęła się łobuzersko. — Teraz jednak sądzę, że poradziłabym sobie z dwoma lub trzema Strażnikami, o ile nie z czterema.

Sivan pokiwała głową. Mogła płakać w nocy. Jeśli zaś chodzi o przekłętego Garetha Bryne. . . Nie było żadnego „jeśli chodzi”. Nie było!

— Czy sądzisz, że są już gotowe? — Miały tylko chwilę, żeby ze sobą porozmawiać. Przynęta musiała zostać zarzucona szybko, albo nie zostanie zarzucona wcale.

— Być może. Miałam za mało czasu. I musiałam postępować bardzo ostrożnie. — Leane urwała. — Jesteś pewna, że dalej chcesz to zrobić, Sivan? To zmienia wszystko, do czego dążyliśmy, nie mając żadnego pojęcia, i. . . nie jestem taka silna jak przedtem, Sivan, ty też nie jesteś. Większość z kobiet tutaj jest w stanie przenieść więcej niżli każda z nas obecnie. Świątłości, sądzę, że nawet niektóre Przyjęte są od nas lepsze, nie mówiąc już o Elayne czy Nynaeve.

— Wiem — przyznała Sivan. Musiały jednak zaryzykować. Tamten drugi plan stanowił tylko namiastkę, przygotowaną, bo przestała być Aes Sedai. Teraz jednak znowu nią była, a wszak zdetronizowano ją przy jedynie nieznacznym ukłonie w stronę prawa Wieży. Skoro ponownie została Aes Sedai, to dlaczego nie miałyby zostać również Amyrlin?

Wyprostowała się i zeszła na dół, by stoczyć bitwę z Wieżą.

Elayne, leżąc na łóżku w samej bieliźnie, stłumiła ziewnięcie i ponownie zabrała się za wcieranie w dłonie kremu, który dała im Leane. Wyglądało na to, że działał; dłonie przynajmniej w dotyku zdawały się bardziej delikatne. Przez otwarte okno wpadały do środka lekkie podmuchy wiatru, sprawiając, że płomień świecy migotał. Jednak jeśli przynosiło to jakąś zmianę, to taką tylko, że pomieszczenie zdawało się jeszcze bardziej rozgrzane.

Do izby weszła chwiejnym krokiem Nynaeve, trzasnęła drzwiami, padła na łóżko i leżała na nim chwilę, patrząc na Elayne.

— Magła jest najbardziej godną pogardy, znenawidzoną i podłą kobietą na całym świecie — wyjęczała. — Nie, Larissa jest jeszcze gorsza. Nie, najgorsza jest Romanda.

— Jak rozumiem, próbowały cię rozżłościć na tyle, byś zaczęła przenosić. — Nynaeve tylko powtórnie jęknęła, co było jak najgorszym objawem, więc Elayne, nie czekając, ciągnęła dalej. — Komu musiałas to wszystko pokazywać? Czekam na ciebie od dawna. Szukałam cię nawet przy obiedzie, ale nigdzie cię nie było.



— Na obiad dostałam jeden pierożek — wymamrotała Nynaeve. — Jeden pierożek! Musiałam wszystko pokazać każdej Żółtej, jaka przebywa w Salidarze, wszystkim co do jednej. Tylko, że to im nie wystarczało. Każda chciała mieć mnie dla siebie. Ustaliły rozkład zajęć. Larissa będzie miała mnie jutro rano... przed śniadaniem!... a Zenare zaraz po nim. Potem... Zupełnie otwarcie omawiały sposoby rozzłoszczenia mnie, traktując mnie jak powietrze! — Uniosła głowę z pościeli; wyglądała na kompletnie zaszczutą. — Elayne, kłóciły się o to, która przełamie moją blokadę. Zachowywały się jak ci chłopcy, którzy w świąteczny dzień bawią się w łapanie natłuszczonego świniaka, i to ja byłam tym świniakiem!

Elayne podała jej słoiczek z kremem, mocno przy tym ziewając, i Nynaeve po chwili przewróciła się na plecy, zabierając się za wcieranie kremu w dłonie. Na domiar wszystkiego miała nadal znajdować czas na szorowanie garnków.

— Przykro mi, że wtedy nie postąpiłam tak, jak chciałaś, Nynaeve. Mogłyśmy utkać dla siebie przebrania tak, jak nas tego nauczyła Moghedien, i przejść tuż obok nich niezauważone. Nynaeve przestała wcierać krem. — O co chodzi, Nynaeve?

— W ogóle mi to nie przyszło do głowy. Ani razu!

— Nie? A ja byłam pewna, że właśnie na tym polega twój plan. Przecież to ty wyciągnęłaś to z Moghedien.

— Staralam się nawet nie myśleć o rzeczach, o których nie mogłybyśmy powiedzieć siostram. — Głos Nynaeve był bezbarwny niczym lód, równie chłodny i twardy. — A teraz jest już za późno. Jestem zbyt zmęczona, żeby przynosić, choćbyś mi nawet wsadziła głowę do ognia, a jeśli im uda się zrealizować to, co zamierzyły, to tak już będzie zawsze. Jedynym powodem, dla którego zwolniły mnie dzisiejszego wieczora, było to, że nie potrafiłam znaleźć *saidara* nawet wówczas, kiedy Nisao... — Wzruszyła ramionami, po czym ponownie zabrała się za wcieranie kremu.

Elayne głośno odetchnęła. Niewiele brakowało, a byłaby sama w to wszystko wdepnęła. Też była zmęczona. Przyznanie się do tego, że postąpiło się źle, zawsze sprawiało, że druga osoba czuła się lepiej, ale ona nie miała zamiaru wykorzystywać *saidara* do tkania przebrań. Bała się od samego początku, że Nynaeve wpadnie właśnie na taki pomysł. Będąc tutaj, mogły ostatecznie mieć na oku poczynania Aes Sedai oraz śledzić ich zamiary, być może nawet przesłać czasem Randowi jakieś informacje za pośrednictwem Egwene, jeśli tamta pojawi się w końcu w *Tel'aran'rhiod*. W najgorszym przypadku mogły wywierać niewielki wpływ na bieg wydarzeń, poprzez osoby Suan i Leane.

Zupełnie jakby myśli o tamtych miały moc wezwania, drzwi otworzyły się i weszły przez nie obie kobiety. Leane niosła drewnianą tacę, na której stała miska zupy, kubek z czerwonego fajansu, lakierowany na biało dzban i chleb. Nawet okryta zielonymi liśćmi gałązka w maleńkim, niebieskim wazonie.

— Suan i ja pomyślałyśmy, że możesz być głodna, Nynaeve. Słyszałam, że

Żółte dosyć bezwzględnie cię wykorzystywały.

Elayne nie wiedziała, czy powinna wstać z łóżka, czy może leżeć. To były tylko Suan i Leane, lecz równocześnie przecież ponownie stały się Aes Sedai. W końcu uznała, że jednak to drugie ma teraz większe znaczenie. A one tymczasem rozwiązały jej problem, zwyczajnie siadając. Suan w nogach łóżka Elayne, Leane na posłaniu Nynaeve. Nynaeve spojrzała na nie podejrzliwie, zanim sama też usiadła, opierając się plecami o ścianę i stawiając sobie tacę na kolanach.

— Słyszałam plotki na temat mowy, którą wygłosiłaś przed Komnatą, Suan — ostrożnie zaczęła Elayne. — Czy powinniśmy się skłonić?

— Pytasz o to, czy jesteśmy znowu Aes Sedai, dziecko? Jesteśmy. Kłóciły się w tej sprawie niczym żony rybaków w niedzielę, ale w końcu tyle nam chociaż przyznały. — Suan wymieniła spojrzenia z Leane i jej policzki lekko pokraśniały. Elayne podejrzewała, że nigdy się nie dowie, na co właściwie tamte się zgodziły.

— Myrelle okazała się na tyle uprzejma, aby mnie potem znaleźć i powiedzieć mi o wszystkim — powiedziała Leane po krótkiej chwili ciszy. — Sądzę, że mam ochotę wybrać Zielone.

Nynaeve zakrztusiła się kolejnym kęsem.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Czy to znaczy, że można zmienić Ajah?

— Nie, ty byś nie mogła — poinformowała ją Suan. — Ale Komnata uradziła, że chociaż obecnie jesteśmy Aes Sedai, to przez jakiś czas nimi nie byłyśmy. A ponieważ one upierały się, że ta bzdura jest całkowicie legalna, wszystkie nasze związki, zobowiązania i tytuły zostały wyrzucone za burtę. — Jej głos brzmiał tak zgrzytliwie, jakby cięła nim drewno. — Jutro zapytam Błękitne, czy zechcą mnie z powrotem. Nigdy jeszcze nie słyszałam, by Ajah kogoś odrzuciły... od momentu, kiedy wynoszą cię do godności Przyjętej, jesteś już kierowana ku właściwym Ajah, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie... ale biorąc pod uwagę obecny stan rzeczy, nie zdziwiłabym się, gdyby mi zatrzasnęły drzwi przed nosem.

— A jaki jest obecny stan rzeczy? — zapytała Elayne. O coś innego tutaj chodziło. Suan oszukiwała, przymuszała, wykręcała ci ramię; nie przynosiła zupy, nie siadała na łóżku i nie plotkowała jak z przyjaciółką. — Sądziłam, że wszystko zmierza ku dobremu, przynajmniej na tyle, na ile można się spodziewać. — Nynaeve obdarzyła ją spojrzeniem, które w jakiś sposób było jednocześnie pełne niedowierzania i nieprzytomne. Cóż, Nynaeve powinna wiedzieć, co tamta ma na myśli.

Suan odwróciła się, żeby móc na nią spojrzeć, ale Nynaeve nie spuściła oczu.

— Przechodziłam obok domu Logaina. Sześć sióstr wciąż utrzymuje jego tarczę, taką samą, jaką zastosowano wówczas, kiedy go pojmano. Próbował się uwolnić, kiedy zrozumiał, iż wiedzą, że został Uzdrawiony, one zaś później powiedziały, że gdyby tarczę podtrzymywało jedynie pięć, to mogłoby mu się udać. A więc jest równie silny jak przedtem, albo prawie tak silny. Ze mną jest inaczej. Podobnie z Suan. Chciałabym, żebyś spróbowała jeszcze raz, Nynaeve.

— Wiedziałam! — Nynaeve rzuciła łyżkę na tacę. — Wiedziałam, że coś się za tym kryje! Cóż, teraz jestem zbyt zmęczona, żeby przynosić, ale nawet gdybym nie była, niczego by to nie zmieniło. Nie można Uzdrowić tego, co zostało Uzdrowione. Wynoście się stąd i zabierzcie waszą wstrętną zupę ze sobą! — Wstrętnej zupy została już nie więcej jak połowa, a miska nie była mała.

— Wiedziałam, że nic z tego! — odwar knęła Suan. — Tego ranka wiedziałam, że ujarznienia nie można Uzdrowić!

— Chwileczkę, Suan — powiedziała Leane. — Nynaeve, czy zdajesz sobie sprawę, czym ryzykujemy, przychodząc tutaj razem? To nie jest jakaś boczna uliczka czy alejka w ogrodzie, gdzie twoja przyjaciółka stoi na straży z łukiem gotowym do strzału; w tym domu pełno jest kobiet z oczyma, które widzą, i językami, które gotowe są o wszystkim donieść. Jeżeli wyjdzie na jaw, że Suan i ja wciągałyśmy wszystkich do naszej gry... i to od równych dziesięciu lat... cóż, dość powiedzieć, że Aes Sedai też można karać, a więc my dwie najpewniej skończymy na jakiejś farmie i będziemy plewić kapustę, dopóki nie posiwieją nam głowy. Przyszłyśmy tutaj do ciebie, mając na względzie to, co dla nas zrobiłaś, aby na nowo ułożyć wzajemne stosunki.

— Dlaczego nie poszłyście do jednej z Żółtych? — zapytała Elayne. — Większość z nich musi teraz wiedzieć równie dużo jak Nynaeve. — Nynaeve spoglądała na nie urażona znad łyżki z zupą. Wstrętną?

Suan i Leane wymieniły spojrzenia. Po chwili Suan przyznała z niechęcią:

— Gdybyśmy poszły do którejś z siostr, wszystkie by się dowiedziały, wcześniej czy później. Gdyby jednak Nynaeve udało się tego dokonać, to być może te, którym chciało się dzisiaj o nas radzić, doszłyby do wniosku, że się pomyliły. Oficjalnie przyjmuje się, że wszystkie siostry są równe, dlatego więc tytuł Amyrlin może otrzymać nawet taka, która potrafi przenieść tylko tyle, ile trzeba do przywdziania szala, ale tak naprawdę przy wyborze Amyrlin i przywódczyni Ajah obyczaj każe ustąpić ci miejsca tej, która jest od ciebie silniejsza.

— Nie rozumiem — odparła Elayne. Z takich wypowiedzi mogła się naprawdę sporo nauczyć; hierarchia miała w jej oczach sens, ale przypuszczała, że była to jedna z tych rzeczy, o których niczego nie dane będzie jej się dowiedzieć na pewno, póki nie zostanie pełną Aes Sedai. W taki czy inny sposób zdołała zgromadzić już dość wskazówek, aby podejrzewać, iż prawdziwa edukacja zaczyna się dopiero od momentu przywdzianiem szala. Gdyby Nynaeve zdołała cię ponownie Uzdrowić, wówczas byłabyś silniejsza.

Leane pokręciła głową.

— Nikt nigdy przedtem nie został Uzdrowiony z Ujarznienia. Być może inne będą postrzegały to tak jak, powiedzmy, bycie dzikuską. A to z kolei stawia cię na pozycji jeszcze niższej niżli ta, jaką daje ci twoja siła. Ale może będzie się liczył fakt, że się było słabszą. Skoro Nynaeve nie udało się Uzdrowić nas w pełni za pierwszym razem, to być może zwróci nam jedynie dwie trzecie uprzedniej

siły, albo tylko połowę. Nawet to byłoby lepsze od tego, czym dysponujemy teraz, ale wciąż większość z tu zgromadzonych byłaby równie silna, a wiele wręcz silniejszych.

Elayne patrzyła na nią, jeszcze bardziej zbита z tropu niż poprzednio. Nynaeve miała taką minę, jakby właśnie otrzymała cios między oczy.

— Liczy się tutaj wszystko — zaczęła wyjaśniać Sivan. Kto uczył się szybciej, kto był krócej nowicjuszka i Przyjętą. Istnieją tu wszelkie odcienie gradacji. Nie da się precyzyjnie określić czyjejs siły. Dwie kobiety mogą się wydawać równie silne; być może są, może nie są, ale jedynym sposobem na uzyskanie takiej pewności byłby pojedynek, a my, Światłości niech będą dzięki, do tego się nie zniżamy. Jeśli Nynaeve nie zwróci nam pełnej siły, narażamy się na ryzyko uzyskania stosunkowo niskiej pozycji.

Leane podjęła temat.

— Hierarchia rzekomo nie kieruje niczym prócz codziennego życia, a jednak tak nie jest. Rada udzielona przez którąś z zajmujących wyższą pozycję liczy się bardziej niżli rada kogoś stojącego niżej. Nie miało to znaczenia w momencie, gdy zostałyśmy Ujarzmione. Wówczas nie miałyśmy żadnej pozycji. To, co powiedziałyśmy, było oceniane wyłącznie ze względu na wartość merytoryczną. Teraz będzie inaczej.

— Rozumiem — powiedziała słabo Elayne. Nic dziwnego, że ludzie powiadali, iż to Aes Sedai wymyśliły Grę Domów! Przy tych subtelnościach *Daes Dae'mar* wydawała się doprawdy prosta.

— Doprawdy miło mi słyszeć, że Uzdrawienie was przyniosło komuś więcej kłopotów niż mnie samej — warknęła Nynaeve. Przyjrzała się z westchnieniem dnu miski, po czym wytarła ją do sucha resztką chleba.

Twarz Sivan pociemniała, udało jej się jednak zachować spokojny ton.

— Przecież widzisz, że obnażyłyśmy się przed wami. I to nie tylko dlatego, żeby cię przekonać, abyś spróbowała ponownego Uzdrawienia. Wróciłaś mi... moje życie. Tak to właśnie jest. Przekonywałam samą siebie, że jeszcze nie jestem martwa, z pewnością jednak byłam, jeśli porównać tamten czas z chwilą obecną. Dlatego przyszłyśmy z Leane, żeby zacząć wszystko od nowa. Mogłybyśmy zostać przyjaciółkami, jeżeli będziecie mnie chciały za taką uważać. Jeżeli nie, wówczas członkiniami załogi tej samej łodzi.

— Przyjaciółkami — powiedziała Elayne. — To słowo podoba mi się o wiele bardziej. — Leane uśmiechnęła się do niej, ale ona i Sivan wciąż obserwowały Nynaeve.

Nynaeve popatrywała to na jedną, to na drugą.

— Elayne zadała wam pytanie, więc ja też mam prawo zadać swoje. Czego Sheriam i te, które z nią były, dowiedziały się od Mądrych zeszłej nocy? Nie próbuj mi wmawiać, że nie wiesz, Sivan. Jestem pewna, że nic, o czym choćby pomyśla, nie jest dla ciebie tajemnicą godzinę po tym jak to nastąpi.

Siuan zacisnęła z uporem usta; spojrzeniem swych głębokich, błękitnych oczu usiłowała onieśmielić Nynaeve. Nagle jęknęła i pochyliła się, by potrzebować kostkę.

— Powiedz im — oznajmiła Leane, cofając nogę — albo ja to zrobię. Wszystko, Siuan.

Siuan popatrzyła z wściekłością na Leane i tak się nadeła, iż Elayne zaczęła się nie na żarty obawiać, że tamta zaraz wybuchnie, jednak w tym momencie jej spojrzenie spoczęło na Nynaeve i wtedy wypuściła powietrze z płuc. Słowa padały z jej ust, jakby wyciągane przemocą, niemniej mówiła.

— Misja poselska od Elaidy dotarła już do Cairhien. Rand spotkał się z nimi, ale wyraźnie traktuje je jak zabawki. A przynajmniej miejmy nadzieję, że tak właśnie jest. Sheriam i pozostałe są podbudowane, ponieważ chociaż raz nie wygłupiły się w oczach Mądrych. A poza tym Egwene będzie uczestniczyć w następnym spotkaniu. — Z jakiegoś powodu ostatnią rzecz zdradziła im z najwyższą niechęcią.

Nynaeve aż pojaśniała, prostując się.

— Egwene? Och, to cudownie! A więc chociaż raz się nie wygłupiły. Zastanawiałam się nawet od niechcienia, dlaczego nie przyszły tutaj, żeby nas zawlec na kolejną lekcję. — Zerknęła na Siuan, ale nawet w tym ukradkowym spojrzeniu widać było wesołość. — Łódź, powiadasz? A kto jest kapitanem?

— Ja nim jestem, ty wstrętna, mała... — Leane chrząknęła, a Siuan urwała i wzięła głęboki oddech. — Dobrze, łódź bez kapitana, wszyscy równo dzielą się obowiązkami i władzą. Jednak ktoś musi sterować — dodała, kiedy Nynaeve już zaczynała się uśmiechać — a tym kimś będę ja.

— W porządku — zgodziła się po dłuższej chwili Nynaeve. Zawahała się znowu, bawiąc łyżką obracaną w palcach, a potem, tak ostrożnie, że Elayne niemalże chciała wyrzucić ręce do góry, zapytała: — Czy jest jakaś szansa, abyście mogły mi... nam... pomóc wydostać się z kuchni? — Ich twarze nie były starsze niżli oblicze Nynaeve, jednak od dawna były już Aes Sedai; miały we krwi to charakterystyczne spojrzenie, którym teraz ją obrzuciły. A jednak, ku zdziwieniu Elayne, Nynaeve pozostała niewzruszona. Zaskoczyło ją, dla odmiany, kiedy ta w końcu powiedziała:

— Przypuszczam, że nie.

— Musimy już iść — oznajmiła Siuan, wstając. — Leane nie potrafiła właściwie ocenić, jakie będą koszty odkrycia. Być może zostaniemy pierwszymi Aes Sedai publicznie obdartymi ze skóry, przy czym ja byłabym pierwszą, która by czegoś takiego pragnęła.

Ku zaskoczeniu Elayne, Leane pochyliła się, żeby ją uściskać, i wyszeptwała:

— Przyjaciółki.

Elayne odwzajemniła uścisk z całą serdecznością i odpowiedziała tym samym słowem.

Leane uściskała również Nynaeve, mrużąc coś, czego Elayne nie dosłyszała,

a potem Siuan zrobiła to samo, jednak jej „dziękuję” zabrzmiało trochę gburowato i niechętnie.

Chyba tylko ona odniosła takie wrażenie, bo kiedy już sobie poszły, Nynaeve powiedziała:

— Mało co, a byłaby się rozpląkała, Elayne. Może naprawdę powiedziała to szczerze. Chyba powinnam być dla niej miłsza. — Westchnęła, ziewnęła, i na koniec wymamrotała: — Szczególnie teraz, kiedy są znowu Aes Sedai. — I to powiedziawszy, zasnęła z tacą na kolanach.

Tłumiąc ziewnięcie wierzchem dłoni, Elayne wstała i złożyła równo wszystkie swoje rzeczy, potem wyjęła tacę z rąk Nynaeve i wsunęła naczynia pod łóżko. Potem rozebrała Nynaeve i ułożyła ją na łóżku; zabrało jej to trochę czasu, ale tamta nawet wówczas się nie obudziła. A kiedy już zdmuchnęła świecę i wtuliła głowę w poduszkę, przez jakiś czas leżała jeszcze całkowicie przytomna, wpatrując się w ciemność i rozmyślając. Rand próbował negocjować z Aes Sedai wysłanymi przez Elaide? Przecież zjedzą go żywcem. Niemalże pożałowała teraz, że nie zgodziła się na propozycję Nynaeve wtedy, kiedy jeszcze istniała szansa powodzenia. Mogła go przeprowadzić przez wszystkie pułapki, jakie tamte na niego zastawia, nie miała w tej kwestii żadnych wątpliwości Thom wydatnie przyczynił się do wzbogacenia wiedzy, w jaką wyposażyła ją matka — a on na pewno by jej posłuchał. Poza tym w ten sposób mogłaby związać go ze sobą więzią. Nie czekała przecież na szal, żeby związać Birgitte, dlaczego więc miałyby czekać w przypadku Randa?

Wierciła się na łóżku, wtulając głębiej w poduszkę. On musiał poczekać. Przebywał w Caemlyn, a nie w Salidarze. Moment, Siuan przecież powiedziała, że był w Cairhien. Jak...? Była zbyt zmęczona, myśli jej umykały. Siuan. Siuan wciąż coś skrywała, nie było najmniejszych wątpliwości.

Wreszcie zmorzył ją sen; przyśniła jej się Leane siedząca na łodzi i flirtująca z mężczyzną, którego twarz wyglądała inaczej za każdym razem, gdy Elayne na nią patrzyła. Na rufie były się ze sobą Siuan i Nynaeve; każda próbowała obrócić ster w innym kierunku — póki Elayne nie zbuntowała się i nie objęła dowództwa. Kapitan mający przed załogą sekrety stanowi dostateczny powód do buntu.

Rankiem Siuan i Leane przyszły jeszcze raz, zanim Nynaeve otworzyła oczy, co samo w sobie było już dostatecznym powodem, aby ta z kolei, obudziwszy się wreszcie, tak się rozzłościła, by móc przenosić. Jednak na nic się to nie zdało. Co już raz zostało Uzdrawione, nie mogło być Uzdrawione ponownie.

— Zrobię co w mojej mocy, Siuan — obiecała Delana, pochylając się, by poklepać ją po ramieniu. Były same w poczekalni, a filiżanki z herbatą stojące na małym stoliku pozostawały nietknięte.

Siuan westchnęła, wyraźnie zdenerwowana, chociaż czego innego mogła

oczekiwać po swym wybuchu na oczach całej Komnaty, tego Delana nie wiedziała. Światło wczesnego poranka wlewało się przez okna, ona zaś myślała o śniadaniu, którego jeszcze nie jadła, ale z Siuan zawsze tak było. Sytuacja była nieco żenująca, Delana zaś nie lubiła być wprawiana w zażenowanie. Nauczyła się już nie dostrzegać oblicza starej przyjaciółki w twarzy tej kobiety — nie było to szczególnie trudne, bowiem tamta nie przypominała w niczym tej Siuan Sanche, którą Delana pamiętała, i nie chodziło tylko o wiek — jednak oglądanie znowu Siuan, Siuan młodej i ślicznej, stanowiło zaledwie pierwsze z całego ciągu wstrząsających zdarzeń. Następnym wstrząs przeżyła wtedy, gdy wraz z pierwszym brzaskiem na jej progu stanęła Siuan prosząca o pomoc; Siuan nigdy nie prosiła o pomoc. A potem doszło do największego wstrząsu, wstrząsu, który przeżywała wciąż na nowo, kiedy spotykała się z Siuan twarzą w twarz, od czasu, jak ta al'Meara dokonała swego niemożliwego cudu. Była teraz silniejsza od Siuan, dużo silniejsza, mimo że przedtem to tamta zawsze miała przewagę; Siuan przewodziła w grupie, kiedy obie były nowicjuszkami, jeszcze zanim nawet zostały Przyjętymi. A jednak to była Siuan, i na dodatek zdenerwowana Siuan, a takiej Delana nigdy wcześniej jej nie widziała. Siuan mogła być zdenerwowana, ale nigdy nie dawała tego po sobie poznać. Rozpraszało ją to do tego stopnia, że nie potrafiła nic więcej zrobić dla kobiety, która wraz z nią kradła kiedyś miodowe ciasteczka i nie raz brała na siebie winę za psoty, za które obie były odpowiedzialne.

— Siuan, na razie mogę zrobić tylko tyle. Romanda będzie bardziej niż zadowolona, mogąc zarekwirować te *ter'angreale* snu do dyspozycji Komnaty. Nie dysponuje dostateczną liczbą głosów Zasiadających, by przeprowadzić taką uchwałę, jeśli jednak Sheriam uzna, że jest inaczej, jeśli Sheriam zorientuje się, że wykorzystujesz swój wpływ na Lelaine i na mnie, aby do tego nie dopuścić, wówczas nie będzie w stanie ci odmówić. Wiem, że Lelaine się zgodzi. Ale z kolei nie rozumiem, dlaczego właściwie chcesz się spotkać z tymi kobietami Aielów. Romanda uśmiecha się niczym kot w spiżarni, obserwując jak Sheriam, cała wściekła, chodzi jak lew w klatce po każdym z tych spotkań. Biorąc pod uwagę twój temperament, zapewne skończy się na tym, że wybuchniesz złością. — Jak to się wszystko zmieniło. Kiedyś nawet by jej nie przyszło do głowy, że mogłaby wypowiedzieć jakąś uwagę na temat usposobienia tamtej; teraz potrafiła mówić o tym, nawet się nie zastanawiając.

Zachmurzone oblicze Siuan rozjaśniło się nagle.

— Miałam nadzieję, że zrobisz coś takiego. Porozmawiam z Lelaine. I z Janyą; sądzę, że Janya pomoże. Musisz jednak się upewnić, że Romanda naprawdę nie podejmuje takich działań. Z tego co wiem, a jest tego niewiele, Sheriam wypracowała wreszcie jakiś sposób radzenia sobie z Aielami. Obawiam się, że Romanda będzie musiała zaczynać od początku. Oczywiście, to może być nieistotne w oczach Komnaty, ale ja z pewnością nie będę chciała spojrzeć na nie po raz pierwszy w sytuacji, gdy zachowują się, jakby miały haki powbijane w skrzela.

Delana ukrywała uśmiech, kiedy odprowadzała Siuan do frontowych schodów i ścisnęła ją na pożegnanie. Tak, to będzie bardzo ważne dla Komnaty, jeśli uda się jakoś opanować te Mądre, chociaż Siuan oczywiście nie mogła o tym wiedzieć. Odprowadziła wzrokiem Siuan szybko zbiegającą po schodach, zanim wróciła do środka. Wychodziło na to, że teraz ona będzie musiała chronić tamtą. Miała nadzieję, że spisze się równie dobrze jak wcześniej przyjaciółka.

Herbata była wciąż ciepła, postanowiła więc wysłać Miesę, swoją służącą, po jakieś pierożki i owoce, kiedy jednak usłyszała nieśmiałe pukanie do drzwi salonu, okazało się, że to nie Miesa, lecz Lucilde, jedna z nowicjuszek, które przywiodły za sobą z Wieży.

Wymizerowana dziewczyna wykonała nerwowy ukłon, ale przecież Lucilde zawsze zachowywała się nerwowo.

— Delana Sedai? Dziś rano przybyła do Salidaru pewna kobieta? Anaiya Sedai powiedziała, że mam ją do ciebie przyprowadzić? Nazywa się Halima Saranov? Mówi, że cię zna?

Delana otworzyła już usta, aby oznajmić, że nie zna żadnej Halimy Saranov, i wtedy ta kobieta pojawiła się w drzwiach. Delana nie pohamowała się i wytrzeszczyła oczy. Przybyła jakimś sposobem wydawała się równocześnie szczupła i tęga; miała na sobie szarą suknię do konnej jazdy z absurdalnie głębokim dekoltem, a długie, lśniące, czarne włosy okalały twarz, w której lśniły zielone oczy, zdolne sprawić zapewne, że każdy mężczyzna szeroko rozdziawiłby usta. Delana, rzecz jasna, nie z tych powodów zareagowała tak gwałtownie. Kobieta trzymała ręce opuszczone wzdłuż boków, jednak kciuki zaplotła pomiędzy dwa pierwsze palce. Delana nie spodziewała się nigdy zobaczyć tego znaku u kobiety, która nie nosiła szala, a Halima Saranov nie potrafiła nawet przynosić. Znajdowała się na tyle blisko, by można to było łatwo wyczuć.

— Tak — powiedziała Delana — zdaje mi się, że ją pamiętam. Zostaw nas, Lucilde i, dziecko, postaraj się pamiętać, że nie każde zdanie jest pytaniem. — Lucilde wykonała ukłon tak pospieszny i głęboki, że omal się nie przewróciła. W innych okolicznościach Delana by westchnęła; z jakichś niewiadomych powodów nigdy nie potrafiła postępować z nowicjuszkami właściwie.

Lucilde nie opuściła jeszcze na dobre izby, gdy Halima przysunęła sobie krzesło, które wcześniej zajmowała Siuan, i usiadła na nim, nie czekając na zaproszenie. Wzięła nietkniętą filiżankę tamtej, założyła nogę na nogę i zaczęła popijać, jednocześnie spod oka obserwując Delanę.

Delana obrzuciła ją twardym spojrzeniem.

— Wyobrażasz sobie, że kim jesteś, kobieto? Niezależnie od tego, jak wysoka jest twoja pozycja, nikt nie stoi wyżej od Aes Sedai. I gdzie się nauczyłaś tego znaku? — Chyba pierwszy raz w jej życiu to spojrzenie nie przyniosło spodziewanego efektu.

Halima uśmiechnęła się do niej szyderczo.



— Czy ty naprawdę sądzisz, że tajemnice... powiedzmy, ciemniejszych Ajah, stanowią jakikolwiek sekret? A jeśli chodzi o twoją pozycję, sama wiesz bardzo dobrze, że jeśli nawet żebrak wylegitymuje się właściwym znakiem, będziesz skakać na jego rozkaz. Opowiadałam wszystkim, że towarzyszyłam w podróży niejakiej Cabrianie Mecandes z Błękitnych Ajah. Tak się złożyło, że Cabriana spadła nieszczęśliwie z konia i umarła, a jej Strażnik zwyczajnie odmówił opuszczenia swych kocy czy choćby przyjęcia kęsa pożywienia po tym wypadku. Wkrótce również umarł. — Halima uśmiechnęła się, jakby chciała zapytać, czy Delana za nią nadaża. — Cabriana i ja rozmawialiśmy dużo przed jej śmiercią; opowiedziałam mi o Salidarze. Dowiedziałam się też od niej mnóstwa ciekawych rzeczy na temat planów Białej Wieży dotyczących was oraz Smoka Odrodzonego. — Kolejny uśmiech, przelotny błysk białych zębów, a potem zajęła się swoją herbatą i obserwowaniem Delany.

Delana nigdy się łatwo nie poddawała. Zmuszała królów do podpisywania traktatów pokojowych, kiedy oni chcieli wojny, brała królowe za kark i wlokła do stołu, przy którym podpisywały układy, jakie podpisać należało. Prawda, okazałyby posłuszeństwo temu hipotetycznemu żebrakowi, gdyby wykonał właściwie znaki i wypowiedział właściwe słowa, jednak znak, jaki Halima wykonała palcami, identyfikował ją jako Czarną Ajah, którą oczywiście nie była. Być może ta kobieta uznała, że to jedyny sposób, by Delana ją przyjęła i potwierdziła jej tożsamość, a być może chciała tylko popisać się zakazaną wiedzą. Delanie Halima bardzo się nie spodobała.

— I to pewnie ja mam zadbać o to, by Komnata uwierzyła w te informacje — odparła burkliwym tonem. — Nie będzie z tym problemu, pod warunkiem, że wiesz dosyć na temat Cabriany, aby uwiarygodnić swoją opowieść. W tej kwestii nie mogę ci pomóc, nie spotkałyśmy się więcej niż dwa razy. Przypuszczam też, że nie istnieje szansa, aby ona pojawiła się znienacka i podważyła twoje słowa?

— Nie ma żadnej szansy. — Znowu ten przelotny, szydrczy uśmiech. — A poza tym wiem o rzeczach, o których ona dawno temu zapomniała.

Delana tylko pokiwała głową. Zabitej siostry zawsze należało żałować, ale mus to mus.

— A więc nie ma problemu. Komnata przyjmie cię w charakterze gościa, a ja mogę cię zapewnić, iż zostaniesz wysłuchana.

— Rola gościa to nie jest coś, na czym mi zależy. Wolałabym coś bardziej trwałego. Twoja sekretarka, albo jeszcze lepiej dama do towarzystwa. Muszę mieć pewność, że Komnata będzie należycie sterowana. Poza tą opowieścią o informacjach Cabriany, od czasu do czasu będę miała dla ciebie też inne polecenia.

— Teraz ty mnie posłuchaj! Ja...!

Halima przerwała jej, nawet nie podnosząc głosu.

— Powiedziano mi, bym wymieniła w twojej obecności pewne imię. Imię, którego od czasu do czasu używam. Arangar.

Delana ciężko opadła na krzesło. To imię pojawiało się w jej snach. Po raz pierwszy od wielu lat Delana Mosalaine zaczęła się naprawdę bać.

# CZERWONY WOSK

Odgłos kopyt czarnego wałacha prawie całkowicie tonął w zgiełku miasta Amadoru, kiedy Eamon Valda jechał powoli po zatłoczonych ulicach. Pot tryskał z każdego pora jego skóry. Miał na sobie doskonale wypolerowany napierśnik, lśniący mimo pokrywającej go warstwy kurzu, a śnieżnobiały płaszcz rozpościęrał się na potężnym zadzie wałacha. Dokładał wszelkich starań, żeby nie zwracać uwagi na kobiety i mężczyzn, a nawet dzieci, z tym wyrazem zagubienia na twarzach i w zniszczonym odzieniu. Nawet tutaj. Nawet tutaj.

Po raz pierwszy w życiu widok wielkich, kamiennych murów Fortecy Światłości, zwieńczonych wieżycami, z których powiewały sztandary, widok tego bastionu prawdy i prawa, nie wpłynął na poprawę jego nastroju. Na głównym dziedzińcu zsiadł z konia, rzucił lejce Synowi wraz z dokładną instrukcją, jak ma zadbać o jego wierzchowca; tamten wiedział oczywiście, co ma robić, jednak Valda zawsze starał się wszystkiego dopatrzeć osobiście. Żołnierze w białych płaszczach tłumnie spieszyli we wszystkie strony, mimo upału dając prawdziwy pokaz energii. Miał nadzieję, że kryje się za tym coś więcej niżli tylko pokaz.

Pojawił się młody Dain Bornhald, biegł truchtem przez dziedziniec, przyciskając dłoń do zakutej w blachę piersi w szczerym salucie.

— Niech cię Światłość oświeca, mój Lordzie Kapitanie. Czy droga z Tar Valon przebiegała dobrze? — Miał nabiegłe krwią oczy, wyraźnie czuć było odeń zapach brandy. Nie ma wymówki usprawiedliwiającej picie w ciągu dnia.

— Z pewnością była szybka — warknął Valda, ściągając rękawice i wpychając je za pas.

To nie chodziło o brandy, chociaż mógłby udzielić tamtemu nagany. Podróż naprawdę przebiegła szybko, jeśli brać pod uwagę dystans, jaki musieli pokonać. W rewanżu miał zamiar ofiarować swemu legionowi noc w mieście, kiedy już skończą rozbijać obóz za jego murami. Przyjechał najszybciej, jak mógł, jednak nie w smak mu były rozkazy wzywające go z powrotem, dokładnie w chwili, gdy jeden silny cios mógł powalić chwiejącą się Wieżę i pogrzebać wszystkie wiedźmy pod jej gruzami. Jazda była doprawdy godna zapamiętania, jednak każdy dzień przynosił coraz gorsze wieści. Al'Thor w Caemlyn. Tak naprawdę to nie miało znaczenia, czy ten człowiek był fałszywym Smokiem, czy prawdziwym; był

w stanie przenosić, a każdy mężczyzna, który to potrafił, musiał być Sprzymierzeńcem Ciemności. Hałastra Zaprzysiężonych Smokowi w Altarze. Tak zwany Prorok i jego szumowiny w Ghealdan, w samej Amadicii.

W końcu udało mu się pozabijać trochę tego śmiecia, chociaż naprawdę nie jest łatwo walczyć z wrogiem, który częściej podawał tyły niżli dotrzymywał pola; który mógł się ukryć w mrowiu uchodźców. A co najgorsze, tym wrogiem byli bezmózdzy włóczędzy, którym się zdawało, że al'Thor wywrócił cały porządek do góry nogami. Jednak udało mu się w końcu znaleźć rozwiązanie, nawet jeśli nie było ono całkiem zadowalające. Wzdłuż dróg, którymi wędrował jego legion, stały teraz szubienice, a kruki miały tyle jadła, że omal nie pękały. Skoro nie dało się odróżnić szumowin Proroka od włóczędów, to w takim razie, no cóż, należało zabić wszystkich, którzy stawali na drodze. Ci, którzy są bez winy, powinni zostawać w swoich domach, gdzie ich miejsce; Stwórca ich ochroni. Valda uważał zresztą, że pozbycie się włóczędów przyniesie tylko dodatkową korzyść.

— Słyszałem w mieście, że jest tu Morgase — powiedział. Nie wierzył w te plotki. . . większość plotek krążących po Andorze koncentrowała się wokół pytania: kto zabił królową? . . . Zaskoczony był więc, gdy Dain skinął głową.

Zaskoczenie zmieniło się w niesmak, kiedy młodzieniec zaczął paplać o apartamentach Morgase, o jej polowaniach, o tym jak dobrze jest traktowana, o tym, że lada dzień podpisze traktat z Synami. Valda nachmurzył się zupełnie otwarcie. Nie powinien spodziewać się niczego innego ze strony Nialla. W swoim czasie ten człowiek był jednym z najlepszych żołnierzy i wszyscy jak jeden mąż uznawali go za wielkiego dowódcę, teraz jednak postarzał się i stał się miękki. Valda zrozumiał to w momencie, kiedy rozkazy tamtego dotarły do Tar Valon. Już po otrzymaniu pierwszej wieści o al'Thorze Niall powinien był ruszyć całą dostępną siłą na Łzę. W marszu zdołałby pozyskać dowolną liczbę zwolenników; całe kraje garnęłyby się pod sztandary Synów Światłości przeciwko fałszywemu Smokowi. Powinny, w każdym razie. Teraz al'Thor przebywał w Caemlyn i był na tyle silny, żeby przerazić wszystkie trwożliwe serca. Za to Morgase była tutaj. Gdyby to on miał Morgase, to zmusiłby ją do podpisania tego traktatu pierwszego dnia po jej przyjeździe, nawet gdyby musiał siłą prowadzić jej uzbrojoną w pióro dłoń po pergaminie. Na Światłość, nauczyłby ją skakać na samą komendę: „Skacz”. A gdyby wzbraniała się przed powrotem do Andoru na czele Synów, to przywiązałby jej ręce do jakiegoś kija. Taki właśnie sztandar prowadziłyby wojsko maszerujące na jej kraj.

Dain stał bez ruchu obok, czekał. Bez wątplenia żywił nadzieję, że wieczorem zostanie zaproszony na kolację. Jako młodszy oficer, nie mógł wystosować takiego zaproszenia do starszego stopniem, bez wątplenia miał jednak ochotę porozmawiać z dawnym dowódcą na temat Tar Valon, być może również o poległym ojcu. Valda nie považał szczególnie Geoframa Bornhald, uważał go za miękkiego człowieka.

— O szóstej zjem z tobą kolację w obozie. I chcę cię widzieć trzeźwego, Synu Bornhald.

Bornhald bez wątpienia był pijany; wytrzeszczył oczy i zachwiał się, zanim wykonał stosowny salut i odszedł. Valda zastanawiał się, co też tamtemu się stało. Dain był kiedyś znakomitym młodszym oficerem. Takim, który zbyt bardzo przejmował się nieważnymi subtelnościami, jak na przykład dowodami winy, nawet kiedy nie istniał żaden sposób na ich zdobycie, a jednak mimo wszystko był dobry. Nie taki słabeusz jak jego ojciec. To hańba, że topi swe zdolności w baryłce brandy.

Mrucząc coś pod nosem — oficerowie upijający się w samej Fortecy Światłości stanowili kolejny dowód, że charakter Nialla przegnił ze szczętem — Valda ruszył na poszukiwanie swoich kwater. Miał zamiar spać w obozie, jednak czuł, że ciepła kąpiel na pewno mu nie zaszkodzi.

W kamiennym korytarzu o surowym wystroju podszedł doń jakiś barczysty, młody Syn; szkarłatny pastorał Ręki Światłości odznaczał się na tle błyszczącego słońca na jego piersiach. Nie zatrzymując się, nawet nie patrząc na Valdę, Śledczy wymamrotał z szacunkiem:

— Mniemam, iż Lord Kapitan zechce odwiedzić Kopułę Prawdy.

Valda zmarszczył brwi; nie lubił Śledczych, którzy wprawdzie wykonywali przydatną pracę, jednak nie potrafił się wyzbyć wrażenia, że przywdziewali płaszcz z pastorałem, ponieważ dzięki temu nie musieli więcej stawiać czoła uzbrojonemu wrogowi. Już miał podnieść głos, żeby przywołać tamtego do porządku, kiedy nagle zrezygnował. To prawda, że dyscyplina wśród Śledczych była nadmiernie rozluźniona, jednak żaden Syn nigdy nie zagadnąłby Lorda Kapitana bez powodu. Kąpiel chyba mogła zaczekać.

Widok Kopuły Prawdy dodał mu ducha. Nieskazitelnie biała od zewnątrz; złota okładzina wewnętrznych ścian odbijała światło setek wiszących lamp. Grube, białe kolumny otaczały komnatę, pozbawione dodatkowych ozdób i wypolerowane do lśnienia, jednak sama kopuła rozciągała się na sto kroków niczym więcej nie podtrzymywana, wznosiła zaś na wysokość pięćdziesięciu stóp ponad prostym, marmurowym podwyższeniem, ustawionym dokładnie na środku białej, marmurowej posadzki; Lord Kapitan, Komandor Synów Światłości, stawał na nim czasem, gdy chciał wygłosić przemowę do Synów, którzy gromadzili się tam podczas najważniejszych uroczystości. Któregoś dnia on też na nim stanie. Niall nie będzie żył wiecznie.

Dziesiątki Synów przemierzały rozległą komnatę — był to widok wart obejrzenia, aczkolwiek tego zaszczytu dostępowali wyłącznie sami Synowie i nikt inny — ale przecież nie po !o mu polecono tu przyjść, by podziwiać Kopułę. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Za wielką kolumnadą biegły szeregi mniejszych kolumn, równie prostych i wypolerowanych równie znakomicie, a dalej małe nisze, wypełnione tysiącletnimi freskami, które upamiętniały sceny trium-

fów Synów Światłości. Valda kroczył przez komnatę, zaglądając do każdej wnęki. Na koniec wreszcie wypatrzył wysokiego, siwiejącego mężczyznę zapatrzonego na jedno z malowideł; przedstawiało Serenię Latar na szubienicy, jedyną Amyrlin, jaką Synom kiedykolwiek udało się powiesić. Rzecz jasna, była już martwa, kiedy ją wieszano; żywe wiedźmy wieszano się cokolwiek trudno, jednak to nie miało znaczenia. Stało się to sześćset i dziewięćdziesiąt trzy lata temu, kiedy to wreszcie prawu i sprawiedliwości uczyniono zadość.

— Czy coś cię kłopotczy, mój synu? — Głos był miękki, niemalże delikatny.

Valda nieznacznie zeszywniał. Rhadam Asunawa mógł być Wysokim Inkwizytorem, jednak dalej był Śledczym. A Valda był Lordem Kapitanem, Pomazańcem Światłości, nie zaś jego synem”.

— Nie mam ku temu żadnych powodów — odparł bezbarwnym tonem.

Asunawa westchnął. Jego wychudzona twarz stanowiła wizerunek cierpień męczennika, a spływający po niej pot można by wziąć za łzy, jednak głęboko osadzone oczy zdawały się płonąć żarem, który wytopił wszelką zbędną uncję ciała. Na jego płaszczu widniał tylko pastorał, nie było zaś rozpostartych płomieni gorejącego słońca, jakby w ogóle nie przynależał do Synów. Albo stał ponad nimi.

— Czasy są kłopotliwe. Forteca Światłości udzieliła schronienia wiedźmie.

Valda powściągnął grymas, zanim na dobre uformował się na jego obliczu. Tchórze czy nie, Śledczy mogli okazać się niebezpieczni nawet dla Lorda Kapitana. Ten człowiek mógł nie być zdolny do powieszenia Amyrlin, najpewniej jednak marzył o tym, że będzie pierwszym, który powiesił królową. Valda nie dbał o to, czy Morgase będzie żyła, ale zakładał, iż nie umrze, zanim nie zostanie wykorzystana do ostatka. Nie powiedział więc nic, a wtedy grube, siwe brwi Asunawy opadły w dół, przez co oczy zdawały się wyzierać z jakichś głębokich jaskiń.

— Czasy są kłopotliwe — powtórzył — i nie wolno dopuścić do tego, by Niall zniszczył Synów Światłości.

Valda wpatrywał się długo w malowidło. Być może artysta był świetny, być może nie; nie znał się na sztuce. Musiał jednak przyznać, że tamten niezwykle wiernie przedstawił zarówno broń, jak i zbroje strażników; szubieniczny sznur również wyglądał jak prawdziwy. To były rzeczy, na których się znał.

— Gotów jestem cię wysłuchać — oznajmił na koniec.

— A więc pomówimy, mój synu. Później, kiedy wokół będzie mniej oczu, które nas mogą zobaczyć, i uszu, które mogą podsłuchać naszą rozmowę. Niechaj cię Światłość oświeca, mój synu. — Nie mówiąc już nic więcej Asunawa odszedł; biały płaszcz falował lekko, zaś odgłos jego kroków zabrzmiał tak, jakby za każdym stąpieniem wbijał stopę w marmur. Niektórzy z Synów kłaniali się głęboko,

kiedy przechodził obok.

Niall przypatrywał się z wąskiego okna znajdującego się wysoko ponad dziedzińcem, jak Valda zsiada z konia i rozmawia z młodym Bornhaldem, a potem odchodzi na bok, ewidentnie rozwścieczony. Valda zawsze był wściekły z jakiegoś powodu. Gdyby istniały jakieś sposoby, aby sprowadzić Synów do Fortecy, Valdę zaś zostawić tam gdzie był, Niall z radością by z nich skorzystał. Valda był zupełnie niezłym dowódcą na polu bitwy, jednak znacznie lepiej nadawał się do pacyfikacji wzburzonych tłumów. Jego wiedza odnośnie taktyki walki ograniczała się do szarży, zaś wiedza dotycząca strategii... też do szarży.

Kręcąc głową, Niall przeszedł do swej komnaty audiencyjnej. Miał na głowie ważniejsze rzeczy niżli zastanawianie się nad cechami charakteru Valdy. Morgase wciąż mu odmawiała, niczym armia broniąca się w górach, wyposażona w wodę oraz wysokie morale. Odmawiała przyznania, że znalazła się na dnie doliny, z której nie ma wyjścia, że to jej wróg znajduje się w górze.

Balwer poderwał się zza stołu, kiedy tylko Niall wszedł do przedsionka.

— Omerna był tutaj, mój panie. Zostawił to dla ciebie. Balwer dotknął leżącego na stole zwoju dokumentów, przewiązanego czerwoną wstążką. — I jeszcze to. — Wąskie wargi zacisnęły się, kiedy z kieszeni wydobyl maleńką, kościaną tubkę.

Niall wziął ją z niewyraźnym mruknięciem, po czym wszedł do komnaty. Z jakichś powodów Omerna z każdym dniem stawał się coraz bardziej bezużyteczny. Już sam fakt, że zostawiał swoje raporty u Balwera, był wystarczająco zły, i to niezależnie od nonsensów, jakie zawierały, jednak nawet Omerna powinien wiedzieć, że nie wolno mu przekazywać żadnej z tych tubek opatrzonych trzema czerwonymi paskami w niczyje inne ręce, jak tylko samego Nialla. Przybliżył tubkę do światła lampy, aby sprawdzić, czy wosk nie został naruszony. Był nietknięty; przeciął go paznokciem. Miał ochotę przypiekać Omerne na wolnym ogniu, wreszcie pokazać mu, na czym polega strach przed Światłością. Ten dureń zupełnie się nie przydawał jako przynęta, chyba że udawał wytrawnego mistrza szpiegów na tyle, na ile mu pozwalały skromne umiejętności.

Wiadomość znowu była od Varadina; znaki wzięte z prywatnego szyfru Nialla zostały skreślone tym szalonym, pajęczym charakterem pisma na skrawku cienkiego papieru. Już miał ją spalić, nawet jej nie przeczytawszy, kiedy coś przyciągnęło jego uwagę. Zaczął czytać od samego początku i skrupulatnie rozszyfrowywał ją w myślach. Chciał mieć absolutną pewność. Dokładnie tak jak przedtem, były to jakieś bzdury o Aes Sedai na smyczach i dziwnych bestiach, jednak pod sam koniec... Varadin pomógł Asidimowi Faisarowi znaleźć kryjówkę w Tanchico; będzie próbował stamtąd przemycić Faisara, co nie będzie łatwe, ponieważ Zwiastuni otoczyli to miejsce tak ścisłą strażą, że nawet szept nie mógł pokonać

murów miasta bez ich zgody.

Niall w zamyśleniu potarł policzek. Faisar był jednym z tych, których wysłał do Tarabonu, aby sprawdzili, czy coś da się ocalić. Faisar nie wiedział nic o Varadinie, a Varadin nie powinien był nic wiedzieć na temat Faisara. „Zwiastuni otoczyli to miejsce tak ścisłą strażą, że nawet szept nie mógł pokonać murów miasta”. Bazgroły szaleńca.

Wsadził skrawek papieru do kieszeni i wrócił do przedśionka.

— Balwer, jakie są ostatnie wieści z zachodu? — W ich prywatnych rozmowach „zachód” oznaczał zawsze granicę z Tarabonem.

— Od poprzedniego razu nic się nie zmieniło, mój panie. Patrole, które wniknęły do terytorium Tarabonu, nie powróciły. Najgorszy kłopot w pobliżu granicy stanowią uchodźcy, próbujący przekroczyć...

Patrole, które wniknęły zbyt głęboko. Tarabon stanowił jamę pełną jadowitych węży i wściekłych szczurów, ale...

— Jak szybko możesz wysłać kuriera do Tanchico?

Balwer nawet nie mrugnął. Ten człowiek nie zdradziłby śladu zaskoczenia nawet wtedy, gdyby własny koń przemówił do niego.

— Kurier może mieć kłopot ze zdobyciem świeżego konia po przekroczeniu granicy, mój panie. W normalnych czasach powiedziałbym, że droga w tobie storny zajmie mu dwadzieścia dni, być może przy odrobinie szczęścia trochę mniej. W obecnej sytuacji potrzeba dwa razy tyle czasu, i to jeśli los będzie łaskawy. Być może nawet samo dotarcie do Tanchico zajmie koło czterdziestu dni. To gniazdo węży, które mogą połknąć kuriera, tak że nawet kości po nim nie zostaną.

Kurier nie musiał wracać, ale Niall zatrzymał tę informację dla siebie.

— Zadbaj o to, Balwer. List będzie gotów za godzinę. Z kurierem porozmawiam osobiście. — Balwer skłonił głowę na znak, że pojął, dając w ten sposób jednocześnie do zrozumienia, że go obrażono, więc umywa ręce. Niech mu będzie. Istniała niewielka szansa, że wszystko może się udać bez dekonspiracji Varadina. Były to absolutnie niepotrzebne zabezpieczenia, jeśli tamten oszalał, jednak jeśli nie... Wydanie go nie przyspieszy biegu żadnych spraw.

Wróciwszy do komnaty audiencyjnej, Niall jeszcze raz dokładnie przeczytał wiadomość od Varadina, zanim przysunął skrawek papieru do płomienia lampy i zaczął czekać, aż się zajmie. Potem roztarł popiół w palcach.

Wyznawał cztery zasady odnośnie działania i posiadanych informacji. Nigdy niczego nie planować, jeśli się nie wie. tak dużo, jak tylko można, na temat wroga. Nigdy nie obawiać się konieczności zmiany planów wraz z otrzymaniem nowej informacji. Nigdy nie zakładać, że wie się wszystko. I nigdy nie czekać do czasu, aż będzie się można wszystkiego dowiedzieć. Człowiek, który czekał, aż dowie się wszystkiego, siedział w namiocie, a tymczasem wróg podpalał już jego dach. Niall postępował zgodnie z tymi zasadami. Tylko raz w życiu z nich zrezygnował i zdał się na przecucie. Pod Jhamarą, z żadnego innego powodu, jak tylko



jakiegoś mrowienia w karku, kazał jednej trzeciej swej armii obserwować góry, o których wszyscy powiadali, iż są nie do przebycia. I kiedy manewrował resztą swoich sił, aby skruszyć Murandian i Altaran, illiańska armia, rzekomo znajdująca się setki mil dalej, zeszła nagle z tych „nieprzebytych” przełęczy. I właśnie wtedy tylko dzięki „przecuciu” udało mu się wycofać, nie ponosząc druzgoczącej klęski. Teraz znowu czuł to samo mrowienie.

— Nie ufam mu — zdecydowanie oznajmił Tallanvor. — On mi przypomina młodego szulera, którego widziałem kiedyś na jarmarku, człowieka o dziecinnej twarzy, który potrafił patrzeć ci prosto w oczy i uśmiechać się, równocześnie podmieniając kości pod kubkiem.

Choć raz Morgase nie miała szczególnych trudności z powściągnięciem swego temperamentu. Młody Paitr doniósł, że jego wuj znalazł nareszcie sposób na przemycenie jej z Fortecy Światłości, jej i jej towarzyszy. To właśnie pozostali stanowili źródło prawdziwych kłopotów; Torwyn Barshaw twierdził, że ją samą wydostałby już dawno temu, ale nie zostawi przecież tamtych na łaskę Białych Płaszcz.

— Wezmę pod uwagę twoje odczucia — odparła pobłażliwym tonem. — Tylko nie pozwól, żeby one cię hamowały. Czy dysponujesz jakimś porzekadłem, które pasowałoby do tej sytuacji, Lini? Coś o młodym Tallanvorze i jego odczuciach? Światłości, dlaczego ona znajdowała tyle przyjemności w drażnieniu go? Wprawdzie swoim postępowaniem zbliżał się niemalże do zdrady, jednak ona była jego królową, nie zaś... Jakoś nie udało jej się skończyć tej myśli.

Lini siedziała przy oknie i zwijała wełnę, którą Breane miała oplecione dłonie.

— Paitr przypomina mi pewnego młodego stajennego, jeszcze z czasów, zanim ty się udałaś do Białej Wieży. Zrobił dwóm pokojówkom dziecko, a potem jeszcze przyłapano go na tym, jak próbował uciec z pałacu z workiem pełnym talerzy twojej matki.

Morgase zacisnęła szczęki, nic jednak nie mogło zepsuć jej zadowolenia, nawet to spojrzenie, jakim ją obrzuciła Breane, zachowująca się tak, jakby pozwalamo jej na wyrażanie swoich opinii. Paitr nie posiadał się z radości z powodu planowanej ucieczki Morgase. Po części, rzecz jasna, dlatego, że najwyraźniej oczekiwał jakiejś nagrody od swego wuja za udział w przygotowaniach — to przynajmniej można było wywnioskować z jego uwag, które dotyczyły zmazania jakiejś domowej przewiny — ale młody człowiek prawie zatańczył z radości, kiedy przystała na plan, zgodnie z którym mieli się wydostać z Fortecy jeszcze tego dnia. Po wschodzie słońca powinni opuścić Amador i dalej podążać do Gheldan, drogą, na której nie mieli napotkać żołnierzy związanych w jakikolwiek sposób z Andorem. Dwa dni temu Barshaw przyszedł osobiście, aby wyjawić jej szczegóły tej kombinacji, przebrany zresztą za sprzedawcę igieł i przedzdy; był

przysadzystym mężczyzną ze złośliwym wyrazem oczu i wykrzywionymi ustami, jednakże zwracał się do niej z należnym szacunkiem. Trudno było uwierzyć, że jest wujem Paitra — tak bardzo się od siebie różnili — a jeszcze trudniej, iż jest kupcem. Jednak jego plan był wzorem prostoty; musiało im tylko pomóc wielu ludzi poza Fortecą, żeby się powiódł. Morgase miała wyjechać z Fortecy Światłości ukryta na dnie wozu, wywożącemu odpadki z kuchni.

— No dobrze, wiecie już wszyscy, co każdy ma zrobić oznajmiła im. Póki ona sama przebywała w swoich komnatach, pozostali cieszyli się stosunkową swobodą. Wszystko od tego zależało. Cóż, nie wszystko, ale z pewnością powodzenie ucieczki każdego z nich prócz niej. — Lini, ty i Breane musicie czekać na podwórzu przed pralnią, zanim dzwon wybije Najwyższą. — Lini spokojnie pokiwała głową, za to Breane zacisnęła usta. Omawiały to już ze dwadzieścia razy, a mimo to Morgase nie zamierzała dopuścić, by został popełniony błąd, w wyniku którego ktoś musiałby tu zostać. — Tallanvor, zostawisz swój miecz i zaczekasz w gospodzie zwanej „Dąb i Cierń”. — Otworzył już usta, ale zdecydowanie ucięła wszystkie ewentualne zastrzeżenia. — Słyszałam już twoje argumenty. Znajdziesz sobie jakiś inny miecz. Uwierzą, że masz zamiar wrócić, jeśli nie weźmiesz go ze sobą. — Skrzywił się, ale w końcu pokiwał głową. — Lamgwin ma poczekać w „Złotej głowie”, Basel zaś w...

Rozległo się pukanie do drzwi; po chwili wsunął przez nie swą łysą głowę Basel.

— Królowo, jest tu człowiek... Syn... — Zerknął przez ramię na korytarz. — To Śledczy, moja królowo. — Dłoń Tallanvora powędrowała natychmiast do rękojeści miecza i nie chciał jej puścić, póki dwakroć powtórzonym gestem nie nakazała mu tego uczynić, krzywiąc się przy tym znacząco.

— Wpuść go. — Udało jej się powiedzieć te słowa spokojnym głosem, jednak w żołądku czuła trzepotanie motyli wielkości lisów. Śledczy? Czy wszystko nagle zaczęło się tak dobrze układać, by równie nagle zmienić się w katastrofę?

Wysoki mężczyzna, obdarzony jastrzębim nosem, odsunął Basela z drogi, a następnie zamknął mu drzwi przed nosem. Biało-złoty kaftan ze szkarłatnym pastorałem na ramieniu oznaczał rangę Inkwizytora. Dotąd nie poznała Einora Sarena, ale wskazano go jej przy jakiejś okazji. Na jego twarzy zastygł wyraz nieugiętej pewności.

— Zostałaś wezwana przez Lorda Kapitana Komandora — oznajmił zimno. — Natychmiast udasz się ze mną.

Myśli Morgase mknęły szybciej jeszcze niżli te motyle w jej żołądku. Przywykła już do tego, że ją wzywano — Niall ani razu jej nie odwiedził od czasu, gdy umieścił ją w Fortecy — wzywano do stawienia się przed tym człowiekiem na kolejną lekcję tyczącą jej obowiązków względem Andoru, czy też na coś, co miało być z pozoru przyjazną pogawędką, mającą dowieść, że Niall szczerze pragnie zadbać o interesy jej oraz jej państwa. Przywykła już do takich wezwań,

jednak nie do takich posłańców. Jeżeli miałyby zostać wydane w ręce Śledczych, to z pewnością nie uciekano by się do takiego wybiegu. Asunawa wysłałby dość ludzi, aby siłą zaciągnęli ją do niego, a wraz z nią wszystkich pozostałych. Samego Asunawę spotkała przelotnie, ale na jego widok krew krzepła jej w żyłach. Dlaczego wysłano właśnie Inkwizytora? Wypowiedziała na głos to pytanie, Saren zaś odpowiedział identycznym, lodowatym tonem:

— Przebywałem właśnie w towarzystwie Lorda Kapitana Komandora, a nadto szedłem akurat w tę stronę. Załatwiłem wszystkie swoje sprawy i teraz zaprowadzę cię tam. Mimo wszystko jesteś królową i należy ci się szacunek. — Mówił tak, jakby nudziły go wypowiedzane słowa, trochę też niecierpliwie, aż dotarł do ostatnich słów, w które wkradła się nuta kwaśnego szyderstwa. W każdym razie nie było w jego wypowiedzi nawet śladu cieplejszych uczuć.

— Bardzo słusznie — odparła.

— Czy mogę towarzyszyć mojej królowej? — Tallanvor skłonił się ceremonialnie; przynajmniej potrafił się zdobyć na pokaz stosownego uniżenia, kiedy obcy byli w pobliżu.

— Nie. — Lepiej zrobi, jeśli weźmie Lamgwina. Nie, męskie towarzystwo będzie świadczyć, iż potrzebuje przybocznego strażnika. Saren przerażał ją niemalże w takim samym stopniu jak Asunawa, nie mogła jednak pozwolić, aby zaczął to choćby podejrzewać. Uśmiechnęła się, tolerancyjnie i swobodnie. — Z pewnością w tym miejscu nie jest mi potrzebna żadna ochrona.

Saren uśmiechnął się również, albo raczej wykrzywił usta. Wyglądało to tak, jakby się z niej naśmiewał.

Kiedy na korytarzu zobaczyła Basela i Lamgwina spoglądających na nią niepewnie, omal nie zmieniła zdania w kwestii swej świty. Jednak dwóch ludzi i tak by jej nie obroniło, gdyby się okazało, że to wszystko to jakaś wyrafinowana pułapka, a poza tym zmiana zdania byłaby oznaką słabości. Gdy wędrowała u boku Sarena przez te kamienne korytarze, bez wątpienia czuła się słabą kobietą, a nie królową. Nie. Być może krzyczałyby równie głośno jak wszyscy pozostali, gdyby Śledczy zamknęli ją w swych lochach — cóż, w tej kwestii nie było żadnego „może”; miała na tyle rozsądku, by zdawać sobie sprawę, że pod tym względem królewskie ciało nie różni się od innych — póki co jednak, będzie tym, kim była dotąd. Rozmyślnie zajęła się tłumieniem łopotu motyli w żołądku.

Saren doprowadził ją do niewielkiego, wyłożonego kamiennymi płytami dziedzińca, na którym obnażeni do pasa mężczyźni ćwiczyli ciosy mieczem na drewnianych słupkach.

— Dokąd my idziemy? — zapytała. — To nie jest droga, którą zazwyczaj chadzam do gabinetu Lorda Kapitana Komandora. Czy on zajmuje obecnie jakieś inne pomieszczenie?

— Wybrałem krótszą drogę — odparł grzecznie. — Mam ważniejsze sprawy na głowie niż... — Nie skończył zdania, ale nie zwolnił również kroku.

Nie miała innego wyboru, jak tylko iść za nim, przez korytarz, z którego wchodziło się do długich izb pełnych wąskich pryczy, i gdzie widziała mężczyzn obnażonych częstokroć do pasa, a nawet bardziej. Spojrzenie utkwiała w plecach Sarena, układając sobie w myślach kąśliwą przemowę, jaką miała uraczyć Nialla. Dalej przez podwórzec stajni, gdzie w powietrzu zawisała ciężka woń koni i nawozu, a w jednym z jego rogów pracował kowal. Potem znowu przez jakieś baraki, stamtąd przez kolejny dziedziniec, z boku którego znajdowały się kuchnie, i gdzie pachniało gotowanym gulaszem. . . I wtedy zatrzymała się jak wryta.

Na samym środku dziedzińca wznosił się długi i wysoki szafot. Stały na nim rzędem trzy kobiety i ponad dziesięciu mężczyzn, ze związanymi rękoma i nogami, w pętach owiniętych wokół szyi. Niektórzy płakali żałośnie; większość wyglądała na przerażonych. Na samym końcu szeregu stali Torwyn Barshaw oraz Paitr; chłopiec miał na sobie tylko podkoszulek, a nie czerwono-biały kaftan, który kazała dlań uszyć. Paitr nie płakał, jednak jego wuj nie potrafił powstrzymać łez. Paitr zdawał się nazbyt przerażony, aby myśleć o płaczu.

— W imię Światłości! — zawołał oficer Białych Płaszczy, a inny Biały Płaszcz pociągnął długą dźwignię umieszczoną przy końcu szafotu.

Zapadnie otworzyły się z głośnym trzaskiem i w tym momencie skazańcy zniknęli jej z oczu. Niektóre z napiętych lin drżały, jakby powieszoni dławili się jeszcze, wypływając z siebie życie, miast umrzeć szybko, ze skręconymi karkami. Jednym z nich był Paitr. I razem z nim umarły jej nadzieje na ucieczkę. Być może powinna bardziej przejąć się jego losem, ale potrafiła myśleć tylko o tym, że jej plany obracają się w proch, że znowu nie wie, jak uciec z tej pułapki, w którą sama wpadła. Dała się w nią złapać, pociągając za sobą Andor.

Saren patrzył na nią, najwyraźniej spodziewając się, że zasłabnie lub zwymiotuje.

— Aż tyłu za jednym zamachem? — zapytała, dumna że głos jej nie zadrżał. Lina Paitra przestała już drgać, Kołysała się teraz tylko z boku na bok. Żadnych nadziei na ucieczkę.

— Każdego dnia wieszamy Sprzymierzeńców Ciemności sucho odparł Saren. — Zapewne w Andorze wypuszczacie ich po udzieleniu napomnienia. My nie.

Morgase spojrzała mu w oczy. Najkrótsza droga? A więc taka jest nowa taktyka Nialla. Nie zaskoczyło jej, że nikt nie wspomniał o jej planowanej ucieczce. Niall był na to zbyt subtelny. Wszak przysługiwał jej status honorowego gościa, natomiast Paitr oraz jego wujek zostali powieszoni przez przypadek, za jakieś przestępstwo, które nie miało nic wspólnego z nią. Kto będzie następny? Lamgwin czy Basel? Lini czy Tallanvor? Dziwne, ale obraz Tallanvora z pętlą wokół szyi bolał bardziej niżli obraz Lini. Umysł potrafi płatać osobliwe figle. Ponad ramieniem Sarena dostrzegła przelotnie Asunawę, w oknie, z którego było widać szubienicę. Patrzył w dół, na nią. Być może to było jego dzieło, nie zaś Nialla. Co niczego nie zmieniało. Nie mogła pozwolić, żeby jej ludzie umierali na próżno.

Nie mogła pozwolić, żeby Tallanvor umarł.

Szyderczo unosząc brew, powiedziała:

— Jeżeli ten widok sprawił, że zmiękły ci kolana, przypuszczam, iż możemy chwilę poczekać, aż odzyskasz władzę w nogach. Swobodnym głosem, zupełnie nie zdradzającym wstrząsu, jaki przeżyła. Światłości, nie pozwól jej zwymiotować.

Saren z pociemniałą twarzą odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Poszła za nim równym krokiem, nie zerknąwszy nawet w stronę okna Asunawy, starając się nie myśleć o ciałach na szafocie.

Być może była to naprawdę najkrótsza droga, w następnym korytarzu bowiem Saren poprowadził ją na górę po stromych schodach, dzięki czemu znalazła się przed gabinetem Nialla o wiele szybciej niż zazwyczaj. Niall jak zawsze nie wstał na jej powitanie, a w pomieszczeniu nie było krzesła, na którym mogłaby usiąść, musiała więc stać przed nim niczym zwykła petentka. Wydawał się nieco zdekoncentrowany; siedział w milczeniu i patrzył na nią, ale tak naprawdę wcale jej nie widział.

Zwyciężył, a teraz nawet nie chciał zauważyć jej obecności. To ją rozdrażniło. Światłości, zwyciężył. Być może powinna wrócić na swoje pokoje. Jeżeli powie Tallanvorowi, Lamgwinowi i Baselowi, żeby spróbowali utorować jej przemocą drogę ucieczki, to zapewne jej posłuchają. Zginą i ona również zginie; nigdy w życiu nie trzymała w dłoniach miecza, jeśli jednak wyda taki rozkaz, sama również weźmie go do ręki. Umrze, a Elayne odziedziczy Tron Lwa. Odziedziczy, gdy tylko zepchnie zeń al'Thora. Biała Wieża zadba o to, by Elayne otrzymała to, co do niej należy. Wieża. Gdyby Wieża zabezpieczyła tron dla Elayne... To zakrawało na szaleństwo, jednak wierzyła Wieży jeszcze mniej, niżli ufała Niallowi. Nie, musi sama uratować Andor. Ale te koszty... Koszty trzeba zapłacić.

Jakoś musiała wydusić te słowa z siebie.

— Gotowa jestem podpisać twój traktat.

Niall z początku jakby jej nie usłyszał. Po chwili zamrugał oczami i nagle zaśmiał się dosyć nieprzyjemnie, jednocześnie kręcąc głową. To również ją zdernerwowało. Udawane zaskoczenie. Nie próbowała uciec. Była gościem. Żałowała, że to nie jego widziała na szafocie.

Zabrał się do dzieła tak szybko, że niemalże zupełnie zatarł tamto wrażenie całkowitej apatii. Za moment jego wysuszony sekretarz miał już gotowy długi pergamin; wszystko zostało spisane zawczasu i opatrzone kopią Pieczęci Andoru, której nawet ona nie potrafiła odróżnić od oryginału.

Wiedząc doskonale, że Morgase nie ma żadnego wyboru, Niall ciągnął tę komedię, odczytując uważnie warunki traktatu. Nie różniły się w niczym od tego, czego oczekiwała. Niall powiedzie Białe Płaszczce, które pomogą jej odzyskać tron, ale miało to swoją cenę, nawet jeśli nie zostało to w ten sposób określone. Tysiąc Białych Płaszczki będzie na stałe kwaterować w Caemlyn, będą mogli spr-

wować sądy wedle własnego prawa, niezależnie od prawa Andoru, po wsze czasy. Na całym obszarze Andoru władza Białych Płaszczy będzie równa władzy Gwardii Królowej, po wsze czasy. Odwracanie skutków tego, co teraz podpisywała, mogło jej zabrać całe życie, podobnie jak i całe życie Elayne, jednak alternatywą był al'Thor i Tron Lwa jako jego trofeum. Gdyby któraś z kobiet miała znowu na nim zasiąść, z pewnością będzie to Elenia albo Naean, czy ktoś do nich zbliżony, a i tak będzie tylko kukiełką al'Thora. To, albo Elayne jako kukiełka Wieży; naprawdę nie potrafiła się zmusić, aby zaufać Wieży.

Wyraźnie napisała swoje imię, odcisnęła kopię Pieczęci w czerwonym wosku, który sekretarz Nialla nakapał na samym dole dokumentu. Lew Andoru ujęty w Różaną Koronę. Oto pierwsza królowa, która akceptowała obecność obcych wojsk na andorańskiej ziemi.

— Kiedy...? — Nawet nie się nie spodziewała, z jakim trudem przyjdzie jej to wypowiedzieć. — Kiedy twoje legiony wyruszą?

Niall zawahał się, spojrzął na blat stojącego przed nim stołu. Nie było na nim nic prócz pióra i atramentu, miseczki z piaskiem oraz świeżo nadpalonej pałeczki czerwonego wosku, jakby właśnie przed chwilą skończył pisać jakiś list. Wykaligrafował swój podpis pod traktatem i odbił w wosku własną pieczęć, promienne słońce w złotym wosku, potem wręczył pergamin sekretarzowi.

— Zanieś to do archiwum, Balwer. Obawiam się, że nie mogę wyruszyć tak szybko, jakbym pragnął, Morgase. Sytuacja rozwija się w kierunku, który nieco zmienia moje wcześniejsze plany. Nie jest to wszakże nic, czym ty powinnaś się martwić. Po prostu kwestie dotyczące tego, jakie najlepiej wykonać posunięcia na obszarach nie mających związków z Andorem. Nalegam, abyś traktowała to po prostu jako dodatkowy czas mi poświęcony, w którym będę się mógł cieszyć twoim towarzystwem.

Balwer uklonił się zrećnie, nawet jeśli trochę nazbyt układnie, jednak pewna była, że jego oczyomalże nie wyszły z orbit z zaskoczenia. Ona sama, równie zdumiona, prawie rozdziawiła usta. Naciskał ją coraz mocniej, a teraz ma inne sprawy do rozważenia? Balwer pośpiesznie wyszedł z komnaty, jakby się obawiał, że może spróbować wyrwać mu z ręki traktat i podrzeć na strzępy, ale to była ostatnia rzecz, jaka mogłaby przyjąć jej do głowy. Przynajmniej nie będzie już więcej egzekucji. Z resztą trzeba sobie będzie poradzić najlepiej, jak się tylko da. Krok po kroku. Jej opór dobiegł końca, teraz jednak znowu zyskała na czasie, otrzymała nieoczekiwany podarunek, którego nie wolno było zmarnować. Przyjemność z jej towarzystwa?

Uśmiechnęła się życzliwie.

— Czuję się tak, jakby jakiś ciężar został zdjęty z mych barków. Powiedz mi, czy grywasz w kamienie?

— Uważany jestem za przyzwoitego gracza. — Uśmiech, jakim obdarzył ją w odpowiedzi, z początku pełen był zaskoczenia, później zaś rozbawienia.

Morgase zarumieniła się, ale jakoś się pohamowała i nie okazała gniewu. Niech sobie myśli, że ją złamał. Nikt nie przygląda się szczególnie uważnie pokonanemu przeciwnikowi, ani też nie darzy go szczególnym respektem, a jeśli będzie ostrożna, to z czasem zacznie odzyskiwać to, co straciła, jeszcze zanim żołnierze opuszczą Amadicię. Miała bardzo dobrego nauczyciela w Grze Domów.

— Postaram się, byś nie znalazł we mnie nazbyt marnego przeciwnika, jeżeli będziesz miał ochotę zagrać. — Grała znacznie powyżej przyzwoitego poziomu, być może nawet powyżej dobrego, ale będzie musiała przegrywać i jednocześnie nie grać tak źle, aby się poczuł znudzony. Zresztą nienawidziła przegrywać.

Asunawa zmarszczył czoło i zabębnił palcami po złoconej poręczy. Ponad jego głową, na oparciu fotela, połyskiwał namalowany lakierem pastorał ujęty w biały krąg.

— Wiedźma się zdradziła — mruczał.

Saren odpowiedział takim tonem, jakby to było oskarżenie:

— Niektórzy ludzie w ten sposób reagują na widok powieszonych. Sprzymierzeńcy Ciemności zostali złapani wczoraj; mówiono mi, że wyśpiwrywali właśnie jakiś katechizm Cienia, kiedy Trom wyłamał drzwi. Sprawdziłem, ale nikt nie pomyślał, żeby zapytać, czy coś jej z nimi nie łączy. — Przynajmniej nie przestępował z nogi na nogę, stał prosto, tak jak członek Ręki Światłości powinien.

Asunawa zbył to nieznacznym gestem dłoni. To przecież oczywiste, że nie było między nimi żadnego związku, pominawszy fakt, że ona była wiedźmą, oni zaś Sprzymierzeńcami Ciemności. Mimo wszystko wiedźma przebywała dalej w Fortecy Światłości. A więc jednak musiał się martwić.

— Niall wysłał mnie po nią, jakbym był psem — poskarżył się Saren. — Niemalże wywrócił mi się żołądek, kiedy stałem tak blisko niej. Ręce same rwały się do jej gardła.

Asunawa nawet nie raczył odpowiedzieć, ledwie słyszał, co tamten mówi. Niall nienawidził Ręki. Większość ludzi nienawidziła tego, czego się bała. Ale teraz jego myśli krążyły wokół Morgase. Nie była słaba, jeśli wziąć wszystko pod uwagę. Z pewnością dostatecznie dobrze broniła się przed Niallem, podczas gdy większość ludzi załamałaby się już w chwili, w której trafiliby do Fortecy. Jednak zniweczy niektóre jego plany, jeśli mimo wszystko okaże się słaba. Wszystkie szczegóły miał już dopracowane w głowie, każdy dzień jej procesu w obecności ambasadorów ze wszystkich krajów, które wciąż zdolne były wysłać takowych, aż do jej ostatecznego wyznania, wydartego z niej tak zrecznie, że nikt nie znajdzie nawet najmniejszego śladu na jej ciele, a potem uroczystości towarzyszące jej egzekucji. Specjalny szafot, tylko dla niej, aby potem zachować go na upamiętnienie tego zdarzenia.

— Miejmy nadzieję, że wciąż będzie się opierać Niallowi powiedział z uśmie-

chem, który niektórzy mogliby określić jako delikatny. Nawet cierpliwość Nialla nie może trwać wiecznie; w końcu będzie ją musiał oddać w ręce sprawiedliwości.



## POSPIESZNE WEZWANIE

Zdaniem Egwene, wizyta Randa w Cairhien przypominała jeden z tych wielkich pokazów urządzanych przez Iluminatorów, o których tyle słyszała, a których nigdy nie widziała na własne oczy; ponoć było to tak, jakby wszystko w mieście eksplodowało. Echa takiego wydarzenia zdawały się rozbrzmiewać bez końca.

Oczywiście nie zbliżała się już więcej do pałacu, Mądre jednak udawały się tam każdego dnia w poszukiwaniu pułapek założonych przy użyciu *saidara* i opowiadały jej, co się dzieje. Arystokraci popatrywali na siebie spod przymrużonych powiek, zarówno Tairenianie, jak i Cairhienianie. Berelain zdawała się ukrywać; odmawiała spotkań z każdym, kogo przyjmować nie musiała; Rhuarc najwyraźniej próbował przywołać ją do porządku w kwestii zaniedbywania obowiązków, z niewielkim jednak skutkiem. W całym pałacu on jeden wydawał się niczym nie przejmować. Nawet służący podskakiwali, kiedy się na nich spojrzęło, chociaż być może chodziło tu jedynie o obecność Mądrych, które zaglądały do każdego kąta.

W namiotach wcale nie układało się lepiej, przynajmniej między Mądrymi. Pozostali Aielowie zachowywali się podobnie jak Rhuarc; byli spokojni i solidni. W porównaniu z nimi, w zmiennych usposobieniach Mądrych dawało się wy czuć więcej napięcia niż zwykle. Amys i Sorilea wróciły ze spotkania z Randem, niemalże warcząc. Nie powiedziały dlaczego, przynajmniej nie wówczas, gdy Egwene mogła cokolwiek usłyszeć, jednak ich nastroje rozprzestrzeniały się wśród Mądrych z prędkością światła, aż w końcu każda z nich chodziła najeżona niczym kocur, gotowa drapnąć pazurem wszystko, co się porusza. Ich uczennice skradały się na palcach i rozmawiały szeptem, a mimo to wciąż je karcono za coś, co przedtem przeszłoby niezauważone, i karano za to, za co przedtem bywały jedynie napomniane.

Pojawienie się w obozie Mądrych Shaido niewiele pomogło. Przynajmniej Therava i Emerys były Mądrymi, trzecią odwiedzającą okazała się Sevanna we własnej osobie; demonstrowała poczucie własnej ważności, spacerując w bluzce rozchylonej tak głęboko, że mogłaby rywalizować z Berelain. Therava i Emerys oświadczyły, że Sevanna jest Mądrą, i chociaż Sorilea coś wtedy mruknęła, nie było innego wyjścia, jak przyjąć to do wiadomości. Egwene była pewna, że te trzy

przybyły tu na przeszpiegi, ale kiedy zasugerowała tę możliwość, Amys spojrzała na nią nie rozumiejącym wzrokiem. Chronione przez obyczaj, mogły spokojnie przechadzać się wśród namiotów, witane przez wszystkie Mądre — nawet Sorileę — jak bliskie przyjaciółki albo pierwsze siostry. Jednak ich obecność spowodowała tylko zaostrzenie kłębiących się we wszystkich duszach emocji. W szczególności dotyczyło to Egwene. Ta uśmiechnięta kocica, Sevanna, wiedziała, kim ona jest, i nie podejmowała najmniejszych wysiłków, aby ukryć rozkosz z wysyłania przy każdej sposobności „tej niskiej uczennicy” po filiżankę wody albo coś w tym rodzaju. A poza tym stale jej się przyglądała, mierząc dziwnym, badawczym spojrzeniem. A jeszcze gorsze było to, że Mądre nie chciały jej powiedzieć, o czym rozmawiają — to były ich sprawy, a nie jakichś uczennic. Niezależnie od powodu, z jakiego Shaido znalazły się tutaj, z pewnością interesowały je nastroje panujące wśród tutejszych Mądrych; Egwene więcej niż raz widziała Sevannę, kiedy tamta myślała, że nikt jej nie obserwuje, jak uśmiecha się, patrząc na przechodzące obok Amys, Malindhę czy Cosain, mówi coś do siebie i zupełnie niepotrzebnie poprawia szal. Nikt nie słuchał Egwene, rzecz jasna. Zbyt wiele komentarzy na temat kobiet Shaido doprowadziło w końcu do tego, że przez większą część dnia musiała kopać dziurę „głęboką na tyle, by mogła w niej stanąć nie będąc widzianą”, a kiedy wreszcie wyskrobała się z niej, cała spocona i zabrudzona, musiała ją zasypywać; Sevanna zaś tylko patrzyła.

Dwa dni po tym jak Rand opuścił miasto, Aeron i kilka innych Mądrych namówiło trzy Panny, aby nocą przekradły się przez mur otaczający pałac Arilyn i sprawdziły, czy nie da się tam czegoś wyśledzić, ostatecznie jednak to tylko pogorszyło sprawę. Tym trzem udało się wprawdzie uniknąć straży Gawyna, nawet jeśli sprawiło im to więcej trudności niżli oczekiwały, z Aes Sedai rzecz się jednak miała zupełnie inaczej; Panny zostały pochwycone Mocą podczas wślizgiwania się z dachu do jakiegoś stryszku i wciągnięte do wnętrza. Na szczęście Coiren i pozostałe uznały, że wybrały się tam, by kraść, i Panny, które zapewne bynajmniej nie uważały, że dopisywało im szczęście, zostały wyrzucone na ulicę. Były tak posiniaczone, że ledwie mogły iść o własnych siłach, i nawet po powrocie do obozu z trudem się hamowały, by nie pociągać nosami. Pozostałe Mądre na zmianę rozplątywały warkocze Aeron i jej przyjaciółek, na ogół w jakimś ustronnym miejscu, mimo iż Sorilea wyraźnie chciała to robić w obecności tylu świadków, ilu się tylko da. Sevanna oraz jej dwie towarzyszki śmiały się zupełnie otwarcie, kiedy widziały Aeron bądź jedną z pozostałych dwu, i zastanawiały się na głos, co też Aes Sedai uczynią, jeśli się o wszystkim dowiedzą. Wtedy nawet Sorilea spoglądała na nie spode łba, jednak żadna nic nie powiedziała, Aeron zaś i jej przyjaciółki zaczęły demonstrować taką samą pokorę jak uczennice. A te z kolei zaczęły się ukrywać w chwilach, kiedy nie przydzielano im do wykonania żadnych określonych zadań albo nie musiały uczestniczyć w zajęciach.

Wyjawszy tamtą dziurę, Egwene jakoś uniknęła najgorszego, jednak tylko dla-

tego, że przez większą część czasu trzymała się z dala od namiotów, głównie zresztą dlatego, by nie oglądać Sevanny, zanim będzie musiała udzielić tamtej srogiej nauczki. Nie miała wątpliwości, jak cała rzecz by się skończyła — Sevanna została uznana za Mądrą, niezależnie od tego, ile wywoływało to grymasów, gdy nie było jej w pobliżu. Amys i Bair zapewne pozwoliłyby tej kobiecie Shaido wymierzyć jej karę osobiście. Przynajmniej trzymanie się od niej z daleka nie nastęczało jej szczególnych trudności. Mogła być uczennicą, ale tylko Sorilea podejmowała jakiegokolwiek wysiłki przekazania jej tych tysięcy rzeczy, jakie powinna wiedzieć Mądra. Amys i Bair nie udzieliły jej jeszcze ostatecznego zezwolenia na powrót do *Tel'aran'rhiod*, więc mogła wykorzystywać dni i noce zgodnie z własnym upodobaniem, oczywiście wtedy, gdy nikt jej nie pochwycił razem z Surandhą oraz pozostałymi i nie zapędził do zmywania naczyń albo zbierania nawozu na ognisko, czy temu podobnych zajęć.

Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego dni zdają się mijać tak powoli; doszła do wniosku, że muszą chyba czekać na Amys i Bair. Gawyn zaglądał do „Długiego człowieka” co rano. Przywykła już do wiele sugerujących uśmiezków grubej karczmarki, chociaż raz czy dwa razy z trudem powściągnęła chęć kopnięcia jej. Być może nawet zdarzyło się to trzy razy, ale na pewno nie więcej. Godziny spędzone wspólnie z nim mijały dla odmiany w okamgnieniu. Ledwie usiadła mu na kolanach, już musiała przygłodzić włosy i odejść. Siadywanie na jego kolanach nie było już tak krępujące jak kiedyś. Tak naprawdę zresztą to nigdy jej nie przerażało, jednak teraz powoli stawało się coraz bardziej przyjemne. Nawet jeśli czasami myślała o rzeczach, o których myśleć nie powinna, a te myśli sprawiały, że się rumieniła... cóż, on zawsze gładził jej pokraśnięte policzki i wymawiał jej imię w taki sposób, że mogłaby tego słuchać przez całe życie. Teraz znacznie mniej potrafił jej powiedzieć o tym, co dzieje się u Aes Sedai, niżli mogła się dowiedzieć w dowolnym innym miejscu, ale prawie przestało to mieć dla niej znaczenie.

Pozostałe godziny wlokły się tak, jakby brnęły przez bagno. Tak niewiele rzeczy było do zrobienia, że myślała, iż pęknie z frustracji. Mądre wciąż obserwowały posiadłość Arilyn, ale nie donosiły niczego nowego na temat poczynąń Aes Sedai. Obserwatorki, wybrane spośród tych, które potrafiły przenosić, powiadały, że Aes Sedai nieprzerwanie właściwie przenoszą Moc we wnętrzu pałacu, bez chwili wytchnienia, dzień i noc, ale Egwene nie ośmielała się podejść bliżej, a jeśli nawet jej się to zdarzyło, to i tak nie umiała powiedzieć, co one robią, bo nie widziała splotów. Gdyby Mądre były mniej kostycznie usposobione, mogłaby próbować spędzać czas na lekturze w namiocie, ale kiedy pewnego razu wzięła do ręki książkę za dnia, Bair natychmiast burknęła coś na temat dziewcząt, które marnują czas na wylegiwanie się. Egwene wymamrotała, że zapomniała o czymś, i błyskawicznie wybiegła z namiotu, zanim znaleziono jej coś bardziej pożytecznego do roboty. Trwająca kilka tylko minut rozmowa z inną uczennicą mogła

okazać się równie niebezpieczna. Za rozmowę z Suarndhą, która ukrywała się w cieniu namiotu należącego do jakiegoś Kamiennego Psa, obie zostały ukarane całym popołudniem spędzonym na praniu, kiedy odkryła je Sorilea. Tak naprawdę powinna się była cieszyć z przydzielanych jej obowiązków, choćby dlatego, że wtedy miała coś do roboty, jednak Sorilea przyjrzała się doskonale upranym rzeczom, rozwieszonym w namiocie dla ochrony przed wszechobecnym kurzem, parsknęła i kazała im prać od nowa. Kazała im to robić dwukrotnie! Sevanna też im się przez jakiś czas przypatrywała.

W mieście Egwene zawsze oglądała się przez ramię, jednak trzeciego dnia, kiedy wybrała drogę wiodącą do doków, zachowywała się ostrożnie niczym mysz uciekająca przed kotem. Zaszuszonego starszego człowieka, właściciela wąskiej, maleńkiej łodzi, podrapał się po łysiejącej czuprynie i zażądał srebrnej marki za przewóz do statku Ludu Morza. Wszystko stawało się coraz droższe, jednak ta cena była zupełnie opętańcza. Zmierzyła go pozbawionym wyrazu spojrzeniem, oznajmiła, iż może otrzymać srebrny grosz — nawet taka stawka była bardzo wysoka — w nadziei, że w wyniku targowania się nie straci całej zawartości swej sakiewki; nie posiadała zbyt wiele. Zazwyczaj wszyscy aż podskakiwali i spoglądali z ukosa na kobietę Aielów, kiedy jednak przychodziło do targowania się, zapominali natychmiast o *cadin'sor* oraz włóczniach i walczyli niczym Iwy. Tamten jednak otworzył tylko bezzębne usta, zamknął je, spojrzął na nią, potem wymamrotał coś pod nosem i ku jej zaskoczeniu oznajmił, że odbiera mu chleb.

— Wsiadaj — jęknął. — Wsiadaj. Nie mogę marnować całego dnia za takie psie pieniądze. Zastraszanie ludzi. Odbieranie chleba. — I ciągnął tak dalej, nawet wówczas, gdy ujął już wiosła i wyprowadził łódkę na szerokie wody Alguenyi.

Egwene nie wiedziała, czy Rand spotkał się z Mistrzynią Żeglugi, miała jednakowoż nadzieję, że tak się stało. Elayne twierdziła, że A'than Miere nazywają Smoka Odrodzonego *Coramoorem*, ich Wybranym, więc jej zdaniem wystarczył, że Rand pojawi się wśród nich, a będą na każde jego skinienie. Miała przy tym nadzieję, że zbytnim płaszczaniem nie wbiją go w jeszcze większe samozadowolenie; jego poziom i tak był już wystarczający. A z kolei to nie on wysłał ją na tę wyprawę z marudzącym przewoźnikiem. To Elayne poznała wcześniej kilku przedstawicieli Atha'an Miere, podróżowała na jednym z ich statków i mówiła, że Poszukiwaczki Wiatru Ludu Morza potrafią przenosić. W każdym razie niektórzy z nich, najpewniej większość. Był to sekret utrzymywany przez Atha'an Miere w ścisłej tajemnicy, a jednak Poszukiwaczka Wiatru statku, na którym płynęła Elayne, okazała się bardziej niż chętna do podzielenia się swoją wiedzą, kiedy jej tajemnica wyszła na jaw. Poszukiwaczki Wiatru Ludu Morza znały się na pogodzie. Elayne twierdziła, że wiedzą znacznie więcej niżli Aes Sedai. Powiedziała także, że poznana przez nią Poszukiwaczka Wiatru potrafiła splatać monstrualne wręcz sploty, aby przywołać sprzyjające wiatry. Egwene nie miała pojęcia, ile z tego jest prawdą, a ile przesadą wynikającą z entuzjazmu przyjaciółki, sądziła

jednak, że nauczenie się czegoś o pogodzie z pewnością okaże się pożyteczniejsze niżli siedzenie z założonymi rękoma i zastanawianie się, czy przypadkiem schwytaenie przez Nesune nie wyzwoliłoby jej z rąk Mądrych i Sevanny. Obecnie wiedziała tyle, że zapewne nie potrafiłaby przywołać deszczu, nawet gdyby niebo zasnuwały czarne chmury; wyjątek stanowiła błyskawica. W tym momencie, rzecz jasna, słońce lśniło złotem na bezchmurnym niebie, powietrze zaś drżało od upału ponad ciemną wodą. Przynajmniej kurz nie docierał tak daleko od brzegu.

Kiedy przewoźnik w końcu wciągnął wiosła i postawił małą łódkę w dryf przy burcie statku, Egwene wstała, i ignorując jego zrzęczenie, że przez nią oboje wpadną do rzeki, zawołała:

— Halo! Halo? Czy mogę wejść na pokład?

Już wcześniej zdarzało jej się pływać na rozmaitych statkach rzecznych i była dumna z tego, że potrafi rozmawiać z marynarzami — ci zdawali się bardzo drażliwi w kwestii zachowania odpowiednich form — jednak widok tego statku dalece wykraczał poza jej poprzednie doświadczenia. Widywała już na rzece statki dłuższe, kilka przynajmniej razy, ale żaden z nich nie był tak wysoki. Część załogi znajdowała się na rejach, inni wspinali się na wysokie maszty — obnażeni do pasa mężczyźni, bosci, w szerokich kolorowych spodniach podtrzymywanych przez jaskrawe szarfy, smagłe kobiety w równie barwnych bluzkach.

Chciała już zawołać ponownie, tym razem głośniejsze, a wtedy z burty statku zrzuciono drabinkę sznurową. Nikt wprawdzie nie odpowiedział jej z pokładu, jednak to wydawało się zupełnie wystarczającym zaproszeniem. Egwene wspięła się więc na górę. Nie było to łatwe — nie tyle sama wspinaczka nastęrczała jej trudności, ile przytrzymywanie sukien: teraz zrozumiała, dlaczego kobiety Ludu Morza nosiły spodnie. W końcu jednak dotarła do religu.

Jej wzrok przyciągnęła sylwetka kobiety stojącej na pokładzie, nie dalej jak w odległości piędzi. Jej bluzka i spodnie uszyte zostały z niebieskiego jedwabiu, szarfa była tej samej barwy, tylko ciemniejsza. W każdym jej uchu tkwiły po trzy grube, złote kółka, a delikatny łańcuszek, na którym wisały małe medalioniki, biegł od jednego z uszu do nosa. Elayne opisywała jej wygląd tych ludzi, a nawet go zademonstrowała w *Tel'aran'rhiod* a jednak Egwene aż się skrzywiła, gdy ich zobaczyła na własne oczy. Nie tylko zresztą z powodu ich wyglądu. Wyczuła zdolność przenoszenia. Znalazła Poszukiwaczkę Wiatru.

Otworzyła już usta, a wtedy przed jej oczyma mignęła ciemna dłoń trzymająca błyszczący sztylet. Zanim zdążyła krzyknąć, klinga przecięła liny drabinki. Nie wypuściwszy z rąk bezużytecznych teraz lin, runęła do wody z głośnym pluskiem.

Dopiero wtedy zaczęła krzyżeć — ale tylko krótką chwilę, bo wpadła do rzeki, zanurzając się głęboko. Woda wdarła się do jej otwartych ust, dławiając okrzyk; wydawało jej się, że musiała chyba połknąć połowę wody toczonej przez nurt rzeki. Jak oszalała zaczęła walczyć z fałdami spódnicy, która oplotła jej głowę, i z pętającymi ją sznurami drabinki. Nie może dopuścić, by ogarnęła ją pani-

ka. Wcale nie jest śmiertelnie przerażona. Jak głęboko się zanurzyła? Otaczała ją tylko błotnista ciemność. Gdzie jest powierzchnia? Miała wrażenie, że na jej piersiach zaciskają się jakieś żelazne sztaby, ale po chwili wypuściła resztki powietrza przez nos i obserwowała dokąd zmierza strumień bąbelków. W dół i na lewo; tak to w jej oczach wyglądało. Skręciła w tamtą stronę, by wydostać się na powierzchnię. Jak to daleko? Czuła już ogień przepalający płuca.

Wreszcie wysunęła głowę ponad taflę wody, ku światłu, zaczerpnęła tchu i rozkaszała się. Ku jej zaskoczeniu przewoźnik podał jej rękę i na dodatek wciągnął jeszcze do łodzi, mamrocząc, że ma przestać się szarpać, zanim ich do reszty zdenerwuje, i dodając jeszcze, że Lud Morza to naprawdę drażliwa banda. Zdążył nawet wyłowić jej szal, zanim ten zatonął.

Wyrwała mu go z ręki, on zaś odsunął się, jakby sądził, że zechce nim go uderzyć. Jej suknie zwisały ciężko, bluzka i bielizna przylgnęły do ciała, chusta, którą miała obwiązaną głowę, przekrzywiła się. Pod jej stopami na dnie łodzi zaczęła się tworzyć kałuża.

Łódka zdążyła w tym czasie zdryfować na pewną odległość od statku. Poszukiwaczka Wiatrów stała teraz przy burcie, w towarzystwie dwóch jeszcze kobiet; jedna odziana była w prostą bluzkę z zielonego jedwabiu, druga miała na sobie brokatową czerwień wyszywaną złotą nitką. Ich kółka w nosach, uszach i złote łańcuszki lśniły w promieniach słońca.

— Odmawia ci się daru przewozu — zawołała odziana na zielono kobieta. — Powiedz pozostałym, że żadne przebrania nas nie zwiodą. Nie przestraszycie nas. Wszystkim wam odmawia się daru przewozu!

Zasuszony przewoźnik chwycił już wiosła, Egwene jednak wystawiła palec wskazujący przed jego nos.

— Zatrzymaj się. — Przestał wiosłować. Przeklął ją. Słowem, które nie miało nic wspólnego z uprzejmością.

Zrobiła głęboki wdech, objęła *saiadara* i przeniosła cztery strumienie, zanim Poszukiwaczka Wiatrów zdążyła zareagować. Umiała sterować pogodą, tak? Ciekawe, czy będzie potrafiła podzielić swe sploty na cztery różne sposoby. Niewiele Aes Sedai to umiało. Jeden strumień był strumieniem Ducha; utworzyła zeń tarczę, którą oddzieliła Poszukiwaczkę od Źródła, aby nie dopuścić do jej interwencji. O ile ta wiedziała, jak to zrobić. Pozostałe strumienie uplotła z Powietrza, po czym delikatnie owinęła nimi każdą z trzech kobiet, przyciskając im ramiona do boków. Podniesienie ich nie było, w ścisłym znaczeniu tego słowa, trudne, jednak nie stanowiło też najłatwiejszego zadania.

Na pokładzie statku wybuchła wrzawa, kiedy trzy kobiety zostały uniesione w powietrze, a potem przeniesione za burtę. Egwene usłyszała jęk przewoźnika, ale jego uczucia w ogóle jej nie obchodziły. Trzy kobiety Ludu Morza nie były w stanie ruszyć ani ręką, ani nogą. Z wysiłkiem uniosła je wyżej, jakieś dziesięć lub dwanaście kroków ponad powierzchnię rzeki — niezależnie od tego, jak

bardzo się starała, to była chyba granica jej możliwości.

„Cóż, tak naprawdę wcale nie chcesz ich skrzywdzić — pomyślała i uwolniła strumienie. — Zaraz zaczną wrzeszczeć”.

Kobiety Ludu Morza zwinęły się w kłębki, obróciły w powietrzu i spadły do rzeki z ramionami wyciągniętymi przed siebie. Słychać było tylko cichy plusk. Kilka chwil później trzy ciemnowłose głowy wychynęły ponad powierzchnię; następnie zaczęły szybko płynąć w stronę statku.

Egwene zacisnęła usta.

„Gdybym schwyła je za kostki i zanurzała ich głowy, póki... — Skąd jej się biorą takie myśli? Mają krzyczeć, bo ona krzyczała? W końcu nie była przecież bardziej mokra od nich. — Pewnie wyglądam jak zmoknięty szczur!” Przeniosła ostrożnie — działanie Mocą na samą siebie zawsze wymagało najwyższej ostrożności, ponieważ nie sposób było wyraźnie zobaczyć strumieni i woda spłynęła z niej, wyciśnięta z ubrania. Powstała z tego całkiem spora kałuża.

Dopiero kiedy spostrzegła, że przewoźnik rozdziawił usta ze zdumienia i wytrzeszczył oczy, dotarło do niej, co przed chwilą uczyniła. Przenosiła na samym środku rzeki, bez żadnej osłony, która mogłaby ją skryć przed wzrokiem Aes Sedai; gdyby któraś przypadkiem znalazła się na brzegu, zobaczyłaby wszystko. Mimo palącego słońca poczuła mróz przesywający ją do szpiku kości.

— Teraz możesz zawieźć mnie z powrotem na brzeg. — Nie potrafiła stwierdzić, kto akurat znajduje się na przystani; z tej odległości nie odróżniłaby mężczyzny od kobiety. — Nie, nie do miasta. Wysadź mnie na brzegu rzeki. — Przewoźnik naparł na wiosła tak, że niemalże przewrócił się na plecy.

Dowiózł ją do takiego miejsca, gdzie brzeg składał się w całości z gładkich kamieni rozmiarów jej głowy. W zasięgu wzroku nikogo nie było, ledwie jednak dno łodzi zazgrzytało na kamieniach, podwinęła spódnicę, wyskoczyła na stromy brzeg i pognęła co sił w nogach; w ten sposób przebyła całą drogę dzielącą ją od własnego namiotu, do którego wpadła zupełnie bez tchu, i tam zwała się na podłogę. Nigdy więcej nie pójdzie już do miasta. Chyba tylko po to, żeby się spotkać z Gawynem.

Dni mijały, a nieustający wiatr dzień i noc gnał ze sobą chmury kurzu i żwiru. Piątej nocy Bair towarzyszyła Egwene podczas wyprawy do Świata Snów; była to właściwie tylko krótka wycieczka, spacer po tej części *Tel'aran'rhiod*, którą Bair znała najlepiej, mianowicie po Pustkowiu Aiel, jałowej, spalonej na popiół ziemi, przy której nawet spustoszone suszą Cairhien było krainą bujną i kwitnącą. Podróż trwała krótko; potem Bair i Amys przyszły ją obudzić i sprawdzić, czy nie spostrzegą u niej jakichś niedobrych objawów. Żadnych nie znalazły. Niezależnie od tego, jak wyczerpujące zadawały jej ćwiczenia, w ramach których musiała biegać i skakać, niezależnie od tego, ile zaglądały jej w oczy i nasłuchiwały bicia serca, musiały się zgodzić — nie było innego wyjścia — by następnej nocy Amys zabrała ją na następny krótki spacer po Pustkowi, po której to przechadzce nastą-

pił kolejny sprawdzian, tym razem tak dokładny, że była naprawdę zadowolona, kiedy wreszcie udało jej się wczłgać do swego legowiska i zapaść w głęboki sen.

Podczas tamtych dwu nocy nie wróciła więcej do Świata Snów, ale kosztowały ją więcej wysiłku niżli cokolwiek innego. Przedtem każdej nocy mówiła sobie, że powinna przestać — to by dopiero było, gdyby ją przyłapano na naruszaniu zakazu tuż przed jego zniesieniem — jednak jakimś sposobem zawsze udawało jej się przekonać samą siebie, że w krótkiej wyprawie nie ma nic złego, pod warunkiem, że będzie naprawdę krótka. Jedyne miejsce, którego konsekwentnie unikała, był obszar między *Tel'aran'rhiod* a światem jawy, ciemna pustka, po której dryfowały ludzkie sny. Szczególnie zaś unikała go po tym, jak przyłapała się na myśli, że jeśli byłaby naprawdę bardzo ostrożna, to mogłaby na krótką chwilę zajrzeć do snów Gawyna, nie dając się jednocześnie do nich wciągnąć, a gdyby ją nawet wessały, to przecież i tak sny to tylko sny. Musiała przywołać się do rozsądku; jest dorosłą kobietą, nie zaś głupią dzierlatką. Była zadowolona, że nikt poza nią nie wie, jaki zamęt wywoływał w jej myślach ten mężczyzna. Amys i Bair zapewne uśmiełyby się do łez.

Siódmego wieczora przygotowała się do snu wyjątkowo starannie; włożyła świeżą koszulę nocną i tak długo szcietkowała włosy, aż odzyskały naturalny połysk. Wszystko to było zupełnie niepotrzebne, jeśli brać pod uwagę możliwości *Tel'aran'rhiod*, ale dzięki temu mogła nie myśleć o tym, jak przewraca się jej w żołądku. Tej nocy w Sercu Kamienia miały na nią czekać Aes Sedai, nie zaś Elayne czy Nynaeve. Nie powinno to stanowić żadnej różnicy, chyba że... Wykładany kością słoniową grzebień zastygł w bezruchu. Chyba, że jedna z Aes Sedai wyjawi, iż ona jest tylko Przyjętą. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Światłości, jak bardzo żałowała, że nie może porozmawiać z Nynaeve albo Elayne. Tylko, zreflektowała się, właściwie nie wiadomo, co w ten sposób mogłaby uzyskać, pewna natomiast była, że ten sen o roztrzaskujących się przedmiotach oznacza, że stanie się coś bardzo złego, jeżeli rzeczywiście z nimi porozmawia.

Zagryzła wargę i zaczęła się zastanawiać, czy nie pójść do Amys i nie skłamać, że źle się czuje. Nic poważnego, na przykład lekkie nudności, jednak nie sądzi, aby była w stanie dzisiejszej nocy złożyć wizytę w *Tel'aran'rhiod*. Po spotkaniu tej nocy miały rozpocząć się jej lekcje, ale... Kolejne kłamstwo i na dodatek tchórzostwo w radzeniu. Nie będzie tchórzem. Nie każdy potrafi być odważny, jednak tchórzostwo zasługiwało na prawdziwą pogardę. Nieważne, co się stanie tej nocy; musi stawić temu czoło, nie ma innego wyjścia.

Zdecydowanym ruchem odłożyła grzebień, zdmuchnęła lampę, a potem wpełzła na siennik. Była dostatecznie zmęczona, by zasnąć bez trudu, ale w razie konieczności знаła już sposób na sprowadzanie snu, ewentualnie wejście w płytki trans, podczas którego potrafiła znaleźć się w Świecie Snów i jednocześnie mówić — cóż, mamrotać właściwie — do osoby, która znajdowała się obok jej uśpionego ciała. Ostatnia myśl, jaka nawiedziła ją przed snem, była doprawdy zaskakująca.



Poczuła, że nudności minęły.

Stała w wielkiej komnacie o wysokim sklepieniu, wśród lasu grubych kolumn z czerwonego, wypolerowanego kamienia. Serce Kamienia, w Kamieniu Łzy. Złocene lampy na łańcuchach zawieszonych gdzieś wysoko ponad głową. Nie były zapalone, ale, rzecz jasna, światła było tam w bród, światła, które padało zewsząd i znikąd jednocześnie. Amys i Bair były już na miejscu, nie wyglądały inaczej niżli tegoż ranka, wyjąwszy fakt, że ich naszyjniki i bransolety iskrzyły się odrobinę bardziej niżli zwykle złoto. Rozmawiały cicho, z wyraźną irytacją. Egwene posyłała jedynie kilka oderwanych słów, jednak dwa z nich bez wątpienia brzmiały: „Rand al’Thor”.

Nagle zrozumiała, że ma na sobie białą sukienkę Przyjętej z obrzeżonym lamówką rąbkiem. W tym samym momencie ta zmieniała się w kopię ubiorów Mądrych, pozbawioną jednak wszelkich ozdób. Nie sądziła, aby któraś z kobiet zauważyła, co się stało, względnie zrozumiała, co oznacza ta suknia. Bywało niekiedy, że poddanie się oznaczało utratę mniejszego *ji* i zdobycie większego *toh* niżli wybór przeciwny, jednak żaden Aiel nie wziąłby nawet takiej sytuacji pod uwagę, nie próbując wcześniej walczyć.

— Znowu się spóźniają — oznajmiła gniewnie Amys, wychodząc na pustą przestrzeń pod wielką kopułą komnaty. Głęboko wbity w płyty posadzki iskrzył się tam niby — miecz wykonany z kryształu, *Callandor* z prorocत्व, męski *sa’angreal*, jeden z najpotężniejszych, jakie kiedykolwiek wykonano. Rand zostawił go w tym miejscu, aby przypominał Tairenianom o jego osobie, jakby istniała choćby najmniejsza szansa, że zapomną, jednak Amys ledwie musnęła go spojrzeniem. Dla wszystkich pozostałych Miecz Który Nie Jest Mieczem mógł stanowić znak Smoka Odrodzonego, dla niej jednak stanowił jedynie przedmiot niezrozumiałej troski mieszkańców mokradeł. — Przynajmniej możemy mieć nadzieję, że nie będą udawać, iż wiedzą wszystko, podczas gdy my nie wiemy nic. Ostatnim razem zachowywały się znacznie lepiej.

Parsknięcie Bair nawet u Sorilei wywołałoby wzdrygnięcie.

— One nigdy nie zmieniają się na lepsze. Proszono je tylko, żeby były tam, gdzie obiecały, oraz żeby dotarły o czasie, który same wyznaczyły, a ich nawet na to nie... — Urwała, gdy po drugiej stronie *Callandora* stanęło nagle siedem kobiet.

Egwene rozpoznała je, nawet młodą kobietę o zdeterminowanym spojrzeniu błękitnych oczu, którą spotkała już wcześniej w *Tel’aran’rhiod*. Kim ona jest? Amys i Bair wspominały jej o pozostałych — zazwyczaj bardzo kwaśnym tonem — ale o tej nigdy. Miała na sobie szal z niebieskimi frędzlami; wszystkie miały na sobie szale. Ich suknie zmieniały barwy oraz krój z minuty na minutę, jednak szale nawet nie zamigotały.

Oczy Aes Sedai spoczęły natychmiast na Egwene. Jakby Mądre w ogóle nie istniały.

— Egwene al’Vere — oznajmiła formalnie Sheriam — nakazuje ci się stawić przed Komnatą Wieży. — W tych zielonych oczach lśniło jakieś tłumione uczucie. Egwene poczuła ucisk w żołądku; musiały wiedzieć, że udawała pełną siostrę.

— Nie pytaj, dlaczego zostałam wezwana — powiedziała Carlinya, prawie wchodząc w słowo Sheriam. — Masz odpowiadać, a nie zadawać pytania. — Z jakiegoś powodu jej ciemne włosy obcięte były na krótko; w obecnej sytuacji tego typu nieważne szczegóły pochłaniały całą uwagę Egwene. Z pewnością nie miała najmniejszej ochoty się zastanawiać, co się za tym wszystkim kryje. Ceremonialne frazesy płynęły jednostajnym rytmem. Amys i Bair poprawiły szale na ramionach i słuchały tego, zmarszczywszy brwi; ich irytacja powoli ustępowała miejsca szczeremu zatroskaniu.

— I nie opóźniaj swego przybycia. — Egwene zawsze żywiła względem Anaiyi ciepłe uczucia, teraz jednak głos tej kobiety o tak pospolitej twarzy brzmiał równie twardo jak słowa Carlinyi, i bynajmniej nie dawało się odnaleźć choć śladu ciepła w tym ceremonialnym tonie. — Twoją rzeczą jest się pospieszyć.

Wszystkie trzy przemówiły jednocześnie.

— Słuszną jest rzeczą obawiać się wezwania Komnaty. Słuszną jest rzeczą być posłuszną jej rozkazom, w pośpiechu i pokorze, bez zadawania pytań. Masz ukłęknąć przed Komnatą Wieży i wysłuchać jej osądu.

Egwene próbowała zapanować nad swym oddechem, przynajmniej na tyle, żeby nie dyszeć. Jaka będzie kara za to, co zrobiła? Podejrzewała, że nielekką, tym bardziej, że poprzedzał ją tak poważny rytuał wezwania. Wszystkie patrzyły teraz na nią. Próbowała wyczytać coś z tych charakterystycznie obojętnych twarzy. Na sześciu dostrzegła tylko niewzruszoność pozbawionych wieku rysów i być może lekki ślad napięcia w oczach. Młoda Błękitna demonstrowała chłodne opanowanie, właściwe komuś, kto był Aes Sedai już od lat, nie potrafiła jednak ukryć nieznacznego, pełnego satysfakcji uśmiechu.

Zdawały się na coś czekać.

— Przybędę tak szybko, jak to tylko możliwe — oznajmiła. Nawet jeśli cały czas przewracało jej się w żołądku, to jednak potrafiła im dorównać w panowaniu nad głosem. Żadnego tchórzostwa. Jeszcze zostanie Aes Sedai. Jeżeli po tym wszystkim jej pozwolą. — Nie mam jednak pojęcia, kiedy to nastąpi. To długa droga, a ja nie wiem dokładnie, gdzie znajduje się Salidar. Wiadomo mi tylko, że leży gdzieś nad rzeką Eldar.

Sheriam wymieniła spojrzenia z pozostałymi. Jej suknia z bladoniebieskiego jedwabiu przeobraziła się w ciemnoszarą, z rozciętymi spódnicami do konnej jazdy.

— Pewne jesteśmy, iż istnieje sposób na szybkie pokonanie tej drogi. Pod warunkiem, że Mądre zechcą pomóc. Siuan nie ma wątpliwości, iż zajmie to nie więcej jak dzień czy dwa, jeżeli wejdiesz cieleśnie do *Tel’aran’rhiod*...

— Nie — warknęła Bair w tym samym momencie, gdy Amys powiedziała:

— Nie będziemy jej uczyć takich rzeczy. Posługiwano się nimi dla czynienia zła i same w sobie są złem. Ktokolwiek się do nich ucieka, traci część samego siebie.

— Nie możecie tego wiedzieć z całą pewnością — odparła cierpliwym tonem Beonin — skoro, jak się wydaje, żadna z was nigdy tego nie dokonała. Lecz jeśli wiecie, iż jest to możliwe, musicie mieć jakieś pojęcie na temat tego, jak to można zrobić. Być może nam uda się odkryć to, co pozostaje dla was tajemnicą.

Cierpliwość okazała się najgorszą strategią. Amys poprawiła szal i zeszywniała jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Bair wsparła pięści na biodrach i spojrzała na tamte z takim gniewem, że aż nieświadomie obnażyła zęby. Lada moment nastąpi jeden z tych wybuchów, o których Mądre czasami nadmieniały. Zapewne tym razem udzieli Aes Sedai lekcji na temat tego, co można, a czego nie można robić w *Tel'aran'rhiod*, pokazując im, jak mało jeszcze wiedzą. Aes Sedai jednak patrzyły im w oczy zupełnie spokojnie, pełne przekonania o własnej słuszności i sile. Wygląd ich szali pozostawał bez zmian, jednak suknie migotały równie szybko, jak biło serce Egwene. Tylko ubiór młodej Błękitnej zdradzał jakieś ślady świadomej kontroli, zmienił się bowiem raz tylko podczas przedłużającej się ciszy.

Musiała jakoś położyć temu kres. Musiała pojechać do Salidaru, a tam z pewnością na nic jej się nie przyda fakt, że była świadkiem poniżenia obecnych tu Aes Sedai.

— Ja wiem jak. Sądzę, że mi się uda. Mam zamiar spróbować. — Jeżeli nie, zawsze będzie mogła tam pojechać w zwykły sposób. — Tylko muszę się dowiedzieć, dokąd dokładnie mam się kierować. A w każdym razie muszę wiedzieć coś więcej, niż wiem teraz.

Amys i Bair odwróciły oczy od Aes Sedai i spojrzały na nią. Nawet spojrzenie Carlinyi czy Morvrin nie mogło się równać z chłodem ich oczu. Egwene poczuła, że jej serce ściska się zupełnie tak samo jak żołądek.

Sheriam natychmiast zaczęła dawać jej wskazówki — tyle a tyle mil od takiej wioski, tyle a tyle lig na południe od... jednak młoda Błękitna odkaslnęła i powiedziała:

— Może to bardziej ci się przyda. — Jej głos brzmiał znajomo, jednak Egwene nie potrafiła skojarzyć go z obliczem.

Być może w niewielkim tylko stopniu górowała nad pozostałymi w panowaniu nad swym odzieniem — kiedy to mówiła, miękki, zielony jedwab nabrał błękitnej barwy, przy haftowanej sukni z wysokim karczkiem pojawiła się koronkowa kryza, a na głowie czepeczek z pereł — ale wiedziała parę rzeczy na temat *Tel'aran'rhiod*. Nagle tuż obok niej, w powietrzu, pojawiła się wielka mapa, z płonącym czerwonym punktem, pod którym napisane było wielkimi literami „Cairhien”, i drugim, identycznie oznaczonym na przeciwległym krańcu, gdzie widniał napis „Salidar”. Mapa pulsowała i zmieniała się; w pewnym momencie góry nie

były już tylko zaznaczone liniami, lecz wypiętrzyły się; lasy przybrały odcień zieleni i brązów, rzeki rozbłysły błękitem wody w promieniach słońca. Mapa rosła, póki nie stała się jakby ścianą otaczającą cały środek Serca. Przypominało to spoglądanie z góry na świat.

Nawet na Mądrych wywarło to na tyle wielkie wrażenie, by można było przestać zwracać uwagę na ich dezaprobatę, przynajmniej dopóki szata Tairenianki nie zmieniła się w żółtą suknię z jedwabiu z linią dekoltu obszytą srebrem. Jednak młoda kobieta nie interesowała się ich reakcją. Z jakiegoś powodu patrzyła wyzywająco na pozostałe Aes Sedai.

— To jest wspaniałe, Suan — stwierdziła po chwili Sheriam.

Egwene aż zamrugła oczami. Suan? To musiała być jakaś inna kobieta o tym samym imieniu. Ta druga Suan parsknęła z zadowoleniem, po czym szorstko skinęła głową. Tym do złudzenia przypominała Suan Sanche, która często wykonywała taki sam gest, ale to przecież żadną miarą nie mogła być ona.

„Robisz wszystko, żeby tylko myśleć o czymś innym” — skarciła się w myślach.

— To mi z pewnością wystarczy do znalezienia Salidaru, niezależnie od tego, czy będę potrafiła. . . — Zerknęła na Amys i Bair, tak pełne milczącej dezaprobaty, że przypominały teraz posągi wykute z lodu. — Niezależnie od tego, czy będę w stanie dostać się tutaj cieleśnie. Tak czy inaczej, obiecuję, że dotrę do Salidaru najszybciej, jak tylko będę mogła. — Mapa zniknęła.

„Światłości, co one zamierzają ze mną zrobić?”

Jej usta już niemal wypowiedziały to pytanie, ale Carlinya przerwała jej, znowu tonem skrajnie formalnym i jeszcze bardziej nawet twardym niżli poprzednio.

— Nie pytaj, dlaczego zostałeś wezwana. Masz odpowiadać, a nie zadawać pytania.

— I nie opóźniaj swego przybycia — powiedziała Anaiya. Twoją rzeczą jest się pośpieszyć.

Aes Sedai wymieniły spojrzenia, a potem zniknęły tak szybko, że nie potrafiła się nie zastanawiać, czy przypadkiem nie doszły do wniosku, iż jednak postanowiła zapytać.

Takim sposobem została sam na sam z Amys i Bair, kiedy jednak odwróciła się do nich, niepewna, czy zacząć od wyjaśnień, od przeprosin, czy zwyczajnie błagać o wybaczenie, one zniknęły również, zostawiając ją samą, otoczoną kolumnami z czerwonego kamienia, z Callandorem błyszczącym obok. Nie było żadnych wymówek w sprawach ji'e'toh.

Wzdychając ze smutkiem, wyszła z Tel'aran'rhiod i wróciła do swego uśpionego ciała.

Obudziła się natychmiast; budzenie się wedle życzenia stanowiło w takim samym stopniu część szkolenia wędrującej po snach jak zasypianie, kiedy się tylko zechce, ona zaś obiecała, że przybędzie tak szybko, jak tylko potrafi. Przeniosła

i zapaliła lampy, wszystkie naraz. Będzie jej potrzebne światło. Nie czuła śladu animuszu, kiedy uklękła obok jednej z małych skrzynek, stojących pod ścianą namiotu i zaczęła przebierać w swoich ubraniach w poszukiwaniu rzeczy, których nie zakładała od czasu przybycia do Pustkowie. Jakaś część jej życia dobiegła końca, nie będzie jednak płakać nad tym, co straciła. Nie będzie.

Gdy tylko Egwene zniknęła, Rand wyszedł spośród lasu kolumn. Przybywał tutaj czasem, aby popatrzeć na Callandora. Pierwsza wizyta miała miejsce wkrótce po tym, jak Asmodean nauczył go tworzyć sploty. Wówczas to zmienił pułapki, jakie zastawił wokół sa'angreala, dzięki czemu nie były widoczne dla nikogo innego. Jeżeli można było wierzyć Proroctwom, ten kto wyciągnie miecz, miał „pójść za nim”. Nie był do końca pewien, do jakiego stopnia sam w nie wierzy, wolał jednak nie ryzykować bez potrzeby.

Lews Therin pokrzykiwał gdzieś w głębi jego głowy — zawsze się tak działo, gdy zbliżał się do Callandora — dzisiejszej jednak nocy błyszczący kryształowy miecz nie interesował Randa w najmniejszej mierze. Popatrzył na to miejsce, gdzie przed chwilą wisiała wielka mapa. Najwyraźniej pod koniec pokazu nie była to już tylko zwykła mapa, lecz coś znacznie więcej. Czy to poszukiwane przez niego miejsce? Czy to zwykły przypadek sprowadził go tutaj dzisiejszej nocy, zamiast wczorajszej lub jutrzejszej? Jedno z tych szarpnięć, które aplikował jako ta'veren, odkształcając Wzór? Nieważne. Egwene tak pokornie przyjęła ich wezwanie; na pewno by tego nie zrobiła, gdyby zostało wystosowane przez Wieżę i pochodziło z ust Elaidy. Ten Salidar musi być więc miejscem, gdzie ukrywają się jej tajemnicze przyjaciółki. I gdzie jest również Elayne. Same wydały się w jego ręce.

Śmiejąc się, otworzył bramę wiodącą do lustrzanego odbicia pałacu w Caemlyn.

# UMOCNIĆ ODWAGĘ

Odziana w samą bieliznę Egwene klęczała i spod zmarszczonych brwi oglądała ciemnozieloną suknię do konnej jazdy, w której przybyła do Pustkowia; miała wrażenie, że było to w jakichś zamierzczłych czasach. Tyle należało zrobić. Napisała pospiesznie krótki list, po czym wywlokła z namiotu Cowinde i kazała jej go zanieść następnego ranka do „Długiego człowieka”. Napisała tylko tyle, że musiała wyjechać — zresztą sama niewiele ponadto wiedziała — ale nie potrafiła tak zwyczajnie zniknąć, nie informując o niczym Gawyna. Kilka zwrotów jednak wywoływało rumieńce na jej twarzy, kiedy je potem wspominała — nie dość, że wyznawała mu miłość, to jeszcze prosiła, by na nią zaczekał! — jednak zadbała o niego na tyle, na ile było to możliwe. Teraz była już przygotowana, chociaż sama nie wiedziała, na co właściwie.

Nagle klapę namiotu odrzucono gwałtownie, do środka zaś weszła Amys, za nią Bair i Sorilea. Stały w rzędzie i popatrzyły na nią z góry. Trzy twarze zastygły w wyrazie skrajnej dezaprobaty. Mało co, a byłaby kurczowo przycisnęła suknię do piersi; stojąc w samej bieliznie, czuła, że znajduje się w niekorzystnym położeniu. Jednak nawet odziana w zbroję czułaby zapewne to samo. Wiedziała bowiem, że nie ma racji. Dziwiła się tylko, że przyszły dopiero teraz.

Zrobiła głęboki wdech.

— Jeżeli przyszłyście, żeby mnie ukarać, to nie mam czasu na noszenie wody, kopanie dziur czy inne tego typu rzeczy. Przykro mi, ale obiecałam, że przybędę tak szybko jak to tylko możliwe. I myślę też, że dla nich naprawdę ważna jest każda minuta.

Błade brwi Amys uniosły się w zaskoczeniu; Sorilea i Bair wymienily pytające spojrzenia.

— Niby jak miałybyśmy cię ukarać? — zapytała Amys. — Przestałaś być naszą uczennicą w momencie, gdy wezwały cię twoje siostry. Musisz udać się do nich jako Aes Sedai.

Egwene wbiła wzrok w suknię, żeby ukryć grymas zaskoczenia. Na szczęście pogniotła się jedynie nieznacznie mimo tyłu miesięcy spędzonych w kufrze. Zmusiła się, żeby znowu na nie spojrzeć.

— Wiem, że jesteście na mnie złe i oczywiście macie swoje powody...

— Złe na ciebie? — zapytała Sorilea. — Nie jesteśmy złe. Myślałam, że znasz nas lepiej. — To była prawda, w jej głosie nie było gniewu, jednak potępienie wciąż biło z jej twarzy, podobnie jak z twarzy Sorilei.

Egwene popatrywała to na jedną, to na drugą, to na trzecią; szczególnie długo jej spojrzenie zatrzymało się na twarzach Bair i Amys.

— Ale przecież powiedziałyście, jak waszym zdaniem złe jest to, co zamierzam uczynić, powiedziałyście, że nie wolno mi nawet o tym myśleć.

Ku jej zaskoczeniu na pomarszczonej twarzy Sorilei zniemacka rozkwitł uśmiech. Liczne bransolety zagrzechotały, kiedy z zadowoleniem poprawiła szal.

— Widzicie? Mówiłam wam, że ona zrozumie. Mogłaby być Aielem.

Napięcie zniknęło z twarzy Amys, oblicze Bair rozluźniło się jeszcze bardziej i wtedy Egwene zrozumiała. Nie były złe dlatego, że miała zamiar spróbować dostać się we własnym ciele do *Tel'aran'rhiod*. W ich oczach to było niewłaściwe, ale człowiek winien jest robić to, co według siebie musi, i nawet jeśli mu się uda, to nie naraża na szwank żadnych innych zobowiązań, prócz tych, które ma względem samego siebie. W ogóle nie były na nią złe, jeszcze nie. Chodziło im o to, że ją okłamała. Poczują ucisk w żołądku. Kłamstwo, do którego się przyznała. Być może najmniejsze z jej kłamstw.

Musiała znowu zrobić głęboki wdech, żeby rozluźnić ściśnięte gardło, przez które nie chciały przejść słowa.

— Okłamałam was również w innych kwestiach. Wchodziłam do *Tel'aran'rhiod* po tym, jak obiecałam, że nie będę tego robić. — Twarz Amys pociemniała znowu. Sorilea, która nie była wędrującą po snach, tylko ponuro pokręciła głową. — Obiecywałam, że będę posłuszna jako uczennica, ale kiedy stwierdziłyście, że Świat Snów jest dla mnie zbyt niebezpieczny po tym, jak zostałam ranna, ja mimo to dalej do niego wchodziłam. — Bair zaplotła ramiona na piersiach z twarzą całkiem pozbawioną wyrazu. Sorilea mruknęła coś na temat głupich dziewczynek, ale trudno było w jej głosie usłyszeć prawdziwą pasję. Trzeci głęboki wdech; to będzie najtrudniej wyznać. W żołądku nie czuła już zwykłego ściskania, przewracało jej się tam wszystko w taki sposób, iż dziwiło ją, że nie trzęsie się cała. — Najgorszą rzeczą ze wszystkiego jest to, że wcale nie jestem Aes Sedai. Jestem tylko Przyjętą, czyli kimś w rodzaju uczennicy. Nie zostanę wyniesiona do godności Aes Sedai jeszcze przez całe lata, o ile w ogóle będę kiedykolwiek po tym wszystkim.

Sorilea gwałtownie podniosła głowę i zacisnęła wargi, ale nadal nic nie mówiła. To do Egwene należało naprawienie wszystkiego. Rzeczywiście, mogły jej już nie traktować dokładnie w taki sam sposób jak przedtem, jednak. . . .

„Przyznałaś się do wszystkiego — wyszeptał cichy głos w jej głowie. — Teraz lepiej zajmij się jak najszybszym znalezieniem sposobu na dotarcie do Salidaru. Może jednak uda ci się kiedyś zostać Aes Sedai, ale na pewno tego nie osiągniesz, jeżeli będziesz je wprawiała w jeszcze większą złość”.

Egwene spuściła oczy i z ustami wykrzywionymi pogardą wbiła wzrok w spiętrzone pod stopami kolorowe dywaniki. Pogardą dla tego cichego głosu. Było jej wstyd, że w ogóle potrafiła tak pomyśleć. Wyjeżdża, ale najpierw musi wszystko naprawić, uporządkować. A to było możliwe, w ramach *ji'e'toh*. Robisz to, co musisz, potem płacisz cenę. Wiele miesięcy temu, w Pustkowiu, Aviendha pokazała jej, jak się płaci za kłamstwo.

Zebrawszy wszystkie strzępy odwagi, jakie potrafiła odnaleźć w swej duszy, w nadziei, że to wystarczy, Egwene odłożyła na bok jedwabną suknię i wstała. Dziwne, kiedy już raz zaczęła, dalej wszystko zdawało się prostsze. Wciąż musiała spoglądać w górę, żeby napotkać ich spojrzenia, ale teraz potrafiła czynić to z dumą, z podniesionym czołem, i wcale nie musiała wykrztuszać każdego słowa.

— Mam wobec was *toh*. — W żołądku przestało ją już ścisnąć. — Proszę was o przysługę, proszę żebyście pomogły mi sprostać mojemu *toh*. — Salidar musiał zaczekać.

Wsparty na łokciu Mat wpatrywał się w planszę do gry w Węże i Lisy rozłożoną na podłodze namiotu. Od czasu do czasu kropla potu skapywała z jego podbródka, o włos mijając planszę. Tak naprawdę to wcale nie była plansza, tylko skrawek czerwonej tkaniny z pajęczyną linii wyrysowanych czarnym atramentem oraz strzałkami wskazującymi, po których liniach poruszać się można tylko w jedną stronę, a które zezwalają na ruch w obu kierunkach. Dziesięć krążków z jasnego drewna z wyrysowanymi trójkątami oznaczało lisy, kolejne dziesięć poznaczonych falistą linią — węże. Dwie lampy stojące po obu stronach planszy dawały aż nadto światła.

— Tym razem wygramy, Mat — zawołał podniecony Olver. — Wiem, że nam się uda.

— Może — skwitował Mat. Ich dwa oznaczone na czarno krążki stały już przy samej granicy koła pośrodku planszy, jednak następny rzut kości miał należeć do lisów i węży. Zazwyczaj nie docierało się dalej jak do zewnętrznego kręgu. — Rzuć kości. Sam nawet nie dotykał kubka, przynajmniej od czasu, gdy podarował go chłopcu; skoro mieli razem grać w tę grę, to nie było sensu angażować w nią własnego szczęścia.

Uśmiechnięty Olver zagrzechotał kubkiem i wysypał z niego drewniane kości, które dostał w prezencie od ojca. Jęknął, gdy policzył oczka; tym razem trzy kości ukazywały lica oznaczone trójkątami, na trzech pozostałych widać było linie. Wynik nakazywał poruszyć lisami i węzami w kierunku własnych pionów najkrótszą z możliwych dróg, a jeśli któryś z nich wszedł na zajmowane pole... Wąż zbił Olvera, lis Mata, a Mat bez trudu potrafił dostrzec, że jeśli zagrana zostanie reszta kości, to jeszcze dwa węże zajmą jego pozycje.

To była tylko dziecięca gra, na dodatek nie można było w nią wygrać, przynaj-



mniej jeśli przestrzegało się reguł. Wkrótce Olver będzie na tyle dorosły, by zdać sobie z tego sprawę i jak inne dzieci przestanie grać. Była to tylko dziecięca gra, jednak Mat nie lubił, kiedy lis go dopadał, a w jeszcze mniejszym stopniu, kiedy czynił to wąż. Przywoływało to złe wspomnienia, nawet jeśli nie miały one nic wspólnego z tamtymi, prawdziwymi wydarzeniami.

— Cóż — wymamrotał Olver — mało co, a byśmy wygrali. Zagramy jeszcze raz, Mat? — Nie czekając na odpowiedź, zrobił znak otwierający grę, trójkąt, a potem na skroś niego falistą linię, i wyrecytował: — Odwagi, by pokrzepiła, ognia, by oślepił, muzyki, by oszołomiła, żelaza, by wiązało. Mat, dlaczego mówimy te słowa? Nie ma tutaj żadnego ognia, żadnej muzyki, żadnego żelaza.

— Nie mam pojęcia. — Ten wers potrafił jakąś strunę w jego pamięci, ale nie potrafił przypomnieć sobie, o co chodziło. Te pradawne wspomnienia, jakie wyniósł z *ter'angreal*, równie dobrze mogły być dobrane zupełnie przypadkowo, najprawdopodobniej tak właśnie było, a na dodatek jeszcze te wszystkie dziury ziejące w jego własnych wspomnieniach, wszystkie te mętne miejsca. Olver wiecznie zadawał pytania, na które on nie umiał odpowiedzieć.

Z mroku nocy wszedł do wnętrza Daerid i aż drgnął zaskoczony. Jego twarz ociekała potem, a mimo to miał na sobie kaftan. Najświeższa, różowa jeszcze blizna odcinała się od białych pręg krzyżujących się na jego obliczu.

— Sądzę, że już dawno powinienes iść do łóżka, Olver — powiedział Mat, podnosząc się. Zapięły go rany, ale tylko odrobinę; goiły się dobrze. — Złóż planszę. — Podeszedł do Daerida i zniżył głos do szeptu: — Jeżeli komuś o tym wspomniesz, to poderżnę ci gardło.

— Dlaczego? — sucho zapytał Daerid. — Stajesz się powoli świetnym ojcem. On jest nawet bardzo do ciebie podobny. Najwyraźniej miał kłopoty ze stłumieniem wypęczającego na twarz uśmiechu, ale w chwilę później nie było już po nim śladu. — Lord Smok przybywa do obozu — powiedział tak poważnie, jakby oznajmiał czyjąś śmierć.

Wszystkie myśli o daniu Daeridowi po nosie rozpierchły się natychmiast. Mat odrzucił połę namiotu i w samej koszuli skoczył w noc. Sześciu ludzi Daerida, ustawionych kręgiem wokół namiotu, zeszywniało w momencie, gdy się pojawił. Kuszniczy; piki z pewnością nie przydałyby się wartownikom na wiele. Mimo głębokiej nocy w obozie było całkiem jasno. Błada poświata księżyca w trzeciej kwadrze na bezchmurnym niebie pierzchała przed światłami licznych ognisk płonących między rzędami namiotów i ludzi śpiących pod gołym niebem. Co dwadzieścia kroków aż do palisady z bali rozstawione były warty. Matowi nie podobało się to szczególnie, ale jeśli atak mógł nastąpić właściwie zewsząd...

Grunt był tutaj niemalże płaski, dlatego bez trudu zauważył idącego ku niemu Randa. Nie był sam. Dwóch Aielów z zasłoniętymi twarzami maszerowało tuż za nim, błyskawicznie odwracali głowy za każdym razem, gdy któryś ze śpiących żołnierzy przewrócił się na drugi bok albo gdy wartownik spojrział w ich stronę.

Towarzyszyła mu również Aviendha; szła obok niego, z tobołkiem na plecach, takim krokiem, jakby w każdej chwili była gotowa skoczyć do gardła każdemu, kto stanie jej na drodze. Mat nie potrafił zrozumieć, dlaczego Rand trzyma ją przy sobie.

„Kobiety Aielów nie oznaczają niczego prócz kłopotów — pomyślał ponuro — a nigdy nie widziałem kobiety na pierwszy rzut oka bardziej gotowej przysporzyć komuś kłopotów niżli ta oto”.

— Czy to naprawdę Smok Odrodzony? — zapytał bez tchu Olver. Niemal podskakiwał w miejscu, z planszą przyciśniętą do piersi.

— Naprawdę — poinformował go Mat. — A teraz zmykaj do łóżka. To nie jest odpowiednie miejsce dla małych chłopców.

Olver zostawił go, mrużąc coś z wyrzutem, jednak nie odszedł dalej jak do najbliższego namiotu. Mat zauważył kątem oka, jak chłopak znika za nim, ale zaraz potem zza rogu wychyliła się jego drobna buzia.

Mat postanowił dać mu spokój, ale gdy dobrze przyjrzał się twarzy Randa, zaczął się zastanawiać, czy jest to miejsce stosowne dla dorosłych mężczyzn, a cóż dopiero małego chłopca. Tej twarzy można było używać do niszczenia murów obronnych, jednak pod tą maską kłębiły się wyraźnie rozmaite emocje: podniecenie, może gotowość; w oczach Randa płonął żywy ogień. W jednej dłoni trzymał wielki zwój pergaminu, druga nieświadomie muskała rękojeść miecza. Sprzączka od pasa ze Smokiem iskrzyła się w blasku ognisk; łeb jednego ze Smoków wyhaftowanych na rękawach jakimś sposobem też odbijał światło.

Došedł do miejsca, gdzie czekał na niego Mat, ale nie tracił czasu na przywitanie.

— Muszę z tobą porozmawiać. Sam na sam. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. — Noc przypominała wnętrze pieca, rozgrzane, a jednocześnie mroczne. Rand miał na sobie wyszywany złotem, zielony kaftan z wysokim kołnierzem, a mimo na jego czole nie było widać nawet kropli potu.

Daerid, Talmanes i Nalesean stali w odległości kilku kroków, częściowo już porozbierani do snu; obserwowali. Mat dał im gestem znać, by zaczekali, potem skinął głową w kierunku swego namiotu. Gdy szedł śladem Randa, musnął przez koszulę zawieszoną na szyi głowę lisa. Nie miał się czym martwić. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Rand powiedział wyraźnie: „sam na sam”, ale Aviendha ewidentnie uznała, że jej to nie dotyczy. Trzymała się w stałej odległości dwu kroków od niego, ani mniej, ani więcej; zazwyczaj obserwowała Randa z nieodgadnionym wyrazem twarzy, od czasu do czasu jednak zerkała na Mata, marszcząc brwi, a potem mierząc go spojrzeniem od stóp do głów. Rand nie zwracał na nią uwagi i mimo iż przedtem okazywał tyle pośpiechu, teraz jakby przestało mu zależeć na czasie. Rozglądał się po wnętrzu namiotu tak długo, że aż Mat zaczął się nerwowo zastanawiać, cóż on tam też takiego widzi. Wszak nie było tam wiele do oglądania.

Olver ustawił z powrotem lampy na małym, składanym stoliku. Krzesło również się składało, podobnie jak umywalka i łóżko polowe. Całe wyposażenie było lakierowane na czarno, z liniami złoceni; jeżeli człowiekowi nie brakowało złota, to mógł je również i w ten sposób wydawać. Rozcięcia, jakie pozostały po ataku Aielów w ścianach namiotu, zostały zgrabnie załatane, ale wciąż były widoczne.

Cisza zaczęła powoli irytować Mata.

— O co chodzi, Rand? Mam nadzieję, że nie zdecydowałeś się zmienić planów o tak późnej porze: — Żadnej odpowiedzi, tylko takie spojrzenie, jakby Rand właśnie przypomniawsobie, gdzie jest. Co sprawiło, że Mat zrobił się trochę nerwowo. Niezależnie do tego, co myślał Daerid oraz reszta Legionu, robił wszystko, żeby trzymać się z daleka od ewentualnych bitew. Czasami jednak fakt, że był ta'veren, działał przeciwko niemu; w każdym razie on tak to widział. Uważał również, że Rand ma coś wspólnego z tym wszystkim, był silniejszym ta'veren, tak silnym, że Mat niekiedy fizycznie niemal odczuwał jego przyciąganie. Kiedy Rand maczał w czymś palce, Mat nie byłby zaskoczony, gdyby obudził się pośród ognia walki, mimo iż zasnął wcześniej na przykład w stodole. — Jeszcze kilka dni i znajdę się w Łzie. Promem przewiozę zasadnicze siły Legionu przez rzekę, a potem jeszcze kilka dni i spotkamy się z Weiramonom. Do cholery, za późno, żeby coś zmieniać. . .

— Chcę, żebyś przywiózł Elayne do. . . do Caemlyn — wtrącił Rand. — Chcę, żebyś zadbał o to, aby bezpiecznie tam dotarła, niezależnie od kosztów. Nie opuszczaj jej boku, póki nie zasiądziesz na Tronie Lwa. — Aviendha odkaslnęła. — Tak — kontynuował Rand. Z jakiegoś powodu jego głos był równie zimny i twardy jak wyraz twarzy. Tylko czy potrzebował jakichś powodów, jeśli zaczynał się już pograżać w szaleństwie? — Aviendha pojedzie z tobą. Myślę, że tak będzie najlepiej.

— Ty sądzisz, że tak będzie najlepiej? — oznajmiła z obrazą, wyraźnie słyshalną w głosie. — Gdybym się wtedy nie obudziła, to nigdy bym się nie dowiedziała, że ją znalazłeś. Nigdzie mnie nie pošlesz, Randzie al'Thor. Muszę porozmawiać z Elayne dla moich. . . z moich własnych powodów.

— Bardzo się cieszę, że znalazłeś Elayne — odparł ostrożnie Mat. Gdyby on był na miejscu Randa, zostawiłby tę kobietę w spokoju, gdziekolwiek się znajdowała. Światłości, to już Aviendha była lepsza! Kobiety Aielów przynajmniej nie chodziły po świecie z zadartymi nosami, ani też nie uważały, że powinieneś skakać dlatego tylko, że wydały taki rozkaz. Ale z kolei potrafiły uprawiać wyjątkowo nieprzyjemne gry, a czasami nawet próbowały cię zabić. — Po prostu nie rozumiem, dlaczego ja ci jestem do tego potrzebny. Przeskocz przez jedną ze swoich bram, daj jej całusa, złap za kark i z powrotem. — Aviendha obdarzyła go naprawdę wściekłym spojrzeniem, jakby radził, żeby to ją Rand całował.

Rand rozwinął wielki pergamin na stole, używając lamp do przytrzymania go na końcach.

— Oto gdzie ona przebywa. — Na mapie zaznaczony był fragment rzeki Eldar i może po pięćdziesiąt mil po na obu brzegach. Niebieskim atramentem wyrysowano na niej strzałkę, wskazującą las. Obok strzałki widniała wypisana drukowanymi literami nazwa „Salidar”. Rand wskazał palcem wschodni kraniec mapy. Tam również nie było prawie nic prócz lasu. — Tu znajduje się wielka polana. Widzisz, że najbliższa wioska położona jest jakieś dwadzieścia mil na północ. W tym miejscu otworzę bramę dla ciebie i dla Legionu.

Matowi udało się zmienić krzywy grymas w uśmiech.

— Słuchaj, skoro już muszę to zrobić, to dlaczego nie w pojedynkę? Otwórz tę bramę w samym Salidarze; porwę ją na konia i... — I co? Czy Rand zamierzał otworzyć również bramę z Salidaru do Caemlyn? To był naprawdę szmat drogi, od Eldar do Caemlyn. Naprawdę długa droga, do tego z nadętą arystokratką i Aielami za całe towarzystwo.

— Legion, Mat — warknął Rand. — Ty, wraz z całym Legionem! — Wciągnął długi, urywany oddech, a ton jego głosu złagodniał. Jednak wyraz twarzy nie zmienił się na jotę, te same napięte rysy, wciąż płonące blaskiem oczu. Mat uwierzyłby, gdyby mu ktoś powiedział, że tamten jest chory, albo że go coś boli. — W Salidarze są Aes Sedai, Mat. Nie wiem ile, ale słyszałem, że całe setki, nie byłbym jednak zaskoczony, gdyby się okazało, że jest ich około pięćdziesięciu. Cały czas twierdzą, że Wieża jest cała i nieskalana, więc wątpię, byś miał zobaczyć tam ich więcej. Chcę, żebyś tam wylądował w odległości dwóch, może trzech dni drogi, żeby się dowiedziały, że przybywasz. Lepiej ich nie brać z zaskoczenia... jeszcze pomyślą, że to atak Białych Płaszczy. One zbuntowały się przeciwko Elaidzie i są pewnie tak przerażone, że wystarczy jak je trochę postraszysz... powiesz, że Elayne ma zostać koronowana w Caemlyn, to ją puszczą. Jeżeli uznasz, że można im zaufać, zaproponuj swoją ochronę. A ponieważ rzekomo stoją po mojej stronie, w obecnej sytuacji zgodzą się może i na to. Potem odwieziesz Elayne... i tyle Aes Sedai, ile będzie chciało pójść z tobą... przez Altarę i Murandy do Caemlyn. Wywieś moje sztandary, głoś wszędzie, co zamierzasz; nie przypuszczam, by Murandianie albo Altarianie przysporzyli ci jakichś kłopotów, pod warunkiem, że będziesz wciąż się przemieszczał. Jeżeli po drodze znajdziesz jakichś Zaprzysięgłych Smokowi, to też zabierz ich ze sobą. Większość przypuszczalnie zajmie się rozbojem, jeśli nie uda mi się w miarę szybko przywiązać ich do siebie... słyszałem już jedną czy dwie plotki... ale jeśli wywiesz moje sztandary, z pewnością pociągną do ciebie. — Obnażył zęby w nagłym uśmiechu, który jednak nie ogarnął tych płonących oczu. — Ile ptaków można trafić jednym kamieniem, Mat? Przejedziesz przez Altarę i Murandy z sześcioma setkami ludzi, pociągniesz za sobą Zaprzysięgłych Smokowi i tym sposobem być może zdobędziesz dla mnie dwa kraje.

W tej przemowie było tyle aluzji, że Mat miał ochotę zgrzytać zębami, i nie dbał już o to, czy Randa boli głowa, albo w obu butach ma pełno ostu. Ma spr-

wić, żeby Aes Sedai pomyślały, że chciał na nie napaść? I nastraszyć co najmniej pięćdziesiąt? Nie bałby się pięciu, albo nawet sześciu Aes Sedai, ale pięćdziesięciu? Ponownie musnął przez koszulę medalion w kształcie lisiej głowy, zanim się połapał, co robi; być może w wyniku tego okaże się, do jakiego stopnia naprawdę dopisuje mu szczęście. Jeśli zaś szło o podróż przez Altarę i Murandy, już to sobie wyobrażał. Każdy arystokrata, przez którego ziemie przejadą, będzie się nadymał jak dumny kogut i próbował dziobnąć go w momencie, gdy odwróci się plecami: I jeszcze to szaleństwo ta'veren; pewnie skończy się na tym, że jakiś lord albo lady wyprowadzą przeciwko niemu całą armię.

Postanowił jeszcze raz spróbować.

— Rand, nie sądzisz, że to skieruje wzrok Sammaela ku północy? Chciałeś, żeby się bał ataku ze wschodu. Właśnie dlatego tutaj jestem, pamiętasz? Miał cały czas patrzeć w tę stronę.

Rand zdecydowanie pokręcił głową.

— Zobacz tylko gwardię honorową eskortującą królową Andoru do Caemlyn, a i to dopiero wtedy, jeśli rzeczywiście dowie się o wszystkim, zanim ty dotrzesz do Caemlyn. Jak szybko możesz wyruszyć?

Mat ponownie otworzył usta... i w tym momencie postanowił zrezygnować. Nie miał zamiaru przeciwstawiać się temu człowiekowi.

— Za dwie godziny. — Żołnierze potrafili się ubrać i dosiąść koni w znacznie krótszym czasie, jednak naprawdę nie było się dokąd śpieszyć, a ostatnią rzeczą, na jakiej mu zależało, było to, żeby jego żołnierze pomyśleli, iż ruszają do ataku.

— Dobrze, ja sam będę potrzebował jakąś godzinę. — Na co, nie wyjaśnił. — Nie opuszczaj Elayne nawet na krok, Mat. Dbaj o jej bezpieczeństwo. Chodzi mi o to, że cała wyprawa nie będzie miała żadnego sensu, jeśli nie uda jej się dostarczyć żywej na koronację w Caemlyn. — Czy jemu się wydawało, że Mat nie ma pojęcia, iż on i Elayne spędzali każdą wolną chwilę w Kamieniu Łzy na ściskaniu się w rozmaitych zakamarkach fortecy?

— Będę ją traktował jak własną siostrę. — Jego siostry robiły, co mogły, żeby jak najbardziej utrudniać mu życie. Cóż, spodziewał się tego samego po Elayne, tylko że sposób zapewne będzie odmienny. Może Aviendha okaże się nieco lepsza. — Nie spuszczę jej z oczu, póki nie posadzę jej na tronie w Królewskim Pałacu.

„A jeśli będzie próbowała odgrywać Panią Nadętą wobec mnie zbyt często, to przysięgam, że spuszczę jej lanie”.

Rand pokiwał głową.

— To mi o czymś przypomniało. W Caemlyn jest Bodewhin z Verin, Alaną i garstką dziewczyn z Dwu Rzek. Zatrzymały się tam w drodze do Tar Valon, miały się szkolić na Aes Sedai. Nie mam pojęcia, czy istotnie tak się wszystko skończy, biorąc pod uwagę okoliczności, ale z pewnością nie mam zamiaru pozwolić im wyjechać do Wieży. Być może Aes Sedai, które sprowadzisz ze sobą,

zatroszczyć się o wszystko.

Mat wytrzeszczył oczy. Jego siostra Aes Sedai? Bode, która zawsze biegła poskarżyć się matce, kiedy on spletał jakiegoś figla?

— Kolejna rzecz — ciągnął dalej Rand. — Egwene może znaleźć się w Saldarze przed tobą. Przypuszczam, że w jakiś sposób udało im się dowiedzieć, iż podaje się za pełną Aes Sedai. Zrób co tylko w twojej mocy, aby ją z tego wyciągnąć. Powiedz jej, że zawiozę ją z powrotem do Mądrych, kiedy tylko znajdę czas. Myślę, że zechce pojechać z tobą. Ale może też być inaczej; sam dobrze wiesz, jaka ona jest uparta. Najważniejsza jest jednak Elayne. Pamiętaj, nie odstępuj jej nawet na krok, póki nie dotrzecie do Caemlyn.

— Obiecuję — wymamrotał Mat. Jakim sposobem Egwene miałyby się znaleźć nad rzeką Eldar? Pewien był przecież, że w momencie gdy opuszczał Marerone, przebywała w Cairhien. No chyba, że udało jej się na własną rękę odkryć, na czym polega ta Randowa sztuczka z bramami. W takim razie mogła się przemieszczać do woli po całym świecie. Mogła przecież też przeskoczyć do Caemlyn, jednocześnie otwierając bramę dla Legionu. — O Egwene również się nie martw. Wyciągnę ją z każdego kłopotów, choćby nie wiem jak się zapierała. — Nie będzie to pierwszy raz, kiedy wyciągnie orzechy z ognia, zanim się spalą. Najprawdopodobniej i tym razem nie usłyszysz nawet słowa podziękowania. Bode miała zostać Aes Sedai?

„Krew i krwawe popioły!”

— Dobrze — powiedział Rand. — Dobrze. — Nadal jednak wpatrywał się w mapę. Po chwili podniósł wzrok, a Mat odniósł wrażenie, że chce coś powiedzieć do Aviendhy. Zamiast tego jednak odwrócił się do niej plecami, niemalże grubiańsko. — Thom Merrillin powinien przebywać w towarzystwie Elayne. — Rand wyciągnął z kieszeni kaftana zwinięty i zapieczętowany list. — Zadbaj, żeby to do niego dotarło. — Wcisnął list do ręki Mata, a potem pospiesznie opuścił namiot.

Aviendha zrobiła krok za nim, na poły unosząc dłoń i otwierając usta, jakby chciała coś powiedzieć. Równie nagle zmieniła zamiar; wpiła dłoń w fałdy spodnicy i zacisnęła powieki. A więc w tę stronę wiał wiatr, co?

„I ona z pewnością zechce porozmawiać z Elayne”.

W jaki sposób Randowi udało się w ogóle wpakować w taką kabałę? Rand zawsze był tym, który wiedział, jak dawać sobie radę z dziewczynami, podobnie zresztą jak Perrin.

Mimo wszystko jednak to nie był jego kłopot. Obrócił list w dłoniach. Imię Thoma zostało na nim wypisane kobiecym charakterem pisma, pieczęci nie potrafił rozpoznać: rozłożyste drzewo z koroną na szczycie. Jakaż arystokratka chciałaby pisać do takiego pomarszczonego starca? To również nie był jego kłopot. Rzucił list na stół, wziął do ręki kapciuch i fajkę.

— Olver — powiedział, napychając główkę tytoniem — poproś Talmanesa,

Naleseana i Daerida, żeby do mnie przyszli.

Tuż za klapą namiotu rozległ się cichy pisk, a potem:

— Dobrze, Mat — i odgłos pospiesznych kroków.

Aviendha popatrzyła na niego z twardą miną, zaplatając ręce na piersiach.

Ubiegł ją.

— Dopóki podróżujesz z Legionem, podlegasz moim rozkazom. Nie chcę żadnych kłopotów i spodziewam się, że ze swojej strony zadbasz, aby takowych nie było. — W razie czego przywiąże ją do siodła i w taki sposób dowiezie do Elayne, nawet gdyby do obehwładnienia jej potrzeba było dziesięciu mężczyzn.

— Potrafię słuchać rozkazów, wodzu bitew. — Ten ostatni tytuł wsparła lekkim parsknięciem. — Ale powinieneś wiedzieć, że nie wszystkie kobiety są tak miękkie jak mieszkanki mokradeł. Jeżeli będziesz próbował zmusić kobietę, żeby dosiadła konia, a ona uczynić tego nie będzie chciała, to może wsadzić ci nóż między żebra.

Mat omalże nie wypuścił fajki z dłoni. Wiedział, że Aes Sedai nie potrafią czytać w myślach — gdyby potrafiły, jego skóra już od dawna zdołałaby mury Białej Wieży — ale może Mądre Aielów...

„Oczywiście, że nie. To tylko jedna z tych sztuczek, w których kobiety są takie dobre”.

Gdyby się nad tym zastanowił, wykoncypowałby, jak ona tego dokonała. Po prostu nie chciało mu się o tym myśleć.

Odkasznął, wsunął nie zapaloną fajkę w zęby i pochylił się nad mapą. Legion przypuszczalnie zdoła pokonać dystans od polany do Salidaru w ciągu jednego dnia, jeżeli narzuci ostre tempo, nawet po zalesionym terenie, on miał zamiar jednak wydłużyć czas podróży do dwóch dni, lub nawet trzech. Należy ostrzec te Aes Sedai; były ponoć przestraszone, więc nie chciał ich przerażać jeszcze bardziej. Przestraszona Aes Sedai stanowiła niemalże wewnętrzną sprzeczność. Nawet z medalionem na szyi nie miał ochoty sprawdzać, do czego byłaby zdolna.

Poczuł na plecach spojrzenie Aviendhy, usłyszał jakiś zgrzyt. Usadowiona pod ścianą namiotu, wyciągnęła swój mały nóż i teraz przesuwała ostrzem po osetce. Patrzyła na niego.

Kiedy do środka wszedł Nalesean w towarzystwie Daerida i Talmanesa, powitał ich słowami:

— Będziemy musieli podrapać parę Aes Sedai pod brodą, wyratować jedną oślicę z opresji i osadzić pewną dziewczynę, która lubi zadzierać nosa, na Tronie Lwa. A prawda. To jest Aviendha. Nie próbujcie patrzeć na nią złym okiem, bo może wam poderżnąć gardła, a przez pomyłkę nawet przeciąć swoje własne. — Kobieta zaśmiała się, jakby powiedział najśmieszniejszy dowcip na świecie. Ale

noża ostrzyć nie przestała.

Przez chwilę Egwene nie potrafiła pojąć, dlaczego ból przestał się wzmacniać. Potem podniosła się z dywaników zaścielających podłogę jej namiotu i wstała, łkając tak rozpaczliwie, że aż cała się trzęsała. Miała wielką ochotę wydmuchać nos. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni płakała równie gwałtownie, czuła tylko przeżerający jej ciało od bioder do kolan ogień bólu. Podniesienie się wciąż stanowiło problem, z którym ledwie sobie radziła. Bielizny, którą jeszcze tak niedawno uznawała za dalece niewystarczającą ochronę swej skromności, pozbyła się już dawno temu. Łzy spływały jej po twarzy, a ona stała nieruchomo i tylko skowytała.

Sorilea, Amys i Bair patrzyły na nią bez szczególnego wzruszenia. Nie tylko one znajdowały się w namiocie, reszta siedziała w większości na poduszkach, lub wygodnie rozciągnięta; rozmawiały, kontentując się herbatą podawaną przez szczupłą *gai'shain*. Przynajmniej była kobietą, dzięki Światłości. Wszystkie zgromadzone we wnętrzu były kobietami, Mądre i ich uczennice, kobiety, które Egwene okłamała, twierdząc, że jest Aes Sedai. Dobrze, że przynajmniej nie liczyło się to, że pozwoliła im tak o sobie myśleć; tego by nie przeżyła! Tu szło tylko o to, co powiedziała, o wysłowione kłamstwo. I nie obyło się też bez niespodzianek. Cosain, szczupła, słomianowłosa Mądra z Miagoma Górskiego Grzbietu, oznajmiła ponurym tonem, że Egwene nie ma żadnego *toh* względem niej, ale chętnie zostanie na herbacie, podobnie zresztą postąpiła Estair. Dla odmiany Aeron miała najwyraźniej ochotę ją rozpołować, a Surandha...

Egwene spróbowała mruganiem rozproszyć mgłę łez przesłaniającą jej oczy, a potem spojrzała na Surandhę. Tamta siedziała w towarzystwie trzech Mądrych, rozmawiając, i co jakiś czas spoglądała w jej stronę. Suranda okazała się całkowicie bezlitosna. Nawet w porównaniu z innymi, które też jej nie oszczędzały. Pasek, który Egwene znalazła w jednej ze swoich skrzyń, był cienki i giętki, jednakże dwa razy taki szeroki jak jej dłoń, a wszystkie te kobiety miały doprawdy silne ramiona. Od każdej z nich otrzymała co najmniej po pół tuzina razów.

W całym swoim życiu jeszcze nigdy nie najadła się tyle wstydu. Nie chodziło o to, że stoi całkiem naga, że ma zupełnie czerwoną od płaczu twarz, bowiem łkała jak dziecko. Cóż, płacz stanowił poważny asumpt do jej wstydu. Nie chodziło nawet o to, że patrzyły, jak jest batożona. Najgorszą hańbą stanowił fakt, że tak źle to przyjęła. Nawet dziecko Aielów zachowałyby się bardziej niewzruszenie; chociaż dziecko nie musiałyby przez nic takiego przechodzić.

— Czy to już koniec? — Naprawdę ten stłumiony, niepewny głos należał do niej? Jakby te kobiety się śmiały, gdyby wiedziały, ile ją trudu kosztowało zebranie się na odwagę.

— Tylko ty wiesz, ile jest wart twój honor — powiedziała pozbawionym wyra-



zu głosem Amys. Pas zwisał u jej boku, trzymała go za szeroką sprzączkę. Szmer rozmów zamarł jak nożem uciął.

Egwene wciągnęła głęboki, urywany oddech. Wystarczy, jak powie, że ma już dosyć, a wtedy przestaną. Była to zresztą gotowa mówić już po otrzymaniu pierwszego ciosu od każdej z kobiet. Mogłaby...

Mrugając oczami, uklękła, a potem z trudem wyciągnęła się na dywanie. Jej dłonie wniknęły pod suknie Bair, chwytając chude kostki tamtej poprzez skórę miękkich butów. Tym razem na pewno zdoła okazać odwagę. Tym razem nie będzie płakać. Tym razem nie będzie wierząć, rzucać się na wszystkie strony, ani... Nie poczuła uderzenia. Uniosła głowę, próbując dojrzeć ich twarze.

— Na co czekacie? — Jej głos wciąż drżał, ale teraz pobrzmiwał w nim również gniew. Na domiar wszystkiego jeszcze każą jej czekać? — Wieczorem muszę wyruszyć w podróż, na wypadek gdybyście zapomniały. Biercie się do rzeczy.

Amys upuściła pas, spadł tuż przy głowie Egwene.

— Ta kobieta nie ma żadnego *toh* względem mnie.

— Ta kobieta nie ma żadnego *toh* względem mnie — cicho powtórzyła Bair.

— Ta kobieta nie ma żadnego *toh* względem mnie — oznajmiła z całą mocą Sorilea. Pochyliła się nad nią i odgarnęła mokre włosy z jej twarzy. — Wiedziałam, że w sercu jesteś Aielem. Teraz jednak zachowujesz się zbyt dumnie, dziewczyno. Spełniłaś wymogi swego *toh*. Wstań, zanim pomyślimy, że usiłujesz zrobić na nas wrażenie.

Potem pomogły jej się podnieść; przytulały ją, ocierały jej łzy, a na koniec podały jej chusteczkę, aby wydmuchała sobie nos. Pozostałe kobiety podeszły bliżej, każda oznajmiała, że ta oto kobieta nie ma względem niej *toh*, te również ją ścisnęły i uśmiechając się do niej. Największym zaskoczeniem były właśnie te uśmiechy; Surandha patrzyła na nią równie przychylnie jak zawsze. Oczywiście. *Toh* przestawało istnieć, kiedy spełnione zostały jego wymogi; cokolwiek stało się przyczyną jego powstania, teraz równie dobrze mogło być uznane za nieistniejące. Ta część umysłu Egwene, która nie uznawała słuszności *ji'e'toh*, doszła do wniosku, że być może to, co powiedziała na końcu, również trochę pomogło, podobnie jak fakt, że bez sprzeciwu przyjęła chłostę. Być może z początku nie potrafiła wszystkiemu sprostać z niewzruszoną obojętnością Aielów, jednak Sorilea miała rację. W głębi serca stała się Aielem. Pomyślała, że odtąd tak będzie zawsze.

Mądre i ich uczennice powoli opuszczały namiot. Najwyraźniej pierwotnie miały zamiar pozostać przez resztę nocy albo nawet dłużej, śmiejąc się i rozmawiając z Egwene, jednak to był tylko obyczaj, nie zaś część *ji'e'toh*, a z pomocą Sorilei udało jej się je przekonać, że naprawdę nie ma na to czasu. W końcu została w namiocie tylko w towarzystwie Sorilei i dwu wędrujących po snach. Wszystkie te uściski i uśmiechy sprawiły, że praktycznie łzy przestały płynąć,

a jeśli jej usta wciąż drżały, niezależnie od tego, jak się starała, to jednak potrafiła się już uśmiechnąć. Tak naprawdę to miała ochotę znowu wybuchnąć płaczem, nawet jeśli z zupełnie już innych powodów. Przynajmniej po części z odmiennych powodów; całe ciało dalej paliło ją tak, jakby przeżerał je ogień.

— Tak bardzo będę za wami tęsknić.

— Bzdury. — Sorilea poparła parsknięciem swoje słowa. — Jeżeli będziesz miała szczęście, to teraz oznajmią ci, że nigdy nie zostaniesz Aes Sedai. Wtedy będziesz mogła do nas powrócić. Zostaniesz moją uczennicą. W ciągu trzech lub czterech lat otrzymasz własną siedzibę. Znam nawet stosownego dla ciebie męża. To Taric, najmłodszy wnuk mojej wnuczki, Amaryn. Pewnego dnia zostanie wodzem klanu, jak sądzę, będziesz musiała więc rozejrzeć się za siostrą żoną jako panią jego dachu.

— Dziękuję — odparła ze śmiechem Egwene. Wychodziło na to, że będzie miała dokąd wrócić, jeśli Komnata Zasiadających postanowi ją odesłać.

— A Amys i ja będziemy się spotykać z tobą w Tel'aran'rhiod — powiedziała Bair — donosić ci o wydarzeniach tutejszych, oraz o Randzie al'Thorze. Teraz będziesz własnymi ścieżkami wędrować po Świecie Snów, ale jeśli tego zapragniesz, ja dalej mogę cię uczyć.

— Pragnę tego. — Jeżeli Komnata dopuści ją chociaż w pobliże Tel'aran'rhiod. Ale z drugiej strony, w jaki sposób miałyby jej tego zabronić; mogą z nią zrobić wszystko, ale tego nie są jej w stanie pozbawić. — Proszę, obserwujcie bacznie Randa oraz Aes Sedai. Nie mam pojęcia, jaką on rozgrywa grę, niewątpliwie jednak jest ona bardziej niebezpieczna, niż mu się wydaje.

Amys rzecz jasna nie wspomniała nic o dalszych naukach. Wcześniej zapowiedziała jej, jak będzie wyglądać porządek spraw, kiedy złamie któreś z jej ograniczeń, i nawet spełnienie wymogów toh niczego tutaj nie zmieniało. Zamiast tego jednak rzekła:

— Wiem, że Rhuarc będzie żałował, iż nie było go tu dzisiejszej nocy. Udał się na północ, aby na własne oczy przyjrzeć się Shaido. Nie obawiaj się, że twój toh względem niego pozostanie nie spełniony. Kiedy spotkacie się po raz wtóry, z pewnością da ci po temu sposobność.

Egwene rozdziawiła usta i po raz dziesiąty już chyba wytarła nos, żeby skryć grymas. Zapomniała o Rhuarku. Oczywiście nigdzie nie stwierdzono, że swe zobowiązania względem niego będzie musiała spłacić w taki sam sposób. Być może nawet jej serce po części stało się już sercem Aiela, przez krótką chwilę jednak jej myśli rozbiegły się szaleńczo w poszukiwaniu jakiejś innej metody. Musi być inny sposób. I będzie miała mnóstwo czasu na jego znalezienie, zanim spotka się z nim ponownie.

— Będę bardzo wdzięczna — powiedziała słabym głosem. A przecież pozostawała jeszcze Melaine. I Aviendha. Światłości! Myślała, że już z tym skończyła. Na pewno istnieje jakiś inny sposób.

Bair otworzyła usta, ale Sorilea weszła jej w słowo:

— Musimy jej pozwolić się ubrać. Ma przed sobą długą podróż. — Bair zeszywniał kark, a Amys wykrzywiła usta. Najwyraźniej żadnej nie podobało się to, czego Egwene zamierzała dokonać.

Może nawet chciały zostać i próbować ją namówić, żeby tego nie robiła, jednak Sorilea zaczęła mamrotać nie tak znowu całkiem cicho o głupich, które próbują powstrzymać kobietę przed zrobieniem tego, co jak sądzi, zrobić musi. Młodsze poprawiły więc tylko szale na ramionach — Bair musiała mieć jakieś siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt lat, dalej jednak była młoda w porównaniu z Sorileą — uściskały Egwene na pożegnanie i wyszły mrużąc:

— Obyś zawsze znajdowała wodę i cień.

Sorilea została jedynie chwilę dłużej.

— Pomyśl o Taricu. Mogę go zaprosić do namiotu — łaźni, wtedy będziesz mu się mogła przyjrzeć. Zanim to się jednak stanie, zapamiętaj co ci powiem. Zawsze boimy się bardziej, niż byśmy chciały, ale zawsze też okazujemy się odważniejsze, niżli byśmy się spodziewały. Kieruj się głosem serca, a wtedy Aes Sedai nigdy nie zrobią ci krzywdy, bowiem nie potrafią odebrać ci tego, co jest najbardziej twoje, czyli twego serca. Wierzyliśmy dotąd, że one stoją dużo wyżej od nas, ale to nieprawda. Obyś zawsze znajdowała wodę i cień, Egwene. I nie zapominaj nigdy o swoim sercu.

Kiedy już została sama, trwała przez jakiś czas bez ruchu, patrząc w przestrzeń i zastanawiając się. Jej serce. Być może nie miała tyle odwagi, jak jej się wydawało. Zrobiła tylko to, co musiała tutaj zrobić; była Aielem. W Salidarze będzie tego potrzebowała. Aes Sedai stosowały nieco inne metody niż Mądre, ale z pewnością nie potraktują jej pobłaźliwie, kiedy się dowiedzą, że podawała się za pełną siostrę. O ile się dowiedzą. Nie potrafiła sobie jednak wyobrazić innego powodu, dla którego miałyby ją wzywać z takim chłodem i tak ceremonialnie. Jednak Aielowie nie poddawali się bez walki.

Wzdrygnęła się i wzięła w garść.

„Skoro nie mam zamiaru poddawać się bez walki — pomyślała gniewnie — to w takim razie mogę natychmiast wyruszyć do bitwy”.

## PODRÓŻ DO SALIDARU

Egwene umyła twarz. Dwukrotnie. Potem odszukała swoje torby podróżne i zapakowała do nich rzeczy. Grzebień z kości słoniowej i szczotkę, także lustro i pudełko z przyborami do szycia — maleńką, delikatnie złożoną szkatułkę, w której zapewne mieściły się kiedyś dokumenty jakiejś damy — dodatkowo biały kawałek różanego mydła i czyste pończochy, dalej bieliznę, chusteczki i całe mnóstwo rzeczy, póki boki jej skórzanych toreb nie wydeły się tak, że nie mogła dopiąć pasków. Kilka sukni, płaszczy i szal Aielów zostały zawinięte w węzełek, który ciasno obwiązała rzemieniem. Kiedy już się uporała z tą robotą, rozejrzała się dookoła, zastanawiając, co jeszcze chciałaby zabrać. Wszystko należało do niej. Nawet namiot został jej ofiarowany, z pewnością jednak stanowiłby nazbyt wielkie obciążenie, podobnie jak dywaniki i poduszki. Kryształowa umywalka była naprawdę piękna, zdecydowanie jednak za ciężka. To samo dotyczyło skrzynek, chociaż kilka z nich miało naprawdę ślicznie odrobione zawiasy i nadto były pięknie rzeźbione.

Dopiero wtedy, kiedy pomyślała o skrzynkach i innych rzeczach, zdała sobie sprawę, że zapomniała o najważniejszym.

— Odwaga — oznajmiła sucho. — Serce Aiela.

Nie aż tak znowu trudne okazało się wdzianie pończoch bez możliwości siadania na podłodze, jeśli pominąć konieczność skakania z nogi na nogę. Następne były mocne buty; przydadzą się, jeśli będzie musiała odbyć jakąś daleką wędrówkę, jedwabna bielizna, biała i miękka. Potem zielona suknia do konnej jazdy, z wąskimi, rozciętymi spódnicami. Niestety, zbyt ciasno przylegała do jej bioder, zupełnie niepotrzebnie przypominając, że odtąd siadanie nie będzie sprawiało jej szczególnej przyjemności.

Nie było najmniejszego sensu wychodzić z namiotu. Bair i Amys znajdowały się najprawdopodobniej w swoich własnych namiotach, ona jednak nie chciała ryzykować, że zobaczą, jak będzie to robiła. Byłoby to niczym cios zadany im w twarz. Oczywiście, jeżeli wszystko pójdzie dobrze. W przeciwnym przypadku czekała ją długa droga na końskim grzbiecie.

Nerwowo zatarła dłonie, objęła *saidara*, zaczekała, aż ją wypełni. I niepewnie przestąpiła z nogi na nogę. *Saidar* sprawiał, że było się bardziej świadomym

otaczającego świata, włączywszy w to własne ciało, o którym jednak natychmiast zapomniała. Próbowała dokonać czegoś nowego, czegoś, o czym, na ile wiedziała, nikt dotąd jeszcze nie pomyślał, powinna więc postępować powoli i rozważnie, lecz chyba po raz pierwszy w życiu miała ochotę wypuścić natychmiast Źródło. Przeniosła więc szybko strumienie Powietrza splecione w odpowiedni sposób.

Pośrodku namiotu, wokół jej splotów, powietrze drżało, sprawiając, że pozostała część jego przestrzeni wydawała się jakby zamglona. Jeżeli się nie myliła, to właśnie stworzyła miejsce, w którym wewnątrz jej namiotu było tak podobne do jego odbicia w *Tel'aran'rhiod*, że właściwie nie było między nimi żadnej różnicy. Jedno było drugim. Niemniej jednak istniał tylko jeden sposób, żeby zdobyć całkowitą pewność.

Przerzuciła torby podróżne przez ramię, ujęła węzełek i przeszła przez splot. A potem wypuściła *saidara*.

Znajdowała się w *Tel'aran'rhiod*. Lampy się nie paliły, a jednak wszystko zalane było tym dziwnym, docierającym zewsząd światłem. Przedmioty przemieszczały się nieustannie, kryształowa umywalnia, skrzynki, wszystko. Znalazła się w *Tel'aran'rhiod* razem z własnym ciałem. Wydawało się to jej równie proste, jak wówczas, kiedy wchodziła we śnie.

Wyjrzała z namiotu. Księżyc w trzeciej kwadrze oświetlał namioty, przy których nie płonął żaden ogień i nikt się nie poruszał, a także miasto Cairhien, które zdawało się dziwnie odległe i pogrążone w cieniu. Jedynym teraz problemem było przedostanie się do Salidaru. O tym pomyślała zawczasu. Dużo zależało od tego, czy znajdując się tutaj cielesnie, będzie w równym stopniu potrafiła kontrolować rzeczywistość Świata Snów, jak wtedy, gdy stanowiła jego część.

Ustaliła w myślach ten obraz, jaki chciała zobaczyć, obeszła namiot dookoła — i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Za namiotem stała Bela, niska, kudłata klacz, na której grzbiecie opuściła Dwie Rzeki, tak przecież już dawno temu. Była to tylko Bela ze snu, a jednak szturchnęła ją nosem i zarżała na powitanie.

Egwene rzuciła swe bagaże na ziemię i otoczyła ramionami kark zwierzęcia.

— Cieszę się, że cię znowu widzę — wyszeptwała. Te ciemne, wilgotne oczy, które na nią patrzyły, należały do Beli, niezależnie od tego, że stanowiła ona tylko odbicie rzeczywistej klaczy.

Bela miała na grzbiecie siodło o wysokich łękach, dokładnie takie, jakie sobie wcześniej wyobraziła. W normalnych warunkach było bardzo wygodne do dłuższych podróży, jednak nie było miękkie. Egwene spojrzała na nie spod oka, zastanawiając się, jakby wyglądało, gdyby zostało wyściełone czymś puszystym, potem skoncentrowała się. W *Tel'aran'rhiod* można było zmienić wszystko, włącznie ze sobą, jeśli się wiedziało, jak to zrobić. Skoro dysponowała dostateczną mocą, by sprawić, że Bela pojawiła się przed nią jak żywa... Skoncentrowała się na samej sobie.

Z uśmiechem przymocowała swoje juki i tobołek za siodłem, po czym wspięła

się na grzbiet zwierzęcia, moszcząc zupełnie wygodnie.

— To nie jest żadne oszukiwanie — zwróciła się do klaczy. — Przecież nie będą oczekiwać po mnie, że całą drogę do Salidaru pokonam w taki sposób. — Cóż, kiedy już o tym pomyślała, doszła do wniosku, że być może właśnie tak było. Jednak niezależnie od posiadanego serca Aiela, były przecież jakieś granice. Zawróciła Belę, delikatnie trąciła jej żebra obcasami butów. — Muszę znaleźć się tam tak szybko, jak się tylko da, więc będziesz musiała pójść z wiatrem w zawody.

Zanim zdążyła uśmieć się z wizji krępej Beli mknącej niby wiatr, klacz ruszyła... dokładnie w taki sposób, jak jej kazano. Krajobraz rozmył się, zmienił w poziome smugi. Egwene kurczowo uchwyciła się łęku siodła, z szeroko otwartymi ustami. Wyglądało to tak, jakby każdy krok truchtu Beli przenosił je o wiele mil naprzód. Wraz z pierwszym susem zdała sobie sprawę, że znalazły się nad brzegiem rzeki, już daleko za miastem, a kiedy próbowała ściągnąć wodze, by potrzymać Belę przed wskoczeniem do wody, następny krok przeniósł je na pokryte zagajnikami wzgórza.

Egwene odrzuciła głowę w tył i zaśmiała się w głos. To było wspaniałe! Wyjawszy zlewające się w niewyraźne smugi otoczenie, nie czuła żadnego właściwie wrażenia szybkości; sporadyczne podmuchy wiatru prawie wcale nie wicherzyły jej włosów. Bela poruszała się cały czas jednostajnym, lekkim truchtem, a te nagłe skoki otaczającego krajobrazu napawały ją ekstazą: w jednej chwili ulica wioski, zalana księżycową poświatą, w następnej wiejska droga wijąca się wśród wzgórz, potem łąka z trawą sięgającą niemalże do brzucha klaczy. Egwene zatrzymywała się czasami na chwilę tu i tam, aby zorientować się, gdzie jest — nie miała z tym żadnych kłopotów, bo zapamiętała dokładnie wszystkie szczegóły mapy, którą stworzyła ta kobieta o imieniu Suan przez resztę czasu pozwalając biec Beli równym tempem. Wioski i miasteczka to pojawiały się, to znikały w tym pędzie, podobnie jak wielkie miasta — jednym z nich było Caemlyn; co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości — a w pewnym momencie dostrzegła wśród porośniętych lasem wzgórz głowę i ramiona potężnego posągu wystającego z ziemi, pozostałość po jakimś narodzie zagubionym w mroku dziejów; posąg pojawił się tak nagle przy boku Beli, z tym swoim zniszczonym erozją grymasem, że Egweneomalże nie krzyknęła, jednak zniknął tak szybko, że nie zdążyła nawet otworzyć ust. Księżyc nie zmieniał swego położenia, przez cały czas ich biegu stał w tym samym miejscu na nieboskłonie. Dzień czy dwa na dotarcie do Salidaru? Tak właśnie powiedziała Sheriam. Mądre miały rację. Ludzie od tak dawna wierzyli w to, że Aes Sedai wszystko wiedzą, iż same Aes Sedai również w to uwierzyły. Dzisiejszej nocy dowiedzie im, że się myliły, ale najprawdopodobniej w ogóle nie zwrócą uwagi na jej dokonania.

Po jakimś czasie, kiedy pewna już była, że znajduje się gdzieś w Altarze, za-

częła powoli nakłaniać Belę do krótszych skoków, częściej ściągając jej wodze, od czasu do czasu jadąc nawet normalnym tempem, szczególnie wówczas, gdy w pobliżu znajdowała się jakaś wioska. Czasami zagubiona w całkowitych ciemnościach gospoda opatrzona była szyldem, na którym wypisano nazwę wioski, na przykład Marella albo Źródła Ionin, zaś księżycowa poświata w połączeniu z tym dziwnym rodzajem światła przepelniającym *Tel'aran'rhiod* pozwalała z łatwością odczytywać te nazwy. Z każdą chwilą zdobywała coraz większą pewność, gdzie się znajduje, zaczęła też poruszać się wolniej, potem w ogóle zrezygnowała z tych niesamowitych skoków, pozwoliła tylko Beli na normalny trucht przez las, w którym wysokie drzewa zdławiły większość niżej rosnących roślin, a pozostałym nie pozwalały wybić się na właściwą wysokość.

Była zaskoczona, kiedy nagle przed jej oczami rozpostarła się spora wioska, ciemna i cicha w promieniach księżyca. To musiał być właśnie cel jej podróży.

Na skraju szeregu krytych strzechą kamiennych domów zsiadła z konia i zdjęła z jego grzbietu swój dobytek. To był środek nocy, jednak w świetle jawy część ludzi wciąż mogła nie spać. Nie było potrzeby straszenia ich, wyskakując wprost z powietrza. Gdyby Aes Sedai to zobaczyły, mogłyby przez pomyłkę wziąć ją za kogoś innego, a wtedy być może nie miałyby już szansy stanąć przed Komnatą.

— Prawdziwie biegłaś niczym wiatr — wymruczała i po raz ostatni uściskała kark Beli. — Żałuję, że nie mogę zabrać cię ze sobą. — Oczywiście była to próżna fantazja. To, co zostało stworzone w *Tel'aran'rhiod*, mogło istnieć tylko w nim. To nie była prawdziwa Bela, mimo wszystko. A jednak poczuła ukłucie żalu, gdy odwróciła się do niej plecami — nie potrafiła zniszczyć wyobrażenia Beli; niech żyje sobie, jak długo jej się uda a potem splotła lśniąca kurtynę Ducha. Z wysoko uniesioną głową przeszła przez nią, umacniając swe serce Aiela, gotowa stawić czoła temu, co na nią czekało.

Zrobiła tylko jeden krok i zamarła z szeroko rozwartymi oczyma, a z jej ust wydarło się krótkie:

— Och! — Zmiany, jakich dokonała w *Tel'aran'rhiod*, w realnym świecie przestały istnieć, podobnie jak Bela. Pałacy ból powrócił w jednej chwili, dokładnie tak, jak przestrzegła ją Sorilea.

„Jeżeli sprawisz, by to, co zrobiłaś, chcąc sprostać swemu *toh*, przestało jakby istnieć, to w jaki sposób wypełnisz *toh*? Pamiętaj, że masz serce Aiela, dziewczyno”.

Tak. Będzie o nim pamiętać. Znalazła się tutaj, żeby stoczyć bitwę; niezależnie od tego, czy Aes Sedai zdawały sobie z tego sprawę, czy nie, gotowa była walczyć o to, żeby zostać jedną z nich, gotowa stanąć twarzą w twarz... Światłości, z czym?

Po ulicach wciąż jeszcze kręcili się ludzie, z niektórych okiem wylewały się kałuże światła. Egwene podeszła nieco chwiejnym krokiem do żylastej kobiety w białym fartuchu, o umęczonym wyrazie twarzy.

— Przepraszam. Nazywam się Egwene al’Vere. Jestem Przyjętą — kobieta obrzuciła jej suknię do konnej jazdy ostrym spojrzeniem — i właśnie przed chwilą przybyłam. Czy możesz mi powiedzieć, gdzie znajdę Sheriam Sedai? Muszę się z nią spotkać. — Najprawdopodobniej Sheriam już spała, ale nawet jeśli tak było, Egwene zamierzała ją obudzić. Kazano jej przybyć najszybciej, jak to tylko będzie możliwe, Sheriam więc powinna dowiedzieć się, że już jest.

— Wszyscy zawsze przychodzą do mnie — wymamrotała kobieta. — Czy nikt nie potrafi sam sobie dać rady? Nie, one chcą, żeby Nildra wszystko za nich robiła. Wy Przyjęte jesteście najgorszą bandą. Cóż, nie mam całej nocy na rozmowy z tobą. Jeżeli masz ochotę, idź za mną. Jeżeli nie, możesz sobie sama szukać. — Nildra ruszyła naprzód, ani razu nie oglądając się za siebie.

Egwene poszła za nią w milczeniu. Bała się, że wystarczy, jak otworzy usta, a zaraz powie tamtej, co o niej myśli, a nie był to najlepszy sposób na rozpoczęcie pobytu w Salidarze. Niezależnie od tego, jak krótki miałby się ostatecznie okazać. Żałowała, że jej serce Aiela i głowa z Dwu Rzek jakoś nie mogą się ze sobą zgodzić.

Odległość, jaką miały do przejścia, nie okazała się duża, parę dosłownie kroków po błotnistej ulicy, a potem za róg w następną, węższą uliczkę. Z okiem niektórych domostw dobiegały odgłosy śmiechu. Nildra zatrzymała się przed drzwiami chaty, w której panowała całkowita cisza, chociaż w oknach frontowych izb paliło się światło.

Kobieta zapukała, a potem, nie czekając na odpowiedź, weszła do środka. Jej ukłon był doskonale stosowny, nawet jeśli trochę pospieszny, potem przemówiła, tonem wyrażającym znacznie więcej szacunku niżli dotąd:

— Aes Sedai, ta dziewczyna powiada, że ma na imię Egwene i właśnie... — Nie zdołała powiedzieć nic więcej.

W środku znajdowały się wszystkie, cała siódemka, którą spotkała wcześniej w Sercu Kamienia. Wyraźnie nie zamierzały wcale udawać się już na spoczynek, chociaż wszystkie oprócz młodej kobiety noszącej imię Suan miały na sobie podomki. Ze sposobu, w jaki zsunęły krzesła, Egwene wywnioskowała, że trafiła na sam środek jakiejś dyskusji. Sheriam pierwsza poderwała się z miejsca, jednocześnie gestem odprawiając Nildrę.

— Światłości, dziecko! Już?

Żadna nie zwróciła uwagi na ukłon wychodzącej Nildry, na jej rozdrażnione parsknięcie.

— Nigdy byśmy nie przypuszczały... — zaczęła Anayia, biorąc Egwene pod rękę z ciepłym uśmiechem. — Nie tak szybko. Witaj, dziecko. Witaj.

— Czy zaobserwowałaś jakieś niedobre skutki? — zapytała Morvrin. Ona nie podniosła się z miejsca, podobnie jak Carlinya oraz tamta młoda Aes Sedai, jednak Morvrin, zadawszy pytanie, pochyliła się z napięciem naprzód. Podomki wszystkich uszyto z jedwabiu w rozmaitych barwach, niektóre były brokato-



we, inne haftowane; tylko ona miała na sobie zwykłe brązowe wełny, chociaż na pierwszy rzut oka miękkie i znakomicie utkane. — Czy w wyniku tego doświadczenia odczuwasz jakieś zmiany? Naprawdę miałyśmy zbyt mało danych, żeby to osądzić. Jestem zdumiona, że ci się powiodło.

— Będziemy musiały zobaczyć, jak to działa, żeby ocenić efekty. — Beonin urwała, upiła łyk herbaty, potem odstawiła filiżankę na kulawy stoliczek. Filiżanka i spodek pochodziły z innych kompletów, ale skoro już o tym mowa, to żaden element umeblowania izby nie pasował do pozostałych, a większość wyglądała na równie koślawe jak ten stoliczek. — Jeżeli są jakieś złe efekty, to trzeba cię będzie poddać Uzdrawianiu, a wtedy sobie z nimi poradzimy.

Egwene szybko odsunęła się od Anaiyi, po czym ułożyła swój dobytek obok drzwi.

— Nie, czuję się zupełnie dobrze. Naprawdę, nic mi nie jest. — Mogła w tonie swego głosu zawrzeć odrobinę wahania, a wówczas Anayia Uzdrawiłaby ją, nie pytając dalej. To jednak równałoby się oszustwu.

— Wygląda na całkiem zdrową — zimno oznajmiła Carlinya. Jej włosy były krótko przycięte, ciemne loki ledwie zasłaniały uszy, więc jednak coś jej się przydarzyło w *Tel'aran'rhiod*. Rzecz jasna miała na sobie biel. Nawet haft na podomce był biały. Możemy poprosić którąś z Żółtych, żeby ją potem dokładnie zbadała. W razie konieczności.

— Nie każmy jej stać przez cały czas — powiedziała Myrelle ze śmiechem. Bujne kwiaty w kolorach żółci i czerwieni pokrywały tak gęsto jej szatę, że ledwie prześwitywała spod nich zieleń. — W ciągu jednej nocy pokonała tysiące mil. W ciągu kilku godzin.

— Nie mamy czasu, żeby pozwolić jej na wypoczynek — zdecydowanie wtrąciła młoda Aes Sedai. Naprawdę nie pasowała do tego towarzystwa, w swej żółtej sukni ozdobionej niebieskimi pasami oraz głęboko wyciętym, okrągłym dekoltem obszytym również na niebiesko. To, oraz fakt, iż stanowiła jedyną w tym zgromadzeniu, której wiek z łatwością dawał się określić. — Kiedy nadejdzie ranek, dopadną ją wszystkie z Komnaty. Jeżeli nie będzie gotowa, Romanda wypatroszy ją niczym tłustego karpia.

Egwene zagapiła się na tamtą. Sam ton powiedział jej więcej niżli słowa.

— Suan Sanche. Nie, to niemożliwe!

— A właśnie, że możliwe — odparła suchym tonem Anaiya, obrzucając młodą kobietę cierpięciznym spojrzeniem.

— Suan jest znowu Aes Sedai. — Twarz Myrelle dla odmiany wyrażała rozdrażnienie.

Musiała to być prawda — przecież tak powiedziały — ale Egwene nie potrafiła uwierzyć, nawet po tym, jak Suan wszystko jej wyjaśniła. Nynaeve Uzdrawiała Ujarzmienie? To dlatego, że została Ujarzmiona, nie wyglądała na starszą od Nynaeve? Suan miała zawsze surowe oblicze i równie surowe serce; była zupeł-

nie inna od tej pięknej kobiety o aksamitnych policzkach i delikatnym niemalże kroju ust.

Egwene nie potrafiła oderwać wzroku od Siuan, słuchając jednocześnie tego, co mówiła Sheriam. Prawda, te błękitne oczy nie zmieniły się nawet odrobinę. Jak mogła nie zrozumieć wszystkiego od razu, skoro przecież zauważyła to spojrzenie, tak twarde, że zdawało się zdolne wbijać gwoździe? Cóż, ta twarz wystarczała za odpowiedź na to pytanie. Ale Siuan była zawsze silna, jeśli chodziło o władanie Mocą. Młoda dziewczyna, która dopiero zaczynała przenosić, musiała być poddana specjalnym testom, które określały, jak silna będzie w przyszłości, ale gdy już osiągała pełnię swoich możliwości, wszystko było jasne. Egwene wiedziała już dosyć, żeby w ciągu kilku chwil oszacować siłę innej kobiety. Sheriam była zdecydowanie najsilniejszą wśród zgromadzonych w tym pomieszczeniu, wyjąwszy samą Egwene, następna była Myrelle, chociaż to już nie było takie pewne, ponieważ pozostałe raczej jej dorównywały. Wszystkie z wyjątkiem Siuan. Ta była znacznie od nich słabsza.

— To jest naprawdę najbardziej niesamowite z wszystkich odkryć dokonanych przez Nynaeve — powiedziała Myrelle. — Żółte nauczyły się tego od niej, i dalej kontynuują badania, dokonując własnych cudów, jednak to właśnie ona wszystko zaczęła. Usiądź, dziecko. Jest to zbyt długa opowieść, by wysłuchiwać jej na stojąco.

— Wołę postać, dziękuję. — Egwene zmierzyła wzrokiem twarde krzesło z prostym oparciem, które wskazała jej Myrelle, i omal nie zadygotała w widoczny dla wszystkich sposób. — A co się dzieje z Elayne? Czy też miewa się dobrze? Chcę wszystko wiedzieć o niej i o Nynaeve. — Najbardziej niesamowite odkrycie Nynaeve? To oznaczało, że było ich więcej niż jedno. Wychodziło na to, że podczas pobytu u Mądrych pozostała z tyłu, więc będzie musiała bardzo się spieszyć, żeby je dogonić. Przynajmniej teraz zaczynała odnosić wrażenie, że jej na to pozwolą. Nie wierzyła, by po tak ciepłym powitaniu odesłały ją w niełasce. Nie ukloniła się dotąd ani razu, ani też nie tytułowała ich Aes Sedai — przede wszystkim dlatego, że nie dały jej po temu okazji — a one ani razu nie przywołały jej jeszcze do porządku. Może jednak wcale o niczym nie wiedziały? Tylko w takim razie, o co tu chodzi?

— Wyjąwszy drobne problemy, jakie ona i Nynaeve mają teraz z szorowaniem garnków... — zaczęła Sheriam, ale Siuan ostro weszła jej w słowo.

— Dlaczego tak trajkoczenie jak kumoszki na rynku? Przejdźmy do rzeczy; jest już chyba zbyt późno, żeby się bać. Zaczęło się, wy to zaczęłyście. Albo doprowadzicie całą sprawę do końca, albo Romanda powiesi waszą gromadkę na słońcu i to razem z tą dziewczyną, a Delana i Faiselle oraz reszta Komnaty zapewne dopatrzy, abyście naprawdę dobrze wyschły.

Sheriam i Myrelle niemalże równocześnie spojrzały na nią. Podobnie jak pozostałe Aes Sedai: Morvrin i Carlina okręciły się na swoich krzesłach. Z chłod-

nich twarzy Aes Sedai wyzierały teraz chłodne oczy Aes Sedai.

Z początku Suan odpowiedziała na te spojrzenia stosownie wyzywającym wzrokiem; była taką samą Aes Sedai jak one, chociaż młodszą. Potem jednak nieznacznie opuściła głowę, a na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy. Wstała z krzesła, spuściła oczy.

— Gniew przeze mnie przemawiał — wymamrotała cicho. Jednak spojrzenie jej oczu nie zmieniło się nawet na jotę; być może tamtym Aes Sedai nie udało się tego dostrzec, jednak Egwene to widziała. To było zachowanie charakterystyczne dla Suan.

Egwene zdała sobie równocześnie sprawę, że nie ma pojęcia, co się właściwie tutaj dzieje. Zresztą to miało chyba najmniejsze znaczenie. Cóż one zaczęły? Dlaczego, jeśli to coś przerwą, miałyby wisieć na słońcu tak długo, aż wyschną?

Aes Sedai przestały wymieniać ze sobą spojrzenia, równie zagadkowe, jak zawsze w ich przypadku. Morvrin pierwsza skinęła głową.

— Zostałaś tu wezwana z bardzo szczególnego powodu, Egwene — oznajmiła uroczyście Sheriam.

Egwene poczuła, jak serce zaczyna jej żywiej bić. Nie miały pojęcia o tym, co ona zrobiła. Nie miały. Więc o co chodziło?

— To ty — kontynuowała Sheriam — masz zostać następną Zasiadającą na Tronie Amyrlin.

## W KOMNACIE ZASIADAJĄCYCH

Egwene patrzyła na Sheriam, zastanawiając się, czy przypadkiem nie powinna wybuchnąć śmiechem. Być może podczas miesięcy spędzonych u Aielów zapomniała, co uchodzi za żart wśród Aes Sedai. Sheriam odwzajemniła się jej spojrzeniem; zielone oczy nawet nie mrugnęły. Egwene popatrzyła po pozostałych. Siedem twarzy całkowicie pozbawionych wyrazu, tylko wisząca w powietrzu atmosfera oczekiwania. Jedynie Siuan uśmiechała się lekko, wszak taki „uśmiech” równie dobrze stanowić mógł naturalny krój ust. Migoczące światło lamp sprawiło, że ich oblicza zdały się nagle zupełnie obce i nieludzkie.

Egwene poczuła jakąś niezwykłą lekkość w głowie, a jednocześnie słabość w kolanach. Niewiele myśląc, klapnęła na krzesło z wysokim oparciem. Natychmiast jednak z niego powstała. To jej z pewnością pomogło rozjaśnić myśli, przynajmniej do pewnego stopnia.

— Nie jestem nawet Aes Sedai — oznajmiła bez tchu. Te słowa wydawały się jej w wystarczającym stopniu dyplomatyczne. To musiał być jakiś rodzaj żartu, albo... albo... albo jednak może nie.

— Ten problem można obejść — zdecydowanie oznajmiła Sheriam, podkreślając swoje słowa mocnym szarpnięciem za koniec bladobłękitnego paska.

Miodowe warkoczyki Beonin zakołysały się, kiedy pokiwała głową.

— Zasiadająca na Tronie Amyrlin jest Aes Sedai... prawo w tej kwestii jest zupełnie jasne, w kilku miejscach stwierdza się bowiem: „Zasiadająca na Tronie Amyrlin jako Aes Sedai”... nigdzie jednak nie jest powiedziane, że trzeba być Aes Sedai, żeby zostać Amyrlin. — Każda z Aes Sedai powinna być zaznajomiona z prawem Wieży, jednak jako negocjatorki Szare musiały znać prawa obowiązujące w każdym kraju, toteż Beonin przyjęła taki ton, jakim udziela się wykładu, jakby wyjaśniała coś, czego prócz niej nikt nie wiedział: — Prawo, które określa w jaki sposób powinna być wybrana Amyrlin, zwyczajnie powiada: „kobieta, która zostanie wezwana”, albo „ta, która stanie przed Komnatą” czy inne rzeczy temu podobne. Od początku do końca słowa „Aes Sedai” nie zostają wymienione ani razu. Nigdy. Niektóre mogą powiedzieć, że w takim wypadku należy uwzględnić intencje prawodawczyń, jest jednak jasne, że niezależnie od tego, jakie były intencje kodyfikujących to prawo... — Zmarszczyła brwi, kiedy

Carlinya jej przerwała:

— Bez wątpienia uznały, że to się rozumie samo przez się, więc nie trzeba tego wyrażać wprost. Jednakże logicznie rzecz biorąc, prawo obowiązuje dokładnie w takim zakresie, jaki jest w nim wyraźnie określony, niezależnie od tego, co prawodawczynie miały na myśli.

— Twórcy prawa rzadko troszczą się o logikę — kwaśno oznajmiła Beonin. — W tym przypadku jednak — podjęła po chwili — masz całkowitą rację. — A na użytek Egwene dodała: — Komnata też tak to widzi.

Wszystkie były bardzo poważne, nawet Anaiya, która rzekła:

— Staniesz się Aes Sedai, dziecko, w momencie, w którym wyniesiona zostaniesz na Tron Amyrlin. I na tym koniec.

Nawet Suan była poważna, mimo iż lekko się uśmiechała.

— Będziesz mogła złożyć Trzy Przysięgi, gdy tylko powrócimy do Wieży — poinformowała ją Sheriam. — Zastanawialiśmy się, czy nie mogłabyś ich wypowiedzieć niezależnie od wszystkiego, jednak bez Różdżki Przysięg to mogłoby zostać potraktowane jako kpina. Lepiej zaczekać.

Egwene mało co, a byłaby znowu usiadła. Być może Mądre miały jednak rację, może podróżowanie przez *Tel'aran'rhiod* we własnym ciele w jakiś sposób nadwyreżyło jej umysł.

— To szaleństwo — zaprotestowała. — Ja nie mogę zostać Amyrlin. Ja jestem... Ja jestem... — Obiekcje spiętrzyły się na jej języku w taki kłęb, że nie mogła wykrztusić ani słowa. Była zbyt młoda; sama Suan była najmłodszą Amyrlin w całej historii, a miała trzydzieści lat, kiedy ją wyniesiono. Ledwie zaczęła przecież swoje nauki, niezależnie od tego, co wiedziała o Świecie Snów; Amyrlin posiadały ogrom wiedzy i doświadczenia. I były mądre, z pewnością oczekiwano od nich, że będą mądre. Uczucia w jej duszy splotły się w pomieszany i mętny węzeł. Większość kobiet spędzała dziesięć lat w charakterze nowicjuszek i następne dziesięć jako Przyjęte. Prawda, niektóre pokonywały te szczeble szybciej, nawet znacznie szybciej. Na przykład Suan. Ale ona sama była nowicjuską niecały rok, Przyjętą zaś nawet krócej. — To niemożliwe! — wykrztusiła wreszcie.

Parsknięcie Morvrin przypomniało jej Sorileę.

— Uspokój się, dziecko, albo ja będę musiała o to zadbać. Nie możesz się emocjonować albo mdleć na naszych oczach; nie mamy na to czasu.

— Ale ja nie mam pojęcia, co robić! Nawet od czego zacząć! — Egwene zrobiła głęboki wdech. W najmniejszej mierze nie uspokoił jej galopującego serca, jednak trochę pomógł. Odrobinę. Serce Aiela. Cokolwiek zrobią, nie pozwoli im się zastraszyć. Popatrzyła na twardą twarz Morvrin i dodała w myślach:

„Może obedrzyć mnie ze skóry, ale nigdy mnie nie zastraszy”. — A potem powiedziała na głos:

— To całkiem bezsensowny pomysł, nic ponadto. Nie będę robić z siebie idiotki na oczach wszystkich, a tak by się właśnie cała sprawa skończyła. Jeżeli po to

właśnie wezwała mnie Komnata, to moja odpowiedź brzmi: nie.

— Obawiam się jednak, że to nie jest żadne wyjście — westchnęła Anaiya, wygładzając podomkę. — Nie możesz odrzucić wezwania na Tron Amyrlin, tak samo, jak nie możesz nie zastosować się do wezwania na proces. Słowa wezwania są nawet identyczne. — To dopiero dodawało ducha, o tak!

— Wybór spoczywa teraz w rękach Komnaty. — W głosie Myrelle słychać było nutę smutku, która w żaden sposób nie poprawiła nastroju Egwene.

Nagle Sheriam uśmiechnęła się i objęła Egwene ramieniem.

— Nie martw się, dziecko. Pomożemy ci, będziemy cię prowadzić. Po to tu jesteśmy.

Egwene nic nie powiedziała. Nic sensownego nie przychodziło jej do głowy; być może posłuszeństwo względem prawa nie miało nic wspólnego z zastraszaniem, a jednak miała wrażenie, że to jest to samo. Wyraźnie uznały jej milczenie za zgodę, ona zaś sama podejrzewała, iż tym właśnie było. Potem, już bez żadnej zwłoki wysłały Suan, która narzekała zresztą, że właśnie jej powierzono zadanie osobistego obudzenia każdej z Zasiadających i poinformowania ich, że Egwene już przybyła.

Suan jeszcze nie zdążyła dojść do drzwi, kiedy w izbie rozszalał się istny tajfun. Natychmiast zabrały się do omawiania walorów sukni do jazdy konnej Egwene — jej samej zresztą bynajmniej nie dopuszczając do głosu — a pulchna służąca została wyrwana z drzemki na krześle w tylnym pomieszczeniu i błyskawicznie odesłana — z ostrzeżeniem, że jeśli piśnie choć słowo, marny będzie jej los — aby zdobyć wszystkie sukienki Przyjętych, jakie będzie w stanie znaleźć, a które mniej więcej mogłyby pasować na Egwene. Przymierzyła osiem, zanim znalazła się taka, która jako tako na niej leżała. Była zbyt ciasna na piersiach, lecz na szczęście dosyć luźna w biodrach. Przez cały czas kolejne służące przynosiły dalsze suknie, a Egwene przymierzała wszystkie. Sheriam i pozostałe zmieniały się przy niej, w przerwach same biegając, aby się przebrać, po kolei udzielały jej wykładu na temat tego, co nastąpi, co będzie musiała zrobić, a co powiedzieć.

Bez przerwy kazały jej wszystko powtarzać. Mądre uważały, że powiedzenie czegoś raz jest absolutnie wystarczające, i biada uczennicy, która nie potrafi słuchać i zapamiętywać. Egwene pamiętała niektóre rzeczy z tych wykładów dla nowicjuszek, których wysłuchiwała jeszcze w Wieży, i potrafiła już za pierwszym razem wygłosić bezbłędnie stosowne formułki, jednak Aes Sedai powtarzały wszystko wciąż na nowo. Egwene nie potrafiła tego zrozumieć. Gdyby miała do czynienia z kimś innym, a nie z Aes Sedai, to powiedziałaaby, że te kobiety są strasznie zdenerwowane, mimo spokoju, który malował się na ich twarzach. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy to ona przypadkiem nie robi jakichś błędów i spróbowała akcentować inne słowa.

— Powtarzaj je tak, jak ci kazano — warknęła Carlinya, a Myrelle, której głos nie brzmiał ani trochę cieplej, dodała: Nie możesz pozwolić sobie na pomyłkę,

dziecko. Nawet jedną!

Jeszcze pięciokrotnie kazały jej wszystko powtórzyć, a kiedy zaprotestowała, mówiąc, że przecież wyrecytowała poprawnie wszystkie zdania, zapamiętała, która powinna gdzie stać, i powtórzyła dokładnie to, co każda miała powiedzieć, przestraszyła się, że Morvrin za chwilę wytarga ją za uszy, jeśli Beonin i Carlinya nie zrobią tego pierwsze. Od pewnego momentu marsy na ich czołach działały na nią jak uderzenia; miała wrażenie, że Sheriam patrzy na nią tak, jak na nowicjuszkę, która coś zbroiła. Wzdychała więc i zaczynała wszystko od początku.

— Wchodzę w towarzystwie trzech z was. . .

Ich procesja wędrowała przez puste niemalże, zalane księżycową poświatą ulice w całkowitym milczeniu. Kilku spóźnionych przechodniów ledwie na nie spojrzęło; widok sześciu Aes Sedai prowadzących jedną samotną Przyjętą był tutaj czymś zwyczajnym, toteż nie wywoływał komentarzy. Okna, w momencie jej przybycia rześście oświetlone, teraz były całkowicie ciemne; cisza zalegała nad miasteczkiem, a w tej ciszy wyraźnie było słychać odgłosy kroków na ubitej glinie. Egwene muskała pierścień z Wielkim Wężem, z rozmysłem wsunięty na palec lewej dłoni. Czuła, jak drżą jej kolana. Wiedziała, że będzie musiała stawić czoło najrozmaitszym rzeczom, ale przecież nie czemuś takiemu.

Zatrzymały się przed trzypiętrowym budynkiem zbudowanym na planie kwadratu. Również w jego oknach było całkiem ciemno, jednak oświetlona księżycową poświatą budowla nieodparcie przypominała gospodę. Carlinya, Beonin i Anaiya miały zostać tutaj, przy czym te dwie pierwsze nie wydawały się szczególnie z tego faktu zadowolone; nie skarżyły się oczywiście, jak to próbowały czynić jeszcze w domu, do którego trafiła z początku, jednak zupełnie niepotrzebnie poprawiały szale na ramionach i trzymały sztywno głowy, nie patrząc nawet na Egwene.

Anaiya pogładziła ją po głowie.

— Wszystko pójdzie dobrze, dziecko. — Pod pachą niosła tobolek z suknią, którą Egwene miała wdziać, kiedy już będzie po wszystkim. — Bardzo szybko się uczysz.

Z wnętrza kamiennego budynku rozległ się głęboki dźwięk gongu, jeden raz, drugi, trzeci. Egwene omal nie podskoczyła. Na mgnienie oka zapadła cisza, a potem gong zadźwięczał znowu. Myrelle odruchowo wygładziła suknię. Kolejna chwila ciszy, a potem znowu potrójne wezwanie.

Sheriam otworzyła drzwi i Egwene weszła do środka, prowadząc za sobą Myrelle i Morvrin. Nie potrafiła wyzbyć się wrażenia, że pilnują, by im przypadkiem nie uciekła.

W wielkiej izbie z wysokim sufitem nie było bynajmniej ciemno, wręcz przeciwnie. Na czterech szerokich gzymsach kominków stały rzędy lamp; jeszcze inne poustawiano na stopniach wiodących na pierwsze piętro oraz na poręczach galerijek otaczających pomieszczenie. Ponadto we wszystkich kątach izby stały kil-

kuramienne lampy z odblasznicami. Koce rozwieszane na oknach zatrzymywały całe światło w środku.

Pod każdą ze ścian stało dziewięć krzeseł ustawionych w szereg; siedzące na nich kobiety, Zasiadające sześciu Ajah reprezentowanych w Salidarze, miały na sobie szale i nosiły swoje barwy. Głowy wszystkich zwróciły się w kierunku Egwene; ich twarze nie wyrażały nic prócz chłodnego spokoju.

Po przeciwległej stronie izby stało samotne krzesło, na niewielkim podwyższeniu przypominającym płaską skrzynkę. Wysokie i mocne, z nogami i poręczami ozdobionymi rzeźbionymi spiralami, pomalowane ciemnożółtą farbą mającą imitować złoto. Na jego poręczach rozłożona była siedmiobarwna stuła. Egwene miała wrażenie, że od krzesła dzieli ją odległość wielu mil.

— Któż to stawia się przed Komnatą Wieży? — zaintonowała Romanda wysokim, czystym głosem. Siedziała tuż obok „złotego” krzesła, naprzeciwko trzech Błękitnych sióstr. Sheriam odstepiła na bok, ukazując zebranym Egwene.

— Ta, która stawia się pokornie, w Światłości — odrzekła Egwene. Jej głos chyba trochę drżał. Z pewnością nie zamierzały ciągnąć tego do końca.

— Któż to się stawia przed Komnatą Wieży? — zapytała ponownie Romanda.

— Ta, która stawia się pokornie, w Światłości. — Lada chwila to wszystko przerodzi się w jej proces, za to, że udawała Aes Sedai. Nie, nie tak; gdyby o to im właśnie chodziło, to zwyczajnie oddzieliły by ją tarczą i gdzieś zamknęły. Ale z pewnością. . .

— Któż to się stawia przed Komnatą Wieży?

— Ta, która przybywa na wezwanie Komnaty, posłuszna i pokorna, w Światłości, prosząc jedynie o to, by pozwolono jej zaakceptować decyzję Komnaty.

Spośród Szarych, zasiadających niżej od Romandy, podniosła się smągła, szczupła kobieta. Jako najmłodsza z Zasiadających, Kwamesa wypowiedziała rytualne pytanie, którego formuła wywodziła się z czasów Pęknięcia Świata.

— Czy oprócz kobiet jest tu ktoś jeszcze?

Romanda z namaszczeniem odrzuciła szal z ramion, po czym wstała, pozostawiając go na oparciu krzesła. Była najstarsza, więc miała odpowiedzieć pierwsza. Równie ceremonialnie rozpięła suknię, a potem obnażyła się do pasa, zdejmując również bieliznę.

— Jestem kobietą — oznajmiła.

Kwamesa równie pieczołowicie ułożyła swój szal na oparciu, po czym obnażyła się.

— Jestem kobietą — powiedziała.

Również pozostałe wstawały kolejno i udowadniały, że są kobietami. Egwene mocowała się chwilę z ciasnym stanikiem sukni Przyjętej, a potem musiała skorzystać z pomocy Myrelle przy guzikach, szybko jednak była w równym stopniu naga jak pozostałe.

— Jestem kobietą — powtórzyła za innymi.



Kwamesa obesza wolnym krokiem izbę, zatrzymując się przed każdą z kobiet i obdarzając ją obraźliwym niemal w swej bezceremonialności spojrzeniem, po czym na powrót stanęła przed swoim krzesłem i oznajmiła, że wśród obecnych są wyłącznie kobiety. Aes Sedai usiadły i zabrały się za zapinanie staników. Nie spieszyły się, a kilka zrobiło to jeszcze wolniej, niż było można. Egwene niemalże pokręciła głową. Ona nie miała prawa się ubrać, dopóki ceremonia nie dobiegnie końca. W dawnych czasach pytanie Kwamesy wymagałoby dalece poważniejszych dowodów; na takie ceremonie należało się „odziać w Światłość”, czyli wyłącznie we własną skórę. Ciekawe, co te kobiety by sobie pomyślały o namiotach — łaźniach Aielów albo o obyczajach, jakie towarzyszyły Shienaranom przy kąpieli?

Nie było czasu, żeby się teraz zastanawiać nad takimi rzeczami.

— Kto jest rzecznikiem tej kobiety — zapytała Romanda — kto zaświadczy za nią, sercem za serce, duszą za duszę, życiem za życie? — Usiadła wyprostowana i nadzwyczaj godna, z wciąż obnażonym pulchnym biustem.

— Ja za nią zaświadczę — oznajmiła zdecydowanie Sheriam, a w chwilę po niej te same słowa wypowiedziały silnymi głosami Morvrin i Myrelle.

— Podejdz tutaj, Egwene al’Vere — rozkazała Romanda. Egwene przeszła trzy kroki naprzód i uklękła, czując, że w głowie ma kompletną pustkę. — Dla jakiej przyczyny znalazłaś się tutaj, Egwene al’Vere?

Naprawdę czuła pustkę w głowie; nie potrafiła też nic poczuć w sercu. Nie pamiętała nawet treści wymaganych odpowiedzi, one jednak jakimś cudem same wylewały się z jej ust.

— Zostałam wezwana przez Komnatę Wieży.

— Do czego dążysz, Egwene al’Vere?

— Chcę służyć Białej Wieży, nic więcej i nic mniej. — Światłości, one naprawdę zamierzają to zrobić!

— Jak będziesz służyć, Egwene al’Vere?

— Moim sercem, moją duszą, moim życiem, w imię Światłości. Bez strachu i bezstronnie, w imię Światłości.

— Gdzie będziesz służyć, Egwene al’Vere?

Egwene odetchnęła głęboko. Mogła położyć kres tym idiotyzmom. Przecież to niemożliwe, by naprawdę...

— Na Tronie Amyrlin, jeżeli to zadowala Komnatę Wieży. — Głos zamarł jej w gardle. Za późno, żeby to wszystko odkręcić. Być może już w Sercu Kamienia było za późno.

Pierwsza wstała Delana, po niej Kwamesa i Janya, dalej następne, aż wreszcie wszystkie dziewięć Zasiadających stało przed swoimi krzesłami. A to oznaczało ich akceptację. Romanda wciąż nieugięcie siedziała. Dziewięć z osiemnastu. Zgoda musiała być jednomyślna — Komnata zawsze poszukiwała konsensusu; ostatecznie wszystkie głosowania przebiegały jednogłośnie, chociaż doprowadze-

nie do tego wymagało niekiedy ogromu wcześniejszych negocjacji — ale tego wieczora Aes Sedai nie dyskutowały ze sobą, tylko wypowiadały ceremonialne frazy, a to, co się teraz działo, oznaczało prawie jawne odrzucenie. Sheriam i pozostałe wyśmiały jej sugestię, iż coś takiego może się zdarzyć, i uczyniły to tak szybko, że byłaby się naprawdę zdenerwowała, gdyby cała ta sprawa nie była taka niedorzeczna, ale potem, niemalże mimochodem, ostrzegły ją, że istotnie, może dojść do czegoś takiego. Nie miały na myśli odrzucenia, ale to, że być może niektóre Zasiadające pozostaną na swych krzesłach, oznajmiając tym samym, że nie dadzą się traktować jak dobrze wytresowane pieski. Sheriam twierdziła, że będzie to tylko pusty gest, a jednak teraz, kiedy Egwene patrzyła na ostre, zawzięte rysy twarzy Romandy oraz Lelaine, na te dumnie wyprostowane głowy, nie była wcale taka tego pewna. Miało ich przecież nie być więcej jak trzy, może cztery.

Stojące kobiety bez słowa zajęły swoje miejsca. Żadna nie przemówiła, ale Egwene wiedziała, co ma zrobić. Poprzednie otępienie zupełnie gdzieś zniknęło.

Podniosła się i podeszła do najbliższej z Zasiadających, Zielonej o ostrych rysach; na imię miała Samalin, była jedną z tych, które nie powstały z krzeseł. Kiedy Egwene ponownie uklękła, tym razem przed samą Samalin, Sheriam uklękła obok niej z wielką miską wody w dłoniach. Na gładkiej powierzchni tworzyły się zmarszczki. Sheriam wydawała się zimna i całkowicie sucha, podczas gdy skóra Egwene zaczynała lśnić od potu; jednak to Sheriam drżały ręce. Morvrin uklękła z drugiej strony i podała Egwene ręcznik. Myrelle czekała z naręczem ręczników w ramionach; z jakiegoś powodu wydawała się wściekła.

— Proszę, abys pozwoliła mi służyć — powiedziała Egwene. Patrząc prosto przed siebie Samalin zadarła spódnicę do kolan. Miała bose stopy. Egwene umyła obie, a potem wytarła je do sucha; przeszła do następnej Zielonej, pulchnej kobiety o imieniu Malind. Sheriam i inne podały jej imiona wszystkich Zasiadających. — Proszę, pozwól mi służyć. — Malind miała urodziwą twarz o pełnych wargach i ciemnych oczach, dzięki którym wyglądała na skórą do uśmiechu, teraz jednak jej oblicze było surowe. Zaliczała się do tych, które wcześniej wstały, a tymczasem teraz jej stopy również były bose.

Bose były stopy wszystkich Zasiadających. Egwene umyła je wszystkie i zaczęła się zastanawiać, czy Zasiadające wiedziały zawczasu, ile ich pozostanie na miejscach. Najwyraźniej były świadome, że nie wszystkie wstaną, że nie obejdzie się bez tej posługi. Na temat zasad funkcjonowania Komnaty Wieży wiedziała obecnie niewiele więcej niż wtedy, gdy świeżo wysłuchała wykładu dla nowicjuszek. A na temat jakichś możliwości praktycznego działania nie wiedziała właściwie nic. Mogła jedynie postępować dalej wedle instrukcji.

Obmyła i wytarła ostatnią stopę — należała do Janyi, która marszczyła brwi, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiała; przynajmniej należała do tych, które wstały — i wrzuciła ręcznik do miski z wodą, a potem wróciła na swoje miejsce i uklękła ponownie.

— Proszę, pozwólcie mi służyć. — Jeszcze jedna szansa.

I znowu Delana była pierwszą, która wstała, ale tym razem Samalin zrobiła to tuż po niej. Żadna nie poderwała się zbyt pośpiesznie, a jednak wstawały jedna po drugiej, aż wreszcie tylko Lelaine i Romanda pozostały na swoich krzesłach; popatrywały po sobie, zupełnie ignorując Egwene. Na koniec Lelaine, nieznacznie, prawie niedostrzegalnie, wzruszyła ramionami, niespiesznie zapięła stanik i również wstała. Romanda odwróciła głowę i spojrzała na Egwene. Wpatrywała się w nią tak długo, że ta poczuła strumienie potu spływające między jej piersiami i po żebrach. W końcu Romanda odiała się ze stateczną powolnością i przyłączyła do pozostałych. W tym momencie Egwene usłyszała westchnienie ulgi; dobiegło ją z miejsca, gdzie stała Sheriam i reszta.

Rzecz jasna, to jeszcze nie był koniec. Teraz podeszły do niej Romanda i Lelaine, żeby poprowadzić ją do pomalowanego na żółto krzesła. Stała przed nim bez ruchu, podczas gdy one zawiązywały jej stanik i drapowały stułę Zasiadającej na Tronie Amyrlin na jej ramionach, deklamując razem z pozostałymi Zasiadającymi:

— Zostałaś wyniesiona na Tron Amyrlin, ku chwale Światłości, aby Biała Wieża przetrwała na wieki. Egwene al'Vere, Strażniczka Pieczęci, Płomienia Tar Valon, Zasiadająca Na Tronie Amyrlin. — Lelaine zsunęła pierścień z Wielkim Wężem ze swej lewej dłoni i wręczyła go Romandzie, która włożyła go na palec prawej dłoni Egwene. — Oby Światłość opromieniała Zasiadającą na Tronie Amyrlin i Białą Wieżę.

Egwene zaśmiała się. Romanda zamrugnęła oczami, Lelaine wzdrygnęła się lekko i wcale nie były osamotnione w takiej reakcji.

— Po prostu coś mi się przypomniało — powiedziała, a potem dodała: „córki”. W taki właśnie sposób Amyrlin zwracała się do Aes Sedai. To natomiast, co jej się przypomniało, stanowiło przedmiot następnej myśli. Nie potrafiła mianowicie nie myśleć, że to wszystko to zapłata, którą przyszło jej nareszcie uiścić za to, że ułatwiła sobie drogę przez *Tel'aran'rhiod*. Egwene al'Vere, Strażniczka Pieczęci, Płomienia Tar Valon, Zasiadająca Na Tronie Amyrlin zdołała jakoś usiąść na twardym, drewnianym krześle, bez przesadnej ostrożności i jednego grymasu. Obie te rzeczy uznała za wielki triumf swej woli.

Sheriam, Myrelle i Morvrin podeszły szybko do niej — nie sposób było wyczytać z ich pogodnych twarzy, która to tym razem westchnęła — a Zasiadające stanęły za nimi w rzędzie sięgającym aż do drzwi. Ustawiły się według wieku — szereg zamykała Romanda.

Sheriam rozłożyła spódnicę w głębokim ukłonie.

— Proszę, pozwól mi służyć, Matko.

— Możesz służyć Wieży, córko — odparła Egwene z całą powagą, na jaką ją było stać. Sheriam ucałowała jej pierścień, po czym odeszła na bok, a wtedy ukłon złożyła Myrelle.

I tak to szło. Trochę się przy tym zdziwiła, bo chociaż żadna z Zasiadających nie była tak naprawdę młoda, to jednak Delana o jasnych włosach, o której Egwene myślała, iż musi być co najmniej równie stara jak Romanda, stanęła nawet nie w połowie szeregu, podczas gdy Lelaine oraz Janya, obie bardzo piękne, bez śladu siwizny w ciemnych włosach, stały tuż przed siwowłosą Żółtą. Każda składała ukłon i całowała pierścień Egwene z twarzą całkiem pozbawioną wyrazu — aczkolwiek niektóre spoglądały na pasiastą lamówkę jej sukni — i bez jednego słowa opuszczały pomieszczenie tylnymi drzwiami. W normalnych okolicznościach byłoby ich więcej. Z pozostałą częścią ceremonii musiały jednak poczekać do rana.

W końcu Egwene została sam na sam z trzema kobietami, które za nią zaświadczyły. Nie była pewna, co to może oznaczać. Kiedy wstała, Myrelle odeszła na bok, by dopuścić do niej tamte.

— Co by się stało, gdyby Romanda nie powstała? — Pewnie dano by jej jeszcze jedną szansę, czyli jeszcze jedną rundę mycia im nóg i proszenia, by pozwoliły sobie służyć, pewna jednak była, że gdyby Romanda za drugim razem głosowała przeciw, to za trzecim postąpiłaby podobnie.

— Wtedy prawdopodobnie za kilka dni sama zostałaby wyniesiona na Tron Amyrlin — odparła Sheriam. — Ona albo Lelaine.

— Nie o to mi pytam — powiedziała Egwene. — Co by się stało ze mną? Czy musiałabym zwyczajnie powrócić do roli Przyjętej? — Anaiya i pozostałe już spieszyły do niej, uśmiechając się, Myrelle zaś zaczęła pomagać Egwene przy rozdzielaniu się z białej sukienki z pasiastą lamówką i ubieraniu zielonych jedwabii, które i tak miała nosić na sobie tylko do tego czasu, aż nie uda jej się dotrzeć do łóżka. Było już późno, jednak Amyrlin nie mogła przecież paradować w sukni Przyjętej.

— Całkiem możliwe — odrzekła po chwili Morvrin. — Nie umiem powiedzieć, czy byłby to dla ciebie szczęśliwy obrót spraw, czy też nie, gdybyś została Przyjętą, znaną wszystkim Zasiadających jako niedoszła Zasiadająca na Tronie Amyrlin.

— Rzadko kiedy dochodziło do czegoś takiego — dodała Beonin — jednak te kobiety, którym odmówiono Tronu Amyrlin, zazwyczaj zostawały wygnane. Komnata za wszelką cenę dąży do harmonii, a taka stanowiłaby źródło niezgody.

Sheriam spojrzała prosto w oczy Egwene, jakby chciała w ten sposób wzmocnić wagę swoich słów.

— Z pewnością my zostałybyśmy wygnane. Myrelle i Morvrin oraz ja na pewno, ponieważ świadczyłyśmy za tobą, najpewniej jednak również Carlinya, Beonin i Anaiya. — Ni stąd ni zowąd uśmiechnęła się. — Ale to się nie dzieje w taki sposób. Po nowej Amyrlin oczekuje się, że spędzi swą pierwszą noc na modlitwie i kontemplacji, kiedy jednak Myrelle skończy już z tymi guzikami, najlepiej będzie, jeżeli opowiem ci, jak się mają rzeczy w Salidarze.

Wszystkie teraz patrzyły na nią. Myrelle stała z tyłu, dopinając ostatnie guziki,

jednak Egwene niemalże czuła wzrok tamtej na swoich plecach.  
— Tak. Myślę, że tak będzie najlepiej.

# AMYRLIN ZOSTAJE WYNIESIONA

Egwene uniosła głowę z poduszek, rozejrzała się dookoła i przez chwilę nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że leży na łożu z baldachimem i to w jakiejś wielkiej izbie. Do wnętrza przez okna wlewało się światło wczesnego poranka, a hoża kobieta, odziana w suknię ze zgrzebnej szarej wełny, ustawiała właśnie duży, biały dzban z gorącą wodą na umywalce. Chesę poznała poprzedniego wieczora, miała być jej osobistą pokojówką. Czyli pokojówką Amyrlin. Tuż obok grzebienia i szczotki na wąskim stoliku pod lustrem w srebrnej ramie stała już taca nakryta serwetką. W powietrzu unosiła się woń gorącego chleba i duszonych gruszek.

To Anaiya urządziła tę izbę na przybycie Egwene. Meble wprawdzie nie pasowały do siebie, za to były najlepsze z wszystkich, jakie Salidar miał do zaofiarowania, poczynając od wyściełanego fotela obitego zielonym jedwabiem, przez tremo ustawione w kącie, z nieuszkodzonymi złoceniami, a kończąc na ozdobnie rzeźbionej szafie, w której powieszono jej odzienie. Niestety, gust Anaiyi zdawał się mocno ciążyć w stronę pienistych koronek i falbanek, toteż był nimi obsyty nie tylko baldachim oraz obecnie odsunięte zasłony przy łożu, lecz również zdobyły kanty stołu i przystawionego doń zydlu, poręczce i nogi wyściełanego krzesła, narzuta, którą Egwene straciła na posadzkę, a także cienkie, jedwabne prześcieradło, które podzieliło jej los. Nawet zasłony na oknach wykonano z koronek. Egwene przyłożyła głowę z powrotem do poduszek. Je również suto ozdobiono. Ta izba zdawała się tonąć w koronkach.

Rozmowy z Sheriam i innymi siostrami, które przyprowadziły Egwene do tego budynku, zwanego Małą Wieżą, trwały bardzo długo, przy czym to one przede wszystkim wiodły prym. Tak naprawdę wcale nie interesowały się tym, co jej zdaniem zamierzał Rand albo czego mogła chcieć Coiren i jej towarzyszki. Do Caemlyn zmierzała już misja poselska dowodzona przez Meranę, która ponoć dobrze wiedziała, co robić, aczkolwiek w tej kwestii wyrażały się dość mętnie. Przeważnie to one mówiły, a ona słuchała; jej pytania zbywano. Niektóre kwestie, jak twierdziły, są nieistotne, przynajmniej na razie; te odpowiedzi, których ze-

chciały jej udzielić, zagadywały prędko jakimś zręcznym komentarzem, po czym natychmiast przechodziły do tego, co one uważały za ważne. Misje poselskie zostały wysłane do wszystkich monarchów; wymieniły każdego z nich z nazwiska, wyjaśniając przy tym, dlaczegoż to dany władca czy władczyni jest absolutnie nieodzowny dla sprawy Salidaru, z czego z kolei wynikało, że wszyscy oni są nieodzowni. Niby nie stwierdziły definitywnie, że czeka je porażka, jeśli bodaj jeden władca zwróci się przeciwko nim, ale podkreślały, że wszyscy jak jeden mąż winni opowiedzieć się po ich stronie. Gareth Bryne tworzył armię, która z czasem miała dostatecznie urosnąć w siłę, by w razie konieczności być w stanie bronić ich — jej — sprawy przeciwko Elaidzie. Zdawały się zresztą uważać, że do niczego takiego nie dojdzie, mimo żądania Elaidy, że mają powrócić do Wieży; wręcz zdawały się wierzyć, że kiedy wieść o wyniesieniu Egwene al'Vere na Tron Amyrlin się rozejdzie, to Aes Sedai do niej przyjdą, nawet część tych, które obecnie należały do Wieży, że będzie ich w każdym razie dostatecznie wiele, by Elaida nie miała innego wyboru, jak ustąpić. Białe Płaszczki z jakiegoś powodu kręciły młynka palcami, a zatem w Salidarze było obecnie tak bezpiecznie jak w każdym innym miejscu na świecie i miało tak być dopóty, dopóki nakazywała konieczność. Fakt, że Logain został Uzdrawiony, podobnie jak Siuan — a także Leane; to oczywiste, że musiała zostać Uzdrawiona, skoro tutaj była; po prostu ta informacja stanowiła niespodziankę — wspomnianą niemalże mimochodem.

— Tutaj nie będziesz miała powodów do zmartwień — oznajmiła uspokajającym tonem Sheriam. Stała nad Egwene, która siedziała w wyściełanym fotelu; pozostałe ustawiły się w półkolu za jej plecami. — Komnata rozsądzi, czy poskromić go raz jeszcze, zanim jego podeszły wiek uwolni nas od tego problemu.

Egwene próbowała stłumić kolejne ziewnięcie — robiło się już późno — i wtedy Anaiya stwierdziła:

— Pozwólmy jej iść spać. Jutrzejszy dzień będzie niemalże równie ważny jak dzisiejszy wieczór, dziecko. — Nagle zaśmiała się cicho, jakby do siebie. — Matko. Jutrzejszy dzień też będzie ważny, Matko. Przyślemy Chesę, żeby pomogła ci się położyć.

Nawet po ich wyjściu położenie się do łóżka nie okazało się łatwe. Chesa właśnie zdejmowała suknię z Egwene, kiedy pojawiła się Romanda z szeregiem sugestii dla Amyrlin, wygłoszonych tym stanowczym tonem, który oznaczał, że ona nie ścierpi żadnych bzdur, i nie chciała odejść, dopóki nie zjawiła się Lelaine, która jakby czekała na wyjście Żółtej. Błękitna Opiekunka również służyła szeregiem pomocnych rad; Chesa została delikatnie, acz stanowczo wyproszona z izby, a Egwene wysłuchiwała tego wszystkiego, siedząc na łożu. Rady Lelaine zupełnie nie przypominały wskazówek Romandy — albo Sheriam — a nadto były okraszone ciepłym, wręcz czułym uśmiechem, niemniej jednak także zawierały przekonanie, że Egwene trzeba będzie odrobinę pokierować podczas pierwszych miesięcy. Żadna z tych dwu kobiet nie oświadczyła wprost, że to ona właśnie może wskazać

Egwene to, co najlepsze dla Wieży i to bardziej umiejętnie niż Sheriam, albo że Sheriam oraz siostry z jej niewielkiego kręgu mogłyby albo ją pociągnąć w zbyt wielu kierunkach jednocześnie, albo udzielić jej złych rad, niemniej jednak z ich słów dawało się wyciągnąć tak daleko idące wnioski. Zarówno Romanda, jak i Lelaine dały również do zrozumienia, że ta druga może mieć swoje własne zamysły, takie, które bez wątplenia mogłyby spowodować niewypowiedziane nieszczęścia.

Kiedy Egwene przenosiła, żeby zgasić ostatnią lampę, spodziewała się, że będzie miała sny pełne koszmarów. Następnego ranka pamiętała tylko dwa. W jednym śniło jej się, że jest Amyrlin — Aes Sedai, ale taką, która nie złożyła przysięg — i wszystko, czego by nie zrobiła, wiodło do katastrofy. Aż się obudziła, siadając gwałtownie na łóżku, żeby tylko uciec od tego snu, ale była pewna, że nie miał żadnego znaczenia. Bardzo przypominał jej przeżycia z wnętrza *ter'angreala*, gdzie poddano ją sprawdzianom na Przyjętą; wiadano powszechnie, że te nie mają żadnych związków z rzeczywistością. Z tą rzeczywistością. Drugi przepełniony był głupstwami, tak jak się spodziewała; poznała już dostatecznie dobrze swoje sny, żeby to wiedzieć. Sheriam zerwała stulę z jej ramion, a potem wszystkie się z niej śmiały i wytykały ją palcami jako idiotkę, która naprawdę uwierzyła, że zaledwie osiemnastoletnia dziewczyna może zostać Amyrlin. Śmiały się nie tylko Aes Sedai, ale wszystkie Mądre, Rand, Perrin, Mat, Nynaeve i Elayne, prawie wszyscy, których w życiu poznała, podczas gdy ona stała tam naga, rozpaczliwie usiłując wbić się w suknię Przyjętej, która pasowałaby na dziesięcioletnie dziecko.

— Chyba nie zamierzasz spędzić całego dnia w łóżku, Matko.

Egwene otworzyła oczy.

Chesa miała w oku błysk, a na twarzy wyraz udawanego spokoju. Była co najmniej dwa razy starsza od Egwene i już podczas pierwszego spotkania zaczęła się do niej odnosić w sposób, który stanowił skrzyżowanie szacunku i poufałości, czyli w taki, jakiego należałoby się spodziewać ze strony starej, wiernej służącej.

— Zasiadająca na Tronie Amyrlin nie powinna się wylegiwać w łóżku, zwłaszcza w dzień najważniejszy z wszystkich dni.

— To ostatnia rzecz, jaka mi przychodzi do głowy. — Sztywnymi ruchami wygramoliła się z łoża, po czym najpierw się przeciągnęła, a dopiero potem ściągnęła przepoconą koszulę nocną. Nie mogła się już doczekać chwili, kiedy dzięki dostatecznie długiemu paraniu się Mocą nareszcie przestanie się pocić. — Włożę tę z niebieskiego jedwabiu, z pąkami białych zwiastunów przy dekolcie: Zauważyła, że Chesa, która właśnie podawała bieliznę, bardzo się stara jej nie przyglądać. Efekty wypełnienia *toh* zdążyły już nieco zblaknąć, ale jej ciało i tak ciągle jeszcze było lekko posiniaczone. — Miałam wypadek, zanim tu przyjechałam — wytłumaczyła, pospiesznie naciągając na głowę świeżą koszulę.

Chesa pokiwała głową, nagle zrozumiawszy.

— Konie to wredne bestie, którym nie można ufać. Ja tam się nigdy nie dam



posadzić na konia, Matko. Dobry, mocny wóz jest o wiele bezpieczniejszy. Gdybym to ja tak spadła z konia, to nikomuśku bym tego nie wyjawiała. Nildra mówiła takie rzeczy, a także Kaylin. . . Och, w życiu byś nie uwierzyła, jakie rzeczy potrafią wygadywać niektóre kobiety, ledwie odwrócisz się do nich plecami. Rzecz jasna, w przypadku Zasiadającej na Tronie Amyrlin jest inaczej, ale ja tak bym właśnie postąpiła. — Przytrzymując drzwi szafy, spojrzała z ukosa na Egwene, by sprawdzić, czy ta ją zrozumiała.

Egwene uśmiechnęła się do niej.

— Ludzie są tylko ludźmi, czy to nisko, czy wysoko urodzeni — stwierdziła poważnym tonem.

Chesa rozpromieniła się, po czym wyjęła z szafy niebieską suknię. Wprawdzie to Sheriam ją wybrała, ale ona była pokojówką Zasiadającej na Tronie Amyrlin, więc obowiązywała ją lojalność wobec Zasiadającej na Tronie Amyrlin. I miała też rację odnośnie ważności tego dnia.

Egwene zjadła śniadanie w pośpiechu — mimo pomrukiwań Chesy, że od połykania jedzenia buntuje się żołądek i że nie ma to jak ciepłe mleko z miodem i przyprawami — potem wyszorowała zęby i umyła się pospiesznie, pozwoliła Chesie kilka razy musnąć jej włosy szczotką, po czym odziała się błyskawicznie. Udrapowała stułę z siedmioma paskami na ramionach, po czym przystanęła przed stojącym lustrem, żeby się przejrzeć. Stuła nie stuła, raczej nie wyglądała jak Zasiadająca na Tronie Amyrlin.

„Ale ja nią jestem. To nie sen”.

Na stołach w dużej izbie na niższym piętrze było tak samo pusto jak wieczorem. Zobaczyła tam tylko Opiekunki, ubrane w szale i pogrupowane według ich Ajah, oraz Sheriam, która stała samotnie. Ucichły, kiedy Egwene pojawiła się na schodach, a kiedy zeszła na sam dół, dygnęły. Romanda i Lelaine obrzuciły ją świdrującymi spojrzeniami, po czym odwróciły się, ostentacyjnie nie patrząc na Sheriam, i podjęły przerwane rozmowy. Egwene milczała, więc pozostałe również ucichły. Co jakiś czas któraś tylko na nią zerknęła. Nawet ich poszeptywania brzmiały jakby zbyt głośno. Na zewnątrz panowała cisza, absolutna martwość. Egwene wyciągnęła z rękawa chusteczkę i otarła nią twarz. A tymczasem one wszystkie nie uroniły ani kropli potu.

Sheriam podeszła do niej.

— Pójdzie dobrze — powiedziała cicho. — Pamiętaj tylko, co masz mówić. — To była jeszcze jedna rzecz, którą omówiły szczegółowo ubiegłej nocy; Egwene miała tego ranka wygłosić przemówienie.

Egwene przytaknęła. Dziwna sprawa; myślała, że będzie jej się przewracało w żołądku, że będą jej się trzęsły kolana. A tak wcale nie było, czego nie potrafiła pojąć.

— Nie ma się czym denerwować — dodała Sheriam. Zabrzmiało tak to, jakby jej zdaniem Egwene była niespokojna, a ona chciała dodać jej otuchy, ale zanim

zdążyła znowu otworzyć usta, głośno przemówiła Romanda.

— Już czas.

Przy akompaniamentcie szelestu spódnic Opiekunki ustawiły się w szeregu według wieku, tym razem z Romandą na czele, po czym wymaszerowały na zewnątrz. Egwene tylko podeszła do drzwi. Nadal żadnych sensacji. Może Chesa miała rację z tym ciepłym mlekiem.

Znowu zapanowała cisza, po czym rozległ się głos Romandy, zbyt głośny, by brzmieć naturalnie.

— Mamy Zasiadającą na Tronie Amyrlin.

Egwene wyszła na zewnątrz, na skwar, którego się nie spodziewała o tak wczesnej porze. Jej stopa oderwała się od stopnia i wylądowała na platformie utkanej z Powietrza. Opiekunki podzieliły się na dwa szeregi z obu jej stron; wszystkie otoczyły się łuną *saidara*.

— Egwene al’Vere — zaintonowała Romanda głosem wzmocnionym przez sploty Mocy. — Strażniczka Pieczęci, Płomień Tar Valon, Zasiadająca na Tronie Amyrlin.

W czasie, kiedy Romanda to mówiła, pozostałe uniosły ją, w rzeczy samej wynosząc Amyrlin tak wysoko, że stanęła tuż pod strzechą, na samym powietrzu, jakby się zdawało każdemu oprócz kobiety, która potrafiła przenosić.

Zebrała się tam liczna rzesza pragnących oglądać jej sylwetkę na tle wschodzącego słońca; drugi splot przekształcił światło w lśniącą otoczkę. Tłum mężczyzn i kobiet, stojących na ulicy rozciągał się za każdy jej róg. Pełno było w każdym drzwiach, w każdym oknie, na wszystkich dachach, wyjąwszy dach samej Małej Wieży. Wybuchła wrzawa, która niemalże zagłuszyła Romandę; przez wioskę jeły się przetaczać fale wiwatów. Egwene omiotła wzrokiem tłum w poszukiwaniu Nynaeve i Elayne, ale nigdzie ich nie widziała w morzu zadartych twarzy. Zdawało się, że upłynął wiek, zanim zrobiło się na tyle cicho, by mogła przemówić. Splot, który niósł głos Romandy, przeszedł na nią.

To Sheriam wraz z innymi przygotowała jej to przemówienie, uroczyste kazanie, które być może byłaby w stanie wygłosić bez rumieńca na twarzy, gdyby była dwa, a jeszcze lepiej trzy razy starsza. Dokonała kilku zmian na własną rękę.

— Zebraliśmy się tutaj w pogoni za prawdą i sprawiedliwością, która się nie skończy, dopóki Elaida, fałszywa Zasiadająca na Tronie Amyrlin, nie zrezygnuje z tytułu, który przywłaszczyła sobie całkiem bezprawnie. — Jediną zmianą było podstawienie frazy „która się nie skończy” w miejsce „która nie może się skończyć”, ale uznała, że tak ujmie rzecz dosadniej i zgrabniej. — Jako Amyrlin pokieruję wami w tej pogoni i nie ugnę się, tak jak wy się nie ugniecie. — Stwierdziła, że na tym już może zakończyć kazanie; w każdym razie nie zamierzała pozostawać tam w górcie dostatecznie długo, żeby powtórzyć każde słowo, które one kazały jej wygłosić. Wszystko zresztą sprowadzało się do tego, co już powiedziała. — Moją Opiekunką Kronik mianuję Sheriam Bayanar.

Zareagowali znacznie cichszymi wiwatami; Opiekunka to ostatecznie nie Amyrlin. Egwene zerkała ukradkiem na dół, aż doczekała się Sheriam, która wybiegła z Małej Wieży, drapując na ramionach błękitnej barwy stułę Opiekunki, chcąc nią zaznaczyć, że została wyniesiona z Błękitnych Ajah. Postanowiły nie robić kopii laski Amyrlin, zwieńczonej złotym płomieniem, którą zwykła nosić Opiekunka; miały się bez niej obywać, dopóki nie odzyskają oryginalnej laski z Białej Wieży. Sheriam spodziewała się znacznie dłuższego oczekiwania, toteż popatrzyła na Egwene z jawnym rozdrażnieniem. Twarze stojących w szeregu Opiekunek Romandy i Lelaine pozostały nie poruszone; każda wyraziła, bardzo dobitnie swoje sugestie odnośnie wyboru Opiekunki Kronik, i rzecz jasna w żadnym razie nie dotyczyły one Sheriam.

Egwene zrobiła głęboki wdech i odwróciła się plecami do wyczekującego tłumu.

— Żeby uczcić ten dzień, niniejszym ogłaszam dekret, na mocy którego wszystkie Przyjęte i nowicjuszki są dzisiaj wolne od wszelkich pokut i kar. — Tak nakazywał obyczaj; wywołał okrzyki radości jedynie z ust odzianych na biało dziewcząt oraz kilku Przyjętych. — Żeby uczcić ten dzień, niniejszym ogłaszam dekret, na mocy którego Theodrin Dabei, Faolain Orande, Nynaeve al'Meara i Elayne Trakand wraz z tą chwilą zostają wyniesione do szala, jako pełne siostry i Aes Sedai. — To z kolei powitano czymś w rodzaju pytającego milczenia, a także pomrukiem, tu i ówdzie. Ten dekret był niezupełnie zgodny z obyczajem, a nawet dalece od niego odbiegał. Niemniej jednak został ogłoszony; całe szczęście, że Morvrin przypadkiem napomknęła o Theodrin i Faolain. Czas powrócić do tego, co one dla niej sprokurowały. — Niniejszym ogłaszam ten dzień dniem święta i zabawy. Nie będzie się wykonywało żadnych prac, oprócz takich, które są niezbędne dla rozrywek. Oby Światłość opromieniła was wszystkich! Oby chroniła was ręka Stwórcy! — Ostatnie słowa zagłuszył potężny ryk, który wziął górę nad splotem niosącym jej głos. Niektórzy ludzie zaczęli tańczyć na ulicy, właśnie tam i w tej chwili, mimo że brakowało im miejsca.

Platforma z Powietrza opuściła się jakby odrobinę szybciej niż została uniesiona. Opiekunki wpatrywały się srogo w Egwene, kiedy z niej schodziła; łuny *saidara* zaczęły gasnąć, zanim zdążyła na dobre stanąć na ziemi.

Sheriam przypadła do Egwene i ujęła ją pod ramię, uśmiechając się jednocześnie do kamiennych obliczy Opiekunek.

— Muszę pokazać Amyrlin jej gabinet. Wybaczcie mi. — Egwene nie powiedziała, że Sheriam zagnała ją do środka, ale z kolei nie przyznała też, że tego nie zrobiła. Nie przypuszczała, że Sheriam jest w stanie ją tam zawlec, ale uznała, że lepiej tego nie sprawdzać, tylko podkasać spódnicę wolną dłonią i wydłużyć krok.

Gabinet, urządony na tyłach poczekalni, okazał się nieco mniejszy od izby sypialnej; był wyposażony w dwa okna, stolik do pisania, jedno krzesło z pro-

stym oparciem ustawione za nim i dwa takie same przed nim. I nic więcej ponad to. Przeżarte przez korniki drewniane panele ścian zostały nawoskowane do połysku, ale na blacie stolika było całkiem pusto. Na posadzce leżał mały dywanik w kwietny wzór.

— Wybacz mi, jeśli moje zachowanie było nieco raptowne, Matko — powiedziała Sheriam, uwalniając jej ramię — ale uznałam, że powinnyśmy spotkać się na osobności, zanim się rozmówisz z którąś z Opiekunek. One wszystkie miały swój udział w pisaniu twego przemówienia i...

— Wiem, że wprowadziłam kilka zmian — odparła Egwene z promiennym uśmiechem — ale coś mnie korciło, kiedy tak tam stałam. — One wszystkie miały w tym swój udział? Nic dziwnego, że brzmiało to jak perora jakiejś starej kobiety, która nie umie przestać gadać. Omal nie wybuchnęła śmiechem. — W każdym razie na pewno powiedziałam to, co należało, samo sedno. Trzeba się pozbyć Elaidy i ja ich ku temu poprowadzę.

— No... tak... — powoli powiedziała Sheriam — ale może paść kilka pytań co do niektórych innych... zmian. Theodrin i Faolain zostaną z pewnością wyniesione do Aes Sedai, kiedy już odzyskamy Wieżę i Różdżkę Przysięg... i zapewne również Elayne... ale Nynaeve nadal nie potrafi nawet zapalić świecy, chyba że pierwszej zacznie szarpać warkocz.

— To jest właśnie sprawa, którą chciałam poruszyć — oznajmiła Romanda, która weszła do środka bez pukania. — Matko — dodała po zauważalnej pauzie. Lelaine zatrzasnęła drzwi za sobą i Romandę, niemalże uderzając w twarz siedmiu innych Opiekunek.

— A ja uznałam, że to konieczne — odrzekła Egwene, otwierając szeroko oczy. — Przemysślałam tę kwestię ubiegłej nocy. Zostałam wyniesiona na Tron Amyrlin, mimo iż ani nie przeszłam sprawdzianów, ani nie złożyłam Trzech Przysięg, i gdybym była jedyna taka, to bym się wyróżniała. A razem z czterema innymi już nie będę. Przynajmniej nie dla ludzi stąd. Elaida mogłaby próbować jakoś to wykorzystać, kiedy to odkryje, ale większość ludzi wie tak mało o Aes Sedai, że nie będą pewni, w co wierzyć. To ludzie stąd liczą się przede wszystkim i dlatego muszą pokładać we mnie zaufanie.

Wszyscy oprócz Aes Sedai wytrzeszczyliby na nią oczy. Romanda tylko zrobiła taką minę, jakby chciała splunąć.

— Może i tak jest — zaczęła ostrym tonem Lelaine, gwałtownie miętosząc swój szal z błękitnymi frędzlami, po czym urwała. Tak było. Co więcej, Zasiadająca na Tronie Amyrlin ogłosiła publicznie, że te kobiety są Aes Sedai. Komnata mogła uznać, że są nadal tylko Przyjętymi, niemniej jednak nie potrafiła cofnąć wypowiedzianych już słów. Pamiętano by o tym, że oto sprzeciwiły się Amyrlin już pierwszego dnia piastowania przez nią tego stanowiska. Dużo by z tego przyszło w dziele umacniania zaufania!

— Mam nadzieję, Matko — powiedziała zduszonym głosem Romanda —

że następnym razem skonsultujesz się najpierw z Komnatą. Naruszenie obyczaju może mieć nieprzewidziane konsekwencje.

— A jeśli naruszone zostaje prawo, to konsekwencje mogą być wręcz zgubne — dopowiedziała tonem przygany Lelaine, dołączając spóźnione: — Matko.

To już zakrawało na absurd albo coś bardzo mu bliskiego. Prawo określało warunki, jakie należało spełniać, by móc zostać wyniesioną do godności Aes Sedai, to prawda, ale Amyrlin mogła wydać każde rozporządzenie, jakie jej się podobało. Niemniej jednak rozsądna Amyrlin nie wdawała się w kłótnie z Komnatą, jeśli mogła tego uniknąć.

— Och, w przyszłości na pewno będę się konsultowała — zapewniła je gorliwie Egwene. — Po prostu uznałam, że postępuję właściwie. Czy zechcecie mi teraz wybaczyć? Naprawdę muszę porozmawiać z Opiekunką.

Prawie się zatrzęśły. Dygnęły przed nią nieznacznie, a ich pożegnalne słowa były doskonale poprawne, o ile chodziło o sam dobór, przy czym Romanda je wymruczała, w przypadku Lelaine zaś zabrzmiały niezwykle ostro.

— Bardzo dobrze sobie z nimi poradziłaś — pochwaliła ją Sheriam po ich wyjściu. Ton jej głosu wskazywał, że jest zaskoczona. — Ale musisz pamiętać, że Komnata może stwarzać problemy każdej Amyrlin. Jestem twoją Opiekunką i do moich zadań należy, między innymi, udzielanie ci rad i chronienie cię od tego typu problemów. Powinnaś radzić się mnie zawczasu w kwestii wszelkich dekretów, jakie zamierzasz ogłosić. A gdyby mnie akurat nie było pod ręką, to będzie Myrelle, Morvrin i pozostałe. Jesteśmy tu po to, żeby ci pomagać, Matko.

— Rozumiem, Sheriam. Obiecuję, że wysłucham uważnie wszystkiego, co będziesz miała do powiedzenia. A teraz chciałabym zobaczyć się z Nynaeve i Elayne, jeśli to możliwe.

— To musi być możliwe — odparła z uśmiechem Sheriam — ale niewykluczone, że będę musiała uciec się do przemocy, żeby oderwać Nynaeve od jakiejś Żółtej. Poza tym wybiera się do ciebie Siuan, która ma za zadanie wygłosić dla ciebie wykład o etykiecie, jaka obowiązuje Amyrlin; jest tego całkiem sporo, ale w takiej sytuacji powiem jej, żeby przysłała później.

Po wyjściu Sheriam Egwene zapatrzyła się na drzwi. Potem odwróciła się i wbiła wzrok w blat stołu. Całkiem pusty. Ani jednego raportu do przeczytania, żadnych zapisków do przestudiowania. Żadnego pióra i atramentu do sporządzenia notatki, a co dopiero mówić o sporządzaniu dekretu. I czekała ją jeszcze wizyta Siuan, która miała ją pouczyć w kwestii etykiety.

Kiedy rozległo się bojaźliwe pukanie do drzwi, ciągle jeszcze tak stała.

— Wejść! — powiedziała, zastanawiając się, czy to Siuan, czy może jakaś służąca z miodowymi ciasteczkami do pogryzania, już pociętymi na odpowiednio małe kawałki.

Nynaeve z wahaniem wetknęła głowę przez szparę w drzwiach, po czym została wepchnięta do środka przez Elayne. Stały obok siebie, potem wykonały

perfekcyjne, głębokie dygnięcia, rozpościerając białe, obrzeżone paskami spódnice i mrużąc:

— Matko.

— Błagam, nie róbcie mi tego! — poprosiła Egwene. W rzeczy samej zabrzmiało to niemalże jak szloch. — Jesteście moimi jedynymi dwiema przyjaciółkami i jeśli zaczniecie... — Światłości, ona naprawdę była bliska płaczu!

Elayne dopadła jej o włos szybciej, zarzucając jej ramiona na szyję. Nynaeve milczała, nerwowo majstrując przy cienkiej, srebrnej bransolecie. Elayne natomiast wybuchnęła potokiem słów.

— Nadal jesteście twoimi przyjaciółkami, Egwene, ale ty jesteś Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Na Światłość, przypomnij sobie, jak ci któregoś dnia powiedziałam, że zostaniesz Amyrlin; to było wtedy, gdy... — Elayne skrzywiła się nieznacznie. — No cóż, w każdym razie jesteś nią. Przecież nie możemy, ot tak, podejść do Amyrlin i zagadać: „Egwene, czy ja w tej sukni nie wyglądam grubo?” To nie uchodzi.

— Ależ uchodzi — zapewniła ją żarliwie Egwene. — No cóż, w każdym razie na osobności — przyznała po chwili. — Kiedy jesteście same, chcę, żebyście mi mówiły, że w jakiejś sukni wyglądam grubo albo... cokolwiek chcecie. — Uśmiechnąwszy się do Nynaeve, delikatnie pociągnęła ją za gruby warkocz. Nynaeve wzdygnęła się. — I chcę, żebyś ty go szarpała z mojego powodu, jeśli masz na to ochotę. Potrzebuję kogoś, kto jest moją przyjaciółką, przyjaciółką Egwene, i nie widzi cały czas tej... tej przekłetej stuły, bo inaczej oszaleję. A skoro już mowa o sukniach, to dlaczego jeszcze jesteście w tych starych? Myślałam, że miałyście dość czasu, żeby się przebrać?

W tym momencie Nynaeve rzeczywiście szarpnęła warkocz.

— Nisao powiedziała mi, że to jakaś pomyłka, i wywlokła mnie stamtąd. Powiedziała, że nie będzie marnować swojej kolejki tylko z powodu święta. — Jego odgłosy zaczynały już wzbierać na zewnątrz: zgiełk, dostatecznie głośny, by przeniknąć przez kamienne mury, a także ciche brzmienie muzyki.

— To nie pomyłka — oświadczyła Egwene. Kolejka Nisao? No cóż, nie zamierzała pytać o to teraz; Nynaeve wyraźnie nie była tym uszczęśliwiona, a Egwene pragnęła, by ta chwila należała do możliwie jak najprzyjemniejszych. Wysunęła krzesło zza stołu i uśmiechnęła się, zauważywszy dwie szyte z łątek poduszki na siedzeniu. Ach, ta Chesa. — Posiedzimy tu sobie i porozmawiamy, a potem pomogę wam wyszukać dwie najpiękniejsze suknie w całym Salidarze. Opowiedzcie mi o tych waszych odkryciach. Napomknęła o nich Anaiya, a także Sheriam, ale ja nie umiałam zatrzymać ich dostatecznie długo, żeby mi podały jakieś szczegóły.

Niemal jak jeden mąż znieruchomiały w trakcie siadania i wymienili spojrzenia. Z niewiadomych powodów zdawały się niechętne do rozmowy na jakiegokolwiek inne tematy oprócz Uzdrowienia Siuan i Leane — Nynaeve trzykrotnie powtórzyła, jakby lękliwie, że Logaina Uzdrowiła przypadkiem — i o pracy Elay-

ne z *ter'angrealem*. Były to znaczące osiągnięcia, zwłaszcza osiągnięcia Nynaeve, a jednak tyle tylko miały do powiedzenia i Egwene mogła je jedynie wielokrotnie zapewnić, że to, co zrobiły, jest wspaniałe, i że im zazdrości. Próba zademonstrowania nie potrwała długo; Egwene nie miała specjalnego wyczucia w dziedzinie Uzdrawiania, a zwłaszcza nie starczyło jej go do tej skomplikowanej materii, którą Nynaeve utkała bez udziału myśli, i mimo iż dobrze się znała na metalach i dysponowała znaczną siłą zarówno w splotach Ognia, jak i Powietrza, Elayne swoje pogubiła niemalże natychmiast. Rzecz jasna, one z kolei chciały wiedzieć, jakie jest życie wśród Aielów. Widząc, jakie są zdumione i wstrząśnięte, co wyraziły mruganiem oczu i wybuchami śmiechu, który nagle zamierał im na ustach, nie była pewna, czy wierzą w to, co im opowiedziała, a przecież bez wątpienia to jeszcze nie było wszystko. Temat Aielów musiał je nieuchronnie zawieść do tematu Randa. Obie nie odrywały od niej oczu, kiedy zrelacjonowała jego spotkanie z Aes Sedai. Zgodziły się, że on nie zdaje sobie sprawy, jak głębokie są te wody, na które wypłynął, i że potrzebuje kogoś, kto go poprowadzi, zanim zdąży wpaść w jakąś pułapkę. Elayne uważała, że taką osobą może być Min, kiedy już misja dotrze do Caemlyn — Egwene dopiero teraz się dowiedziała, że Min jedzie razem z misją, i że w ogóle była w Salidarze — prawdę mówiąc jednak zdawała się jakoś do tego niezbyt entuzjastycznie usposobiona. I na koniec burknęła coś, co zabrzmiało wyjątkowo osobliwie, i to takim tonem, jakby to była prawda, o której nie chciała nic słyszeć.

— Min jest lepszą kobietą ode mnie. — Z jakiegoś powodu Nynaeve obrzuciła ją współczującym spojrzeniem. — Żałuję, że mnie tam nie ma — ciągnęła dalej Elayne, nieco silniejszym głosem. — Żeby go prowadzić, chciałam powiedzieć. — Przeniosła wzrok z Egwene na Nynaeve i na jej policzkach wykwitły rumieńce. — No cóż, również z tego powodu. — Nynaeve i Egwene zaczęły się śmiać tak serdecznie, że omal nie pospadały z krzeseł, i Elayne niemalże natychmiast im zawtórowała.

— Muszę ci powiedzieć jedną dobrą rzecz, Elayne — powiedziała Egwene, ciągle jeszcze starając się uspokoić. Po czym nagle dotarło do niej, co dokładnie zamierzała powiedzieć. Światłości, jak ona mogła wejść na tak śliski grunt, i to wtedy, kiedy się zaśmiewały! — Przykro mi z powodu twojej matki, Elayne. Nawet nie wiesz, jak bardzo pragnęłam ci złożyć kondolencje. Elayne wyglądała na skonsternowaną, i nic dziwnego. — W każdym razie zmierzam do tego, że Rand chce ci dać Lwi Tron, a także Tron Słońca. — Ku jej zdziwieniu Elayne wyprostowała się dumnie.

— No proszę, proszę — wycedziła chłodno. — Zamierza mi je dać. — Lekko zadarła podbródek. — Mam niejaki podstawy do roszczeń względem Tronu Słońca i jeżeli postanowię z nimi wystąpić, to uczynię to według własnych zasad. Co zaś się tyczy Tronu Lwa, to Rand al'Thor nie ma prawa... żadnego prawa!.. dawać mi czegoś, co już należy do mnie.

— Jestem pewna, że on nie miał takich intencji — zaprotestowała Egwene. Czyżby? — On cię kocha, Elayne. Wiem, że tak jest.

— Gdyby to było takie proste — mruknęła Elayne, cokolwiek to miało oznaczać

Nynaeve pociągnęła nosem.

— Mężczyźni zawsze twierdzą, że ich intencje były inne. Człowiek ma wrażenie, że mówią innym językiem.

— Kiedy go znowu dostanę w swoje ręce — oświadczyła stanowczym tonem Elayne — to nauczę go właściwego języka. On chce mi dać tron!

Egwene ledwie się powstrzymała, żeby znowu się nie roześmiać. Następnym razem, kiedy Rand wpadnie w jej ręce, Elayne będzie zbyt zajęta polowaniem na jakieś odosobnione miejsce, żeby go czegokolwiek uczyć. Cała ta sytuacja mocno przypominała dawne, dobre czasy.

— Teraz jesteś Aes Sedai, możesz jechać do niego, kiedy tylko zechcesz. Nikt cię nie może zatrzymać. — Nynaeve i Elayne wymieniły szybkie spojrzenia.

— Komnata nie pozwala nikomu ot tak sobie wyjeżdżać — odparła Nynaeve. — A gdyby nawet Elayne mogła wyjechać, to znalazłyśmy coś, co moim zdaniem jest ważniejsze.

Elayne przytaknęła żarliwie.

— Mnie się też tak wydaje. Przyznaję, że kiedy ogłoszono, że wybrano ciebie na Amyrlin, to najpierw przyszło mi na myśl, że teraz ja i Nynaeve będziemy mogły tego poszukać. No cóż, taka właściwie była moja druga myśl; najpierw tak się ucieszyłam, że aż mnie trochę zatkało.

Skonsternowana Egwene zamrugęła oczami.

— Znalazłyście coś. A teraz musicie to coś odszukać.

Pochyliły się do przodu i odpowiedziały natychmiast, niemalże jedna przez drugą.

— Znalazłyśmy to — wyjaśniła Elayne — ale tylko w *Tel'aran'rhiod*.

— Wykorzystałyśmy potrzebę — dodała Nynaeve. — Z pewnością potrzebowaliśmy czegoś.

— To czara — kontynuowała Elayne — *ter'angreal*, który moim zdaniem jest tak silny, że mógłby zmienić pogodę.

— Tyle, że ta czara jest gdzieś w Ebou Dar, w okropnym, poplątanym labiryncie ulic, które nie są ani oznakowane, ani nie ma na nich nic, co mogłoby posłużyć jako wskazówka. Komnata posłała list do Merilille, ale ona jej nigdy nie znajdzie.

— Tym bardziej, że ma za zadanie przekonać królową Tylin, iż prawdziwa Biała Wieża jest tutaj.

— Powiedziałyśmy im, że w tym przypadku wskazany jest udział mężczyzny przy przenoszeniu — westchnęła Nynaeve. — Rzecz jasna, to było jeszcze przed Logainem, ale myślałam, że one i tak by mu nie zaufały.



— Z tym mężczyzną to wcale nie jest prawda — dodała Elayne. — Chciałyśmy im tylko wmówić, że potrzebują Randa. Nie wiem natomiast, ile potrzebnych będzie kobiet; może pełny krąg złożony z trzynastu.

— Elayne twierdzi, że to bardzo potężny *ter'angreal*, Egwene. Dzięki niemu pogoda powróci do normy. A mnie by to ucieszyło, już choćby z tego powodu, że mogłabym nareszcie korzystać z mojego zmysłu jej wyczuwania.

— Czara może to sprawić, Egwene. — Elayne wymieniła z Nynaeve uszczęśliwione spojrzenia. — Wystarczy, że nas pošlesz do Ebou Dar.

Potok słów ustał i Egwene opadła na oparcie krzesła.

— Zrobię, co się da. Może nie będzie żadnych sprzeciwów, teraz, kiedy jesteście Aes Sedai. — Miała jednak uczucie, że będą. Wyniesienie ich zdawało się śmiałym posunięciem, ale zaczynało już do niej docierać, że to wszystko wcale nie jest takie proste.

— Zrobisz, co się da? — spytała z niedowierzaniem Elayne. — Przecież jesteś Zasiadającą na Tronie Amyrlin, Egwene. Wydajesz rozkaz i Aes Sedai skaczą. — Błysnęła zębami w niespodziewanym uśmiechu. — Udowodnię ci to. Powiedz tylko „skacz!”

Egwene skrzywiła się i poprawiła na poduszkach.

— Jestem Amyrlin, ale... Elayne, Sheriam nie będzie się musiała specjalnie mocno wysilać, żeby przypomnieć sobie pewną nowicjuszkę o imieniu Egwene, która gapiała się na wszystko wytrzeszczonymi oczyma i którą trzeba było wysłać do gracowania ścieżek Nowego Ogrodu za to, że jadła jabłka przed snem. Ona zamierza prowadzić mnie za rękę, a może nawet schwytać za kark. Romanda i Lelaine chciały zostać Amyrlin i one też pamiętają tę nowicjuszkę. Zamierzają mi dyktować, jak mam postępować, dokładnie tak samo jak Sheriam.

Nynaeve, wyraźnie tym zmartwiona, skrzywiła się, ale Elayne stała się wcieleniem czystego oburzenia.

— Nie możesz dopuścić, żeby im uszły na sucho próby... okpienia ciebie. Ty jesteś Amyrlin. To Amyrlin mówi Komnacie, co robić, a nie na odwrót. Powinnaś się sprzeciwić i pokazać im, że to ty jesteś Zasiadającą na Tronie Amyrlin.

W śmiechu Egwene słyszało się nutę goryczy. Czy tylko tego ostatniego wieczora tak się buntowała przeciwko próbom okpienia jej?

— To musi trochę potrwać, Elayne. Widzicie, nareszcie zrozumiałam, dlaczego one mnie wybrały na Amyrlin. Częściowo z powodu Randa, jak mi się zdaje. Uważają chyba, że kiedy on mnie zobaczy ubraną w stułę, to stanie się bardziej uległy. Drugi powód jest taki, że one pamiętają tamtą nowicjuszkę. Kobietę... nie, małą dziewczynkę! ... która jest tak przyzwyczajona do robienia tego, co jej się każe, że bez problemu da się prowadzić za rękę. — Przejechała palcem po stule opasującej jej szyję. — No cóż, niezależnie od tego, co nimi powodowało, wybrały mnie, a ponieważ to zrobiły, zamierzam być prawdziwą Amyrlin, tylko muszę być ostrożna, przynajmniej z początku. Może Siuan potrafiła każdym swoim

grymasem zmuszać Komnatę do skakania — zastanawiała się, czy tak kiedykolwiek rzeczywiście było — ale gdybym ja tego spróbowała, to całkiem możliwe, że zostałabym pierwszą Amyrlin, którą zdetronizowano już następnego dnia po wyniesieniu.

Elayne aż osłupiała, ale Nynaeve powoli skinęła głową. Być może dzięki temu, że była Wiedzącą i miała kontakty z Kołem Kobiet, stać ją było na bardziej trzeźwe spojrzenie na współpracę Zasiadającej na Tronie Amyrlin z Komnatą Wieży niż Elayne, przygotowywaną niegdyś do roli królowej.

— Elayne, kiedy wieść się rozniesie i władcy dowiedzą się o mnie, będę mogła zacząć przekonywać Komnatę, że wybrały Amyrlin, a nie kukielkę, ale do tego czasu one naprawdę mogą odebrać mi tę stulę równie szybko, jak mi ją dały. Chcę powiedzieć, że dopóki nie stanę się prawdziwą Amyrlin, dopóty będzie mnie łatwo odsunąć na ubocze. Parę osób zapewne coś mruknie w mojej obronie, ale nie wątpię, że one je prędko uspokoją. Jeżeli ktokolwiek poza Salidarem dowie się, że niejaka Egwene al'Vere została wyniesiona na Tron Amyrlin, to będzie to tylko jedna z tych osobliwych pogłosek, które wyrastają wokół Aes Sedai.

— To co zamierzasz zrobić? — spytała cicho Elayne. Chyba nie zamierzasz się na to potulnie godzić? — Słyszacząc to, Egwene uśmiechnęła się serdecznie. Nie było to pytanie, tylko stanowcze stwierdzenie faktu.

— Nie, nie zamierzam. — Wysłuchiwała szeregu wykładów na temat Gry Domów, które Moiraine wygłosiła Randowi. Wtedy uważała, że Gra Domów to absurd, i na dodatek oparty na jakimś wielkim oszustwie. Teraz jednak miała nadzieję, że przypomni sobie wszystko, co usłyszała. Aielowie zwykli mawiać: „Używaj takiej broni, jaką masz”. — Może wykorzystam to, że one mnie usiłują wziąć na trzy różne smycze. Mogę udawać, że jestem ciągnięta przez jedną albo drugą, w zależności od tego, co będzie dla mnie korzystne. Co jakiś czas będę zwyczajnie robić to, co mi się podoba, tak jak na przykład wyniosłam was dwie, ale na razie niezbyt często. — Zgarbiwszy ramiona, spojrzała im zimno w oczy. — Chciałabym powiedzieć, że wyniosłam was, bo sobie na to zasłużyłyście, ale prawda jest taka, że zrobiłam to, bo jesteście moimi przyjaciółkami i mam nadzieję, że przydadzie mi się jako pełne siostry. Zwłaszcza, że nie mam pojęcia, komu jeszcze mogę ufać oprócz was dwóch. Poślę was do Ebou Dar, kiedy tylko będę w stanie, ale zawsze będziecie kimś, z kim mogę omawiać różne sprawy. Wiem, że wy powiecie mi prawdę. Ta wyprawa do Ebou Dar wcale nie musi potrwać tak długo, jak wam się zapewne wydaje. Słyszałam, że dokonałyście najrozmaitszych odkryć, ale skoro ja sama też potrafię wykoncypować różne rzeczy, to mogłam jakichś dokonać na własną rękę.

— Tak będzie cudownie — odparła Elayne, ale powiedziała to głosem niemalże roztargnionym.

## KIEDY ZACZYNA SIĘ BITWA

Zapadło dziwne milczenie, którego Egwene zupełnie nie pojmowała. Elayne spojrzała na Nynaeve, a potem obie zerknęły na cienką, srebrną bransoletę tej drugiej. Nynaeve przeniosła wzrok swych zogniatych oczu na Egwene, a potem szybko wbiła go w posadzkę.

— Muszę coś wyznać — powiedziała prawie szeptem. Ani na moment nie podniosła głosu, za to słowa jeły się wylewać z jej ust z prędkością potoku. — Pojmałam Moghedien. — Nie podnosząc oczu, uniosła dłoń, demonstrując bransoletę opiętą na nadgarstku. — To jest *a'dam*. Trzymamy ją w niewoli i nikt o tym nie wie. Nikt, z wyjątkiem Siuan, Leane i Birgitte. A teraz również ciebie.

— Musiałyśmy to zrobić — wtrąciła Elayne, z napięciem podając się do przodu. — W przeciwnym razie one doprowadziłyby do jej egzekucji, Egwene. Wiem, że sobie na to zasłużyła, ale ma głowę pełną wiedzy, wie o rzeczach, o jakich nam nawet się nie śniło. To właśnie stąd brały się wszystkie nasze odkrycia. Oprócz Uzdrawienia Siuan, Leane i Logaina, dokonanego przez Nynaeve oraz mojego *ter'angrealu*. One by ją zabiły, nie dowiedziawszy się niczego!

Egwene zakręciło się w głowie od natłoku pytań. Pojmały do niewoli jedną z Przeklętych? W jaki sposób? Elayne sama zrobiła *a'dam*? Egwene zadygotała, ledwie czując się na siłach, by spojrzeć na ten przedmiot. Zupełnie nie przypominał *a'dam*, którą ona poznała aż za dobrze. A tak nawiasem mówiąc, jak im się udało trzymać w ukryciu jedną z Przeklętych wśród tylu Aes Sedai? Jedna z Przeklętych w niewoli. Bez procesu i egzekucji. Rand, który stał się taki podejrzliwy, już nigdy nie zaufa Elayne, kiedy się o tym dowie.

— Przyrowadźcie ją tutaj — wybąkała głucho. Nynaeve poderwała się z krzesła i pobiegła. Odgłosy świętowania, śmiechu, muzyki i śpiewów na moment wezbrały na sile, zanim zatrzasnęły się za nią drzwi. Egwene rozmasowała sobie skronie. Jedna z Przeklętych.

— Trudno zachować taki sekret.

Na policzkach Elayne wystąpiły wypieki. Dlaczego, na Światłość... ? Ano tak.

— Elayne, nie mam zamiaru wypytywać o... nikogo, o kim nie powinnam wiedzieć.

Złotowłosa kobieta autentycznie podskoczyła.

— Ja... być może... może będę mogła porozmawiać. Później. Jutro. Może. Egwene, musisz mi obiecać, że nic nie powiesz... nikomu!... dopóki ci nie pozwolę. Niezależnie od... niezależnie od tego, co zobaczysz.

— Skoro tak sobie życzysz. — Egwene nie pojmowała, co tę kobietę tak poruszyło. Nic a nic nie pojmowała. Elayne miała pewien sekret, który Egwene poznała, ale to stało się przypadkiem, i od tego czasu udawały, że jest to tajemnica należąca wyłącznie do samej Elayne. Spotykała się z Birgitte, bohaterką z legend, w *Tel'aran'rhiod*; może nadal to robiła. Zaraz; to właśnie powiedziała Nynaeve. Birgitte wiedziała o Moghedien. Czy ona miała na myśli tę kobietę, która czekała w *Tel'aran'rhiod* na wezwanie Rogu Valere? Czy Nynaeve знаła sekret, do którego Elayne nie chciała się przyznać przed Egwene nawet wtedy, kiedy ta ją przyłapała? Nie. To się nie zamieni w serię oskarżeń i zaprzeczeń.

— Elayne, ja jestem Amyrlin... prawdziwą Amyrlin... i już sporządziłam pewne plany. Te Mądre, które posiadały umiejętność przenoszenia, potrafią władać całkiem sporą ilością splotów jednocześnie i robią to inaczej niż Aes Sedai. — Elayne wiedziała już o Mądrych, ale Egwene uświadomiła sobie w tym momencie, że nie ma pojęcia, czy wiedzą o nich również Aes Sedai; te inne Aes Sedai. — Czasami wykonują coś w sposób znacznie bardziej skomplikowany, albo na odwrót, bardziej prymitywny, ale zdarza się też, że zwyczajnie stosują metody prostsze od tych, których uczono nas w Wieży, a mimo to dające takie same rezultaty.

— Czyżbyś chciała, żeby Aes Sedai prowadziły wspólne badania z kobietami Aielów? — Usta Elayne zadrgały z rozbawieniem. — Egwene, one się na to nigdy nie zgodzą, choćbyś żyła tysiąc lat. Ale podejrzewam, że jeśli się dowiedzą, to będą chciały przeprowadzić sprawdziany wśród dziewcząt Aielów w poszukiwaniu nowicjuszek.

Egwene wahała się. Aes Sedai prowadzące wspólne badania z Mądrymi. W charakterze uczennic? Do tego nigdy nie dojdzie, ale odrobina *ji'e'toh*, szczególnie w przypadku Romandy i Lelaine, na pewno odniosłaby skutek. Albo w przypadku Sheriam, Myrelle i... Znalazła sobie wygodniejszą pozycję na poduszkach i przestała oddawać się mrzonkom. — Moim zdaniem Mądre nie zgodzą się, by dziewczęta Aielów zostawały nowicjuskami. Kiedyś, dawno temu, tak być mogło, ale na pewno nie teraz. Teraz Egwene mogła od nich wymagać jedynie grzeczności w kontaktach z Aes Sedai. — Myślałam o jakimś zrzeszeniu. Elayne, Aes Sedai zebranych tutaj jest mniej niż tysiąc. Jeżeli policzysz te, które zostały w Pustkowiu, to moim zdaniem okaże się, że jest więcej Mądrych, które potrafią przenosić, niż Aes Sedai. Może dużo więcej. W każdym razie żadna dziewczynka, która rodzi się z iskrą, nie uchodzi ich uwadze. — Ile kobiet umarło po tej stronie Muru Smoka, bo znienacka zaczynały przenosić, być może w ogóle nie zdając sobie sprawy z tego, co robią, i nie było przy nich nikogo, kto mógł je

uczyć? — Chcę tutaj sprowadzić więcej takich kobiet, Elayne. A co z tymi zdolnymi do nauki, których Aes Sedai nie znalazły w odpowiednim momencie i teraz są zbyt stare, by zostać nowicjuszkami? Ja osobiście twierdzę, że jeśli taka kobieta chce się uczyć, to niech próbuje, nawet jeśli ma czterdzieści albo i pięćdziesiąt lat, nawet jeśli jej wnuki mają już wnuki.

Elayne objęła się ramionami i wybuchnęła śmiechem.

— Och, Egwene, Przyjęte będą wręcz uwielbiały lekcje z takimi nowicjuszkami.

— Będą się musiały nauczyć, jak je prowadzić — odparła surowym tonem Egwene. Elayne nie rozumiała, na czym polega problem. Aes Sedai zawsze powtarzały: może jesteś za stara, żeby zostać nowicjuską, ale skoro chcesz się uczyć... Już częściowo zmieniły nastawienie; w tłumie nowicjuszek zdarzało jej się widywać twarze starsze od twarzy Nynaeve. — Wieża zawsze kierowała się surowymi zasadami przy wyborze ludzi, Elayne. Nie okażesz się dostatecznie silna, wygaszą w tobie iskrę. Odmówisz poddania się sprawdzianowi, odeślą cię. Oblejesz sprawdzian, też cię wyeliminują. Powinno się pozwalać im na pozostanie, jeśli tego chcą.

— Przecież celem tych sprawdzianów jest zbadanie, czy jesteś dostatecznie silna — zaprotestowała Elayne. — Silna sama z siebie, nie tylko w korzystaniu z Jedynej Mocy. Ty chyba nie mówisz o wynoszeniu takich Aes Sedai, które mogłyby się załamać pod byle presją? Względnie takich, które by ledwie potrafiły przetrwać?

Egwene pociągnęła nosem. Sorileę wyrzuciliby z Wieży, nawet jej nie podając sprawdzianom na Przyjętą.

— Może one nie mogą zostać Aes Sedai, ale to wcale nie znaczy, że są bezużyteczne. Ostatecznie uznano przecież, że mogą do pewnego stopnia korzystać z Jedynej Mocy, bo inaczej nie odsyłano by ich w świat. Mnie się marzy, żeby wszystkie kobiety, które potrafią przetrwać, były w jakiś sposób związane z Wieżą. Wszystkie co do jednej.

— Poszukiwaczki Wiatru? — Elayne skrzywiła się, kiedy Egwene przytaknęła.

— Ty ich nie zdradziłaś, Elayne. Nie wierzę, że one utrzymywały swój sekret tak długo, jak twierdzą.

Elayne westchnęła ciężko.

— No cóż, co się stało, już się nie odstanie. Nie wsadzisz z powrotem miodu do plastra. Ale skoro twoi Aielowie mają specjalną ochronę, to Ludowi Morza ona też się należy. Niech Poszukiwaczki Wiatru same ucą swoje dziewczęta. Nie będzie żadnego porwania kobiet z Ludu Morza, niezależnie od tego, czego chcą Aes Sedai.

— Zgoda. — Egwene splunęła w dłoń i wyciągnęła rękę, a Elayne po chwili zrobiła to samo i uśmiechnęła się szeroko, kiedy obie uściśniły dłonie, żeby dobić

targu.

Uśmiechy bladły powoli.

— Czy to ma coś wspólnego z Randem i tą jego amnestią, Egwene?

— Po części. Elayne, jak mężczyzna może być taki...? — Nie znajdowała słów na dokończenie tego pytania, podobnie zresztą jak odpowiedzi. Jej towarzyszka przytaknęła, odrobinę smutno, na znak że rozumie albo że się zgadza, a może na znak jednego i drugiego.

Otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich krępa kobieta odziana w ciemną wełnę; niosła srebrną tacę, na której stały trzy srebrne kubki i dzban z długą szyjką, wypełniony winem. Miała zniszczoną twarz, twarz wieśniaczki, ale te ciemne oczy lśniły, kiedy się przypatrywała Egwene i Elayne, przenosząc wzrok to na jedną, to na drugą. Egwene zdążyła tylko się zdziwić, że nosi do takiej burej sukni srebrny naszyjnik, ciasno opięty na szyi, bo zaraz za nią do izby weszła Nynaeve. Musiała chyba biec jak wicher, ponieważ znalazła czas, żeby zmienić szatę Przyjętej na suknię z granatowego jedwabiu, haftowaną w złote wzory przy dekolcie i rąbku. Nie była to co prawda suknia równie głęboko wydekoltowana jak stroje Berelain, ale Egwene i tak się nie spodziewała, że zobaczy Nynaeve w czymś równie śmiałym.

— To jest „Marigan” — oznajmiła Nynaeve i wyćwiczonym ruchem przerzuciła warkocz na plecy. Na jej prawej dłoni lśnił pierścień z Wielkim Wężem.

Egwene już miała zapytać, dlaczego wymówiła to imię z takim naciskiem, po czym nagle zauważyła, że naszyjnik „Marigan” stanowi komplet z bransoletą na przegubie dłoni Nynaeve. Mimo woli wytrzeszczyła oczy. Zupełnie nie tak wyobrażała sobie jedną z Przeklętych. Kiedy to powiedziała, Nynaeve zaniósła się śmiechem.

— No to popatrz, Egwene.

Nie tylko popatrzyła; mało co, a zeskoczyłaby z krzesła i objęła *saidara*. Ledwie bowiem Nynaeve to powiedziała, „Marigan” otoczyła się łuną. Tylko na chwilę, ale zanim łuna zdążyła zblednąć, kobieta w prostej, wełnianej sukni całkowicie się zmieniła. W rzeczy samej były to drobne zmiany, ale w sumie stworzyły inną osobę, raczej przystojną niż piękną i wcale przy tym nie wyniszczoną, wyniosłą, a nawet władczą. Jedyne oczy pozostały te same, lśniące, ale niezależnie od tego, jak były rozbiegane, Egwene teraz wierzyła, że ta kobieta to Moghedien.

— Jak? — tyle tylko zdołała powiedzieć. Wysłuchiwała uważnie tłumaczeń Nynaeve i Elayne na temat tkania przebrań i nicowania splotów, ale cały czas obserwowała Moghedien. Była naprawdę wyniosła i butna.

— Przywróćcie tamtą — poleciła Egwene, kiedy skończyły wyjaśniać. Łuna *saidara* znowu utrzymywała się zaledwie kilka chwil, a kiedy zbladła, nie widziała już żadnych splotów. Moghedien stała się ponownie pospolitą i wyniszczoną wieśniaczką, która miała za sobą ciężkie, pracowite życie i wyglądała staro jak na swoje lata. Czarne oczy spojrzały w stronę Egwene, przepełnione nienawiścią

i być może również obrzydzeniem względem samej siebie.

Egwene uświadomiła sobie, że nadal obejmuje *saidara*, i na chwilę zrobiło jej się głupio. Ani Nynaeve, ani Elayne nie objęły Źródła. Ale z kolei Nynaeve nosiła tę bransoletę. Egwene wstała, nie odrywając wzroku od Moghedien, i wyciągnęła dłoń. Nynaeve wyraźnie miała ochotę zdjąć ten przedmiot ze swojej ręki, co Egwene znakomicie rozumiała.

Podawszy jej bransoletę, Nynaeve powiedziała:

— Postaw tacę na stole, Marigan. I zachowuj się najlepiej jak potrafisz. Egwene żyła wśród Aielów.

Egwene obróciła srebrne kółko w dłoniach, starając się nie dygotać. Zręczna robotą; poszczególne elementy zmontowano tak zmyślnie, że wyglądały jak jedna całość. Kiedyś uwiązano ją do jednego z elementów *a'dam*. Do *a'dam* seanchańskiego wyrobu — naszyjnik z bransoletą łączyła srebrna smycz, ale to było to samo. To co jej się już nie zdarzało przed Komnatą albo przed tłumem, dopadło ją teraz. Zakotłowało jej się w żołądku, i to tak mocno, jakby jej ciało odreagowywało cały ten w miarę spokojny czas. Zdecydowanym ruchem zatrzasnęła srebrny pasek wokół swego przegubu. Miała jakieś pojęcie, czego się powinna spodziewać, a i tak omal nie podskoczyła w miejscu. Emocje drugiej kobiety rozłożyły się przed nią niczym wachlarz, emocje i stan fizyczny, wszystko zebrane w jednej odgradzonej części umysłu Egwene. Dominował nad nimi pulsujący strach, ale również obrzydzenie do siebie samej, które jej zdaniem wezbrało niemal równie silnie. Moghedien zdecydowanie nie lubiła swego obecnego wyglądu. Może nie lubiła go zwłaszcza po tym krótkim powrocie do własnego.

Egwene pomyślała o tym, na kogo patrzy; na jedną z Przeklętych, na kobietę, której imienia przez całe stulecia używano do straszenia dzieci, na kobietę, która swymi zbrodniami setki już razy zasłużyła na śmierć. Pomyślała o wiedzy ukrytej w jej głowie, po czym zmusiła się do uśmiechu. Nie był to miły uśmiech; nie miał taki być, ale nie sądziła też, że byłoby ją na niego stać, nawet gdyby się postarała.

— One mają rację. Żyłam wśród Aielów. A więc jeśli się spodziewasz, że będę tak łagodna jak Nynaeve i Elayne, to wybij to sobie z głowy. Popełnij tylko jakiś błąd, a już ja się postaram, żebyś błagała o śmierć. Tyle, że ja cię nie zabiję. Znajdę tylko jakiś sposób, byś stale patrzyła jej w twarz. A jeśli zrobisz coś więcej niż zwykły błąd... — Uśmiechała się coraz szerzej, aż w pewnym momencie zaczęła pokazywać zęby.

Strach osiągnął takie natężenie, że nie tylko przytłumił inne emocje, ale wręcz zdawał się kipieć. Stojąca przed stołem Moghedien zacisnęła dłonie na fałdach spódnicy tak silnie, że aż jej zbiełały w stawach; widać było, jak cała dygocze. Nynaeve i Elayne patrzyły na Egwene takim wzrokiem, jakby jej nigdy wcześniej nie widziały. Światłości, czy one się spodziewały, że zachowa się uprzejmie wobec jednej z Przeklętych? Sorilea przykułaby tę kobietę do palika wbitego w ziemię zalaną pełnym słońcem, żeby przytrzeć jej rogów. A może zwyczajnie poderznię-

łaby jej gardło.

Egwene podeszła bliżej do Moghedien. Tamta była wyższa, ale tchórzliwie przycisnęła się do stołu, wpadając na kielichy do wina ustawione na tacy i przewracając dzban. Egwene postarała się, żeby jej głos zabrzmiał zimno; specjalnie zresztą nie musiała się starać.

— W dniu, w którym wykryję jedno kłamstwo, które padnie z twych ust, ośobiście cię zabiję. A teraz do rzeczy. Zastanawiałam się nad podróżowaniem z jednego miejsca do drugiego przez wydrążenie otworu, że się tak wyrażę, który by je łączył. Przez otwór we Wzorze, tak więc nie byłoby żadnej odległości między jednym a drugim punktem podróży. Czy coś by z tego wyszło?

— Nic by z tego nie wyszło, ani tobie, ani żadnej innej kobiecie — odparła Moghedien, bez tchu i bardzo szybko. Strach, który gotował się w jej wnętrzu, uwidocznił się teraz na twarzy. — Takim sposobem Podróżują mężczyźni. — Egwene uzyskała, co chciała; Moghedien mówiła o jednym z utraconych Talentów. — Jeżeli spróbujesz to zrobić, to zostaniesz wessana do... Nie wiem, co to jest. Być może to przestrzeń między wątkami Wzoru. Nie sądzę, byś potem długo żyła. Wiem w każdym razie, że nigdy nie wrócisz.

— Podróżowanie — mruknęła z obrzydzeniem Nynaeve. — Nigdy nie myślałyśmy o Podróżowaniu!

— To prawda, nie myślałyśmy — Z głosu Elayne wynikało, że już nie jest taka zadowolona z siebie. — Zastanawiam się, o czym jeszcze nigdy nie myślałyśmy.

Egwene zignorowała je.

— To w takim razie jak? — spytała cicho. Zawsze lepiej mówić cicho niż krzyczeć.

Moghedien wzdrygnęła się, jakby jednak na nią nakrzyczano.

— Robisz we Wzorze dwa identyczne miejsca. Mogę ci to pokazać. To mnie będzie kosztowało trochę wysiłku, przez ten... naszyjnik, ale mogę...

— To coś takiego? — spytała Egwene, obejmując *saidara* i tkając sploty Ducha. Tym razem nie starała się dotknąć Świata Snów, ale spodziewała się uzyskać mniej więcej taki sam rezultat. Stworzyła jednak coś całkiem odmiennego.

Utkana przez nią cienka zasłona nie załśniła i utrzymywała się zaledwie chwilę, po czym skurczyła się do pionowej kreski, która nagle rozbłysła srebrzystym, niebieskim światłem. Światło rozszerzyło się prędko — a może obróciło; tak właśnie ona to widziała przekształcając w... w coś. Na samym środku posadzki pojawiły się... drzwi, zupełnie nie tamto mgliste wejście do *Tel'aran'rhiod* które zobaczyła w swoim namiocie, tylko drzwi otwierające się na zalaną słońcem krajinę, w porównaniu z którą tereny tutaj najbardziej dotknięte suszą zdawały się żyzne i bujne. Kamienne iglice i ostre urwiska górowały złowieszczo nad równiną żółtawej, pylistej gleby poprzecinanej pęknięciami i nakrapianej, rzadkimi skarłałymi zaroślami, które nawet z oddali wyglądały na kolczaste.



Egwene niemalże wytrzeszczyła oczy. To było Pustkowie Aiel, w połowie drogi między Siedzibą Zimnych Skał a doliną Rhuidean, miejsce, gdzie raczej trudno kogoś spotkać — i gdzie nie grozi ci nic złego; środki ostrożności, jakie przedsięwziął Rand poprzez wybranie oddzielnej komnaty w Pałacu Słońca, stanowiły dla niej sugestię, że i ona powinna się o to postarać — jednak miała tylko nadzieję, że w ogóle do niego dotrze i była pewna, że ono będzie widoczne przez jakąś lśniąca zasłonę.

— Światłości! — zawołała bez tchu Elayne. — Czy ty wiesz, co zrobiłaś, Egwene? Wiesz? Myślę, że też to potrafię. Wiem, że zapamiętam splot, jeśli go jeszcze raz powtórzysz.

— Co zapamiętasz? — Nynaeve praktycznie załkała. — Jak ona to zrobiła? Och, przeklinam ten przeklęty blok! Elayne, kopnij mnie w kostkę. Zrobisz to?

Twarz Moghedien całkiem znieruchomiała; niepewność przetaczała się przez bransoletę niemal równie ciężko jak strach. Odczytywanie emocji raczej nie przypominało odczytywania słów z kart książki, ale akurat te dwa uczucia były całkiem czytelne.

— Kto...? — Moghedien oblizała wargi. — Kto cię tego nauczył?

Egwene uśmiechnęła się tym uśmiechem, który podpatrzyła u innych Aes Sedai; w każdym razie liczyła, że jest dostatecznie tajemniczy.

— Nigdy nie bądź zbyt pewna, że ja nie znam odpowiedzi — odparła chłodnym tonem. — I pamiętaj: okłamiesz mnie tylko raz... — Nagle uprzytomniła sobie, jak to musiało zabrzmieć dla Nynaeve i Elayne. One pojmowały tę kobietę, trzymały ją w niewoli w najbardziej niesamowitych okolicznościach, wydzierają z niej najrozmaitsze informacje. Odwróciła się w ich stronę i zaśmiała się, cicho i ponuro. — Przepraszam. Wcale nie chciałam tak ordynarnie tego przejmować.

— Dlaczego przepraszasz? — Elayne uśmiechnęła się szeroko. — Ty masz to przejąć, Egwene.

Nynaeve szarpnęła warkocz, a potem przyjrzała mu się ponuro.

— Nic nie wychodzi! Dlaczego ja nie potrafię się zezłościć? Och, możesz ją sobie zatrzymać na zawsze, jeśli o mnie idzie. I tak nie możemy jej zabrać do Ebou Dar. Dlaczego ja nie potrafię się zezłościć? Och, krew i przeklęte popioły! — Zrobiła wielkie oczy, kiedy do niej dotarło, co właśnie powiedziała, i przycisnęła dłoń do ust.

Egwene zerknęła na Moghedien, która zajęła się ustawianiem poprzewracanych kielichów i nalewaniem do nich wina pachnącego wonnymi korzeniami, ale w trakcie gdy Nynaeve to mówiła, coś przepłynęło przez bransoletę. Oszołomienie? Może wolałaby mieć taką panią, którą знаła, zamiast takiej, która zagroziła jej śmiercią już w pierwszych słowach.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi i Egwene pospiesznie wypuściła *saidara*; wejście do Pustkowiecia zniknęło.

— Proszę.

Siuan zrobiła jeden krok do wnętrza gabinetu i zatrzymała się, ogarniając wzrokiem Moghedien, bransoletę na nadgarstku Egwene, Nynaeve i Elayne. Zamknawszy drzwi, dygnęła tak nieznacznie, jak czyniły to Romanda i Lelaine.

— Matko, przyszedłam cię poinstruować w kwestii etykiety, ale może wolisz, bym przyszła później? — Jej brwi uniosły się, chłodno wyrażając pytanie.

— Wyjdź — powiedziała Egwene do Moghedien. Skoro Nynaeve i Elayne pozwalały jej chodzić samej, to w takim razie *a'dam* musiała ją jakoś ograniczać, nawet jeśli nie do takiego stopnia jak *a'dam* połączona ze smyczą. Pogładziła palcem bransoletę — nienawidziła tego przedmiotu, ale zamierzała go nosić dniem i nocą, po czym dodała: — Ale bądź cały czas do mojej dyspozycji. Próbę ucieczki potraktuję tak samo jak kłamstwo. Moghedien wybiegła, a przez bransoletę przełał się strumień lęku. To mogło stanowić problem. Jak Nynaeve i Elayne potrafiły żyć z tymi falami strachu? Nie, o tym pomyśli później.

Spojrzawszy na Siuan, skrzyżowała ręce pod piersiami.

— Nic z tego, Siuan. Wiem o wszystkim. . . Córko.

Siuan przekrzywiła głowę.

— Czasami wiedza nie daje żadnej przewagi, niezależnie od wszystkiego. Czasami zaś oznacza jedynie współudział w czymś niebezpiecznym.

— Siuan! — zawołała Elayne, na poły ze zdumienia, na poły ostrzegawczo, na co tamta, ku zdziwieniu Egwene, zrobiła coś, czego ona nigdy by się po niej nie spodziewała. Zaczzerwieniła się.

— Nie możecie się spodziewać, że w ciągu jednej nocy stanę się kimś innym — burknęła kobieta.

Egwene podejrzewała, że Nynaeve i Elayne byłyby w stanie pomóc jej w tym, co musiała zrobić, ale jeżeli naprawdę miała zostać Amyrlin, to musiała uporać się z tym sama.

— Elayne, wiem, że chciałabyś się już pozbyć tej sukni Przyjętej. Może więc zrobisz to teraz? A potem sprawdź, czego możesz się dowiedzieć odnośnie utraczonych Talentów. Nynaeve, ty zrób to samo.

Wymieniły między sobą porozumiewawcze spojrzenia, a potem zerknęły na Siuan i powstawszy, dygnęły perfekcyjnie, mrużąc z szacunkiem:

— Jak każesz, Matko.

Siuan nie dała po sobie poznać, czy zrobiło to na niej jakieś wrażenie; stała tylko i obserwowała Egwene z bardzo krzywą miną, kiedy wychodziły.

Egwene ponownie objęła *saidara*, na krótko, po to tylko, by z powrotem przysunąć krzesło do stołu, po czym poprawiła stulę i usiadła. Przypatrywała się Siuan w milczeniu przez dłuższą chwilę.

— Potrzebuję cię — powiedziała w końcu. — Ty wiesz, na czym polega bycie Amyrlin, wiesz, co może, a czego nie może robić Amyrlin. Znasz Opiekunki, ich sposób myślenia, wiesz, czego chcą. Potrzebuję cię i zamierzam cię wykorzystać.

Sheriam, Romanda i Lelaine mogą nadal uważać, że pod tą stulą noszę biel nowicjuszeki... może one wszystkie tak myślą... ale ty pomożesz mi dowieść, że jest inaczej. Ja ciebie nie proszę o tę pomoc, Siuan. Ja... jej... żądam. — W tym momencie należało już tylko czekać.

Siuan przyjrzała się jej uważnie, po czym nieznacznie pokręciła głową i zaśmiała się cicho.

— Popełniły wielki błąd, nieprawdaż? No, rzecz jasna, to ja pierwsza go popełniłam. Tłusty, mały chrząkacz przeznaczony na stół okazuje się żywą srebrwą, i to długości twojej własnej nogi. — Rozłożywszy spódnice, dygnęła głęboko i skłoniła głowę. — Matko, proszę, pozwól mi sobie służyć i doradzać.

— Dopóki wiesz, że to tylko rada, Siuan. Jest już za wielu tych ludzi, którym się wydaje, że mogą uwiązywać sznurki do moich rąk i nóg. Z twojej strony bym tego nie zdzierzyła.

— Prędzej sama bym się powiązała sznurkami — odparła sucho Siuan. — Wiesz, że tak naprawdę nigdy cię nie lubiłam. Być może dlatego, że widziałam w tobie zbyt dużo z samej siebie.

— W takim razie — odparła Egwene równie suchym tonem — możesz mnie nazywać Egwene. Kiedy jesteśmy same. A teraz usiądź i powiedz mi, dlaczego Komnata ciągle jeszcze tu siedzi i jak mogę je zmusić, by wyruszyły w drogę.

Siuan zaczęła przystawiać krzesło, zanim sobie przypomniała, że teraz może je przenieść za pomocą saidara.

— Siedzą tutaj, bo kiedy już ruszą, to rozłam Białej Wieży dokona się ostatecznie. A co do ruszenia ich z miejsca, to moja rada jest następująca... — Rozmowa zajęła im sporo czasu. To, co mówiła Siuan, było czasami zgodne z tokiem rozumowania Egwene, a czasami brzmiało całkiem inaczej.

Romanda w swojej izbie w Małej Wieży naląła miętowej herbaty dla trzech innych Opiekunek, wśród których tylko jedna należała do Żółtych. Była to izba w tylnej części budynku, ale przenikały do niej odgłosy świętowania; Romanda uporczywie je ignorowała. Te trzy były gotowe poprzeć ją jako kandydatkę na Zasiadającą na Tronie Amyrlin; głosowanie na tę dziewczynę stanowiło przede wszystkim sposób na to, by nie dopuścić do wyniesienia Lelaine. Lelaine pękały ze złości, gdyby się o tym kiedykolwiek dowiedziały. Teraz, kiedy Sheriam usadziła na Tronie swoją młodocianą Amyrlin, te trzy były nadal skłonne jej słuchać. Zwłaszcza po tej aferze z wyniesieniem Przyjętych do szala na mocy dekretu. To musiała być sprawka Sheriam; ona i jej klika rozpieszczały wszystkie te dziewczyny. Nie dość, że wpadły na pomysł wywyższenia Theodrin i Faolain ponad pozostałe Przyjęte, to jeszcze zaproponowały, by jednocześnie uczynić to samo z Elayne i Nynaeve. Zastanawiała się, co zatrzymuje Delanę, ale mimo to zaczęła mówić, po zabezpieczeniu izby przed podsłuchiwaniem. Delana będzie musiała

nadgonić, kiedy już przyjdzie. Najważniejsze, że Sheriam miała się dowiedzieć, iż stanowisko Opiekunki Kronik, wbrew temu, co sobie wyobrażała, wcale jej nie da aż takiej dużej władzy.

W domu, znajdującym się w połowie drogi biegnącej przez Salidar, Lelaine częstowała schłodzonym winem cztery Opiekunki, wśród których tylko jedna należała do Błękitnych Ajah. Izbę oplatała koronka z saidara przeciwko podsłuchującym. Lelaine uśmiechała się, słysząc odgłosy świętowania. Te cztery goszczące u niej kobiety sugerowały, że ona sama powinna się ubiegać o Tron Amyrlin, ale porażka równałaby się wyniesieniu Romandy zamiast niej, a to zabolaloby Lelaine tak samo jak wygnanie. Ależ ta Romanda zgrzytałaby zębami, gdyby się dowiedziała, że wszystkie głosowały na to dziecko tylko dlatego, żeby nie zarzucić stuły na jej ramiona. Zebrały się teraz, by podyskutować o zmniejszeniu wpływów Sheriam, której udało się zagarnąć stułę Opiekunki. Ta farsa z wyniesieniem Przyjętej do godności Aes Sedai na mocy dekretu! Sheriam z bólu głowy pewnie odchodziła już od zmysłów. W miarę rozwoju rozmowy Lelaine zaczęła się zastanawiać, gdzie jest Delana. Już dawno temu powinna tutaj być.

Delana siedziała we własnej izbie, wpatrzona w Halimę, która przycupnęła na skraju łóżka. Imię Arangar miało być nigdy nie wymieniane; Delana bała się czasami, że Halima zorientowałaby się nawet wtedy, gdyby wymieniła je tylko w myślach. Pas zabezpieczający przeciwko podsłuchiowaniu był niewielki, otaczał jedynie je dwie.

— To szaleństwo — wykrztusiła w końcu. — czy ty tego nie rozumiesz? Jeżeli nadal będę próbowała wspierać wszystkie frakcje jednocześnie, to przyłapią mnie prędzej czy później!

— Każdy powinien podejmować jakieś ryzyko. — Ten apodyktyczny ton kłócił się z uśmiechem pełzającym na wydatnych wargach kobiety. — I masz nadal nalegać, żeby poskromiły Logaina. Albo żeby go zabiły. — Nieznaczny grymas w jakiś sposób sprawiał, że wydawała się jeszcze piękniejsza — Jeżeli one go kiedykolwiek wyprowadzą z tamtego domu, sama tego dopatrzę.

Delana nie umiała sobie wyobrazić, jakim sposobem ona chciała tego dokonać, ale nie wątpiła, że tej kobiecie mogło się to powieść.

— Nie rozumiem natomiast, dlaczego tak się boisz mężczyzny, którego sześć siostr otacza tarczą od wschodu do zachodu słońca.

Zielone oczy Halimy płonęły, kiedy poderwała się na równe nogi.

— Ja się nie boję, a ty nawet nie waz się tego sugerować! Chcę, żeby Logain został odcięty od Źródła albo zabity, i to jest wszystko, co musisz wiedzieć. Rozumiemy się?

Delana zastanowiła się, nie po raz pierwszy, czy nie zabić tej kobiety, ale jak zawsze owładnęła ją mdląca pewność, że to ona będzie tą, która umrze pierwsza. Halima jakimś niewiadomym sposobem potrafiła się zorientować, że ona obejmuje *saidara*, mimo iż sama nie potrafiła przenosić. A najgorsza w tym wszystkim była możliwość, że Halima jej nie zabije, bo będzie jej potrzebowała; Delana nie potrafiła sobie wyobrazić, co mogłaby zrobić zamiast tego, ale już sama niejasność tej pogroźki wywołała w niej dreszcz. Powinna być w stanie zabić tę kobietę właśnie tutaj, właśnie teraz.

— Tak, Halimo — powiedziała potulnym głosem i znenawidziła za to samą siebie.

— Jak to miło z twojej strony — mruknęła Siuan, podsuwając filiżankę w stronę Lelaine, by ta dołączyła jej sporego łyka brandy do herbaty. Słońce opadało w stronę linii horyzontu, nadając światłu czerwawą barwę, ale na ulicach nadal panował hałas. — Nie masz pojęcia, jakie męczące jest udzielanie tej dziewczynie nauk odnośnie etykiety. Jej się wydaje, że dopóki będzie się zachowywać jak jakaś Wiedząca z jej rodzinnych okolic, to wszystko będzie dobrze. Komnata to zdaniem Egwene coś w rodzaju Koła Kobiet.

Lelaine westchnęła współczująco zza swojej filiżanki.

— Powiadasz, że skarżyła się na Romandę?

Siuan wzruszyła ramionami.

— Ponoć Romanda uparła się, że mamy zostać tutaj, zamiast pomaszerować do Tar Valon; tyle przynajmniej wywnioskowałam. Światłości, ta dziewczyna ma temperament jak rybołów w okresie godowym. Niemalże miałam ochotę chwycić ją za ramiona i potrząsnąć, no ale ona teraz nosi stułę, więc oczywiście... Cóż, skończę te wykłady i odcinam się od niej. Czy pamiętasz...?

Uśmiechając się w duchu, Siuan obserwowała, jak Lelaine połyka to wszystko razem z herbatą. Tak naprawdę ważne było tylko pierwsze zdanie. To o temperamencie to był jej własny pomysł, który mógł sprawić, że Opiekunki zaczną podchodzić trochę ostrożniej do Egwene. Podejrzywała zresztą, że to prawda. Ona sama nie miała już nigdy zostać Amyrlin i była dość mocno przekonana, że próby manipulowania Egwene są równie jałowe, jak jałowe bywały próby manipulowania nią samą w przeszłości i że będą równie bolesne w skutkach; niemniej jednak nauczanie Amyrlin, na czym polega bycie Amyrlin... Od dawna nie czekała na nic z większą niecierpliwością. Egwene al'Vere zostanie taką Amyrlin, przed którą będą się trzęsły trony.

— Ale co z moim blokiem? — spytała Nynaeve i Romanda spojrzała na nią krzywo. Znajdowały się w izbie Romandy w Małej Wieży; przyjmowała ją

właśnie teraz, bo tak dyktował harmonogram opracowany przez Żółte. Muzyka i śmiech dobiegające z zewnątrz zdawały się irytować Żółtą siostrę.

— Dotychczas wcale nie byłaś taka chętna. Ponoć powiedziałaś Dagdarze, że ty też jesteś Aes Sedai i że ona powinna znaleźć jakieś jezioro, w którym mogłaby schłodzić głowę.

Nynaeve spąsowiła na twarzy. I jak tu wierzyć, że jej temperament da się okiełznać.

— Może właśnie sobie uświadomiłam, że wcale nie będzie mi łatwiej przenosić, mimo iż jestem Aes Sedai.

Romanda pociągnęła nosem.

— Aes Sedai. Czeka cię jeszcze długa droga, niezależnie... W takim razie dobrze. Coś, czego jeszcze nie próbowałyśmy. Poskacz sobie na jednej nodze. I mów przy tym. — Usiadła w fotelu obok łóżka, nadal się krzywiąc. — Proponuję, żebyś trochę poplotkowała. Gadaj o błahostkach. Na przykład, na jaki temat Lelaine chciała porozmawiać z Amyrlin?

Nynaeve przez chwilę wpatrywała się w nią z oburzeniem. Skakać na jednej nodze? Ależ to niedorzeczność! Z kolei jednak nie przyszła tu tak naprawdę z powodu swojego bloku. Podkasła spódnice i zaczęła skakać.

— Egwene... Amyrlin... nie powiedziała... wiele. Mówiła... o konieczności... pozostania w Salidarze... — Niech to się lepiej uda, bo inaczej Egwene usłyszy kilka stosownych słów, Amyrlin czy nie Amyrlin.

— Myślę, Sheriam, że ten będzie się lepiej nadawał — powiedziała Elayne, podając skręcony pierścień z niebieskimi i czerwonymi cętkami, wykonany z czegoś, co jeszcze tego ranka było kamieniem. Po prawdzie nie różnił się niczym od innych, które dotychczas zrobiła. Stały na uboczu, z dala od tłumy, w wylocie wąskiej uliczki rozświetlonej purpurowym słońcem. Za nimi popiskiwały skrzypce i łkały flety.

— Dziękuję ci, Elayne. — Sheriam schowała *ter'angreal* do mieszka przy pasie, nawet na niego nie patrząc. Elayne złapała ją podczas przerwy w tańcach; przez chłodny, typowy dla Aes Sedai spokój na twarzy Opiekunki przebiegał wprawdzie lekki rumieniec, ale pod wpływem spojrzenia tych czystych, zielonych oczu pod Elayne zatrzęsły się nogi, jakby wciąż jeszcze była nowicjuską. — Dlaczego mam uczucie, że to nie jedyny powód, dla którego przyszłaś się ze mną zobaczyć?

Elayne skrzywiła się, obracając pierścień z Wielkim Wężem na prawej dłoni. Prawa dłoń; koniecznie musiała teraz pamiętać, że ona też jest Aes Sedai.

— Chodzi o Egwene. O Amyrlin, chyba powinnam powiedzieć. Ona się martwi, Sheriam, a ja miałam nadzieję, że ty jej pomożesz. Jesteś Opiekunką, a ja nie wiedziałam, do kogo jeszcze mogłabym się udać. Zwłaszcza, że nie wszystko jest

dla mnie jasne. Znasz przecież Egwene; ona by nie narzekała nawet wtedy, gdyby jej ucięto stopę. Wydaje mi się, że chodzi o Romandę, mimo iż, w rzeczy samej, wspomniała o Lelaine. Jedna albo obie były u niej, chyba po to, by porozmawiać o pozostaniu w Salidarze, przekonać ją, by jeszcze stąd nie wyruszać, bo to zbyt niebezpieczne.

— To dobra rada — wolno powiedziała Sheriam. — Nie wiem wprawdzie, o jakich to niebezpieczeństwach mówią, ale sama bym jej to doradziła.

Elayne rozłożyła ręce w geście bezradności

— Ja wiem. Powiedziała mi, że jej o tym wspominałaś, ale... Nie wyraziła tego wprost, ale myślę, że ona trochę się boi tych dwóch. Wiem, że jest teraz Amyrlin, ale moim zdaniem przy nich czuje się jak nowicjuszka i chyba się obawia, że jeśli zrobi to, czego chcą siostry, nawet jeśli to coś słusznego, one potem będą się spodziewały, że następnym razem postąpi tak samo. Myślę... Sheriam, ona się chyba boi, że nie będzie potrafiła powiedzieć „nie” następnym razem, jeżeli teraz powie „tak”. I... i ja się też tego obawiam. Sheriam, ona jest Zasiadającą na Tronie Amyrlin; nie powinna zostać zdominowana przez Romandę albo Lelaine ani w ogóle przez nikogo. Tylko ty możesz jej pomóc. Nie wiem jak, ale tylko ty jesteś w stanie.

Sheriam długo milczała. Elayne przestraszyła się, że zaraz jej powie, iż gadała same bzdury.

— Zrobię, co będę mogła — powiedziała w końcu Sheriam.

Elayne stłumiła westchnienie ulgi, zanim sobie uświadomiła, że nie miałyby ono tutaj znaczenia.

Pochyliwszy się do przodu, Egwene wsparła ręce na brzegach miedzianej wanny i puszczała mimo uszu trajkotanie Chesy, która szorowała jej plecy. Marzyła o prawdziwej wannie, ale w rzeczy samej siedzenie w mydlanej wodzie, do której Chesa dodała kwietnego olejku, wywoływało dziwne odczucia po łaźniach parowych Aielów. Zrobiła już pierwszy krok jako Amyrlin, wydała rozkazy swej nielicznej armii i przystąpiła do ataku. Przypomniała sobie, jak Rhuarc powiedział kiedyś, że kiedy bitwa się już zacznie, to jej przywódca traci realną kontrolę nad przebiegiem zdarzeń. Teraz musiała już tylko czekać.

— Ale i tak uważam, że Mądre byłyby dumne — powiedziała cicho.

## NAGŁY CHŁÓD

Pałace słońce nadal wspinało się po niebie za plecami Mata, więc cieszył się tą odrobiną cienia na twarzy, jaką dawał mu kapelusz z szerokim rondem. Altarański las był równie nagi jak zimą i bardziej zbrązowiały niż wtedy; sosny, drzewa skórzane i inne wiecznie zielone rośliny wyglądały na uschnięte, a dęby, jesiony i morwy były obdarte z liści. Jeszcze nie minęło południe i wraz z nim najgorszy upał; dzień przypominał podróż przez wnętrze pieca. Przewiesił kaftan przez sakwy przy siodle, a mimu to koszula z cienkiego lnu kleiła mu się do ciała. Pod kopytami Oczka chrzęściły martwe paprocie i gruba warstwa liści przykrywająca ściółkę, Legion brnął przez las przy akompaniamencie ogłuszającego chrzęstu. Ptaków — szybkich błysków pośród drzew widziało się niewiele, i ani jednej wieiórki. Za to roiło się od much i bitemów, jakby to był sam środek lata, a nie mniej niż miesiąc do Święta Świąteł. Niby żadnej różnicy w stosunku do tego, na co się napatrzył nad Erinin, ale to spostrzeżenie wprawiło go w niepokój. Czyżby już cały świat stał w ogniu?

Aviendha szła tuż obok Oczka, dźwigając tobołek na plecach, najwyraźniej nie przejmując się ani umierającymi drzewami, ani kaśliwymi bitemami; mimo spódnic czyniła znacznie mniej hałasu niż konie. Przeszywała wzrokiem otaczające ją drzewa, jakby nie wierzyła, że zwiadowcy i flankierzy Legionu uchronią ją przed zasadzką. Ani razu nie zgodziła się dosiąść konia, czego on i tak się nie spodziewał, znając zdanie Aielów odnośnie jazdy konno, ale nie sprawiała też żadnych kłopotów, pod warunkiem, że człowiek nie uważał za prowokujący jej obyczaj ostrzenia noża za każdym razem, kiedy się zatrzymali. I jeśli, rzecz jasna, pominąć tamten incydent z Olverem. Jadący na szybkim, siwym wałachu Mat znalazł chłopca wśród zapasowych koni; przypatrywał jej się czujnym okiem. Drugiej nocy próbował ugodzić ją nożem, krzycząc przy tym, że Aielowie zabili mu ojca. Oczywiście ona tylko odebrała mu nóż, ale nawet po tym, jak Mat złapał go za rękę i spróbował mu wytłumaczyć, na czym polega różnica między Shaido a innymi Aielami — czyli coś, co sam nie do końca rozumiał — Olver i tak stale patrzył na nią wściekłym wzrokiem. Jeśli chodziło o Aviendhę, to chłopiec zdawał się wzbudzać jej niepokój, czego Mat w ogóle nie pojmował.

Drzewa były dość wysokie, dzięki czemu lekki wiatr mógł poruszać cien-



kim baldachimem z liści, ale i tak sztandar Czerwonej Ręki zwisał bezwładnie z drzewca i podobnie te dwa inne, które wyciągnął z sakiew po tym, jak Rand przerzucił ich przez bramę na jakąś tonącą w mroku łąkę: Sztandar Smoka, z czerwono-złotą bestią ukrytą wśród białych fałd, a także jeden z tych, które Legioniści nazywali sztandarami al'Thora, ze starożytnym symbolem Aes Sedai również na całe szczęście niewidocznym. Szpakowaty dowódca szwadronu, jegomość o skośnych oczach, naznaczony większą liczbą blizn niż Daerid, niósł Sztandar Czerwonej Ręki; w odróżnieniu od większości dowódców, koniecznie chciał nieść ten sztandar przez jakąś część każdego dnia. Talmanes i Daerid wyznaczali żołnierzy do dźwigania pozostałych dwóch, młodych mężczyzn o świeżych obliczach, którzy dowiedli już, że stać ich na odrobinę poczucia odpowiedzialności.

Przez trzy dni pokonywali terytorium Altary, trzy dni drogą wiodącą przez las, nie napotkawszy ani jednego Zaprzysięgłego Smokowi — ani w ogóle niktogo, skoro już o tym mowa — toteż Mat miał nadzieję, że ich samotność rozciągnie się jeszcze na czwarty dzień, zanim dotrą do Salidaru. Oprócz problemu Aes Sedai pozostawała jeszcze kwestia, jak nie dopuścić Aviendhy do gardła Elayne. Nie miał specjalnych wątpliwości odnośnie powodu, dla którego bezustannie ostrzyła nóż; krawędź iskrzyła się przecież jak klejnoty. Bardzo się bał, że ostatecznie będzie zmuszony zawieźć tę kobietę do Caemlyn pod strażą, przez całą drogę wysłuchując żądań cholernej Dziedziczki Tronu, żeby powiesił Elayne. Rand i te jego przeklęte kobiety! Zdaniem Mata wszystko, co spowalniało marsz Legionu i trzymało go z dala od tego bigosu w Salidarze, działało tylko na ich korzyść. Dlatego postępowali właściwie, gdy zatrzymywali się na popas wcześniej i wyruszyli w drogę późno. Swoje robiły także wozy z zapasami żywności, które przedzierały się przez las niezwykle opieszale. Ale niestety, wolniej już jechać nie mogli. A Vanin musiał niebawem coś znaleźć.

Jakby przywołanie na myśl jego imienia stanowiło wezwanie, gruby zwiadowca pojawił się wśród rosnących w oddali drzew, w otoczeniu czterech jeźdźców. Wyruszył w drogę przed świtem; wtedy towarzyszyło mu sześcioro.

Mat podniósł zaciśniętą pięść, dając sygnał do postoju, i wzdłuż kolumny przeszedł pomruk. Jego pierwszy rozkaz, tuż po wyjściu z bramy, brzmiał „żadnych werbli, trąb, fletów i cholernego śpiewania”, i o ile z początku zauważył kilka ponurych twarzy, to już po pierwszym dniu na tym zalesionym terenie, gdzie widziało się wyraźnie tylko na odległość nie większą niż sto kroków, a i to nie zawsze, nikt już nie wyrażał sprzeciwu.

Mat przełożył włócznię przez siodło, zaczekał, aż Vanin się z nim zrówna, po czym niedbałym ruchem potarł czoło.

— Znalazłeś je?

Łysiejący mężczyzna wychylił się z siodła, by splunąć przez szparę w zębach. Cały spływał potem, przez co wyglądał tak, jakby się topił.

— Znalazłem. Osiem, może dziesięć mil na zachód. W tych lasach są Straż-

nicy. Widziałem jednego, jak pojmał Mara do niewoli; pojawił się ot tak, znikąd, w tym swoim płaszczu i zgarnął chłopaka z siodła. Poturbował go przy tym porządnie, ale nie zabił. Myślę, że Lamgwin nie stawiał się z tego samego powodu.

— No to wiedzą, że tu jesteśmy. — Mat westchnął ciężko, wydmuchując powietrze przez nos. Nie podejrzewał, by któryś z tych dwóch był w stanie zataić cokolwiek przed Strażnikami, a tym bardziej przed Aes Sedai. Ale z kolei Aes Sedai musiały się kiedyś dowiedzieć. Chciał tylko, żeby to stało się później. Pacnął dłonią muchę, która usiadła mu na przegubie, ale owad odleciał, bzyząc głośno, pozostawiając mu krwawą plamkę na skórze. Ile ich jest?

Vanin znowu splunął.

— Więcej niż się spodziewałem. Dotarłem do wsi na piechotę, a tam było pełno Aes Sedai. Dwieście, może trzysta. A może nawet czterysta. Nie chciałem się za bardzo rzucać w oczy, więc nie policzyłem dokładnie. — Mat jeszcze nie zdążył się otrząsnąć, a tymczasem mężczyzna uraczył go kolejną niepokojącą informacją. — Na północy obozuje ich armia. Jest większa od twojej. Może ze dwa razy większa.

W trakcie tej tyrady zdążyli podjechać Talmanes, Nalesean i Daerid, cali spoceni i oganiający się od much i bitemów.

— Słyszeliście? — spytał Mat, na co przytaknęli ponuro. W bitwach zwykle dopisywało mu szczęście, ale mając przeciwnika z taką przewagą i z setkami Aes Sedai na dokładkę, zaczynał się obawiać, że tym razem los mu nie sprzyja. — Nie jesteśmy tu po to, żeby się bić — przypomniał im, ale nadal mieli wydłużone miny. Sam zresztą też nie poczuł się lepiej, kiedy to powiedział. Tak naprawdę decyzja była w rękach Aes Sedai; wszystko zależy od tego, czy będą dążyć do starcia.

— Upredźcie wszystkich, że Legion może zostać zaatakowany — zarządził. — Wykarczujcie tyle drzew, ile się da, i zbudujcie barykady z pni. — Talmanes skrzywił się niemal równie kwaśno jak Nalesean; podczas walki woleli siedzieć w siodle i przemieszczać się. — Pomyślcie. Strażnicy mogą nas właśnie obserwować. — Zaskoczony spostrzegł, że Vanin kiwa głową i w znaczący sposób zerka w prawo. — Jeśli zauważą, iż się szykujemy do obrony, uznają, że nie zamierzamy ich atakować. Może dzięki temu zostawią nas w spokoju, a w przeciwnym razie, będziemy przynajmniej gotowi. — To do nich przemówiło, do Talmanesa szybciej niż do Naleseana. Daerid przytakiwał mu od samego początku.

Nalesean skubnął swą wypomadowaną bródkę i mruknął:

— W takim razie co chcesz robić? Siedzieć i czekać?

— To właśnie zamierzam — odparł Mat.

„A żeby ten Rand szezeł. "Może pięćdziesiąt Aes Sedai. Trochę je postraszyśz"”.

Wydawało się, że czekanie w tym miejscu, aż ktoś wyjdzie z wioski, by zapytać, kim są i czego chcą, to bardzo dobry pomysł. Nie będzie teraz żadnego

naginania losu przez *ta'veren*. Bitwa, obojętnie jaka bitwa, będzie musiała sama przyjść do niego; nie zamierzał w żadną wdeptywać dobrowolnie.

— To tam one są? — spytała Aviendha, pokazując palcem. Nie czekając na odpowiedź, zarzuciła sobie tobolek na plecy i pomaszerowała na zachód.

Mat patrzył wytrzeszczonymi oczyma, jak się oddala.

„Przekłęci Aielowie”.

Jakiś Strażnik spróbuje zapewne ją także pojmać i zapłaci za to życiem. A może wcale nie; Strażnik to Strażnik, więc jeśli ona będzie usiłować ugodzić takiego nożem, zrobi jej krzywdę. A poza tym, gdyby dotarła do Elayne i zaczęła ją szarpać za włosy z powodu Randa, albo co gorsza próbowała ją zranić... szła szybko, prawie biegle, tak bardzo chciała już dotrzeć do Salidaru.

„Krew i przekłete popioły!”

— Talmanes, do mojego powrotu ty dowodzisz, ale macie się stąd nie ruszać, chyba że ktoś napadnie na Legion. Ci czterej powiedzą wam, z czym być może przyjdzie wam się zmierzyć. Vanin, jedziesz ze mną. Olver, trzymaj się blisko Daerida, na wypadek, gdyby potrzebował posłańca. Możesz mu pokazać grę w Węże i Lisy — dodał z szerokim uśmiechem na użytek Daerida. — Olver wyznał mi, że bardzo by chciał się jej nauczyć. — Daeridowi opadła szczeka, ale Mat już przeszedł do następnego tematu. To by dopiero było, gdyby jakiś Strażnik zawlókł go do Salidaru z guzem na głowie. Co zrobić, żeby tego uniknąć? Jego wzrok przykuły sztandary. — Ty zostajesz tutaj — przykazał szpakowatemu chorążemu. — Wy dwaj jedźcie ze mną. I zwińcie te szmaty.

Jego dziwaczny, mały oddział prędko dogonił Aviendhę. O ile w ogóle istniało cokolwiek, co mogło przekonać Strażników, by ich przepuścili bez przeszkód, to powinien wystarczyć jeden rzut oka. Jedna kobieta i czterech mężczyzn nie mogli stanowić zagrożenia, zwłaszcza, że nie czynili żadnych starań, by przejść niezauważenie. Sprawdził żołnierzy. Nadal nie było wiatru, ale trzymali płótna okręcone wokół drzewc. Na ich twarzach malowało się napięcie. Tylko dureń chciałby wjechać między Aes Sedai i pozwolić, by sztandary mu się rozwiały na wietrze.

Aviendha zerknęła na niego z ukosa, po czym spróbowała wypchnąć mu stopę ze strzemiona.

— Podsadź mnie — rozkazała szorstkim tonem.

Dlaczego, na Światłość, teraz zachciało jej się dosiąść konia? No cóż, nie dopuści, żeby zaczęła się niezdarnie wdrapywać na siodło; mogła w ten sposób zrzucić go na ziemię. Nie raz już widział Aiela dosiadającego konia.

Pacnąwszy dłonią jeszcze jedną muchę, pochylił się i złapał ją za rękę.

— Trzymaj się — powiedział, i głośno sapnąwszy, usadził ją sobie za plecami. Prawie dorównywała mu wzrostem, a na dodatek była mocno zbudowana. — Obejmij mnie w pasie. — Spojrzała tylko na niego i tak długo okręcała się niezgrabnie, aż wreszcie siedziała na oklep, z nogami odsłoniętymi do połowy ud, co bynajmniej jej nie krępowało. Miała ładne nogi, ale postanowił, że już nigdy

nie zada się z żadną kobietą Aielów, nawet gdyby taka wcale nie czuła mięty do Randa.

Po jakimś czasie przemówiła do jego pleców.

— Ten Olver... To prawda, że Shaido zabili mu ojca?

Mat skinął głową, nie oglądając się na nią. Czy w ogóle zauważy jakichś Strażników, zanim będzie za późno? Prowadzący ich Vanin jak zawsze garbił się, upodabiając się do worka pełnego mąki, ale rozglądał się wokół czujnym wzrokiem.

— To prawda, że jego matka umarła z głodu? — dopytywała się Aviendha.

— Może z głodu, a może na coś zachorowała. — Strażnicy nosili płaszcze, dzięki którym mogli się zlać w jedno z dowolnym otoczeniem i tym samym stać się niewidzialnymi. Można było przejść obok takiego i w ogóle go nie zauważyć. — Olver nie mówił o tym zbyt jasno, a ja go nie naciskałem. Sam ją pogrzebał. A dlaczego pytasz? Wydaje ci się, że jesteś coś mu winna za to, że Aielowie pozbawili go rodziny?

— Winna? — Wyraźnie ją zaskoczył. — Ja mu nikogo nie zabiłam, a nawet gdyby, to co z tego? To przecież byli zabójcy drzew. Jakie miałabym z tego *toh*? — Nie przerywając ani na chwilę, mówiła dalej takim tonem, jakby kontynuowała ten temat. — Nie opiekujesz się nim właściwie, Macie Cauthon. Wiem, że mężczyźni nie mają pojęcia o wychowywaniu dzieci, ale on jest za mały, żeby spędzać cały czas wśród dorosłych mężczyzn.

W tym momencie Mat spojrział na nią i zamrugał oczami. Zdjęła z głowy przepaskę zrobioną z chusty i teraz pracownicy czesała swe ciemnorude włosy grzebieniem z polerowanego jadeitu. Czynność ta zdawała się pochłaniać całą jej uwagę. Czesanie, a także utrzymanie się na grzbiecie konia. Włożyła ponadto srebrny naszyjnik oraz szeroką bransoletę wyrzeźbioną z kości słoniowej.

Kręcąc głową, na nowo podjął obserwowanie lasu. One są wszystkie do siebie podobne, nieważne, czy z Aielów, czy nie.

„Świat będzie się kończył, a kobieta zawsze znajdzie czas na trefienie włosów. Świat będzie się kończył, a kobieta i tak zdąży wypomnieć mężczyźnie, co zrobił złego”.

Wybuchłby śmiechem, gdyby nie to, że trapiła go jednocześnie myśl, czy przypadkiem nie podpatrują ich Strażnicy.

Słońce dosięgło już zenitu i w momencie, gdy las skończył się nagle, zaczęło zachodzić. Wioskę od linii drzew dzielił pas wykarczowanego gruntu, o szerokości niecałych stu kroków; było widać, że oczyszczono go niedawno. Okazało się, że Salidar to spora osada złożona z szarych, kamiennych budynków z dachami krytymi strzechą; na ulicach było rojno i gwarno. Mat narzucił na grzbiet kaftan; ten z przedniej zielonej wełny, haftowany złotem przy mankietach i wysokim kołnierzu, odpowiedni, jego zdaniem, na przywitanie z Aes Sedai. Nie zapiął go jednak; nawet dla Aes Sedai nie zamierzał umierać od tego upału.

Nikt ich nie próbował zatrzymać, kiedy wjechali do wioski, ale ludzie przystawali i oczy wszystkich zwracały się ku niemu i jego dziwnemu towarzystwu. Wiedzieli, rzecz jasna. Wszyscy wiedzieli. Zrezygnował z liczenia Aes Sedai, kiedy doszedł do pięćdziesięciu; zbyt prędko zarejestrował taką liczbę, by móc zachować spokój umysłu. W tłumie nie wypatrzył żadnych żołnierzy, chyba że ktoś uważał za żołnierzy Strażników w mieniących się płaszczach; mijał ich i widział, że niektórzy gładzą rękojeści mieczy. Nieobecność żołnierzy w wiosce oznaczała po prostu, że wszyscy akurat przebywali w tych obozowiskach, o których wspominał Vanin. A to z kolei oznaczało, że się do czegoś szykują. Mat miał nadzieję, że Talmanes trzyma się jego zaleceń. Niby miał trochę rozsądku, ale podobnie jak Naleseana czasem go ponosiło i wtedy zaczynał szarżować. Pozostawiłby dowodzenie Daeridowi — jemu to się nie zdarzało, bo brał udział w zbyt wielu bitwach — ale tego arystokracy by nie zdzierżyli.

„Może oni wiedzą coś, czego ja nie wiem”.

Jego wzrok przykuła jakaś kobieta, piękna kobieta w dziwacznym ubraniu, to znaczy obszernych, żółtych spodniach i krótkim, białym kaftaniku; złote włosy miała splecione w warkocz, który sięgał aż do pasa. I jakby tego było mało, niosła łuk. Niewiele kobiet zbroiło się w łuki. Zauważyła, że na nią patrzy, i umknęła do wąskiej alejki. Coś w niej poruszyło jego pamięć, ale nie umiał orzec, co to takiego. Na tym między innymi polegał kłopot z dawnymi wspomnieniami; stale widywał ludzi, którzy przypominali mu kogoś, a potem, kiedy już rozwiązał zagadkę, okazywało się, że ten ktoś nie żył od tysiąca lat. Może rzeczywiście spotkał kiedyś osobę do niej podobną. Te dziury w tym, co zapamiętał z własnego życia, miały rozmazane brzegi.

„Prawdopodobnie jeszcze jedna uczestniczka Polowania na Róg” — pomyślał kwaśno i przestał o niej myśleć.

Nie było sensu jeździć tak w kółko po ulicach, oczekując, aż ktoś ich zagadnie, bo najwyraźniej nikt nie miał takiego zamiaru. Mat ściągnął wodze i skinął głową w stronę szczupłej, ciemnowłosej kobiety, która zadarła ku niemu głowę, taksując go chłodnym wzrokiem. Ładna, ale zbyt koścista jak na jego gust, pomijając już twarz pozbawioną śladów upływu lat. Kto lubi, jak go dźgają czyjeś kości za każdym razem, gdy się człowiek przytuli?

— Nazywam się Mat Cauthon — zagaił neutralnym tonem. Jeżeli spodziewała się ukłonów i szurania nogami, to czekała ją niespodzianka, ale z kolei zrażanie jej do siebie byłoby aktem głupoty. — Szukam Elayne Trakand i Egwene al' Vere. A także Nynaeve al'Meara, jak przypuszczam. — Rand o niej nie wspominał, ale Mat wiedział, że wyjechała razem z Elayne.

Aes Sedai zamrugnęła ze zdziwieniem, jednak w mgnieniu oka odzyskała opamiętanie. Przyjrzała mu się uważnie, a także kolejno pozostałym, zatrzymując się na Aviendzie, po czym zaczęła się przyglądać chorążym, i to tak długo, że Mat zastanowił się, czy przypadkiem nie dostrzegła Smoka i czarno-białego dysku

ukrytych w warstwach zwiniętych tkanin.

— Jedźcie za mną — powiedziała na koniec. — Sprawdzę, czy Zasiadająca na Tronie Amyrlin może was przyjąć. — Podkasawszy spódnice, skierowała się w górę ulicy.

Mat ruszył jej śladem, nakłaniając Oczko do pokonania zakrętu, Vanin zaś pozostał z tyłu na swym gniadoszu.

— Proszenie Aes Sedai o cokolwiek to nigdy nie jest dobry pomysł — burknął. — Mogłem ci przecież powiedzieć, dokąd masz jechać. — Ruchem głowy wskazał stojącą przed nimi trzypiętrową, kamienną bryłę. — Nazywają ten dom Małą Wieżą.

Mat z niepokojem wzruszył ramionami. Mała Wieża? I miały tu kogoś, kogo nazywały Zasiadającą na Tronie Amyrlin? Wątpił, by okazała się nią Elayne. Rand znowu się pomylił. Te kobiety wcale nie były przestraszone. Takie nadęte wariatki nie mogły się niczego bać.

Przed kamienną bryłą koścista Aes Sedai rozkazała apodyktycznym tonem:

— Zaczekajcie tutaj. — I zniknęła w środku.

Aviendha ześlizgnęła się na ziemię i Mat prędko poszedł jej śladem, gotów ją złapać, w razie gdyby próbowała umknąć. Nawet jeśli miało by go to kosztować trochę krwi, to nie zamierzał dopuścić, by mu uciekła i poderżnęła gardło Elayne, zanim w ogóle będzie miał szansę porozmawiać z tą tak zwaną Amyrlin. Dziewczyna tymczasem stała tylko w miejscu i patrzyła prosto przed siebie, z rękoma założonymi w pasie i w tym szalu zapętlonym na łokciach. Wyglądała na zupełnie spokojną, ale uznał, że równie dobrze mogła być nieprzytomna ze strachu. Musiała być, jeśli miała choć odrobinę rozsądku. W międzyczasie otoczył ich tłum.

To Aes Sedai dały początek zbiegowisku; odcięty im dojsście do Małej Wieży i teraz wpatrywały się w Matę w milczeniu, a im dłużej tam stał, tym półkole utworzone przez kobiety coraz bardziej gęstniało. W rzeczy samej zdawały się przyglądać nie tylko jemu, ale również Aviendzie, ale on czuł na sobie te wszystkie chłodne, nieodgadnione spojrzenia. Ledwie się powstrzymał, by nie pogładzić palcem srebrnej lisiej głowy, ukrytej pod koszulą.

Na czoło tłumy przepchnęła się Aes Sedai o prostej twarzy, wiodąc za sobą szczupłą, młodą kobietę w bieli, obdarzoną wielkimi oczyma. Ledwie pamiętał Anaię, ale ta zdawała się prawie wcale nim nie interesować.

— Jesteś pewna, dziecko? — spytała nowicjuskę.

Młoda kobieta nieznacznie zacisnęła usta, ale nie dopuściła, by jej głos zdradził irytację.

— On nadal zdaje się jarzyć albo błyszczeć. Naprawdę to widzę. Nie wiem tylko, dlaczego tak jest.

Anaiya obdarzyła ją uśmiechem pełnym zachwyty.

— On jest *ta'veren*, Nicola. Właśnie odkryłaś swój pierwszy Talent. Potrafisz wyróżnić *ta'veren*. A teraz wracaj na lekcję. Prędko. Nie chcesz przecież mieć

zaległości. — Nicola dygnęła pospiesznie, ostatni raz zerknąwszy na Mata, po czym przecisnęła się przez krąg Aes Sedai.

Wtedy Anaiya przeniosła spojrzenie na niego, spojrzenie typowe dla Aes Sedai, które wytrącało mężczyzn z równowagi. Jego w każdym razie zdenerwowało dostatecznie. Rzecz jasna, niektóre Aes Sedai wiedziały o nim — nierzadko znacznie więcej niż sobie życzył, i po zastanowieniu przypomniał sobie, że należy do nich również Anaiya, ale kiedy takie rzeczy obwieszczano w obecności, Światłość wiedziała ilu, kobiet o tych chłodnych oczach charakterystycznych dla Aes Sedai. . . Pogładził rzeźbione drzewce włóczni. Było ich tyle, że mogły zwyczajnie położyć na nim ręce i porwać go dokądś.

„Przeklęte Aes Sedai! Przeklęty Rand!”

Jednak tylko chwilę był przedmiotem zainteresowania Anaiyi, która podeszła do Aviendhy i powiedziała:

— A jak tobie na imię, dziecko? — Mówiła uprzejmym tonem, ale spodziewała się odpowiedzi i to bezzwłocznej.

Aviendha spojrzała jej prosto w twarz, wykorzystując fakt, że jest od niej wyższa o głowę.

— Jestem Aviendha, ze szczepu Dziewięciu Dolin, Taardad Aiel.

Mat zastanawiał się, kto wygra tę walkę na spojrzenia, ale zanim zdążył założyć się sam ze sobą, przyłączyła się do nich jeszcze jedna Aes Sedai, kobieta, która dzięki wychudłej twarzy zdawała się stara, mimo gładkich policzków i lśniących, kasztanowatych włosów.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że potrafisz przenosić, dziecko?

— Tak, wiem o tym — odparła krótko Aviendha i zacisnęła usta, jakby nie zamierzała odezwać się już ani słowem. Skupiła się na poprawianiu szala, ale powiedziała dość. Aes Sedai otoczyły ją ciasnym wianuszkiem, odpychając Mata na bok.

— Ile masz lat, dziecko?

— Rozwinęłaś w sobie znaczną siłę, ale mogłabyś wiele się nauczyć jako nowicjuszka.

— Czy wiele dziewcząt Aielów młodszych od ciebie marnotrawi swoje talenty?

— Od jak dawna. . .

— Mogłabyś. . .

— Doprawdy powinnaś. . .

— Musisz. . .

Nynaeve pojawiła się w drzwiach tak nagle, jakby wyskoczyła z powietrza. Wsparłszy ręce na biodrach, spojrzała wytrzeszczonymi oczyma na Mata.

— A co ty tu robisz, Matrimie Cauthon? Jak tu trafiłeś? Zapewne nie ma co liczyć, że nie masz nic wspólnego z tą armią Zaprzysięgłych Smokowi, która zamierza na nas napaść?

— W rzeczy samej — odparł sucho — ja nią dowodzę.

— Ty... ! — Nynaeve stała tam z szeroko rozdziawionymi ustami, po czym otrząsnęła się, wygładzając nerwowo niebieską suknię, jakby ta była zmięta. Nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej widział ją w czymś równie mocno wydekoltowanym, tak wydekoltowanym, że aż widać było rowek między jej piersiami. Strój całkiem odmienny od tego, który zwykła wdziwać w domu. — No cóż, chodź ze mną — powiedziała ostrym tonem. — Zaprowadzę cię do Amyrlin.

— Macie Cauthon — zawołała Aviendha podejrzanie głuchym głosem. Rozglądała się wśród Aes Sedai, żeby go znaleźć. — Macie Cauthon. — Tylko tyle, ale jak na Aiela wyglądała na bardzo zdenerwowaną.

Otoczające ją Aes Sedai ciągnęły swoje, spokojnymi głosami, rozsądne i nieubłagane.

— Postąpisz najlepiej, jeśli...

— Musisz rozważyć...

— Tym lepiej, że...

— Raczej nie możesz...

Mat uśmiechnął się szeroko. Mogła lada moment dobyć noża, ale wątpił, by w takim tłumie to jej się na coś zdało. Nie dopadnie tak prędko Elayne, to nie ulegało wątpliwości. Zastanawiając się, czy po powrocie zobaczy ją już odzianą w białą suknię, rzucił swoją włócznię w stronę Vanina.

— Prowadź, Nynaeve. Zobaczmy tę twoją Amyrlin.

Obdarzyła go grymasem zaciśniętych ust i wprowadziła do środka, szarpiąc przy tym warkocz i pomrukując coś pod nosem.

— To sprawka Randa, nieprawdaż? Wiem, że tak. W jakiejś mierze na pewno. Przerazić wszystkich tak, by odchodzili od zmysłów. Pilnuj się, Lordzie-Generale Cauthon, bo jak nie, to przysięgam, zapragniesz, żebym cię znowu przyłapała na podkradaniu czarnych jagód. Żeby tak wszystkich nastraszyć! Nawet mężczyzna powinien mieć więcej rozumu! No przestańże się tak szczyrzyć, Macie Cauthon. Ciekawe, co ona z tym zrobi.

W środku przy stołach siedziały Aes Sedai — jego zdaniem panowała tam atmosfera typowa dla głównej sali w jakiejś gospodzie, nawet mimo tych kobiet pieczołowicie coś zapisujących albo wydających rozkazy — ale ledwie spojrzały na niego i na Nynaeve, kiedy szli przez izbę. Przymaszerowała tamtędy jakaś Przyjęta, mamrocząca coś do siebie, i żadna z tych Aes Sedai nie powiedziała ani słowa. W Białej Wieży zabawił najkrócej jak mógł, ale wiedział, że nie w taki sposób Aes Sedai kierują sprawami.

Nynaeve pchnęła jakieś drzwi na tyłach izby, które musiały już mieć za sobą swoje lepsze dni. Wszystko tutaj zdawało się mieć już za sobą swoje lepsze dni. Mat wszedł za nią do środka — i stanął jak wryty. Patrzył na Elayne, piękną jak nigdy i odgrywającą wielką damę, w sukni z zielonego jedwabiu z wysokim, koronkowym kołnierzem, z tym typowym dla niej uśmiechem zastygłym na ustach



i uniesionymi brwiami. A oprócz niej była tam również Egwene, usadowiona za stołem, z pytającym uśmiechem na twarzy. Oprócz bladozółtej sukni miała na sobie stułę z siedmioma paskami. Wyjrzał na zewnątrz i prędko zamknął drzwi, zanim jakaś Aes Sedai zdążyła zerknąć do środka.

— Może wam się wydaje, że to zabawne — warknął, szybko przestępując przez niewielki dywanik — ale one zedrą z was skórę, jak się dowiedzą. W życiu żadnej z was stąd nie wypuszczą, jeśli... — Zerwawszy stułę z szyi Egwene, pospiesznie poderwał dziewczynę z krzesła... i w tym momencie srebrna lisia głowa na jego piersi zlodowaciała.

Lekko odepchnąwszy Egwene od stołu, spojrzął na nie wszystkie groźnie. Egwene zrobiła tylko zdziwioną minę, za to Nynaeve szeroko otworzyła usta, a wielkie, niebieskie oczy Elayne wyglądały tak, jakby zaraz miały wyjść z orbit. Któraś z nich usiłowała użyć przeciwko niemu Mocy. Jedynym korzystnym rezultatem tamtej wyprawy do *ter'angreala* okazał się medalion. Podejrzewał, że to też jest *ter'angreal*, ale i tak był za niego wdzięczny. Dopóki stykał się z jego skórą, dopóty Jedyna Moc nie mogła go dotrzeć. A w każdym razie nie *saidar*; miał na to więcej dowodów, niż potrzebował. Medalion naprawdę robił się zimny, kiedy któraś próbowała użyć Mocy.

Rzuciwszy stułę i kapelusz na blat stołu, usiadł i zaraz podniósł się, żeby wygarnąć spod siebie poduszki i stracić je na posadzkę. Ułożył nogę na kancie stołu i omiół wzrokiem te trzy głupie kobiety.

— Kiedy się ta tak zwana Amyrlin dowie o waszych wygłupach, to na pewno przydadzą wam się poduszki.

— Mat... — zaczęła stanowczym głosem Egwene, ale przerwał jej.

— Nie! Jeśli chcielibyście porozmawiać, to trzeba było to zrobić, a nie wyskakiwać z tą waszą przeklętą Mocą. Teraz możecie tylko słuchać.

— Skąd ty... ? — spytała z niedowierzaniem Elayne. Sploty właśnie... zniknęły.

W niemalże tej samej chwili odezwała się groźnym tonem Nynaeve:

— Macie Cauthon, popełniasz największy...

— Kazałem wam słuchać. — Wskazał palcem Elayne. Ciebie zabieram do Caemlyn, rzecz jasna, pod warunkiem, że Aviendha cię nie zabije. Jeżeli więc nie chcesz, żeby poderżnęła ci to śliczne gardziołko, to trzymaj się blisko mnie i rób, co mówię, bez zadawania pytań! — Wycelował palec w Egwene. — Rand powiada, że odeśle cię do Mądrych, kiedy tylko zechcesz, i jeśli to, co zobaczyłem do tej pory, stanowi jakieś świadectwo twoich poczynań w tym miejscu, to moja rada brzmi tak: niech on się natychmiast za to zabierze! Podejrzewam, że ty potrafisz Podróżować — tu Egwene wzdrygnęła się — więc możesz stworzyć dla Legionu bramę wiodącą do Caemlyn. Nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów, Egwene! To samo dotyczy ciebie, Nynaeve! Powiniennem cię tutaj zostawić, ale możesz jechać, jeśli chcesz. Ale ostrzegam. Szarpniesz raz jeszcze warkocz z mojego powodu,

a przysięgam, już ja ci rozgrzeję siedzenie!

Gapiły się na niego takim wzrokiem, jakby na głowie wyrosły mu rogi trolloka, ale przynajmniej trzymały usta zamknięte. Może jednak udało się przemówić im do rozumu. Co zresztą wcale nie znaczyło, że kiedyś podziękują za to, że uratował im skórę. Co to, to nie; na pewno nie one. Stwierdzą jak zwykle, że same już jakiś czas temu wszystko obmyśliły. Skoro jakaś kobieta potrafiła oświadczyć, że wtrącasz się do jej spraw, kiedy ty wyciągałeś ją z ciemnicy, to czego jeszcze mogłeś się spodziewać?

Zrobił głęboki wdech.

— No dobrze. Kiedy tu przyjdzie ta biedna, ślepa idiotka, którą one wybrały na Amyrlin, to ja będę gadał. Raczej nie jest najbystrzejsza, bo inaczej nie dałaby się w to wrobić. Zasiadająca na Tronie Amyrlin w jakiejś przeklętej wiosce, nie wiadomo gdzie. Trzymajcie buzie na kłódkę i dygajcie najpiękniej, jak potraficie, a raz jeszcze wyciągnę was z opałów. — Dalej patrzyły na niego wytrzeszczonymi oczyma. No i dobrze. — Wiem wszystko o jej armii, ale ja też mam swoją. Skoro ona jest tak szalona, by wierzyć, że odbierze Elaidzie Wieżę... cóż, pewnie nie będzie chciała się narażać na straty tylko po to, by zatrzymać was trzy. Zrobisz tę bramę, Egwene, i do jutra, najpóźniej do pojutrze, przerzucę was do Caemlyn, a te szalone kobiety mogą ruszyć do boju i dać się zabić Elaidzie. Może będziecie miały jakieś towarzystwo. Przecież nie wszystkie chyba są aż do tego stopnia pozbawione rozsądku. Rand jest skłonny udzielić im azylu. Jedno dygnięcie, szybka przysięga lojalności i nie dopuści, by Elaida nadziała ich głowy na piki w Tar Valon. Nie mogą prosić o nic lepszego. No i co? Macie coś do powiedzenia? — Nie zauważył, by bodaj drgnęły. — Wystarczyłoby proste: „Dziękujemy ci, Mat”. — Ani słowa. Ani mrugnienia powieką.

Nieśmiałe pukanie do drzwi zapowiedziało nowicjuskę, piękną, zielonooką dziewczynę, która dygnęła głęboko, z oczyma wytrzeszczonymi ze strachu.

— Przysłano mnie, by sprawdziła, czy ci czegoś nie potrzeba, Matko. Chciałam powiedzieć... czy nie trzeba czegoś dla generała. Może wina, a może... może...

— Nie, Tabitho. — Egwene wyciągnęła stulę spod kapelusza i udrapowała ją sobie na ramionach. — Chcę jeszcze chwilę porozmawiać z Generałem Cautionem na osobności. Powiedz Sheriam, że niebawem po nią poślę, by przysłała udzielić mi rady.

— Zamknij usta, Mac, zanim zaczniesz łapać muchy — powiedziała Nynaeve tonem głębokiej satysfakcji.

# MOŻLIWOŚCI

Egwene poprawiła stułę i przyjrzała się badawczo Matowi. Spodziewała się, że będzie przypominał niedźwiedzia zagnanego do kąta, ale on wyglądał tylko tak, jakby go kto zdzielił pałką; cały ociekał potem. Tyle pytań chciała mu zadać; na przykład, jak Rand dowiedział się o Salidarze? I skąd wiedział, że ona rozgryzła zagadkę Podróżowania? I w ogóle co ten Rand wyprawia? Ale nie zamierzała ich zadawać. Czują, jak kręci jej się w głowie z powodu Mata i Legionu Czerwonej Ręki. Może jednak Rand podarował jej gwiazdkę z nieba.

— Moje krzesło? — poprosiła cicho. Miała nadzieję, że zauważył, iż się nie spociła, podobnie jak Elayne albo Nynaeve; Nynaeve w każdym razie niezbyt obficie. Siuan zdradziła im, na czym polega ta sztuczka; wymagała szczególnego rodzaju koncentracji, który nie miał nic wspólnego z Mocą. Nynaeve strasznie się wtedy zeźliła, że Siuan nie nauczyła ich tego wcześniej, i nie dziwota, ale tamta tylko spokojnie odparła, że to umiejętność dla Aes Sedai, a nie dla Przyjętych. Jak dotąd Egwene udawało się odpowiednio kierować myślami, kiedy obok były inne siostry, a sucha twarz zamiast spoconej zdawała się dodatnio wpływać na ich stanowisko. W przypadku Mata to powinno dziać cuda. O ile kiedykolwiek przestanie tak wytrzeszczać oczy i zauważy to.

— Mat? Moje krzesło?

Wzdrygnął się, po czym wstał i stanął z boku, bez słowa przenosząc wzrok z niej na Elayne, a potem na Nynaeve, jakby stanowiły jakąś zagadkę. No cóż, Nynaeve i Elayne patrzyły na niego w taki sam sposób, a z pewnością miały ku temu lepszy powód.

Otrzeptała poduszki, zanim z powrotem ułożyła je na krześle, myśląc przy tym z czułością o Chesie. Po dwóch dniach już ich tak bardzo nie potrzebowała, ale miała do wyboru albo rezygnację z kąpieli, albo wyrażenie zgody na te poduszki, dopóki na ciele nie będzie miała ani śladu sińca. Chesa zabrałaby poduszki, gdyby Egwene jej kazała. Ze spoconą czy suchą twarzą, Egwene była Zasiadającą na Tronie Amyrlin, przed którą będą kłaniali się królowie, a królowe dygały, która mogła wydać rozkaz, by osadzono i stracono Elaidę, i to wszystko zgodnie z prawem Białej Wieży, a zatem zgodnie z prawem całego świata. Chesa by to zrobiła, ale potem obrzucałaby Egwene tymi zranionymi, pełnymi przygany spojrzzeniami

za to, że nie pozwoliła o siebie zadbać, więc pozostawienie poduszek było czymś znacznie łatwiejszym do zniesienia.

Usadowiła się, splatając dłonie na blacie stołu i zaczęła:

— Mat...

Natychmiast jej przerwał.

— Wiesz co? To jest naprawdę szaleństwo — powiedział cicho. Cicho, ale dość stanowczo. — Jeszcze ci kiedyś utną głowę, Egwene. Wam wszystkim. Ut-ną-wam-gło-wy.

— Mat — wtrąciła silniejszym głosem, ale on mówił dalej.

— Posłuchaj, jeszcze możesz się z tego wyplątać. Jeśli one uważają cię za Amyrlin, to w takim razie mogłabyś wyjechać razem ze mną celem... celem przeprowadzenia inspekcji w Legionie. Zrobisz bramę i wszyscy znikniemy, zanim ta banda wariatek o ptasich mózdkach zdąży choćby mrugnąć.

Nynaeve widziała na własne oczy, że *saidar* się go nie ima, ale rozprawiała się z krnąbrnymi mężczyznami na długo przedtem, zanim nauczyła się przenosić. Ze zduszonym warknięciem zręcznie podkasała spódnice i kopnęła Mata w siedzenie, tak mocno, że aż się zatoczył na ścianę. Elayne wybuchnęła śmiechem, który wprawdzie szybko stłumiła, ale nadal się trzęsła i błyszczały jej oczy.

Egwene zagryzła wargę, żeby sama się nie roześmiać. Sytuacja była naprawdę komiczna. Mat powoli odwrócił głowę, by spojrzeć wytrzeszczonymi oczyma na Nynaeve, pełen oburzenia i złości. A potem zmarszczył brwi i szarpnąwszy poły rozchełstanego kaftana, jakby chciał go wygładzić, zaczął powoli kroczyć w jej stronę. Powoli, ponieważ okulał. Egwene zakryła usta dłonią. Naprawdę śmiech był tu nie na miejscu.

Nynaeve wyprostowała się uroczyście, a potem chyba przyszło jej do głowy kilka rzeczy. Rozzłościła się dostatecznie, by móc przenosić, ale *saidar* w jego przypadku okazał się najwyraźniej beużyteczny. Mat był wysoki jak na mężczyznę z Dwu Rzek, znacznie wyższy od niej i znacznie też silniejszy, a w oczach miał niebezpieczny błysk. Zerknęła na Egwene i wygładziła suknię, starając się zachować surową twarz. Mat podszedł bliżej, z miną, która przywodziła na myśl burzę z piorunami. Rzuciła pospiesznie jeszcze jedno spojrzenie, zaczynając już zdradzać lęk, a potem zrobiła mały krok w tył.

— Mat — powiedziała zimnym tonem Egwene. Nie zatrzymał się. — Mat, przestań robić z siebie durnia. Znalazłeś się w dość trudnym położeniu, ale ja cię z niego wyciągnę, pod warunkiem, że posłuchasz głosu rozsądku.

Zatrzymał się nareszcie. Obrzucił Nynaeve groźnym spojrzeniem i pogroził jej palcem, po czym odwrócił się do niej plecami i wsparł pięści o pulpit do pisania.

— Ja jestem w trudnym położeniu? Egwene, skoczyłaś z drzewa w stronę jaskini niedźwiedzi i wydaje ci się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, bo jeszcze nie wylądowałaś!

Uśmiechnęła się do niego spokojnie.

— Mat, mało kto tutaj w Salidarze myśli dobrze o Zaprzysięgłych Smokowi. Lord Bryne nie ma o nich najlepszego zdania, podobnie jego żołnierze. Dotarły do nas różne niepokojące opowieści. W tym kilka takich, które przyprawiają o mdłości.

— Zaprzysięgli Smokowi! — jęknął. — Co oni mają ze mną wspólnego? Ja nie jestem żadnym przeklętym Zaprzysięgłym Smokowi!

— Ależ jesteś, Mat. — Postarała się, by to zabrzmiało jak coś najbardziej oczywistego na świecie. I zresztą było takie, jak się nad tym zastanowić. — Jeźdź tam, gdzie cię pošle Rand. Kim innym jesteś, jak nie Zaprzysięgłym Smokowi? Jeśli jednak mnie posłuchasz, to ja ich powstrzymam przed nadzianiem twojej głowy na pikę. Nie sądzę zresztą, by lord Bryne posłużył się pika; zawsze narzeka, że ma ich za mało, ale jestem pewna, że coś wymyśli.

Mat popatrzył na pozostałe dwie kobiety i Egwene na chwilę zacisnęła usta. Wyraziła się jasno, a tymczasem on wyraźnie szukał jakiejś wskazówki, jakby nie rozumiał, o czym ona mówi. Elayne odpląciła mu się skąpym uśmiechem i zdecydowanie potwierdzającym potaknięciem. Mogła się nie zorientować, do czego zmierza Egwene, ale wiedziała, że nie gada dla samej przyjemności wsłuchiwania się we własny głos. Nynaeve, która ciągle jeszcze się mozoliła, żeby zachować spokojną twarz, i cały czas szarpała warkocz, tylko spojrzała na niego spode łba, ale tak może było nawet lepiej. Ale niestety, zaczynała się pocić; Nynaeve traciła koncentrację, kiedy robiła się zła.

— A teraz ty posłuchaj, Egwene — powiedział Mat. Jakoś udało mu się mówić tonem jednocześnie rzeczowym i pobłażliwym, w możliwie najbardziej obraźliwy sposób. — Jeśli chcesz, żeby cię nazywano Amyrlin, twoja wola. Rand przyjmie cię w Caemlyn z otwartymi ramionami, nawet jeśli nie sprowadzisz do niego tych wszystkich Aes Sedai, ale wiem, że nie będzie się posiadał z radości, jeśli to zrobisz. On rozwiąże wasze problemy z Elaidą, niezależnie od tego, na czym one polegają. Ona wie, że Rand jest Smokiem Odrodzonym. Światłości, pamiętasz przecież jej list. A jakże, ta wasza Biała Wieża zostanie naprawiona, zanim w ogóle wspomnisz o Widmowym Jaku. Bez żadnych bitew. Bez rozlewu krwi. Wiem przecież, że nie chcesz rozlewu krwi, Egwene.

Tego nie chciała na pewno. Niełatwo będzie scalić na powrót Wieżę, gdy między Salidarem a Tar Valon wybuchnie wojna. A gdy przelana zostanie pierwsza kropla krwi Aes Sedai, może się to stać niemożliwe. Niemniej jednak Elaidę należało zdetronizować i Egwene zamierzała zrobić to, co trzeba w tej sprawie. Po prostu nie była tym zachwycona. I nie podobało jej się, że Mat mówił jej o czymś, o czym sama wiedziała, i że na dodatek miał rację. A jeszcze ten jego ton. Z wielkim wysiłkiem unieruchomiła dłonie ułożone na stole. Miała ochotę wstać i wytargać go za uszy.

— Niezależnie od tego, na jaki układ zgodzę się z Randem odparła zimno — możesz być pewien, że w tym celu nie skłonię Aes Sedai, by poprzysięgły lojal-

ność jemu czy jakimukolwiek mężczyźnie. — Chłodno i wcale się nie sprzecząc; spokojne stwierdzenie prostych faktów. — To moja sprawa, co zrobię z Elaidą, nie twoja. Jeśli masz choć trochę rozumu, Mat, to będziesz trzymał usta zamknięte, dopóki jesteś w Salidarze, i będziesz się zachowywał przyzwoicie. Zaczynaj mówić Aes Sedai, co uczyni Rand, kiedy one przed nim uklękną, a usłyszysz odpowiedzi, które ci się nie spodobają. Zaczynaj mówić o swoim zamiarze wywiezienia mnie albo Nynaeve czy Elayne, a będziesz miał dużo szczęścia, jeśli ktoś cię nie przebije mieczem.

Wyprostował się gwałtownie i popatrzył na nią spode łba.

— Porozmawiam z tobą znowu, kiedy będziesz gotowa wysłuchać głosu rozsądku, Egwene. Czy jest tu gdzieś Thom Merrillin?

Przytaknęła oschle. Czego on chciał od Thoma? Prawdopodobnie upić się razem z nim winem. No to oby mu szczęście sprzyjało, gdy zabierze się za szukanie jakiejś tawerny.

— Kiedy będziesz gotowa — powtórzył ponuro i ruszył, czy raczej pokuśtykał w stronę drzwi.

— Mat — powiedziała Egwene. — Na twoim miejscu nie próbowałabym wyjeżdżać. O wiele łatwiej się dostać do Salidaru niż z niego wyjechać.

Uśmiechnął się do niej beczelnie, a potem zmierzył wzrokiem od stóp do głów; miał szczęście, że Elayne nie spoliczkowała go tak mocno, by pogubił zęby.

— Zabiorę cię do Caemlyn, moja pani, choćbym musiał zrobić z ciebie paczkę i w tej postaci dostarczyć cię Randowi. A żebym szczęśliwy, jeśli tego nie uczynię. I wyjadę z tego przeklętego miejsca wtedy, kiedy mi się zachce. — Złożył drwiący ukłon przed Elayne i Egwene. Nynaeve pożegnał tylko groźnym spojrzeniem i jeszcze raz pogroził jej palcem.

— Jak Rand może się przyjaźnić z takim nieznośnym gburem? — spytała Elayne, jeszcze zanim drzwi zamknęły się za nim.

— Język ma z pewnością niewyparzony — warknęła ponuro Nynaeve, odrzucając głowę tak gwałtownie, że przerzuciła sobie warkocz na plecy. Egwene uznała, że zapewne bała się, iż wyrwie sobie włosy z cebulkami, jeśli go nie usunie poza zasięg ręki.

— Tak mówiąc między nami, Nynaeve, powinnam mu była pozwolić, żeby zrobił to, co chce. Ty musisz pamiętać, że jesteś teraz Aes Sedai. Nie wolno ci ani kopać ludzi, ani też targać ich za uszy czy okładać kijem. — Nynaeve zagapiła się na nią, niemo poruszając ustami, z twarzą, która z każdą chwilą stawała się coraz czerwieńsza. Elayne uporczywie wpatrywała się w dywan. Westchnąwszy, Egwene złożyła pasiastą stułę i ułożyła ją z boku stołu. Tym sposobem chciała im przypomnieć, że są same; ta stuła sprawiała niekiedy, że zaczynały przemawiać do Zasiadającej na Tronie Amyrlin zamiast do Egwene al'Vere. Podziałało, jak zawsze. Nynaeve zrobiła bardzo głęboki wdech.

Jednak zanim zdążyła coś powiedzieć, odezwała się Elayne.

— Czy zamierzasz połączyć Legion Czerwonej Ręki z armią Garetha Bryne'a?

Egwene potrząsnęła głową. Strażnicy twierdzili, że Legion Mata liczy teraz sześć albo siedem tysięcy żołnierzy, więcej niż zapamiętała z Cairhien, i była to znacząca siła, nawet jeśli ci dwaj mężczyźni wzięci do niewoli przesadzili, ale żołnierze Bryne'a z pewnością nie odnieśliby się przyjaźnie do Zaprzysięgłych Smokowi. A poza tym ona miała własny plan, który objaśniła, kiedy przystawiły krzesła do stołu. Bardzo to przypominało pogawędkę w kuchni. Odsunęła stulę jeszcze dalej.

— To genialne. — Szeroki uśmiech Elayne świadczył, że jej słowa były szczerze. Ale ona zawsze wszystko mówiła szczerze. — Nie sądziłam, że to drugie się powiedzie, ale to jest genialne.

Nynaeve pociągnęła nosem, wyrażając swą irytację.

— Na jakiej podstawie uważasz, że Mat na to pójdzie? Przecież on wsadziłby kij w mrowisko, po to tylko, żeby mieć uciechę.

— A ja myślę, że złożył jakąś obietnicę — odparła z prostotą Egwene i wtedy Nynaeve przytaknęła. Powoli, niechętnie, ale przytaknęła. Elayne wyglądała na niezdecydowaną i nic dziwnego; nie знаła go przecież tak dobrze. — Elayne, Mat robi dokładnie to, co mu się podoba; zawsze tak było.

— Niezależnie od tego, ile rzepów przyjdzie mu z tego powodu obierać — mruknęła Nynaeve — albo jak często zostanie oćwiczony różgą.

— O tak, to cały Mat — rzekła z westchnieniem Egwene. W Polu Emonda uchodził za najbardziej nieodpowiedzialnego chłopca, może nawet w całych Dwu Rzekach. — Ale jak już da słowo, to zawsze go dotrzymuje. I chyba obiecał Randowi, że dopilnuje, byś ty wróciła do Caemlyn, Elayne. Zauważ, że spuścił z tonu, bo zaczął mnie prosić... w pewnym sensie prosić... ale poza tym nie ustąpił nawet na jotę. Myślę, że będzie próbował się trzymać ciebie tak blisko jak mieszek pasa. A tymczasem my nie pozwolimy mu nawet ciebie zobaczyć, dopóki nie zrobi tego, czego chcemy. — Urwała. — Elayne, możesz z nim jechać, jeśli chcesz. Chciałam powiedzieć, możesz jechać do Randa. Jak tylko wyciśniemy wszystko, co się da, z Mata i jego Legionu.

Elayne prawie się nie zawała, zanim potrząsnęła głową, a potrząsnęła nią stanowczo.

— Nie, Ebou Dar jest zbyt ważne. — Było to pierwsze zwycięstwo, o dziwo osiągnięte za sprawą zwykłej sugestii. Elayne i Nynaeve miały się przyłączyć do Merilille na dworze Tylin. A za to będą przynajmniej mogła przez kilka dni przyglądać się temu *ter'angrealowi* Mata, rzecz jasna pod warunkiem, że będzie trzymał się blisko. To musi *być ter'angreal*, Egwene. Innego wytłumaczenia nie widzę.

Egwene nie mogła zaprzeczyć. Sama przecież chciała go zwyczajnie owinąć w Powietrze, dokładnie w tym miejscu, gdzie stał, żeby delikatnie mu przypo-

mnieć, kim próbuje pomiatać, a tymczasem sploty dotknęły go i stopniały. Rzeczywiście, tylko tak można to było wyjaśnić. Sploty zniknęły w chwili, kiedy się z nim zetknęły. Nadal czuła wstrząs, jaki w tamtym momencie przeżyła, i zauważyła, że nie ona jedna poprawia spódnice, które wcale nie wyglądają na pogniębione.

— Mogłybyśmy rozkazać jakimś Strażnikom, żeby mu przetrząsnęli kieszenie. — Ta wizja sprawiła, że w głosie Nynaeve słysząc było coś więcej niż zachwyty. — Zobaczymy, jak to się panu Cauthonowi spodoba.

— A nie przyszło ci do głowy — upomniła ją cierpliwie Egwene — że jak zaczniemy mu zabierać różne rzeczy, to on może stawać okoniem, kiedy będziemy mu mówić, co ma robić? — Mat nigdy nie lubił, jak mu rozkazywano, a na Aes Sedai i Jedyńą Moc zwykł reagować zawsze tak samo: po prostu korzystał z pierwszej lepszej okazji i uciekał chyłkiem. Może tym razem będzie inaczej dzięki obietnicy, jaką złożył Randowi — musiał jakąś złożyć; nie istniało inne wytłumaczenie jego zachowania — ale nie zamierzała ryzykować.

Nynaeve przytaknęła, dość jednak posępnie.

— Może... — Elayne zabębniła palcami o blat stołu i w zamyśleniu przez chwilę wpatrywała się w coś niewidzącym wzrokiem. — Może mogłybyśmy go zabrać do Ebou Dar. Tym sposobem miałabym więcej okazji do przyjrzenia się temu *ter'angrealowi*. Tyle, że nie mam pojęcia, jak mogłabym go zbadać, skoro on uniemożliwia korzystanie z *saidara*.

— Zabrać tego małego nicponia? — Nynaeve wyprostowała się. — Ty chyba nie mówisz tego poważnie, Elayne. On sprawia kłopoty na każdym kroku i jest w tym bardzo dobry. Nigdy nie robi tego, co mu się każe; nawet nie wysłucha do końca polecenia. Tak się zawziął, że zabierze cię do Caemlyn, że nie odwiedzisz go od tego zamiaru, choćbyś użyła łomu albo konnego zaprzęgu.

— Ale skoro on nie zamierza spuszczać mnie z oka, dopóki nie dotrę do Caemlyn — odparła na to Elayne — to nie będzie miał innego wyboru, jak tylko pojechać. Wszystko się znakomicie składa.

— To może nawet nie jest taki zły pomysł — wtrąciła Egwene w czasie, gdy Nynaeve szukała kolejnego argumentu. Nadał uważała, że należy je wysłać po czarę, ale im dłużej myślała o tym miejscu, w którym będą musiały jej szukać, tym bardziej się martwiła. — Myślę, że przyda wam się kilku żołnierzy, no chyba, że wybrałyście już sobie Strażników, nie uprzedzając mnie o tym. Thom, Juilin, a także Birgitte to już jest jakaś ochrona; ale tam, dokąd się wybieracie, jest bardzo niebezpiecznie.

— Kilku żołnierzy powinno wystarczyć — odparła Elayne, nieznacznie się rumieniąc. — Muszą tylko wiedzieć, że powinni słuchać rozkazów.

Nynaeve nie spojrzała na Elayne, ale ewidentnie zwlekała chwilę, zanim pokręciła głową, wyrażając irytację.

— Raczej nie będziemy brały udziału w pojedynkach, Egwene, niezależnie



od tego, jakie drażliwe są mieszkanki Ebou Dar. Thom i Juilin w zupełności wystarczą. Osobiście uważam, że te wszystkie historie, którymi nas uraczono, miały nas tylko nakłonić do rezygnacji. — Kiedy rozniosła się wieść, że wybierają się do Ebou Dar, okazało się, że wszyscy coś słyszeli o tym mieście; Chesa, na przykład, знаła kilka opowieści, co jedną to bardziej złowieszczą i przerażającą — o cudzoziemcach, których zabijano za złe spojrzenie, zanim zdążyli mrugnąć, o owdowiałych kobietach i osieroconych dzieciach z powodu jednego słowa, o ludziach walczących na ulicach na noże. — Nie, skoro potrafiłyśmy przeżyć w Tanchico, gdzie chronili nas tylko Thom i Juilin, gdzie miałyśmy do czynienia z Liandrin i jej Czarnymi siostrami, to poradzimy sobie znakomicie w Ebou Dar bez Mata Cauthona albo jego żołnierzy. Mat dowodzący żołnierzami! On nigdy nawet nie pamiętał o wydojeniu krów swego ojca, dopóki nie usadzono go na zydlu i nie wręczono mu skopka.

Egwene westchnęła cicho. Zawsze tak reagowały na wzmiankę o Birgitte; wzdrygały się jak oparzone, a potem albo zaczynały coś kręcić, albo wręcz mówiły dalej, jakby w ogóle nie została wspomniana. Jedno spojrzenie upewniło Egwene, że ta kobieta, która chodziła wszędzie za Elayne i Nynaeve — a zwłaszcza za Elayne — to ta sama, którą ona widziała w *Tel'aran'rhiod*. Czyli Birgitte z legend, łuczniczka, która nigdy nie chybiała, z grona nieżyjących bohaterów oczekujących na wezwanie Rogu Valere. Umarła bohaterka, a nie żywa kobieta, która przechadzała się ulicami Solidaru. Elayne dotąd nie podała żadnego wyjaśnienia, mruczała, z wyraźnym zażenowaniem i używając bardzo wyważonych słów, że nie może mówić o tym, o czym zobowiązały się milczeć. Birgitte we własnej osobie, bohaterka z legend, która zawracała w przeciwną stronę albo zbaczała w jakąś boczną uliczkę na widok zbliżającej się Egwene. Wydanie rozkazu, by ta kobieta stawiała się w jej gabinecie, i zażądanie wyjaśnień nie wchodziło w rachubę; obiecała, ostatecznie, niezależnie od tego, jak głupio się czuła w związku z tą sytuacją. Ale nie spodziewała się, by w związku z tym miało się z nią stać coś złego. Po prostu żałowała, że nie wie, co się za tym wszystkim kryje. I jak do tego doszło.

Wyrzucając na chwilę Birgitte ze swych myśli, pochyliła się w stronę Nynaeve.

— Być może nie jesteśmy w stanie zmusić Mata, żeby słuchał naszych rozkazów, ale czy nie byłoby wspaniale widzieć, jak cały się gotuje, bo kazano mu pełnić rolę twojej osobistej obstawy?

— Zwłaszcza wtedy byłoby warto — stwierdziła po namyśle Elayne — gdyby Rand naprawdę mianował go generałem. Matka często powtarzała, że najlepsi niechętnie przyjmują rozkazy i że zawsze warto ich uczyć tego zwyczaju. Nie potrafię uznać Mata za jednego z najlepszych; Lini powiada, że „Tylko głupcy są posłuszni samym sobie”, ale jeśli uda nam się go nauczyć, że nie powinien robić z siebie głupca tam, gdzie nikt go nie uratuje, to uczynimy wielką przysługę

Randowi. A poza tym ja naprawdę potrzebuję czasu, żeby zbadać ten *ter'angreal*.

Egwene powstrzymała się od uśmiechu; Elayne zawsze pojmowała wszystko tak szybko. Prawdopodobnie zamierzała nauczyć Mata siadania prosto; to pewnie będzie warte zobaczenia. Lubiła Elayne i podziwiała jej siłę, ale w tych zawodach postawiłaby na Mata.

Nynaeve ustępowała z niechęcią. Mat jest przekorny; będzie mówił „dół”, kiedy one powiedzą „góra”, żeby tylko im dokuczyć. Potrafiłby narobić kłopotów nawet wtedy, gdyby wsadzono go do beczki i zabito ją gwoździami. Będą musiały wyciągać go z tawern i jaskiń hazardu. Na koniec, kiedy wyczerpała już wszystkie argumenty, powiedziała jeszcze, że Mat zapewne uszczypnie Elayne już za pierwszym razem, kiedy ona odwróci się do niego plecami, i w tym momencie Egwene wiedziała, że pokonały jej obiekcje. Mat rzeczywiście poświęcał dużo czasu na uganianie się za kobietami, czego raczej Egwene pochwałać nie mogła, ale Nynaeve z całą pewnością wiedziała równie dobrze jak ona, że miał niesamowity talent do trafiania na takie, które chciały, żeby się za nimi uganiano, nawet jeśli niektóre z nich nie sprawiały takiego wrażenia. Niestety, dokładnie w momencie, kiedy już była pewna, że Nynaeve zaraz ustąpi, rozległo się pukanie do drzwi zapowiadające Sheriam.

Sheriam nie zaczekała, aż jej pozwolą wejść; nigdy nie czekała. Chłodnooka, w swej niebieskiej stule, zatrzymała się, by popatrzeć na Nynaeve i Elayne. Druga po Amyrlin czy nie, Opiekunka nie sprawowała żadnej realnej władzy nad Aes Sedai z wyjątkiem tej, jakiej Amyrlin postanowiła jej udzielić. Z pewnością nie mogła odprawić kogoś towarzyszącego Amyrlin, a mimo to spojrzenie Sheriam niewątpliwie stanowiło odprawę.

Powstawszy zgrabnie, Elayne dygnęła ceremonialnie przed Egwene.

— Jeśli mi wybaczysz, Matko, powinnam się udać na poszukiwanie Aviendhy.

Nynaeve dla odmiany wdała się z Sheriam w pojedynek na spojrzenia; trwał dopóty, dopóki Egwene nie chrząknęła i nie narzuciła pasiastej stuły na ramiona.

Zaczerwieniona Nynaeve wstała chwiejnie.

— Ja też już powinnam iść. Janya powiedziała, że chce ze mną pogadać o utraczonych Talentach.

Wbrew nadziejom Egwene odzyskanie tych Talentów nie okazało się łatwe. Siostry rozmawiały o nich nawet chętnie; cały problem polegał na tym, jak sprawić, by Moghedien zrozumiała, co się kryje pod jakimś niejasnym opisem, a czasami jedynie nazwą. Potem można już było tylko mieć nadzieję, że ona naprawdę coś wie. Z pewnością bardzo pomocna była informacja, że dzięki Korelacji Matrycy metale stają się silniejsze, ale niestety, ta kobieta na metalach znała się jeszcze mniej niż na Uzdrawianiu. I czym, na Światłość, było Nawijanie Ognioziemi albo Dojenie Łez, skoro już o tym mowa?

Moghedien zdawała się chętnie przychodzić z pomocą, a wręcz pragnęła jej udzielać, zwłaszcza od czasu, kiedy Siuan nauczyła je sztuczki z ignorowaniem

upału. Najwyraźniej Moghedien okłamała w tej kwestii Nynaeve i Elayne. Przekonana, że Egwene uzna to za jej pierwsze i ostatnie kłamstwo, czołgała się na kolanach, łkając i błagając, szcękając zębami, całując rąbki ich spódnic. Chętna do pomocy czy nie, całe to zdarzenie bardzo potęgowało jej strach. Ledwie dało się wytrzymać tę nieustającą, przyprawiającą o mdłości histerię. Bransoleta *a'dam* spoczywała teraz — wbrew jej intencjom — w mieszkaniu Egwene. Dałaby ją Nynaeve — i z chęcią by się jej pozbyła — ale przekazywanie sobie tego przedmiotu na oczach innych prędzej czy później wywołałoby jakiś komentarz.

Zamiast tego powiedziała:

— Nynaeve, najlepiej zrobisz, unikając Mata, dopóki nie ochłonie. — Nie była pewna, czy on rzeczywiście jest zdolny wprowadzić swą pogrozkę w czyn, ale jeśli ktoś mógł go do tego podjudzić, to na pewno Nynaeve była taką osobą. Gdyby tak zaś się stało, nie miałyby już żadnych argumentów, by ją przekonać. — Albo przynajmniej staraj się rozmawiać z nim tylko wtedy, kiedy w pobliżu są jacyś ludzie. W tym, w miarę możliwości, kilku Strażników.

Nynaeve otworzyła usta i zaraz szybko je zamknęła; przełknęła ślinę z nieznacznie pobladytymi policzkami. Rozumiała, o czym mówi Egwene.

— Tak, tak, chyba tak będzie najlepiej, Matko.

Sheriam obserwowała zamykające się drzwi z lekkim grymasem, który nadal miała na twarzy, zwracając się do Egwene.

— Doszło do jakiejś wymiany zdań, Matko?

— Tylko do takiej, jakiej można się spodziewać, kiedy starzy przyjaciele spotykają się po dłuższym niewidzeniu. Nynaeve pamięta Mata jako małego hultaja, ale on już nie ma dziesięciu lat i oburza się, kiedy go tak nazywać. — Związane Przysięgą przeciwko kłamstwu Aes Sedai doprowadziły mówienie półprawd, ćwierćprawd i dawanie czegoś do zrozumienia do perfekcji. To była użyteczna sztuka, zdaniem Egwene. Zwłaszcza w rozmowach z Aes Sedai. Trzy Przysięgi nie dawały nikomu przewagi, a już najmniej samym Aes Sedai.

— Trudno czasem pamiętać, że ludzie się zmieniają. — Sheriam bez pytania usiadła na krześle i starannie ułożyła swe spódnice z niebieskiego jedwabiu. — Zakładam, że ten, kto dowodzi Zaprzysięgłymi Smokowi, przysłał młodego Mata z posłaniem od Randa al'Thora? Mam nadzieję, że nie powiedziałaś niczego; co on mógłby potraktować jako obietnicę, Matko. Armia Zaprzysięgłych Smokowi obozująca w odległości niecałych dziesięciu mil od Salidaru stawia nas w delikatnej sytuacji. Nie będzie dobrze, jeśli ich dowódca uzna, że ślubowałyśmy wrócić.

Egwene przyglądała się przez chwilę swej rozmówczyni. Nie istniało nic takiego, co mogłoby zaniepokoić Sheriam. A jeśli nawet, to nie dawała tego po sobie poznać. Sheriam wiedziała całkiem sporo na temat Mata, podobnie jak kilka innych siostr w Salidarze. Czy można to było wykorzystać do popchnięcia go we właściwym kierunku czy raczej to sprawi, że zacznie wierzgać?

„Mat na później — pomyślała stanowczo — teraz Sheriam”.

— Czy zechciałabyś kogoś poprosić, by przyniósł herbatę, Sheriam? Trochę mi się chce pić.

Wyraz twarzy Sheriam uległ tylko nieznacznej zmianie; w skośnych oczach pojawiło się lekkie napięcie, tak lekkie, że ledwie zakłóciło jej pozorny spokój. Ale Egwene niemalże widziała w nich pytanie, które tamta chciała zadać. Co ona takiego powiedziała Matowi, o czym nie chciała rozmawiać? Jakie obietnice złożyła, że Sheriam będzie musiała ją ratować i to w taki sposób, by nie utracić swojej pozycji na rzecz Romandy albo Lelaine?

Sheriam powiedziała kilka słów do kogoś na zewnątrz, a kiedy ponownie usiadła, Egwene nie pozwoliła jej otworzyć ust. Wręcz przeciwnie, zadała jej cios między oczy. Tak to można było nazwać.

— Zaiste, Mat jest dowódcą, Sheriam, i ta armia właśnie stanowi swoiste posłanie. Rand ewidentnie chce, abyśmy wszystkie przybyły do Caemlyn. Padła wzmianka o przysięgach lojalności.

Sheriam gwałtownie uniosła głowę, wytrzeszczywszy oczy. Ale tylko częściowo z wściekłości na taką sugestię. Było w tym widać niewątpliwie domieszkę... no cóż, u każdego z wyjątkiem Aes Sedai Egwene nazwałaby to strachem. Całkiem zrozumiałe, jeśli to rzeczywiście był strach. Skoro ona to obiecała — a pochodziła z tej samej wioski; między innymi dlatego była przydatna w roli Amyrlin, że dorastała razem z Randem — wyplątanie się potem z czegoś takiego byłoby niczym wydostawanie się ze sztolni bez dna. Wieść by się rozeszła, czego by Sheriam nie zrobiła; niektóre z Komnaty zapewne ją obarczyłyby winą, względnie wykorzystałyby to jako pretekst. Romanda i Lelaine nie były jedynymi Opiekunkami, które przestrzegły Egwene przed korzystaniem z rad Sheriam bez uprzedniego skonsultowania się z Komnatą. Prawdę powiedziawszy, tylko Delana tak naprawdę zdawała się w pełni wspierać Sheriam, ale ona też radziła słuchać Romandy i Lelaine, jakby człowiek rzeczywiście mógł kierować się sugestiami trzech osób. I nawet gdyby poradziła sobie jakoś z Komnatą, to jeśli wieści o złożeniu, a następnie wycofaniu obietnicy dotarłyby do Randa, to miałyby z nim potem dziesięć razy trudniejszą przeprawę. Sto razy trudniejszą.

Egwene nie czekała, aż Sheriam otworzy usta, tylko przemówiła jako pierwsza.

— Oczywiście powiedziałam mu, że to niedorzeczność.

— Oczywiście. — W głosie Sheriam nie było już takiej pewności jak przedtem. I bardzo dobrze.

— Ale raczej masz rację. Sytuacja jest delikatna. Co za szkoda. Twoja rada odnośnie traktowania Romandy i Lelaine okazała się przydatna, ale moim zdaniem w tej chwili samo przyspieszenie przygotowań do wyjazdu już nie wystarczy.

Romanda rozmawiała z nią na osobności i surowym tonem wygłosiła wykład o tym, że pośpiech wiedzie do nieszczęścia; armia Garetha Bryne'a winna się rozrosnąć, rozrosnąć do takich rozmiarów, by wieści o niej zastraszyły Elaidę.

Poza tym brakowało jej słów, by dostatecznie mocno podkreślić, po raz kolejny, że misje poselskie posłane do władców winny otrzymać rozkaz powrotu; nikt oprócz Aes Sedai nie może się dowiedzieć o kłopotliwej sytuacji w Wieży, jeśli da się tego uniknąć. Lelaine, dla odmiany, nie interesowała się ani armią lorda Bryne'a, ani władcami — jedni i drudzy się nie liczyli — aczkolwiek doradzała ostrożność i czekanie. Odpowiednio przeprowadzone pertraktacje z tymi Aes Sedai, które jeszcze pozostawały w Wieży, z pewnością przyniosą żniwo; można usunąć Elaide z Tronu Amyrlin i posadzić na nim Egwene w taki sposób, że nikt oprócz kilku siostr nie będzie w ogóle wiedział, co tak naprawdę się stało. Po jakimś czasie fakt, że w Białej Wieży kiedykolwiek doszło do rozłamu, nie będzie uważany za nic więcej jak tylko wioskową plotkę. Wszystko to mogło się udać, gdyby miały dość czasu. Zwłaszcza jeśli Elaida byłaby pozbawiona sposobności wpływania na siostry zgromadzone tutaj.

Lelaine różniła się od Romandy również tym, że wszystko mówiła z uśmiechem, który byłby jak najbardziej stosowny, gdy by przemawiała do ulubionej nowicjuszki albo Przyjętej dającej wiele powodów do dumy. Ponowne odkrycie Podróżowania dokonane przez Egwene wywołało moc uśmiechów na twarzach Aes Sedai, aczkolwiek jedynie garstka była dostatecznie silna, by wykonać bramę na tyle dużą, że dało się przez nią przełożyć rękę; większość nie potrafiła nawet tego. Romanda chciała wykorzystać bramy do zabrania z Wieży Różdżki Przysiąg, razem z paroma innymi przedmiotami — Egwene nie dowiedziała się, jakimi dokładnie — dzięki czemu mogłyby tworzyć w Salidarze prawdziwe Aes Sedai, jednocześnie pozbawiając tej możliwości Elaide; Egwene z pewnością chciała być prawdziwą Aes Sedai. Lelaine zgodziła się z tym ostatnim, ale nie podobał jej się pomysł z przedostawaniem się do Wieży za pomocą bram; ryzyko, że zostaną wykryte, było zbyt duże, a poza tym straciłyby sporo ze swej przewagi, gdyby te z Wieży nauczyły się Podróżować. Te zastrzeżenia mocno zaważyły na opinii Komnaty, co bynajmniej nie zachwyciło Romandy.

Na twarzy Sheriam nie było uśmiechu.

— Matko, nie jestem pewna, czy cię dobrze pojęłam — powiedziała podejrzanie ugodowym tonem. — Przygotowania z pewnością wystarczą do przekonania Komnaty, że nie dasz się okpić. Wyjazd, zanim sprawy zostaną uporządkowane, może się okazać katastrofalny w skutkach.

Egwene zdobyła się na obłudną minę.

— Rozumiem, Sheriam. Nie wiem, co ja bym zrobiła bez twoich rad. — Nie mogła doczekać się dnia, kiedy nareszcie położy temu kres. Sheriam znakomicie się nadawała na Opiekunkę — może nawet na Amyrlin — ale Egwene cieszyła się już na myśl o chwili, kiedy pokaże tej kobiecie, gdzie jej miejsce. Nie tylko jej, ale również Komnacie. — Chodzi tylko o to, że Mat i jego armia Zaprzysięgłych Smokowi stoi na naszym progu. Co zrobi lord Bryne? Albo któryś z jego żołnierzy? Na własną rękę. Wszyscy mówią, że on chciał wysłać swoich ludzi, by

polowali na tych Zaprzysięgłych Smokowi, za to, że rzekomo puszczają wioski z dymem. Wiem, że mu przykazano, by ich trzymał w ryzach, ale...

— Lord Gareth zrobi dokładnie to, co my... co ty rozkażesz, i nic więcej.

— Może. — Nie był aż taki zachwycony tym poleceniem, jak się Sheriam wydawało. Siuan spędzała z nim całkiem sporo czasu, mimo bezustannego sarkania na jego temat, i on mówił jej różne rzeczy. Egwene nie mogła jednak nadużyć zaufania Siuan.

— Mam nadzieję, że to samo da się powiedzieć o każdym z jego żołnierzy. Nie możemy ruszyć na zachód, do Amadicii, ale wydaje mi się, że mogłybyśmy pojechać w dół rzeki, do Ebou Dar. Może przez bramę. Z pewnością Aes Sedai byłyby tam mile widziane. Lord Bryne mógłby rozbić obóz za miastem. Przeprowadzką dałybyśmy do zrozumienia, że nie zamierzamy przyjmować... propozycji Randa, o ile tak to można nazwać. I jeśli zależy nam na dalszych przygotowaniach, to jestem pewna, że więcej zdziałamy w dużym mieście, gdzie są drogi, statki i port.

Sheriam znowu utraciła nad sobą panowanie, do tego stopnia, że w jej głosie pojawiła się zadyszka.

— Ebou Dar nie jest aż takie gościnne, Matko. A kilka siostr to coś zupełnie innego niż kilkaset, zwłaszcza jeśli za plecami mają armię. Matko, wystarczy wzmianka i Tylin może uznać, że chcemy zawładnąć miastem. I to nie tylko Tylin, ale również wielu altarańskich arystokratów, którzy nie pragną niczego innego jak tylko pretekstu, by móc ją zdetronizować i zagarnąć Tron Wiatrów. Taki rozstrój pograży nas w oczach każdego władcy. Nie, Matko, to raczej nie wchodzi w rachubę.

— Ale czy teraz odważymy się tutaj zostać? Mat nic nie robi, ale wystarczy, że garstka żołnierzy Garetha Bryne'a postanowi wziąć sprawę w swoje ręce. — Egwene spojrzała krzywo na swe spódnice, wygładziła je, jakby się czymś zafrasowała, po czym westchnęła. — Im dłużej będziemy tak siedzieć z założonymi rękami, sterroryzowane przez armię Zaprzysięgłych Smokowi, tym będzie gorzej. Nie zdziwię się, jeśli dotrą do mnie plotki, że oni chcą nas zaatakować, i jeśli ludzie zaczną mówić, że to my powinniśmy to zrobić pierwsze. — Gdyby się nie powiodło, to na pewno powstaną plotki. Nynaeve, Elayne, Siuan i Leane już tego dopilnują. To będzie ryzykowne, ale Egwene uważała, że potrafi znaleźć sposób, by zmusić Mata do wycofania się, zanim polecą iskry. — No cóż, wieści rozchodzą się tak szybko, że nie byłabym zdziwiona, gdyby za miesiąc połowa Altary uznała, że to my jesteśmy Zaprzysięgłymi Smokowi. — Były takie pogłoski; wyciszyłaby je, gdyby wiedziała, jak to zrobić. Komnata przestała przysyłać arystokratów na oglądanie Logaina od czasu, gdy został Uzdrawiony, ale Bryne nadal organizował pobór, grupy Aes Sedai dalej polowały na nowe nowicjuszki, a służba z Salidaru nadal udawała się na długie wyprawy do najbliższych wiosek, z wozami i furami, żeby kupować żywność. Ta plotka mogła się rozchodzić setką ścieżek, a wszak potrzebowała tylko jednej. — Sheriam, nie mogę się wy-

zbyć uczucia, że tkwimy tu jak zamknięte w jakiejś skrzyni i że jeśli się z niej nie wydostaniemy, to nic dobrego z tego nie wyniknie. Nic a nic.

— Moja odpowiedź brzmi: odesłać Zaprzysięgłych Smokowi — powiedziała Sheriam, już nie tak cierpliwie jak przedtem. — Będę żałowała, że znowu wypuszczamy Mata z rąk, ale obawiam się, że nie mamy innego wyjścia. Powiedziałas mu już, że propozycja zostaje odrzucona; każ mu teraz odjechać.

— Bardzo mi przykro, ale to nie jest takie proste. Nie sądzę, by zechciał się oddalić, jeśli się go poprosi, Sheriam. Dał do zrozumienia, że kazano mu czekać, dopóki coś się nie stanie. Prawdopodobnie czeka na rozkazy od Randa albo nawet na samego Randa. Po Cairhien krążą pogłoski, że on czasami Podróżuje w towarzystwie kilku tych mężczyzn, których przy sobie zgromadził. To chyba ci, których uczy przenosić. Nie wiem, co zrobimy, jeśli to się stanie.

Sheriam zagapiła się na nią, oddychając dość ciężko, co kontrastowało ze spokojnym wyrazem jej twarzy.

Rozległo się skrobanie do drzwi, które zapowiedziało Tabithę z tacą wykutą ze srebra. Nie zwróciwszy uwagi na atmosferę panującą w izbie, zaczęła denerwująco powoli rozstawiać dzbanek z zielonej porcelany i takie same filiżanki, srebrny słoiczek z miodem, niewielki dzbanuszek ze śmietanką i lniane serwetki obrzeżone koronką, dopóki Sheriam nie warknęła na nią, żeby się pospieszyła, tak zapalczywie, że Tabitha tylko pisnęła, dygnęła z wytrzeszczonymi oczyma tak, że omal nie dotknęła głową posadzki, i uciekła.

Sheriam przez chwilę zajmowała się wygładzaniem spódnic, odzyskując panowanie nad sobą.

— A więc może jednak sytuacja nakazuje nam wyjazd z Salidaru — powiedziała na koniec, z wyraźną niechęcią. — I to prędzej, niż bym sobie życzyła.

— Ale pozostała nam tylko droga na północ. — Egwene zogniały oczy. Światłości, jak ona tego nie znosiła! — To będzie tak wyglądało, jakbyśmy się udawały do Tar Valon.

— Wiem o tym — niemalże odwarknęła Sheriam. Wciągnęła oddech i złagodziła ton głosu. — Wybacz mi, Matko. Czuję się trochę... Nie lubię, jak się mnie do czegoś zmusza, i obawiam się, że Rand al'Thor nie pozostawia nam wyboru: każe, byśmy podały mu rękę, mimo że nie jesteśmy jeszcze do tego gotowe.

— Rozmówię się z nim, kiedy go zobaczę — obiecała Egwene. — Nawet sobie nie wyobrażam, co ja bym zrobiła bez twoich rad. — Może znajdzie jakiś sposób na zagnanie Sheriam do pobierania nauk u Mądrych. Wizja Sheriam po, powiedzmy, połowie roku spędzonej z Sorileą sprawiła, że Egwene uśmiechnęła szeroko. A Sheriam musiała odwzajemnić uśmiech. — Z miodem czy gorzką? — spytała Egwene, biorąc dzbanek do ręki.

## NIESPODZIEWANY ŚMIECH

— Trzeba im jakoś przemówić do rozumu i ty musisz mi w tym pomóc — powiedział Mat, nie wyjmując fajki z ust. Thom, czy ty mnie słuchasz?

Siedzieli na odwróconych do góry dnem baryłkach, w skąnym cieniu jakiegoś jednopiętrowego domu i palili fajki. Stary, chudy bard wyglądał na znacznie bardziej zaaferowanego listem przekazanym mu przez Randa. Wcisnął go teraz do kieszeni kaftana, nie złamawszy pieczęci z wizerunkiem drzewa i korony. W tym miejscu gwar rozmów i skrzywienie kół przepelniające ulicę, z którą łączyła się ta alejka, zdawały się dobiegać jakby z oddalenia. Ich twarze ociekały potem. Ale przynajmniej jedna sprawa została chwilowo załatwiona. Po wyjściu z Małej Wieży Mat przekonał się, że grupa Aes Sedai zawlokła dokądś Aviendhę; w najbliższym czasie nie będzie miała okazji nikogo ugodzić nożem.

Thom wyjął z ust fajkę z długim cybuchem pokrytym rzeźbieniami w kształcie liści dębu i żołądzi.

— Próbowałem kiedyś uratować jedną kobietę, Mat. Larithę poznałem w pewnej wiosce, w której zrobiłem sobie kilkudniową przerwę w podróży; była jak ten różany pączek, a poślubiła szewca, ponurego bydlaka. Prawdziwego bydlaka. Darł się na nią, jeśli kolacja nie była jeszcze gotowa, a on chciał już do niej zasiąść, i bił różgą, jeśli zauważył, że zamieniła więcej niż dwa słowa z jakimś obcym mężczyzną.

— Na Szczelinę Zagłady, Thom! Co to ma wspólnego z przemawianiem tym kobietom do rozumu?

— Wysłuchaj mnie, chłopcze. Wszyscy w wiosce wiedzieli, jak on ją traktuje, ale to Laritha sama mi o wszystkim opowiedziała, cały czas biadoląc, jak to ona marzy, by ktoś ją wyratował. Miałem złoto w sakiewce, a także wspaniały powóz, woźnicę i służącego. Byłem młody, przystojny... — Thom przejechał kłykciami po siwych wąsach i westchnął; trudno było uwierzyć, że ta pomarszczona twarz mogła być kiedyś przystojna. Mat zamrugał oczami. Powóz? W jakich to czasach zwykły bard posiadał własny powóz? — Mat, serce mi się krajało, że ta kobieta znalazła się w takim ciężkim położeniu. I nie zaprzeczę, jej twarz też je poruszyła. Jak już powiedziałem, byłem młody; wydawało mi się, że się zakochałem niczym bohater powieści. Tak więc któregoś dnia, gdyśmy razem zasiedli pod kwitnącą



jabłonią, dobrze oddaloną od domu szewca, zaproponowałem, że ją zabiorę. Że ofiaruję jej pokojówkę, własny dom i że będę ją wielbił w pieśni oraz wierszu. Kiedy nareszcie zrozumiała, kopnęła mnie w kolano tak mocno, że kulałem przez miesiąc, a oprócz tego jeszcze walnęła mnie ławką.

— Wychodzi na to, że one wszystkie lubią kopać — mruknął Mat, poprawiając się na barylce. — Pewnie ci nie uwierzyła, więc jak ją tu winić?

— Ależ uwierzyła! I oburzyła się, że mi w ogóle przyszło do głowy, jakoby ona miała kiedykolwiek opuścić swego ukochanego męża. Jej własne słowo: „ukochanego”. Pobiegła do tego człowieka, co sił w nogach, a mnie pozostał wybór: albo go zabiję, albo natychmiast wskoczę do swojego powozu. Musiałem zostawić prawie całą garderobę, jaką posiadałem. Podejrzewam, że ona żyje z nim po dziś dzień i to na takiej samej stopie jak ongiś. Zaciska w garści sznureczki od sakiewki i rozbija mu głowę wszystkim, co jej wpadnie w ręce, za każdym razem, gdy on wstąpi do gospody na kufel mocnego trunku. Tak jak to zawsze robiła, czego dowiedziałem się później drogą sekretnych dociekań. — Stuknął fajką o zęby, jakby chciał dobitnie podkreślić swoje słowa.

Mat podrapał się po głowie.

— Nadal nie rozumiem, gdzie tu związek.

— Po prostu nie myśl sobie, że znasz całą historię, kiedy poznałeś tylko jej część. Czy wiesz, na przykład, że Elayne i Nynaeve wyjeżdżają za kilka dni do Ebou Dar? Ja i Juilin mamy im towarzyszyć.

— Ebou... ! — Mat ledwie zdążył złapać fajkę zębami, zanim ta upadła na uschłe chwasty wyściełające alejkę. Nalesean opowiedział kilka historii, które mu się przydarzyły podczas jednej wizyty w Ebou Dar, i wynikało z nich, że to burzliwe miejsce, nawet jeśli wziąć poprawkę na jego zwyczaj przechwalania się w związku z kobietami albo bójkami, w jakich rzekomo uczestniczył. A więc to tak? Uznały, że uda im się wywieźć potajemnie Elayne? — Thom, musisz mi pomóc...

— W czym? — wtrącił Thom. — W wykradzeniu ich szewcowi? — Wymuchnął kłęb błękitnawego dymu. — Nie zrobię tego, chłopcze. Nadal nie znasz całej historii. I co ty właściwie czujesz względem Egwene i Nynaeve? Nie, cofam to, niech to będzie tylko Egwene.

Mat zmarszczył czoło, zastanawiając się, czy ten człowiek przypadkiem sobie nie wymyślił, że wszystko zaciemni, jeśli będzie dostatecznie długo mówił zagadkami.

— Lubię Egwene. L.. A żebym szczeł, Thom, Egwene to Egwene i można już na tym poprzestać. Właśnie dlatego próbuję uratować ten jej głupi kark.

— Chcesz powiedzieć, uratować ją z rąk szewca — mruknął Thom, ale Mat ciągnął dalej.

— Kark jej i Elayne; nawet kark Nynaeve, pod warunkiem, że ona mnie najpierw nie udusi. Światłości! Chcę im tylko pomóc. A poza tym, jeśli pozwolę, by

Elayne coś się stało, to wtedy Rand urwie mi głowę.

— A czyś ty się kiedykolwiek zastanawiał, jak im pomóc w taki sposób, by mogły zrobić to, co same chcą, a nie to, czego ty chcesz? Gdybym ja mógł zrobić to, co chcą, to posadziłbym Elayne na jakiegoś konia i skierował do Andoru. Niestety, ona jest zmuszona... tak to, moim zdaniem trzeba określić: jest zmuszona... robić inne rzeczy, więc uganiam się tylko za nią, pocąc dniem i nocą ze strachu, że ktoś ją zabije, zanim uda mi się temu zapobiec. Elayne pojedzie do Caemlyn, kiedy będzie mogła. — Z ukontentowaniem zaciągnął się fajką, ale na samym końcu tyrady w jego głosie zabrzmiała jakaś fałszywa nuta, jakby wbrew pozorom nie podobało mu się to, co mówi.

— A mnie się zdaje, że one chcą sprezentować własne głowy Elaidzie. — Ach tak? Thom posadziłby tę głupią dziewczkę na konia? Bard, który wlecze Dziedziczkę Tronu na jej własną koronację! Wysokie mniemanie ma o sobie ten Thom.

— Przecież nie jesteś jakimś byle durniem, Mat — powiedział cicho Thom. — Wiesz dobrze, co zrobić. Egwene... Trudno myśleć o tym dziecku jako o Amyrlin... — Mat chrząknął kwaśno na znak, że się z nim zgadza, ale Thom nie zwrócił na to uwagi. — ...jednak moim zdaniem ma mocny kręgosłup. Za wcześniej orzekać, czy niektóre fakty to nie czysty zbieg okoliczności, ale zaczynam wierzyć, że ona ma również rozum. Pytanie tylko, czy jest dostatecznie twarda? Jeśli nie, to zjedzą ją żywcem: kręgosłup, rozum i całą resztę.

— A niby kto ją zje? Elaida?

— A któżby inny? Niech no tylko nadarzy jej się sposobność. Z kolei tutejsze Aes Sedai nie bardzo uważają Egwene za Aes Sedai; może za Amyrlin tak, ale nie za Aes Sedai, jakkolwiek brzmi to niewiarygodnie. — Thom pokręcił głową. — Nic z tego nie rozumiem, ale to prawda. To samo się tyczy Elayne i Nynaeve. Oczywiście starają się zachować to w tajemnicy, ale nawet Aes Sedai nie są tak nieprzeniknione, jak im się wydaje; jeśli je bacznie obserwować, można dowiedzieć się niejednego. — Znowu wyciągnął list, ale tylko obrócił go w dłoniach, nawet na niego nie patrząc. — Egwene spaceruje po krawędzi urwiska, Mat, i te trzy frakcje, jakie powstały w Salidarze... na pewno trzy, jestem tego pewien... mogą ją zepchnąć w przepaść, jeżeli zrobi jeden zły krok. Elayne skoczy za nią, jeśli do tego dojdzie, podobnie Nynaeve. Albo tamte zepchną te dwie jako pierwsze, po to, by pociągnęły Egwene za sobą.

— Frakcje, jakie powstały w Salidarze... — powtórzył Mat, głosem płaskim jak dobrze oheblowana deszczułka. Thom przytaknął ze spokojem, a wtedy Mat nie pohamował się i wykrzyknął. — I ty chcesz, żebym ja je tutaj zostawił?!

— Chcę, żebyś ty przestał wierzyć, że je do czegokolwiek zmusisz. One już postanowiły, co będą robić, i ty tej decyzji nie zmienisz. Za to być może, powtarzam, być może, masz szansę pomóc mi w ratowaniu im życia.

Mat poderwał się na nogi. W myślach wykwił mu obraz kobiety z nożem wbitym między piersi; nie było to jedno z zapożyczonych wspomnień. Kopnął

beczulkę, która posłużyła mu za siedzisko; poturlała się w głąb alejki. Miałby pomagać jakiemuś tam bardowi w ratowaniu im życia? Coś mu się niejasno przypominało; ktoś, chyba Basel Gill, oberżysta z Caemlyn, mówił coś do Thoma, ale ta wizja była jak mgła, która natychmiast się rozwiała, ledwie spróbował ją pochwycić.

— Od kogo ten list, Thom? Od jeszcze jednej kobiety, którą uratowałeś? Czy raczej zostawiłeś tam, gdzie mogli uciąć jej głowę?

— Zostawiłem ją — odparł cichym głosem Thom. Powstawszy, odszedł, nie mówiąc już ani słowa.

Mat wyciągnął rękę, żeby go zatrzymać. zaczął coś mówić. Tyle że nie wiedział, co powiedzieć.

„Szalony starzec!”

Nie, Thom nie był szaleńcem. Egwene była uparta jak muł, przy czym w porównaniu z Nynaeve mogła uchodzić za wzór uległości. Każda z nich wspięłaby się na drzewo, by móc się lepiej przyjrzeć błyskawicy. A co się tyczy Elayne... wszystkim arystokratkom do tego stopnia brakowało rozsądku, że nie chciały się schować, jak padał deszcz. I potem, kiedy już porządnie zmokły, pałały oburzeniem.

Wystukawszy zawartość fajki, zmiażdżył tłące się popioły obcasem, zanim uschłe chwasty zdążyły się zająć ogniem, po czym porwał z ziemi kapelusz i pokuśtykał w stronę ulicy. Potrzebował informacji z lepszego źródła niż bard, któremu od uganiania się w towarzystwie tej zarozumiałej dziewczki zaczęło się roić, że jest nie wiadomo kim. Po lewej stronie zauważył Nynaeve wychodzącą właśnie z Małej Wieży, więc ruszył w jej stronę, lawirując między obładowanymi furami ciągnionymi przez woły albo konie. Ona mogła mu powiedzieć wszystko, co musiał wiedzieć. O ile zechce. Poczł skurcz w biodrze.

„Światłości, jest mi winna kilka wyjaśnień”.

Jednak w tym właśnie momencie Nynaeve spostrzegła go i wyraźnie zeszywniała. Obserwowała go przez chwilę, po czym nagle pospiesznie ruszyła w przeciwnym kierunku, ewidentnie starając się uniknąć spotkania. Dwukrotnie obejrzała się przez ramię, zanim skryli ją ludzie i wozy.

Zachmurzony zatrzymał się i naciągnął kapelusz na czoło. Ta kobieta najpierw skopała go bez powodu, a teraz nie chce z nim rozmawiać. One obie, Nynaeve i Egwene, postanowiły sobie, że będą tak długo doprowadzać go do pasji, aż wreszcie zaczną brać nogi za pas, kiedy tylko na niego spojrzą.

„No cóż, wybrały sobie niewłaściwego człowieka; a żeby szczęły!”

Vanin i pozostali stali przed stajnią sąsiadującą z kamiennym budynkiem, który w przeszłości musiał służyć za oberżę. Przez drzwi przelewał się teraz sznur Aes Sedai. Oczko był uwiązany do bariery razem z innymi końmi, a Vanin i pozostali pojmani do niewoli zwiadowcy przycupnęli pod ścianą. Mar i Ladwin różnili się od siebie najbardziej jak tylko można — jeden wysoki, chudy i obdarzony

grubymi rysami, drugi niski, tęgawy i łagodny z twarzy, ale obaj wyglądali na identycznie zawstydzonych, kiedy Mat do nich podszedł. Żaden jak dotąd nie pogodził się z tym, że tak łatwo dał się złapać. Dwaj chorążowie stali wyprężeni na baczność, wciąż przyciskając zwinięte sztandary do drzewców, jakby to jeszcze miało jakikolwiek sens. Obaj robili wrażenie co najmniej załęcznionych. Bitwa to jedno, a wszystkie te Aes Sedai to coś zgoła innego. W walce mężczyzna ma przynajmniej jakieś szanse. Pilnowało ich dwóch Strażników, bardzo dyskretnie, i na dodatek dzieliła ich cała przestrzeń dziedzińca stajennego, ale nie przypadkiem wybrali sobie to miejsce, w pełnym słońcu, na rozmowę.

Mat pogłodził Oczko po chrapach, a po chwili zaczął badać mu oczy. Ze stajni wyłonił się jakiś mężczyzna w skórzanej kamizeli; pchał ręczny wózek wypełniony gnojem. Vanin podszedł bliżej i też przyjrzał się ślepiom Oczka. Mat, nie patrząc na niego, zapytał:

— Mógłbyś dotrzeć do Legionu?

— Może. — Vanin zmarszczył czoło i uniósł zwierzęciu powiekę. — Może, przy odrobinie szczęścia. Ale za nic nie chciałbym zostawić swojego konia.

Mat skinął głową, jeszcze uważniej przyglądając się końskiemu oku.

— Przekaż Talmanesowi, że kazałem nie ruszać się z miejsca. Może zostanie tu kilka dni i nie chcę żadnej cholernej odsieczki. A ty postaraj się do mnie wrócić. W miarę możliwości tak, żeby cię nie widziano.

Vanin splunął w pył pod kopytami Oczka.

— Kiedy człowiek się zadaje z Aes Sedai, to tak, jakby dał się okiełznać i osiodłać. Wrócę, kiedy będę mógł. — Odszedł, kręcąc głową, i już po chwili wmieszał się w tłum, tłusty, niechlujny mężczyzna o rozkołysanym chodzie, którego nikt by nie podejrzewał, że potrafi się tak znakomicie skradać.

Jeden z rekrutów chrząknął z wahaniem, po czym podszedł do Mata.

— Mój panie, czy wszystko... ? To właśnie sobie zamierzyłeś, nieprawdaż, mój panie?

— Wszystko zgodnie z planem, Verdin — odparł Mat, klepiąc Oczko po grzbiecie. Najpierw wpadł do worka, głową naprzód, a potem ktoś zaciągnął sznurki. Obiecał Randowi, że dopilnuje, by Elayne dotarła bezpiecznie do Camlyn, więc nie mógł wyjechać bez niej. Nie mógł też oddalić się ukradkiem i pozwolić, by Egwene dobrowolnie ułożyła kark na pniaku do rąbania drewna. Niewykluczone — Światłości, ależ to go denerwowało! — niewykluczone, że będzie musiał skorzystać z rady Thoma. Postara się, żeby te przeklęte kobiety zachowały przeklęte głowy na przeklętych karkach, pomagając im w realizacji tego wariackiego, całkiem nierealnego planu. I jednocześnie starając się pozostać w jednym kawałku. Co z kolei wykluczało trzymanie Aviendhy z dala od gardła Elayne. Cóż, przynajmniej będzie w pobliżu i rozdzieli je, jak dojdzie co do czego.

Niewielka pociecha. — Wszystko w jak najlepszym cholernym porządku.

Elayne spodziewała się, że znajdzie Aviendhę w poczekalni albo może przed Małą Wieżą, ale prawie wcale nie musiała nadstawiać uszu, żeby się dowiedzieć, dlaczego jej tam nie spotkała. Przez rozmowy pozostałych Aes Sedai przewijały się tylko dwa tematy, a dyskutowały teraz wszystkie; porzucone papiery walały się na stołach. Większość wzięła na języki Mata; nawet służące i nowicjuszki krzątające się wokół poczekalni zatrzymywały się w trakcie wypełniania jakiegoś polecenia, by zamienić kilka słów na jego temat. Był *ta'veren*. Czy to bezpieczne pozwalać *ta'veren* na pozostanie w Salidarze? Czy to prawda, że on był w Wieży i że zwyczajnie pozwolono mu odejść? Czy rzeczywiście dowodził armią Zaprzysięgłych Smokowi? Czy naprawdę go aresztują za te wszystkie okropieństwa, którymi zasłynął? To prawda, że pochodzi z tej samej wioski co Smok Odrodzony i Amyrlin? Krążyły pogłoski o dwóch *ta'veren* związanych ze Smokiem Odrodzonym; kim jest ten drugi i gdzie się podziewa? Może Mat Cauthon wie. Opinii zdawało się być tyle samo, ile osób skłonnych je wygłosić.

Były jednak dwa takie pytania, które Elayne spodziewała się usłyszeć, a nie usłyszała. Czego Mat szukał w Salidarze i skąd Rand wiedział, dokąd go przysłać? Nikt tych pytań nie zadał, ale co chwila jakaś Aes Sedai nagle poprawiała szal, jakby zrobiło jej się zimno; inna wzdrygała się, kiedy ktoś się do niej odezwał. Jakaś posługaczka zapatrzyła się na coś w samym środku posadzki, zanim otrząsnąwszy się, przysła do siebie, jakaś nowicjuszka obrzuciła siostry przestraszonym spojrzeniem. Już sam fakt, że Rand wiedział, gdzie one są, zdawał się wywoływać dreszcz.

Osoba Aviendhy nie wzbudziła aż tylu komentarzy, niemniej jednak siostry o niej rozmawiały i nie tylko po to, by zmienić temat. Nie co dzień przychodziła do nich z własnej woli jakaś dzikuska, a zwłaszcza dzikuska obdarzona tak niezwykłą siłą i na dodatek będąca Aielem. To ostatnie fascynowało autentycznie wszystkie siostry. Nigdy dotąd nie szkolono w Wieży żadnej kobiety Aielów i niewiele Aes Sedai dotarło do terytorium Pustkowiec Aiel.

Pozostawało znaleźć odpowiedź na jedno pytanie: gdzie one ją uwięziły. Może nie dosłownie uwięziły, ale Elayne wiedziała, do czego Aes Sedai są zdolne, kiedy chcą, żeby jakaś kobieta została nowicjuszką.

— Jeszcze przed zmrokiem zostanie odziana w biel — stwierdziła zdecydowanie Akarrin. Szczupła Brązowa przytakiwała jej skinieniem głowy. Dwie pozostałe siostry czyniły to z równym przekonaniem.

Elayne, posykując bezgłośnie, wyszła pospiesznie na ulicę. W oddali zauważyła biegnącą Nynaeve, która oglądała się przez ramię, tak często, że aż wpadała na ludzi. Elayne zastanawiała się, czy jej nie dogonić — była spragniona towarzysztwa — ale nie miała ochoty biegać na tym upale, nieważne, skoncentrowana,

czy nie, a zdawało się, że to jedyny sposób, by tamtą dopaść. Ostatecznie jednak podkasła spódnice i rozpędziła się.

Zanim pokonała pierwsze pięćdziesiąt kroków, poczuła zbliżającą się Birgitte, więc odwróciła się i zobaczyła ją biegnącą przez ulicę. Towarzyszyła jej Areina, ale trzymała się nieco z tyłu i z chmurną miną splatała ręce na piersi. Nieznośna dziewczka, która z pewnością nie zmieniała swych zapatrywań, mimo iż Elayne była już Aes Sedai.

— Pomyślałam sobie, że powinnaś o tym usłyszeć — rzekła cicho Birgitte. — Dowiedziałam się właśnie, że razem z nami do Ebou Dar jadą również Vandene i Adelas.

— Rozumiem — odmruknęła Elayne. Wprawdzie na dworze Tylin przebywały już trzy Aes Sedai, ale być może te dwie miały z jakiegoś powodu przyłączyć się do Merilille. A może miały wypełnić jakąś własną misję w Ebou Dar. Nie wierzyła jednak ani w jedno, ani w drugie. Areina upierała się przy swoim, Komnata postępowała podobnie. Dwie prawdziwe Aes Sedai miały towarzyszyć Elayne i Nynaeve, w charakterze przewodniczek. — A do tej dotarło, że nie jedzie?

Birgitte zerknęła w stronę, w którą spojrzała Elayne, na Areinę, po czym wzruszyła ramionami.

— Dotarło, ale nie jest tym zachwycona. Ja sama ledwie mogę się doczekać wyjazdu.

Elayne wahała się przez chwilę. Obiecała, że dochowa tajemnicy, co jej się wcale nie podobało, ale przecież nie zobowiązała się, że przestanie przekonywać tę kobietę, iż nie ma potrzeby i sensu, aby im towarzyszyła.

— Birgitte, Egwene...

— Nie!

— Dlaczego nie? — Krótco po tym, jak Birgitte została jej Strażnikiem, Elayne postanowiła, że kiedy już zwiąże więzią Randa, w jakiś sposób wymusi na nim obietnicę, że będzie robić to, co mu się każe, przynajmniej wtedy, kiedy to będzie ważne. Ostatnio stwierdziła, że uczyni jeszcze jedno zastrzeżenie. On będzie odpowiadał na jej pytania. Birgitte robiła to, kiedy miała ochotę albo w jakiś sposób uchylała się od odpowiedzi, kiedy tak jej było wygodnie, a czasami po prostu robiła upartą minę, tak jak teraz. — Wyjaśnij mi, dlaczego nie; jeśli powód okaże się przekonujący, już nigdy o to nie zapytam.

Z początku Birgitte tylko patrzyła na nią chmurnie, lecz potem ujęła ją pod ramię i prawie zagnała do ujścia alejki. Żaden przechodzień nie spojrzał na nie nawet dwa razy, Areina zaś, z twarzą jeszcze czerwienią niż przed chwilą, pozostała na swoim miejscu, ale Birgitte nadal rozglądała się ostrożnie dookoła i przemawiała szeptem.

— Zawsze, kiedy Koło wyrzucało mnie z Wzoru, rodziłam się, żyłam i umierałam, nie wiedząc nawet, że jestem z nim związana. Wiedziałam o tym tylko w *Tel'aran'rhiod*. Czasami stawałam się znana, a nawet sławna, ale byłam taka

jak wszyscy, nie jak ktoś z legendy. Tym razem zostałam wypruta, nie wyrzucona. Po raz pierwszy mam ciało i wiem, kim jestem. Po raz pierwszy mogą mnie też poznać inni ludzie. Znają mnie Thom i Juilin; nic nie mówią, ale jestem tego pewna. Nie patrzą na mnie tak jak reszta. Gdybym powiedziała, że zamierzam się wdrapać na szklaną górę i zabić jakiegoś olbrzyma gołymi rękoma, zapytaliby tylko, czy potrzebuję jakiegoś wsparcia, i nie spodziewaliby się, że o nie poproszę.

— Nie rozumiem — powiedziała powoli Elayne, a Birgitte westchnęła i zwiesiła głowę.

— Nie wiem, czy potrafię temu sprostać. W innych żywotach robiłam to, co musiałam, to, co zdawało się słuszne, dostatecznie słuszne dla Maerion, Joany czy jakiegokolwiek innej kobiety. Teraz jestem Birgitte z opowieści. Każdy, kto o tym wie, będzie się czegoś po mnie spodziewał. Czuję się jak uczestnik tańca piór wkraczający na konklawe w Tovan.

Elayne nie zadała pytania; kiedy Birgitte wspominała o czymś z poprzednich żywotów, to jej wyjaśnienia zazwyczaj wprowadzały jeszcze większy zamęt niż niewiedza.

— Przecież to nonsens — odparła stanowczo, chwytając ją za ramiona. — Ja ciebie znam, a wcale nie oczekuję, że będziesz zabijała jakieś olbrzymy. Podobnie Egwene, która też już o tobie wie.

— Dopóki sama się nie przyznam — mruknęła Birgitte będzie tak, jakby ona mnie nie rozpoznała. Nie musisz mówić, że to też nonsens; wiem, że tak jest, ale to niczego nie zmienia.

— No i co z tego? Ona jest Amyrlin, a ty Strażnikiem. Ona zasługuje na twoje zaufanie, Birgitte. Ona go potrzebuje.

— Czy już z nią skończyłaś? — spytała zrzędlwym tonem Areina z odległości kroku. — Jeśli zamierzasz wyjechać i zostawić mnie, to przynajmniej mogłabyś mi pomóc w nauce strzelania z łuku, tak jak obiecałaś

— Zastanowię się nad tym — powiedziała cicho Birgitte do Elayne. Odwróciwszy się w stronę Areiny, złapała ją za warkocz, tuż nad karkiem. — Zajmiemy się sztuką strzelania z łuku obiecała, popychając ją w górę ulicy — ale najpierw porozmawiamy sobie o dobrych manierach.

Elayne, kręcąc głową, przypomniała sobie o Aviendzie i pobiegła przed siebie. Nie miała daleko.

Aviendhę rozpoznała dopiero po chwili. Była przyzwyczajona do jej wido-ku w *cadin'sor*, ze ściętymi na krótko ciemnorudymi włosami, a nie w spódnicy, bluzce i szalu, z włosami opadającymi na ramiona i odgarniętymi z twarzy za pomocą złożonej chustki. Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało, że boryka się z jakimiś trudnościami. Siedziała dość niezdarnie na krześle — Aielowie nie byli przyzwyczajeni do krzeseł — zdawała się spokojnie popijać herbatę z pięcioma siostrami siedzącymi w kręgu w bawialni. Takie pomieszczenia znajdowały się w tych domach, w których zamieszkały Aes Sedai, aczkolwiek Elayne i Nyna-

eve nadal korzystały ze swej ciasnej izdebki. Drugi rzut oka pokazał, że Aviendha popatruje ponuro na Aes Sedai znad brzegu filizanki. Na trzeci rzut oka nie starczyło czasu; na widok Elayne Aviendha poderwała się na równe nogi i upuściła naczynie na wymiecioną posadzkę. Poza Kamieniem Łzy Elayne spotkała niewielu Aielów, wiedziała jednak, że oni skrywają emocje, a Aviendha robiła to bardzo skutecznie. A tymczasem teraz na jej twarzy malowała się jawna udreka.

— Bardzo mi przykro — oznajmiła całemu towarzystwu Elayne — ale muszę wam ją na trochę zabrać. Porozmawiacie sobie później.

Kilka siostr zawahało się, wyraźnie gotowych zaraz zaprotestować, mimo iż nie miały ku temu podstaw. Jeżeli nie liczyć Aviendhy, Elayne była ewidentnie najsilniejsza w tej izbie, a poza tym żadna z tych Aes Sedai nie była Opiekunką, względnie członkinią rady Sheriam. Cieszyła się, że nie ma tu Myrelle, która wszak mieszkała w tym domu. Elayne wybrała Zielone i została przyjęta, po czym dowiedziała się, że głową Zielonych Ajah w Salidarze jest Myrelle. Myrelle, która została Aes Sedai przed zaledwie piętnastu laty. Elayne wiedziała, że są w Salidarze takie Zielone, które noszą szal od co najmniej pięćdziesięciu lat, mimo iż żadna nie miała siwych włosów. Gdyby Myrelle była tu teraz i zechciała zatrzymać Aviendhę, to cała siła Elayne zupełnie by się nie liczyła. W takiej sytuacji jedynie Shana, Biała o wyłupiastych oczach, która zdaniem Elayne przypominała rybę, posunęła się do tego, że otworzyła szerzej usta, chcąc coś powiedzieć, po czym z dość ponurą miną je zamknęła, kiedy Elayne wygięła brwi w łuk.

Cała piątka zacisnęła usta, ale Elayne zignorowała to.

— Dziękuję wam — powiedziała z uśmiechem, mimo iż wcale nie było jej wesoło.

Aviendha zarzuciła na plecy swój bury tobołek, ale ociągała się, dopóki Elayne nie kazała jej iść ze sobą. Na ulicy powiedziała:

— Przepraszam cię za tamto. Dopilnuję, żeby to się więcej nie powtórzyło. — To jej się uda, była tego pewna. — Nie ma tu wielu miejsc, w których można porozmawiać na osobności, obawiam się. W mojej izbie jest gorąco o tej porze. Mogłybyśmy poszukać cienia albo napić się herbaty, chyba że napiły cię nią do przesytu.

— Twoja izba. — Niby nie zabrzmiało to specjalnie opryskliwie, ale Aviendha najwyraźniej nie miała ochoty rozmawiać, przynajmniej w tym momencie. Nagle pomknęła w stronę właśnie mijającej je fury, załadowanej drewnem na opał, i pochwytiła konar, który miał zostać porąbany na drewno do rozpałki, dłuższy od jej ręki i grubszy od kciuka. Ponownie podeszła do Elayne, po czym zabrała się za odzieranie kory za pomocą noża; ostrze odcinało mniejsze gałązki niczym brzytwa. Udreka zniknęła z jej twarzy. Zdawała się teraz zdeterminowana.

Szły dalej, a Elayne przypatrywała się swojej towarzyszce z ukosa. Nie uwierzyłaby, że Aviendha chce jej zrobić coś złego, niezależnie od tego, co mówił ten prostak, Mat Cauthon. Ale z kolei... Niewiele wiedziała o *ji'e'toh*; Aviendha wy-



jaśniła co nieco, kiedy były razem w Kamieniu Łzy. Może Rand coś powiedział albo zrobił. Może to ten galimatias honoru i zobowiązania wymagał od Aviendhy. . . To się jakoś nie wydawało możliwe. Ale z kolei. . .

Kiedy dotarły do izby, postanowiła, że pierwsza poruszy ten temat. Spojrzawszy w twarz drugiej kobiety — i bardzo się pilnując, żeby nie objąć *saidara* — zaczęła:

— Mat twierdzi, że zjawiłaś się tu, bo chcesz mnie zabić.

Aviendha zamrugła oczami.

— Mieszkańcy bagien zawsze rozumieją wszystko na opak — powiedziała z niedowierzaniem. Położyła odarty konar w stopach łóżka Nynaeve, a obok pieczołowicie nóż. — Moja prawie-siostra Egwene poprosiła, żebym pilnowała dla ciebie Randa, a ja obiecałam, że to uczynię. — Tobołek i szal spoczęły na podłodze, tuż obok drzwi. — Mam wobec niej *toh*, ale jeszcze większe mam wobec ciebie. Rozwiązała tasiemki przy bluzce i ściągnęła ją przez głowę, po czym podciągnęła koszulę do pasa. — Kocham Randa al'Thora i dlatego raz z nim ległam. Mam *toh* i proszę cię, byś mi pomogła je wypełnić. — Odwróciwszy się plecami, uklękła na niewielkiej przestrzeni. Możesz użyć kija albo noża, jeśli chcesz; *toh* należy do mnie, za to wybór do ciebie. — Zadarła wysoko podbródek i zamknęła oczy. — Zgodzę się na wszystko, co wybierzesz.

Elayne miała wrażenie, że zaraz ugną się pod nią kolana. Min powiedziała, że ta trzecia kobieta będzie niebezpieczna, ale Aviendha?

„Zaraz! Ona powiedziała, że. . . Z Randem!”

Ręce jej drgnęły, jakby chciały powędrować do noża leżącego na łóżku, więc skrzyżowała je na piersi.

— Wstawaj. I ubierz bluzkę. Nie zamierzam cię bić. . . A może jednak, chociaż trochę? Zacisnęła ramiona, by utrzymać dłonie na miejscu. — . . . i z pewnością nie zamierzam dotykać tego noża. Schowaj go, proszę. — Wręczyłaby go Aviendzie, ale nie była pewna, czy w tej chwili powinna dotykać jakiegokolwiek broni. — Nie masz żadnego *toh* wobec mnie. — Sądziła, że taką frazę należy się posłużyć. — Kocham Randa, ale nic mi do tego, jeśli ty go też kochasz. — Aż ją język zapiekł od tego kłamstwa. Naprawdę z nim legła?

Aviendha obróciła się na kolanach, marszcząc czoło.

— Nie jestem pewna, czy cię rozumiem. Proponujesz, żebyśmy się nim podzieliły? Elayne, wydaje mi się, że jesteśmy przyjaciółkami, ale żeby zostać siostrami-żonami, powinnyśmy najpierw pobyć pierwszymi siostrami. Trochę potrwa, zanim się przekonamy, czy to możliwe.

Uświadomiwszy sobie, że ma szeroko otwarte usta, Elayne zamknęła je.

— Też tak myślę — odparła słabym głosem. Min stale powtarzała, że mogą się nim podzielić, ale z pewnością nie w taki sposób! Już sama taka myśl była nieprzyzwoita! — To trochę bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Kocha go jeszcze jedna kobieta.

Aviendha podniosła się tak szybko, że wyglądało to, jakby jakimś sposobem przeniosła się nagle z miejsca na miejsce.

— Jak się nazywa? — Jej zielone oczy płonęły, a w ręku trzymała nóż.

Elayne omal się nie roześmiała.

„W jednej chwili mówi o dzieleniu się, w następnej wścieka się jak..., jak... Jest tak wściekła jak ja — doszła do wniosku, bynajmniej nim nie zachwycona. — Mogło być gorzej, znacznie gorzej. To mogła być Berelain. Skoro to już musi być ktoś, to dlaczego nie Aviendha? I lepiej będzie, jak się z tym pogodzę, zamiast wierzgać nogami pod spódnicą niczym mała dziewczynka”. Usadowiła się na łóżku i splotła dłonie na podołku.

— Schowaj ten nóż i usiądź, Aviendha. I proszę, włóż bluzkę. Mam ci mnóstwo do opowiedzenia. Jest taka jedna kobieta, moja przyjaciółka, moja prawie-siostra, która ma na imię Min. . .

Aviendha ubrała się, ale upłynęło sporo czasu, zanim usiadła, i jeszcze więcej, zanim Elayne zdołała ją przekonać, że nie powinny zawiązywać spisku przeciwko Min. Na to przynajmniej się zgodziła. W końcu z niechęcią stwierdziła:

— Muszę ją poznać. Nie będę się nim dzieliła z kobietą, której nie mogę pokochać jako pierwszej siostry. — Obrzuciła badawczym spojrzeniem Elayne, która westchnęła.

Aviendha zastanowi się, czy się nim podzieli. Min była gotowa się nim podzielić. Czy ona z całej trójki jest jedyną normalną? Wedle ukrytej pod materacem mapy, Min powinna niebawem dotrzeć do Caemlyn, a może już tam była. Elayne nie miała pojęcia, czego właściwie by chciała, co by tam się miało stać. Wiedziała tylko tyle, że Min powinna wykorzystać swoje widzenia, żeby pomóc Randowi. A to oznaczało, że musi trzymać blisko niego. W czasie, gdy ona sama wyprawi się do Ebou Dar.

— Czy w życiu cokolwiek bywa proste, Aviendha?

— Nie wtedy, kiedy zamieszani są w to mężczyźni.

Elayne nie była pewna, czyj śmiech zaskoczył ją bardziej: jej samej czy Aviendhy.

# POGRÓŻKA

Min jechała konno przez Caemlyn, w spiekocie poranka; poruszała się wolno, ale niewiele widziała z otaczającego ją miasta. Ledwie zauważała ludzi i lektyki, fury i powozy, które tworzyły na ulicach takie zatory, że nie miała innego wyjścia, jak prowadzić swą gniadą klacz okrężną drogą. Kiedyś zawsze marzyła, że zamieszka w jakimś wielkim mieście i będzie podróżowała do różnych dziwnych miejsc, tego dnia jednak mijała wielobarwne wieże pokryte lśniącoymi płytkami, i wspaniałe widoki roztaczające się, gdy ulica obiegała jakieś wzgórze, praktycznie w ogóle ich nie widząc. Trochę uważniej spoglądała na grupki Aielów, którzy kroczyli przez rozstępującą się wokół nich gawieź, a także na obdarzonych orlimi nosami, często brodatych mężczyzn na koniach, którzy patrolowali miasto, ale tylko dlatego, że przypominały się jej wszystkie te opowieści, które docierały do nich już od Merandy. Merandę bardzo rozeźliły te relacje, a także zgłiszcza, dowody działalności Zaprzysięgłych Smokowi, które napotkały dwa razy, ale Min odniosła wrażenie, że pozostałe Aes Sedai się przejęły. Im mniej mówiły o tym, co sądzą o wprowadzonej przez Randa amnestii, tym lepiej.

Na samym skraju wielkiego placu przez Pałacem Królewskim ściągnęła wodze Dzikiej Róży i starannie wytarła twarz koronkową chusteczką, którą chowała w rękawie kaftana. Po tej wielkiej, owalnej przestrzeni kręciło się niewielu ludzi, może dlatego, że otwartych, głównych bram pałacu strzegli Aielowie. Więcej ich jeszcze stało na marmurowych balkonach; podobni do lampartów przemykali się także po wysokich, otoczonych kolumnami krużgankach. Na wietrze łopotał Biały Lew Andoru, zatknięty na najwyższej z kopuł. Z jednej z iglic, nieco niższej od kopuły, powiewała jeszcze jedna szkarłatna flaga; wiatr uniósł ją nieznacznie, ale Min zdążyła się zorientować, że widnieje na niej starożytny, czarno-biały symbol Aes Sedai.

Na widok Aielów pogratulowała sobie, że nie zgodziła się przyjąć proponowanej jej pary Strażników w charakterze eskorty; podejrzewała, że między Aielami i Strażnikami mogłoby dojść do spięcia. Cóż, tak właściwie to wcale nie była propozycja, a Min wyraziła swoją odmowę w ten sposób, że wyszła ukradkiem godzinę wcześniej, według zegara stojącego w oberży na kominku. Meranda pochodziła z Caemlyn i kiedy przybyły przed świtem do miasta, zawiodła je prosto

do tego lokalu, twierdząc, że to najlepszy w Nowym Mieście.

Niemniej jednak to nie Aielowie sprawili, że Min zatrzymała się tutaj. A w każdym razie nie wyłącznie, mimo iż nasłuchiwała się wielu przerażających opowieści o ludzcie ukrywającym twarz pod czarnymi zasłonami. Jej kaftanik i spodnie zostały uszyte z najcieńszej i najbardziej miękkiej wełny, jaką udało się znaleźć w Salidarze, jasnoróżowej, z maleńkimi niebiesko-białymi kwiatkami wyhaftowanymi na wyłogach i mankietach, a także przy nogawkach. Koszula też miała męski krój, za to uszyto ją z kremowego jedwabiu. W Baerlon, po tym jak osierocił ją ojciec, ciotki usiłowały zrobić z niej osobę, którą określały mianem przyzwoitej kobiety; bodajże tylko ciotka Miren pojęła, że już chyba za późno, by wbijać Min w suknię, skoro ta przez dziesięć lat uganiała się po tej górniczej okolicy w chłopięcym ubraniu. Pozostałe nadal próbowały, a ona walczyła z nimi tak uparcie, że odmawiała nawet przyswojenia sobie wiedzy, jak się trzyma igłę. Oprócz tamtego nieszczęsnego epizodu z usługiwaniem w „Odpoczynku Górni-ka” — był to podejrzany lokal, ale nie zabawiła w nim długo; Rana, Jan i Miren dopilnowały tego, kiedy się dowiedziały, nie zważając na fakt, że Min skończyła już wtedy dwadzieścia lat — oprócz tamtego jedyne raz nigdy dobrowolnie nie włożyła sukni. Teraz uznała, że może jednak trzeba było kazać sobie jakąś uszyć zamiast tego kaftanika i spodni. Jedwabna suknia, z obcisłym staniczkiem, długa i . . .

„Będzie musiał przyjąć mnie taką, jaka jestem — pomyślała, z irytacją potrząsając wodzami. — Nie będę się zmieniała dla żadnego mężczyzny”.

Tyle, że jeszcze nie tak dawno temu nosiła się równie pospolicie jak byle farmer, włosy nie spadały jej puklami na ramiona, a poza tym w duchu coś jej cicho szeptało:

„Będziesz dokładnie taka, jaką on twoim zdaniem chce cię widzieć”.

Odrzuciła tę myśl z taką samą siłą, z jaką zawsze kopała stajennych, którzy próbowali z nią zdrzeć, i niewiele delikatniej uderzyła piętami boki Dzikiej Róży. Nie potrafiła znieść powszechnego przekonania, że w porównaniu z mężczyznami kobiety są słabe. Ale pozostawał jeszcze jeden problem; miała niezachwianą pewność, że już niebawem przekona się, co to znaczy być taką słabą kobietą.

Zsiadła z klaczy przed pałacowymi bramami; poklepała ją po karku, tłumacząc w ten sposób, że wcale nie chciała jej kopnąć, i jednocześnie zmierzyła niespokojnym okiem Aielów. Połowę z nich stanowiły kobiety, ale wszystkie co do jednej były znacznie od niej wyższe. Większość mężczyzn dorównywała wzrostem Randowi, a niektórzy go nawet przewyższali. Wszyscy na nią patrzyli — cóż, zdawali się po prostu obserwować otoczenie, ale z całą pewnością ją również — i nie zauważyła, by któryś bodaj zamrugał oczami. Z tymi ciężkimi nożami, włóczniami i tarczami, łukami na plecach i kołczanami u bioder wyglądali na gotowych do zabijania. Czarna materia spływająca im na piersi musiała być tą ich słynną zasłoną. Słyszała, że ponoć Aiel cię nie zabije, dopóki nie osłoni sobie twarzy.

„Mam nadzieję, że tak rzeczywiście jest”.

Zwróciła się do najniższej z kobiet. Ogorzała twarz, okolona jasnorudymi włosami, tak krótkimi jak niegdyś włosy Min, mogła równie dobrze być wyrzeźbiona z drewna.

— Przybyłam zobaczyć się z Randem al'Thorem — powiedziała Min niezbyt pewnym głosem. — Ze Smokiem Odrodzonym. — Czy oni nigdy nie mrugają? — Mam na imię Min. Rand mnie zna, a poza tym mam dla niego ważną wiadomość.

Rudowłosa zwróciła się do innych kobiet Aiel, gestykulując gwałtownie wolną dłonią. Kiedy zwróciła się z powrotem do Min, wszystkie się śmiały.

— Zaprowadzę cię do niego. Ale jeśli on cię nie zna, to wyjedziesz stąd szybciej niż wjechałaś. — Niektóre z kobiet również na te słowa zareagowały śmiechem. — Ja mam na imię Enaila.

— On mnie zna — powtórzyła Min i zaczerwieniła się. W rękawach kaftana miała ukryte noże — Thom Merrillin pokazał jej kiedyś, jak się nimi posługiwać — ale miała wrażenie, że ta kobieta jest w stanie je zabrać i obedrzeć ją nimi ze skóry. Nad głową Enaili zamigotała jakaś wizja, po czym natychmiast zniknęła. Wieniec chyba; Min nie miała pojęcia, co mógł oznaczać. — Czy mam wprowadzić swoją klacz do środka? Jej chyba Rand nie będzie chciał oglądać. — Ku jej zdziwieniu kilku Aielów parsknęło śmiechem, tym razem nie tylko kobiety, lecz również mężczyźni; Enaili wygięły się usta, jakby też miała ochotę się zaśmiać.

Jakiś mężczyzna podszedł do Dzikiej Róży — Min uznała, że mimo tych spuszczonej oczu i białej szaty to też Aiel — i wtedy powędrowała śladem Enaili przez bramę, minęła rozległy dziedziniec i weszła do samego pałacu. Z niejaką ulgą dojrzała służących w czerwono-białych liberach, przemykających się przez obwieszane gobelinami korytarze; mierzyli baczny wzrokiem Aielów, którzy również się tu kręcili, ale tak, jak się patrzy na obce psy. Wcześniej przyszło jej do głowy, że pewnie w pałacu nie będzie nikogo prócz Aielów, że będą otaczali Randa, może ubranego w kaftan i spodnie w odcieniach brązów, szarości i zieleni, wpatzonego w nią nieruchomymi oczyma.

Enaila zatrzymała się przed stojącymi otworem wysokimi i szerokimi, rzeźbionymi w lwy, drzwiami i przekazała dłonią jakieś znaki grupce kobiet Aielów, stojących tam na straży. Jedna, o włosach barwy lnu i znacznie wyższa od większości mężczyzn, uniosła dłoń w odpowiedzi.

— Zaczekaj tu — przykazała jej Enaila i weszła do środka.

Min zrobiła jeden krok w ślad za nią i w tym momencie płowowłosa kobieta, nie okazując żadnych emocji, zagroziła jej drogę włócznią. A może nawet jakieś uczucia malowały się na jej twarzy, ale Min to w ogóle nie obeszło. Zobaczyła Randa.

Siedział na ogromnym, połączonym tronie, który zdawał się skonstruowany z samych Smoków, ubrany w czerwony kaftan gęsto pokryty złotym haftem, a na domiar wszystkiego w ręku trzymał coś, co wyglądało jak grot włóczni ozdobio-

ny zielono-białymi chwastami. Za nim, na wysokim piedestale, stał jeszcze jeden tron, również połączony, z wizerunkiem lwa wykonanym z białych klejnotów osadzonych na czerwonym tle. Tron Lwa, tak go nazywano w opowieściach. W tym momencie, o ile o nią szło, mógł sobie nawet siedzieć na zwykłym podnóżku. Wyglądał na zmęczonego, ale był taki piękny, że aż jej się serce ścisnęło. A wokół niego wirowały obrazy, bez końca. W przypadku Aes Sedai i Strażników zawsze starała się uciec przed takim zalewem wizji; najczęściej nie umiała powiedzieć, co oznaczały, ale towarzyszyły im nieodmiennie. Gdy chodziło o Randa, musiała się zmuszać do ich oglądania, bo inaczej gapiłaby się po prostu na jego twarz. Jedną z tych wizji widywała za każdym razem, kiedy się z nim spotykała. Nieprzeliczone krocie roziskrzonych światełek, podobnych do gwiazd albo światełek, które wpadały w głąb czarnej otchłani, starając się ją zapełnić, znikwały w środku i dawały się wessać. Tym razem zobaczyła jakby więcej światełek niż kiedykolwiek przedtem, ale dla odmiany ciemna otchłań połykała je jeszcze szybciej. I było tam również coś innego, coś nowego, jakaś aura, żółta, brązowa i purpurowa, na widok której poczuła ucisk w żołądku.

Przyjrzała się arystokratom z jego świty — to musieli być arystokraci, sądząc po przednich, haftowanych kaftanach i bogatych, jedwabnych sukniach — by sprawdzić, czy im także towarzyszą jakieś obrazy, ale niczego nie zobaczyła. Tak przeważnie bywało z większością ludzi. Mimo to wysilała się, mrużąc oczy. Gdyby udało jej się dojrzeć bodaj jedną wizję, chociaż jedną, jedyną aurę, to mogłaby go jakoś wesprzeć. Z opowieści, jakich się nasłuchiwała od czasu przekroczenia granic Andoru, wynikało, że przyda mu się każda pomoc.

Ciężko westchnąwszy, poddała się nareszcie. Całe to zezowanie i naprężanie nie miało żadnego sensu, jeżeli niczego nie dostrzegła od razu.

Nagle dotarło do niej, że arystokraci zbierają się do odejścia, że Rand wstał i że Enaila macha w jej stronę ręką, dając znak, że może wejść do komnaty. Rand uśmiechał się. Min miała wrażenie, że lada chwila serce wyrwie się jej z piersi. A więc tak to jest być jedną z tych kobiet, z których tak się naśmiewała, tych kobiet, które potrafią padać mężczyźnie do stóp. Nie, ona nie jest jakąś płochą dzierlatką; jest od niego starsza, całowała się po raz pierwszy, kiedy on jeszcze uważał, że wymiganie się od wypasania owiec to pyszna zabawa, ona przecież...

„Światłości, nie dopuść, błagam, by ugięły się pode mną kolana”.

Niedbale cisnąwszy Berło Smoka na siedzenie tronu, Rand zeskoczył z podium i przebiegł przez całą przestrzeń Wielkiej Sali. Dobięł do Min i natychmiast pochwycił ją w objęcia, podrzucił w powietrze i jął obracać w ramionach, zanim Dyelin i pozostali zdążyli wyjść. Niektórzy z arystokratów wytrzeszczyli oczy, ale doprawdy mogli je sobie wytrzeszczać do woli, jeśli o niego szło.

— Światłości, jak dobrze zobaczyć twoją twarz, Min — powiedział ze śmie-

chem. O ileż lepiej niżli te kamienne rysy Dyelin albo Ellorien. Nawet gdyby Aemlyn, Arathelle, Pelivar, Luan i w ogóle wszyscy, wszyscy jak jeden mąż, zapewnili go o swym zadowoleniu z faktu, że Elayne jest już w drodze do Caemlyn, zamiast gapić się na niego z wyraźnym powątpiewaniem albo wręcz ze słowem „kłamca” w oczach, to i tak na widok Min szalałaby z radości.

Kiedy postawił ją z powrotem na posadzce, osunęła się bezwładnie na jego pierś, ściskając go za ramiona i z trudem łapiąc powietrze.

— Przepraszam — powiedział. — Nie chciałem przecież, żeby ci się zakreśliło w głowie. To tylko dlatego, że cieszę się z twojego przybycia.

— No cóż, rzeczywiście przez ciebie kręci mi się w głowie, ty pasterzu z wełną zamiast mózgu — wymamrotała w jego pierś. Odsunąwszy się, spojrzała na niego spod długich rzęs. — Mam za sobą długą jazdę, przyjechałam w samym środku nocy, a ty tu mną podrzucasz niczym workiem owsa. Czy ty się nigdy nie nauczyłeś dobrych manier?

— Z wełną zamiast mózgu — zaśmiał się cicho. — Min, możesz nazwać mnie kłamcą, ale naprawdę tęskniłem za tym.

Nie obrzuciła go kolejnym wyzwiskiem, tylko zwyczajnie spojrzała mu w twarz, wyzbywszy się całkiem tej srogiej miny. Jej rzęsy zdawały się dłuższe, niż je zapamiętała.

Uświadomiwszy sobie, gdzie są, ujął ją za rękę. Sala tronowa to nie miejsce na spotkania ze starymi przyjaciółmi.

— Chodź, Min. Możemy się napić chłodnego ponczu w mojej bawialni. Somara, idę do apartamentów; możesz wszystkich odprawić.

Somara nie wyglądała na uszczęśliwioną, ale odesłała wszystkie Panny; pozostała jedynie ona i Enaila. Nie rozumiał, dlaczego tak zmarkotniały. Pozwolił Somarze zgromadzić tyle Panien w Pałacu przede wszystkim dlatego, że miała przyjść Dyelin i inni. Z tego samego powodu Bashere przebywał w obozowisku swojej konnicy, na północ od miasta. Panny jako przypomnienie, Bashere dlatego, że przypomnień byłoby zbyt wiele. Miał nadzieję, że te dwie nie zamierzają mu matkować. Odnosił wrażenie, że stawały przy nim na straży częściej niż inne, ale Nandera wykazywała się takim samym uporem jak Sulin, kiedy próbował sam rozdzielać obowiązki. Dowodził wprawdzie *Far Dareis Mai*, ale nie był Panną, toteż nie należało to do niego.

Min przyglądała się gobelinom, kiedy prowadził ją za rękę przez korytarz. Zerknęła na inkrustowane komody i stoły, na złote misy i wysokie wazony z porcelany Ludu Morza ustawione w niszach. Przyjrzała się uważnie Enaili i Somarze, od stóp do głów, każdej po trzy razy. One za to nawet na nią nie spojrzały, ani nie odezwały się do niej słowem. Rand ściskał ją za rękę, czując, jak puls w jej nadgarstku tak cwałuje, że mógł stawać w zawody z końmi. Miał nadzieję, że Min tak naprawdę wcale się nie gniewa, iż tak nią poniewierają.

Ku jego wielkiej uldze Somara i Enaila zajęły stanowiska po obu stronach

drzwi, aczkolwiek żadna nie zareagowała, kiedy poprosił o przyniesienie ponczu, więc musiał powtórzyć prośbę. W bawialni zdjął kaftan i cisnął go na krzesło.

— Usiądź, Min. Usiądź. Odpocznij i odpręż się. Zaraz przyniosą poncz. Musisz mi wszystko opowiedzieć. Gdzie ty się dotąd podziewałaś, jakim sposobem tu dotarłaś, dlaczego przyjechałaś nocą. Podróżowanie nocą nie jest bezpieczne, Min. Teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Dam ci najlepszą komnatę w całym Pałacu. Poza tym dostaniesz jeszcze eskortę złożoną z Aielów; oni cię zaprowadzą, gdzie tylko zechcesz.

Przez chwilę miał wrażenie, że Min, która stanęła obok drzwi, zaraz się roześmieje, ale ona tylko zrobiła głęboki wdech i wyjęła z kieszeni jakiś list.

— Nie mogę ci zdradzić, skąd przyjeżdżam... obiecałam, Rand... ale jest tam Elayne i...

— Z Solidaru — powiedział i uśmiechnął się na widok jej zogniętych oczu. — Ja wiem co nieco, Min. Może nawet więcej, niż się niektórym zdaje.

— Sama... to widzę — odparła słabym głosem. Wsunęła list w jego rękę, po czym ponownie się cofnęła. Silniejszym głosem dodała: — Przysięgam, że dam ci ten list na samym początku. Weź, przeczytaj go.

Rozpoznał pieczęć, lilię odcisniętą w ciemnożółtym wosku, i zamaszyste piśmo Elayne, którym napisane było jego imię, ale ociągał się z otworzeniem listu. Najlepsze są ostateczne rozstania i on takiego dokonał. Nie potrafił się jednak powstrzymać; przeczytał, po czym usiadł na kaftanie i przebiegł go oczami raz jeszcze. List bez wątpienia był krótki.

„Rand,

Określiłam jasno swoje uczucia względem twojej osoby. Wiedz, że się nie zmieniły. Mam nadzieję, że ty czujesz do mnie to samo, co ja do ciebie. Min może ci pomóc, pod warunkiem, że będziesz jej słuchał. Kocham ją jak siostrę i mam nadzieję, że ty również będziesz tak ją traktował.

Elayne”

Musiał jej się kończyć atrament; ponieważ ostatnie linijki zostały pośpiesznie nabazgrane, nie tak elegancko jak te pierwsze. Min przekrzywiła i obracała głowę, starając się przeczytać list w taki sposób, by to nie rzucało się zanadto w oczy, ale kiedy się podniósł, by wyciągnąć spod siebie kaftan — w kieszeni schowany był *angreal* w kształcie małego człowieczka — pośpiesznie się cofnęła.

— Czy wszystkim kobietom tak zależy na doprowadzeniu człowieka do szaleństwa? — mruknął.

— Co takiego?!

Wpatrywał się w list, mówiąc na poły do siebie.



— Elayne jest taka piękna, że trudno nie wytrzeszczać na nią oczu, ale z reguły nie wiem, czy chce, żebym ją całował, czy przed nią klękał. Prawdę powiedziawszy czasami miałem ochotę klęknąć... i wielbić ją, Światłości dopomóż. Ona twierdzi, że wiem, co ona czuje. Przed tym listem napisała do mnie dwa inne; jeden był pełen miłości, w drugim zaś oświadczyła, że nie chce mnie już nigdy widzieć na oczy. Ile razy pragnąłem, żeby ten pierwszy zawierał prawdę, a ten drugi stanowił coś w rodzaju żartu, pomyłki albo... No i Aviendha. Ona też jest piękna, ale każdy dzień z nią spędzony był bitwą. Żadnych więcej pocałunków i żadnych wątpliwości, co ona czuje. Była szczęśliwsza, że może się ode mnie uwolnić, niż ja, gdy patrzyłem, jak odchodzi. Tyle że stale się spodziewam, że ją zobaczę, kiedy się odwracam, a kiedy jej nie widzę, czuję jakąś pustkę w środku. Autentycznie brak mi tych bitew i bywają takie momenty, kiedy przyłapuję się na myśli: „Są takie rzeczy, o które warto walczyć”. — Coś w milczeniu Min sprawiło, że podniósł wzrok. Wpatrywała się w niego, z twarzą nieprzeniknioną jak u Aes Sedai.

— Czy tobie nikt nigdy nie powiedział, że to nieuprzejme opowiadać jednej kobiecie o jakiejś innej? — Powiedziała to głosem zupełnie wypranym z emocji. — A tym bardziej o dwóch?

— Min, przecież ty jesteś przyjaciółką — zaprotestował. — Ja ciebie nie uważam za kobietę. — Powiedział coś złego; wiedział o tym już w chwili, gdy te słowa padły.

— Ach tak? — Odrzuciła poły kaftanika na plecy i wsparła dłonie na biodrach. Nie była to wcale ta aż za dobrze znana poza wyrażająca gniew. Wykreśliła nadgarstki w taki sposób, że celowała palcami w sufit, i to była ta różnica. Stała z jednym kolaniem ugiętym, a to... Dopiero teraz zobaczył ją naprawdę; nie tylko samą Min, ale również jej strój. Nie ten kaftan i spodnie co zawsze, pospolite i bure, ale jasnoczerwone i haftowane. Nie te byle jak przystrzyżone włosy, sięgające zaledwie uszu, ale pukle spadające na kark. — Czy ja wyglądam jak chłopiec?

— Min, ja...

— Czy ja wyglądam jak mężczyzna? A może jak koń? Przysunęła się do niego jednym szybkim krokiem i usadowiła mu się na kolanach.

— Min — powiedział zaskoczony — co ty robisz?

— Przekonuję cię, że jestem kobietą, ty wełnianogłowy durniu. Czy ja nie wyglądam jak kobieta? Czy ja nie pachnę jak kobieta? — Rzeczywiście poczuł delikatną woń kwiatów. — Czy kiedy mnie dotykasz, to nie...? No dobrze, dość na tym. Odpowiedz mi na pytanie, pasterzu.

To właśnie ten „pasterz” i „wełnianogłowy dureń” pomogły mu opanować przestrach. W rzeczy samej zrobiło mu się bardzo przyjemnie, kiedy usiadła mu na kolanach. Tyle że to była ta Min, która uważała go za zwykłego, młodego wieśniaka. Wieśniaka, który ma siano we włosach i mało rozumu.

— Na Światłość, Min! Wiem przecież, że jesteś kobietą. Nie chciałem cię

obrazić. A poza tym jesteś również przyjaciółką. Tak powiedziałem, bo w twojej obecności czuję się swobodnie. Nie ma to dla mnie znaczenia, jeżeli uważasz mnie za durnia. Tobie mogę mówić rzeczy, których nie wyznałbym nikomu innemu, nawet Matowi i Perrinowi. Kiedy jestem przy tobie, rozplątują się wszystkie węzły; nie czuję nawet, kiedy znika to napięcie, które stale czuję w barkach. Rozumiesz, Min? Lubię przebywać w twoim towarzystwie. Tęskniłem za tobą.

Splótnęła ramiona, patrzyła na niego z ukosa, marszcząc brwi. Majtała nogą; gdyby sięgała posadzki, to by nią przytupywała.

— To, co nagadałeś o Elayne. I ta... Aviendha. A tak nawiasem mówiąc, kim ona jest? Wygląda to tak, jakbyś kochał je obie. Och, przestań się wykręcać. Jesteś mi winien kilka wyjaśnień. Mówienie, że ja nie... Odpowiedz mi po prostu. Kochasz je obie?

— Może tak — powiedział powoli. — Światłości dopomóż, wydaje mi się, że chyba je kocham. Min, czy to czyni mnie zdrajcą albo jakimś lubieżnikiem? — Zamykała i otwierała usta; gniewnie kiwała głową i zaciskała wargi. Pospiesznie mówił dalej, żeby nie zdążyła mu powiedzieć, która z tych dwóch jej zdaniem do niego pasuje; naprawdę nie chciał tego słyszeć z jej ust. — Zresztą teraz to prawie bez znaczenia. Z tym już koniec. Odesłałem Aviendhę i nie pozwolę jej wrócić. I jeśli to będzie zależało ode mnie, to za nic nie zbliżę się do niej albo do Elayne.

— Na miłość... ! Dlaczego, Rand? Jakim prawem dokonujesz takiego wyboru w ich imieniu?

— Min, czy ty nic nie rozumiesz? Ja jestem celem. Każda kobieta, którą pokocham, też stanie się celem. Może ją trafić byle strzała wymierzona we mnie. — Ciężko westchnąwszy, wsparł ręce na poręczach krzesła zdobionych rzeźbieniami w kształcie róż. Obróciła się nieznacznie, przypatrując mu się z powagą, jakiej nigdy dotąd nie widział na jej twarzy. Min zawsze się uśmiechała, zawsze wszystko ją trochę śmieszyło. Ale nie teraz; zresztą sam był śmiertelnie poważny. — Lan twierdził, że obaj jesteśmy podobni pod pewnymi względami, i to prawda. Twierdził, że zdarzają się tacy mężczyźni, którzy promieniują śmiercią. Na przykład on. Albo ja. Kiedy taki mężczyzna się zakocha, to najlepszym podarunkiem, jaki może ofiarować swej wybrance, będzie ustanowienie jak największego dystansu. Rozumiesz to, nieprawdaż?

— Czy ja rozumiem... — Milczała przez chwilę. — Proszę bardzo. Jestem twoją przyjaciółką i cieszę się, że ty o tym wiesz, ale nawet nie myśl, że się poddam. Przekonam cię, że nie jestem ani mężczyzną, ani koniem.

— Min, przecież powiedziałem, że...

— Ależ pasterzu! To za mało. — Okręciła się na jego kolanach w taki sposób, że aż musiał kaszlnąć, po czym wbiła palec w jego pierś. — Pragnę zobaczyć łzy w twoich oczach, kiedy będziesz to mówił. Chcę widzieć stróżkę śliny na twojej brodzie i słyszeć, jak się jąkasz. Nie myśl sobie, że nie każę ci za to zapłacić.

Rand nie mógł się nie roześmiać.

— Min, jak to dobrze, że tu jesteś. Ty we mnie widzisz tylko kmiotka z Dwu Rzek, prawda?

Jej nastrój zmienił się z prędkością błyskawicy.

— Ja cię widzę, Rand — odparła, dziwnie cicho. — Widzę cię. — Chrząknęła i wyprostowała się majestatycznie, wspierając dłonie na kolanach. O ile można było siedzieć majestatycznie w takiej pozycji. — Wyjaśnię ci teraz, po co przyjechałam. Najwyraźniej wiesz o Salidarze. Zaraz zaczniesz unosić brwi ze zdziwienia, zapewniam cię. Nie zdajesz sobie prawdopodobnie sprawy, że nie przyjechałam sama. W Caemlyn jest misja poselska z Salidaru, która ma spotkać się z tobą.

Pomruk Lewsa Therina przywodził na myśl daleki grzmot. Wszystkie wzmianki o Aes Sedai zawsze wzbudzały jego zdenerwowanie od czasu Alanny i zobowiązania, aczkolwiek nie tak mocno, jak przebywanie w obecności Taima.

Rand prawie się uśmiechnął, mimo pomrukiwań Lewsa Therina. Podejrzał to od chwili, w której Min wręczyła mu list od Elayne. Potwierdzenie stanowiące niemalże dowód ich przestachu, tak jak przeczuwał. Jakiż inny mógłby być stan ducha rebeliantek zapędzonych do kryjówki, tuż za rubieżami władzy Białych Płaszczy? Które zapewne bardzo by chciały wiedzieć, jak wpełznąć z powrotem do Białej Wieży, które aż obgryzały paznokcie z irytacji, że nie wiedzą, jak się wkraść ponownie w łaski Elaidy. Szanse na to miały niewielkie — na tyle znał Elaidę z czego z pewnością znakomicie zdawały sobie sprawę. Skoro przysłały misję do Smoka Odrodzonego, mężczyzny, który potrafił przenosić, to w takim razie musiały być gotowe przyjąć jego ochronę. Inaczej niż Elaida, która najwyraźniej wierzyła, że można go kupić i zamknąć w wiklinowej klatce niczym śpiewającego ptaka. Oto miały się spełnić mgliste obietnice Egwene odnośnie wsparcia Aes Sedai.

— Która z tobą przyjechała? — zapytał. — Może ją znam. Tak naprawdę nie znał żadnej Aes Sedai z wyjątkiem Moiraine, która już nie żyła, ale kilka spotkał. Jeżeli ta była jedną z nich, to sprawy mogły przybrać nieco trudniejszy obrót. W tamtych czasach był naprawdę tym chłopcem z farmy, który się wzdygał, ledwie jakaś Aes Sedai na niego spojrziała.

— Jest ich więcej, Rand. Dokładnie dziewięć. — Drgnął nerwowo, a ona pośpiesznie mówiła dalej. — Należy poczytać za zaszczyt, Rand, że jest aż tyle, trzykroć tyle, ile wysyłają do króla albo królowej. Merana, z Szarych Ajah, ta, która stoi na czele misji, przybędzie tu sama tego popołudnia; potem za każdym razem będzie przychodziła tylko jedna, dopóki nie nabierzesz zaufania. Wynajęły izby w „Różanej Koronie”, w Nowym Mieście; razem ze swymi Strażnikami i służbą praktycznie przejęły całą oberżę. Merana przysłała mnie jako pierwszą, ponieważ cię znam, dla przetarcia szlaku. Nie zamierzają ci zrobić niczego złego, Rand. Jestem tego pewna.

— To jakieś widzenie czy twoje zdanie, Min? — Dziwnie się prowadzi roz-

mowę z kobietą usadowioną na twoich kolanach, ale to ostatecznie była Min. To wszystko zmieniało. Musiał tylko stale sobie o tym przypominać.

— Moje zdanie — przyznała z niechęcią. — Rand, przyglądałam się obrazom towarzyszącym każdej z nich, codziennie, przez całą drogę z Salidaru. Gdyby miały złe zamiary, to bym coś zobaczyła. Nie wierzę, by to się jakoś przez ten czas nie ujawniło. — Poprawiwszy się, obrzuciła go zmartwionym spojrzeniem, które szybko zamieniło się w pełną determinacji stanowczość. — Ale powiem ci coś, skoro już o tym rozmawiamy. W sali tronowej widziałam otaczającą cię aurę. Aes Sedai coś dla ciebie szykują. A w każdym razie jakieś kobiety, które potrafią przenosić. Obraz był zagmatwany, dlatego nie jestem pewna, jak to jest z tym udziałem Aes Sedai. Ale to się może zdarzyć więcej niż raz. Chyba właśnie dlatego wszystko zdawało się takie pomieszane. — Popatrzył na nią milcząco, a ona uśmiechnęła się. — To właśnie w tobie lubię, Rand. Akceptujesz to, co mogę, i to, czego nie mogę zrobić. Nie pytasz mnie, czy jestem pewna, albo kiedy dana rzecz ma się zdarzyć. Ty mnie nigdy nie wypytyjesz o coś więcej ponad to, co wiem.

— No cóż, właściwie chciałam o coś zapytać, Min. Czy jesteś pewna, że te Aes Sedai z twojego widzenia to nie te Aes Sedai, z którymi tu przybyłaś?

— Nie — odparła zwięźle. Tę właśnie cechę on z kolei lubił w niej; nigdy nie owijała w bawełnę.

„Muszę być ostrożny — szepnął z wyraźnym napięciem Lews Therin. — Nawet te w połowie tylko wyszkolone dziewczątka mogą być niebezpieczne, jeżeli jest ich aż dziewięć. Muszę...”

„To ja muszę” — odparował Rand w myślach. Moment zamieszania i Lews Therin uciekł do swych cienistych głębin. Zawsze tak ostatnio postępował, kiedy Rand odzywał się do niego. Cały problem sprowadzał się jedynie do tego, że Lews Therin zdawał się teraz widzieć i słyszeć więcej, i że zamierzał z tego korzystać. Wprawdzie nie próbował już obejmować *saidina*, ale Rand na wszelki wypadek zachowywał ostrożność. Ten człowiek chciał zawładnąć jego umysłem i ciałem, uważał, że one należą do niego, a ponieważ już raz udało mu się przejąć nad nimi kontrolę, więc Rand nie był pewien, czy nie odbędzie się to w taki właśnie sposób. Że to będzie chodził i mówił Lews Therin Telamon, a Rand al'Thor stanie się tylko głosem w jego głowie.

— Rand — powiedziała Min z niepokojem — nie patrz tak na mnie. Jestem po twojej stronie; jeśli rzeczywiście dojdzie do podziału na jakieś strony. One uważają, że powtórzę im to, co powiesz. A ja tego nie zrobię, Rand. One chcą się tylko dowiedzieć, jak się z tobą obchodzić, czego się spodziewać, ale ja im nie powtórzę ani jednego słowa wbrew twojej woli, a jeśli mnie poprosisz, żebym kłamała, to będę kłamać. One nie mają pojęcia o moich widzeniach. Tylko ty będziesz o nich wiedział, Rand. Wiesz, że przejrzę każdego, kogo zechcesz, łącznie z Meraną i całą resztą.

Wyzbył się z trudem szyderczego grymasu i postarał, by jego głos zabrzmiał łagodnie.

— Uspokój się, Min. Wiem, że jesteś po mojej stronie. — Tak brzmiała prosta prawda. Gdyby podejrzewał Min, to jakby podejrzewał samego siebie. Z Lewsem Therinem chwilowo miał spokój; czas zająć się Meraną i misją. — Przekaż im, że mogą przychodzić po trzy od razu. — To właśnie doradził mu Lews Therin w Cairhien; nie więcej jak trzy za jednym razem. Ten człowiek zdawał się wierzyć, że poradzi sobie z trzema Aes Sedai. Wyraźnie żywił niechęć i pogardę dla tych, które w obecnych czasach mieniły się Aes Sedai. Ale to, co w Cairhien stanowiło granicę, tutaj wyglądało inaczej. Merana chciała usmierzyć jego obawy i ugłaskać go, zanim zbliży się do niego bodaj jedna Aes Sedai. Na początek rzucił jej do przetrwania to zaproszenie dla trzech; a niech się głowi, co to oznacza. — A poza tym żadnej nie wolno wchodzić do Wewnętrznego Miasta bez mojego pozwolenia. I nie wolno im przenosić w mojej obecności. Przekaż im to, Min. Dowiem się jeśli obejmą Źródło, i nie będę z tego zadowolony. Powiedz im to.

— One też nie będą zadowolone, pasterzu — odparła sucho. — Ale zrobię o co prosisz.

Jakiś trzask sprawił, że Rand gwałtownie odwrócił głowę.

Na progu stała Sulin w czerwono-białej sukni, z twarzą tak nabiegłą krwią, że blizna na policzku zdawała się jeszcze bledsza niż zazwyczaj. Od czasu, gdy wdziała te liberię, włosy zdążyły jej urosnąć, ale nadal były krótsze niż u innych służących. Pani Harfor zaczesywała je w coś, co kształtem przypominało czepek. Sulin nienawidziła tej fryzury. U jej stóp leżała srebrna taca ze złożonym brzeżkiem, obok poprzewracane złote puchary zdobione srebrnymi wzorami. Dzban z winem zakołysał się po raz ostatni i jakimś cudem znieruchomiał w pozycji pionowej, ale zdawało się, że na tacy i dywanie wina jest więcej niż w dzbanie.

Min już miała się poderwać na nogi, ale złapał ją w pasie i z powrotem usadził. Najwyższy czas uświadomić sobie raz na zawsze, że skończył z Aviendhą, i Min na pewno mu w tym pomoże. Opierała się tylko krótką chwilę, po czym wtuliła się w niego, kładąc mu głowę na piersi.

— Sulin — powiedział — dobra służąca nie rozrzuca tac. Pozbieraj to wszystko i zrób to, czego się od ciebie oczekuje. Zadygotała tylko, wpatrzona w niego ponurym wzrokiem.

Pomysł, jak jej pozwolić wypełnić *toh* i jednocześnie przynajmniej częściowo wywiązać się z zobowiązania, jakie sam miał wobec niej, był niemalże genialny. Sulin sprzątała teraz tylko jego komnaty i obsługiwała wyłącznie jemu. Rzecz jasna nie znosiła tego, tym bardziej, że codziennie patrzył, jak ona to robi, ale już nie harowała przy szorowaniu posadzek w całym pałacu albo targaniu niezliczonych wiader pełnych wody do prania. Podejrzewał, że wołałaby, aby każdy Aiel po tej stronie Muru Smoka był świadkiem jej hańby, zamiast pozwolić jemu na to patrzeć, ale za to znacznie jej ulżył w pracy, w jakimś stopniu ułagodził własne

sumienie, i jeśli usługiwaniem mu miała wcześniej spełnić swoje *toh*, to ostatecznie wszystko mogło wyjść tylko na dobre. Sulin należała do *cadin'sor*, a nie do liberii; powinna była nosić włócznie, a nie układać lniane prześcieradła.

Podniósłszy tacę, przemaszerowała przez komnatę i postawiła ją niezdarnie na stoliku inkrustowanym kością słoniową. Kiedy już się odwracała w stronę wyjścia, powiedział:

— To jest Min, Sulin. To moja przyjaciółka. Nie zna obyczajów Aielów i byłbym bardzo niezadowolony, gdyby stało się jej coś złego. — Właśnie mu przyszło do głowy, że Panny mogą mieć własny pogląd na to, że odesłał Aviendhę i że zaraz po jej odejściu obłapia się z inną kobietą. Własny pogląd i własne metody na uporanie się z takim problemem. — W rzeczy samej, jeżeli cokolwiek się jej stanie, potraktuję to tak, jakby mnie to zrobiono.

— Czy ktokolwiek, z wyjątkiem Aviendhy, chciałby coś zrobić tej kobiecie? — spytała ponurym tonem Sulin. — Spędziła za dużo czasu na marzeniach o tobie, a za mało na wyuczeniu cię tego, co powinienesz wiedzieć. — Otrząsnąwszy się, warknęła: — Lordzie Smoku.

Odniosł wrażenie, że chciała to tylko mruknąć pod nosem. Przy dyganiu dwa razy omal się nie przewróciła, a przy wychodzeniu trzasnęła drzwiami.

Min obróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

— Chyba w życiu nie widziałam takiej pokojówki, która... Rand, moim zdaniem ona by cię ugodziła nożem, gdyby go miała przy sobie.

— Mogłaby mnie kopnąć — odparł ze śmiechem — ale nigdy by mnie nie ugodziła nożem. Uważa mnie za dawno zaginionego brata. — W oczach Min pojawiła się konsternacja; widział, że w jej głowie wiruje setka pytań. — To długa historia. Opowiem ci ją innym razem. — Opowie jej część. Nikt się nigdy nie dowie, co musiał znosić ze strony Enaili, Somary i kilku innych. Cóż, wszystkie Panny wiedziały, ale nikt poza nimi.

Melaine weszła tak, jak to zwykli czynić Aielowie, to znaczy najpierw wsunęła głowę przez uchylone drzwi, rozejrzała się po wnętrzu, a potem weszła do środka. Nigdy nie udało mu się odgadnąć, co mogłoby powstrzymać Aiela od wejścia. Wodzowie, Mądre i Panny wchodzili, zastając go w bieliźnie, w łóżku, podczas kąpieli. Słoneczno-włosa Mądra podeszła bliżej, po czym usadowiła się ze skrzyżowanymi nogami na dywanie w odległości kilku kroków od niego, pobrzękując bransoletami i układając spódnice. Zielone oczy przypatrzyły się obojętnie Min.

Tym razem Min nie próbowała wstać. W rzeczy samej nie był pewien, czy ona przypadkiem nie przysnęła, bo tak się jakoś na nim ułożyła, wtuliwszy głowę w jego pierś, i tak wolno oddychała. Powiedziała mu przecież, że do Caemlyn dotarła nocą. Nagle zdał sobie sprawę, że trzyma dłoń wciśniętą we wcięcie talii Min, więc zdecydowanym ruchem przeniósł ją na oparcie krzesła. Westchnęła niemalże z żalem i przytuliła się do niego jeszcze mocniej. Zasypiała, nie było wątpliwości.

— Przynoszę wieści — oświadczyła Melaine — ale nie jestem pewna, która jest najważniejsza. Egwene opuściła namioty. Udaje się do miejsca zwanego Salidar, w którym są Aes Sedai. Te Aes Sedai, które mogą cię wesprzeć. Na jej prośbę nie rozmawialiśmy wcześniej z nimi na twój temat, ale teraz ci powiem, że one są uparte, niezdyscyplinowane, swarliwe i pełne przekonania o własnej wyższości, całkiem bez powodu. — Pod koniec mówiła z głową wysuniętą do przodu, głosem, do którego wkradła się zapalczywa nuta.

A zatem jedna ze spacerujących po snach w Cairhien przemówiła do Melaine podczas snu. Tyle mniej więcej wiedział na temat umiejętności spacerujących po snach i mimo iż one mogły się przydać, spacerujące rzadko kiedy były skłonne mu ich użyć. Nowością za to była ta mowa o uporze i tak dalej. Większość Aielów tak się zachowywała, jakby ich zdaniem Aes Sedai mogły na nich napaść, jakby wierzyli, że na to zasługują, i jakby zamierzali przyjąć cios bez sprzeciwu. Nawet Mądre nie wyrażały się o Aes Sedai inaczej jak z szacunkiem. Coś najwyraźniej się zmieniło. Niemniej jednak powiedział tylko:

— Wiem.

Jeżeli Melaine zamierzała mu wyjaśnić, jakie są powody, to zrobi to bez pytania. A jeżeli nie miała takiego zamiaru, to wypytywanie jej na nic się nie zda.

— Są też wieści o Egwene i Salidarze. Do Caemlyn przybyło właśnie dziewięć Aes Sedai z Salidaru. Min przyjechała razem z nimi. — Min poruszyła się na jego piersi i coś wymruczała. Lews Therin znowu mamrotał, zbyt cicho, by dało się go zrozumieć, ale Rand tym razem był zadowolony, że rozpraszał jego uwagę. Min była taka. . . miła w dotyku. Obraziłaby się na śmierć, gdyby mogła przejrzeć jego myśli. A może wręcz przeciwnie, może by się śmiała, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę tę obietnicę, że go zmusi, by jej zapłacił. Może. Czasami reagowała bardzo żywiołowo.

Melaine nie zdziwiła się, że on wie, nawet nie poprawiła szala. Od czasu poślubienia Baela zdawała się — „wyciszona” nie było tu raczej właściwym określeniem, w odniesieniu do niej zbyt łagodnym — jakby mniej skora do wybuchów.

— To była druga wiadomość. Musisz się ich wystrzegać, Randzie al’Thor, i traktować je z całą stanowczością. One nie uszanują niczego innego. — Naprawdę coś się zmieniło.

— Będziesz miała dwie córki — mruknęła Min. — Podobne do siebie jak dwa lustra.

O ile Melaine nie okazywała wcześniej żadnego zdziwienia, to teraz nadrobiła to z nawiązką. Oczy jej ogromniały i wzdrygnęła się tak gwałtownie, że omal nie poderwało jej z posadzki.

— Skąd ty. . . ? — zaczęła z niedowierzaniem i urwała, żeby się opanować. Ale zaraz potem mówiła dalej, nawet nie zaczerpnąwszy oddechu. — Do dzisiejszego ranka nie byłam pewna, że będę miała dziecko. Skąd wiedziałas?

Wtedy Min wstała, obrzucając go spojrzeniem, które znał aż za dobrze. Z ja-

kiegoś powodu to była jego wina. Nawet ona miała wady, niewielkie wprawdzie, ale jednak. Zaczęła miętosić poły kaftanika i patrzyła na wszystko, tylko nie na Melaine, kiedy zaś jej spojrzenie padło ponownie na niego, stanowiło tylko wariację poprzedniego. On ją w to wciągnął, więc on ją powinien z tego wyciągnąć.

— Wszystko w porządku, Min — uspokoił ją. — Melaine jest Mądrą i, jak podejrzewam, wie takie rzeczy, od których włosy by ci się skreściły. — I tak się kreściły, z natury. — Jestem pewien, że ona obieca dochować twojego sekretu, a ty możesz zaufać jej obietnicy. — Melaine, jękając się, wygłosiła stosowną formułkę.

Min raz jeszcze spojrzała na Randa, zanim usiadła obok Melaine. Z wyrzutem, chyba. A jak, jej zdaniem, miał się zachować? Melaine nie zapomni, ale dotrzyma obietnicy i nie zdradzi sekretu. Wielu jego tajemnic dochowała.

Wbrew swojej niechęci, Min udzieliła pełniejszej odpowiedzi niż kiedykolwiek udzieliła jemu za jednym razem, w czym być może pomogły jej nieustające pytania drugiej kobiety, a także zmiana jej nastawienia. Jakby Melaine zaczęła uważać, że Min dzięki swym umiejętnościom wcale nie jest mieszkanką mokradeł, tylko kimś jej równym.

— To niesamowite — stwierdziła w końcu Melaine. — Jakby interpretować sen bez śnienia. Dwie, powiadasz? Dwie dziewczynki? Bael będzie zachwycony. Dorindha dała mu trzech synów, ale obie wiemy, że on chciałby mieć córkę. — Min zamrugała i potrząsnęła głową. Nic dziwnego, nie miała pojęcia o siostrachżonach.

Następnie przeszły do omawiania porodu. Żadna nigdy dotąd nie rodziła, ale pomagały akuszerkom.

Rand chrząknął głośno. Wcale nie dlatego, by te szczegóły go denerwowały. Pomagał owcom się kocić, kłaczom źrebić i krowom cielić. Irytowało go natomiast, że one tak tu siedzą, nachylając się ku sobie głowami, jakby on przestał istnieć. Żadna się nie obejrzała, kiedy znowu chrząknął, tak głośno, aż się przstraszył, czy sobie czegoś nie nadwyreżył.

Melaine przysunęła się jeszcze bliżej do Min i przemówiła szeptem, który dałoby się usłyszeć w sąsiedniej komnacie.

— Mężczyźni zawsze mdleją.

— I to zawsze w tym najgorszym momencie — zgodziła się Min tym samym tonem.

Co one by sobie pomyślały, gdyby zobaczyły go w stodole, całego zalanego krwią i płynami porodowymi, z trzema żebrami złamanymi, bo kłacz, która nigdy się wcześniej nie źrebiła, była tak przerażona, że go skopała? Żrebak okazał się wspaniały, a kłacz już nigdy więcej nie wierzgała przy takich okazjach.

— Zanim zemdleję — powiedział sucho, przysiadając się do nich — może któraś z was zechce coś dodać na temat Aes Sedai? — Wstałby albo usiadł na posadzce wcześniej, gdyby nie miał zajętych kolan. Wśród Aielów tylko wodzowie



posiadali krzesła, a korzystali z nich tylko wtedy, gdy obwieszczali jakiś wyrok albo przyjmowali hołd pokonanego wroga.

Obie zostały stosownie upomniane. Żadna się nie odezwała, ale było i gwałtowne poprawianie szala, i wygładzanie kaftanika, a takie unikanie jego wzroku. Przestały, kiedy przystąpili do rozmowy. Min uparcie obstawała przy swoim zdaniu, że mianowicie Aes Sedai z Salidaru nie zamierzają mu zrobić nic złego i że być może udzieli mu wsparcia, pod warunkiem, że potraktuje je właściwie, czyli będzie im publicznie okazywał szacunek. Ona i tak doniesie mu o wszystkim, co uda jej się podsłuchać.

— Ja nie jestem zdrajczynią, rozumiesz, Melaine? Ja naprawdę poznałam Randa wcześniej niż Aes Sedai, z wyjątkiem Moiraine, i prawda jest taka, że zobowiązałam się do lojalności względem niego jeszcze przed jej śmiercią.

Melaine wcale nie uważała Min za zdrajczynię, wręcz przeciwnie; zdawała się nawet być o niej wysokiego mniemania. O ile szło o pogląd Aielów na temat zdrajców, to Mądre stworzyły jego własną wersję. Melaine dowiodła jednak że, z kilkoma znaczącymi wyjątkami, Aes Sedai można ufać tak samo jak Shaido; innymi słowy, nie można im ufać dopóty, dopóki nie zostaną pojmane do niewoli i uczynione gai'shain. Niby nie proponowała wprost, żeby wziąć do niewoli Aes Sedai zamieszkujące Różaną Koronę, ale zasadniczo to właśnie dała do zrozumienia.

— Na jakiej podstawie miałbyś im ufać, Randzie al'Thor? Moim zdaniem, żadna z nich nie ma honoru, z wyjątkiem Egwene al'Vere, a ona... — Melaine znowu poprawiła szal. — Zaufam jakiejś Aes Sedai dopiero wtedy, gdy udowodni, że ma tyle samo honoru co Egwene, nie wcześniej.

Rand, ze swej strony, więcej wprawdzie słuchał, niż się odzywał, a jeśli już, to nie wypowiadał więcej jak kilkanaście słów, ale bardzo dużo się dowiedział. Odpowiedziawszy na argumenty Melaine, Min wyliczyła wszystkie członkinie misji, nazwisko po nazwisku, powtarzając, co każda z nich sądzi na temat wsparcia Randa, po czym szczerze przyznała, że nie wszystko wygląda różowo. Merana Ambrey i Kairen Stang, Błękitna, pochodziły z Andoru i mimo iż wszystkie Aes Sedai rzekomo wyparły się wszelkich przynależności wyjąwszy Białą Wieżę, te dwie, prawdopodobnie dlatego, że zostały odepchnięte przez Wieżę, burzyły się z powodu faktu, że Rand, domniemany zabójca Morgase, obrał Caemlyn za swoją siedzibę. Rafaela Cindal, również z Błękitnych Ajah, mogła być zadowolona ze zmian, jakie Rand wprowadził w Łzie, gdzie niegdyś wyjęto spod prawa przenoszenie i gdzie skazywano na wygnanie dziewczęta, u których wykryto zdolność do nauki tej sztuki, a jednak mówiła niewiele i również przejmowała się sprawą Morgase. Seonid Traighan, Zielona, rozwodziła się nad każdą pogłoską z jej rodzinnego Cairhien i nie zdradzała swoich zamiarów, a Faeldrin Harella, druga Zielona siostra, porównywała czasami zbrodnie dokonane w Altarze i Murandy do tego, co Zaprzysięgli Smokowi uczynili w Tarabonie, nie wspominając przy tym faktu;

że wojna domowa rozdarła jej kraj, zanim ktokolwiek poprzysiągł tam posłuszeństwo Smokowi. Niemniej jednak, mimo argumentów Melaine, Min upierała się, że wszystkie te Aes Sedai uznały Randa za Smoka Odrodzonego i że przez całą podróż z Salidaru wypytywały ją, najostrożniej jak potrafiły, o to, jaki on jest i jak najlepiej do niego podejść tak, by go nie obrazić albo spłoszyć.

Rand chrząknął, kiedy to usłyszał — one się boją, żeby go nie spłoszyć — Melaine zaś zaczęła uparcie dowodzić, że skoro większość kobiet uczestniczących w misji ma powody do przeciwstawienia się Randowi, to w takim razie nie można ufać całej misji, bo to byłoby tak, jakby dorzucał nawozu do ognia. Min obdarzyła go przeproszającym grymasem i pospiesznie ciągnęła dalej. Arad Doman napatrzyło się na Zaprzysięgłych Smokowi w równym stopniu co Tarabon, a także na własną wojnę domową, a tymczasem Demira Eriff, z Brązowych Ajah, mówiła wyłącznie o dwóch rzeczach: o swym pragnieniu poznania Randa oraz o pogłoskach, jakoby założył on w Cairhien coś w rodzaju szkoły; w oczach Demiry żaden mężczyzna, który założył jakąś szkołę, nie mógł być taki zły. Berenicia Morsad, Żółta siostra z Shienaru, słyszała od Shienaran przebywających w Salidarze, że Rand został przyjęty w Fal Dara przez sławnego kapitana, lorda Agelmara Jagada, co jej zdaniem stanowiło nie byle jaki zaszczyt; lord Agelmar raczej nie przyjmowałby jakiegoś wichrzyciela, durnia albo łotra. Dla Masuri Sokawa było to niemal równie ważne; należała do Brązowych i pochodziła z Arafel, która graniczyła z Shienarem. I była jeszcze Valinde Nathenos, która, zdaniem Min, zdradzała znaczny zapał, zupełnie nie pasujący do przedstawicielki Białych Ajah, by poprosić Randa o przepędzenie Sammaela z Illian; wystarczyłaby obietnica z jego strony, chociażby tylko obietnica, że spróbuje, i Min nie zdziwiłaby się, gdyby Valinde zaproponowała, że złoży mu hołd lenny. Melaine wyraziła swoje niedowierzanie, a nawet przewróciła oczyma; w życiu nie widziała żadnej Aes Sedai, która miałaby aż tyle rozsądku. Rand uznał to stwierdzenie za co najmniej zaskakujące, zwłaszcza, że Mądra zapewne roześmiałaby mu się w twarz, gdyby ją poprosił o złożenie takiej przysięgi. Min jeszcze raz zapewniła, że to prawda, niezależnie od tego, co mówi druga kobieta.

— Okażę im tyle szacunku, na ile mnie stać, rzecz jasna bez klękania — obiecał Rand, kiedy Min nareszcie wyczerpała temat. Patrząc w stronę Melaine dodał: — I dopóki nie wykażą się dobrą wolą, nie zaufam im ani na jotę. — Wydawało mu się, że tymi słowami zadowolili obie, ponieważ każda dostała to, czego chciała, ale marsy na czołach mówiły, że wcale tak nie było.

W trakcie całej tej sprzeczki obawiał się, że kobiety skoczą sobie do gardeł, ale wychodziło na to, że odmienny stan Melaine oraz widzenie Min stworzyło między nimi coś w rodzaju więzi. Przy wstawaniu obsypały się uściskami i uśmiechami, a Melaine stwierdziła nawet:

— Wcale się nie spodziewałam, że cię polubię, Min, a jednak tak się stało, i nadam jednej z dziewczynek twoje imię, bo to ty dowiedziałaś się o niej pierw-

sza. Muszę iść i powiedzieć o wszystkim Baelowi, bo jeszcze się zrobi zazdrosny, że Rand al'Thor dowiedział się o wszystkim wcześniej niż on. Obyś zawsze znajdowała wodę i cień, Min. — Dodała jeszcze, obracając się w stronę Randa: — Bacznie obserwuj te Aes Sedai, Randzie al'Thor, i otaczaj Min swoją opieką, kiedy będzie tego potrzebowała. Wyrządzą jej krzywdę, kiedy się dowiedzą, że ona jest ci lojalna. — Po tych słowach wyszła, rzecz jasna, z dokładnie takim samym ceremoniałem, z jakim przybyła, to znaczy raz skinąwszy głową w jego stronę.

Zostawiając go sam na sam z Min, przez co, z jakiegoś powodu, poczuł się zakłopotany.

# CZARNA WIEŻA

Rand i Min stali, zapatrzeni w siebie, nie wykonując żadnego ruchu, dopóki on w końcu nie przemówił:

— Miałabyś ochotę udać się razem ze mną na farmę?

Na dźwięk jego głosu wzdrygnęła się nieznacznie.

— Jaką farmę?

— Tak naprawdę to nie farma, tylko szkoła. Dla mężczyzn, którzy przybywają tu, by uzyskać amnestię.

Twarz Min pobladła.

— Nie, chyba nie... Merana czeka na wieści ode mnie. I powinnam też przekazać jak najszybciej, jakie im stawiasz warunki. Nie znają ich jeszcze, więc każda może zawędrować do Wewnętrznego Miasta, a ty chyba nie chciałbyś... Naprawdę powinnam już pójść.

Nie rozumiał. Bała się jego uczniów, mężczyzn, którzy potrafili przenosić, którzy chcieli przenosić, mimo iż żadnego jeszcze nie poznała. W przypadku każdej innej osoby byłoby to zrozumiałe, ale przecież i jemu ta sztuka nie była obca, a mimo to Min była gotowa mierzwić mu włosy, dźgać palcem w zębra i obrzucać najrozmaitszymi wyzwiskami.

— Chcesz może eskortę na drogę powrotną do Różanej Korony? Tu nawet w świetle dnia kręca się rozmaite rzezimieszki. Jest ich tu niewielu, ale nie chciałbym, żeby coś ci się stało.

Jej śmiech zabrzmiał nieco niepewnie. Naprawdę zdenerwowała się tą farmą.

— Sama dbałam o siebie, kiedy ty jeszcze wypasałeś owce, wieśniaku. — Nagle w obu jej dłoniach pojawiły się noże; machnęła nimi, po czym wróciły do rękawów, jednak już nie tak gładko, jak się z nich wyłoniły. Znacznie bardziej trzeźwym tonem dodała: — Sam powinieneś zadbać o siebie, Rand. Odpocznij. Wyglądasz na zmęczonego. — Zaskoczyła go, bo podbiegła, stanęła na czubkach palców i zadarła głowę, by złożyć na jego wargach lekki pocałunek. — Ja też się cieszę, że cię widzę, pasterzu. — I raz jeszcze się zaśmiawszy, tym razem z zadowoleniem, wybiegła z komnaty.

Mrucząc coś pod nosem, Rand włożył kaftan i poszedł do sypialni, by wyciągnąć miecz ukryty w głębi szafy, wykonanej z ciemnego drewna rzeźbionego

w róże, tak wysokiej i szerokiej, że pomieściłaby ubrania dla czterech mężczyzn. Naprawdę zamieniał się w lubieżnego capa. A Min się ubawiła. Zastanawiał się, jak długo ona będzie tak z niego drwić.

Płócienny woreczek średniej wielkości, który zadźwięczał, kiedy wyciągnął go spod skarpet schowanych w komodzie inkrustowanej lazurytem, powędrował do jednej kieszeni kaftana; drugi, znacznie mniejszy i uszyty z aksamitu, trafił do tej, w której nosił *angreal*. Złotnik, twórca zawartości większego woreczka, był co najmniej szczęśliwy, że pracuje dla Smoka Odrodzonego, i wzdragał się przed wzięciem zapłaty za uczyniony mu zaszczyt. Rzemieślnik, który wykonał przedmiot ukryty teraz w drugim woreczku, zażądał cztery razy tyle, ile zdaniem Bashere jego dzieło było warte, a na dodatek, dopóki nie skończył roboty, musiały przy nim stać dwie Panny.

Wyprawę na farmę Rand planował już od jakiegoś czasu. Nie lubił Taima, a poza tym Lews Therin zaczynał szaleć w obecności tego człowieka, ale nie mógł unikać tego miejsca. Zwłaszcza teraz. Na ile się orientował, Taim skutecznie trzymał uczniów z dala od miasta — Rand w każdym razie nie słyszał o żadnych incydentach, a wszak takie pogłoski na pewno obłyby mu się o uszy — wiedział jednak, że wieści o Meranie i misji poselskiej dotrą w końcu na farmę, albo razem z wozami dostawczymi, albo na ustach nowych uczniów, i tak, jak to się zazwyczaj dzieje z plotkami, te dziewięć Aes Sedai przemieni się albo w dziewięć Czerwonych siostr albo w dziewięćdziesiąt Aes Sedai, które polują na mężczyzn, żeby ich poskromić. Musiał temu zapobiec, zanim uczniowie zaczną uciekać pod osłoną nocy albo zjawią się w Caemlyn, żeby zaatakować jako pierwsi.

Po mieście już i tak krążyło zbyt wiele pogłosek na temat Aes Sedai, co stanowiło drugi powód, dla którego chciał wyjechać. Alanna, Verin oraz dziewczęta z Dwu Rzek, za sprawą tego, co gadano na ulicach, zmieniły się w połowę siostr z Wieży; krążyło też całe mnóstwo opowieści o Aes Sedai zakradających się potajemnie, pod osłoną nocy, do Caemlyn, przez stworzone naprędce bramy. Opowieść o Aes Sedai Uzdrawiającej bezpańskie koty była tak barwna, że niemalże sam w nią uwierzył, ale wszystkie wysiłki Bashere, by dotrzeć do jej źródła, nie przyniosły rezultatu, pojawiła się też pogłoska, jakoby kobiety, które eskortowały Smoka Odrodzonego, były tak naprawdę Aes Sedai w przebraniu.

Rand, nieświadom tego, co robi, odwrócił się i zapatrzył na ścianę, po której biegł pas z białymi reliefami przedstawiającymi Lwy i róże, jednakże wcale jej nie widział. Alanna nie mieszkała już w Psie Culaina. Ledwie panowała nad sobą; gdyby nie była Aes Sedai, uznałby, że ma kompletnie stargane nerwy. Ubiegłej nocy obudził się raz, pewien, że tamta płacze. Czasami niemalże odnosił wrażenie, że zapomniał o jej istnieniu — musiało się dopiero coś zdarzyć, tak jak wtedy, kiedy go obudziła. Podejrzewał, że człowiek potrafi się przyzwyczaić do wszystkiego. Tego ranka Alanna była... również pełna zapału, tak to chyba należałoby określić. Założyłby się o całe Caemlyn, że ten szlak między jego oczyma

a nią wiódł prosto do „Różanej Korony”. Założyłby się, że jest z nią Verin. Nie dziewięć Aes Sedai. Jedenaście.

Lews Therin mruknął coś niespokojnie głosem człowieka, który się zastanawia, czy przypadkiem nie został właśnie przyparty do muru. Rand też sobie zadawał takie pytanie. Jedenaście, a wszak trzynaście mogłoby go wziąć do niewoli z taką samą łatwością, z jaką bierze się w objęcia dziecko. Gdyby im dał sposobność. Lews Therin zaczął się cicho śmiać, śmiechem podobnym do chrapliwego łkania; znowu musiał utracić kontakt z rzeczywistością.

Przez chwilę Rand zastanawiał się, czy nie wezwać Somary i Enaili, po czym otworzył bramę tam, gdzie stał, nad dywanem w złoto-niebieskie wzory, okrywającym posadzkę sypialni. Tego ranka były takie ponure, że któraś z pewnością coś by palnęła, zanim jego wizyta na farmie dobiegłaby końca, a poza tym dobrze pamiętał uprzednie wizyty i nie chciał, żeby wszyscy uczniowie oglądali się przez ramię ze strachu przed grupą złożoną z dwudziestu kilku Panien. Takie przeżycie potrafiło pozbawić człowieka pewności siebie, a oni bardzo jej potrzebowali, jeśli mieli przeżyć.

Taim miał rację odnośnie jednej rzeczy: człowiek, który obejmował *saidina*, czuł, że żyje, i to nie tylko dzięki spotęgowanej sile zmysłów. Mimo skazy Czarnego, mimo wrażenia, że oleisty szlam okleja mu kości, mimo że Moc usiłowała go stopić w jednej chwili, przesyć takim chłodem, że cały się rozpadał na kawałki, kiedy jeden błędny krok albo jeden moment słabości oznaczał śmierć — Światłości, wtedy naprawdę wiedziało się, że się żyje. A mimo to odepchnął Źródło, ledwie przeszedł przez bramę, i nie tylko po to, by pozbyć się skazy, zwrócił całą zawartość żołądka; skaza zdawała się bardziej stężona niż kiedykolwiek, bardziej ohydna, o ile to w ogóle możliwe. Prawdziwy powód był taki, że chyba nie umiałby spojrzeć Taimowi w twarz, będąc równocześnie wypełniony *saidinem* i mając Lewsa Therina w głowie.

Trawa na polanie była jeszcze bardziej zbrązowiała niż ją zapamiętał, znacznie więcej liści chrzęściło pod stopami i jeszcze mniej wisiało na drzewach. Część sosen całkiem pożółkła i wiele drzew skórzanych umarło; stały teraz szare i nagie. Ale o ile w wyglądzie polany zaszła pewna zmiana, to sama farma zmieniła się nie do poznania.

Dom wyraźnie znajdował się w lepszym stanie — nakryto go nową strzechą, a poza tym poddano gruntownej przebudowie stodołę; była o wiele bardziej okazała niż kiedyś i już się nie chyliła ku upadkowi. W dużej zagrodzie stały konie, a obora i owczarnia zostały przesunięte bardziej w głąb. Kozy miały własną obórkę, a kury równy rząd grzęd. Wykarczowano także pas lasu. Za stodołą rozbito ponad tuzin białych namiotów, a nie opodal stały szkielety dwóch budynków, znacznie większych od starego domu; siedziała przed nimi grupka kobiet, zajętych szyciem i doglądaniem gromadki dzieci toczących kółka, bawiących się piłką i lalkami. Największa jednak zmiana zaszła w samych uczniach; większość przy-

wdziała zgrabnie skrojone, czarne kaftany z wysokimi kołnierzami i mało który jeszcze się pocił. Musiało ich być dobrze ponad stu, w najrozmaitszym wieku. Rand nie miał pojęcia, że Taimowi tak się udały te wszystkie wyprawy rekrutacyjne. W powietrzu zdawało się wisieć niemalże namacalne wrażenie obecności *saidina*. Jedni mężczyźni ćwiczyli sploty, podkładali ogień pod pniaki albo chwyтали się wzajem w pętle z Powietrza. Inni wykorzystywali Moc, by nosić wodę w wiadrach chwytanym splotami Powietrza lub pchać wózki z gnojem ze stodoły albo układać drewno na opał. Nie każdy prznosił. Henre Haslin komenderował szeregiem obnażonych do pasa mężczyzn, ćwicząc z nimi szermierkę. Haslin, z pojedynczym kosmykiem siwych włosów i bulwiastym, czerwonym nosem, pocił się bardziej niż jego uczniowie i bez wątpienia tęsknił za swym winem, ale obserwował ich i karciał tak ostro jak w czasach, gdy był Mistrzem Miecza w Gwardii Królowej. Przed pozbawionym prawej dłoni Saeric'iem, siwowłosym Goshieniem z klanu Czerwona Woda, stały dwa rzędy mężczyzn bez koszul. Jeden robił wyrzut nogą na wysokość głowy: obrót i kopniak, potem obrót i kopniak drugą nogą, i tak bez końca; inni walczyli z cieniem, wyprowadzając ciosy najszybciej, jak tylko umieli. W sumie wyglądało to o niebo lepiej niż żalosne poczynania tamtej garstki, jaką Rand widział ostatnim razem.

Przed Randem stanął odziany w czarny kaftan mężczyzna w średnim wieku. Miał ostry nos i wygięte szyderczo usta.

— A ty kim jesteś? — spytał z taraboniańskim akcentem. Przybywasz do Czarnej Wieży, żeby się uczyć? He? Trzeba było poczekać w Caemlyn, to by cię przywieźli wozem. Mógłbyś wtedy cieszyć się jeszcze jeden dzień tym pięknym kaftanem.

— Nazywam się Rand al'Thor — rzekł cicho Rand. Cicho, żeby nie wybuchnąć gniewem. Grzeczność nic nie kosztuje, ale jeśli ten dureń o tym nie wie, już on mu zaraz. . .

Tymczasem grymas na twarzy tamtego pogłębił się.

— A więc to ty? — Zmierzył Randa od stóp do głów wyniosłym spojrzeniem. — Coś niezbyt imponująco wyglądasz. Myślę, że sam mógłbym. . . — Strumień Powietrza stwardniał tuż obok jego ucha, uderzył w nie i mężczyzna padł bezwładnie na ziemię.

— Czasami dyscyplina się przydaje — stwierdził Taim, stając nad leżącym. Powiedział to niemalże jowialnym tonem, ale ciemne, skośne oczy wpatrywały się morderczo w człowieka, którego właśnie powalił na ziemię. — Nie można komuś mówić, że jest w stanie sprawić, by zatrzęsała się ziemia, a potem wymagać od niego skromności. — Smoki na rękawach jego czarnego kaftana lśniły w słońcu; mogła to sprawić złota nić, ale jakim cudem ta niebieska tak lśniła? Ni stąd ni zowąd podniósł głos. — Kisman! Rochaid! Wynieście stąd Tolvara i tak długo oblewajcie go wodą, aż się ocknie. Żadnego Uzdrawiania, pamiętajcie. Może ból głowy go nauczy, że powinien trzymać język na wodzy.

Nadbiegło dwóch mężczyzn w czarnych kaftanach, młodszych od Randa; pochylili się nad Tolvarem, po czym zawahali się, zerkając na Taima. Po jakiejś chwili Rand poczuł, jak wypełnia ich *saidin*, strumienie Powietrza uniosły bezwładnego Tolvara i obaj odbiegli z ciałem tamtego zawieszonym w powietrzu między nimi.

„Powinien był go zabić już dawno temu — wydyszał Lews Therin. — Powinienem... powinienem...”

Rand czuł, jak sięga w stronę Źródła.

„Nie, a żebyś szczeł! — pomyślał. — Nie, ty nie istniejesz. Jesteś tylko przeklętym głosem!” — Rejteradzie Lewsa Therina towarzyszył cichnący lament.

Rand powoli wciągnął powietrze do płuc. Taim patrzył na niego, jak zwykle z tym swoim grymasem imitującym uśmiech. — Uczysz ich Uzdrawiania?

— Na samym początku przekażę im tę odrobinę wiedzy, jaką posiadam. I to jeszcze zanim dowiedzą się, jak się nie zapocić na śmierć przy takiej pogodzie. Broń traci swą użyteczność, jeżeli już po zadaniu pierwszej rany trzeba ją odrzucić jako uszkodzoną. Na razie jeden mi się zabił, bo zaczerpnął za dużo, a trzech się wypaliło, ale żaden jeszcze nie zginął od miecza. — Udało mu się włożyć sporo pogardy w słowo „miecz”.

— Rozumiem — odparł krótko Rand. Jeden zmarł i trzech się wypaliło. Czy Aes Sedai traciły aż tyle w Wieży? Ale one z kolei działały powoli. Mogły sobie na to pozwolić. — O jakiej Czarnej Wieży mówił ten człowiek? Nie podoba mi się ta nazwa, Taim. — Lews Therin znowu zaczął mamrotać i pojękiwać, nie wypowiadając żadnych zrozumiałych słów.

Mężczyzna o orlim nosie wzruszył ramionami, ogarniając wzrokiem farmę i uczniów z miną znamionującą dumę posiadacza.

— To nazwa, którą posługują się uczniowie. Nie można było bez końca mówić o tym miejscu „farma”. Z pewnością uważali, że to nie pasuje, chcieli czegoś więcej. Czarna Wieża, jako przeciwwaga dla Białej Wieży. — Przekrzywił głowę, patrząc z ukosa na Randa. — Ale mogę to ukrócić, jeśli chcesz. Całkiem łatwo zdławić słowo na ludzkich ustach.

Rand zawahał się. Być może dość łatwo zdławić słowo na ludzkich ustach, ale trudno przegnać je z umysłów. To miejsce rzeczywiście musiało zostać jakoś nazwane. Nie przyszło mu to do głowy. Więc dlaczego nie Czarna Wieża? Patrząc na budynek farmy i szkielety nowych domów — większe, ale wciąż drewniane — uśmiechnął się.

— Niech tak zostanie. — Może Biała Wieża miała równie skromne początki. Co wcale nie znaczyło, by Czarna Wieża miała kiedykolwiek tak się rozrosnąć i móc rywalizować z Białą. Ta myśl z kolei sprawiła, że jego uśmiech przygasł. Ze smutkiem popatrzył na dzieci. Bawił się niegdyś tak samo jak one, łudząc nadzieją na zbudowanie czegoś trwałego. — Zbierz uczniów, Taim. Mam im kilka rzeczy do powiedzenia.



Przybył tu przekonany, że zbierze ich wokół siebie, zobaczy, ilu ich jest, może przemówi do nich z rozklekotanej fury, która jakby gdzieś się zapodziała. Taim dysponował specjalną platformą, z której wygłaszał przemowy, prostym blokiem z czarnego kamienia, ociosanym i wypolerowanym tak, że w słońcu lśnił niczym lustro, z dwoma stopniami wykutymi z tyłu. Stał pośród otwartej przestrzeni za domem; na gołej, ubitej ziemi. Tuż obok zbierały się słuchające go kobiety i dzieci.

Stojąc na platformie Rand mógł nabrać jakiegoś pojęcia o tym, jak bardzo różnorodne są efekty akcji werbunkowej Taima. Jahar Narishma, którego wskazał Taim, młody człowiek z wrodzoną iskrą talentu, miał duże, ciemne oczy zupełnie jak dziewczyna, bladą twarz promieniującą pewnością siebie i włosy zaplecione w dwa długie warkocze ze srebrnymi dzwoneczkami na końcach. Taim twierdził, że Jahar pochodzi z Arafel, prócz tego Rand rozpoznał shienarańską ogoloną głowę z kitą na czubku u innego mężczyzny i dwóch z przezroczystymi woalami, często noszonych zarówno przez kobiety, jak i mężczyzn w Tarabon. Wypatrzył skośne oczy z Saldaei i bladych, niskich mężczyzn z Cairhien. Jednego starca z wypomadowaną bródką, przyciętą w szpic — pragnął zapewne naśladować taireniańskiego lorda, którym z całą pewnością nie był — a także co najmniej trzech z brodami, za to bez wąsów. Miał nadzieję, że Taim nie wzbudził zainteresowania Sammaela, prowadząc werbunek w Illian. Spodziewał się zobaczyć przeważnie młodych mężczyzn, ale młode twarze, takie jak u Ebena albo Fedwina, miały przeciwwagę w łysiejących albo siwych głowach, niekiedy jeszcze bardziej siwych od głowy Damera. Teraz, kiedy się nad tym zastanowił, nie widział w tym niczego dziwnego, żadnego powodu, dla którego nie mogło tu trafić tyluż samo dziadków co małych chłopców.

Nie potrafił wygłaszać przemów, ale wcześniej dostatecznie długo i wytrwale zastanawiał się nad tym, co chce powiedzieć. Nie nad pierwszą częścią, ale z tym upora się szybko, jeżeli szczęście dopisze.

— Słyszeliście zapewne opowieści o Wieży... Białej Wieży... o tym, że doszło w niej do rozłamu. Cóż, to prawda. Część zbuntowanych Aes Sedai być może zechce pójść za mną i to one właśnie przysłały emisariuszki. Jest ich dziewięć, znajdują się teraz w Caemlyn i czekają na mój dobry humor. Dlatego więc, kiedy usłyszycie o Aes Sedai w Caemlyn, nie powinniście się niepokoić. Wiecie, dlaczego tutaj się znalazły, możecie więc zaśmiać się w twarz każdemu, kto będzie wam opowiadać jakieś niestworzone historie.

Nie było żadnej reakcji. Stali tylko i wpatrywali się w niego, zdając się nawet nie mrugać oczami. Taim patrzył na nich krzywo, bardzo krzywo. Dotknąwszy większego woreczka w kieszeni, Rand przeszedł do tej części, nad którą tak się nabiedził.

— Powinniście się jakoś nazywać. W Dawnej Mowie Aes Sedai oznacza Sługę Wszystkich, bądź coś bardzo podobnego. Nie jest łatwo tłumaczyć Dawną Mowę.

— On sam znał tylko kilka słów, niektóre wziął od Asmodeana, garstkę od Moiraine, parę takich, które wymknęły się Lewsowi Therinowi. Jednak Bashere nauczył go tego, czego potrzebował. — Innym słowem z Dawnej Mowy jest *asha'man*. Oznacza obrońcę, względnie obrońców. Albo opiekuna i być może również kilka innych rzeczy; mówiłem wam, Dawna Mowa jest bardzo wieloznaczna. Ale Obrońca to będzie chyba najlepszy odpowiednik. Nie chodzi tu o zwykłego obrońcę czy opiekuna. Nie da się nazwać człowieka, który bronił niesłusznej sprawy, *asha'manem*, a już nigdy takiego, który jest wcieleniem zła. *Asha'manem* jest ten, kto bronił prawdy, sprawiedliwości i równych praw dla wszystkich. Ten, kto nie ugiął się nawet wtedy, kiedy już nie było żadnej nadziei. — Światłość wiedziała, że wszelkie nadzieje przepadną wraz z nadejściem Tarmon Gai'don, o ile nie wcześniej. — Kimś takim, ma się tutaj każdy z was stać. Po ukończeniu nauk zostaniecie Asha'manami.

Rozległ się pomruk, podobny do szelestu liści na wietrze; powtórzyli to słowo, ale prędko umilkli. Przyglądały mu się przejęte twarze, niemalże widać było, jak nadstawiają uszu, żeby dokładnie usłyszeć, co powie dalej. Przynajmniej było trochę lepiej niż ostatnim razem. Zawartość płóciennego woreczka zabrzączała cicho, kiedy go wyjmował z kieszeni kaftana.

— Aes Sedai zaczynają jako nowicjuszek, potem zostają Przyjętymi, a na koniec pełnymi Aes Sedai. Wy też będziecie przechodzili przez kolejne stopnie, ale nie takie, jak u Aes Sedai. Nie będzie się wygaszało w was iskry ani też nie będziecie odsyłani. — Odsyłani? Światłości, zrobiłby wszystko, oprócz wiązania za ręce i nogi, żeby tylko zatrzymać każdego, kto chciałby odejść, a potrafiłby chociaż trochę przerosnąć. — Mężczyzna, który przybędzie do Czarnej Wieży... — Nie podobała mu się ta nazwa. — ... zostanie nazwany żołnierzem, ponieważ tym właśnie się stanie jako jeden z nas, ponieważ wy wszyscy się nimi staniecie, żołnierzami walczącymi z Cieniem i to nie tylko z Cieniem, lecz z każdym, kto wystąpi przeciw sprawiedliwości albo będzie uciskał słabszych. Kiedy jakiś żołnierz osiągnie określone stadium umiejętności, zostanie nazwany Oddanym i będzie nosił to. — Wyjął z woreczka jedną z odznak, które wykonał dla niego złotnik mały, połyskliwy miecz, z długą rękojeścią, zaokrąglonym jalcem i lekko zakrzywionym ostrzem. — Taim!

Taim podszedł do niego sztywno i Rand pochylił się, by przypiąć srebrny mieczyk do wysokiego kołnierza jego kaftana. Na tle czarnej jak węgiel wełny odznaka zdawała się lśnić jeszcze jaśniej. Na twarzy Taima malowało się tyleż samo emocji co na kamieniu pod stopami Randa. Rand wręczył mu woreczek, szepcząc:

— Daj je każdemu, kto twoim zdaniem już sobie zasłużył. Tylko musisz być tego pewien.

Wyprostował się, z nadzieją, że odznak wystarczy; naprawdę się nie spodziewał, że będzie ich aż tylu.

— Oddanym, którzy rozwiną dostatecznie swe umiejętności, będzie przysługi-

wało miano Asha'mana i takie oto odznaczenie. Wyjął mały, aksamitny woreczek i wyciągnął zeń jego zawartość. Promień słońca zaiskrzył się na złocie pokrytym cieniutkimi rytami i czerwonej emalii. Falisty kształt, dokładnie taki jak na sztandarze Smoka. Ta odznaka też została przypięta do kołnierza Taima dzięki czemu po obu stronach jego szyi lśniły teraz i miecz, i Smok. Przypuszczam, że ja byłem pierwszym Asha'manem — powiedział uczniom Rand. — Mazrim Taim jest drugim. — Twarz Taima nadal pozostawała bez wyrazu; co, tak nawiasem mówiąc, działo się z tym człowiekiem? — Mam nadzieję, że w końcu wszyscy zostaniecie Asha'manami, ale niezależnie od tego, pamiętajcie, że jesteście żołnierzami. Czekają nas wiele bitew, może nie zawsze takich, jakich się spodziewamy, a na samym końcu Ostatnia Bitwa. Oby Światłość sprawiła, by była rzeczywiście ostatnia. Zwycięzimy, o ile sprzyja nam Światłość. Zwycięzimy, ponieważ musimy zwyciężyć.

Urwał i w tym momencie powinny się były rozlegnąć wiwaty. Nie uważał siebie za takiego mówcę, który sprawia, że ludzie podskakują w miejscu i krzyczą, ale ci mężczyźni wiedzieli, dlaczego się tutaj znaleźli. Słowa o zwycięstwie powinny były wywołać jakąś reakcję, choćby najśłabszą. A tymczasem panowała martwa cisza.

Zeskoczył z kamiennego bloku, a Taim warknął:

— Rozejść się do swych lekcji i codziennych obowiązków. — Uczniowie... żołnierze ruszyli z miejsc niemalże równie milcząco jak stali, słychać było jedynie jakieś cicho mruczone słowa. Taim ruszył w stronę domostwa. Ścisnął woreczek z mieczykami tak mocno, że aż dziw brał, iż któryś nie dźgnął go przez tkaninę koszuli. — Czy Lord Smok dysponuje chwilą czasu na wypicie ze mną kielicha wina?

Rand skinął głową; chciał dotrzeć do sedna całej sprawy, zanim powróci do pałacu.

Frontowa izba domostwa wyglądała dokładnie w taki sposób, jak należało się spodziewać: naga, dokładnie zamieciona posadzka, niedopasowane krzesła o drabinkowych oparciach, ustawione przed kominkiem z czerwonych cegieł, palenisko tak czyste, iż zdawało się niemożliwe, by kiedykolwiek płonął na nim ogień. Na niewielkim stoliku leżał obrus z brzegami pokrytymi haftowanymi kwiatkami. Sora Grady weszła cicho i ustawiła na nim drewnianą tacę z jaskrawo-niebieskim dzbanem pełnym wina i dwoma krytymi białą glazurą kubkami. Rand uznał, że po upływie takiego czasu jej spojrzenie go nie dotknie, jednak oskarżenie przepełniające jej wzrok sprawiło, że ucieszył się, kiedy wyszła. Taim cisnął woreczek na tacę i wychylił duszkiem całą zawartość kufła.

— Nie zamierzasz nauczyć kobiet tej sztuczki z koncentracją? — zapytał Rand. — To okrucieństwo pozwalać tak im się pocić, podczas gdy mężczyźni nie mają tych kłopotów.

— Większość nie chce w tym wszystkim brać udziału — odparł zwięźle Ta-

im. — Ich mężowie i narzeczeni starają się je uczyć, jednak one nawet nie chcą słuchać. Bo to miałyby ich zdaniem coś wspólnego z *saidarem*, rozumiesz chyba?

Rand utkwiał wzrok w kielichu z winem. W tej chwili musiał się kierować intuicją. Żadnych wybuchów gniewu, tylko dlatego, że poczuł ukłucie irytacji.

— Ciesz się, że rekrutacja idzie tak dobrze. Powiedziałeś, że dorównasz Wieży... Białej Wieży... — Biała Wieża, Czarna Wieża. Jakie opowieści powstaną na ten temat? O ile jakieś powstaną. — ... w niespełna rok i najwyraźniej to ci się uda, jeśli będziesz utrzymywał takie tempo. Nie pojmuję, jakim sposobem byłeś w stanie znaleźć ich aż tylu.

— Przesiej dostateczną ilość piasku — odrzekł sztywno Taim — a w końcu znajdziesz kilka złotych ziarek. Teraz już pozostawiam to innym, czasem tylko gdzieś się wyprawiam. Damer, Grady... jest tu kilkunastu takich, których mogę spokojnie pozostawić na cały dzień; mają dość lat, by nie zrobić niczego głupiego, a poza tym jest też wielu młodych mężczyzn, dostatecznie silnych, by móc tworzyć bramy; oni towarzyszą starszym, którzy tego nie potrafią. Będziesz miał swój tysiąc przed upływem roku. A co się dzieje z tymi, których odsyłam do Caemlyn? Czy stworzyłeś już z nich armię?

— To pozostawiam Bashere — odrzekł cicho Rand. Usta Taima drgnęły ze wzgardą, a Rand odstawił kubek, zanim zdążył zmiażdżyć go w uścisku. Wiedział, że Bashere wyciskał z surowego rekruta, co mógł, w obozowisku rozbitym gdzieś na zachód od miasta, naprawdę, ile mógł, bowiem, jak to ujmowali Saldaeańczycy, była to banda oberwańców złożona z farmerów bez grosza przy duszy, zbiegłych uczniów oraz niedowarzonych rzemieślników, którzy nigdy wcześniej nie mieli w ręku miecza, nie jeździli na osiodłanych koniach ani też nie oddalali się od miejsca swego urodzenia na odległość większą niżli pięć mil. Rand miał zbyt wiele swoich zmartwień, by się tymi sprawami przejmować, przykazał wszak Bashere, że ma zrobić z nimi, co chce, i nie zawracać mu głowy, chyba że wybuchnie bunt.

Popatrzawszy na Taima, który nie starał się nawet skryć pogardy, schował za plecami dłonie zaciśnięte w pięści. Gdzieś w oddali zagrzemiał Lews Therin, echo jego gniewu.

— A w ciebie co wstąpiło? Od czasu, jak ci przypiąłem te odznaki, tak się zachowujesz, jakbyś miał oset w spodniach. Czy to ma coś wspólnego z nimi? Jeśli tak, to ja nie rozumiem. Ci mężczyźni nabiorą szacunku dla własnych odznaczeń, po tym jak zobaczyli, że ty swoje otrzymałeś z rąk samego Smoka Odrodzonego. A skoro już o tym mowa, będą też mieli wyższe mniemanie o tobie. Może nie będziesz już musiał tłuc ich po głowach, żeby utrzymać dyscyplinę. No słucham, co masz do powiedzenia? Zaczął nawet jak należy, tonem spokojnym, jeśli nawet nie całkiem łagodnym — wcale nie chciał, by jego słowa zabrzmiały łagodnie — ale w miarę mówienia jego głos stawał się coraz bardziej stanowczy i głośny. Niby nie krzyczał, a mimo to zadane na końcu pytanie zabrzmiało jak trzask bata.

W drugim mężczyźnie zaszła niesamowita zmiana. Taim zatrząsł się zauważalnie — z wściekłości, stwierdził Rand, nie ze strachu — ale po chwili znowu był taki jak przedtem. Z pewnością nie przyjazny, odrobinę drwiący, ale za to bardzo opanowany.

— Przejmuję się Aes Sedai i tobą, skoro już chcesz wiedzieć. Do Caemlyn przybyło dziewięć Aes Sedai, razem z poprzednimi dwiema jest ich teraz jedenaście. Wystarczy jedna albo dwie więcej. Jeszcze nie udało mi się ich znaleźć, ale...

— Powiedziałem ci, że masz się trzymać z dala od miasta — rzekł surowo Rand.

— Znalazłem kilku ludzi, którzy zadają pytania w moim imieniu. — Ton Taima był suchy jak pył. — Od dnia, w którym cię uratowałem przed Szarym Człowiekiem, nie zbliżałem się do Caemlyn.

Rand pominął milczeniem te wyjaśnienia. Niemalże. Prawie. Głos w jego głowie był zbyt cichy, żeby mógł go zrozumieć, a mimo to przypominał chłodny grzmot.

— Poparzą się, zanim zdołają przechwycić jakieś pogłoski. — Włożył w te słowa całą przepelniającą go pogardę; Taim go niby uratował?... i wtedy tamten mężczyzna drgnął gwałtownie. Pozornie nadal zdawał się spokojny, ale jego oczy przypominały ciemne klejnoty.

— A jeśli się przyłączy do Czerwonych Aes Sedai? — Głos miał chłodny i pełen rozbawienia, ale oczy mu zaśniły. — Po wsiach krążą Czerwone siostry. Jest ich kilka grup, przybyły w ostatnich dniach. Próbują przechwytywać mężczyzn, którzy tu ciągną.

„Zabiję go” — krzyknął Lews Therin, a Rand poczuł niewidzialne dłonie sięgające po omacku w stronę *saidara*.

„Odejdź” — rozkazał stanowczo. Poszukiwania nie ustały, głos mówił dalej:

„Zabiję najpierw jego, a potem ich wszystkich. Oni mu służą. To jasne, na pewno mu służą”.

„Odejdź! — odkrzyknął bezgłośnie Rand. — Nie jesteś niczym innym jak tylko głosem!” — Macki wciąż pełzły w stronę Źródła.

„Och, Światłości, zabiłem ich wszystkich. Wszystko, co kochałem. Ale postąpię właściwie, jeśli go zabiję. Odkupię wszystko, jeśli wreszcie to zrobię. Nie, niczym tego nie odkupię, ale i tak muszę go zabić. Zabić ich wszystkich. Muszę. Muszę”.

„Nie! — krzyknął Rand we wnętrzu własnej głowy. — Ty nie żyjesz, Lewsie Therinie. To ja żyję, a żebyś szczeł, ty nie żyjesz! Nie żyjesz!”

Nagle, dotarło do niego, że wspiera się o stół, chwytając równowagę, bo ugięły się pod nim kolana. I mruczy:

— Ty nie żyjesz! Ja żyję, a ty nie żyjesz! — Ale nie objął *saidina*. Podobnie Lews Therin. Roztrzęsiony spojrzął na Taima i zdziwił się, widząc troskę na jego

twarzy.

— Musisz panować nad sobą — rzekł cicho Taim. — Musisz zachować zdrowe zmysły, o ile to możliwe. Jeżeli zawiedziesz, to cena, jaką przyjdzie za to zapłacić, będzie zbyt wysoka.

— Nie zawiodę — obiecał Rand, prostując się. Lews Therin milczał. Jakby w jego głowie nie było nikogo. Nawet poczucia istnienia Alanny. — Czy te Czerwone już kogoś złapały?

— O niczym takim nie słyszałem. — Taim przyglądał mu się uważnie, jakby się spodziewał kolejnego wybuchu. — Większość uczniów przybywa teraz przez bramy, a poza tym ludzi na drogach jest tylu, że ciężko wyłuskać wśród nich mężczyznę, który do nas wędruje, chyba, że ten za dużo gada. — Urwał. — Ale nie byłoby trudno je wyeliminować, jakby przyszło co do czego.

— Nie. — Czyżby Lews Therin rzeczywiście oszedł? Bardzo tego pragnął, ale wiedział, że byłby głupcem, gdyby w to uwierzył. — Jeżeli zaczną brać mężczyzn, to będę musiał coś zrobić, ale na razie te krążące po wsiach nie stanowią zagrożenia. I wierz mi, żadna z przysłanych przez Elaidę raczej się nie przyłączy do tych Aes Sedai, które już są w mieście. Każda z tych grup prędzej powitałyby ciebie w swych szeregach niżli siebie wzajem.

— A co z tymi, które przebywają w mieście? Jedenaście, powiadasz? Parę wypadków mogłoby uszczuplić tę liczbę. Jeżeli wolisz nie brukać sobie rąk, to ja chętnie...

— Nie! Ile razy mam powtarzać, że nie! Jeżeli pocuję w Caemlyn przenoszącego mężczyznę, to będziesz miał ze mną do czynienia, Taim. Przysięgam. I nie myśl sobie, że uda ci się trzymać dostatecznie daleko od pałacu, żebym tego nie odkrył. Jeżeli któraś z tych Aes Sedai umrze z niewyjaśnionych przyczyn, to będę wiedział, kogo obarczyć za to winą. Zapamiętaj moje słowa!

— Wielkie ograniczenia ustanawiasz — stwierdził sucho Taim. — Czy mam może otworzyć sobie żyły, jeżeli Sammael albo Demandred postanowią nękać cię martwymi Aes Sedai, podzucanymi na twoim progu?

— Jak dotąd tego nie zrobili, więc lepiej miej nadzieję, że nie zaczną. Zapamiętaj moje słowa, powtarzam.

— Słyszę cię, lordzie Smoku, i rzecz jasna, będę posłuszny. — Mężczyzna z haczykowatym nosem skłonił się lekko. — Ale nadal powtarzam: jedenaście to niebezpieczna liczba.

Rand roześmiał się mimo woli.

— Taim, zamierzam je tak wyuczyć, by tańczyły do melodii wygrywanej na moim flecie. — Światłości, od jak dawna już nie grał na flecie? Gdzie jest jego flet? Słyszał tylko cichy chichot Lewsa Therina.

# RÓŻANA KORONA

Wynajęty przez Meranę powóz kołysał się gwałtownie w trakcie mozolnej przeprawy przez zalegający ulicę gęsty tłum w stronę „Różanej Korony”. Merana, ciemnowłosa kobieta o chłodnych, orzechowych oczach, z pozoru zdawała się spokojna; szczupłe dłonie trzymała nieruchomo splecione na spódnicach z szarego jedwabiu. W rzeczywistości wcale taka spokojna nie była. Trzydzieści osiem lat temu trafiła tutaj przypadkiem, ponieważ miała wynegocjować traktat między Arad Doman i Tarabonem, traktat, który miał położyć kres utarczkom o Równinę Almoth. Domani i Tarabonianie uciekali się do najrozmaitszych wybiegów przy każdej nadarzającej się okazji i trzykrotnie omal nie wszczęli wojny w samym środku wymiany zdań, cały czas z uśmiechami na twarzach, które miały rzekomo świadczyć o ich dobrej woli. Zanim ich podpisy na dokumencie wyschły, czuła się tak, jakby ją przetoczono po jakichś wybojach w beczce pełnej drzazg, a na dodatek po wszystkim okazało się, że traktat jest wart jeszcze mniej niżli wosk i wstęgi zużyte do jego zapieczętowania. Liczyła, że to, co tego popołudnia zaczęła w Królewskim Pałacu, będzie miało lepsze zakończenie — musiało tak się stać — ale czuła się tak, jakby właśnie wypełzła z jeszcze jednej beczki.

Min siedziała z tyłu, z zamkniętymi oczyma; ta dziewczyna zdawała się ucinąć sobie drzemkę za każdym razem, kiedy Aes Sedai przestawały z nią rozmawiać. Dwie inne siostry w powozie od czasu do czasu popatrywały na nią ukradkiem. Seonid, chłodna i pełna rezerwy, odziana w brokatową zieleń. Masuri, szczupła, z wesołymi oczyma, w brązowej sukni haftowanej w kwieciste pnącza przy rąbku. Ubrały się bardzo oficjalnie, w szale i barwy Ajah.

Merana była pewna, że tamtym przychodzi do głowy to samo co jej, kiedy patrzy na Min. Seonid rozumiała raczej na pewno, ale kto mógł być pewien? Traktowała swoich Strażników surowo i instrumentalnie, niczym właścicielka dwóch rasowych wilczurów, która żywi do nich niejakie przywiązanie. Masuri mogła zrozumieć. Ta istotnie lubiła tańczyć, a nawet flirtować, aczkolwiek potrafiła zapomnieć o swym nieszczęsnym partnerze, gdy posłyszała pogłoskę o odkryciu jakiegoś starego manuskryptu. Merana ze swej strony nie kochała nikogo i to od dawna, od czasów Piątego Traktatu Falmeńskiego, niemniej jednak pamiętała, jak to jest, i wystarczyło jej jedno przelotne spojrzenie na Min wpatrzoną w al’Thora,

by dostrzec w niej kobietę, która wyrzuciła rozsądek za okno i pozwoliła, by serce zwyciężyło.

Nie miała żadnych dowodów, że Min zignorowała wszystkie jej przestrogi, że złamała obietnicę i powiedziała o wszystkim al'Thorowi, ale on wiedział o Sali-darze. Wiedział, że była tam Elayne i wyraźnie się ubawił — ubawił! — ich wykrętami. Niezależnie od tego, czy Min nadużyła ich zaufania — w każdym razie odtąd należało uważać na to, co się mówi w jej obecności — ten fakt przerażał, gdy się go zestawiało z całą resztą. Merana nie zwykła się bać. Strach odrętwiał ją często tamtego roku, kiedy umarł Basan potem już nigdy nie związała więzią innego Strażnika, z jednej strony dlatego, że nie chciała więcej takich przeżyć, a z drugiej dlatego, że była zwyczajnie zbyt zajęta, by szukać właściwego mężczyzny ale to był ostatni raz, kiedy doświadczyła czegoś takiego, a działo się to jeszcze przed Wojną o Aiel. Teraz znów się bała i wcale jej się to nie podobało. Jeszcze wszystko mogło skończyć się dobrze, nic tak naprawdę katastrofalnego się nie zdarzyło, ale sam al'Thor sprawiał, że nogi się pod nią uginały.

Wynajęty powóz zachybotał po raz ostatni, przystając na dziedzińcu „Różanej Korony”; natychmiast doskoczyli doń stajenni, którzy przejęli cugle i otwierali drzwi.

Wystrój wspólnej sali, dzięki panelom z ciemnego, polerowanego drewna i wysokim kominkom obłożonym białym marmurem, harmonizował należycie z tymi trzema kondygnacjami zbudowanymi z finezyjnie obrobionego białego kamienia. Na jednym z kominków stał szeroki zegar, z dzwoneczkami wybijającymi godziny i zdobiony kreskami złocień. Posługaczki nosiły niebieskie suknie i białe fartuszki, haftowane w wieńce z róż; wszystkie się uśmiechały, były uprzejme, sprawne, a jeśli nie piękne, to chociaż przystojne. „Różana Korona” stanowiła ulubioną gospodę tych arystokratów ze wsi, którzy nie posiadali własnych domostw w Caemlyn, ale tego dnia przy stołach siedzieli wyłącznie Strażnicy. A także Alanna i Verin, pod tylną ścianą; gdyby Merana miała tu coś do powiedzenia, to czekałyby w kuchniach, razem ze służbą. Wszystkie pozostałe siostry wyszły na miasto. Nie mogły marnować czasu.

— Jeśli nie macie nic przeciwko — powiedziała Min — to chciałabym się przejść. Mam ochotę pozwiedzać trochę Caemlyn, zanim zapadnie zmrok.

Merana udzieliła jej pozwolenia i kiedy młoda kobieta wymknęła się na zewnątrz, zamieniła spojrzenia z Seonid i Masuri, zastanawiając się, ile czasu upłynie, zanim Min powróci do pałacu.

Pani Cinchonine pojawiła się natychmiast, krągła jak wszystkie oberżystki, które Merana napotkała w życiu; podskakiwała w ukłonach i zacierała różowe dłonie.

— Czym mogę ci służyć, Aes Sedai? Może coś podać? Często udzielała u siebie gościny Meranie i czyniła to dobrze; nie tylko wtedy, gdy już się dowiedziała, że jest Aes Sedai, ale również zanim to się stało.



— Poproszę o jagodową herbatę — odrzekła z uśmiechem Merana. — W jednej z prywatnych izb na piętrze. — Uśmiech znikł, kiedy oberżystka pomknęła przywołać którąś z posługaczek. A potem z surową miną dała Alannie i Verin znak, że mają do niej podejść, po czym wszystkie pięć wspięły się w milczeniu na górę.

Z okien bawialni roztaczał się rozległy widok na ulicę, ale Meranę niezbyt on interesował. Pozamykała wszystkie okna, żeby odgradzić pokój od hałasu i odwróciła się do nich plecami. Seonid i Masuri usiadły na krzesłach. Alanna i Verin nadal stały między pozostałymi dwiema. Verin odziała się w suknię z ciemnej wełny, która sprawiała wrażenie wygniecionej, mimo iż wcale taka nie była, na czubku nosa miała plamę od atramentu, a jej oczy, wyraziste i przenikliwe, przypominały ptasie. Alannie oczy też błyszczały, ale najprawdopodobniej z gniewu, a poza tym nieznacznie drżały jej dłonie, zaciskające się na spódnicach sukni z niebieskiego jedwabiu z złotym staniczkiem; ubranie wyglądało tak, jakby w nim spała. Oczywiście miała jakąś wymówkę. Jakąś, ale nie wystarczającą.

— Na razie jeszcze nie wiem, Alanno — zaczęła stanowczym tonem Merana — czy twoje działania nie przyniosły przypadkiem odwrotnego efektu. Nie wspominał o tym, że związałaś go, wbrew jego woli, więziami, ale był bardzo uszczypliwy, bardzo uszczypliwy, i...

— Czyżby wprowadził jakieś kolejne restrykcje? — wtrąciła Verin, lekko przekrzywiając głowę. — Po mojemu wszystko idzie dobrze. Nie uciekł na wieść o was. Przyjął trzy siostry, czyli zdobył się jednak na jakąś uprzejmość. Trochę się nas boi, bo w przeciwnym razie nie ustalałby żadnych ograniczeń, ale dopóki nie ustanowi dalszych, nadal mamy tyle samo swobody co wcześniej, a to z kolei oznacza że nie jest przerażony. Przede wszystkim nie wolno nam nastraszyć go za bardzo.

Cała trudność polegała na tym, że Verin i Alanna nie należały do delegacji, na czele której stała Merana; nie miała nad nimi żadnej władzy. Słyszały wieści o Logainie i Czerwonych, zgodziły się, że Elaida nie powinna być Amyrlin, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Alanna rzecz jasna nie stanowiła tu problemu, jedynie potencjalnie. Razem z Meraną dysponowały tak podobnymi zasobami sił, że jedynym sposobem, by orzec, która z nich jest lepsza, byłoby zorganizowanie prawdziwego pojedynku, czyli czegoś, w co bawiły się nowicjuszki, dopóki ktoś ich na tym nie przyłapał. Alanna była nowicjuską przez sześć lat, Merana jedynie przez pięć, ale co ważniejsze, Merana została Aes Sedai na dziesięć lat przed dniem, w którym akuszerka ułożyła Alannę na piersi jej matki. To wszystko rozsądzało. Merana miała pierwszeństwo. Nikt nie myślał takimi kategoriami, dopóki nie wymagały tego okoliczności, ale obie je znały i stosowały automatycznie. Alanna niby nie przyjmowała rozkazów, a mimo to instynktowny respekt z pewnością sprawi, że będzie nią można w jakimś stopniu kierować. Respekt, a także wiedza o tym, co ona zrobiła.

Problem natomiast stanowiła Verin, i był on tego rodzaju, że skłonił Meranę do myślenia o sile i starszeństwie. Merana po raz kolejny pozwoliła sobie zbadać siłę drugiej kobiety w Mocy, mimo iż dobrze wiedziała, co znajdzie. Nie było jak orzec, która z nich jest silniejsza. Obie były nowicjuszkami przez pięć lat, Przyjętymi przez sześć; zwykle to tylko każda Aes Sedai wiedziała o innych. Cała różnica polegała jedynie na tym, że Verin miała od niej z grubsza tyle lat więcej, o ile Merana była starsza od Alanny. Świadczyła o tym odrobina siwizny we włosach Verin. Gdyby Verin należała do misji, nie spodziewałaby się żadnych kłopotów, ale było inaczej, i Merana przyłapała się na tym, że słucha jej uważnie, mimo woli czując respekt. Dwukrotnie już tego ranka musiała sobie przypominać, że to nie Verin tutaj dowodzi. Niemniej jednak Verin musiała czuć, że częściowo jest odpowiedzialna za przewinienie Alanny i to była jedyna rzecz, jaka sprawiała, że ta sytuacja w ogóle dawała się znieść. Gdyby nie to, Verin równie skwapliwie jak pozostałe zasiadłaby na krześle, a nie stanęła obok Alanny. Gdyby jeszcze istniał jakiś sposób na zmuszenie jej do przebywania dniem i nocą w „Psie Culaina”, żeby pilnowała tego skarbu, jakim były dziewczęta z Dwu Rzek.

Usiadła, po czym starannie poprawiła spódnice i szal. Człowiek, który siadał, podczas gdy ktoś inny stał, zdobywał swoistą przewagę. Jej zdaniem czyn Alanny był niemalże porównywalny z fizycznym gwałtem.

— Prawdę mówiąc, narzucił jeszcze jedno ograniczenie. Bardzo dobrze, że obie znalazłyście tę jego szkołę, ale teraz usilnie zalecam, byście zaniechały wszelkich zamiarów, jakie miałyście żywić w związku z tym. On... nakazał nam... trzymać się z daleka od jego ludzi. — Nadal go widziała, jak pochyła się z tego monstrualnego tronu, ustawionego tuż pod wystawionym na pokaz Tronem Lwa, jak wymachuje pokrytym rzeźbieniami kikutem włóczni; bez wątpienia musiał to być jakiś obyczaj Aielów.

„Posłuchaj mnie, Merano Sedai — powiedział, całkiem uprzejmie i dość stanowczo. — Nie chcę żadnych waśni między Aes Sedai i Asha’manami. Przykazałem żołnierzom trzymać się od was z daleka, bo nie chcę, by stali się ofiarami Aes Sedai. Jeśli zaczniecie polować na Czarną Wieżę, to same możecie się stać łupem. Tego chyba oboje chcemy uniknąć”.

Merana była Aes Sedai dostatecznie długo, by nie dygotać za każdym razem, gdy wyobraziła sobie gęś depczącą po jej grobie, ale tym razem była tego bardzo bliska. Asha’mani. Czarna Wieża. Mazrim Taim! Jak to się stało, że sprawy zaszły aż tak daleko? Alanna była pewna, że tych mężczyzn jest ponad stu, aczkolwiek nie zdradziła, rzecz jasna, jak się tego dowiedziała; żadna siostra nie zdradzała takich rzeczy z własnej woli. Co zresztą nie miało znaczenia. „Jeśli ścigasz dwa zające, to uciekną ci oba”, mówiło stare porzekadło, a al’Thor był najważniejszym zającym na świecie. Inne musiały zaczekać.

— Czy on...? On nadal jest w Caemlyn, czy już wyjechał? — Verin i Alanna zareagowały z zadziwiającym spokojem na wieść, że al’Thor potrafi Podróżować;

Meranę nadal wprawiało to w lekki niepokój. Jakich innych rzeczy, o których zapomniały Aes Sedai, zdołał się nauczyć? — Alanna? Alanna?

Szczupła Zielona drgnęła, wracając z tego miejsca, do którego zabłąkał się jej umysł. Często zdawała się tak odpływać.

— On jest w mieście. W pałacu, jak mi się zdaje. — Nadal mówiła nieco sennym głosem — To było... On ma jakąś ranę w boku. To stara rana, ale zaleczona jedynie w połowie. Chce mi się płakać za każdym razem, jak sobie o niej przypomnę. Jak on może z nią żyć?

Seonid obdarzyła ją karcącym spojrzeniem; każda kobieta, która miała swojego Strażnika, czuła jego rany. Wiedziała jednak, przez co przechodzi Alanna po utracie Oweina, toteż przemówiła niemalże łagodnym głosem.

— No cóż, Teryl i Furen odnosili czasem takie rany, od których niemalże mdlałam, mimo że sama odczuwałam je słabo, ale nigdy nawet na krok nie zwolnili. Ani na krok.

— Mnie się wydaje — rzekła cicho Masuri — że wszystkie pobłądziłyśmy. — Zawsze mówiła cicho, ale, w odróżnieniu od innych Brązowych, nigdy nie zbaczała z tematu.

Merana zgodziła się z nią.

— Tak. Zastanawiałam się, czy nie zająć miejsca Moiraine...

Stukanie do drzwi obwieściło przybycie kobiety w białym fartuszkach, z herbatą na tacy. Srebrny imbryk i porcelanowe filiżanki: w „Różanej Koronie” byli przyzwyczajeni do arystokratów. Zanim służąca postawiła tacę na stoliku i wyszła, Alanna przestała być senna. Ciemne oczy błyskały ogniem, jakiego Merana nigdy wcześniej u niej nie widziała. Zielone bywały szczególnie zazdrosne o swych Strażników, a al’Thor należał teraz do niej, niezależnie od tego, w jaki sposób go związała. W takich sytuacjach cały respekt gdzieś się zapodziawał. Sztywno wyprostowana, stała i czekała tylko na następne słowa Merany, by wiedzieć, czy powinna już zareagować. A mimo to Merana zaczekała, aż jagodowa herbata zostanie nalana do filiżanek i wszystkie ponownie zasiądą na krzesłach. Powiedziała nawet Alannie i Verin, żeby spoczęły. Ta głupia kobieta zasłużyła sobie na zgryzoty, niezależnie od Oweina. Może to naprawdę równało się gwałtowi.

— Zastanawiałam się nad tym — podjęła wreszcie temat i zrezygnowałam z tego pomysłu. — Mogłam to zrobić, gdybyś ty nie związała go więziami, Alanno, ale on jest teraz taki podejrzliwy względem Aes Sedai, że mógłby mi się roześmiać w twarz, gdybym to zasugerowała.

— Jest arogancki jak jakiś król — zauważyła oschle Seonid.

— Dokładnie tak, jak mówiły Elayne i Nynaeve, a nawet bardziej — dodała Masuri, kręcąc głową. — Twierdzi, że wie, kiedy kobieta przenosi. Omal nie objęłam *saidara*, żeby mu udowodnić, że się myli, ale rzecz jasna mogłabym go za bardzo zdenerwować.

— Ci wszyscy Aielowie. — Seonid mówiła spiętym głosem; była Cairhienianką. — Mężczyźni i kobiety. Moim zdaniem zaczęliby rzucać w nas włóczyniami, gdybyśmy bodaj zamrugały zbyt szybko. Jedna z nich, kobieta o włosach barwy słońca, która przynajmniej nosiła spódnice, nie starała się nawet ukryć swej niechęci.

Merana odnosiła niekiedy wrażenie, że Seonid nie do końca zdaje sobie sprawę, że sam al'Thor może być groźny.

Alanna nieświadomie zagryzła dolną wargę, zupełnie jak mała dziewczynka. Dobrze, że kazała Verin zająć się nią; w takim stanie nie wolno jej było zostawiać samej. Verin tylko popijała herbatę i patrzyła; wzrok Verin potrafił każdego wytrącić z równowagi.

Merana poczuła, że coś w niej mięknie. Przypomniała sobie, jakim ona sama była kłębkim nerwów po utracie Barena.

— Na szczęście wychodzi jednak na to, że z tej jego podejrzliwości płyną też jakieś korzyści. Przyjął emisariuszki Elaidy w Cairhien. Mówił o tym całkiem otwarcie. Sądzę, że będzie je trzymał na dystans, na odległość wyciągniętej ręki.

Seonid odstawiła filiżankę na spodek.

— Jemu się wydaje, że może nas wykorzystywać przeciwko nam samym.

— I całkiem możliwe, że tego dokona — rzekła sucho Masuri — tyle, że my prawdopodobnie wiemy o nim więcej niż Elaida. Moim zdaniem, ona przysłała emisariuszki na spotkanie z pasterzem, zapominając o tym, że ten pasterz nosi jedwabne kaftany.

— My przygotowałyśmy się zawczasu — odparła Merana. — A moim zdaniem, one raczej nie.

Alanna wytrzeszczyła na nie oczy i zamrugała.

— Więc jednak niczego nie popsulałam? — Wszystkie trzy przytaknęły, a wtedy odetchnęła głęboko, po czym zaczęła wygładzać spódnice, krzywiąc się, jakby dopiero teraz zauważyła, jakie są zmięte. — Myślę, że jeszcze mogę sprawić, żeby mnie zaakceptował. — Przestała się zajmować spódnicami, a jej twarz i głos stawały się spokojniejsze i pewniejsze z każdym słowem. — A co się tyczy jego amnestii, to chyba musimy się wstrzymać z wszelkimi planami, ale to nie znaczy, że nie powinnyśmy ich tworzyć. Tego typu niebezpieczeństwa nie należy ignorować.

Merana przez chwilę żałowała swego współczucia. Ta kobieta zrobiła to jakiemuś mężczyźnie, a przejmowała się jedynie tym, czy zniszczyła ich szanse na powodzenie. Z niechęcią jednakże przyznawała, że gdyby dzięki temu al'Thor stał się bardziej posłuszny, to musiałyby spuścić z tonu.

— Najpierw musimy utrzyć al'Thorowi nosa, że się tak wyrażę. Stan zawieszenia potrwa tak długo, jak będzie trzeba, Alanno. — Alanna zacisnęła usta, ale po chwili kiwnęła głową na znak, że się zgadza. Albo że przynajmniej wyraża zgodę.

— A jakim sposobem utrzymy mu nosa? — spytała Verin. — Nim trzeba kierować delikatnie. Tak jak wilkiem na smyczy uplecionej z pojedynczej nitki.

Merana zawahała się. Nie zamierzała dzielić się wszystkim z tymi dwiema, których związki z Komnatą w Salidarze były najsłabsze. Zatrząsała ją myśl o tym, do czego mogłoby dojść, gdyby Verin próbowała przejąć tu dowodzenie, gdyby to jej się rzeczywiście udało. Sama wiedziała, jak sobie z tym poradzić; została wybrana, bo spędziła całe życie na pośredniczeniu w dość drażliwych kwestiach, na negocjowaniu traktatów między stronami, zdającymi się żywić wobec siebie nieprzejednaną wrogość. Rozwiązywanie umów i naruszanie postanowień było głęboko zakorzenione w ludzkiej naturze, niemniej jednak przez te całe czterdzieści sześć lat Piąty Traktat Falmeński był jej jedyną prawdziwą porażką. Wiedziała o tym, ale wszystkie te doświadczenia zaszczepiły w niej głęboko niektóre odruchy.

— Zbliżymy się do pewnych arystokratów, którzy szczęśliwym trafem przebywają właśnie w Caemlyn...

— Ja martwię się o Elayne — oznajmiła Dyelin. Przybrała kategorię tonu dlatego, że rozmawiała w bawialni w cztery oczy z Aes Sedai; Aes Sedai potrafiły mocno przyprzeć do muru, jeśli się okazało słabość w rozmowie z nimi sam na sam. Szczególnie wtedy, gdy nikt o tym nie wiedział.

Kairen Sedai uśmiechnęła się, ale ani ten uśmiech, ani te niebieskie oczy niczego nie wyrażały.

— Całkiem możliwe, że Dziedziczka Tronu zasiądzie jeszcze na Tronie Lwa. To, co dla innych zdaje się nieosiągalne, rzadko takim jest dla Aes Sedai.

— Smok Odrodzony twierdzi...

— Mężczyźni twierdzą różne rzeczy, lady Dyelin, ale ty wiesz, że ja nie zwykłam kłamać.

Luan poklepał taireniańskiego ogiera po siwym karku, po czym rozejrzał się na boki, żeby sprawdzić, czy do stajni nie wszedł któryś ze stajennych, i w tym momencie cudem uniknął ugryzienia. Strażnik Rafeli ostrzegł go, ale Luan nie był pewien, czy komukolwiek ufa ostatnimi czasy. Zwłaszcza nie podczas tego typu wizyty.

— Nie jestem pewien, czy rozumiem — powiedział zwięźle.

— Jedność jest lepsza niż podział — rzekła Rafela — pokój jest lepszy niż wojna, cierpliwość jest lepsza niż śmierć. — Luan gwałtownie podniósł głowę przy tym ostatnim banale i obdarzona krągłą twarzą Aes Sedai uśmiechnęła się. — Czy Andor nie będzie miał się lepiej, jeśli Rand al'Thor pozostawi ten kraj

w pokoju i jedności, lordzie Luanie?

Ellorien zaciągnęła poły podomki i wytrzeszczyła oczy na Aes Sedai, która, nie zapowiedziawszy się pierwiej, zaskoczyła ją w łaźni. Miedzianoskóra kobieta, usadowiona już na stołku stojącym po drugiej stronie marmurowej wanny pełnej wody, spojrzała jej spokojnie prosto w oczy, jakby ta rozmowa była czymś naturalnym i zwykłym.

— To kto w takim razie — spytała na koniec Ellorien zasiądzie na Tronie Lwa, Demiro Sedai?

— Koło obraca się tak, jak chce — padła odpowiedź i Ellorien wiedziała, że innej już nie uzyska.

## KOLOR ZAUFANIA

Kiedy Vanin zniknął, by przekazać Legionowi rozkaz trwania na pozycjach, Mat przekonał się, że nie ma takiej oberży w Salidarze, która nie została by zajęta przez Aes Sedai, i że pięć stajni chyba lada moment rozejdzie się w szwach, taki panował w nich ścisk. Niemniej jednak wręczył trochę srebra stajennemu o wąskiej szczęce i ów kazał przynieść wory z owsem i bele siana na otoczony kamiennym murem podwórzec, na którym szczęśliwie starczało miejsca dla sześciu koni. Pokazał także Matowi i pozostałym czterem ludziom z Legionu stryszek, gdzie było nieco chłodniej i gdzie mogli się przespać.

— Nie zadawajcie żadnych pytań — przykazał swym ludziom Mat, rozdając im resztę pieniędzy. — Płaćcie za wszystko i nie przyjmujcie żadnych podarków. Legion nie będzie się bratał tutaj z nikim.

Ta udawana pewność siebie udzieliła się pozostałym i nawet się nie zawahali, kiedy kazał im przymocować sztandary — purpura z białą, czarno-biały krąg i Smok — do drzwi stryszku, dzięki czemu zawisły przed stajnią, widoczne dla wszystkich. Stajenny ze swej strony wytrzeszczył oczy, a oni niemalże przebierali nogami, kiedy dopytywali się, do czego właściwie zmierza Mat.

Uśmiechnął się tylko szeroko i rzucił złotą markę w stronę mężczyzny o pociągłej szczęce.

— Dbam o to, żeby wszyscy wiedzieli, kto się stawiał na wezwanie. — Chciał, żeby Elayne zrozumiała, że nie można nim poniewierać, a bywało, że dowodzenie czegoś takiego ludziom wymagało głupich poczynań.

Cały kłopot polegał na tym, że wywieszenie sztandarów nie poskutkowało. To prawda, każdy kto przechodził obok, gapił się i pokazywał na nie palcem, a kilka Aes Sedai przyszło wręcz po to tylko, by im się przyjrzeć, chłodnym okiem i z obojętną miną, ale miał nadzieję, że usłyszy pełen oburzenia rozkaz, aby je zdjąć, a do tego jednak jakoś nie doszło. Kiedy wrócił do Małej Wieży, Aes Sedai, której jakimś cudem udało się dorobić zasuszonej twarzy mimo gładkich policzków pozbawionych piętna czasu, poprawiła szal z brązowymi frędzlami i powiedziała mu bez ogródek, że Zasiadająca na Tronie Amyrlin jest zajęta, natomiast być może znajdzie dla niego czas za dzień lub dwa. Może. Elayne jakby całkiem zniknęła, podobnie Aviendha, ale nikt jeszcze nie bił na alarm; podejrzewał, że tę

drugą wbijają właśnie w białą szatę. Dla niego bez różnicy, byleby tylko panował spokój, nie chciał być tym, który powie Randowi, że jedna zabiła drugą. Wypatrzył za to Nynaeve, ale ta umknęła za jakiś róg i gdzieś się ulotniła, zanim zdążył tam dojść.

Większą część popołudnia spędził na szukaniu Thoma i Juilina; każdy z nich z pewnością mógł mu wyjaśnić dokładniej, co się dzieje, a poza tym pragnął przeprosić Thoma za swoje uwagi odnośnie listu. Niestety, nikt nie miał pojęcia, gdzie oni są. Na długo przed zapadnięciem zmroku doszedł do wniosku, że unikają spotkania z nim. Egwene najwyraźniej chciała, żeby zaczął się gotować ze złości, ale zamierzał ją poinformować, że nic z tego. I żeby tego dowieść, poszedł sobie potańczyć.

Zanosiło się, że uroczystości na cześć nowej Amyrlin potrwać cały miesiąc, a mimo iż za dnia wszyscy w Salidarze zdawali się oddawać wyteżonej pracy, to wraz z zapadnięciem zmroku na skrzyżowaniach ulic zapłonęły ogniska, odezwały się skrzypce i flety, a nawet skilka dulcimerów. Miasto wypełniło się muzyką i śmiechem, do godziny ciszy nocnej miano tu świętować. Widział Aes Sedai tańczące na ulicach z woźnicami i stajennymi, nadal odzianymi w swe zgrzebne ubrania, i Strażników tańczących z posługaczkami i kucharkami, które pozdejmowały fartuchy. Ale nie widział Egwene — Zasiadającej na przeklętym Tronie Amyrlin nie chciało się najwyraźniej brykać po ulicach. Nie dostrzegł też nigdzie Elayne, Nynaeve, ani Thoma czy Juilina. Thom nawet z połamanymi nogami nie przepuściłby okazji do tańca, chyba żeby ktoś mu w tym przeszkodził. Mat całą duszą włączył się w wir zabawy, tak by każdy widział, że nic innego na świecie go nie obchodzi. Niestety, nie wyszło to dokładnie tak, jakby sobie życzył.

Tańczył krótko z najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział w życiu, szczupłą, ale nie kościstą, która chciała wiedzieć wszystko o Macie Cauthonie. Co mu bardzo pochlebiło, zwłaszcza wtedy, gdy zaproponowała, żeby razem wymknęli się z tłumu. Niemniej jednak po jakimś czasie zauważył, że Halima ma zwyczaj ocierać się o niego i jakoś tak pochylać, że nie miał innego wyjścia, tylko musiał zaglądać jej za dekollet sukni. Byłby się tym cieszył, gdyby nie fakt, że za każdym razem spoglądała na jego twarz tymi przenikliwymi oczyma i z uśmiechem nieskrywanego rozbawienia. Nie była najlepszą tanecznicą — przede wszystkim stale próbowała prowadzić — ostatecznie więc jakoś się wymówił.

Niby nic się nie stało, a jednak nie uszedł nawet dziesięciu kroków, kiedy lisia głowa na jego piersi zlodowaciała. Odwrócił się na pięcie. Zobaczył Halimę przyglądającą mu się w świetle ogniska. Tylko przez chwilę, zanim pochwyciła ramię wysokiego Strażnika i z powrotem puściła się w tan, ale był pewien, że zauważył jakąś zmianę na tej pięknej twarzy.

Skrzypkowie wygrywali teraz jęklivą melodię; rozpoznał ją. A w każdym razie wywołała w nim jedno z tych starych wspomnień; muzyka nawet tak bardzo



się nie zmieniła, jeśli wziąć pod uwagę upływ tysiąca lat. Słowa natomiast musiały być zupełnie inne, ponieważ tamten dawny tekst, który rozbrzmiewał echem w jego głowie, nie miał z obecnym absolutnie nic wspólnego.

*Obdarz mnie zaufaniem, Aes Sedai rzekła.  
Bo ja niebiosa na swych barkach wspieram.  
Zaufaj, że ja objaśnię i zrobię, to co trzeba  
I że ja całej reszty dopatrzę.  
Ale zaufanie ma kolor kiełkowania ziarna ciemnego  
Zaufanie ma kolor strumienia krwi w sercu płynącej  
Zaufanie ma kolor ostatniego tchnienia duszy.  
Zaufanie ma kolor śmierci.*

— Aes Sedai? — powtórzyła z pogardą jakaś zażywna, młoda kobieta w odpowiedzi na jego pytanie. Była ładna i w innych okolicznościach chętnie by się z nią całował i ścisnął. — Halima to tylko sekretarka Delany Sedai. Zawsze droczy się z mężczyznami, już taka jest. Zupełnie jak dziecko z nową zabawką, igra z nimi po to tylko, by sprawdzić, czy jej się uda. Już z dziesięć razy wpadłaby po uszy w kłopoty, gdyby Delana jej nie ochroniła.

*Obdarz mnie zaufaniem, rzekła z tronu władczyni,  
bo to ja sama muszę dźwigać całe brzemie,  
Zaufaj, że to ja poprowadzę, osądzę i rozkażę,  
a żaden człek cię głupcem nie nazwie.  
Ale zaufanie ma brzmienie szczekania psiego nad grobem,  
zaufanie ma brzmienie zdradzieckiego czynu w mroku,  
zaufanie ma brzmienie ostatniego tchnienia duszy,  
zaufanie ma brzmienie śmierci.*

Może się pomylił. Może wstrząsnęło nią tylko to, że sobie poszedł. Niewielu mężczyzn potrafiło zrezygnować z towarzystwa kobiety o tak niebanalnej urodzie, choćby nie wiadomo jak się droczyła albo jak źle tańczyła. Na pewno tak to właśnie było. Rozejrzał się dookoła, popatrzył na tańczących i gapiów czekających na swoją kolejkę. Minęła go złotowłosa uczestniczka Polowania na Róg, która już wcześniej wydała mu się znajoma; płasała z jegomościem o kluchowatej twarzy, tak zapamiętał, że jej warkocz niemalże unosił się pod kątem prostym względem głowy. Mat umiał rozpoznać Aes Sedai po twarzach — większość przynajmniej — ale nie potrafił orzec, która próbowała... cokolwiek to było.

Ruszył przed siebie, w stronę następnego ogniska, by uciec od skojarzeń wywoływanych przez słowa tej piosenki i od wszystkiego innego, zanim w jego głowie zabrzmi „król na piedestale”, „lady i lord” oraz „miłość twego życia”. W tamtym dawnym wspomnieniu pamiętał, jak pisze słowa tej piosenki, dedykując je

swojej ukochanej. „Zaufanie ma smak śmierci”. Przy następnym rogu jakiś skrzypek i kobieta z fletem grali melodię, która przypominała „Trzepot piór” i była zwykłą, pocziwą, ludową melodią.

Do jakiego stopnia mógł zaufać Egwene? Była teraz Aes Sedai; musiała nią być, skoro została Amyrlin, nawet jeśli tylko nędzną Amyrlin w nędznej wiosce. Ale niezależnie od wszystkiego, to była nadal Egwene, nie wierzył, by potrafiła napaść na niego w taki sposób, pod osłoną ciemności. Mogła to oczywiście zrobić Nynaeve, ale przecież nie po to, żeby zadać mu jakąś poważną ranę. Nadal bolało go biodro, czuł formującą się plamę sińca. Ale tylko Światłość wiedziała, co mogła zrobić kobieta taka jak Elayne. Nadal próbują go przegnać, stwierdził w końcu. Prawdopodobnie może się spodziewać kolejnych usiłowań. Najlepiej je ignorować. Niemalże miał nadzieję, że znowu spróbują. Nie mogły go dotknąć Mocą, a jeśli będą ponawiać próby, poniosą porażkę i będą musiały zrozumieć, że on nie da wyprowadzić się w pole.

Obok niego stanęła Myrelle przypatrywała się tańczącym. Pamiętał ją jak przez mgłę. Nie sądził, by ona wiedziała o nim coś, co mogło mu zaszkodzić. Nie była wprawdzie tak piękna jak Halima, ale więcej niżli tylko ładna. Migotliwe cienie igrały na jej twarzy, dzięki czemu mógł zapomnieć, że jest Aes Sedai.

— Ciepła noc — zagaiła, uśmiechając się, i mówiła dalej w tak zdawkowy sposób, w trakcie gdy on napawał się jej widokiem. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niego, do czego zmierza.

— Raczej nie sądzę — odparł grzecznie, kiedy dała mu po temu sposobność. Tak to już jest, jak człowiek się zapomni; Aes Sedai to zawsze Aes Sedai.

Tylko się uśmiechnęła.

— Byłaby z tego moc korzyści, a poza tym nie będę cię próbowała przyszpilić do swych spódnic. Naprawdę moc korzyści. Albo ty sam wybrałeś niebezpieczne życie albo to ono wybrało ciebie. Strażnik ma większe szanse na przetrwanie.

— Raczej nie, naprawdę. Ale dziękuję za propozycję.

— Przemyśl to jeszcze, Mat. Chyba że... czy Amyrlin związała cię może więzią?

— Nie. — Egwene by tego nie zrobiła. Czy na pewno? Nie mogła tego uczynić, dopóki nosił medalion, ale czy zrobiłaby to, gdyby nie był chroniony? — Wybaczysz mi teraz? — Złożył jej niezbyt głęboki ukłon, po czym prędko podszedł do pięknej, błękitnookiej dziewczyny, która przytupywała w takt muzyki. Miała słodkie usta, w sam raz do całowania, a on cholernie zapragnął się zabawić. — Zobaczyłem twoje oczy i nie — mogłem się oprzeć im. Zatańczysz ze mną?

Zbyt późno zauważył pierścień z Wielkim Wężem na prawej dłoni, słodkie usta otworzyły się i znany mu głos powiedział sucho:

— Pytałam cię kiedyś, czy będziesz tutaj, kiedy płomienie rozgorzeją, chłopcze, ale jak się zdaje, ty nabrałeś zwyczaju wskakiwania wprost w środek pożaru. A teraz zostaw mnie i znajdź sobie kogoś, kto zechce z tobą zatańczyć.

Siuan Sanche! Przecież ona została Ujarzmiona i nie żyła! Patrzyła na niego groźnie, oczami młodej kobiety, które musiała chyba komuś ukraść, i nosiła pierścień Aes Sedai! Poprosił Siuan Sanche do tańca!

Nadal jeszcze wytrzeszczał oczy, kiedy jakaś wiotka Domani zakreśliła się obok w jasnozielonej sukni, tak cienkiej, że na tle ogniska widać było kształty jej ciała. Obrzucił Siuan zimnym spojrzeniem, które zostało odwzajemnione, jednak raczej jako badawcze zerknięcie, Domani porwała go między innych tańczących. Była tak wysoka jak kobiety Aielów, nawet nieco wyższa od niego.

— A tak nawiasem mówiąc, jestem Leane — przedstawiła się głosem słodkim jak miód — jeżeli mnie nie dotąd poznałeś. — Jej gardłowy śmiech przywołał na myśl pieszczoty.

Aż podskoczył, omal nie psując pierwszego obrotu. Ona również nosiła pierścień. Kolejne kroki wykonał z pamięci. Wysoka czy nie, była lekka jak piórko, a ruchy miała tak płynne jak łabędź, ale nic nie mogło odegnać tego pytania, które mu stale wykwiotało w głowie. Jak? Jak, na Światłość? Na domiar wszystkiego, kiedy taniec się skończył, powiedziała:

— Jesteś wyśmienitym tancerzem — tym swoim pieszczotliwym głosem, a potem pocałowała go i to tak, jak go jeszcze nikt nigdy nie całował. Był do tego stopnia wstrząśnięty, że nawet nie próbował się wyrwać. Westchnąwszy, poklepała go po policzku. — Wyjątkowo dobrym. Następnym razem myśl o tym jak o tańcu, to osiągniesz więcej. — I śmiejąc się, poszła zatańczyć z innym partnerem, z mężczyzną, którego wyrwała z tłumu gapiów.

Mat stwierdził, że ma dość jak na jedną noc. Wrócił do stajni i położył się spać, używając siodła jako poduszki. Jego sny byłyby przyjemne, gdyby nie fakt, że we wszystkich występowały Myrelle, Siuan, Leane i Halima.

Jutrzejszy dzień musi być lepszy, pomyślał, zwłaszcza że o świcie znalazł na strychu Vanina, śpiącego z głową ułożoną na siodle. Talmanes zrozumiał i trzymał się tego miejsca, w którym był Mat; Strażnicy obserwowali przygotowania Legionu, bez wątplenia pozwalając, by ich widziano, ale żaden nie zbliżał się do żołnierzy. Mniej przyjemną niespodzianką było znalezienie siwka Olvera na dziedzińcu za stajnią i samego Olvera zwiniętego w kłębek w kącie.

— Potrzebujesz kogoś, kto będzie strzegł twoich pleców oznajmił ponurym głosem Matowi. — Jej nie można ufać. — Nie musiał wymieniać imienia Aviendhy.

Olvera nie interesowały zabawy z wioskowymi dziećmi, więc Mat musiał wytrzymywać te spojrzenia i uśmiechy, kiedy chłopczyk włóczył się za nim po Saldarze, robiąc co mógł, by naśladować płynny chód Strażników, i rozglądając się w dziewięć stron jednocześnie w poszukiwaniu Aviendhy. Która nadal pozostawała nieuchwytna, podobnie zresztą jak Elayne, tudzież Nynaeve. „Amyrlin” zaś wciąż była zajęta. „Zajęci” byli również Thom i Juilin. Vaninowi udało się co nieco usłyszeć, ale nic takiego, co by zadowoliło Mata. Jeśli Nynaeve naprawdę

Uzdrowiła Siuan i Leane, to stanie się teraz gorsza niż kiedykolwiek; zawsze miała wysokie mniemanie o sobie, a po zrobieniu czegoś tak, zdawałoby się, niewykonalnego, będzie nosić głowę jeszcze wyżej. Na samą myśl o Logainie i Czerwonych Ajah Mat aż się krzywił. Czegoś takiego pewnie żadna Aes Sedai nie zapomni. Skoro dowódcą ich armii był Gareth Bryne, to w takim razie nie będzie to motłoch złożony z farmerów i zamiataczy ulic z kilkoma Strażnikami dla wzmocnienia. Jeśli do tego dodać informacje Vanina o żywności, którą widział pakowaną albo upychaną do beczulek podróźnych, to ani chybi, zapowiadały się kłopoty. Najgorsze kłopoty, jakie potrafił sobie wyobrazić, oprócz towarzystwa Przeklętego przy własnym stole albo tuzina trolloków podchodzących pod drzwi. To wszystko bynajmniej nie sprawiało, że mogli się wydać mniejszymi durniami; stawali się durniami, którym grozi niebezpieczeństwo. Thom i to jego „zrobię, co w mojej mocy, żeby im się powiodło”. Jeśli bard kiedykolwiek wyjdzie z ukrycia, to może Mat wyciągnie z niego, co miał na myśli.

Wieczorem Myrelle znowu go wypytywała, czy chce zostać Strażnikiem; nieznacznie zmrużyła oczy, kiedy powiedział, że jej propozycja jest piątą z kolei, jaką odrzucił od wschodu słońca. Nie był pewien, czy mu uwierzyła, odeszła z miną wyrażającą takie oburzenie, jakiego jeszcze nigdy u żadnej Aes Sedai nie widział. A wszak mówił prawdę. Na samym początku, kiedy właśnie próbował zjeść śniadanie, zagadnęła go Delana, ta, dla której pracowała Halima, krępa, jasnowłosa kobieta o wodnistych oczach, która omal nie wzięła go podstępem. Ubiegłej nocy trzymał się z dala od tańczących i poszedł spać z muzyką i śmiechem w uszach; tym razem miały brzmienie gorczy.

Było już późne popołudnie drugiego dnia jego pobytu w Salidarze, kiedy znalazła go jakaś dziewczyna w białej sukni, ładna, piegowata, która bardzo się starała się zachowywać lodowato i wyniośle, co prawie się jej udało; przekazała mu wezwanie, które brzmiało dokładnie tak: „Masz się natychmiast stawić przed Zasiadającą na Tronie Amyrlin”. Kropka i ani słowa więcej. Mat puścił ją przodem, uznał, że tak będzie stosownie, a jej to się wyraźnie spodobało.

W izdebce w Małej Wieży zastał je wszystkie, Egwene, Nynaeve, Elayne i Aviendhę, aczkolwiek musiał się mocno przypatrywać, żeby rozpoznać tę ostatnią w sukni z cienkiej, niebieskiej wełny z koronkowym kołnierzem i mankietami. Przynajmniej ani Aviendha, ani Elayne nie starały się nawzajem udusić, ale obie miały kamienny wyraz twarzy. Czym wcale się nie różniły od Egwene i Nynaeve. Na obliczach wszystkich czterech nie pojawił się żaden grymas, nawet przelotnie, za to wszystkie wlepiły w niego wzrok. Udało mu się poskromić język, kiedy Egwene — usadowiona za stołem w tej pasiastej stule udrapowanej na ramionach — wyłożyła, jakie jej zdaniem otwierają się przed nim możliwości.

— Gdybyś przypadkiem uznał, że nie możesz niczego takiego zrobić — zakończyła — to pamiętaj, że mogę kazać, by cię przywiązano do twojego konia i odesłano do miejsca, gdzie stacjonuje Legion. W Salidarze nie będzie żadnych

próżniaków i symulantów. Ja na to nie pozwolę. Masz do wyboru: albo Ebou Dar w towarzystwie Elayne i Nynaeve, albo możesz wyjechać i sprawdzić, na kim uda ci się zrobić wrażenie, wymachując proporcami i sztandarami.

W ten sposób, rzecz jasna, przesądziła sprawę. Kiedy to powiedział, żadna nie zmieniła się na twarzy. A Egwene powiedziała tylko:

— Cieszę się, żeśmy to sobie wyjaśnili, Mat. I na tym koniec, bo mam jeszcze tysiąc innych spraw do załatwienia. Postaram spotkać się z tobą, zanim wyjedziesz.

Odprawiony jak jakiś stajenny; Amyrlin jest zajęta. Mogła mu jeszcze rzucić miedziaka.

Dlatego właśnie trzeci poranek Mat spędził poza Solidarem, na oczyszczonym terenie między wioską a lasem.

— Być może zostaną tutaj do mojego powrotu — powiedział Talmanesowi, oglądając się przez ramię w stronę domów. Niebawem miały się zjawić, a nie chciał, żeby cokolwiek z tej rozmowy trafiło do Egwene. Zrobiłaby wszystko, żeby tylko pokrzyżować mu plany. — W każdym razie mam taką nadzieję. Jeżeli ruszą z miejsca, to jedźcie za nimi, ale nie zbliżajcie się, bo jeszcze je spłoszycie. A jeśli pokaze się młoda kobieta o imieniu Egwene, to nie zadawajcie żadnych pytań, tylko ją bierzcie i jedźcie z nią do Caemlyn, choć byście musieli przejechać po ciele Brynea. Oczywiście mogły planować wyprawę do Caemlyn; istniała taka ewentualność. Bał się jednak, że ich celem jest Tar Valon, Tar Valon i topór kata. — I zabierzcie ze sobą Nerima.

Talmanes pokręcił głową

— Jeżeli zabierasz Naleseana, to poczuje się urażony, jeśli nie pozwolisz mi przysłać mojego człowieka, żeby zadbał o twoje sprawy. — Mat bardzo pragnął, żeby Talmanes czasem się jednak uśmiechał; dobrze byłoby wiedzieć, kiedy bywa poważny. Bez wątpienia jednak teraz nie żartował.

Nerim stał w pewnej odległości, razem z Oczkiem i swoją niską, grubą kłaczą, która nad nim zdecydowanie górowała rozmiarami, a także dwoma jucznymi końmi z wiklinowymi koszami przymocowanymi do grzbietów. Człowiek Naleseana, krępy mężczyzna o imieniu Lopin, prowadził tylko jednego obładowanego wierzchowca, oprócz własnego wałacha o szerokim pysku i wysokiego, czarnego ogiera Naleseana.

Nie była to cała grupa. Nikt jakoś nie umiał mu do tej pory powiedzieć nic więcej ponad to, gdzie i kiedy ma się stawić, ale w samym środku kolejnej rozmowy na temat zostania Strażnikiem Myrelle poinformowała go, że teraz już może nawiązać kontakt z Legionem, pod warunkiem, że nie będzie próbował ściągać go w pobliże Solidaru. Co było doprawdy ostatnią rzeczą, jaka mogła mu przyjść do głowy. Stawił się tutaj tego ranka Vanin, ponieważ prawdopodobnie potrafił przeprowadzać zwiady w dowolnym miejscu, a oprócz niego kilkunastu kawalerzystów wybranych z Legionu ze względu na masywne barki oraz skuteczność,

z jaką potrafili utrzymać porządek w Maerone, działając jako Czerwonorecy. Nalesean twierdził, że szybkie pięści i pałki potrafią wyciągnąć Nynaevę i Elayne z każdego tarapatów, i to na dostatecznie długi czas, by wreszcie odechciało im się w nie pakować. Na samym końcu jechał Olver, dosiadając siwka nazwanego przezeń Wichrem, na które to imię długonogie zwierzę nawet zasługiwało. Podjęcie decyzji w związku z Olverem nie było trudne. Legion i tak narażał się na kłopoty, jeżeli rzeczywiście miał jechać w ślad za tą grupą szalonych kobiet. Może nie na kłopoty z Brynem, ale należało się spodziewać, że nie jeden arystokrata będzie się jeżył na widok dwóch armii przekraczających jego ziemie, do tego stopnia, że mogło dojść do prób wykradania im koni pod osłoną nocy, a z byle zarośli mogły posypać się strzały. Każde z miast z pewnością było bardziej bezpieczne dla małego chłopca.

Nadal ani śladu po Aes Sedai, a tymczasem słońce pokazało się nad koronami drzew i zaczynało już prażyć nie na żarty.

Mat z irytacją zsunął kapelusz na czoło.

— Nalesean zna Ebou Dar, Talmanes. — Spocony Tairenianin uśmiechnął się szeroko i przytaknął. W twarzy Talmanesa nie drgnął nawet jeden mięsień. — A niech ci będzie, Nerim pojedzie. — Talmanes pochylił głowę; chyba jednak mówił poważnie.

Wreszcie od strony wioski dał się zauważyć jakiś ruch — była to grupa kobiet wiodących konie. Więc to nie tylko Elayne i Nynaeva. Aviendha miała na sobie szarą suknię do jazdy konnej, ale przypatrywała się swej chudej, ciemnobrązowej klaczy z wyraźnym powątpiewaniem. Uczestniczka Polowania na Róg, na wążku mysiej barwy obdarzonym mocnym zadem, demonstrowała znacznie większą pewność siebie i zdawała się przekonywać do czegoś Aviendhę w związku z jej klaczą. Co one tu robią? Zauważył jeszcze dwie kolejne Aes Sedai — dwie Aes Sedai, nie licząc Nynaevę i Elayne, tak chyba powinien był powiedzieć — szczupłe kobiety o siwych włosach, których nigdy u żadnej Aes Sedai nie widział. Za nimi włókł się jakiś starszy mężczyzna, prowadząc jucznego konia i własnego wierzchowca; jego mocno przerzedzone włosy były całkiem siwe. Mat dopiero po chwili, na widok mieniącego się płaszczem na grzbiecie tamtego, zrozumiał, że to Strażnik. Taki to właśnie jest los Strażnika; Aes Sedai gonią cię do roboty tak długo, aż ci wypadną włosy.

Tuż za nimi zdążyli Thom i Juilin, którzy też wzięli jucznego konia. Kobiety zatrzymały się w odległości jakichś pięćdziesięciu kroków po lewej stronie, razem z ich podstarzałym Strażnikiem, prawie wcale nie patrząc na Mata i jego ludzi. Bard zerknął na Nynaevę i pozostałych, powiedział coś do Juilina, po czym podprowadzili konie w stronę Mata, zatrzymując się niedaleko nich, jakby niepewni, jak zostaną powitani. Mat podszedł do nich.

— Powinienem cię przeprosić, Mat — rzekł Thom, podkręcając wąsy. — Elayne wyraziła się całkiem jasno, stwierdzając, że mam z tobą więcej nie rozma-

wiać. Zwolniła mnie z tego zakazu dopiero tego ranka. W chwili słabości, kilka miesięcy temu, obiecałem spełniać wszystkie jej polecenia i ona teraz ciska mi to w twarz w najbardziej niefortunnych momentach. Nie była specjalnie zadowolona, kiedy powiedziałem jej mniej więcej to samo co tobie teraz.

— Nynaeve zagroziła, że podbije mi oko, jeżeli zbliżę się do ciebie — oznajmił ponurym tonem Juilin, wspierając się na bambusowej lasce. Na głowie miał taraboniańską czapę, która nie mogła go specjalnie ochronić przed słońcem; na dodatek nawet ona wyglądała ponuro.

Mat spojrział w stronę kobiet. Nynaeve łypała na niego zza siodła, ale kiedy zauważyła, że patrzy, schowała się za swoim koniem, tłuścą, kasztanową klaczą. W życiu by nie uwierzył, że nawet taka Nynaeve mogłaby pobić Juilina, ale śniady łowca złodziei różnił się o całe niebo od tego człowieka, którego poznał w Łzie. Tamten Juilin był gotów na wszystko; ten Juilin, z wiecznie zmarszczonym czołem, wyglądał tak, jakby nawet na moment nie przestawał się czymś trapić.

— Nauczmy ją podczas tej podróży dobrych manier, Juilin. Thom, to ja powinienem przeprosić. Za to, co powiedziałem o liście. Przemawiało przeze mnie zmęczenie upałem i troska o te głupie kobiety. Mam nadzieję, że wieści były dobre. — Zbyt późno przypomniał sobie, co powiedział Thom. Że rzucił kobietę, która napisała ten list, i że ona umarła.

Thom tylko wzruszył ramionami. Bez tego płaszczu barda wyglądał dziwnie.

— Dobre wieści? Jeszcze nie zdecydowałem. Człowiek często się nie wie, czy jakaś kobieta jest przyjaciółką, wrogiem czy kochanką, dopóki nie jest za późno. Czasami jest wszystkimi trzema jednocześnie. — Mat myślał, że Thom się roześmieje, ale on tylko skrzywił się i westchnął. — Kobiety chyba lubią uchodzić za tajemnicze, Mat. Mogę podać ci przykład. Pamiętasz Aludrę?

Mat musiał się zastanowić.

— Ta Iluminatorka, której poderznięliby gardło w Aringill, gdybyśmy nie przyszedli jej z pomocą?

— Ta sama. Razem z Juilinem spotkaliśmy ją w czasie jednej z naszych podróży i ona mnie nie rozpoznała. Aludra nie chciała mnie rozpoznać i chociaż nie rozumiałem, dlaczego, nie widziałem powodu, żeby się narzucać. Potraktowała mnie z początku jak kogoś obcego i tak też się z nią rozstałem. Nazwałbyś ją przyjaciółką czy wrogiem?

— Może kochanką — odparł oschle Mat.

Nie miałby nic przeciwko ponownemu spotkaniu z Aludrą; dała mu kilka ogni sztucznych, które okazały się całkiem przydatne. — Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś na temat kobiet, to pytaj Perrina, nie mnie. Ja tam się zupełnie na nich nie znam. Kiedyś myślałem, że to przede wszystkim domena Randa, ale jak się okazało, prawdziwym znawcą jest Perrin. — Elayne wdała się w rozmowę z dwoma siwowłosymi Aes Sedai pod czujnym okiem uczestniczki Polowania na Róg. Jedna ze starszych Aes Sedai spoglądała znaczącym wzrokiem w stronę Mata.

Obie nosiły się podobnie jak Elayne, wyniosłe jak królowe na tronie. — Cóż, jeśli szczęście dopisze, to nie będę musiał zbyt długo się z nimi użerać mruknął pod nosem. — Jeżeli szczęście dopisze, to uporają się szybko z tym, co sobie zamierzyły, i być może uda nam się wrócić za pięć, może dziesięć dni. — Jeśli los będzie łaskawy, uda mu się wrócić, zanim Legion zacznie rzucać cień na te wariatki. Śledzenie nie jednej, lecz dwóch armii będzie tak łatwe jak kradzież placka, to oczywiste, ale on bynajmniej nie czekał z utęsknieniem na spędzenie w towarzystwie Elayne większej ilości dni niż okaże się to konieczne.

— Dziesięć dni? — powtórzył Thom. — Mat, nawet dzięki tej „bramie” sama podróż do Ebou Dar potrwa pięć albo sześć dni. To i tak lepiej niż dwadzieścia, ale...

Mat przestał słuchać. Cała irytacja, jaka nabrzmiewała w nim, odkąd jego wzrok padł po raz pierwszy na Egwene, osiągnęła punkt krytyczny. Zerwawszy z głowy kapelusz podszedł do tego miejsca, gdzie przystanęła Elayne i pozostałe kobiety. Już samo trzymanie go w niewiedzy było czymś dostatecznie paskudnym — niby jak miał je chronić przed kłopotami, skoro nic mu nie mówiły? — ale to już zakrawało na niedorzeczność. Nynaeve zauważyła, że idzie w ich stronę, i z jakiegoś powodu znowu schowała się za swoją klaczą.

— Podróż w towarzystwie *ta'veren* to wielce interesujące doświadczenie — rzekła jedna z siwowłosych Aes Sedai. Nawet z tak bliska, nie potrafił określić jej wieku, ale ta twarz nosiła ślady wielu przeżytych lat. To pewnie przez tę włosy. Twarzy tej drugiej mogłaby używać zamiast lustra; może były siostrami. — Jestem Vandene Namelle.

Mat nie miał nastroju do rozmów o byciu *ta'veren*. Nigdy nie miał do tego nastroju, a już z pewnością nie teraz.

— Co to za bzdurne gadanie o dotarciu do Ebou Dar w pięć albo sześć dni? — Podstarzały Strażnik wyprostował się i spojrzął surowym wzrokiem, a Mat oszacował na nowo również jego; żyłasty, ale twardy jak stare korzenie. Mimo to nie spuścił z tonu. — Przecież możecie otworzyć po prostu bramę. Nie jesteśmy żadną przeklętą armią, żeby kogoś nastraszyć, a jeśli idzie o wyskakiwanie jak spod ziemi, to jesteście przecież Aes Sedai. Ludzie się spodziewają, że będziecie pojawiać się znikąd, albo że będziecie przechodzić przez ściany.

— Obawiam się, że przemawiasz nie do tej z nas, do której powinieneś — rzekła Vandene. Popatrzył na drugą siwowłosą kobietę, która potrząsnęła głową, kiedy Vandene dodała: — Adelas też nie jest właściwą adresatką, jak przypuszczam. My chyba nie jesteśmy już wystarczająco silne, by znieść niektóre nowości.

Mat zawahał się, po czym nasunął kapelusz na czoło i zwrócił się do Elayne.

Ta zadarła podbródek.

— Najwyraźniej wiesz znacznie mniej niż ci się zdaje, panie Cauthon — rzekła chłodno. Nie pociła się, w każdym razie nie bardziej niż te dwie... te pozostałe dwie... Aes Sedai. Uczestniczka Polowania popatrzyła na niego wyzywająco. —



Całe Ebou Dar jest otoczone wioskami i farmami na przestrzeni stu kilometrów ciągnęła — Elayne, jakby wyjaśniała coś oczywistego skończonemu durniowi. — Otwieranie bramy to niebezpieczne rozwiązanie. Nie zamierzam zabijać owiec albo krów jakiegoś biedaka, nie mówiąc już o samym biedaku.

Nienawidził tego jej tonu i samej Elayne. Miała rację i tego też nie mógł znieść. Ale nie zamierzał tego okazać, a poszukując drogi odwrotu, zauważył Egwene wychodzącą właśnie z wioski, z co najmniej dwoma tuzinami Aes Sedai, w większości odzianymi w szale z frędzlami. Czy raczej to ona wyszła pierwsza, a one podążały jej śladem. Zadzierała wysoko głowę i patrzyła prosto przed siebie, na ramionach miała pasiastą stułę. Pozostałe, w małych grupkach, zdążyły za nią spacerowym krokiem. Sheriam, w niebieskiej stule Opiekunki, rozmawiała z Myrelle i tamtą Aes Sedai z prostoduszną twarzą o macierzyńskim wyrazie. Nie rozpoznał żadnej z wyjątkiem Delany — jedna miała siwe włosy upięte w kok; ile lat musiała skończyć Aes Sedai, żeby włosy tak jej zszarzały albo posiwiały? — ale wszystkie rozmawiały między sobą, ignorując kobietę, którą nazywały Amyrlin. Egwene wyglądała na bardzo osamotnioną. Znając ją, wiedział, że bardzo się stara sprostać roli jaką jej narzucono, a tymczasem one pozwalały jej iść samotnie i to na oczach wszystkich.

„Do Szczeliny Zagłady z nimi wszystkimi, jeśli im się zdaje, że mogą traktować w ten sposób kobietę z Dwu Rzek” — pomyślał ponuro.

Wyszedł na spotkanie Egwene, ściągnął kapelusz z głowy i wystawiwszy jedną nogę do przodu, ukłonił się nisko.

— Dzień dobry, Matko, oby opromieniła cię Światłość — powiedział, tak głośno, że musieli go chyba słyszeć w całej wiosce. Ukłękawszy, pochwycił jej prawą dłoń i ucałował pierścień z Wielkim Wężem. Przelotne ostre spojrzenie i grymas skierowany w stronę Talmanesa i pozostałych, zasłonięty przez Egwene przed oczyma tych, które szły za nią, kazały jego towarzyszom pospiesznie paść na kolana i zawołać:

— Oby cię Światłość opromieniła — albo coś podobnego. Nawet Thom i Julilin to zrobili.

Egwene wyglądała z początku na zaskoczoną, ale szybko to ukryła. Potem uśmiechnęła się i powiedziała łagodnie:

— Dziękuję ci, Mat.

Patrzył na nią przez krótką chwilę, po czym chrząknął i wstał, otrzepując kolana. Sheriam i wszystkie inne, które szły za Egwene, wpatrywały się w niego szeroko otwartymi oczyma.

— Nawet nie podejrzewałem, że cię tutaj zobaczę — odparł przyciszonym głosem — ale nie spodziewałem się również wielu innych rzeczy. Czy Amyrlin zawsze odprowadza ludzi udających się w podróż? Zapewne nie raczysz mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi, prawda?

Z początku wierzył nawet, że ona mu powie, ale stracił nadzieję, gdy po chwili

zaciśnęła usta i nieznacznie pokręciła głową.

— Zawsze odprowadzam przyjaciół, Mat. Porozmawiałabym z tobą wcześniej, gdybym nie była taka zajęta. Mat, naprawdę postaraj się nie wpakować w żadne kłopoty w Ebou Dar.

Popatrzył na nią z oburzeniem. To on tu klęka i całuje jej pierścienie, a ona mu mówi, że ma się trzymać z daleka od kłopotów, podczas gdy dla niego najważniejszą rzeczą było ratowanie skór Elayne i Nynaeve.

— Postaram się, Matko — odpowiedział, starając się, by to nie zabrzmiało zanadto zgryźliwie. Sheriam i pozostałe Aes Sedai znajdowały się dostatecznie blisko, by móc to usłyszeć. — A teraz zechciej mi wybaczyć, muszę dokonać inspekcji swoich ludzi.

Jeszcze jeden ukłon i uszedł tyłem kilka kroków, aż dotarł do miejsca, gdzie nadal klęczeli Talmanes i reszta.

— Zamierzacie tak tutaj tkwić, aż zapuścicie korzenie? — warknął. — Na koń! — Sam pierwszy posłuchał własnego rozkazu i natychmiast wszyscy, prócz Talmanesa, wskoczyli na siodła.

Egwene zamieniła kilka słów z Elayne i Nynaeve, a tymczasem Vandene i Adelas poszły rozmawiać z Sheriam i ni stąd, ni zowąd okazało się, że najwyższy czas ruszać, po tym, jak już go tyle zmarnowali. Mat na poły spodziewał się jakiejś ceremonii, skoro była tu Egwene w swojej stule, ale ona i te inne, które nie brały udziału w wyprawie, tylko cofnęły się na pewną odległość. Elayne wyszła na środek i nagle pojawiła się przed nią świetlna kreska, która przekształciła się w dziurę z widokiem na niskie wzgórze porośnięte zbrązowiałą trawą. Otwór obrócił się i znieruchomiał. Zupełnie tak samo, jak to robił Rand. No... prawie tak samo.

— Z koni! — rozkazał Mat. Elayne wyglądała na zupełnie zadowoloną z siebie, w życiu by człowiek nie podejrzewał, co to za kobieta, gdyby zobaczył ten jej uśmiech zachwyty, zapraszający Nynaeve i Aviendhę, by dzieliły z nią radość, ale tak czy owak brama nie dostawała wielkością tej, którą Rand zrobił dla Legionu. Oczywiście, nie było ich tutaj aż tylu, ale mogła ją przynajmniej zrobić na tyle wysoką, by dało się przejechać przez nią konno.

Po drugiej stronie niskie, porośnięte wyschłą trawą wzgórza ciągnęły się tak daleko, jak Mat sięgał wzrokiem, nawet kiedy wspiał się na grzbiet Oczka, aczkolwiek ciemna plama na południu sugerowała, że rośnie tam jakiś las.

— Nie powinniśmy za bardzo forsować koni — zauważyła Adelas, zaskakująco zwinnie wskazując na grzbiet swej krągłej, brązowej klaczy, w momencie gdy brama zniknęła. Zwierzę sprawiało wrażenie, że wolałoby zostać w domu, przy źłobie.

— Och, istotnie — zgodziła się Vandene. Sama jechała na wałachu o kancianych bokach i lekkim chodzie. Obie ruszyły w stronę południa, dając wszystkim znak, że mają jechać za nimi. Stary Strażnik deptał im po piętach.

Nynaeve i Elayne wymieniły zirytowane spojrzenia, po czym uderzyły pięta-  
mi boki klaczy, by dogonić starszki; zrównały się z nimi, wznieciwszy tumany  
pyłu. Uczestniczka Polowania z jasnym warkoczem jechała tuż za nimi równie  
nieustępliwie jak Strażnik za tą pierwszą parą.

Westchnąwszy, Mat zdjął czarną chustę z szyi i obwiązał nią nos i usta. Mimo  
iż mógł się rozkoszować widokiem, jak starsze Aes Sedai pouczają te dwie, to  
tak naprawdę chciał jazdy bez przygód, krótkiego pobytu w Ebou Dar i szybkiego  
powrotu do Salidaru, zanim Egwene zrobi coś głupiego i nieodwracalnego. Ko-  
biety zawsze przysparzały mu kłopotów; naprawdę nie rozumiał, dlaczego tak się  
dzieje.

Egwene westchnęła, kiedy brama zamigotała i zniknęła. Może Elayne i Nyna-  
eve jakoś przypilnują Mata, by nie wpakował się w zbyt wielkie tarapaty. Prośba  
o trzymanie go na uboczu to byłoby już zbyt wiele. Poczowała ukłucie żalu, że go  
wykorzystuje, ale tam mógł się nieco przydać, a zresztą należało go odseparować  
od Legionu. No i zasłużył sobie na to. Może Elayne nauczy go dobrych manier.

Zwróciwszy się do pozostałych, do Komnaty, Sheriam i jej zaufanych, powie-  
działa:

— Zabierzmy się za nasze plany.

Wzrok wszystkich padł na Cairhienina w ciemnym kaftanie, który właśnie do-  
siadał konia w pobliżu drzew. Talmanes, tak go chyba nazywał Mat; nie odważyła  
się zadawać zbyt wielu pytań. Mężczyzna przyglądał im się przez chwilę, po czym  
pokręcił głową i zniknął w lesie.

— Mężczyzna, który oznacza kłopoty, o ile się na tym znam — powiedziała  
Romanda.

Lelaine przytaknęła.

— Dobrze się stanie, gdy oddalimy się od takich na wiele mil.

Egwene nie pozwoliła sobie na uśmiech. Zorganizowany przez Mata Legion  
spełnił swój pierwotny cel, ale bardzo wiele zależało od tego, jakie dokładnie roz-  
kazy przekazał Mat Talmanesowi. Uznała, że pod tym względem może na nim  
polegać. Siuan twierdziła, że ten Vanin dokopał się do różnych rzeczy, zanim  
znalazła sposobność, by podsunąć mu je pod nos. I skoro miała się „opamiętać”  
i uciec pod ochronę Legionu, to w takim razie Legion musiał znajdować się gdzieś  
blisko niej.

— Pójdziemy do naszych koni? — spytała. — Jeżeli wyruszmy teraz, to po-  
winnyśmy dogonić lorda Bryne’a jeszcze przed zachodem słońca.

# GORZKA MYŚL

Vilnar wiódł swój konny patrol ulicami Nowego Miasta, tymi, które biegły blisko wysokiego, zewnętrznego muru, zbudowanego z szarego kamienia w srebrne i złote żyłki, które iskrzyły się w słońcu południa. Zastanawiał się, czy nie zgolić brody. Kilku innych już to zrobiło; nawet jeśli ktoś twierdził, że ten upał jest niezgodny z naturą, to w Saldaei musiało być chłodniej.

Mógł sobie pozwolić na takie bujanie w obłokach. Potrafił kierować konia przez sen, a zresztą tylko jakiś wyjątkowo bezrozumny opryszek próbowałby uprawiać swe rzemiosło na oczach dziesięciu Saldaeańczyków. Jeździli po mieście, nie stosując żadnej reguły, więc ci ludzie nie wiedzieli, gdzie i kiedy mogą być bezkarni, uprawiając swój proceder. Prawdę powiedziawszy, rzadko kiedy musieli uganiać się za złodziejami; znacznie częściej aresztowali tych, którzy sami wpadali im w ręce. Najtwardszy zabijaka w Caemlyn potrafił wbiec prosto na Saldaeańczyków, a ci chwyтали takiego szybciej niż Aielowie. Dlatego właśnie Vilnar popatrywał jednym okiem na ulicę i pozwalał swemu umysłowi błąkać się gdzieś po manowcach. Rozmyślał o dziewczynie, którą zostawił w Mehar i z którą chciał się ożenić; ojciec Teryane był kupcem i chciał mieć żołnierza za syna, może nawet bardziej niż Teryane chciała za męża. Przypomniawszy sobie grę, którą zaproponowały mu kobiety Aiel; nazwa „Pocałunek Panny” brzmiała dość niewinnie, ale w ich oczach pojawił się błysk, który nakazywał mu być ostrożnym. Przede wszystkim jednak rozmyślał o Aes Sedai.

Vilnar zawsze chciał spotkać jakąś Aes Sedai, a z pewnością najlepszym miejscem do takich spotkań było Caemlyn, no chyba że któregoś dnia pojechałby do Tar Valon. W całym Caemlyn dosłownie roiło się od Aes Sedai. Przejechał się do „Psa Culaina”, gdzie, jak głosiły plotki, miało ich być sto, ale w ostatniej chwili zrezygnował z wejścia do środka. Nie brakowało mu odwagi, kiedy w ręku miał miecz, między kolanami koński grzbiet, a przed sobą mężczyzn albo trolloki, natomiast już na samą myśl o Aes Sedai ogarniał go lęk. A poza tym ta oberża nie mogłaby pomieścić stu kobiet i żadna z tych dziewcząt, które tam napotkał, nie mogła być Aes Sedai. Przeszedł się też do „Różanej Korony”; obserwował budynek z drugiej strony ulicy, ale ponieważ nie nabrał pewności, że którakolwiek z kobiet, które tam zobaczył, to Aes Sedai, więc uznał, że one nimi nie są.

Puścił oko do szczupłej kobiety obdarzonej szerokim nosem, która właśnie wyszła z wysokiego budynku najwyraźniej należącego do jakiegoś kupca; ze zmarszczonym czołem postąpiła chwilę na samym środku ulicy, po czym włożyła na głowę słomkowy kapelusz z szerokim rondem i ruszyła przed siebie. Vilnar pokręcił głową. Nie umiałby orzec, ile ona miała lat, ale nawet gdyby, to i tak by nie wystarczyło. Wiedział, w jaki sposób można rozpoznać Aes Sedai. Niech sobie Jidar twierdzi, że one są takie piękne, że potrafią zabić człowieka samym uśmiechem, a Rissen może się upierać, że wzrostem przewyższają o stopę każdego mężczyznę. Vilnar wiedział, że rozpoznaje się je po twarzach, po twarzach pozbawionych śladów upływu lat, wyróżniających osobę nieśmiertelną. Czegoś takiego nie da się przeoczyć.

Kiedy patrol dojechał do wysokiego, sklepionego łuku Bramy Białego Mostu, Vilnar zapomniał o Aes Sedai. Za bramą, wzdłuż drogi rozciągało się jedno z targowisk: długie, otwarte szopy z kamienia nakryte czerwonymi i purpurowymi dachówkami, zagrody pełne cieląt, świń i owiec, kur, kaczek i gęsi, stragany pełne wszystkich dóbr, począwszy od fasoli, a skończywszy na rzepie. W takich miejscach zazwyczaj brzmiały okrzyki farmerów zachwalających swe towary, a tymczasem teraz, jeżeli pominąć hałas wytwarzany przez zwierzęta, na całym targowisku, aż po samą bramę, panowała cisza towarzysząca najdziwniejszej procesji, jaką Vilnar kiedykolwiek w życiu widział.

Długą kolumnę tworzyli przede wszystkim farmerzy, po czterech w rzędzie, na koniach, za nimi zaś zdążał tabor wozów. To musieli być farmerzy, sądząc po zgrzebnym kaftanach, ale każdy w zasięgu wzroku Vilnara miał na plecach niezwykle długi łuk, pełen kołczan u jednego boku i długi nóż albo krótki miecz u drugiego. Na czele procesji jechał sztandar, biel obrzeżona czerwienią z czerwonym łbem wilka, i otaczała go podobnie dziwaczna zbieranina ludzi. Byli w niej trzej Aielowie, pieszo, ma się rozumieć, w tym dwie Panny, oraz jegomość, którego kaftan w jaskrawozielone paski i jadowicie żółte spodnie mówiły, że to Druciarz, tyle że miał przypasany do pleców miecz. Prowadził wierzchowca równie wielkiego jak pociągowy koń Nashuna, z siodłem wykonanym jak dla olbrzyma. Całkiem na przedzie zaś jechał barczysty mężczyzna z potarganymi włosami, krótką bródką i złowieszczym toporem u pasa, a u jego boku jechała Saldaeanka, w ciemnych, wąskich, dzielonych spódnicach, która stale popatrywała na niego czułym...

Vilnar wyprostował się w siodle. Rozpoznał tę kobietę. Pomyślał o lordzie Bashere, który znajdował się w Pałacu Królewskim. Co więcej, pomyślał o lady Deirze i serce mu zamarło; ona też była w Pałacu. Gdyby któraś z Aes Sedai w tym momencie machnęła ręką i zamieniła tę kolumnę w trolloki, to Vilnar nie posiadałby się z radości. Może to kara za bujanie w obłokach. Gdyby myślał wyłącznie o obowiązkach, patrol dawno temu minąłby targowisko. Niestety, rozkazy nadal go obowiązywały.

Wjechał na czele kolumny swoich ludzi przez bramę, zastanawiając się, czy lady Deira każe zrobić piłkę z jego głowy.

W odległości dziesięciu kroków od bram miasta Perrin najpierw spowolnił bieg swego wierzchowca i dopiero potem ściągnął wodze. Stepper zatrzymał się chętnie; nie lubił upału. Ludzie na koniach, którzy zagradzali bramy, byli Saldaeańczykami, sądząc po tych wydatnych nosach i skośnych oczach; niektórzy mieli błyszczące, czarne bródki, inni gęste wąsy, a jeszcze inni byli gładko wygoleni. Wszyscy oprócz jednego trzymali dłonie na rękojeściach mieczy. Otaczające ich powietrze ruszało się, ale Perrin nie czuł woni strachu. Spojrzał na Faile, ale ta pochyliła się nad wygiętym w łuk karkiem Jaskółki, zajęta uzdą czarnej klaczy; pachniała słabo ziołowym mydłem i niepokojem. Przez ostatnie dwieście mil, albo i więcej, słyszeli wieści o Saldaeańczykach w Caemlyn, którymi rzekomo dowodził ojciec Faile. Tym akurat Faile zdawała się w ogóle nie przejmować, ale była pewna, że jej matka jest również w mieście. Twierdziła, że tym również się nie martwi.

— Nawet nie potrzebujemy łuczników — powiedział cicho Aram, głaszcząc rękojeść wystającą mu ponad ramieniem. Jego ciemne oczy zdawały się płonąć od przepełniającego go zapału; — Jest ich tylko dziesięciu. Wystarczy nas dwóch do utorowania drogi. — Gaul osłonił twarz; Bain i Chiad, ukryte za Faile, bez wątpienia zrobiły to samo.

— Żadnych łuczników i żadnego torowania — powiedział Perrin. — I żadnych włóczni, Gaul. — Nie powiedział nic na użytek Bain i Chiad; one zresztą słuchały tylko Faile. Która wyraźnie nie była jeszcze gotowa podnieść głowy albo powiedzieć choć słowa. Gaul opuścił zasłonę i wzruszył ramionami; Aram skrzywił się z rozczarowaniem.

Perrin przybrał pojednawczą minę, kiedy odwrócił się w stronę Saldaeańczyków. Niektórzy ludzie robili się nerwowi na widok jego żółtych oczu.

— Nazywam się Perrin Aybara. Myślę, że Rand al'Thor zechce mnie zobaczyć.

Brodaty jegomość, który w odróżnieniu od pozostałych nie dotykał miecza, skłonił się lekko z siodła.

— Jestem Vilnar Barada, lordzie Aybara, podporucznik zaprzysięgły mieczem lordowi Davramowi Bashere. — Powiedział to bardzo głośno i wyraźnie unikał patrzenia na Faile. Która westchnęła na wzmiankę o swym ojcu i spojrzała spode łba na Baradę, zwłaszcza, że ten nadal ją ignorował. — Rozkazy lorda Bashere — ciągnął mężczyzna, dodając jakby po namyśle — oraz lorda Smoka brzmia następująco: żaden szlachcic nie może wjechać do Caemlyn w otoczeniu więcej jak dwudziestu zbrojnych albo pięćdziesięciu służących.

Aram poruszył się na koniu. W kwestiach dotyczących domniemanego honoru

Perrina był jeszcze bardziej drażliwy niż Faile, ale, dzięki Światłości, nigdy nie dobywał miecza, dopóki Perrin nie wydał takiego rozkazu.

Perrin przemówił ponad jego ramieniem.

— Dannil, zabierz wszystkich na tę łąkę, którą mijaliśmy trzy mile wstecz, i rozbijcie obozowisko. Jeżeli pojawi się jakiś farmer ze skargą, to udobruchajcie go odrobiną złota. Niech wie, że wszelkie szkody zostaną mu wynagrodzone. Aram, jedziesz z nimi.

Dannil Lewin, mężczyzna podobny do tyki, z gęstymi wąsami, które niemalże skrywały mu twarz, potarł czoło kułakiem, mimo że Perrin tyle razy mu powtarzał, że proste „w porządku” wystarczy, i natychmiast dał hasło do odwrotu. Aram oczywiście zeszytywniał — nie lubił się oddalać od Perrina — ale nic nie powiedział. Perrin czasami miał wrażenie, że były Druciarz zachowuje się jak jego własny pies. Mężczyzna nie powinien taki być, ale nie miał pojęcia, co mógłby z tym zrobić.

Spodziewał się, że Faile będzie miała dużo do powiedzenia na temat odsyłania tamtych — że zacznie się wypowiadać na temat tego, co mu się należy za sprawą jego tak zwanej pozycji i uprze się przy tych dwudziestu, o których wspomniał Barada, a może nawet będzie się targowała o tych pięćdziesięciu — ale ona tylko wychyliła się z siodła, żeby naradzić się szeptem z Bain i Chiad. Starał się nie słuchać, mimo iż docierały do niego pojedyncze słowa. — Rozmawiały o mężczyznach, z wyraźnym rozbawieniem; kobiety zawsze zdawały się albo rozbawione albo złe, kiedy poruszały ten temat. To przez Faile włókł za sobą wszystkich tych ludzi i sztandar, aczkolwiek nie wiedział właściwie, jak ona to osiągnęła. W wozach jechali służący, mężczyźni i kobiety w liberii z łbem wilka na ramieniu. Nawet ludzie z Dwu Rzek się nie skarżyli; zdawali się być równie dumni z tego stroju jak wszyscy uchodźcy.

— Czy to cię zadowala? — spytał Barade. — Możesz nas eskortować do Randa, jeżeli nie chcesz, abyśmy się tu poruszali samopas.

— Myślę... — Spojrzenie ciemnych oczu Barady pomknęło w stronę Faile i natychmiast zawróciło. — Myślę, że tak będzie najlepiej.

Kiedy Faile wyprostowała się, Bain i Chiad podbiegły do szeregu jeźdźców, po czym przepchnęły się przez nich, jakby ich tam w ogóle nie było. Saldaeańscy nie wyglądali na zdziwionych, ale ci z kolei musieli być przyzwyczajeni do zachowania Aielów; wszystkie pogłoski mówiły, że w Caemlyn jest ich teraz mnóstwo.

— Muszę odszukać swoich braci włócznie — oznajmił nagle Gaul. — Obyś zawsze znajdował wodę i cień, Perrinie Aybara. I po tych słowach pomknął w ślad za kobietami. Faile skryła uśmiezek rozbawienia dłonią odzianą w szarą rękawiczkę.

Perrin pokręcił głową. Gaul chciał, żeby Chiad go poślubiła, ale zgodnie z obyczajem to ona musiała mu się oświadczyć i mimo iż zdaniem Faile pragnęła

zostać jego kochanką, to nie chciała zrezygnować z włóczni na rzecz zamążpójścia. Co sprawiało, że Gaul zdawał się równie urażony, jak byłaby każda dziewczyna z Dwu Rzek w podobnych okolicznościach. I jeszcze w tym wszystkim zdawała się mieć swój udział Bain. Perrin nic z tego nie rozumiał. Faile wyznała, trochę jakby za szybko, że o niczym nie wie. Gaul zaś robił się ponury, kiedy go o to pytał. Dziwni ludzie.

Saldaeańczycy przedzierali się przez tłum, ale Perrin nie zwracał większej uwagi ani na nich, ani na miasto. Widział już kiedyś Caemlyn, przynajmniej jego część, a poza tym nie przepadał za miastami. Wilki rzadko się do nich zbliżały; nie wyczuł żadnego od dwóch dni. Przyglądał się natomiast swojej żonie, z ukosa, starając się, by tego nie zauważyła. Równie dobrze mógł otwarcie się na nią gapić. Zawsze jechała dumnie wyprostowana, a tymczasem teraz zeszywniała w siodle, wpatrzona gniewnie w plecy Barady. Mężczyzna zgarbił się, jakby czuł na sobie jej wzrok. Nawet sokół nie potrafił patrzeć tak groźnie jak Faile.

Perrin wierzył, że ona myśli o tym samym co on, aczkolwiek może nie w taki sam sposób. To znaczy o jej ojcu. Być może czekało ją składanie jakichś wyjaśnień — ostatecznie uciekła z domu, żeby wziąć udział w Wielkim Polowaniu na Róg — ale to Perrin miał stanąć twarzą w twarz z lordem Bashere, Tyru i Sidony, i powiedzieć temu człowiekowi, że kowal poślubił jego córkę i spadkobierczynię. Nie była to chwila, na którą Perrin czekał z utęsknieniem. Nie uważał siebie za szczególnie odważnego — robienie tego, co się musiało zrobić, nie było żadnym aktem odwagi — ale nigdy dotąd nie myślał, że może okazać się tchórzem. A tymczasem na myśl o ojcu Faile zasychało mu w ustach. Może powinien dopilnować rozbijania obozu. List posłany do lorda Bashere mógł wszystko wyjaśnić. Napisanie starannie zredagowanego listu mogło potrwać dwa albo trzy dni. Może dłużej. Nie miał drygu do pisania.

Błysk purpurowego sztandaru powiewającego leniwie nad Pałacem Królewskim gwałtownie sprowadził go na ziemię. O nim pogłoski też wspominały. Perrin wiedział, że to nie Sztandar Smoka, czego by ludzie nie gadali — zdaniem jednych oznaczał, że Aes Sedai służą Randowi; zdaniem innych, że to on im służy — i zastanawiał się, dlaczego właściwie Rand go nie zawiesił. Nadal czuł, jak tamten go przyciąga; powiedziała by: potężniejszy *ta'veren* przyciąga słabszego. Co nie znaczy, że wiedział, gdzie jest Rand; to nie był ten rodzaj przyciągania. Opuścił Dwie Rzeki, przekonany, że pojedzie do Łzy, albo Światłość tylko wiedziała dokąd; to ta rzeka pogłosek i opowieści płynąca ku zachodowi, przez cały Andor, go tutaj sprowadziła. W tym parę pogłosek i opowieści wybitnie niepokojących. Nie, to co czuł, to była raczej potrzeba znajdowania się obok Randa, albo może potrzeba jego obecności odczuwana przez Randa, uczucie podobne do swędzenia między łopatkami, gdzie tak trudno się podrapać. Teraz ten stan osiągnął już punkt krytyczny i bardzo mu to było nie w smak. Przyśnił mu się sen, taki, z którego Faile, żywiąca wielkie upodobanie do przygód, na pewno by się śmiała.



Śniło mu się, że mieszka razem z nią w jakimś małym domku na wsi, z dala od miast i konfliktów — wokół Randa zawsze wybuchały jakieś konflikty. Ale Rand go potrzebował i on zrobi to, co musi.

Na wielkim dziedzińcu, otoczonym kolumnami, marmurowymi balkonami oraz spiczastymi iglicami, Perrin przerzucił swój ciężki pas z toporem na siodło — pozbywał się go od czasu do czasu z wielką ulgą — i jakiś mężczyzna z kobietą, oboje odziani na biało, odebrali od niego Steppera i Jaskółkę. Powiedziawszy kilka słów, Barada skierował jego i Faile w stronę chłodnookich Aielów, z których wielu nosiło szkarłatne opaski oznakowane czarno-białym dyskiem; wprowadzili ich do środka i przekazali Pannom, równie lodowatym jak oni. Perrin nie znał żadnej z Kamienia; wszelkie wysiłki w celu nawiązania rozmowy spełzły na niczym. Panny porozumiały się, migocząc dłońmi, i wybrały spośród siebie tę, która miała poprowadzić jego i Faile w głąb pałacu — szczupłą kobietę o włosach piaskowej barwy, mniej więcej w wieku Faile, jak ocenił. Przedstawiła im się jako Lerian i były to jedyne słowa, jakie do nich wypowiedziała, oprócz ostrzeżenia, że nie wolno im nigdzie chodzić samym. Żałował, że nie ma przy nich Bain albo Chiad; miło byłoby widzieć jakąś znajomą twarz. Faile sunęła przez korytarze jak wielka dama, którą zresztą była, ale na każdym skrzyżowaniu rozglądała się szybko we wszystkie strony. Najwyraźniej nie chciała, żeby ojciec ją zaskoczył.

Dotarli wreszcie do drzwi z bliźniaczymi wizerunkami lwów, przy których siedziały kolejne dwie Panny; powstały, zamigotały palcami, po czym Panna o piaskowych włosach weszła do środka bez pukania.

Perrin zastanawiał się, czy teraz Randowi zawsze towarzyszą strażę złożone z Aielów i czy nikt przy nim nic nie mówi, kiedy nagle drzwi otwarły się na oścież i pojawił się w nich Rand w samej koszuli.

— Perrin! Faile! Oby Światłość opromieniła wasz dzień weselny — powiedział ze śmiechem, lekko całując Faile. — Jak ja żałuję, że mnie tam wtedy nie było. — Wyglądała na równie zmieszana jak Perrin.

— Skąd się dowiedziałeś? — zakrzyknął, a Rand znowu się zaśmiał, klepiąc go po ramieniu.

— Jest tu Bode, Perrin. Bode, Janacy, one wszystkie. W każdym razie są w Camlyn. Dowiozły je Verin i Alanna, zanim dowiedziały się o Wieży. — Sprawiał wrażenie zmęczonego, oczy miał nabiegłe krwią, aczkolwiek jego śmiech był wesoły i żywy. — Światłości, Perrin, czego mi one o tobie nie opowiadały! Lord Perrin z Dwu Rzek. Co na to pani Luhhan?

— Nazywa mnie lordem Perrinem — mruknął z goryczą Perrin. Elsbet Luhhan dała mu więcej klapsów niż matka. — Ona przede mną dyga. Autentycznie dyga. — Faile spojrzała na niego z ukosa. Twierdziła, że wprawia ludzi w zakłopotanie, próbując odwieść ich od okazywania mu szacunku; jego zmieszanie, kiedy to robili, stanowiło część ceny, jaką mu przyszło zapłacić.

Panna, która ich tu wprowadziła, przecisnęła się obok Randa, który wzdrygnął

się gwałtownie.

— Światłości, trzymam was za drzwiami. Wejdźcie, wejdźcie. Larian, idź i powiedz Sulin, że potrzebuję więcej ponczu. Z melona. Biegnij! — Trzy Panny roześmiały się, jakby Rand powiedział coś śmiesznego.

W bawialni delikatny zapach zdradził Perrinowi, że jest tam jeszcze jakaś kobieta, zanim w ogóle ją zobaczył. Zobaczył i wytrzeszczył oczy.

— Min?

Włosy jej urosły do krótkich loków, haftowany, niebieski kaftan i spodnie były inne, ale twarz ta sama.

— Min, to ty! — Śmiejąc się, chwycił ją w objęcia. — Zbieramy się wszyscy w jednym miejscu, nieprawdaż? Faile, to jest Min. Opowiadałem ci o niej.

W tym momencie dotarło do niego, jaki zapach czuje od swej żony, więc puścił Min, która nadal uśmiechała się do niego. Nagłe zauważył i to aż nazbyt dokładnie, że obciste spodnie wyjątkowo dobrze zdradzają kształt nóg Min. Faile miała bardzo mało wad, ale zdarzało się, że bywała zazdrosna. Goniła, na przykład, Calle Coplin przez pół mili z kijem, a przecież nie spojrział na żadną kobietę dwa razy, odkąd byli razem.

— Faile? — powiedziała Min, wyciągając ręce. — Każda kobieta, która może wytrzymać z tym włochatym baranem dostatecznie długo, by zechcieć go poślubić, zasługuje na podziw. Podejrzewam jednak, że będzie z niego dobry mąż, tylko musisz go wziąć pod pantofel.

Faile ujęła ręce Min z uśmiechem, ale... och, cóż za kwaśny, nastroszony zapach.

— Dotąd mi się to nie udało, Min, ale przynajmniej do tego czasu zamierzam go zatrzymać dla siebie.

— Pani Luhhan dyga? — Rand pokręcił głową z niedowierzaniem. — Musiałbym to zobaczyć, żeby uwierzyć. A gdzie Loial? Czy przyjechał z wami? Nie zostawiliście go chyba za bramami miasta?

— Jechał z nami — odparł Perrin, starając się dyskretnie nie spuszczać Faile z oka — ale jeszcze tu nie dotarł. Oświadczył, że jest zmęczony, więc powiedziałem mu o tym opustoszałym *stедding* na północ od drogi z Białego Mostu. Loial wybrał się tam piechotą, twierdząc, że je natychmiast wyczuje, gdy znajdzie się w odległości dziesięciu mil.

— Przypuszczam, że znasz dobrze Randa i Perrina? — spytała Faile, a Min zerknęła na Randa.

— Jakiś już czas, przynajmniej. Poznałam ich tuż po tym, jak wyjechali z Dwu Rzek. Uważali, że Baerlon to wielkie miasto.

— Pieszo? — dopytywał się Rand.

— Tak — odparł powoli Perrin. Zapach Faile zmieniał się, kolczasta zazdrość słabła. Dlaczego? — Wiesz przecież, że on woli posługiwać się nogami. Założył się ze mną o złotą koronę, że będzie w Caemlyn nie później jak dziesięć dni

po nas. — Obie kobiety patrzyły na siebie; Faile uśmiechała się, a Min lekko pokraśniała. Min pachniała lekkim zażenowaniem, Faile zadowoleniem. A także zdziwieniem, którego ślad uwidocznił się na twarzy. — Nie chciałem się z nim zakładać, miał przecież pokonać pięćdziesiąt mil, ale uparł się. Zamierzał odbyć tę wyprawę w pięć dni.

— Loial zawsze twierdził, że prześcignie konia — zaśmiał się Rand i umilkł. Uśmiech zniknął z jego twarzy. — Mam nadzieję, że dotrze tu bez szwanku — dodał nieco poważniejszym tonem. Był zmęczony, a poza tym zmienił się pod wieloma względami. Rand, którego Perrin widział ostatnio w Łzie, nie był miękki, daleko mu było do tego, ale w porównaniu z tym Randem tamten wyglądał jak niewinny chłopiec z farmy. Rzadko mrugał oczami, jakby jedno mrugnięcie mogło skryć przed nim to, co koniecznie musiał widzieć. Perrin dostrzegł w tym spojrzeniu coś znajomego; widywał to na twarzach mężczyzn z Dwu Rzek po atakach trolloków, po piątym, po dziesiątym, kiedy się zdawało, że nie ma już żadnej nadziei, ale walczyło się dalej, ponieważ koszty rezygnacji byłyby zbyt wysokie.

— Lordzie Smoku — powiedziała Faile, zaskakując Perrina; dotychczas zawsze nazywała go Randem, aczkolwiek słyszeli ten tytuł przez całą drogę od Białego Mostu — wybacz mi, ale pragnę zamienić słowo z mężem, zanim pozostawię was samych, abyście mogli porozmawiać.

Ledwie zaczęła na odpowiedź zdziwionego Randa i podeszła blisko do Perrina.

— Nie odejdę daleko, najdroższy. Min i ja pogawędzimy sobie o sprawach, które najprawdopodobniej was bardzo by znudziły. — Miętosząc jego kłapy, zaczęła pospiesznie mówić, ledwie słyszalnie, tak cicho, że wszyscy oprócz niego musieliby wyteżać słuch. Czasami pamiętała, jak on dobrze słyszy. — Pamiętaj, że on już nie jest twoim przyjacielem z dzieciństwa, Perrin. A w każdym razie nie tylko. Jest Smokiem Odrodzonym, Lordem Smokiem. A ty jesteś lordem z Dwu Rzek. Wiem, że potrafisz reprezentować godnie nie tylko siebie, ale również Dwie Rzeki. — Uśmiech, jakim go obdarzyła, był pełen miłości i otuchy; nabrał ochoty, żeby ją pocałować. — No proszę — dodała normalnym tonem. — Znowu jesteś taki jak trzeba. — Nie wydzielała już zapachu zazdrości.

Obdarzywszy Randa wdzięcznym dygnięciem, mruknęła:

— Lordzie Smoku — po czym wyciągnęła rękę w stronę Min. — Chodź, Min. Rand wzdrygnął się na widok znacznie mniej — wprawnego dygnięcia Min.

Zanim dotarły do drzwi, otwarły się z trzaskiem i do środka weszła odziana w liberię kobieta, z tacą zastawioną pucharami i dzbanem, z którego unosił się zapach wina i soku z miodowego melona. Perrin niemalże wytrzeszczył oczy. Mimo czerwono-białej sukni równie dobrze mogła być matką Chiad, albo nawet jej babką, przez te krótkie siwe loki. Odprowadziwszy wzrokiem wychodzące kobiety, podeszła do najbliższego stolika i postawiła na nim tacę; maska potulności sprawiała wrażenie przyklejonej do jej twarzy.

— Powiedziano mi o czworgu gości, lordzie Smoku — odezwała się dziwnym tonem; miał wrażenie, że chciała to powiedzieć z szacunkiem, ale coś jej uwięzło w gardle — więc przyniosłam dla czworga. — W porównaniu z nią Min dygnęła elegancko; kiedy wychodziła, głośno trzasnęła drzwiami.

Perrin spojrział na Randa.

— Czy zdarza ci się myśleć, że kobiety są... dziwne?

— Dlaczego mnie o to pytasz? Przecież to ty jesteś żonaty. — Rand napełnił ponczem i podał mu posrebrzany puchar. — Lepiej spytaj Mata, jeśli czegoś nie wiesz. Ja z każdym dniem rozumiem je coraz mniej.

— Ja też — westchnął Perrin. Poncz naprawdę chłodził; Rand jakby w ogóle się nie pocił. — A tak nawiasem mówiąc, gdzie jest Mat? Gdybym musiał zgadywać, to powiedziałbym, że w najbliższej tawernie, i albo wygrywa, albo się odgrywa, niezależnie od tego, czy trzyma kubek do gry w kości w rękę, czy dziewczynę na kolanie.

— Lepiej, żeby nie trzymał ani jednego, ani drugiego — stwierdził ponurym tonem Rand, odstawiając nietknięty puchar. — Ma przywieść Elayne na koronację. A także Egwene i Nynaeve, mam nadzieję. Światłości, tyle jeszcze jest do zrobienia, zanim ona tu dotrze. — Gwałtownie targnął głową, zupełnie jak niedźwiedź na uwięzi, po czym utkwiał wzrok w Perrinie. — Czy zechciałbyś pojechać w moim imieniu do Łzy?

— Do Łzy! Rand, ja od dwóch miesięcy jestem w drodze. Moje siedzenie nabrało kształtu siodła.

— Mogę cię ugościć tutaj tej nocy. Dzisiaj. Prześpisz się w jakimś generalskim namiocie i będziesz trzymał się z dala od siodeł tak długo, jak zechcesz.

Perrin popatrzył na niego; zdawał się mówić to wszystko poważnie. Nagle zadał sobie pytanie, czy Rand zachował jeszcze zdrowe zmysły. Światłości, przecież musi je zachować, przynajmniej do Tarmon Gai'don. Upił duży łyk ponczu, chcąc pozbyć się gorzkiego smaku z ust. Jak mógł tak pomyśleć o przyjacielu!

— Rand, nawet gdybyś mógł przenieść mnie teraz do Kamienia Łzy, to i tak bym ci odmówił. Jest tu w Caemlyn ktoś, z kim muszę porozmawiać. I chciałbym też zobaczyć się z Bode i pozostałymi dziewczętami.

Rand zdawał się go nie słuchać. Padł na jedno z połączonych krzeseł i zapatrzył się ponuro na Perrina.

— Pamiętasz, jak Thom zonglował, i zdawało się to takie łatwe? No cóż, ja właśnie teraz zongluję, tak jak potrafię, ale to nie jest proste. Sammael w Illian; pozostali Przekłęci, Światłość jedna wie gdzie. Czasami myślę, że oni wcale nie są w tym wszystkim najgorsi. Rebelianci, którzy mnie uważają za fałszywego Smoka. Zaprzysięgli Smokowi, którzy uważają, że mogą palić wioski w moim imieniu. Czyś ty słyszał, co głosi Prorok, Perrin? Nieważne zresztą, wcale nie jest gorszy od innych. Mam sojuszników, którzy nienawidzą się wzajemnie; a najlepszy generał, jakiego znam, taki, który może stawić czoło Illian, koniecznie chce

już ruszyć do szarży i dać się zabić. Elayne zjawi się tu prawdopodobnie za półtora miesiąca, jeśli szczęście dopisze, ale do tego czasu w tym kraju może dojść do buntu. Światłości, ja chcę jej przekazać zjednoczony Andor. Zastanawiałem się, czy osobiście jej tutaj nie przywieźć, ale to najgorsza z rzeczy, jakie mogę zrobić. — Pocierał twarz obiema dłońmi. — Najgorsza.

— Co na to Moiraine?

Rand opuścił dłonie, tylko odrobinę, by móc spojrzeć na Perrina.

— Moiraine nie żyje, Perrin. Zabiła Lanfear, umarła, i na tym koniec.

Perrin usiadł. Moiraine? Nie wierzył własnym uszom.

— Jeśli Alanna i Verin są tutaj... — Obrócił — puchar w dłoniach. Nie potrafił się zmusić, by zaufać któremukolwiek. — Czy prosiłeś je o radę?

— Nie! — Ręka Randa wykonała gwałtowny gest, jakby coś cięła. — One mają trzymać się ode mnie z daleka, Perrin; powiedziałem im to jasno.

Perrin postanowił, że poprosi Faile, by ta dowiedziała się od Alanny albo Verin, co się właściwie dzieje. W obecności tych dwóch Aes Sedai często czuł się nieswojo, ale Faile zdawała się utrzymywać z nimi dobre stosunki.

— Rand, wiesz równie dobrze jak ja, że niebezpiecznie jest gniewać Aes Sedai. Moiraine przyjechała nas szukać, ale bywały takie sytuacje, kiedy miałem wrażenie, że chce zabić Mata, mnie i ciebie. — Rand nic nie powiedział, ale chyba słuchał, bo przekrzywił głowę. — Jeśli bodaj dziesiąta część opowieści, jakich się nasłuchiwałem od Baerlon, przynajmniej w połowie opiera się na prawdzie, to chyba jest to najmniej odpowiedni moment, by doprowadzać Aes Sedai do wściekłości z twojego powodu. Nie będę udawał, że wiem, co się dzieje w Wieży, ale...

Rand otrząsnął się i pochylił do przodu.

— Wieża podzieliła się na dwie równe części, Perrin. Jedna połowa uważa, że ja jestem prosiakiem, którego da się kupić na targowisku, druga zaś... Właściwie to nie wiem, co te sobie myślą. Przez trzy kolejne dni odbywałem codzienne spotkania z kilkoma posłankami. Tego popołudnia mam je znowu przyjąć, ale co z tego? Nadal nie potrafię ich zmusić, żeby się określiły. Pada z ich ust o wiele więcej pytań niż odpowiedzi i raczej nie są zadowolone, że jestem równie lakoniczny jak one. Elaida przynajmniej... to ona jest nową Amyrlin, jeśli jeszcze nie słyszałeś... jej posłanki przynajmniej coś mówią, mimo iż najwyraźniej uznały, że nie będę specjalnie dociekliwy, tak wielkie wrażenie zrobią na mnie dygające Aes Sedai.

— Światłości! — wydyszał Perrin. — Światłości! Chcesz powiedzieć, że część Aes Sedai naprawdę się zbuntowała i że znalazłeś się dokładnie pomiędzy Wieżą i rebeliantkami? Dwa niedźwiedzie gotowe do walki, a ty zamierzasz zbierać między nimi jagody! Czy nigdy ci nie przyszło do głowy, że i bez tego możesz mieć dość kłopotów ze strony Aes Sedai? Powiem ci otwarcie, Rand. Siuan Sanche sprawiała, że palce skręcały mi się w butach, ale przy niej człowiek przynajmniej wiedział, na czym stoi. Przez nią czułem się tak, jakbym był ko-

niem, a ona starała się zdecydować, czy się nadaje do długiej, trudnej jazdy, ale przynajmniej okazywała jasno, że nie zamierza mnie osiodłać.

Śmiech Randa zabrzmiał zbyt ochryple, by można go było nazwać wesołym.

— Naprawdę uważasz, że jeśli ja zostawię Aes Sedai w spokoju, to one zrobią to samo? Rozłam w Wieży jest najlepszą rzeczą, jaka mogła mi się przytrafić. Są zbyt zajęte obserwowaniem siebie nawzajem, by skierować całą uwagę na mnie. Gdyby nie to, wszędzie, gdzie bym się nie udał, towarzyszyłoby mi dwadzieścia Aes Sedai. Pięćdziesiąt. Mam za sobą Łzę i Cairhien, do pewnego stopnia, a także poparcie w tym kraju. Bez tego rozłamu za każdym razem, gdy otworzyłbym usta, znalazłby się ktoś, kto by powiedział: „No tak, ale Aes Sedai mówią. . .” Perrin, Moiraine robiła, co mogła, żeby wiązać do mnie sznurki, dopóki nie kazałem jej przestać, i prawdę powiedziawszy, nie jestem wcale pewien, czy rzeczywiście posłuchała. Kiedy jakaś Aes Sedai twierdzi, że będzie ci tylko udzielać rad, a decydować będziesz ty sam, to chce przez to powiedzieć, że wie, co powinienesz robić, i że w miarę możliwości zmusi cię do tego. — Podniósł puchar i upił duży łyk. Kiedy go odstawił, zdawał się spokojniejszy. — Gdyby Wieża była zjednoczona, nie mógłbym nawet ruszyć palcem bez zapytania pierwszej sześcioro Aes Sedai o pozwolenie.

Perrin omal nie parsknął śmiechem, ale nie dlatego, że zrobiło mu się wesoło.

— A więc ty uważasz, że lepiej. . . no co? . . . wykorzystać zbuntowane Aes Sedai w do walki z Wieżą? Albo przyklaskujesz bykowi, albo niedźwiedziowi; jak przyklaskujesz obydwóm, to cię zadowolą i zjedzą.

— To nie takie proste, Perrin, tyle, że one o tym nie wiedzą — odparł Rand zadowolonym tonem i pokręcił głową. — Jest jeszcze trzecia strona, gotowa przede mną uklęknąć. O ile będzie skłonna raz jeszcze nawiązać ze mną kontakt. Światłości! Nie powinniśmy spędzać pierwszej godziny naszego pierwszego spotkania po takim czasie na gadaniu o Aes Sedai. Pole Emonda, Perrin. . . — Twarz mu złagodniała, przez co niemalże przypominał Randa, którego Perrin zapamiętał z dawnych lat, i nawet się szczerze uśmiechnął. — Spędziłem bardzo mało czasu w towarzystwie Bode i innych dziewcząt, ale trochę opowiedziały mi o zmianach. Wyjaśnij, co się zmieniło, Perrin. I co zostało takie, jak zawsze.

Przez dłuższą chwilę rozmawiali o uchodźcach i wszystkich nowościach, które ci sprowadzili: o nieznanach odmianach fasoli, dyni, gruszek i jabłek, o tkanii cienkich materii i być może dywanów, o wypalaniu cegieł i dachówek, o kamieniarce i meblach zdobniejszych, niżli wszystkie, jakie dotychczas widziano w Dwu Rzekach. Perrin przywykł do rzesz ludzi, przybywających przez Góry Mgły, ale Randa te wieści wyraźnie oszołomiły. Omówili dokładnie zalety i wady muru, który niektórzy chcieli postawić wokół Pola Emonda i innych wiosek, i kwestię, czy lepiej stawiać mury z kamienia, czy z bali. Rand czasami zdawał się w rozmowie taki jak dawniej, kiedy na przykład naśmiewał się z kobiet, które na początku twardo występowały przeciwko strojom z Tarabonu albo Arad Doman,

a później podzieliły się na te, które nie włożą nic prócz grubych sukien z Dwu Rzek, i te, które pocięły wszystkie stare ubrania na szmatki. Albo z tych licznych młodych mężczyzn, którzy wyhodowali sobie wasy jak Tarabonianie albo Domani, a niekiedy też kozie bródki rodem z Równiny Almoth. Niektórzy wyglądali tak, jakby mieli uwiązane jakieś zwierzę pod nosem. Perrin wołał nie dodawać, że brody takie jak jego stały się jeszcze bardziej popularne.

Przeżył jednak wstrząs, kiedy Rand wyjaśnił dobitnie, że nie zamierza odwiedzać obozu, mimo iż było tam wielu jego znajomych.

— Ciebie albo Mata nie ochronię — powiedział cicho — ale ich mogę.

Od tego momentu rozmowa już się nie kleiła, aż wreszcie nawet Rand zrozumiał, że ją popsuł. W końcu westchnął i wstał, przeczesując palcami włosy i rozglądając się wokół z roztargnieniem.

— Pewnie chciałbyś się umyć i odpocząć, Perrin. Nie powinienem cię zatrzymywać. Każę przygotować dla ciebie komnaty. — Odprowadziwszy przyjaciela do wyjścia, dodał nagle: — Przemyślisz ten wyjazd do Łzy, Perrin? Potrzebuję cię w tym kraju. Nic ci tam nie grozi. Jeśli zdecydujesz się jechać, to powiem ci, na czym polega plan. Będiesz zaledwie czwartą osobą, która go zna. — W tym momencie stwardniała mu twarz. — Musisz to zatrzymać dla siebie. Nie opowiadaj o tym nawet Faile.

— Będę trzymał język za zębami — odparł sztywno Perrin. I trochę smutno. Nowy Rand powrócił. — I zastanowię się nad wyjazdem do Łzy.

## ZA BRAMĄ

Perrin nie zwracał specjalnej uwagi na polecenia, które Rand wydawał jakiejś Pannie:

— Powiedz Sulin, że ma przygotować komnaty dla Perrina i Faile i okazywać im takie samo posłuszeństwo jak mnie.

Obie kobiety potraktowały to jak jakiś wspaniały dowcip — zaśmiewały się i klepały po udach — ale Perrin zapatrzył się na szczupłego mężczyznę, który stał w pewnej odległości od nich, w głębi obwieszzonego gobelinami korytarza. Nie miał żadnych wątpliwości, że ten człowiek to Davram Bashere. Nie tylko dlatego, że był Saldaeańczykiem; z pewnością zupełnie nie przypominał Faile z tymi sumiastymi, siwiejącymi włosami, opadającymi niemal do ust. Nie był też wyższy od Faile, może nawet nieco — niższy, ale sposób, w jaki stał, z założonymi rękoma, z miną przywodzącą na myśl jastrzębia obserwującego kurzą grzędę, sprawił, że Perrin nabrał pewności. Tamten go rozpoznał; to też było oczywiste.

Pożegnawszy się z Randem, Perrin zrobił głęboki wdech i wyszedł na korytarz. Pożałował, że nie ma przy sobie topora; Bashere miał przypasany miecz.

— Lord Bashere? — Perrin wykonał ukłon, który pozostał bez odpowiedzi. Ten człowiek wprost ociekał lodowatą furią. — Jestem Perrin Aybara.

— Porozmawiajmy — odparł szorstko Bashere i obrócił się na pięcie. Perrin nie miał innego wyboru, jak tylko pójść za nim; mimo dłuższych nóg musiał iść bardzo szybko.

Dwa skręty korytarza dalej Bashere wszedł do małego pomieszczenia i zamknął za nimi drzwi. Wysokie okna wpuszczały mnóstwo światła i jeszcze więcej skwaru. Stały tam naprzeciwko siebie dwa krzesła z wyściełanymi siedzeniami i oparciami, ozdobione rzeźbionymi ślimacznicami. Na inkrustowanym lazurytem stoliku stał srebrny dzban z wysoką szyjką i dwa srebrne kubki. Sądząc po zapachu, nie zawierał ponczu, tylko mocne wino.

Bashere napełnił kubki i podał jeden Perrinowi, wskazując gestem krzesło. Jego wąsy kryły uśmiech, za to oczy mogły wbijać gwoździe.

— Przypuszczam, że Zarine powiedziała ci o moich posiadłościach, zanim... zanim się z nią ożeniłeś. Wszystko o Pękniętej Koronie. Zawsze była gadatliwa.

Mężczyzna nadal stał, więc Perrin również nie usiadł. Pęknięta korona? Faile



z pewnością nigdy nie wspomniała o żadnej pękniętej koronie.

— Najpierw twierdziła, że handlujesz futrami. A może najpierw sprzedawałeś drewno, a potem dopiero futra. A także lodowe papryczki. — Bashere wzdrygnął się, z niedowierzaniem powtarzając „Handlarz futer”. — Jej historia zmieniała się — ciągnął Perrin — ale zbyt często cytowała twoje słowa odnośnie obowiązków dobrego generała, więc zapytałem ją wprost, a wtedy. . . — Utkwił wzrok w winie, a potem zmusił się, by spojrzeć w oczy drugiemu mężczyźnie. — Kiedy usłyszałem, kim jesteś, omal nie zrezygnowałem z zamiaru poślubienia jej, ale ona się uparła, a kiedy Faile wbije sobie coś do głowy, to odwiedzenie jej od tego przypomina próbę ruszenia z miejsca zaprzęgu mułów, które postanowiły usiąść. A poza tym pokochałem ją. Naprawdę ją pokochałem.

— Faile? — warknął Bashere. — Kim, na Szczelinę Zagłady, jest Faile? Rozmawiamy o mojej córce, Zarine, i o tym, co ty jej zrobiłeś!

— Faile to imię, które obrała, kiedy została uczestniczką Polowania na Róg — wyjaśnił cierpliwie Perrin. Musiał zrobić dobre wrażenie na tym człowieku; kłótnia z teściem to coś równie złego jak kłótnia z teściową. — To się stało jeszcze zanim mnie poznała.

— Uczestniczka Polowania? — W głosie mężczyzny zabrzmiała duma; na twarzy wykwitł nagły uśmiech. Zapach gniewu rozwiął się niemalże bez śladu. — Ta mała psotnica nigdy nie wspomniała o tym ani słowem. I muszę też stwierdzić, że Faile to imię, które pasuje do niej lepiej niż Zarine. To był pomysł jej matki, a ja. . . — Otrząsnął się nagle i obrzucił Perrina podejrzliwym spojrzeniem. W komnacie znowu powiało gniewem. — Nie próbuj zmieniać tematu, chłopcze. Mamy rozmawiać o tobie, mojej córce i tym waszym rzekomym małżeństwie.

— Rzekomym? — Perrin potrafił powściągać swój temperament; pani Luhhan twierdziła nawet, że nigdy go nie posiadał. Kiedy człowiek jest większy i silniejszy od swoich rówieśników i może zrobić komuś krzywdę, uczy się panować nad sobą. Niemniej jednak w tym akurat momencie miał z tym trudności. — Ceremonię odprawiła Wiedząca, dokładnie tak samo jak dla wszystkich w Dwu Rzekach, od niepamiętnych czasów.

— Chłopcze, nie miało by znaczenia, gdyby odprawił ją sam Starszy ogirów a świadkami było sześć Aes Sedai. Zarine jest wciąż za młoda, by wyjść za mąż bez pozwolenia matki, o którą to zgodę nigdy nie prosiła i której tym bardziej nie otrzymała. Właśnie teraz rozmawia z Deirą i jeśli nie przekona jej, że jest dostatecznie dorosła, by móc już wyjść za mąż, to wróci do obozu, prawdopodobnie w charakterze siodła swej matki. A ty. . . — Bashere pogładził rękojeść miecza, wyraźnie nie świadom tego, co robi. — Ty — ciągnął niemalże jowialnym tonem — musisz zginąć z mojej ręki.

— Faile jest moja — warknął Perrin. Wino wylało mu się na nadgarstek; popatrzył ze zdziwieniem na swój kubek, zmiażdżony w garści. Odstawił zniekształcony kawałek srebra na stół, obok dzbana, ale nie potrafił zapanować nad głosem.

— Nikt mi jej nie odbierze. Nikt! Możesz ją zabrać do obozu, albo gdziekolwiek, a ja i tak po nią przyjdę.

— Mam pod sobą dziewięć tysięcy ludzi — odparł mężczyzna zaskakująco łagodnie.

— Czy trudniej ich zabijać niż trolloki? Spróbuj mi ją zabrać... tylko spróbuj!.. a obaj się przekonamy, jak jest! — Dotarło do niego, że cały się trzęsie, że bolą go dłonie zaciśnięte w pięści. Zdumiał się; od tak dawna nie był równie zły, że już zapomniał, jak to jest.

Bashere omiół go wzrokiem od stóp do głów, po czym pokręcił głową.

— Mógłbym się zhańbić, gdybym cię zabił. Potrzebujemy jednak nowej krwi. Krew Domu rzadnie. Mój dziadek zwykł mawiać, że stajemy się miękczy, i miał rację. Ja jestem połową tego mężczyzny, którym on był, a Zarine, przyznając się do wstydu, jest strasznie miękka. Nie słaba, pamiętaj... — Skrzywił się i pokiwał głową, kiedy zauważył, że Perrin nie zamierza zaprzeczyć. — ... ale miękka.

To też zdumiało Perrina, więc usiadł, zanim do niego dotarło, że w ogóle podszedł do krzesła. Prawie zapomniał o gniewie. Taka zmiana; czy ten człowiek jest szalony? Faile miękka? Potrafiła być czasami rozkosznie miękka, to prawda, ale każdy człowiek, który nazwałby ją tak w tym sensie, w jakim myślał o niej ojciec, prawdopodobnie otrzymałby własną głowę w podarunku. Perrin też to dotyczyło.

Bashere wziął do ręki zmiażdżony kubek, przyjrzał mu się dokładnie, po czym odstawił go i usiadł na drugim krześle.

— Zarine opowiedziała mi dużo o tobie, zanim poszła rozmawiać ze swoją matką, wszystko o lordzie Perrinie z Dwu Rzek, Zabójcy Trolloków. Podoba mi się ten przydomek. Podoba mi się mężczyzna, który walczy wet za wet z trollokami i za nic się nie cofnie. Ale chciałbym też wiedzieć, jakim właściwie jesteś człowiekiem. — Czekał z napięciem, popijając wino.

Perrin pożałował, że nie ma tu melonowego ponczu Randa i że zniszczył kubek. Zaschło mu w gardle. Tak bardzo chciał zrobić dobre wrażenie, a musiał zacząć od spraw wstydliwych.

— Prawda jest taka, że wcale nie jestem lordem, tylko kowalem. Widzisz, kiedy pojawiły się trolloki... — Zawiesił głos, ponieważ Bashere zaczął się śmiać tak mocno, że aż musiał wytrzeć oczy.

— Chłopcze, to nie Stwórca stworzył Domy. Niektórzy o tym zapominają, ale cofnij się wstecz w historię pierwszego lepszego Domu, a znajdziesz w niej człowieka z gminu, który wykazał się niezwykłą odwagą albo zachował głowę na karaku i atakował, kiedy wszyscy inni uciekali jak oskubane gęsi. I pomyśl o jeszcze jednej rzeczy, o jakiej niektórzy zdają się zapominać: upadek bywa równie niespodziewany. Zatrudniam w Tyrze dwie pokojówki, którym przysługiwałby tytuł lady, gdyby ich przodkowie dwieście lat temu nie okazali się głupcami, a także drwala w Sidonie, który utrzymuje, że jego pradziadowie byli królami i królowymi przed Arturem Hawkwingiem. Być może mówi prawdę; to dobry drwal. Tyle

samo dróg w dół, co w górę, dróg, które potrafią być śliskie jak wszystkie inne. — Bashere parsknął tak gwałtownie, że aż zwichrzyły mu się włosy. — Głupiec lamentuje, kiedy fortuna ciągnie go w dół, i trzeba też prawdziwego durnia, żeby biadolić, kiedy wynosi go w górę. Ja nie chcę wiedzieć, kim byłeś, ani też nie interesuje mnie specjalnie, kim jesteś teraz. Chcę tylko wiedzieć, co masz w środku. Być może moja żona nie zabierze Zarine, a ja cię nie zabiję, ale czy ty wiesz, jak postępować z żoną? No, jak jest?

Pamiętając, że powinien zrobić dobre wrażenie, Perrin postanowił nie tłumaczyć, że wolałby na powrót zostać kowalem.

— Traktuj Faile tak dobrze, jak potrafisz — zaczął ostrożnie.

Bashere znowu parsknął.

— Tak dobrze, jak potrafisz. — Przestał nagle mówić beznamietnym tonem, tylko praktycznie warczał. — Powinieneś się tego dowiedzieć, chłopcze, bo jak nie... Posłuchaj mnie. Żona to nie żołnierz, który przybiega, jak się na niego krzyknie. Pod pewnym względami kobieta przypomina gołębicę. Trzymasz ją w połowie mniej silnie, niż ci się wydaje, że to konieczne, bo inaczej mógłbyś ją skrzywdzić. Nie skrzywdzisz Zarine. Rozumiesz mnie? — Uśmiechnął się nagle, niefrasobliwie, a jego głos zabrzmiał niemalże przyjaźnie. — Możesz okazać się całkiem dobry jako zięć, Aybara, ale jeśli ją unieszczęśliwisz... — Znowu zaczął gładzić rękojeść miecza.

— Staram się uczynić ją szczęśliwą — odparł z powagą Perrin. — Krzywda to ostatnia rzecz, jaką chciałbym jej wyrządzić.

— To dobrze. Bo byłaby to ostatnia rzecz, jaką w ogóle byś w życiu zrobił, chłopcze — To też zostało okraszone uśmiechem, ale Perrin nie miał wątpliwości, że Bashere mówi poważnie. — Myślę, że czas już, bym zaprowadził cię do Deiry. Jeżeli ona i Zarine nie dokończyły jeszcze swojej dyskusji, to najlepiej będzie, jak tam wejdziemy, zanim się pozabijają. Często je ponosiło, kiedy się kłóciły, a Zarine jest już za duża, by Deira mogła przywołać ją do porządku klapssem. — Bashere odstawił kubek na stół; ruszyli razem w stronę drzwi, a on mówił dalej. — Jest jedna rzecz, o której powinieneś wiedzieć. Kiedy jakaś kobieta twierdzi, że w coś wierzy, to jeszcze wcale nie znaczy, że to prawda. Och, ona w to wierzy, ale coś wcale nie musi być prawdą tylko dlatego, że kobieta w to coś wierzy. Zapamiętaj to sobie.

— Zapamiętam. — Perrinowi wydawało się, że rozumie, o czym ten człowiek mówi. Faile czasami mijała się nieznacznie z prawdą. Nigdy w sprawach ważnych, względnie tych, które uważała za ważne, ale jeśli obiecała coś wbrew swej woli, to zawsze udawało jej się zostawić jakąś furtkę, przez którą się wymykała, i dotrzymywała obietnicy, jednocześnie robiąc to, co chciała. Nie rozumiał natomiast, co to miało wspólnego z jego spotkaniem z matką Faile.

Ich wędrówka przez pałac, przez kolumnady i po rozlicznych kłatkach schodowych, trwała bardzo długo. Saldaeńczyków napotkali raczej niewielu, za to

całkiem sporo Aielów i Panien, nie wspominając już o służbie w biało-czerwonej liberii, która kłaniała się albo dygała, a także odzianych na biało mężczyzn i kobiet, takich samych jak ci, którzy odebrali konie. Ci ostatni przemykali się z tacami albo naręczami ręczników, ze spuszczonego wzrokiem, zdając się nikogo nie widzieć. Perrin wzdrygnął się, kiedy dostrzegł, że wielu z nich nosi takie same szkarłatne opaski na skroniach jak Aielowie. A zatem oni też musieli być Aielami. Zauważył ponadto jeden drobny szczegół. Tyle samo kobiet co mężczyzn w białych szatach nosiło opaski, a także mężczyzn w białych kaftanach i spodniach, ale żadna z Panien, które napotkał. Gaul opowiadał mu trochę o Aielach, lecz w ogóle nie wspominał o opaskach.

Kiedy razem z Bashere weszli do jakiegoś pomieszczenia, gdzie na wzorzystym dywanie stały krzesła inkrustowane kością słoniową i małe stoliki, do uszu Perrina dotarł stłumiony szmer kobiecych głosów z wewnętrznej komnaty. Grube odrzwia nie pozwoliły mu wyróżnić pojedynczych słów, ale wiedział, że jedną z rozmawiających jest Faile. Nagle usłyszał odgłos uderzenia i prawie natychmiast następny. Skrzywił się. Tylko wełnianogłowy dureń wtrącałby się do kłótni matki z córką — na podstawie skromnych doświadczeń wiedział, że obie zazwyczaj solidarnie nacierały na takiego biednego głupca — i wiedział też bardzo dobrze, że Faile potrafi się sama bronić w normalnych okolicznościach. Ale z kolei widywał silne kobiety, mające już nawet wnuki, które pozwalały się traktować jak dzieci przez własne matki.

Zgarbiwszy ramiona, ruszył w stronę wewnętrznych drzwi, ale Bashere zdążył go uprzedzić i teraz stukał w nie kłykcami, jakby w ogóle nie mieli się do czego śpieszyć. Rzecz jasna, Bashere nie słyszał tego, co dla Perrina brzmiało jak odgłosy wydawane przez dwa koty zamknięte w jednym worku. Mokre koty.

Pukanie Bashere spowodowało, że warczenie ucichło jak nożem uciętą.

— Możecie wejść — odezwał się głośno czyjś spokojny głos.

Perrina było stać jedynie na tyle, by nie przepchnąć się obok Bashere, a gdy już znalazł się w środku, odszukał zaniepokojonym wzrokiem Faile; siedziała na krześle z szerokimi poręczami, dokładnie tam, gdzie światło padające z okien było mniej ostre. Dywan utrzymany w ciemnoczerwonej tonacji sprawił, że Perrin pomyślał o krwi, a jeden z gobelinów przedstawiał kobietę na koniu, zabijającą włócznią lamparta. Na drugim przedstawiono zajadłą bitwę toczącą się wokół sztandaru z Białym Lwem. Zapach Faile stanowił płątaninę emocji, których nie potrafił stosownie odróżnić, a poza tym na lewym policzku miała czerwony odciśnięcie dłoni. Uśmiechnęła się do niego, blado, ale jednak.

Na widok matki Faile Perrin aż zamrugnął. Po tej całej gadaninie Bashere na temat gołębic spodziewał się zobaczyć jakąś kruchą kobietkę, ale lady Deira była wyższa o kilka cali od swego męża i na dodatek przypominała... posąg. Nie w taki sposób jak pani Luhhan dzięki swej tuszy, czy jak Daise Congar, która wyglądała, jakby mogła udźwignąć młot kowalski. Była po prostu krągła i krzepka,

a poza tym widział teraz, po kim Faile odziedziczyła urodę. Twarz Faile stanowiła lustrzane odbicie twarzy jej matki, tyle że bez tych siwych pasem na skroniach. Jeżeli tak właśnie Faile miała wyglądać, kiedy osiągnie jej wiek, to był bardzo szczęśliwym człowiekiem. Z drugiej strony, kiedy lady Deira wbiła w niego spojrzenie ciemnych, skośnych oczu, ten wydatny nos upodobił ją do orła o zapalczywych oczach, gotowego zatopić szpony w nieświadomym niczego króliku. Pachniała wściekłością i pogardą. Prawdziwą niespodzianką jednak był purpurowy odcisk dłoni na jej policzku.

— Ojczy, właśnie o tobie rozmawialiśmy — powiedziała Faile z afektowanym uśmiechem, sunąc do niego i ujmując jego dłonie. Ucałowała go w oba policzki, a Perrin poczuł nagłe ukłucie zazdrości; żaden ojciec nie zasługiwał na to wszystko, kiedy tuż obok stał mąż, którego na duchu miał podtrzymać tylko jeden przelotny uśmiech.

— Czy zatem powinienem odjechać i ukryć się gdzieś, Zarine? — powiedział ze śmiechem Bashere. I to bardzo serdecznym śmiechem. Ten człowiek zdawał się w ogóle nie widzieć; że jego żona i córka pobiły się nawzajem!

— Ona woli, jak się ją nazywa Faile, Davram — rzekła nieobecny tonem lady Deira. Z rękoma splecionymi na obfitym łonie mierzyła Perrina od stóp do głów, nawet się nie starając tego ukryć.

Usłyszał, jak Faile szepcze cicho do swego ojca:

— To teraz zależy od niego.

Perrin tak przypuszczał, skoro między nią a matką doszło do rękoczynów. Zgarbiwszy ramiona, zebrał się w sobie, by złożyć lady Deirze obietnicę, że będzie postępował z Faile tak delikatnie jak z małym kotkiem, że będzie potulny jak baranek. To ostatnie byłoby, rzecz jasna, kłamstwem — Faile nadziałyby potulnego mężczyznę na rożen i upiekła na kolację — ale koniecznie należało zachować pokój. Może to właśnie przez lady Deirę Bashere tyle mówił o delikatności; żaden człowiek nie odważyłby się na nic innego przy tej kobiecie.

Zanim jednak zdążył otworzyć usta, matka Faile powiedziała:

— Żółte oczy nie czynią wilka. Czy jesteś dostatecznie silny, by sobie poradzić z moją córką, młody człowieku? Z tego, co ona mówi, wynika że jesteś pantoflarzem, który zaspokaja każdy jej kaprys, który pozwala owijać się wokół palca, za każdym razem, gdy jej zachce się zabawić w „kocią kołyskę”.

Perrin wytrzeszczył oczy. Bashere usiadł na krześle, które przedtem zajmowała Faile, a teraz pogodnym wzrokiem przyglądał się swoim butom. Faile, usadowiona na szerokiej poręczy krzesła ojca, obdarzyła matkę grymasem oburzenia, po czym uśmiechnęła się do Perrina z tą samą pewnością siebie, jaką okazała, kiedy mówiła mu, że ma stawić czoło Randowi.

— Uważam, że ona mnie wcale nie owija wokół palca — odparł ostrożnie. Próbowana, to prawda, ale na to nie pozwalał. Może tylko raz na jakiś czas, żeby zrobić jej przyjemność.

Głośne pociągnięcie nosem Deiry było bardzo znaczące.

— Słabeusze nigdy tak na to nie patrzą. Kobieta pragnie silnego mężczyzny, silniejszego od niej, tutaj. — Dźgnęła go palcem w pierś, tak mocno, że aż stęknął. — Nigdy nie zapomnę tamtego pierwszego razu, kiedy Davram wziął mnie za kark i pokazał, które z nas jest silniejsze. To było coś wspaniałego! — Perrin zamrugał; z takim obrazem jego umysł sobie nie radził. — Jeżeli kobieta jest silniejsza od swego męża, to z czasem zaczyna nim gardzić. Ma wybór: albo będzie go tyranizować, albo zacznie udawać słabszą. Jeżeli jednak mąż jest dostatecznie silny... Znowu go dźgnęła i to jeszcze mocniej. — ...to może się stać równie silna jak on, tak silna, jaka mogłaby być z urodzenia. Będziesz musiał udowodnić Faile, że jesteś silny. — Kolejne szturchnięcie, jeszcze mocniejsze. — Kobiety z mojej rodziny przypominają pantery. Jeżeli nie będziesz umiał wytresować Faile w taki sposób, by polowała na twój rozkaz, to ona rozedrze cię pazurami na kawałki. Czy jesteś dość silny? — Tym razem zmusiła go do cofnięcia się o krok.

— Czy zechcesz przestać? — warknął, ale nie rozmasował obolałego miejsca na piersi. Faile mu w niczym nie pomagała, tylko uśmiechała się nieznacznie i jednocześnie zachęcająco. Bashere przypatrywał mu się z zaciśniętymi ustami i brwią wygiętą w łuk. — Jeżeli pobłażam jej czasami, to tylko dlatego, że tak chcę. Lubię patrzeć, jak się uśmiecha. Jeśli się spodziewasz, że będę ją traktował, to lepiej wybij to sobie z głowy. — I chyba w tym miejscu pobłądził. Matka Faile zaczęła mu się przypatrywać w całkiem już osobliwy sposób, a wydzielany przez nią zapach stanowił kombinację, której składników za nic nie potrafił rozszyfrować, aczkolwiek nadal wyczuwał gniew i lodowatą wzdgarę. Niemniej jednak skończył z próbami powiedzenia tego, co Bashere i jego żona chcieli usłyszeć. — Kocham ją, a ona kocha mnie i na tym koniec, o ile o mnie chodzi.

— On powiada — powiedział wolno Bashere — że jeśli zabierzesz naszą córkę, to on ją nam odbije. Zdaje się uważać, że dziewięć tysięcy konnych Saldaei nie dorówna kilkuset łucznikom z Dwu Rzek.

Jego żona zapatrzyła się znacząco na Perrina, po czym uniosła głowę, wyraźnie biorąc się w garść.

— Wszystko pięknie, ale machać mieczem potrafi byle mężczyzna. Ja natomiast chcę wiedzieć, to czy on potrafi poskromić tę krnąbrną, upartą, nieposłuszną...

— Dość, Deira — przerwał jej łagodnym tonem Bashere. — Najwyraźniej orzekłaś, że Zarine... Faile... nie jest już dzieckiem, więc ci powiadam, że moim zdaniem Perrin nieźle nadaje się na męża.

Ku zaskoczeniu Perrina żona Bashere posłusznie skłoniła głowę.

— Jak rzeczesz, najdroższy. — Potem spojrzała groźnie na Perrina, jakby chciała powiedzieć, że w taki właśnie sposób mężczyzna powinien traktować kobietę.

Bashere mruknął coś pod nosem na temat wnuków i sprawienia, by krew na

powrót stała się silna. A Faile? Ta uśmiechnęła się do Perrina, z miną, jakiej nigdy przedtem u niej nie widział, z miną, od której zrobiło mu się zdecydowanie nieswojo. Z założonymi dłońmi, skrzyżowanymi nogami i głową przekrzywioną na bok wyglądała. . . ulegle. Faile! Może wżenił się w rodzinę, w której wszyscy byli szaleni.

Zamknawszy drzwi za Perrinem, Rand dopił zawartość pucharu, po czym padł na krzesło i zaczął się zastanawiać. Miał nadzieję, że Perrin dogada się jakoś z Bashere. Ale z kolei, jeśli poleciałyby iskry, to może Perrin będzie bardziej skłonny pojechać do Łzy. Potrzebował tam albo Perrina, albo Mata, by przekonali Sammaela, że to prawdziwy atak. Zaśmiał się cicho gorzkim śmiechem. Światłości, jak on może tak myśleć o przyjaciółach. Lews Therin zachichotał i zamruczał coś mało zrozumiałe na temat przyjaciół i zdrady. Rand żałował, że nie może spać przez cały rok.

Weszła Min, oczywiście bez pukania ani też nie zapowiedziana przez nikogo. Panny popatrywały na nią czasem dziwnie, ale cokolwiek powiedziała Sulin, a może również Melaine, Min znajdowała się na krótkiej liście tych, których wpuszczało się do środka, niezależnie od tego, czym Rand się akurat zajmował. A ona w pełni korzystała z tego przywileju; już raz się zdarzyło, że zasiadła na stołku obok jego wanny i rozmawiała z nim, jak gdyby nigdy nic. Tym razem tylko przystanąła, by nalać sobie ponczu do pucharu i potem prędko wskoczyła mu na kolana. Na jej twarzy lśniła cieniutka powłoczka potu. Nawet nie próbowała się uczyć radzenia sobie z upałem; śmiała się tylko, mówiąc, że nie jest Aes Sedai i że nie zamierza nią zostać. A on stał się jakby jej ulubionym krzesłem w czasie tych wizyt, niemniej jednak był przekonany, że wystarczy, jak będzie udawał, iż niczego nie zauważa, wtedy ona prędzej czy później zrezygnuje z tych zabaw. Dlatego właśnie tamtego dnia zanurzył się pod wodą, zamiast oślepić ją Powietrzem. Od czasu, gdy się dowiedziała, że działa na niego jako kobieta, w ogóle już nie przestała sobie z niego żartować. A poza tym przyjemnie było trzymać dziewczynę na kolanach, niezależnie od tego, jak bardzo się wstydził do tego przyznać w przypadku Min. Ostatecznie nie był z drewna.

— Dobrze ci się rozmawiało z Faile?

— Rozmowa nie potrwała długo. Pojawił się jej ojciec i była zbyt zajęta obławianiem go za szyję, żeby mnie zauważać. Potem poszłam sobie na krótki spacer.

— Nie polubiłaś jej? — zapytał, a wtedy Min wytrzeszczyła oczy, już i tak ogromne przez te długie rzęsy. Kobietom zawsze wydawało się, że mężczyzna niczego nie zauważa albo nie rozumie, jeśli one tak chcą.

— To nie tak, żebym jej całkiem nie lubiła — odparła, starannie dobierając słowa. — Tylko. . . Cóż, ona wie, czego chce i nie przyjmuje żadnej odmowy. Żał mi tego biednego Perrina, który się z nią ożenił. Czy wiesz, czego ode mnie zażą-

dała? Zapewnienia, że nie żywię żadnych zamiarów względem jej drogiego męża. Może nie zauważyłaś; mężczyźni nigdy niczego nie widzą... — urwała, patrząc na niego podejrzliwie przez te długie rzęsy. Ostatecznie dowiódł jej przecież, że potrafi dostrzegać różne rzeczy. Kiedy już się upewniła, że on nie zamierza się ani śmiać, ani protestować, ciągnęła dalej. — Na pierwszy rzut oka stwierdziłam, że jest w nią zapatrzonej, biedny głupiec. A ona w niego, czy mu to wychodzi na dobre, czy nie. Moim zdaniem nawet by nie spojrzął dwa razy na jakąś kobietę, ale Faile w to nie wierzy. Perrin znalazł swojego sokoła i nie zdziwię się, gdy ona go zabije, jeśli pojawi się jakiś jastrząb. — Oddech uwiązał jej w gardle; wpatrzona w niego, zajęła się popijaniem ponczu.

Wyjaśni mu, co chciała przez to powiedzieć, jeśli ją zapyta. Twierdziła, pamiętała, że nie opowiada mu o tych wizjach, które jego nie dotyczą, a jednak z jakiegoś powodu odstąpiła od tego zwyczaju. Godziła się obecnie opowiadać o wizjach towarzyszących każdej osobie, o którą zapytał, i mówiła mu i wszystkim, co zobaczyła. Tyle, że krępowała się to robić.

„Zamknij się! — krzyknął na Lewsa Therina. — Odejdź! Ty nie żyjesz!” Bez skutku; ostatnimi czasy to często nie skutkowało. Głos nadal mamrotał mało zrozumiale, chyba o zdradzie ze strony przyjaciół, a może o ich zdradzaniu.

— Czy widziałas coś, co mnie dotyczy? — zapytał.

Min uśmiechnęła się z wdzięcznością i przytuliła po przyjacielsku do jego piersi — prawdopodobnie chciała, by to wyszło po przyjacielsku, a może właśnie wręcz przeciwnie — i zaczęła mówić, cały czas popijając poncz.

— Widziałam przy was te świetliki i ciemność, silniejsze niż kiedykolwiek. Mniemam... Uwielbiam melonowy poncz. I te świetliki żyły, zamiast dawać pożerać się szybciej niżli się roją, tak jak to się dzieje, kiedy jesteś sam. A oprócz tego zauważyłam jeszcze jedną rzecz, kiedy byliście razem. On będzie musiał przybyć tu dwa razy, bo inaczej ty... — Zajrzała do swego pucharu, więc nie widział jej twarzy. — Jeśli go tu nie będzie, to z tobą stanie się coś złego. — Mówiła teraz przyciszonym i wyraźnie przestraszonym głosem. — Bardzo złego.

Miał wielką ochotę pytać dalej — na przykład kiedy, gdzie i jak — ale przecież sama by mu powiedziała, gdyby potrafiła.

— W takim razie będę go musiał zatrzymać przy sobie — powiedział najweselszym tonem, na jaki go było stać. Nie podobało mu się, że Min się czegoś boi.

— Nie wiem, czy to wystarczy — wymamrotała do swego ponczu. — To się stanie, kiedy jego tutaj nie będzie, ale nie widziałam niczego takiego, co by wyjaśniło, dlaczego mógłby w tym przeszkodzić swoją obecnością. To będzie coś bardzo złego, Rand. Od samego myślenia o tym widzeniu robi mi się... .

Uniósł jej twarz i zdziwił się na widok łez płynących jej z oczu.

— Min, nie wiedziałem, że te widzenia tyle cię kosztują — powiedział łagodnie. — Przepraszam.



— Ty w ogóle bardzo dużo wiesz, pasterzu — wybąkała. Wyciągnęła koronkową chusteczkę z rękawa kaftana i wytarła oczy. — To przez ten kurz. Za rzadko każesz Sulin tu sprzątać. — Schowała chusteczkę z powrotem. — Powinnam już wrócić do „Różanej Korony”. Musiałam ci tylko powiedzieć, co widziałam przy Perrinie.

— Min, uważaj na siebie. Może nie powinnaś przychodzić tak często. Merana raczej nie będzie dla ciebie pobłażliwa, jeśli się dowie, co robisz.

Z tym uśmiechem wyglądała prawie tak jak dawniej, a w jej oczach widać było rozbawienie, mimo że nadal lśniły od łez.

— Pozwól, że sama będę się o siebie martwiła, pasterzu. One uważają, że rozglądam się ogłupiała po Caemlyn, zupełnie jak jakaś prostaczka ze wsi. Gdybym nie przychodziła codziennie, to czy wiedziałbyś, że one spotykają się z arystokratami? — Zauważyła to przypadkiem poprzedniego dnia w drodze do Randa; w oknie pałacu, o którym wiedziała, że jest własnością lorda Pelivara, pojawiła się na ułamek chwili Merana. Prawdopodobieństwo, że Pelivar i jego goście są jedynymi, z którymi Merana się teraz widuje, było takie samo, jak prawdopodobieństwo; że Merana przyszła tam, żeby oczyścić kanalizację.

— Uważaj na siebie — powtórzył stanowczym tonem. — Nie chcę, żeby stało ci się coś złego, Min.

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, po czym wstała i pocałowała go lekko w usta. Przynajmniej . . . Cóż, pocałunek był lekki, ale ten rytuał odprawiali codziennie, kiedy wychodziła, i miał wrażenie, że pocałunki z każdym dniem stają się coraz mniej niewinne.

Wbrew wszystkim obietnicom, jakie sobie złożył, powiedział:

— Wolałbym, żebyś tego nie robiła. — Siadanie na kolanach to jedno, ale z tymi pocałunkami posuwała się już za daleko.

— Tylko mi tu nie płacz, wieśniaku — uśmiechnęła się. — I nie jąkaj się. — Zmierzyła mu włosy, jakby był dziesięcioletnim chłopcem, po czym podeszła do drzwi, tyle że tym razem znowu poruszała się w ten pełen wdzięku sposób, którym wprawdzie nie mogła go doprowadzić do płaczu albo jąkania, ale z pewnością sprawiła, że mimo woli wytrzeszczył oczy. Błyskawicznie skupił wzrok na jej twarzy, kiedy się odwróciła. — No i co, pasterzu? Zaczerwieniłeś się. A ja już myślałam, że ten upał w ogóle na ciebie nie działa. Nieważne zresztą. Chciałam ci tylko powiedzieć, że będę uważać. Przyjdę do ciebie jutro. Pamiętaj o włożeniu czystych skarpet.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią, Rand wypuścił długo wstrzymywany oddech. Czyste skarpety? Przecież codziennie wkładał świeże! Miał tylko dwie rzeczy do wyboru. Mógł udawać, że ona na niego nie działa, dopóki sama nie zrezygnuje, albo się poddać. Albo zacząć błagać; może przestanie, ale z kolei wtedy miałyby czym go zadreć, a Min lubiła dreć. Inne wyjście — skrócenie czasu, kiedy przebywali razem, bycie chłodnym i dalekim — zupełnie nie wchodzi-

ło w rachubę. Była przyjaciółką; równie dobrze mógłby próbować być chłodny w stosunku do... do głowy przyszły mu jedynie Aviendha i Elayne, a one nie pasowały. W stosunku do Mata i Perrina. Nie rozumiał tylko jednej rzeczy — dlaczego czuł się tak dobrze w jej towarzystwie? Dręczyła go przecież.

Od momentu, gdy padła wzmianka o Aes Sedai, Lews Therin zaczął mamrotać znacznie głośniejsze, a teraz powiedział całkiem wyraźnie: „Jeżeli one spiskują razem z arystokratami, to będę musiał coś z tym zrobić”.

„Odejdź” — rozkazał Rand.

„W dziewięć są zbyt niebezpieczne, nawet jeśli niewykształcone. Zbyt niebezpieczne. Nie można im pozwolić. Nie. Och, nie”.

„Odejdź, Lewsie Therinie!”

„Ja nie umarłem! — ryknął głos. — Zasłużyłem na śmierć, ale ja żyję! Żyję! Żyję!”

„Ty nie żyjesz! — odpowiedział Rand w myślach. — Ty nie żyjesz, Lewsie Therinie!”

Głos cichł, wciąż wyjąc „Ja żyję!”, po czym nagle zanikł.

Całkiem roztrzęsiony Rand wstał, napełnił pusty puchar ponczem i wypił wszystko jednym haustem. Pot ściekał mu z twarzy, a koszula przywarła do ciała. Wiele wysiłku kosztowało go ponowne skoncentrowanie się. Lews Therin robił się coraz bardziej nachalny. Jedną rzecz była pewna. Skoro Merana spiskowała z arystokratami, zwłaszcza z tymi, którzy byli gotowi wszcząć bunt, to będzie musiał podjąć jakieś działania, jeśli nie uda mu się dostatecznie prędko sprowadzić Elayne. Niestety, nie miał pojęcia, co właściwie mógłby zrobić.

„Zabij ich — szepnął Lews Therin. — W dziewięć są zbyt niebezpieczne, ale jeśli zabiję kilka, jeśli je przegnam... zabiję... sprawię, że zaczną się mnie bać... nie umrę raz jeszcze... zasługuję na śmierć, ale chcę żyć...” Zaczął płakać, ale nie przestawał chaotycznie szeptać.

Rand raz jeszcze napełnił puchar, starając się tego nie słuchać.

Na widok Bramy Origan, przez którą wjeżdżało się do Wewnętrznego Miasta, Demira Eriff zwolniła. Wielu mężczyzn przeciskających się obok niej na zatłoczonej ulicy przyglądało się jej z zachwytem; być może po raz tysięczny pomyślała, że powinna przestać nosić suknie z rodzinnego Arad Doman, i po raz tysięczny natychmiast o tym zapomniała. Strój nie był przecież taki ważny — od lat nosiła taki sam — i zawsze, gdy jakiś mężczyzna, który nie pojął, że ona jest Aes Sedai, stawał się zbyt bezczelny, wystarczyło dać mu do zrozumienia, z kim ma do czynienia. Dzięki temu dość prędko dawali jej spokój, zazwyczaj tak szybko, jak szybko potrafili biegać.

W tym akurat momencie interesowała ją tylko Brama Origan, wielki, marmurowy łuk osadzony w połyskliwym, białym murze; potok ludzi, fur i wozów

przejeżdżał pod nią pod czujnym okiem kilkunastu Aielów, którzy, jak podejrzewała, bynajmniej nie byli tacy niefrasobliwi, jak to się mogło pozornie wydawać. Ci potrafili rozpoznać Aes Sedai na pierwszy rzut oka. A poza tym była śledzona od samej „Różanej Korony”; te kaftany i spodnie, tak uszyte, żeby się stapiały ze skałami i zaroślami, wyróżniały się na ulicach miasta. Dlatego właśnie nie wjechała do Wewnętrznego Miasta, mimo że bardzo chciała, mimo że była gotowa narazić się na gniew Merany za to, że wjechała tam bez uprzedniego zapytania o zgodę al'Thora. Było denerwujące, że Aes Sedai zostały zmuszone do proszenia jakiegoś mężczyzny o pozwolenie. Chciała tylko zobaczyć Milama Harndera, Drugiego Bibliotekarza w Pałacu Królewskim i jej agenta od prawie trzydziestu lat.

Biblioteka w Królewskim Pałacu nie umywała się do tej w Białej Wieży albo Biblioteki Królewskiej w Cairhien, względnie do Biblioteki Terhana w Bandar Eban, ale z dostępem do tamtych było tak samo jak z marzeniami o lataniu. Niemniej jednak Milam mógł już zacząć szukać potrzebnych jej książek, o ile jej wiadomość dotarła do niego. Być może w pałacowej bibliotece znajdowały się jakieś informacje na temat Pieczęci więzienia Czarnego, może nawet skatalogowane źródła, aczkolwiek były to raczej płonne nadzieje. W zakamarkach większości bibliotek zalegały całe stosy nie skatalogowanych woluminów, zapomnianych od stu albo pięciuset lat, czasem jeszcze dłużej. Wielkie sale kryły skarby, istnienia których nawet bibliotekarze nie podejrzewali.

Czekała cierpliwie, pozwalając, by tłum przepływał obok niej, zwracając uwagę jedynie na ludzi wyłaniających się z bramy, ale nie dostrzegła łysej czaszki i krągłej twarzy Milama. W końcu poddała się z westchnieniem. Najwyraźniej nie dostał jej wiadomości, bo w przeciwnym razie skorzystałby z pierwszej lepszej wymówki, byle tylko spotkać się z nią o wyznaczonym czasie. Będzie musiała poczekać na swoją kolej w towarzystwie Meranie do pałacu i mieć nadzieję, że młody al'Thor udzieli jej zgody na poszukiwania w bibliotece.

Odwróciła się tyłem do bramy i w tym momencie przypadkiem zauważyła wysokiego osobnika o pociągłej twarzy, odzianego w kamizelę woźnicy; gapił się na nią ze zbytnim podziwem. A kiedy ich oczy się spotkały, mrugnął!

Nie będzie godziła się na to wszystko przez całą drogę do oberży.

„Naprawdę muszę zapamiętać, że powinnam kazać uszyć sobie jakieś proste suknie”, pomyślała, zastanawiając się, dlaczego wcześniej tego nie zrobiła. Na szczęście była już kiedyś w Caemlyn, kilka lat temu, a poza tym w „Różanej Koronie” czekał na nią Stevan, który w razie czego wskaże jej drogę niczym latarnia morska. Wślizgnęła się do wąskiej, ocienionej przestrzeni między sklepem nożownika a jakąś tawerną.

Podczas jej ostatniego pobytu w Caemlyn te wąskie uliczki były błotniste, ale mimo iż teraz wyschły, to im głębiej się w nie zapuszczała, tym gorszy unosił się tam zapach. Mury były gładkie, bez okien, i z rzadka z wąskimi drzwiami albo

ciasną furtką, sprawiającymi wrażenie, że od dawna ich nie otwierano. Wynędniane koty spozierały na nią milcząco z beczek i wysokich murów, a bezpańskie psy z wystającymi żebrami kładły po sobie uszy, niektóre wyły, po czym uciekały w głąb przecznicy, jak tutaj nazywano te uliczki. Nie bała się, że mogą ją podrapać albo pogryźć. Koty zdawały się wyczuwać Aes Sedai; w życiu nie słyszała o żadnej, którą podrapałby najbardziej drapieżny kot. Psy były usposobione wrogo, prawda, jakby uważały, że Aes Sedai są kotami, ale prawie zawsze po nędznej demonstracji siły uciekały z podkulonymi ogonami.

Psów i kotów było tu o wiele więcej niż zapamiętała i o wiele bardziej wynędzniałych, za to ludzi znacznie mniej. Nie widziała żywej duszy, dopóki nie wyszła za róg, gdzie napotkała pięciu czy sześciu Aielów; szli w jej stronę pogrążeni w rozmowie. Zdawali się zaskoczeni jej widokiem.

— Wybacz, Aes Sedai — mruknął jeden z nich i wszyscy przycisnęli się do muru wytyczającego przecznicę, mimo że miejsca było tam w bród.

Zastanawiając się, czy to ci sami, którzy za nią szli — jedna z tych twarzy wyglądała znajomo; ten sam przysadzisty mężczyzna obdarzony złowrogimi oczyma — kiwnęła głową i wymruczała podziękowanie, kiedy przechodziła obok.

Włócznia wbita w bok tak ją zdumiała, że nawet nie krzyknęła. Spanikowana sięgnęła do *saidara*, ale znowu coś przeszyło jej bok i wtedy upadła na ziemię. Tamta zapamiętana twarz pochyliła się nad nią, drwiące czarne oczy; usta coś warknęły, ale ona to zignorowała, starając się dotrzeć do *saidara*, starając się... Otoczyła ją ciemność.

Kiedy Perrin i Faile zakończyli nareszcie niekończącą się rozmowę z jej rodzicami, ta dziwna pokojówka, Sulin, czekała na nich w korytarzu. Perrin cały ociekał potem, który zostawił ciemne plamy na jego kaftanie, a czuł się tak, jakby miał za sobą dziesięciomilowy bieg, w trakcie którego bito go pałką. Faile uśmiechała się i szła lekkim krokiem, promienna, piękna i równie dumna z siebie jak wtedy, gdy sprowadziła do Wzgórza Czat ludzi, dokładnie w momencie, gdy trolloki miały właśnie stratować Pole Emonda. Sulin dygała za każdym razem, gdy któreś z nich na nią spojrzęło, omal się przy tym nie przewracając. Mijane po drodze Panny migotały dłońmi i Sulin dygała również przed nimi, tak przy tym zgrzytając zębami, że Perrin słyszał to wyraźnie. Nawet Faile zaczęła jej się podejrzliwie przyglądać.

Zaprowadziła ich do przydzielonych im komnat, to znaczy bawialni i sypialni z łóżem nakrytym baldachimem, tak wielkim, że pomieściłoby dziesięć osób, i z długim balkonem wychodzącym na dziedziniec z fontannami, po czym uparła się, że objaśni albo pokaże im wszystko, nawet to, co widzieli sami. Ich konie umieszczono w stajni i wyczesano. Rozpakowano i zawieszono w szafie zawartość sakiew, łącznie z pasem od Perrinowego topora, drobny dobytek ułożono

w szufladach komody w idealnym porządku. Topór stał wsparty o kominek z szarego marmuru, jakby przygotowany do rąbania drewna na opał. Jeden z dwóch srebrnych dzbanów, okrytych skroploną parą, zawierał chłodną miętową herbatę, drugi śliwkowy poncz. Pokazano im nawet lustro w połączonych ramach, zarówno to zawieszono nad stolikiem, na którym ułożono grzebień i szczotkę z kości słoniowej Faile, jak i wielkie tremo z rzeźbionymi podporami, którego nie mógłby przeoczyć nawet ślepiec.

Kiedy Sulin zaczęła tłumaczyć, że woda na kąpiel będzie im przynoszona i w jaki sposób mają korzystać z miedzianych wanien, Perrin wcisnął złotą koronę w jej pokrytą odciskami dłoni.

— Dziękuję ci — powiedział — ale gdybyś tak zechciała nas teraz zostawić... — Przez chwilę miał wrażenie, że ona ciśnie w niego tą grubą monetą, ale ostatecznie odpowiedziała jeszcze jednym chwiejnym dygnięciem, a potem wyszła, trzaskając drzwiami.

— Przypuszczam, że osoba, która zajmuje się tutaj szkoleniem służby, nie bardzo się zna na tym rzemiośle — stwierdziła Faile. — Nawiasem mówiąc, postąpiłeś bardzo właściwie. Uprzejmie, a zarazem stanowczo. Żebyś tak postępował z naszą służbą. — Kiedy odwróciła się do niego plecami, jej głos ścichł. — Czy zechcesz rozpiąć mi suknię?

Przy rozpinaniu tych maleńkich guziczków czuł zawsze, że ma bardzo grube palce, i trochę się bał, że je poodrywa albo rozedrze jej suknię. Z drugiej zaś strony uwielbiał rozbierać swoją żonę. Zazwyczaj prosiła o to pokojówkę; przez te wszystkie pogubione guziki, był tego pewien.

— Te bzdury, które naopowiadałaś swojej matce, mówiłaś poważnie?

— A czy nie poskromiłeś mnie, mój mężu — zapytała, nie patrząc na niego — i nie nauczyłeś siadania u twego boku na każde zawołanie? Czy nie biegnę, żeby cię zadowolić? Czy nie jestem posłuszna twoim rozkazom? — Pachniała rozbawieniem. Również ton jej głosu wskazywał nieomylnie, że żartuje. Tyle, że mówiła to wszystko jakby serio, powtarzając praktycznie to samo, co powiedziała swojej matce, z zadartą głową i dumna jak nigdy. Kobiety to dziwne istoty, bez dwóch zdań. A jej matka... ! Albo jej ojciec, skoro już o tym mowa!

Może powinien zmienić temat. O czym to wspominał Bashere?

— Faile, co to jest pęknięta korona? — Był pewien, że coś takiego właśnie usłyszał.

Wydała odgłos zniecierpliwienia i nagle zaczęła pachnieć niepokojem.

— Rand opuścił pałac, Perrin.

— A jeśli nawet, to co z tego? — Pochylony nad maleńkim guziczkiem z macicy perłowej, skrzywił się kwaśno. — Skąd wiesz?

— Od Pani. Bain i Chiad nauczyły mnie trochę ich mowy dłoni. Nie przedstawaj, Perrin. Wydaje mi się, że chyba nie powinny były tego robić; wywnioskowałam to z ich zachowania, po tym, jak usłyszały, że tutaj są Aielowie. Ale

dobrze jest rozumieć, o czym rozmawiają Panny, zwłaszcza wtedy, gdy one o tym nie wiedzą. Myślę, że z Randem łączą je zażyłe stosunki. — Obróciła się, by obdarzyć go szelmowskim spojrzeniem i pogłodzić po brodzie. — Tamte pierwsze napotkane przez nas Panny uważały, że masz ładne ramiona, ale na nią nie zwróciły specjalnej uwagi. Do kobiet Aielów nie dociera, że widzą piękną brodę.

Potrząsnąwszy głową, zaczekał, aż znowu stanie do niego tyłem, po czym schował do kieszeni guziczek, który się oderwał, kiedy się odwracała. Może nie zauważył; on sam chodził cały tydzień w kaftanie z brakującym guzikiem i nawet o tym nie wiedział, dopóki nie zwróciła mu na to uwagi. Co zaś do bród, to z tego, co mówił Gaul, wynikało, że Aielowie zawsze golą się dokładnie; Bain i Chiad uważały, że jego broda może stanowić temat dziwacznych żartów. Nie raz w tym upale zastanawiał się, czy się nie ogolić. Za to Faile autentycznie lubiła tę jego brodę.

— Co z Randem? Dlaczego to takie ważne, że opuścił pałac?

— Bo powinieneś wiedzieć, co robi za twoimi plecami. Najwyraźniej nie byłeś świadom, że wyjeżdża. Pamiętaj, on jest Smokiem Odrodzonym. Czyli kimś takim jak król, czy nawet król królów, a królowie czasami wykorzystują nawet przyjaciół, zarówno przypadkiem, jak i celowo.

— Rand by tego nie zrobił. I co w takim razie proponujesz? Żeby go szpiegować?

Chciał, żeby to zabrzmiało jak dowcip, ale ona odparła:

— Nie ty, mój kochany. Szpiegowanie to robota żony.

— Faile! — Wyprostowawszy się tak gwałtownie, że omal nie wyrwał kolejnego guzika, ujął ją za ramiona i odwrócił twarzą ku sobie. — Nie będziesz szpiegowała Randa, słyszysz? — Zrobiła upartą minę, wyginając usta w podkówkę i mrużąc oczy, praktycznie cuchnąc uporem, ale on potrafił być stanowczy. — Faile, chcę zobaczyć trochę tego posłuszeństwa, którym tak się przechwalałaś. — Na ile się orientował, robiła, co chciał, kiedy była w dobrym nastroju albo z czegoś zadowolona; w przeciwnym razie mógł o tym zapomnieć. — Ja mówię poważnie, Faile. Chcę, żebyś mi to przyrzekła. Nie będę brał udziału w nicz. . .

— Przyrzekam, najdroższy — powiedziała, kładąc palec na jego ustach. — Przyrzekam, że nie będę szpiegowała Randa, widzisz, jestem posłuszną memu lordowi mężowi. Czy pamiętasz, ilu wnucząt spodziewa się moja matka?

Ta nagła zmiana tematu sprawiła, że zamrugał. Ale obiecała mu; to się liczyło.

— Chyba sześciorga. Straciłem rachubę, kiedy zaczęła mówić, ilu ma być chłopców, a ile dziewczynek. — Lady Deira udzieliła zaskakująco szczerzej rady odnośnie tego, jak to należy osiągnąć; na całe szczęście większość do niego nie dotarła, bo cały czas się zastanawiał, czy powinien opuścić komnatę, zanim ona nie skończy. Faile tylko kiwała głową, jakby uważała to za rzecz najnormalniejszą na świecie, i to w obecności ojca i męża.

— Co najmniej sześciorga — powiedziała z naprawdę łobuzerskim uśmie-

kiem. — Perrin, ona nam zacznie zaglądać przez ramię, jeżeli nie będę jej mogła już wkrótce powiedzieć, że może się spodziewać pierwszego, więc pomyślałam sobie, że jeśli kiedykolwiek uporasz się z resztą moich guzików... — Po kilku miesiącach małżeństwa nadal się czerwieniła, ale ten uśmieszek nie przygał ani na chwilę. — Obecność prawdziwego łoża po tylu tygodniach sprawia, że staje się rozochociona jak wieśniaczka podczas żniw.

Czasami zastanawiał się nad tymi wszystkimi saldaeańskimi wieśniaczkami, o których tyle mówiła. Rumieńce czy nie, jeśli one były równie podochocone jak Faile, kiedy byli sami, to w takim razie w Saldaei nigdy nie zbierano plonów. Oberwał jeszcze dwa guziki, ale jej to wcale nie obeszło. W rzeczy samej jakimś sposobem rozdarła mu koszulę.

Demira zdziwiła się, kiedy otworzyła oczy, zdziwiła się, że leży na własnym łóżku, we własnej izbie w „Różanej Koronie”. Spodziewała się, że umrze, a nie, że ktoś ją rozbierze i ułoży w lnianej pościeli. Stevan siedział na zydłu u stóp jej łóżka, udając, że mu ulżyło, zaniepokojony i jednocześnie surowy. Jej szczupły Strażnik, rdzenny Cairhienianin, był od niej niższy o głowę i blisko dwadzieścia lat młodszy mimo siwizny na skroniach, ale czasami starał się zachowywać jak ojciec, twierdząc, że ona nie zadba o siebie, jeżeli nie będzie jej pilnował. Bardzo się bała, że ten incydent da mu przewagę w tej walce na najbliższe miesiące. Merana stała u boku jej łóżka z surową miną, z drugiej Berenicia. Pulchna Żółta siostra zawsze wyglądała poważnie, ale teraz bardziej niż zazwyczaj.

— Jak? — wykrztusiła Demira. Światłości, ależ słabo się czuła! Dzięki Uzdrawianiu, to pewne, a jednak objęcie się ramionami pod prześcieradłem kosztowało ją dużo wysiłku. Prawdopodobnie była bliska śmierci. Uzdrawianie nie pozostawało blizn, ale same wspomnienia i słabość wystarczały.

— Jakiś człowiek przyszedł do głównej sali — rzekł Stevan — chciał niby się napić. Powiedział, że widział Aielów idących śladem jakiejś Aes Sedai... dokładnie cię opisał i twierdził, że zamierzali cię zabić. Kiedy to mówił, czułem... — Zrobił ponury grymas.

— Stevan poprosił, żebym z nim poszła — wyjaśniła Berenicia — a właściwie to mnie tam zawlókł... całą drogę biegliśmy. Prawda jest taka, że do tej chwili nie wiedziałam, czy zdążyliśmy na czas, dopóki nie otwarłaś oczu.

— Wszystko jest jasne — dodała Merana obojętnym głosem. — To był element tej samej pułapki czy też ostrzeżenia. I Aielowie, i ten mężczyzna. Szkoda, że pozwoliłyśmy mu uciec, ale tak się zdenerwowałyśmy z twojego powodu, że udało mu się umknąć, zanim ktokolwiek pomyślał, żeby go pojmać.

Demira pomyślała o Milamie i o tym, jak to wpłynie na poszukiwania w bibliotece, o tym, ile czasu potrwa uspokajanie Stevana i że to, co powiedziała Merana, wcale jeszcze nie wyjaśnia wszystkiego.

— Pojmać go? Ostrzeżenie? O czym ty mówisz, Merano?

Berenicia mruknęła, że Demira zrozumiałaby to zapewne, gdyby jej to pokazano w jakiejś książce; bywała czasem bardzo złośliwa.

— Zauważyłaś może, czy od czasu naszego przybycia ktoś zaglądał do głównej sali z zamiarem napicia się czegoś, Demiro? — spytała cierpliwym tonem Merana.

Prawda; nie zauważyła. Obecność jednej czy nawet dwóch Aes Sedai nie zmieni wiele w obyczajach oberży w Caemlyn, ale dziewięć to inna sprawa. Pani Cinchonine powiedziała to otwarcie.

— W takim razie miałyście się dowiedzieć, że zabili mnie Aielowie. A może miałam zostać znaleziona, zanim umrę. — Właśnie sobie przypomniała tamtego mężczyznę o złowieszczej twarzy, który na nią warknął. — Powiedziano mi, że mam wam powtórzyć, byście trzymały się z daleka od al'Thora. Dokładnie brzmiało to tak: „Powiedz tym wiedźmom, że mają się trzymać z daleka od Smoka Odrodzonego”. Raczej nie mogłabym przekazać tej wiadomości, gdybym była martwa, nieprawdaż? W co dokładnie mnie zranili?

Stevan poprawił się na swym zydłu, rzucając w jej stronę zbolale spojrzenie.

— Obie rany nie spowodowały takiego uszkodzenia organów, które mogłoby cię zabić na miejscu, jednakże ilość krwi, jaką straciłaś. . .

— Co mamy teraz zrobić? — wtrąciła Demira, kierując to pytanie do Merany, zanim zaczął mówić, jakie to było z jej strony głupie, że pozwoliła się wziąć z zaskoczenia.

— Ja twierdzę, że powinniśmy uznać, iż odpowiedzialni są Aielowie — stwierdziła stanowczo Berenicia — i ukarać ich dla przykładu. — Pochodziła z Granicznych Marchii Shienaru i w dzieciństwie doświadczyła nie jednego rajdu Aielów. — Seonid zgadza się ze mną.

— Och nie! — zaprotestowała Demira. — Nie zamierzam tracić swojej pierwszej okazji do badania Aielów. W takiej sytuacji nie zechcą powiedzieć więcej jak tylko kilka słów. Ostatecznie to była moja krew. Poza tym, o ile mężczyzna, który was ostrzegł, sam nie był Aielem, wydaje się oczywiste, że działali zgodnie z rozkazami, a w Caemlyn jest chyba tylko jeden człowiek, który wydaje rozkazy Aielom.

— Zgadząmy się z tobą wszystkie, Demiro — oznajmiła Merana, mierząc Berenicię stanowczym spojrzeniem. — Nie chcę już więcej słyszeć gadania o marnowaniu czasu i energii na szukanie jednego stada psów pośród setek innych, podczas gdy człowiek, który wyprawił je na polowanie, chodzi sobie spokojnie z uśmiechniętą twarzą. — Berenicia najeżyła się nieznacznie, zanim skłoniła głowę.

— Musimy przynajmniej pokazać al'Thorowi, że nie wolno mu tak traktować Aes Sedai — stwierdziła ostrym tonem. Spojrzenie Merany sprawiło, że złagodziała nieco ton. — Oczywiście nie tak dobitnie, by to pokrzyżowało nasze plany.



Demira złączyła dłonie w trójkąt nad ustami i westchnęła. Naprawdę źle się czuła.

— Przyszła mi do głowy pewna myśl. Jeżeli otwarcie go zaatakujemy, to on oczywiście wyprze się wszystkiego, a my nie dysponujemy żadnym dowodem, który mogłybyśmy rzucić mu w twarz. Mało tego, może miało się roznieść, iż on pozwala sobie polować na Aes Sedai jak na króliki. — Merana i Berenicia wymieniły spojrzenia i dość stanowczo przytaknęły. Biedny Stevan skrzywił się ze złością; nigdy nie pozwalał odejść wolno komuś, kto ją skrzywdził. — A może jednak lepiej nic nie mówić? To z pewnością sprawi, że zacznie zachodzić w głowę i pocić się. Dlaczego my nic nie mówimy? Co zamierzamy zrobić? Nie wiem, czy to coś da, ale przynajmniej możemy sprawić, że zacznie się oglądać przez ramię.

— To ważne spostrzeżenie — stwierdziła stojąca na progu Verin. — Al’Thor musi szanować Aes Sedai albo nie będzie żadnej z nim współpracy. — Dała znak Stevanowi, że ma wyjść — zaczekał, rzecz jasna, na znak od Demiry — po czym usiadła na jego zydlu. — Myślałam, że skoro to ty stałaś się ofiarą. . . — Spojrzała krzywo na Meranę i Berenicę. — Czy zechcecie usiąść? Nie zamierzam dostać skurczy szyi od patrzenia na was. — Verin mówiła dalej, gdy tymczasem one ustawiły jedyne krzesło w komnacie i zydel obok łóżka. — Ponieważ to ty stałaś się ofiarą, Demiro, więc powinnaś wziąć udział w podjęciu decyzji, w jaki sposób należy udzielić nauczki panu al’Thorowi. I zdaje się, że poczyniłaś już początek.

— Mnie się wydaje. . . — zaczęła Merana, ale Verin przerwała jej.

— Za chwilę, Merano. Demira ma prawo do pierwszych sugestii.

Demirze oddech uwiązał w gardle, kiedy czekała na wybuch. Merana cały czas zdawała się pragnąć, by jej decyzje zyskały aprobatę Verin, co było naturalne w tych okolicznościach, mimo iż nieco deprymujące, ale tym razem Verin zwyczajnie przejęła dowodzenie. I to w obecności innych. A mimo to Merana tylko wpatrywała się przez chwilę w Verin, z zaciśniętymi ustami, po czym skłoniła głowę. Demira zastanawiała się, czy ów gest oznaczał, że Merana postanowiła przekazać dowodzenie w ręce Verin; zdawało się, że nic innego teraz nie mogła zrobić. Spojrzenia wszystkich skierowały się na Demirę; pełne wyczekiwania. Wzrok Verin był szczególnie przenikliwy.

— Jeżeli chcemy, żeby zaczął się denerwować tym, że nie wie, co zamierzamy, proponuję, by nikt dzisiaj nie szedł do pałacu. I to bez żadnego wyjaśnienia, albo, jeśli wydaje się wam to zbyt mocne, pod takim pretekstem, żeby nasze intencje były całkowicie przejrzyste. — Merana przytaknęła. A co ważniejsze, również Verin przytaknęła. Demira postanowiła pokusić się o coś więcej. — Może nie powinniśmy posyłać nikogo przez następnych kilka dni, żeby zaczął wrzeć. Jestem pewna, że wystarczy obserwować Min, żeby wiedzieć, kiedy to się stanie, a. . . — Niezależnie od tego, co postanowią, chciała mieć w tym swój udział. Ostatecznie przelana została jej krew i Światłość tylko wiedziała, na jak długo będzie musiała

teraz odłożyć swe badania w bibliotece. To ostatnie stanowiło niemal taki sam powód do dania al'Thorowi nauzki, jak fakt, że zapomniał, kim są Aes Sedai.

# PATNICZKA

Mat bardzo pragnął, by wyprawa do Ebou Dar upłynęła w spokoju i do pewnego stopnia taka właśnie była. Niemniej jednak podróżowanie z sześcioma kobietami, wśród których cztery były Aes Sedai, dało mu mnóstwo powodów do irytacji.

Dotarli do tamtego odległego lasu już pierwszego dnia, kiedy słońce wisiało jeszcze wysoko na niebie, po czym pokonali kilka mil pod wysokim baldachimem utworzonym z przeważnie nagich gałęzi, z uschłymi liśćmi i suchymi gałązkami trzeszczącymi pod kopytami koni, zanim tuż przed zachodem słońca rozbili obozowisko nad brzegiem wysychającego strumienia. Harnan, dowódca rotty, z jastrzębiem wytatuowanym na policzku, którego szczeka kształtem przypominała latarnię, dopilnował, by żołnierze z Legionu dobrze przygotowali sobie legowiska, by konie zostały spętane i doglądnięte, by rozstawiono warty i rozpalono ogniska. Nerim i Lopin krzżeli się hałaśliwie, marudząc, że nie zabrali namiotów i że człowiek nie może przewidzieć, iż będzie spędzał noce na ziemi, skoro jego pan nic na ten temat nie powiedział i że to nie będzie ich wina, jeśli stanie mu się coś złego. Jeden kościsty, drugi gruby, a jednak istniało między nimi jakieś podobieństwo. Vanin oczywiście zadbał sam o siebie, aczkolwiek nie spuszczał oka z Olvera i wyczesał Wichra w tych miejscach, do których chłopiec nie mógł sięgnąć, nawet gdy używał siodła jako stołka. Wszyscy opiekowali się Olverem.

Kobiety dzieliły z nimi obozowisko, ale ich teren zdawał się oddalony o pięćdziesiąt kroków. Niewidzialna linia zdawała się rozpoławiać cały obóz i żołnierze czuli, że nie wolno jej przekraczać. Nynaeve; Elayne i dwie siwowłose kobiety zebrały się wokół ogniska razem z Aviendhą i złotowłosą uczestniczką Polowania na Róg, rzadko kiedy spoglądając w stronę tego miejsca, gdzie Mat i jego ludzie ułożyli się pod kocami. Z tych cichych strzępów, które wpadły Matowi do ucha, wynikało, że rozmawiały o przypuszczeniach Vandene i Adelas, jakoby Aviendha zamierzała prowadzić swego konia aż do samego Ebou Dar, zamiast go osiąść. Thom usiłował zamienić słowo z Elayne i otrzymał w zamian tylko roztargnione klepięcie w policzek, po czym został odesłany do Julina i Jaema, żyłastego, starego Strażnika, który należał do Vandene i zdawał się spędzać cały czas na ostrzeniu miecza.

Mat nie miał nic przeciwko temu, że kobiety trzymają się od nich z daleka. W ich obecności czuło się napięcie, którego nie rozumiał. A w każdym razie na pewno towarzyszyło ono Nynaeve i Elayne, zdając się także udzielać uczestnicze Polowania. Czasami przyglądały się Aes Sedai — tym innym Aes Sedai; nie był pewien, czy kiedykolwiek nauczy się tak myśleć o Nynaeve i Elayne — jakby trochę zbyt intensywnie, aczkolwiek Vandene i Adelas zdawały się być tego równie nieświadome jak Aviendha. Niezależnie od powodu Mat nie chciał w tym brać udziału. To wszystko pachniało nieuniknioną awanturą i niezależnie od tego, czy miałyby ona buchnąć płomieniami, czy też pełzać dalej pod ziemią, człowiek rozsądny trzymał się od tego z daleka. Medalion, nie medalion, roztropny mężczyzna obchodził szerokim łukiem Aes Sedai.

To akurat stanowiło niewielki powód do irytacji, podobnie jak następny, za który to jego osobiście należało obarczyć winą. Jedzenie. Od ogniska Aes Sedai szybko powiało wonią baraniny i jakiejś zupy. Spodziewał się rychłego przybycia do Ebou Dar, w związku z czym w sakwach mieli tylko odrobinę suszonego mięsa oraz twarde suchary. Mat rzadko widywał jakieś ptaki albo wiewiórki, nie mówiąc już o śladach jelenia, więc polowanie nie wchodziło w rachubę. Kiedy Nerim rozstawił niewielki stół i stołek dla Mata — Lopin przyniósł takie same dla Naleseana — Mat powiedział mu, żeby rozdzielił między żołnierzy wszystko, co ma w koszach juczych koni. Wbrew jego nadziejom rezultat nie okazał się imponujący.

Nerim stanął obok stołu Mata i nalewał mu wodę ze srebrnego dzbana, jakby to było wino, i żalonym wzrokiem obserwował znikanie przysmaków w gardzielach żołnierzy.

— Marynowane jajka przepiórcze, mój lordzie — obwieszczał pogrzebowym tonem. — Znakomicie by się nadały na śniadanie mojego pana w Ebou Dar. Wyborny wędzony ozór, mój panie. Gdyby mój pan tylko wiedział, przez co przeszedłem, żeby znaleźć wędzony w miodzie ozór w tamtej nieszczęsnej wiosce, mając mało czasu, zwłaszcza, że wszystko co najlepsze zabrały Aes Sedai. — W rzeczy samej najbardziej zdawał się go trapić fakt, że Lopin zdobył konserwowane skowronki dla Naleseana. Za każdym razem, kiedy jeden taki chrząścił Naleseanowi między zębami, pełen zadowolenia uśmiezek Lopina stawał się jeszcze szerszy, a Nerinowi wydłużała się mina. Skądinąd wystarczyło zobaczyć, jak niektórzy pociągają nosami, by wiedzieć ponad wszelką wątpliwość, że woleliby kawał baraniny i miskę zupy zamiast dowolnych ilości ozora wędzonego w miodzie albo puddingu z gęsich wątróbek. Olver gapił się z nieskrywaną tęsknotą w stronę ogniska kobiet.

— Może chciałbyś zjeść z nimi? — spytał go Mat. — Nic się nie stanie, jeśli to zrobisz.

— Lubię wędzonego węgorza — odparł uparcie Olver. Po czym, nieco pośpieszszym tonem dodał: — A zresztą ona mogła coś dodać do jedzenia. — Cały

czas wodził wzrokiem za Aviendhą, przy każdym jej ruchu, i zdawał się też mieć coś przeciwko uczestnicze Polowania na Róg, ponieważ ta spędzała całkiem sporo czasu na przyjaznych pogawędkach z kobietą Aiel. Aviendha w każdym razie musiała czuć na sobie wzrok chłopca, ponieważ zerkąca czasem na niego ze marszczonym czołem.

Otarłszy brodę i przyjrząwszy się ognisku Aes Sedai — po zastanowieniu stwierdził, że sam wolałby baraninę i miskę zupy — Mat zauważył, że brakuje Jaema. Vanin zaczął gderać, że nie ma ani chwili spokoju, ale Mat wysłał go z tego samego powodu, z jakiego wysłał wcześniej Jaema na zwiady, nie zważając na to, że Jaem także narzekał. Nie chciał polegać na tym, co Aes Sedai raczą mu powiedzieć. Mógł ufać Nynaeve — nie sądził, by ona rzeczywiście go okłamała: jako Wiedząca Nynaeve zawsze była jak śmierć dla każdego, kto kłamał — ale ona nadal zerkąca na niego ponad ramieniem Adelas w bardzo podejrzliwy sposób.

Elayne skończyła się posilać, po czym ku jego zdziwieniu wstała i płynnymi ruchami jakby prześlizgnęła się przez niewidzialną linię. Niektóre kobiety tak już to robiły, że zdawały się sunąć nad powierzchnią ziemi.

— Czy zechcesz porozmawiać ze mną na stronie, panie Cauthon? — spytała chłodno. Nie całkiem uprzejmie, ale też nie specjalnie niegrzecznie.

Gdy dał jej znak, że ma iść przodem, ruszyła w stronę oświetlonych przez księżyc drzew za linią wart. Złote włosy opadały jej na ramiona, tak okalając twarz, że każdy mężczyzna wytrzeszczyłby oczy, a światło księżyca zmiękczało arogancką minę. Gdyby tylko nie była tym, kim była... I nie szło mu tylko o to, że była Aes Sedai, ani nawet o to, że należała do Randa. Jak na człowieka, który znał się na kobietach, Rand zdawał się obecnie popełniać na tym polu same błędy. W tym jednak momencie Elayne rozpoczęła rozmowę i zapomniał o wszystkim innym.

— Jesteś posiadaczem *ter'angreala* — powiedziała bez żadnych wstępów i nie patrząc na niego. Sunęła tylko obok, szeleszcząc liśćmi leżącymi na ziemi, jakby się spodziewała, że będzie szedł przy jej nodze niczym pies myśliwski. — Niektórzy twierdzą, że *ter'angreal* stanowią własność Aes Sedai, ale ja nie wymagam od ciebie, żebyś go oddał. Nikt ci go nie odbierze. Ale takie przedmioty muszą być zbadane. Z tego właśnie powodu życzę sobie, żebyś każdego wieczora, kiedy się zatrzymamy na popas, oddawał mi *ter'angreal*. Będę ci go zwracała każdego ranka, tuż przed wyruszeniem w drogę.

Mat zerknął na nią z ukosa. Bez wątplenia mówiła poważnie.

— To bardzo uprzejmie z twojej strony, że pozwalasz mi zatrzymać coś, co należy do mnie. Tylko na jakiej podstawie myślisz, że ja mam... jak to nazwałaś? Ter-coś tam?

Och, zeszywniała wtedy i też na niego spojrzęła. Zdziwił się; że z jej oczu nie wytrysnął ogień, tak jasny, że zdolny rozświetlić noc. Za to jej głos dawał się

przyrównać do najczystszej lodu.

— Wiesz bardzo dobrze, co to jest *ter'angreal*, panie Cauthon. Słyszałam sama, jak Moiraine ci o nich opowiadała w Kamieniu Łzy.

— W Kamieniu? — odparował szyderczym tonem. — A tak, pamiętam Kamień. Wspaniale się tam bawiliśmy. A czy ty pamiętasz coś takiego z Kamienia, co dawałoby ci prawo do występowania z żadaniami? Bo ja nie. Jestem tu tylko po to, byście obie z Nynaeve nie dały sobie w Ebou Dar podziurawić skór. Będziecie mogły poprosić Randa o jakiś *ter'angreal*, kiedy mu was nareszcie dostarczę.

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, jakby zamierzała pokonać go siłą woli, po czym odwróciła się na pięcie, nie mówiąc już ani słowa. Poszedł jej śladem do obozu i zdziwił się, widząc, że idzie wzdłuż szeregu splecionych koni. Przyglądała się ogniskom, rozłożonym kocom, kręciła głową na widok resztek posiłku żołnierzy. Nie miał pojęcia, o co jej idzie, dopóki nie odwróciła się w jego stronę, z zadartym podbródkiem.

— Twoi ludzie spisali się bardzo dobrze, panie Cauthon — powiedziała, dostatecznie głośno, by wszyscy mogli ją słyszeć. — Ogólnie mówiąc, jestem zadowolona nad wyraz. Gdybyś jednak zaplanował wszystko, jak trzeba, to nie musieliby objadać się pożywieniem, które w najlepszym razie nie da im tej nocy zasnąć. Ale tak czy owak, spisałeś się należycie. Jestem pewna, że w przyszłości o wszystkim pomyślisz zawczasu. — Chłodna niczym góra lodowa wróciła do swego ogniska, zanim zdążył powiedzieć bodaj słowo, pozostawiając go z wytrzeszczonymi oczami.

Gdyby to było już wszystko — przeklęta Dziedziczka Tronu przekonana, że on jest jednym z jej poddanych, razem z Nynaeve zaciskająca usta w towarzystwie Vandene i Adelas — gdyby to było wszystko, to zatańczyłyby z radości. A tymczasem zaraz po „inspekcji” dokonanej przez Elayne, jeszcze zanim zdążył dotrzeć do swych koców, medalion w kształcie lisiej głowy zrobił się zimny.

Tak nim to wstrząsnęło, że stanął jak wryty, z wzrokiem utkwionym w swoją pierś, zanim w ogóle pomyślał, by spojrzeć w stronę ogniska Aes Sedai. A one ustawiły się tam w szereg, wzdłuż tej niewidzialnej linii, i to razem z Aviendhą. Elayne mruczała coś tak cicho, że niczego nie umiał wychwycić, dwie siwowłose Aes Sedai kiwały głowami, a Adelas pospiesznie maczała pióro w kałamarzu, przypiętym w czymś w rodzaju pochwy do pasa, i zapisywała coś w małej książeczce. Nynaeve szarpała warkocz i mamrotała coś pod nosem.

Trwało to w sumie kilka chwil. Potem chłód zelżał, a one wróciły do swego ogniska, rozmawiając cicho. Co jakiś czas któraś zerknęła w jego kierunku, dopóki wreszcie nie ułożył się na pościeli.

Drugiego dnia dotarli do jakiejś drogi. Był to szeroki pas mocno ubitego błota, z którego gdzieś wystawał fragment starego bruku, niemniej jednak po takim gościńcu wcale nie podróżowało się szybciej. Z jednej strony wiódł zakolami przez coraz bardziej górzysty las. Niektóre ze wzgórz — poszarpane

formacje z pionowymi urwiskami i kamienne iglice wystające ponad koronami drzew — zasługiwały na miano niewielkiej góry. Z drugiej strony rzadki, ale za to nieprzerwany strumień ludzi podążał w obu kierunkach, najczęściej grupki odzianych w łachmany wieśniaków o pustych twarzach, którym ledwie starczało rozumu, żeby ustępować z drogi ciągnionym przez woły wozom na wysokich kołach, a znacznie rzadziej przed karawanami kupców z nakrytymi płótnem wozami, ciągniętymi przez zaprzęgi złożone z sześciu albo ośmiu koni. Farmerskie domostwa i stodoły z jasnego kamienia sprawiały wrażenie trzymających się kurczowo zboczy tych wzgórz i dopiero w połowie trzeciego dnia zobaczyli pierwszą wioskę z pobielonymi domami, których płaskie dachy pokryto jasnoczerwoną dachówką.

Nie przestał odczuwać lodowatego mrowienia podobnego do ukłuc igły. Elayne kontynuowała swe wieczorne inspekcje. Kiedy w drugim obozowisku, jakie rozbili na noc przy drodze, sarkastycznym tonem stwierdził, że cieszy go, iż jest zadowolona, obdarzyła go jednym z tych jej stanowczych, królewskich uśmiechów i powiedziała:

— Bo powinienes się cieszyć, panie Cauthon. — Zabrzmiało to tak, jakby wzięła jego słowa poważnie!

Kiedy zaczęli się zatrzymywać w oberżach, badała konie w stajniach i posłania żołnierzy na stryszkach. Prośzenie jej, by przestała to robić, nie wywołało żadnej reakcji prócz chłodno wygiętej brwi; zwyczajnie go zignorowała. Poza tym kazała mu robić rzeczy, które sam wcześniej zaplanował — typu oddanie wszystkich koni do sprawdzenia podków w pierwszej oberży, w której będzie jakiś kowal — i, co jeszcze bardziej działało mu na nerwy, rzeczy, których by dopatrywał, gdyby wiedział o nich wcześniej. Mat nie miał pojęcia, jak na przykład odkryła, że Tad Kandel próbuje ukryć czyraka, który mu wyrósł na siedzeniu, albo że Lawdrin Mendair miał w sakwach przy siodle schowanych nie mniej jak pięć flaszek brandy. Powiedzieć, że to, co kazała mu robić, irytowało, to było mało, ale istotnie należało przekłuć czyraka Kandela — część członków Legionu podpisywała się pod stanowiskiem Mata względem Uzdrawiania — należało także wylać brandy Mendaira i wykonać jeszcze kilkanaście innych czynności.

Mat omalże modlił się, żeby wydała jakieś bezsensowne polecenie, wtedy mógłby jej powiedzieć nie. Z naciskiem, z pełnym przekonaniem: nie! Byłoby idealnie, gdyby znowu zażądała, żeby oddał *ter'angreal*, ale ona więcej o nim nie wspomniała. Wyjaśnił żołnierzom, że nie mają obowiązku jej słuchać, i ani razu żadnego na tym nie przyłapał, ale zaczęli się uśmiechać z zadowoleniem, gdy słyszeli, jak ich komplementuje za to, że tak znakomicie dbają o konie, i cali się nadymali, kiedy im mówiła, że jej zdaniem są dobrymi żołnierzami. Mat omal nie udławił się własnym językiem w dniu, w którym zobaczył, jak Vanin trze czoło kułakiem, i usłyszał, jak tamten bez śladu ironii w głosie mruczy: „Dziękuję ci, moja lady”.

Starał się być miły, ale żadna z tych kobiet, nie tylko Elayne, w ogóle na to

nie reagowała. Aviendha powiedziała mu, że nie ma honoru — też coś! — i że skoro nie umie traktować Elayne z szacunkiem, to ona podejmie się go tego nauczyć. Aviendha! Kobieta, którą nadal podejrzewał, że tylko czyha na okazję, by poderżnąć Elayne gardło, tytułowała Elayne swoją prawie-siostrą! Vandene i Adelas popatrywały na niego takim wzrokiem, jakby był okazem jakiegoś rzadkiego żuka, nabitym na szpilkę. Zaproponował uczestnicze Polowania zawody w strzelaniu, za pieniądze albo dla samej zabawy — łuk, który przy sobie nosiła, musiał chyba nieźle rozgrzewać jej wyobraźnię; jako uczestniczka Polowania obrała imię Birgitte — ale ona tylko spojrzała na niego dziwnie i odmówiła. Potem trzymała się od niego z daleka. Przywarła do boku Elayne niczym rzep, z wyjątkiem tych momentów, kiedy Elayne podchodziła do niego. A Nynaeve. . .

Przez całą drogę od Salidaru unikała go, jakby pachniał czymś paskudnym. Podczas ich trzeciej nocy spędzonej w drodze, a pierwszej w oberży, małym lokalu zwanym „Małżeńskim Nożem”, Mat zobaczył ją w krytej dachówkami stajni, jak karmiła wyschlą marchwią swoją pulchną klacz, i stwierdził, że niezależnie od tego, co się właściwie dzieje, może z nią porozmawiać o Bode. Nie codziennie siostra mężczyzny opuszczała dom, żeby zostać Aes Sedai, i Nynaeve musiała wiedzieć, co czeka Bode.

— Nynaeve — powiedział, ruszając w jej stronę — chciałbym z tobą porozmawiać. . . — Nie zdążył.

Praktycznie wzbiła się w powietrze i zaraz opadła na ziemię, wyrażając mu pięścią, aczkolwiek natychmiast ukryła ją w fałdach spódnicy.

— Zostaw mnie w spokoju, Macie Cauthon! — krzyknęła. — Słyszysz? Zostaw mnie w spokoju! — I wybiegła na zewnątrz, obchodząc go dalekim łukiem; tylko czekał, aż warkocz jej stania jak kotu ogon, tak się zjeżyła. Po tym incydencie było jeszcze gorzej. Ledwie próbował do niej podejść, a zaraz ukrywała się za plecami Elayne i patrzyła na niego groźnie zza ramienia tamtej, zupełnie jakby chciała pokazać mu język. Kobiety to wariatki; ot co.

Przynajmniej Thom i Juilin zechcieli jechać obok niego za dnia, kiedy Elayne nie zaprzętała ich uwagi. Robiła to czasami, po to tylko, żeby oderwać ich od niego, nie ulegało wątpliwości, aczkolwiek nie miał pojęcia, dlaczego tak jest. Po znalezieniu oberży ci dwaj byli bardziej niż szczęśliwi, gdy mogli wieczorem napić się razem z nim i Naleseanem ponczu. Były to wiejskie sale, ze ścianami z nagich cegieł, całkiem ciche, gdzie za całą rozrywkę służyło przypatrywanie się jakiemuś cętkowanemu kotu, gdzie do stołu podawała sama oberżystka, zwykle niewiasta obdarzona biodrami, które sprawiały takie wrażenie, jakby mężczyzna mógł połamać sobie palce, gdyby spróbował je uszczypnąć. Rozmowa przeważnie obracała się wokół tematu Ebou Dar, o którym Thom wiedział całkiem sporo, mimo iż nigdy tam nie był. Nalesean bardziej niż chętnie opowiadał o swej jedynej wizycie w tym mieście, za każdym razem gdy go pytano, aczkolwiek skupiał się na pojedynkach, które tam widział, i na obstawianiu wyścigów konnych. Ju-



ilin przytaczał opowieści, zasłyszane od tych, którzy znali ludzi, którzy tam byli osobiście, a nie ich przodkowie z trzeciego czy czwartego pokolenia wstecz; opowieści te brzmiałyby całkiem niewiarygodnie, gdyby nie potwierdzali ich Thom i Nalesean. Otóż w Ebou Dar nie tylko mężczyźni toczyli pojedynki o kobiety, ale również kobiety o mężczyzn i w obu przypadkach nagroda — takiego tu słowa używano! — przechodziła na własność zwycięzcy. Żeniący się mężczyzna dawał swej oblubienicy nóż, prosząc ją jednocześnie, by go zabiła, jeśli jej nie zadowoli — nie zadowoli! — i kobieta, która zabijała mężczyznę z tego powodu, była usprawiedliwiona. W Ebou Dar mężczyźni podchodzili do kobiet z pokorą i traktowali uśmiechem to, za co zabiliby innego mężczyznę. Elayne będzie tym zapewne wniebowzięta. Podobnie Nynaeve.

W trakcie tych rozmów wyszła na jaw jeszcze jedna rzecz. Niechęć Nynaeve i Elayne wobec Vandene i Adelas nie była tworem wyobraźni Mata, mimo iż dokładały wszelkich starań, żeby ją ukryć. Nynaeve zadowalała się rzucaniem groźnych spojrzeń i pomrukiwaniem pod nosem. Elayne ani się nie krzywiła, ani nie pomrukiwała, ale za to stale przejmowała dowodzenie; zdawała się uważać, że już jest królową Andoru. Niezależnie od tego, na ile lat wyglądały, Vandene i Adelas musiały być dostatecznie stare, by móc być matkami, o ile nie babkami tych młodszych kobiet. Mat nie byłby zdziwiony, gdyby się dowiedział, że one były Aes Sedai już wtedy, gdy Nynaeve i Elayne się urodziły. Nawet Thom nie pojmował tego napięcia, a wszak jak na prostego barda zdawał się rozumieć całkiem sporo rzeczy. Kiedy starał się ją delikatnie zganić, Elayne zmyła mu głowę i oznajmiła, że niczego nie pojmuje. Wychodziło na to, że dwie starsze Aes Sedai są nadzwyczaj tolerancyjne. Adelas często zdawała się nie przyjmować do wiadomości, że Elayne wydaje rozkazy, i obie z Vandene udawały zdziwienie, kiedy dochodziło co do czego.

— Vandene powiedziała: „Cóż, oczywiście to zrobimy, jeśli sobie tego życzysz, dziecko” — mruknął Juilin do swego kufła, opowiadając o jednym z incydentów. — Można by pomyśleć, że ktoś, kto jeszcze kilka dni temu był tylko Przyjętą, powinien być zadowolony z takiego obrotu spraw. A tymczasem oczy Elayne przypomniały zimową burzę. Nynaeve tylko mocno zazgrzytała zębami; przestraszyłem się, że jej popękają.

Znajdowali się właśnie w głównej sali „Małżeńskiego Noża”. Vanin, Harnan i pozostali zajmowali ławy przy innych stołach, razem z kilkoma miejscowymi. Mężczyźni byli odziani w długie kamizele, niekiedy tak kolorowe, że pasowałyby na Druciarza, często bez niczego pod spodem, kobiety zaś w jasne suknie z głębokimi i wąskimi dekolcami, ze spódnicami zebrnymi z jednej strony nad kolanem, spod których wyzierały halki tak barwne, że kamizele przy nich bledły. Wszystkie kobiety i wielu mężczyzn miało w uszach duże kota, a na palcach zazwyczaj po trzy albo cztery pierścienie iskrzące się kolorowymi szkiełkami. Jednako mężczyźni i kobiety gładzili palcami długie, zakrzywione noże, wystające

im z za pasów, i mierzyli obcych ponurymi spojrzeniami. W „Mażeńskim Nożu” zatrzymały się również dwie karawany kupieckie, ale kupcy jedli w swych izbach, a woźnice pozostali przy wozach. Elayne, Nynaeve i inne kobiety też zamknęły się na górze.

— Kobiety są... dziwne — stwierdził Nalesean ze śmiechem, niby odpowiadając Juilinowi, ale tak naprawdę kierując te słowa do Mata, po czym dotknął palcem czubka brody. Zazwyczaj nie był taki sztywny w obecności ludzi z gminu, ale Juilin wywodził się z gminu taireniańskiego i to zdawało się wszystko zmieniać, zwłaszcza od czasu, gdy Juilin uparł się patrzeć mu w oczy, kiedy z nim rozmawiał. — W Łzie jest takie chłopskie porzekadło: „Aes Sedai to dziesięć kobiet w jednej skórze”. Chłopi niekiedy potrafią powiedzieć coś mądrego; oby mi dusza szczęła, jeśli to nie jest prawda.

— Przynajmniej żadna nie zrobiła niczego, że się tak wyrażę, drastycznego — powiedział Thom — aczkolwiek myślałem już, że się na to zanosi, kiedy Elayne się wymknęło, że uczyniła z Birgitte swego pierwszego Strażnika.

— Tą uczestniczkę Polowania? — zakrzyknął Mat. Kilku miejscowych popatrzyło na niego twardo, więc zniżył głos. — To ona też jest Strażnikiem? Strażnikiem Elayne? — To z pewnością wyjaśniało kilka rzeczy.

Thom i Juilin wymienili spojrzenia nad brzegami kufla.

— Będzie jej przyjemnie, kiedy się dowie, że odgadłeś, iż ona jest uczestniczką Polowania na Róg — powiedział Thom. — Tak, jest nią, i to też omal nie spowodowało awantury. Jaem od razu zaczął się do niej odnosić jak do młodszej siostry, za to Vandene i Adelas... — Westchnął ciężko. — Żadna nie była specjalnie zachwycona, że Elayne już sobie wybrała Strażnika; najwyraźniej Aes Sedai szukają takiego całymi latami. Nie spodobało im się również, że jej wybór padł na kobietę. Rzecz jasna, przez to ich niezadowolenie Elayne zaczęła się jeszcze bardziej bocyć.

— Coś mi się widzi, że one w ogóle nie lubią rzeczy, których nikt przedtem nie robił — dodał Juilin.

— Kobieta Strażnik — mruknął Nalesean. — Wiedziałem, że wraz ze Smokiem Odrodzonym wszystko się zmieni, ale kobieta Strażnik?

Mat wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że będzie sobie radziła pod warunkiem, że naprawdę potrafi strzelać z łuku. W złą dziurkę? — spytał współczująco Juilina, który zakrztusił się swoim trunkiem. — Ja tam zawsze wolę dobry łuk od miecza. Lepsza wprawdzie pałka, ale łuk też jest niczego sobie. Mam tylko nadzieję, że ona nie stanie mi na drodze, kiedy nadejdzie czas, żeby zawieźć Elayne do Randa.

— Moim zdaniem ona potrafi strzelać. — Thom pochylił się nad stołem, by walnąć Juilina w plecy. — Naprawdę tak myślę, Mat.

Jeśli jednak Nynaeve i pozostałe wpadły na pomysł wyrywania sobie wzajem włosów — a Mat nie chciał się znaleźć w pobliżu, gdyby do tego doszło, lisia

głowa czy nie — to nie okazywały tego w jego obecności. Widział tylko zwarty front i więcej prób przenoszenia, które zaczęły się już następnego rana po tamtej pierwszej, kiedy siodłał Oczko. Na całe szczęście był zbyt zajęty odganianiem Nerima, który uważał, że siodłanie konia Mata to jego obowiązek i przekonywał go, że zrobi to lepiej, toteż tylko przez chwilę czuł ten chłód i nie okazał, że cokolwiek zauważył. To, stwierdził, będzie jego odpowiedź. Żadnych pojedynków na spojrzenia, żadnych wściekłych min, żadnych oskarżeń. Będzie je ignorował, pozwalając, żeby się ugotowały we własnym sosie.

Okazji do ich ignorowania miał całe mnóstwo. Srebrny medalion zdążył zziębnąć dwa razy, zanim znaleźli drogę, potem jeszcze kilkakrotnie w ciągu dnia i każdego następnego. Czasami czuł to i zaraz potem, w mgnieniu oka, to mijało, a niekiedy był pewien, że chłód utrzymywał się całą godzinę. Oczywiście nigdy nie potrafił orzec, która jest za to odpowiedzialna. Albo zazwyczaj nie potrafił. Raz, kiedy od upału dostał wysypki na plecach, a szarfa na szyi zdawała się przepoławiać mu szyję, przyłapał Nynaeve na patrzeniu na niego akurat w tym momencie, kiedy medalion stał się zimny. Wpatrywała się w niego tak twardo, że jakiś mijający ich farmer, który szturchał swego woła kijem, żeby przymusić zwierzę do szybszej jazdy, obejrzał się na nią przez ramię, jakby się bał, że jej wzrok lada chwila może paść na niego, a wtedy odłamki wozu zabiją mu woła. Dopiero kiedy Mat odwzajemnił to groźne spojrzenie, podskoczyła w miejscu i omal nie wypadła z siodła; chłód znikł. Co zaś się tyczy reszty przypadków, nie potrafił nic stwierdzić. Czasami widział, że obserwują go dwie albo trzy, łącznie z Aviendhą, która nadal szła pieszo, prowadząc swego konia. Inne, zanim zdążył na nie spojrzeć, już rozmawiały ze sobą, względnie popatrywały na orła frunącego przez bezchmurne niebo albo na widocznego z drogi wielkiego, czarnego niedźwiedzia, który stał pośród drzew lub na stromym zboczu. Jedyną pociechą było wrażenie, że Elaynę jest z czegoś niezadowolona. Powodu nie znał, ale nie dbał o to. Dokonywała inspekcji jego ludzi. Głaskała go po głowie w ramach pochwał. Kopnęłyby ją, gdyby był typem człowieka, którego na to stać.

Po prawdzie, zaczął się czuć bardziej niż zadowolony z siebie. Nieważne, co robiły, bo to i tak nie miało na niego większego wpływu niż maść Nerima wtarta w jego pierś. Nerim zapewniał go, że to nie odmrożenie. I był zadowolony aż do czwartego popołudnia. Oddał Oczko do stajni i szedł właśnie do Południowego Pierścienia, nędznego domu z pobielonych cegieł w nędznej wiosce pełnej much noszącej nazwę So Tehar, kiedy coś miękkiego uderzyło go dokładnie między łopatki. Z zapachem końskiego nawozu w nozdrzach obrócił się, gotów wygrzyźć dziurę w chłopcu stajennym albo którymś z miejscowych osiłek obdarzonych ponurymi oczyma, nóż czy nie nóż. Nie zobaczył ani stajennego, ani osiłka. Tylko Adelas, pracowicie coś zapisującą w małej książeczce i kiwającą do siebie głową. Miała całkiem czyste ręce.

Mat wszedł do środka i kazał oberżystce przynieść sobie ponczu, po czym

zmienił zamiar i poprosił o brandy, mętny płyn, zgodnie z zapewnieniami kobiety zrobiony ze śliwek, ale o takim smaku, jakby służył do usuwania rdzy. Juilin tylko pociągnął nosem, a Thom nawet tego nie zrobił. Nalesean upił jeden łyk, po czym poprosił o poncz, a wszak Nalesean zwykł pijać wszystko. Mat stracił rachubę, ile cynowych pucharów opróżnił, ale niezależnie od ich liczby, trzeba było wspólnego wysiłku Nerima i Lopina, żeby go zanieść do łóżka. Dotychczas nie odważył się nawet pomyśleć, że lisia głowa ma jakieś ograniczenia. Miał dowód i to bardziej niż wystarczający, że ona powstrzyma *saidara*, ale skoro one mogły użyć Mocy, żeby coś podnieść z ziemi i rzucić tym w niego... „To lepsze niż nic”, powtarzał sobie, gdy tak leżał na nierównym materacu i przypatrywał się księżycowym cieniom pełznącym po suficie. „O wiele lepsze niż nic”. Gdyby jednak potrafił ustać o własnych siłach, to zszedłby na dół i dalej pił brandy.

Dlatego właśnie miał taki paskudny humor, język, który zdawał się oblepiony pierzem, i głowę, w której dudniły bębny, i spływał potem, kiedy piątego dnia droga zawiodła ich na szczyt wzniesienia, z którego roztaczał się widok na Ebou Dar, wtulone w rzekę Eldar z wielką zatoką pełną statków.

Na pierwszy rzut oka odniósł wrażenie, że to miasto jest całe białe. Białe budynki, białe pałace, białe wieże i iglice. Niejedną z kopuł podobnych kształtem do ostro zakończonych, białych rzep albo gruszek, opasywał pas purpury, błękitu albo złota, ale to miasto było po prostu białe, a słońce tak się odeń odbijało, że aż oczy bolały. Bramę, do której zawiodła ich droga, wieńczył wysoki, spiczasty łuk osadzony w otynkowanym na biało murze, tak grubym, że Mat zrobił dwadzieścia kroków w cieniu, zanim znowu wyjechał na słońce. Miasto wyglądało na skonstruowane z samych placów, kanałów i mostów: ogromnych placów pełnych ludzi, z fontannami albo posągami na samym środku, kanałów zarówno wąskich, jak i szerokich, po których pływały barki, i mostów wszelkich rozmiarów, jednych niskich, innych wygiętych w wysokie łuki, niektórych tak wielkich, że po obu ich stronach mogły stać sklepy. W jednym szeregu ze sklepami, w których sprzedawano dywaniki i tkaniny, stały pałace z portykami o grubych kolumnach, a trzypiętrowe domy o wielkich, zwieńczonych łukami oknach przesłoniętych żaluzjami przepłatały się ze stajniami, warsztatami nożowników i sklepami rybnymi.

Właśnie na jednym z takich placów Vandene ściągnęła wodze i jęła się narażać z Adelas; Nynaeve zmarszczyła brew, a Elayne patrzyła na nie takim wzrokiem, że z nosa i brody powinny jej być zwisać lodowe sople. Przed wjazdem do miasta na ponaglenie Elayne Aviendha wspięła się na swą chudą kasztanekę, ale teraz ponownie z niej zsiadła, równie niezdarnie, jak jej dosiadła. Rozglądała się dookoła z taką samą ciekawością jak Olver, który miał wytrzeszczone oczy już od momentu, gdy zobaczyli miasto. Birgitte zdawała się nie odstępować Elayne na krok, podobnie jak Jaem Vandene.

Mat skorzystał z okazji, żeby powachlować się kapeluszem i rozejrzeć dookoła.

Największy pałac, jaki dotychczas zauważył, zajmował cały bok placu, wszystkie kopuły, iglice i kolumnady składały się z trzech albo czterech pięter. Pozostałe trzy boki wypełniały wielkie kamienice, oberże i sklepy, nieodmiennie białe. Na samym środku placu stał posąg kobiety w powiewnych szatach, wyższej od ogira, na jeszcze wyższym piedestale, z jedną ręką wycelowaną na południe, w stronę morza. Po jasnych kamieniach brukowych spacerowała tylko garstka ludzi, co nie dziwiło, jeśli się wzięło pod uwagę upał. Kilku ludzi spożywało popołudniowy posiłek na najniższym stopniu piedestału, a wokół nich gromadziły się stada gołębi i mew walczących o okruchy. Był to obraz pełen spokoju. Mat nie rozumiał, dlaczego nagle poczuł dziwny zamęt w głowie.

Znał dobrze to uczucie. Czasami owładało nim wtedy, gdy przy jakiejś grze dopisywało mu szczęście. A towarzyszyło mu zawsze, kiedy zanosilo się na bitwę. I zdawało się go dopadać, kiedy musiał podjąć jakąś ważną decyzję, taką, od której zależało jego życie.

— Wejdzimy teraz do środka przez jedną z tych mniejszych bram — obwieściła Vandene. Adelas pokiwała głową. — Merilille dopilnuje, by dano nam izby, w których będziemy mogli się odświeżyć.

Wynikało z tego, że to Pałac Tarasin, własność Tylin Quintary z Domu Mitso-bar, która zasiadała na Tronie Wiatrów, sprawując w rzeczywistości władzę nad terenem rozciągającym się w odległości stu mil wokół Ebou Dar. Jedną z niewielu rzeczy, jakich się zdołał dowiedzieć odnośnie celu tej podróży było to, że Aes Sedai mają się spotkać z kilkoma z ich rzeszy w Pałacu i oczywiście z Tylin. Aes Sedai spotkają się z królową. Mat spojrzał na tę wielką masę połyskliwego marmuru i zaczął sobie wyobrażać, jakby to było, gdyby w nim się zatrzymał. Zasadniczo lubił pałace; w każdym razie wszystkie miejsca, gdzie była służba, złoto i pucho-we łoża. Ale Królewski Pałac oznaczał arystokratów, wszędzie gdzie się człowiek nie obrócił. Mat nie przepadał za spotykaniem zbyt wielkiej liczby arystokratów za jednym zamachem; nawet Nalesean potrafił być irytujący. A poza tym w tak ogromnym pałacu musiałby albo wiecznie się zastanawiać, gdzie się podziała Nynaeve albo Elayne, albo spróbować postawić przy nich kogoś na straży. Nie był pewien, co byłoby gorsze: gdyby pozwoliły mu wlec się za sobą w charakterze osobistej ochrony czy gdyby się spotkał z odmową. Niemalże słyszał, jak Elayne mówi tym swoim chłodnym głosem: „Proszę o jakieś miejsce na nocleg dla pana Cauthona i moich ludzi. Proszę dopatrzeć, by ich nakarmiono i napojono.” I jeszcze robiłaby to, co miała w zwyczaju. Zjawiałyby się znienacka, jak zwykle celem dokonania inspekcji, i kazałyby mu wykonać coś, za co on właśnie się zabierał. Jeśli jednak ona i Nynaeve miały być bezpieczne, to tylko w Pałacu Królewskim. A zresztą pragnął znaleźć się gdzieś, gdzie mógłby położyć nogi na stole i napić się ponczu z dziewczyną na kolanie; to na pewno ukołoby jego nerwy. Przydałyby się też wilgotne ręczniki. Bolała go głowa. Nadal brzęczały mu w uszach słowa Elayne, wygłoszone napuszonym głosem tego ranka, na temat zgubnych skutków

picia alkoholu i dawania złego przykładu. Kolejny powód, dla którego miał ochotę stanąć na ziemi. Był zbyt słaby, żeby odpowiedzieć, dopiero co wstał z łóżka i zastanawiał się, czy uda mu się dosiąść Oczka, a jej już o wiele za dużo uszło na sucho. Jeżeli zaraz nie położy temu kresu, to ona sprawi, że tak jak inni będzie pocierał czoło kłykciami.

W czasie, gdy to wszystko przebiegło mu przez głowę, Vandene zdążyła skierować swoją gniadą klacz o kanciastych bokach w stronę pałacu.

— Wynajmę izby dla moich ludzi w jednej z tych gospód — oznajmił głośno. — Gdyby się tobie albo Elayne zachciało wyjść na miasto, Nynaeve, zawiadomcie mnie, a wtedy podeślę kilku ludzi dla towarzystwa. — Zapewne tego nie zrobią; wszystkie kobiety żywiły przekonanie, że obronią się w jaskini niedźwiedzia gołymi rękami, ale gotów był iść o zakład, że Vanin wymyśli sposób, by się dowiedzieć, kiedy one wyjdą na miasto. A jeśli nie on, to robi to Juilin; łowca złodziei powinien wiedzieć, jak tego dokonać. — Ta się będzie nadawała. — Wybrawszy na chybił trafił, wskazał szeroki budynek po drugiej stronie ulicy. Nad sklepionym wejściem kołysał się na wietrze szyld, którego treści z tej odległości nie potrafił odczytać.

Vandene spojrzała na Adelas. Elayne spojrzała na Nynaeve. Aviendha spojrzała na niego krzywo.

Nie dał im szansy.

— Thom, Juilin, co powiecie na kilka kufli ponczu? — Może lepsza byłaby woda; nigdy w życiu nie pił tyle co obecnie.

Thom pokręcił głową.

— Może później, Mat. Powinienem trzymać się blisko, na wypadek gdyby Elayne mnie potrzebowała. — Niemalże ojcowski uśmiech, skierowany w jej stronę, zbladł, kiedy bard zauważył zniesmaczone spojrzenie dziewczyny wlepione w Mata. Juilin się nie uśmiechnął — rzadko to robił — ale również oznajmił, że powinien trzymać się blisko, więc może później.

— Jak sobie życzyście — odparł Mat, nasadzając kapelusz z powrotem na głowę. — Vanin. Vanin! — Gruby mężczyzna wzdrygnął się i przestał wpatrywać z uwielbieniem w Elayne. Autentycznie się zaczerwienił! Światłości, ta kobieta naprawdę miała na nich zły wpływ.

Kiedy Mat zawrócił Oczko, za plecami usłyszał głos Elayne, jeszcze bardziej napuszony niż rankiem.

— Nie pozwól im pić bez umiaru, panie Cauthon. Niektórzy mężczyźni nie wiedzą, kiedy przestać. I z pewnością nie powinieneś pozwalać, by ten mały chłopczyk na to patrzył.

Zazgrzytał zębami i przejechał przez plac, nie oglądając się za siebie. Olver patrzył na niego. Będzie musiał ostrzec tych ludzi, żeby nie upijali się w obecności malca, zwłaszcza Mendair. Światłości, jak on nie znosił, gdy ona mu mówiła, co powinien robić!

Okazało się, że oberża nazywa się „Pątniczka”, ale szyld nad drzwiami oraz główna sala obiecywały wszystko, czego Mat pragnął. Dzięki wysokiej powale było w niej z pewnością chłodniej niż na dworze, a szerokie okna przesłaniały drewniane okiennice rzeźbione w arabeski. Dziur zdawało się w nich więcej niżli drewna, ale dobrze ocieniały wnętrze. Cudzoziemcy siedzieli razem z miejscowymi, wynędziały Murandianin z zakręconymi wąsami, tłusty Kandoryjczyk z dwoma srebrnymi łańcuchami biegnącymi przez pierś kaftana, inni, których nacji Mat nie rozpoznał od razu. Błada mgiełka tytoniowego dymu wisiała w powietrzu; dwie kobiety na piskliwych fletach oraz jegomość z bębmem między kolanami wygrywali jakąś dziwną muzykę. I przede wszystkim dziewczęta usługujące do stołów były ładne, a przy czterech stołach mężczyźni grali w kości. Kandoryjski kupiec grał w karty.

Stateczna oberżystka przedstawiła się jako Setalle Anan; nie urodziła się w Ebou Dar.

— Wielmożni panowie — wielkie złote koła w jej uszach zakołysały się, kiedy skłoniła głowę przed Matem i Naleseanem — ... czy „Pątniczka” może wam zaofiarować swe skromnie schronienie?

Była piękna, mimo nieznacznie posiwiałych włosów, Mat jednak przypatrywał się przede wszystkim jej oczom. Na dopasowanym naszyjniku nosiła małżeński nóż, z rękojeścią wysadzaną czerwonymi i białymi kamieniami; nóż gnieździł się w głębokim rozcięciu między piersiami, a poza tym nosiła jeszcze jeden, zakrzywiony, za pasem. Mimo to nie potrafił się powstrzymać od uśmiechu.

— Pani Anan, czuję się tak, jakbym przyjechał do domu.

Dziwna rzecz, kości przestały się toczyć w jego głowie.

## WSPARCIE W NOŻU

Nynaeve, w białym ręczniku udrapowanym na głowie, wyszła z wielkiej miedzianej wanny i powoli wytarła się do sucha. Zażywna, siwowłosa posługaczka próbowała jej pomóc w ubieraniu się, ale odesłała ją, ignorując zaskoczone spojrzenie i protesty, po czym sama to zrobiła, z wielką dbałością, uważnie przeglądając się w wysokim, stojącym lustrze ciemnozielonej sukni z szerokim kołnierzem ozdobionym kremową koronką z Merady. Ciężki, złoty sygnet Lana spoczywał w mieszk u pasa — lepiej o nim nie myśleć — razem ze skrzyconym pierścieniem *ter'angreala*, a na trzecim palcu jej prawej dłoni lśnił Wielki Wąż. Prawa dłoń. O niej też lepiej nie myśleć.

Na wysokim suficie namalowano całkiem udatnie błękitne niebo z białymi obłokami i mimo iż meble wspierały się na niepokojąco wielkich, połączonych lwich łapach, a smukłe słupki łóżka, nogi krzeseł i wszystkie inne pionowe elementy umeblowania zdobiła przesadna jak na jej gust ilość żłobień i złocień, było to wnętrze o wiele wygodniejsze od tamtej izby, w której mieszkała przez dłuższy czas. Przyjemne. Umiarkowanie chłodne. Próbowwała się uspokoić.

Bez skutku, rzecz jasna. Nieco wcześniej poczuła wrażenie towarzyszące tkaniu *saidara* i wystarczyło, że wyszła z sypialni, a zaraz zobaczyła zabezpieczenie przeciwko podsłuchiowaniu, którym Elayne otoczyła bawialnię. Birgitte i Avien-dha już tam były, wszystkie umyte i przebrane.

Apartament, o banalnym zdaniem Birgitte wystroju, składał się z czterech sypialni otaczających bawialnię, na suficie której również namalowano niebo i chmury. Cztery wysokie, zwieńczone łukami okna otwierały się na długi balkon z balustradą z kutego żelaza, pomalowaną na biało, o wzorze tak skomplikowanym, że mogły z niego wyglądać nie zauważone na Plac Mol Hara rozciągający się przed pałacem. Przez otwarte okna napływała lekka bryza, niosąca zapach soli znad morza i, o dziwo, odrobinę chłodu. Gniew zakłócał jej koncentrację, toteż Nynaeve czuła upał już od przybycia do Pałacu Tarasin.

Thomowi i Juilinowi dano izbę gdzieś w kwaterach służby, co po prawdzie zdawało się irytować Elayne bardziej niż któregośkolwiek z tych mężczyzn. Thom autentycznie się zaśmiał. Ale on z kolei mógł sobie na to pozwolić.

— Poczęstuj się doskonałą herbatą, Nynaeve — powiedziała Elayne, kładąc



białą serwetkę na spódnicach z połyskliwego, niebieskiego jedwabiu. Jak wszystko inne w bawialni, jej szerokie krzesło stało na połączonych kulach i więcej jeszcze złocień wystawało ponad jej głową. Aviendha siedziała u jej boku, ale rzecz jasna na posadzce, z nogami skrzyżowanymi pod suknią z wysokim kołnierzem, o niemalże identycznej barwie jak jasnozielone płytki. Skomplikowany niczym labirynt, srebrny naszyjnik bardzo dobrze harmonizował z suknią. Nynaeve nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała tę kobietę siedzącą na krześle. Ludzie z pewnością wytrzeszczali na nią oczy w tamtych dwu oberżach.

— Mięta i maliny — uzupełniła Birgitte i, nie czekając, napełniła jeszcze jedną filiżankę z cienkiej porcelany. Birgitte miała oczywiście na sobie obszerne szare spodnie i krótki, niebieski kaftanik. Suknie wkładała przy nielicznych okazjach, ale zdradzała przy tym gust tak fatalny, że Nynaeve była zadowolona, że czyniła to rzadko. Wszystkie trzy się wystroiły, a tymczasem nikt ich nie chciał.

Srebrny dzban połyskiwał wilgocią, a oziębiona herbata działała odświeżająco. Nynaeve podziwiała twarz Elayne, chłodną i suchą. Czuła, że sama jest już cała mokra, mimo tej bryzy.

— Muszę stwierdzić — mruknęła — że spodziewałam się innego przyjęcia.

— Doprawdy? — spytała Elayne. — Po tym, jak potraktowały nas Vandene i Adelas?

Nynaeve westchnęła.

— No dobrze. Miałam taką nadzieję. Nareszcie jestem Aes Sedai, prawdziwą Aes Sedai, a jakoś nikt nie chce w to uwierzyć. Naprawdę liczyłam, że wyjazd z Salidaru coś zmieni.

Ich spotkanie z Merilille Ceandevin nie przebiegło najlepiej. A właściwie nie było to spotkanie, tylko prezentacja. Vandene przedstawiła je niemalże perfekcyjnie, po czym zostały odprawione, by prawdziwe Aes Sedai mogły sobie porozmawiać. Merilille powiedziała wprawdzie, że one bez wątpienia pragną się odświeżyć, ale to była odprawa; dano im do wyboru: albo wyjdą jak posłuszne Przyjęte, albo odmówią niby nadaśane dzieci. Już samo wspomnienie burzyło resztki spokoju Nynaeve; z twarzy zaczynał jej ściekać pot.

To i tak jeszcze nie było w tym wszystkim najgorsze. Merilille, z Szarych Ajah, była szczupłą i elegancką, bladą Cairhienianką o lśniących czarnych włosach i wielkich, rzewnych oczach, która wyglądała tak, jakby nic jej nigdy nie dziwiło. Tyle, że te ciemne oczy rozszerzyły się, kiedy jej powiedziano, że Nynaeve i Elayne są Aes Sedai, a stały się jeszcze większe, gdy usłyszała, że Egwene jest Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Birgitte w roli Strażnika najwyraźniej ją zdumiała, aczkolwiek tym razem udało jej się ograniczyć reakcję do jednego spojrzenia i przelotnego zaciśnięcia ust. Aviendha została potraktowana najlepiej; Merilille mruknęła tylko, że na pewno spodoba jej się bycie nowicjuską. A potem zostały odprawione. I zasugerowano im, czy raczej rozkazano, że mają spędzić kilka dni na odzyskiwaniu sił po trudach podróży.

Nynaeve wyciągnęła chusteczkę z rękawa i zaczęła się bezskutecznie wachlować koronkowym kwadracikiem.

— Nadal jestem przekonana, że one coś ukrywają.

— Doprawdy, Nynaeve — skarciła ją Elayne, kręcąc głową. — Mnie też się nie podoba sposób, w jaki nas potraktowano, ale ty nadal próbujesz zrobić z igły widły. Jeżeli Vandene i Adelas chcą szukać zbiegów, to pozwólmy im na to. Czyżbyś wolała, by zamiast tego zaglądały ci do talerza? — Podczas całej podróży prawie w ogóle nie wspominały o *ter'angrealu*, którego miały szukać w Ebou Dar, ze strachu, że te dwie też się za to zaborą.

Mimo to Nynaeve nadal obstawała przy swoim. Elayne tylko nie chciała tego przyznać. Do Adelas nie dotarło, że Nynaeve usłyszała tamtą uwagę na temat szukania zbiegów, kiedy już dotrą do Ebou Dar, a gdy Nynaeve zapytała, czy naprawdę spodziewają się jakichś znaleźć, Vandene odparła, odrobinę zbyt szybko, że zawsze mają oko na młode kobiety, które uciekły z Wieży. To zupełnie nie miało sensu. Nikt wprawdzie nie zbiegł z Salidaru, ale nowicjuszki rzeczywiście czasami uciekały — ich żywot był trudny, zwłaszcza, że w perspektywie miały całe lata okazywania posłuszeństwa — i co jakiś czas również jakaś Przyjęta, zdjeta rozpaczą, że nigdy nie doczeka się szala, próbowała umknąć, ale nawet Nynaeve wiedziała, że mało której udawało się uciec z wyspy Tar Valon i że prawie wszystkie zapędzano z powrotem. W każdej chwili mogli w tobie wygasić iskrę za to, że nie okazałaś się dość silna, by wytrwać, za odmowę albo nie sprostanie inicjacji Przyjętej, względnie próbom prowadzącym do stania się Aes Sedai, które ją i Elayne szczęśliwie ominęły. Nie można było podjąć samodzielnej decyzji o wyjeździe, jeżeli jeszcze nie nosiło się szala.

Skoro więc tych, którym powiodła się ucieczka, było tak niewiele, to dlaczego Vandene i Adelas uważały, że znajdą takie w Ebou Dar, i dlaczego zamknęły się jak muszli, kiedy zapytała? Bała się, że zna odpowiedź. Musiała się mocno pilnować, żeby nie szarpać warkocza. A już myślała, że panuje nad tym coraz lepiej.

— Przynajmniej Mat wie nareszcie, że jesteśmy Aes Sedai — warknęła. Teraz sobie z nim poradzi. Niech on tylko czegoś spróbuje, a przekona się, co to znaczy być obitym wszystkim, co jej uda się opleść jakimś splotem. — I tym lepiej dla niego.

— Czy właśnie dlatego unikasz go jak jakiś Cheltanin poborcy podatkowego? — spytała Birgitte z szerokim uśmiechem, a Nynaeve poczuła, że się czerwieni. Myślała, że lepiej ukrywa uczucia.

— Nawet jak na mężczyznę bywa bardzo irytujący — mruknęła Aviendha. — Musiałaś podróżować do dalekich krajów, Birgitte. Często mówisz o miejscach, o których ja nigdy nie słyszałam. Chętnie bym się kiedyś wyprawiła na mokradła i je wszystkie zwiedziła. Gdzie jest to... Cheltan? Chelta?

Tą uwagę sprawiła, że uśmiech Birgitte natychmiast zniknął; to miejsce, gdzie-

kolwiek ono było, mogło już nie istnieć od tysiąca lat albo nawet od poprzedniego Wieku. Ona i te jej przypadkowe uwagi o starożytnych miejscowościach. Nynaeve żałowała, że jej tam wtedy nie było, więc nie mogła zobaczyć, jak się przyznawała przed Egwene do tego, o czym tamta już dawno wiedziała. Egwene, po tym całym okresie spędzonym wśród Aielów, stała się wyjątkowo wymowna i rzadko godziła się z czymś, co uważała za bzdurę. Birgitte wróciła wtedy z taką miną, jakby właśnie została zbesztana.

A mimo to Nynaeve bardziej lubiła Birgitte niż Aviendhę, której zimne spojrzenia i krwiożercza gadanina sprawiały czasami, że czuła się nieswojo. I niezależnie od tego, jaka irytująca potrafiła być Birgitte, Nynaeve obiecała, że pomoże zachować jej tajemnicę.

— Mat... mi groził — wyjaśniła pośpiesznie. Była to pierwsza rzecz, jaka jej przyszła do głowy, żeby odwrócić uwagę Aviendhy, i ostatnia, o jakiej mieli dowiedzieć się inni. Elayne autentycznie się uśmiechnęła, aczkolwiek miała w sobie dość litości, by to ukryć, zasłaniając się filiżanką herbaty. — Nie tak — dodała Nynaeve, kiedy Aviendha zaczęła marszczyć brew i gładzić palcem nóż u pasa. Kobieta Aielów zdawała się uważać, że przemoc to sposób na wszystko. — To było tylko... — Aviendha i Birgitte spojrzały na nią, całe zamieniając się w słuch. — On tylko powiedział... — Tak jak ona wyratowała Birgitte, tak teraz Elayne wyratowała ją.

— Uważam, że wystarczy już tego gadania o panu Cauthonie — oświadczyła stanowczym tonem Elayne. — On znalazł się tu tylko po to, żeby nie dręczyć Egwene. Obiecuję, że rozszyfruję ten jego *ter'angreal*, ale potrzebuję nieco czasu. — Na moment zacisnęła usta. Nie była uszczęśliwiona, kiedy Vandene i Adelas zaczęły przenosić Moc, kierując strumienie na Mata. Oczywiście nie mogła nic na to poradzić. Twierdziła, że jeśli od samego początku będzie mu mówiła, że ma zrobić to, co i tak zamierzał, wyrobi w nim niedobry nawyk. No cóż, znakomicie jej poszło. — On jest najmniej ważnym elementem tej wyprawy — dodała jeszcze bardziej stanowczo.

— O tak. — Nynaeve postarała się, by przynajmniej jej głos nie zdradzał, jak jej ulżyło. — Tak, czara jest bardzo ważna.

— Ja pierwsza wyprawię się na zwiady — oznajmiła Birgitte. — Ebou Dar zdaje się bardziej niebezpieczne, niż je zapamiętałam, a dzielnica, którą opisałyście, może być jeszcze bardziej niebezpieczna niż... — Nawet nie zerknęła na Aviendhę. — ... niż reszta miasta — dokończyła z westchnieniem.

— Jeżeli trzeba pójść na zwiady — wtrąciła żywo Aviendha — to chciałabym wziąć w nich udział. Zabrałam *cadin'sor*.

— Zwiadowca powinien stąpić się z otoczeniem — zauważyła łagodnie Elayne. — Myślę, że wszystkie cztery powinniśmy znaleźć sobie jakieś suknie uszyte w Ebou Dar; potem każda z nas będzie mogła szukać i żadna nie będzie się wyróżniała. Nynaeve pójdzie z tym pewnie najlepiej — dodała, uśmiechając się do

Birgitte i Aviendha. Wszystkie mieszkanki Ebou Dar, jakie do tej pory spotkały, miały ciemne włosy i czarne oczy.

Aviendha westchnęła posepnie, a Nynaeve miała ochotę pójść jej śladem na myśl o tych głębokich dekoltach. Bardzo głębokich, nawet jeśli wąskich. Birgitte autentycznie się uśmiechnęła; ta kobieta nie miała za grosz wstydu.

Zanim dyskusja zaszła dalej, jakaś kobieta z krótkimi, czarnymi włosami, w liberii Domu Mitsobar, weszła bez pukania do komnaty, co Nynaeve uznała za przejaw arogancji, niezależnie od tego, co zdaniem Elayne uchodziło służbie. Miała białą suknię, ze spódnicą podwiniętą nad lewym kolaniem, przez co ukazywała zieloną halkę, i z opiętym staniczkiem, z zieloną Kotwicą oraz Mieczem wyhaftowanymi na lewej piersi. Nynaeve nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała głębszy dekolt. Kobieta, pulchna i w średnim wieku, zawahała się, po czym dygnęła i zwróciła do wszystkich jednocześnie.

— Królowa Tylin chciałaby zobaczyć wszystkie trzy Aes Sedai, jeśli taka ich wola.

Nynaeve wymieniła zadziwione spojrzenia z Elayne i pozostałymi.

— Tutaj są tylko dwie Aes Sedai — powiedziała po chwili Elayne. — Może zamierzałaś udać się do Merilille?

— Skierowano mnie do tego apartamentu. . . Aes Sedai. — Pauza była ledwie zauważalna i kobieta omal nie zamieniła tytułu w pytanie.

Elayne powstała, wyglądając spódnice; żaden obcy nie powinien podejrzewać, że ta gładka twarz skrywa gniew, ale w kącikach oczu i ust widać było napięcie.

— W takim razie idziemy? Nynaeve? Aviendha? Birgitte?

— Ja nie jestem Aes Sedai, Elayne — odparła Aviendha i wtedy posługaczka wtrąciła pospiesznie:

— Powiedziano mi, tylko Aes Sedai.

— Aviendha i ja mogłybyśmy rozejrzeć się na mieście, w czasie gdy wy spotkacie się z królową — powiedziała Birgitte, zanim Elayne zdążyła otworzyć usta. Aviendha rozpromieniła się.

Elayne skarciła je obie ostrym spojrzeniem, po czym westchnęła.

— No dobrze, ale uważajcie na siebie. Nynaeve, idziesz czy też chcesz zwiedzać miasto? — To ostatnie wypowiedziała oziębłym tonem, rzucając jeszcze jedno spojrzenie na Birgitte.

— Och nie, takiej okazji nie przepuszczę — odparła Nynaeve. — Jak to dobrze nareszcie poznać kogoś, kto uważa, że my. . . — Nie mogła dokończyć z powodu obecności pokojówki. — Że my nie powinnyśmy pozwolić, by królowa czekała.

Pokonanie pałacowych korytarzy zabrało im trochę czasu. Jakby nadrabiając surową biel zewnętrznych fasad, pałac w środku był pełen barw. W jednym korytarzu sufit pomalowano na zielono, a ściany na niebiesko, w innym ściany były żółte, a sufit bladnoróżowy. Posadzki wyłożono czerwonymi, czarnymi i białymi

albo niebieskimi i żółtymi płytkami w kształcie rombów. Gobelinów wisiało tam bardzo mało, zazwyczaj przedstawiały sceny marynistyczne, za to w sklepionych niszach stały wysokie wazy ze złotej porcelany Ludu Morza, a także wielkie bryły rzeźbionego kryształu, posążki, wazony i misy, które przykuwały nie tylko spojrzenie Elayne, lecz również Nynaeve.

Rzecz jasna wszędzie kręcili się służący, w męskiej wersji liberii składającej się z białych spodni i długiej, zielonej kamizeli nałożonej na białą koszulę, z szerokimi, kraciastymi rękawami, ale nie uszły jeszcze specjalnie daleko, kiedy Nynaeve zauważyła kogoś, kto akurat zmierzał w ich stronę; zatrzymała się jak wryta i złapała Elayne za rękę. To był Jaichim Carridin. Nie oderwała wzroku od wysokiego, siwiejącego mężczyzny w białym płaszczu z rozwianymi połami, który minął je, ani razu nie kierując w ich stronę spojrzenia okrutnych, głęboko osadzonych oczu. Twarz miał pokrytą potem, ale Carridin ignorował go tak samo jak je obie.

— Co on tutaj robi? — spytała Nynaeve. Ten człowiek rozpętał rzeź w Tan-chico i Światłość tylko wiedziała, gdzie jeszcze.

Posługaczka spojrzała na nią badawczo.

— No jakże, Synowie Światłości też przystali misję poselską, wiele miesięcy temu. Królowa... Aes Sedai? — Znowu to wahanie.

Elayne udało się łaskawie skinąć głową, ale Nynaeve nie potrafiła się wyzbyć surowego tonu.

— W takim razie nie powinniśmy pozwolić jej czekać. — Jediną rzeczą, jaka wymknęła się Merilille odnośnie Tylin, było to, że jest ona kobietą pedantyczną, rygorystycznie przestrzegającą zasad. Ale jeśli również Tylin zacznie powątpiewać, że one są Aes Sedai, to Nynaeve znajdowała się w akurat znakomitym nastroju, żeby jej dowieść, jak jest naprawdę.

Posługaczka zostawiła je w wielkiej komnacie z jasnoniebieskim sufitem i żółtymi ścianami, gdzie rząd wysokich okien wychodził na długi balkon z balustradą z kutego żelaza i wpuszczał do środka miłą, słoną bryzę. Nynaeve i Elayne dygnęły przed królową tak, jak powinny dygać Aes Sedai przed władczynią — nieznaczne ugięcie tułowia, lekkie skinienie głowy.

Tylin była kobietą, która robiła naprawdę wielkie wrażenie. Nie wyższa od Nynaeve, ale tak majestatyczna, że Elayne musiałaby się bardzo wysilać, żeby jej dorównać i to w swoim najlepszym dniu. Powinna była odpowiedzieć na ich dygnięcia tym samym, ale nic takiego nie uczyniła. Miast tego jej wielkie, czarne oczy zlustrowały je z władczo.

Nynaeve odpowiedziała na uczyniony jej zaszczyt najlepiej, jak potrafiła. Fale kruczoczarnych, lśniących włosów, siwe na skroniach, spadały poniżej ramion Tylin, okalając twarz, przystojną, aczkolwiek obdarzoną niezbyt regularnymi rysami. Przez policzek biegły dwie szokujące blizny, cienkie i tak stare, że prawie całkiem zanikły. Oczywiście za pasem miała jeden z nieśmiertelnych zakrzywionych

noży, wykutych ze złota, z rękojeścią i pochwą wysadzaną klejnotami. Nynaeve była przekonana, że ten nóż jest tylko na pokaz. Suknia z niebieskiego jedwabiu Tylin z pewnością nie nadawała się do pojedynku, z tymi kawałkami śnieżnobiałej koronki, które niemalże skrywały jej dłonie, i ze spódnicami zebranych nad kolaniem, które odsłaniały warstwy zielono-białych, jedwabnych halek, wlokących się za nią po podłodze. Staniczek, obrzeżony identyczną koronką, był tak obcisły, że Nynaeve nie potrafiła orzec, czy bardziej w nim niewygodnie siedzieć, czy stać. Z misternie utkanej ze złota obręczy, która opinała wysoki kołnierz z koronką pod brodą, zwisał małżeński nóż w białej pochwie, rękojeścią w dół; sięgał rąbka owalnego wycięcia, równie śmiałego jak wszystkie tutejsze dekolty.

— Wy pewnie jesteście Elayne i Nynaeve. — Tylin usiadła na krześle z drewna, które fakturą przypominało bambus, ale pokrytego mnóstwem złocień, i starannie ułożyła spódnice, nie odrywając od nich wzroku. Głos miała głęboki, melodyjny i rozkazujący. — Słyszałam, że jest z wami jeszcze trzecia. Aviendha?

Nynaeve wymieniła spojrzenia z Elayne. Nie poproszono, by usiadły, nawet w formie spojrzenia w stronę krzesła.

— Ona nie jest Aes Sedai — zaczęła spokojnie Elayne.

Tylin przerwała jej, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej.

— A ty nią jesteś? Masz co najwyżej osiemnaście wiosen, Elayne. A ty, Nynaeve, wpatrujesz się we mnie jak kot, którego coś złapało za ogon. Ile wiosen ty przeżyłaś? Dwadzieścia dwie? Może dwadzieścia trzy? Złożyłam kiedyś wizytę w Tar Valon, a także w Białej Wieży. Wątpię, by kiedykolwiek jakaś kobieta nosiła pierścień na prawej dłoni w waszym wieku.

— Dwadzieścia sześć! — zachnęła się Nynaeve. Sporo członkiń Koła Kobiet w Polu Emonda uważało, że jest zbyt młoda, żeby być Wiedzącą. — Mam dwadzieścia sześć lat i jestem Aes Sedai z Żółtych Ajah. — Nadal przeszywał ją dreszcz dumy, kiedy to mówiła. — Elayne ma rzeczywiście osiemnaście, ale ona też jest Aes Sedai, z Zielonych Ajah. Czy sądzisz, że Merilille albo Vandene pozwoliłaby nam nosić te pierścienie dla żartu? Wiele rzeczy się ostatnio zmieniło, Tylin. Zasiadająca na Tronie Amyrlin, Egwene al'Vere, nie jest starsza od Elayne.

— Czyżby? — odparła Tylin oziębłym głosem. — Tego mi nie powiedziano. Kiedy Aes Sedai, która doradzała mi od dnia, w którym przejęłam tron, a także mojemu ojcu przede mną, wyjeżdża znienacka do Wieży bez słowa wyjaśnienia, i ja potem się dowiaduję, że pogłoski o rozłamie w Wieży są prawdziwe; kiedy Zaprzysięgli Smokowi zdają się jakby wyskakiwać spod ziemi; kiedy wybrana zostaje Amyrlin, która ma stawić opór Elaidzie, i kiedy organizuje się armię pod dowództwem jednego z wielkich kapitanów, na terytorium Altary, nie informując mnie o tym zawczasu; kiedy to wszystko się dzieje, nie możecie się spodziewać, że będę oczarowana niespodziankami.

Nynaeve miała nadzieję, że jej twarz nie zdradza, jak słabo się poczuła. Czy naprawdę nie może się nauczyć od czasu do czasu powściągać język? Nagle do-

tarło do niej, że już nie czuje Prawdziwego Źródła; gniew i zażenowanie raczej do siebie nie pasowały. Gdyby jej kazano przenosić, mogłaby zrobić z siebie jeszcze większą idiotkę.

Elayne bez wahania zabrała się za łagodzenie atmosfery.

— Wiem, że słyszałaś już o tym wcześniej — powiedziała do Tylin — ale pozwól, że dołączę moje przeprosiny do tych, które wyraziła Merilille i inne. Organizowanie armii na twoim terytorium bez twojego zezwolenia woła o pomstę do nieba. Ja mogę się sumitować jedynie faktem, że zdarzenia następowały szybko i że my w Salidarze dałyśmy się do nich wciągnąć, ale to, rzecz jasna, nas nie tłumaczy. Przysięgam ci, że nie zamierzamy ani uczynić szkody Altarze, ani też obrazić Tronu Wiatrów. Właśnie teraz, kiedy to mówimy, Gareth Bryne prowadzi armię ku północy, poza granice Altary.

Tylin popatrzyła na nią. Nawet nie mrugnęła.

— Dotychczas nie usłyszałam choćby słowa przeprosin bądź wyjaśnień. Ale każdy władca Altary musi się nauczyć, jak przełykać obrazę zaznaną od większych potęg, i to bez soli. — Zrobiwszy głęboki wdech, wykonała gest ręką, wymachując przy tym koronkami. — Siadajcie, siadajcie. Obie. Wesprzyjcie się na swych nożach i uwolnijcie języki. — Uśmiechnęła się nagle, niemalże od ucha do ucha. — Nie wiem, jak wy to mówicie w Andorze. Czujcie się swobodnie i mówcie o wszystkim, co chcecie.

Nynaeve ucieszyła się, że niebieskie oczy Elayne rozszerzyły się ze zdziwienia, ponieważ ona sama głośno przełknęła ślinę. To o tej niby kobiecie Merilille twierdziła, że przestrzega etykiety, która zdaje się rzeźbiona w polerowanym marmurze? Nynaeve była bardziej niż zadowolona, że może usiąść na krześle. Przypomniałszy sobie, ile było podziemnych trendów w Salidarze, zastanowiła się, czy Tylin próbuje... czego? Nauczyła się podejrzewać każdego, kto nie był bliskim przyjacielem, o to, że nią manipuluje. Elayne przysiadła na samym brzeжку krzesła, bardzo sztywno.

— Mówię to, co myślę — zapewniła je Tylin. — Cokolwiek powiecie, nie poczytam tego za obrazę. — Zabębniła jednak palcami o wysadzaną klejnotami rękojeść noża zatkniętego za pas, dając do zrozumienia, że obrazi się, jeśli będą milczeć.

— Nie bardzo wiem, od czego zacząć — odparła ostrożnie Nynaeve. Naprawdę wolałaby, żeby Elayne tak nie kiwała głową; tamta powinna wiedzieć, jak traktować królów i królowe. Dlaczego czegoś nie powie?

— Od odpowiedzi na pytanie dlaczego — odparowała zniecierpliwionym tonem królowa. — Dlaczego cztery kolejne Aes Sedai przybywają z Salidaru do Ebou Dar? To niemożliwe, by po to tylko, żeby uzyskać przewagę nad misją Elaidy, której Teslyn nawet nie określa tym mianem, a zresztą przybyła wyłącznie ona i Joline... Nie wiedziałyście? — Padła na krzesło ze śmiechem, zakrywając usta dłonią. — A o Białych Płaszczach wiecie? Tak? — Wolną dłonią wykona-

ła gest cięcia, a jej rozweselenie zaczęło stopniowo ustępować. — To na Białe Płaszczę! Ale ja muszę słuchać wszystkich, którzy przebywają na moim dworze, również Lorda Inkwizytora Carridina.

— A to dlaczego? — spytała podniesionym tonem Nynaeve. — Cieszę się, że nie lubisz Białych Płaszczy, ale w takim razie dlaczego musisz słuchać tego, co mówi Carridin? Ten człowiek to rzeźnik. — Wiedziała, że popełniła kolejną gafę. Powiedział jej o tym wzrok Elayne, która nagle zaczęła się przyglądać szerokiemu, białemu kominkowi, zwieńczonemu głęboką półką rzeźbioną we wzburzone fale, i to wcześniej niż ostatnia salwa śmiechu Tylin ucichła niby nożem uciął.

— Możecie mnie trzymać za słowo — powiedziała cicho królowa. — Poprosiłam, żebyście mówiły swobodnie, a... — Spojrzenie ciemnych oczu utkwiło w płytkach posadzki; królowa zdawała się zbierać się w sobie.

Nynaeve popatrzyła na Elayne, w nadziei, że ta jej jakoś da do zrozumienia, co złego zrobiła i jak to teraz naprawić, ale Elayne spojrzała tylko na nią z ukosa i nieznacznie pokręciła głową, po czym zaczęła się od nowa przyglądać marmurowym falom. Może powinna też unikać patrzenia na Tylin? A mimo to postać tej kobiety wpatrzonej w posadzkę przykuwała jej wzrok. Tylin jedną dłonią gładziła rękojeść zakrzywionego sztyletu, drugą mniejszy sztylet tkwiący między jej piersiami.

Małżeński nóż mówił całkiem sporo o Tylin; Vandene i Adelas bardziej niż chętnie wyjaśniały różne rzeczy odnośnie Ebou Dar, zazwyczaj takie, które sprawiały, że to miasto zdawało się niebezpieczne dla każdego, kto nie był otoczony tuzinem uzbrojonych gwardzistów. Biała pochwa oznaczała, że królowa jest wdową i że nie zamierza ponownie wychodzić za mąż. Cztery perły i jeden ognik osadzone w złotej rękojeści mówiły, że urodziła czterech synów i jedną córkę, a czerwona emalia na trzech perłach znaczyła, że tylko jeden syn przeżył. Wszyscy mieli przynajmniej szesnaście lat, kiedy umierali, a umierali w pojedynkach, bo inaczej tło byłoby czarne. Ciekawe, jak to jest, gdy się stale nosi pamiątkę tego typu. Według Vandene kobiety uważały czerwone i białe tło za powód do dumy, niezależnie od tego, czy rękojeść wysadzana była perłami, ognikami czy kolorowym szkłem. Vandene twierdziła, że kobiety z Ebou Dar usuwają kamienie symbolizujące dzieci, które ukończyły szesnaście lat i odmówiły wzięcia udziału w pojedynku, a potem nigdy się do nich nie przyznają.

Po dłuższej chwili Tylin podniosła głowę. Miała pogodną minę i odjęła dłoń od sztyletu przy pasie, ale nadal z roztargnieniem gładziła małżeński nóż.

— Chcę, żeby mój syn zastąpił mnie na Tronie Wiatrów — powiedziała łagodnym tonem. — Beslan jest twoim rówieśnikiem, Elayne. W Andorze doszłoby do tego automatycznie, pod warunkiem, że byłby kobietą — tu uśmiechnęła się, prawdziwie rozbawiona — albo w każdym innym kraju z wyjątkiem Murandy, gdzie sprawy mają się mniej więcej tak samo jak tutaj, w Altarze. Przez tysiąc lat od czasów Artura Hawkwinga tylko jeden Dom zasiadał na tronie przez całe pięć



pokoleń, a upadek Anariny był tak dramatyczny jakby upadek z urwiska, do tego stopnia, że Dom Todande jest po dziś dzień pieskiem pokojowym dla każdego, kto tego sobie zażyczy. Żaden inny Dom nie miał od tego czasu dwóch królów w sukcesji.

Kiedy mój ojciec, Mitsobar, przejął tron, pozostałe Domy posiadały większą część miasta niż on sam. Gdyby wyszedł z tego pałacu bez gwardzistów, to zostałby zaszyty w worku z kamieniami i wrzucony do rzeki. Po śmierci dał mi to, co mam teraz. Czyli niewiele w porównaniu z innymi władcami. Człowiek jadący na wypoczętych koniach mógłby dotrzeć do granic moich włości w jeden dzień. Ale nie próżnowałam. W momencie, gdy nadeszły wieści o Smoku Odrodzonym, byłam pewna, że mogę dać Beslanowi dwa razy tyle, ile sama dostawałam, a oprócz tego jakieś sojusze. Kamień Łzy i *Callandor* wszystko zmieniły. A teraz dziękuję Pedronowi Niallowi za to, że załatwił, by Illian zabrało tylko stumilowy płat Altary zamiast dokonywać inwazji. Słucham Jaichima Carridina i nie pluję mu w twarz, nie bacząc na to, ilu Altaran poległo w Wojnie z Białymi Płaszczami. Słucham Carridina, Teslyn i Merilille, modląc się, żebym mogła przekazać cokolwiek memu synowi, zamiast utonąć w wannie w dniu, w którym Beslana spotka wypadek na polowaniu.

Tylin zrobiła głęboki wdech. Pogodna mina pozostała, ale do głosu wkradła się ostra nuta.

— Ale do rzeczy. Stałam dla was na samym środku targu rybnego z obnażoną piersią. Odpowiedzcie na moje pytania. Dlaczego mam honor powitać kolejne cztery Aes Sedai?

— Przyjechałyśmy tu po to, żeby znaleźć pewien *ter'angreal* — wyjaśniła Elayne. Kiedy Nynaeve wytrzeszczała oczy, ona opowiedziała wszystko, począwszy od *Tel'aran'rhiod*, a skończywszy na kurzu w izbie, w której znajdowała się czara.

— Przywrócenie równowagi w pogodzie byłoby błogosławieństwem — stwierdziła po namyśle Tylin — ale z twoich słów wynika, że ten przedmiot znajduje się chyba w Rahad, po drugiej stronie rzeki. Nawet Gwardia Obywatelska rzadko kiedy tam się zapuszcza. Wybaczcie mi, rozumiem przecież, że jesteście Aes Sedai, ale w Rahad ktoś może wbić wam nóż w plecy, nim się zdążycie zorientować. Jeżeli macie piękne odzienie, to użyją bardzo wąskiego ostrza, żeby jak najmniej zbrukać je krwią. Może powinnyście pozostawić te poszukiwania Vandene i Adelas. Moim zdaniem one mają trochę więcej doświadczenia niż wy.

— One powiedziały ci o czarze? — spytała Nynaeve, marszcząc brew, ale królowa pokręciła głową.

— Powiedziały tylko tyle, że mają tutaj czegoś szukać. Aes Sedai nigdy nie mówią więcej niż muszą. — Raz jeszcze błysnął ten nagły uśmiech; wyglądał na całkiem wesoły, sprawiając przy tym, że blizny na policzkach królowej zamieniały się w cienkie kreski. — Wyjąwszy was dwie. Oby lata zanadto was nie zmieniły.

Często żałuję, że Cavandra nie wróciła z Wieży; z nią mogłam rozmawiać w taki sposób. — Powstawszy, dała znak, że mają siedzieć, i posuwistymi krokami przeszła przez komnatę, by zastukać w srebrny gong młoteczką z kości słoniowej; rozległ się całkiem donośny dźwięk, mimo iż instrument był mały. — Poślę po chłodną, miętową herbatę i porozmawiamy sobie. Powieście mi, jakiej pomocy się spodziewacie; jeżeli dam wam żołnierzy w charakterze eskorty do Rahad, to znowu dojdzie do Winnych Zamieszek. Może też spróbujecie mi wyjaśnić, dlaczego w zatoce jest pełno statków Ludu Morza, które ani nie dokują, ani nie handlują. . .

Sporo czasu zeszło im na picie herbaty i rozmowie, przeważnie na temat niebezpieczeństw, jakie im mogły zagrozić w Rahad, i tego, czego Tylin nie mogła dla nich zrobić, po czym wprowadzony został Beslan, cichy młodzieniec; skłonił się z szacunkiem i zapatrzył na nie pięknymi, czarnymi oczyma, w których pojawiła się chyba ulga, kiedy jego matka pozwoliła mu odejść. On z pewnością ani przez chwilę nie wątpił, że naprawdę są Aes Sedai. Wreszcie obie szukały drogi powrotnej do apartamentów przez pomalowane na żywe kolory korytarze.

— A więc jednak zamierzają przejąć kontrolę nad poszukiwaniami — mruknęła Nynaeve, rozglądając się dookoła, żeby się upewnić, że żaden ze służących nie jest dostatecznie blisko, by to usłyszeć. Tylin dowiedziała się zbyt wiele na ich temat i zbyt wcześnie. A jakby się nie uśmiechała, zgromadzenie Aes Sedai w Salidarze wcale jej się nie podobało. — Elayne, uważasz, że mądrze postąpiłaś, mówiąc jej aż tyle? Ona chce, żeby ten chłopiec zasiadł na tronie, więc być może stwierdziła, że osiągnie to, jeśli pozwoli nam znaleźć czarę, a potem opowie o wszystkim Teslyn. — Jak przez mgłę pamiętała Teslyn, niemłą kobietę z Czerwonych Ajah.

— Wiem, co moja matka myślała o Aes Sedai podróżujących po Andorze, które nie mówiły jej, co robią. Wiem, co ja bym o nich myślała. Poza tym wreszcie sobie przypomniałam, jak mnie uczono tego powiedzenia: „Wesprzyj się na swym nożu i odpocznij”. Musisz skłamać, żeby obrazić osobę, która ci to mówi. — Elayne nieznacznie zadarła podbródek. — Jeśli zaś idzie o Vandene i Adelas, to im się tylko wydaje, że przejęły dowodzenie. W Rahad może być niebezpiecznie, ale moim zdaniem tu wcale nie jest gorzej niż w Tanchico, a poza tym nie będziemy musiały się bać Czarnych Ajah. Założę się, że za dziesięć dni będziemy miały czarę, ja będę wiedziała, co sprawia, że *ter'angreal* Mata robi coś, czego nie powinien robić, i wtedy wyruszymy w drogę, żeby przyłączyć się do Egwene. Mat będzie tarł czoło równie energicznie jak pan Vanin, a Vandene i Adelas pozostaną tutaj z Merilille i Teslyn, starając się dociec, co się właściwie stało.

Nynaeve nie wytrzymała; wybuchnęła głośnym śmiechem. Jakiś chudy służący, który właśnie przestawiał wielką wazę ze złotej porcelany, wytrzeszczył na nią oczy, na co ona pokazała mu język. Omal nie upuścił naczynia.

— Nie będę się o nic zakładała, najwyżej o Mata. Dziesięć dni, powiadasz?

## ZWIERCIADŁO MGIEŁ

Rand z ukontentowaniem zaciągnął się fajką; odziany w samą koszulę siedział pod jedną z białych kolumn otaczających niewielki, owalny dziedziniec i obserwował wodę tryskającą z marmurowej fontanny; jej krople iskrzyły się w słońcu niczym klejnoty. Ta część dziedzińca nadal pozostawała w przyjemnym cieniu. Nawet Lews Therin zachowywał się spokojnie.

— Na pewno nie zastanowisz się raz jeszcze nad wyjazdem do Łzy?

Usadowiony pod drugą kolumną Perrin, który także pozbył się kaftana, wypuścił dwa kółka z dymu, zanim ponownie włożył do ust, ozdobioną rzeźbieniami w kształcie wilczych łbów, fajkę.

— A co ty powiesz na to, co widziała Min?

Próba wykonania własnego kółka zbiegła się z kwaśnym burknięciem i Randowi wyszedł z ust jedynie kłęb dymu. Min nie miała prawa mówić o tym tak, by mógł to słyszeć Perrin.

— Naprawdę chcesz być uwiązany do mojego pasa, Perrin?

— To, czego ja chcę, raczej się nie liczy od tamtego pierwszego razu, kiedy zobaczyliśmy Moiraine w Polu Emonda — odparł sucho Perrin. Westchnął. — Jesteś, kim jesteś, Rand. Jeśli ty przegrasz, wszystko przepadnie. — Pochylił się nagle do przodu, patrząc krzywo w stronę szerokich drzwi skrytych za kolumnami po ich prawej stronie.

Chwilę później Rand usłyszał od tamtej strony kroki, zbyt ciężkie, by mógł stawiać je człowiek. Wielka postać, która wsunęła głowę przez drzwi i weszła na dziedziniec, była więcej niż dwa razy wyższa od posługaczki, która niemalże biegła, by dotrzymać kroku długim nogom ogira.

— Loial! — zawołał Rand, niezdarnie podnosząc się na nogi. Razem z Perinem dobiegli do niego równocześnie. Uśmiech szerokich ust Loiala niemalże dzielił mu twarz na dwie połowy; długi kaftan, rozchodzący się na wywróconych cholewach sięgających kolan butów, był nadal pokryty pyłem z podróży. Wielkie kieszenie wybrzuszały się od kanciastych kształtów; Loial nigdy się nie rozstawał ze swymi książkami. — Czy jesteś zdrow, Loial?

— Wyglądasz na zmęczonego — zauważył Perrin, podprowadzając ogira do fontanny. — Usiądź sobie na cembrowinie.

Loial dał się prowadzić, ale jego długie, dyndające brwi uniosły się, a zakończone pędzelkami uszy zastrzygły ze zdumienia, kiedy patrzył to na jednego, to na drugiego. Na siedząco dorównywał wzrostem stojącemu Perrinowi.

— Zdrów? Zmęczony? — Jego głos brzmiał jak rumor trzęsącej się ziemi. — Jasne, że jestem zdrów. A zmęczyłem się, bo przeszedłem szmat drogi. Muszę powiedzieć, że przyjemnie było nareszcie stanąć na własnych nogach. Zawsze się wie, dokąd wiodą, a z koniem nigdy nie wiadomo. A zresztą moje nogi są szybsze. — Nagle wybuchnął śmiechem podobnym do grzmotu. — Jesteś mi winien złotą koronę, Perrin. Twoje „dziesięć dni”. Założę się o jeszcze jedną koronę, że dotarłeś tutaj nie wcześniej jak pięć dni przede mną.

— Dostaniesz swoją koronę — odparł ze śmiechem Perrin. Po czym sprawił, że Loialowi uszy zawibrowały z oburzenia, dodał bowiem zwracając się do Randa: — Gaul go zdeprawował. Grywa teraz w kości i obstawia wyścigi, mimo że ledwie potrafi odróżnić jednego konia od drugiego.

Rand uśmiechnął się szeroko. Loial zawsze patrzył na konie raczej z powątpiewaniem, i nic dziwnego, skoro miał od nich dłuższe nogi.

— Jesteś pewien, że dobrze się czujesz, Loial?

— Czy znalazłeś porzucony *steding*? — zapytał Perrin, nie wyjmując fajki z ust.

— Czy zostałeś tam dostatecznie długo?

— O czym wy obaj mówicie? — Niepewny grymas Loiala ściągnął mu końcówki brwi do policzków. — Ja tylko chciałem raz jeszcze zobaczyć *steding*, poczuć go. Jestem teraz gotów przeżyć następne dziesięć lat.

— Nie o tym mówiła twoja matka — odparł z powagą Rand.

Loial wstał, zanim Rand skończył, rozglądając się dzikim wzrokiem we wszystkie strony; uszy przylgnęły mu płasko do czaszki i cały się trząsł.

— Moja matka? Tutaj? To ona jest tutaj?

— Nie, nie ma jej — odparł Perrin, a Loialowi niemalże natychmiast uszy oklapły z ulgi. — Jak się zdaje, jest w Dwu Rzekach. Albo była, miesiąc temu. Rand wykorzystał jakiś sposób na przeskakiwanie z miejsca do miejsca i zabrał ją razem ze Starszym Hamanem... O co chodzi?

Loial, który już miał usiąść, na wzmiankę o Starszym Hamanie zastygł z ugiętymi kolanami. Z zamkniętymi oczami powoli opuścił się na oparcie.

— Starszy Haman — mruknął, pocierając twarz dłonią o grubych palcach. — Starszy Haman i moja matka. — Zerknął na Perrina. Zerknął na Randa. Głosem nieco zbyt cichym i pozornie obojętnym zapytał: — Czy był z nimi ktoś jeszcze?

— Młoda kobieta ogir o imieniu Erith — odpowiedział mu Rand. — Ty... — Tyle tylko powiedział.

Loial z głośnym jękiem znowu poderwał się na nogi. W drzwiach i oknach pojawiły się głowy służących, którzy chcieli sprawdzić, co to za straszny hałas;

na widok Randa natychmiast się pochowały. Loial zaczął spacerować w tę i z powrotem; uszy i brwi tak mu oklapły, że zdawał się roztopiać.

— Ożenek — wymamrotał. — To nie mogło oznaczać nic innego, skoro towarzyszyła matce i Starszemu Hamanowi. Ożenek. Jestem za młody, żeby się żenić! — Rand ukrył dłonią uśmiech; jak na ogira Loial być może był młody, ale ostatecznie miał ponad dziewięćdziesiąt lat. — Ona mnie zawlecze z powrotem do Stedding Shangtai. Wiem, że nie pozwoli mi podróżować z tobą, a przecież nie zgromadziłem jeszcze dostatecznej liczby notatek do mojej książki. Och, możesz się uśmiechać, Perrin. Faile robi wszystko, co jej każesz. — Perrin zaczął dławić się swoją fajką i rzeził dopóty, dopóki Rand nie walnął go w plecy. — U nas jest inaczej — ciągnął Loial. — Uważają cię za bardzo aroganckiego, jeśli nie wykonujesz poleceń żony. Bardzo aroganckiego. Ja wiem, że ona każe mi się ustatkować, zostać kimś zasługującym na zaufanie i szacunek, czyli na przykład śpiewakiem drzew albo... — Nagle zmarszczył brew i przestał chodzić w kółko. — Erith, powiedziałaś? — Rand skinął głową; Perrin zdawał się odzyskiwać oddech, ale patrzył spode łba na Loiala z czymś w rodzaju złośliwego rozbawienia. — Erith, córka Ivy córki Alar? — Rand znowu przytaknął, a Loial ponownie przysiadł na cembrowinie. — Ależ ja ją znam! Pamiętasz Erith, Rand? Poznaliśmy ją w Stedding Tsofu.

— To właśnie starałem ci się powiedzieć — odparł cierpliwym tonem Rand. I z nie mniejszym rozbawieniem. — To ona właśnie powiedziała, że jesteś przystojny. Dała ci kwiat, o ile sobie przypominam.

— Może i coś takiego powiedziała — mruknął defensywnie Loial. — Może i dała; ja tego nie pamiętam. — Ale jedna z jego dłoni zabłąkała się do pełnej książki kieszeni kaftana; Rand gotów był się założyć o wszystko, że kwiat jest wciśnięty do jednej z nich. Chrząknięcie ogira zabrzmiało jak głuchy łoskot. — Erith jest bardzo piękna. W życiu nie widziałem nikogo tak pięknego. I zarazem inteligentnego. Słuchała z wielką uwagą, kiedy objaśniałem jej teorię Serdena, syna Koloma syna Radlina, który pisał swoje dzieła jakieś sześćset lat temu... No więc, kiedy objaśniałem jego teorię, czyli jak Drogi... — Zawiesił głos, jakby właśnie zauważył ich uśmiechy. — No cóż, słuchała mnie. Z uwagą. Bardzo się zainteresowała.

— Nie wątpię — odparł niezobowiązująco Rand. Wzmianka o Drogach sprawiła, że zaczął się zastanawiać. Większość Bram znajdowała się w pobliżu stedding i jeśli można było wierzyć matce Loiala i Starszemu Hamanowi, Loial potrzebował właśnie stedding. Oczywiście nie mógł zaprowadzić go dalej jak tylko do skraju; nie dawało się przenieść splotów do wnętrza stedding, tak samo jak nie dawało się przenosić na jego terenie. — Posłuchaj mnie, Loial. Zamierzam otoczyć wszystkie Bramy zabezpieczeniami i potrzebuję kogoś, kto nie tylko może je znaleźć, ale również porozmawiać ze Starszymi i uzyskać ich zgodę.

— Światłości — warknął z niesmakiem Perrin. Wystukał zawartość fajki i ob-

casem buta wgniótł popioły w bruk dziedzińca. — Posyłasz Mata do starcia z Aes Sedai, chcesz wrzucić mnie w sam środek wojny z Sammaelem, razem z kilkuset ludźmi z Dwu Rzek, wśród których jest kilku twoich znajomych, a teraz chcesz wyprawić Loiala w drogę, mimo że on dopiero co wrócił. A żebyś szczeł, Rand, popatrz na niego! On musi odpocząć. Czy jest ktoś taki, kogo nie wykorzystujesz? Może chcesz, żeby Faile ruszyła na polowanie na Moghedien i Semirhage? Światłości!

Rand poczuł, jak wzbiera w nim gniew, burza, która sprawiła, że cały się zatrzęsł. Żółte oczy wpatrywały się w niego ponuro, ale on odwzajemnił to spojrzenie wzrokiem dającym się przyrównać do uderzenia pioruna.

— Wykorzystam każdego, kogo muszę wykorzystać. Sam powiedziałeś; jestem, kim jestem. I poświęcam także samego siebie, Perrin, bo muszę. Nie mamy już żadnego wyboru. Ani ja, ani ty, ani nikt inny!

— Rand, Perrin — mruknął z troską Loial. — Uspokójcie się, uciszcie. Nie walczcie. Nie wy. — Poklepał obu niezdarnie po ramieniu, dłońmi wielkości szynek. — Obaj powinniście odpocząć w *stедding*. Tam panuje wielki spokój, tam można znaleźć ukojenie.

Rand zapatrzył się na wpatzonego weń Perrina. Nadal czuł w sobie gniew, światło błyskawic tej burzy, która nie do końca minęła. Pomrukiwania Lewsa Therina pobrzmiwały kapryśnie, w oddaleniu.

— Przepraszam — mruknął, kierując to do obydwóch.

Perrin wykonał gest ręką, może chcąc dać do zrozumienia, że nie ma za co przepraszać, może przyjmując przeprosiny, ale nic nie powiedział. Zamiast tego znowu obrócił głowę w stronę kolumn, w kierunku tych samych drzwi, przez które wszedł tutaj Loial. Znowu upłynęło kilka chwil, zanim Rand usłyszał odgłos szybkich kroków.

Na dziedziniec wparowała biegnąca co tchu Min. Ignorując Loiala i Perrina, złapała Randa za ramiona.

— Zaraz tu będą — wydyszała. — Właśnie tutaj idą.

— Spokojnie, Min — powiedział Rand. — Uspokój się. A ja już myślałem, że wszystkie położyły się do łóżek tak jak ta... Jak, mówiłaś, tamtej na imię? Demira? — Tak naprawdę jednak poczuł znaczną ulgę, mimo iż razem ze wzmianką o Aes Sedai pomrukiwania i świszczący śmiech Lewsa Therina stały się głośniejsze. Merana zjawiała się przez trzy kolejne popołudnia, w towarzystwie dwóch siostr, tak regularnie jak w zegarku, ale te wizyty urwały się nagle przed pięcioma dniami, bez słowa wyjaśnienia. Min nie miała pojęcia, dlaczego tak się stało. Już się obawiał, że mogły do tego stopnia poczuć się urażone ograniczeniami, które im narzucił, że postanowiły wyjechać.

Min nadal wpatrywała się w niego z udręką na twarzy. Zauważył, że cała się trzęsie.

— Posłuchaj mnie! Jest ich siedem, a nie trzy, i wcale mnie nie wysłały, żebym

poprosiła cię o pozwolenie albo powiadomiła. Wymknęłam się przed nimi i przez całą drogę galopowałam na Dzikiej Róży. One chcą wejść do Pałacu, zanim się dowiesz, że tu są. Podśluchałam rozmowę Merany z Demirą; nie wiedziały, że tam jestem. Chcą dotrzeć do Sali Wielkiej przed tobą, tak żebyś to ty musiał do nich przyjść.

— Czy uważasz, że tego właśnie dotyczyła twoja wizja? — zapytał spokojnie. Powiedziała, że kobiety, które potrafią przenosić, wyrządzą mu wielką krzywdę.

„Siedem! — wychrypiał szeptem Lews Therin. — Nie! Nie! Nie!”

Rand zignorował go, niewiele więcej mógł zrobić.

— Nie wiem — odparła zbolałym głosem Min. Rand zdziwił się, gdy pojął, że ten blask w jej ciemnych oczach bierze się z nie wylanych łez. — Myślisz, że nie powiedziałabym ci, gdybym wiedziała? Ja wiem tylko, że one tu idą i...

— I że nie ma się czego obawiać — przerwał jej stanowczo. Aes Sedai musiały ją naprawdę nastraszyć, skoro była bliska płaczu.

„Siedem — jęknął Lews Therin. — Nie poradzę sobie z siedmioma, nie z wszystkimi jednocześnie. Nie z siedmioma”.

Rand pomyślał o tłustym człowieczku, jego *ter'angrealu*, i głos ścichł do pomruku; nadal jednak pobrzmiwał w nim niepokój. Przynajmniej nie było wśród nich Alanny; Rand czuł dzielącą ich odległość. Nie przemieszczała się, a w każdym razie na pewno nie w jego stronę. Nie bardzo wiedział, czy odważyłby się ponownie stanąć z nią twarzą w twarz.

— Ale poza tym nie ma też czasu do stracenia. Jalani?

Młoda Panna o puciołowatych policzkach wyskoczyła zza kolumny tak nagle, że Loialowi aż uszy stanęły dęba. Min jakby dopiero teraz zobaczyła ogira i Perrina; też się wzdrygnęła.

— Jalani — powiedział Rand. — Powiadom Nanderę, że wybieram się do Wielkiej Sali, gdzie niebawem spodziewam się wizyty Aes Sedai.

Jalani starała się zachować nieprzeniknioną twarz, ale załóżki uśmiešku samozadowolenia sprawiły, że jej policzki wydały się jeszcze bardziej puciołowate.

— Beralna poszła już powiadomić Nanderę, *Car'a'carnie*. — Loial zastrzygł uszami ze zdziwienia, kiedy usłyszał ten tytuł.

— Czy w takim razie zechcesz przekazać Sulin, żeby spotkała się ze mną w gotowalniach za Wielką Salą? Niech uszykuje dla mnie kaftan. I Berło Smoka.

Jalani uśmiechnęła się otwarcie.

— Sulin już pobiegła w swej sukni mieszkanki bagien, tak szybko jak szaronosy zając, który usiadł na kołcach *segade*.

— W takim razie — powiedział Rand — możesz przyprowadzić mojego konia do Wielkiej Sali. — Młodej Pannie opadła szczęka, zwłaszcza kiedy Perrin i Loial zgięli się w pół ze śmiechu.

Rand chrząknął głucho, kiedy pięść Min kuksnęła go w zębra.

— Tu nie ma z czego żartować, ty gruboskórny pasterzu! Merana i pozostałe drapowały swe szale w taki sposób, jakby wkładały zbroje. A teraz zechciej mnie posłuchać. Stanę gdzieś na uboczu, za kolumnami, więc ty będziesz mnie widział, a one nie, i jeśli coś zauważę, dam ci znak.

— Zostaniesz tutaj, z Loialem i Perrinem — przykazał. — Nie mam pojęcia, jaki znak mogłabyś mi dać, tak żebym go zrozumiał; przecież jeśli one zobaczą cię bodaj tylko przelotnie, zaraz będą wiedziały, że to ty mnie ostrzegłaś. — Odpowiedziała wsparciem pięści o biodra i chmurnym, zawziętym spojrzeniem zza rzes. — Min?

Ku jego zdumieniu westchnęła i powiedziała:

— Tak, Rand — potulnym, bezbarwnym głosem.

Taka reakcja z jej strony musiała wzbudzić w nim podejrzliwość, taką samą, jaką w podobnych okolicznościach wzbudziłyby w nim Elayne albo Aviendha, ale nie miał czasu na docieranie do prawdy, jeśli chciał znaleźć się w Wielkiej Sali przed Meraną. Skinął głową, z nadzieją, że nie widać po nim, jak niepewnie się poczuł.

Zastanawiając się, czy powinien był poprosić Perrina i Loiala, by ją tutaj zatrzymali — byłaby tym zapewne urzeczona — pobiegł do gotowalni za Wielką Salą, z Jalani depczącą mu po piętach; mruzczała pod nosem, że nie wie, czy z tym koniem to był jakiś żart. Sulin już czekała z czerwonym kaftanem haftowanym złotą nicią i Berłem Smoka; kikut włóczni został opatrzony burknięciem wyrażającym aprobatę, mimo iż bez wątpienia wołałaby go bez tych zielono-białych chwastów i rzeźbień, a za to z drzewcem odpowiedniej długości. Rand obmacał kieszeń, żeby się upewnić, że jest w niej *angreal*. Znalazł go, więc odetchnął swobodnie, aczkolwiek Lews Therin nadal zdawał się dyszeć niespokojnie.

Kiedy Rand przeszedł pospiesznie przez jedną z gotowalni wyłożonych panelami z wizerunkami lwów do Wielkiej Sali, przekonał się, że wszyscy byli równie szybcy jak Sulin. Z jednej strony tronu górował wyższy od wszystkich Bael, z rękoma założonymi na piersiach, z drugiej stała Melaine, spokojnie poprawiająca ciemny szal. Ze sto albo i więcej Panien klęczało na jednym kolanie, tworząc pod czujnym okiem Nandery szereg biegnący od drzwi, wszystkie z włóczniami i tarczami, rogowymi łukami przymocowanymi do pleców i pełnymi kołczanami przy biodrach. Nad czarnymi zasłonami widać było tylko oczy. Jalani podbiegła do szeregu, by się do nich przyłączyć. Za nimi jeszcze więcej Aielów tłoczyło się wśród grubych kolumn, mężczyźni i Panny, aczkolwiek żadne nie wyglądało na uzbrojonych w coś więcej prócz noży o cienkich ostrzach. A jednak dawało się wśród nich zauważyć wiele ponurych twarzy. Nie mogła im się podobać myśl o konfrontacji z Aes Sedai i to wcale nie ze strachu przed Mocą. Czego Melaine i inne Mądre by o nich nie mówiły, większość Aielów dobrze pamiętała o tym, jak zawiedli Aes Sedai.

Bashere tam oczywiście nie było — razem z żoną wyjechał do jednego z obo-



zów szkoleniowych — i nie było też ani jednego z andorańskich arystokratów, którzy tłumnie nawiedzali pałac. Rand nie wątpił, że Naeon, Elenia, Lir i reszta tego towarzystwa dowiedzieliby się o tym zgromadzeniu, ledwie by się zaczęło. Nigdy nie opuszczali żadnej audiencji, chyba że ich odesłał. Ich nieobecność mogła oznaczać jedynie to, że po drodze do Wielkiej Sali poznali również jego powód, a więc Aes Sedai musiały przybyć już do pałacu.

I w rzeczy samej, zanim Rand zdążył zasiąść na Tronie Smoka z Berłem Smoka ułożonym na kolanach, do Wielkiej Sali wparowała pani Harfor, wyraźnie skonsternowana, co jak na nią było dość niezwykle. Wpatrzona w niego i w Aielów z jednakim zdumieniem, powiedziała:

— Posyłałam służbę we wszystkie strony, żeby cię znaleźli. Są tu Aes Sedai...  
— Tyle tylko zdążyła powiedzieć i w szerokich drzwiach stanęło siedem Aes Sedai.

Rand poczuł, że Lews Therin sięga do *saidina*; że dotyka *angreala*, więc sam objął go mocno, chwytając ten wściekły potok ognia i lodu, brudu i słodyczy, z taką samą siłą, z jaką ścisnął kikut seanchańskiej włóczni.

„Siedem — mruknął ponuro Lews Therin. — Trzy, mówiłem im przecież, a przyszło siedem. Muszę uważać. Tak. Uważać”.

„To ja powiedziałem, że mają przychodzić po trzy — odwarknął Rand. — Ja! Rand al'Thor!” Lews Therin zamilkł, ale już po chwili odległy pomruk odezwał się ponownie.

Pani Harfor przeniosła wzrok z Randa na siedem kobiet w szalach ozdobionych frędzlami i najwyraźniej zadecydowała, że nie jest to miejsce dla niej. Skłoniła się przed Aes Sedai i Randem, po czym podeszła do drzwi, demonstrując swe opanowanie. Kiedy szereg idących pierś w pierś Aes Sedai wszedł do środka, wysunęła się na zewnątrz, tylko nieznacznie zdradzając pośpiech.

Podczas każdej ze swych trzech wizyt Merana przyprowadzała inne Aes Sedai i Rand rozpoznał teraz wśród nich wszystkie oprócz jednej, poczynając od Faeldrin Harelli po prawej stronie, z ciemnymi włosami zaplecionymi w mnóstwo cienkich warkoczyków ozdobionych jaskrawymi koralikami, po krępą Valinde Nathenos po lewej, w szalu z białymi frędzlami i białej sukni. Wszystkie odziały się w barwy swoich Ajah. Wiedział, kim musi być ta, której nie znał. Miedziana skóra wskazywała, że pełna wdzięku, piękna kobieta w ciemnobrązowym jedwabiu to Demira Eriff, Brązowa siostra, ta, która wedle doniesień Min została położona do łóżka. Ale teraz stała na samym środku szeregu, wyprzedzając pozostałe o krok, gdy tymczasem Merana zajęła miejsce między Faeldrin i krągłą Rafelą Cindal o pulchnych policzkach, która dzisiaj wyglądała znacznie poważniej niż wtedy, kiedy ją widział przed sześcioma dniami. Wszystkie miały bardzo poważne miny.

Zatrzymały się na chwilę, patrząc na niego ze zniecierpliwieniem, ignorując Aielów, po czym posuwistym krokiem ruszyły do przodu, najpierw Demira, po-

tem Seonid i Rafela, dalej Merana i Masuri, tworząc jakby grot strzały wycelowanej prosto w Randa. Nie musiał czuć lekkiego swędzenia skóry, by wiedzieć, że obejmują *saidara*. Wszystkie, z każdym kolejnym krokiem, zdawały się coraz wyższe.

„Wydaje im się, że zrobią na mnie wrażenie, jak będą obracały Zwierciadłem Mgieł?” Przepelniony niedowierzaniem śmiech ścichł do opętańczego chichotu. Rand nie potrzebował wyjaśnienia tego człowieka; widział raz, jak coś takiego robiła Moiraine. Również Asmodean nazywał to Zwierciadłem Mgieł albo Iluzją.

Melaine zirytowanym ruchem poprawiła szal i głośno pociągnęła nosem, a Bael nagle zrobił taką minę, jakby musiał się zmierzyć, zupełnie sam, z setkami atakujących. Jakby chciał stawić im czoło, ale nie spodziewał się, że mu się powiedzie. Niektóre Panny natomiast, skoro już o tym mowa, poruszyły się niespokojnie; Nandera spojrzała na nie groźnie ponad zasłoną, a mimo to od strony kolumn nadal było słychać ciche szuranie stóp mężczyzn Aielów.

Przemówiła Demira Eriff, najwyraźniej posługując się Mocą. Nie krzyczała, ale jej głos wypełnił Wielką Salę, zdając się rozbrzmiewać zewsząd.

— W związku z okolicznościami zdecydowano, że to ja przemówię w imieniu wszystkich. Nie zamierzamy dzisiaj uczynić ci nic złego, ale musimy odstąpić od przyjętego przez nas wcześniej postanowienia, że nie zwrócimy się przeciwko tobie. Najwyraźniej nie wiesz, że powinieneś okazywać Aes Sedai należny im szacunek. Teraz będziesz musiał się tego nauczyć. Odtąd będziemy przychodzić i wychodzić, kiedy będzie nam się podobało, i zachowujemy sobie prawo do decydowania, czy w przyszłości będziemy cię uprzedzać, że życzymy sobie z tobą rozmawiać. Twoi Aielowie obserwujący oberżę winni zostać odwołani; nikomu nie będzie wolno ani nas obserwować ani też śledzić. Wszelkie przyszłe akty naruszenia naszej godności będą karane, z tym, że ci, których będziemy musiały poskromić, zostaną potraktowani jak dzieci i to ty będziesz odpowiedzialny za ich ból. Tak to właśnie musi być. Tak to właśnie będzie. Pamiętaj, że jesteśmy Aes Sedai.

Gdy długi grot zatrzymał się przed tronem, Rand zauważył, że Melaine zerka na niego ze zmarszczonym czołem, najwyraźniej ciekawa, czy to zrobiło na nim wrażenie. Pewnie by zrobiło, gdyby nie miał jakiegoś pojęcia o tym, co tu się teraz działo; nie był zresztą pewien, czy rzeczywiście go to nie obeszło. Siedem Aes Sedai, z których każda dwukrotnie przewyższała wzrostem Loiala, może nawet jeszcze bardziej, sięgały bowiem głowami prawie połowy przestrzeni pod sklepieniem sufitem z jego witrażami. Demira wbiła w niego wzrok, chłodna i obojętna, jakby się zastanawiała, czy nie podnieść go jedną ręką, do czego zdawała się zdolna dzięki swej obecnej posturze.

Rand zmusił się, by niedbałym ruchem opaść na oparcie, zaciskając usta, kiedy do niego dotarło, jak wiele go to kosztowało. Lews Therin bełkotał i pokrzykiwał, ale znowu jakby w oddali, coś o tym, że nie powinno się czekać, że należy

zaatakować już teraz. Demira akcentowała niektóre słowa, jakby powinien był rozumieć ich znaczenie. Co to za okoliczności? Zaakceptowały wcześniej ograniczenia; dlaczego nagle uznały, że nie okazano im należnego szacunku? Dlaczego nagle stwierdziły, że już nie muszą sprawiać, by czuł się bezpieczny, i że mogą mu grozić?

— Emisariuszki z Wieży w Cairhien godzą się na takie same ograniczenia i raczej nie czują się urażone. — Nie bardzo, w każdym razie. — Zamiast niejasnych pogroźek oferują dary.

— One to nie my. Ich tutaj nie ma. Nie zamierzamy cię kupować.

Pogarda w głosie Demiry zakłuła. Randa aż rozboleły kłykcie od zaciskania ich na Berle Smoka. Gniew miał swoje echo od strony Lewsa Therina i nagle zrozumiał, że ten człowiek znowu usiłuje dosięgnąć Źródła.

„A żebyś szczeł!” — pomyślał Rand. Zamierzał otoczyć je tarczą, ale Lews Therin przemówił bez tchu, niemalże bliski paniki.

„Nie dość silny. Nawet z *angreal*em, chyba nie dość silny, nie dość, by utrzymać aż siedem. Ty głupcze! Zwlekałeś za długo! Zbyt niebezpieczne!”

Otoczenie kogokolwiek tarczą wymagało sporej mocy. Rand był przekonany, że dzięki *angrealowi* jest w stanie utworzyć siedem tarcz, nawet jeśli one już obejmowały *saidara*, ale gdyby chociaż jedna potrafiła rozbić taką tarczę. . . Albo więcej niż tylko jedna. Chciał im zaimponować swoją siłą, nie dać im szansy na jej przewyciężenie. Ale istniał jeszcze inny sposób. Utkął splot z Ducha, Ognia i Ziemi, atakując w taki sposób, jakby zamierzał stworzyć tarczę.

Zwierciadło Mgieł roztrzaskało się. I nagle stało przed nim siedem zwyczajnych kobiet; wszystkie z oszołomionymi minami. Niemniej jednak natychmiast przybrały charakterystyczne maski spokoju, ukrywając, jakie są wstrząśnięte.

— Poznałeś treść naszych żądań — oświadczyła Demira, głosem normalnym a jednocześnie rozkazującym, jakby zupełnie nic się nie stało. — Spodziewamy się, że zostaną spełnione.

Rand mimo woli wytrzeszczył oczy. Co jeszcze miał im pokazać, żeby przestały próbować go sterroryzować? Czuł, jak szaleje w nim wrząca furia *saidina*. Nie odważył się go uwolnić. Lews Therin wrzeszczał teraz opętańczo, starając się wydrzeć mu Źródło z uścisku. Mógł jedynie dalej tak trwać. Wstał powoli. Górował nad nimi dzięki dodatkowym całom, jakich przydawało mu podium. Patrzyło na niego siedem niewzruszonych Aes Sedai.

— Restrykcje zostają utrzymane — oznajmił cichym głosem. — I wprowadzam też jeszcze jeden dodatkowy wymóg. Od tej chwili spodziewam się być traktowany z szacunkiem, jaki mi się z waszej strony należy. Jestem Smokiem Odrodzonym. Możecie teraz odejść. Audycja dobiegła końca.

Przez jakieś dziesięć uderzeń serca stały tam, nawet nie mrugając, jakby chciały pokazać, że nie kiwną palcem w bucie na jego rozkaz. Potem Demira odwróciła się, nawet nie skinąwszy głową. Minęła Seonid i Rafełę, które zaraz potem ruszy-

ły jej śladem, a za nimi kolejno pozostałe, wszystkie posuwistymi krokami, bez pośpiechu, po czerwono-białych płytkach. Wyszły z Wielkiej Sali.

Kiedy zniknęły w korytarzu, Rand zszedł z podium.

— *Car'a'carn* dobrze sobie z nimi poradził — stwierdziła Melaine, tak głośno, by ją usłyszano w każdym zakamarku komnaty. — Trzeba je złapać za kark i tak uczyć respektu, żeby się popłakały. — Bael nie potrafił ukryć zażenowania, kiedy usłyszał, że ktoś tak mówi o Aes Sedai.

— A może jest to również sposób na traktowanie Mądrych? — zapytał Rand, zdobywając się na uśmiech.

Melaine zniżyła głos, ostentacyjnie poprawiając szal.

— Nie zachowuj się jak kompletny dureń, Randzie al'Thor.

Bael zaśmiał się, mimo iż ona spiorunowała go wzrokiem. A w każdym razie zmusił się do śmiechu. Rand w ogóle nie ubawił się tym nędznym dowcipem, i to wcale nie z powodu buforu utworzonego z Pustki. Niemalże żałował, że nie pozwolił Min asystować przy tej audiencji. Było tu zbyt wiele subtelności, których nie potrafił zrozumieć, i bał się, że były tu także jakieś, których nawet nie wychwylił. O co im tak naprawdę chodziło?

Zamknawszy niewielkie drzwi do gotowalni, Min oparła się o ciemny panel z wyrzeźbionym lwem i zrobiła głęboki wdech. Faile przyszła zabrać Perrina, a Loial, mimo iż uparcie dowodził, że z woli Randa ona ma tutaj pozostać, musiał się ugiąć wobec prostej prawdy, że Rand nie miał prawa jej zmuszać do zostawiania gdziekolwiek. Rzecz jasna, Loial nie miał żadnego pojęcia, co zamierzyła, bo inaczej wetknąłby ją sobie pod pachę — całkiem delikatnie, ma się rozumieć — usiadłby tu na dziedzińcu i zaczął jej czytać.

Niestety, cały problem tkwił w tym, że słysząc wszystko, nie widziała wiele, oprócz Aes Sedai górujących nad tronem i podium. Przenosiły zapewne, jak zwykle zamazując wizje i aury, ale Min była tak zaskoczona, że nie byłaby w stanie dostrzec żadnej wizji, nawet gdyby jakaś się pojawiła. Zanim zdążyła się otrząsnąć, nie były już takie ogromne i głos Demiry przestał dudnić z każdego kąta.

Zastanawiała się gorączkowo, zagryzając dolną wargę. Jej zdaniem istniały tu dwa problemy. Pierwszy to Rand i jego żądanie szacunku, cokolwiek to miało znaczyć. Jeśli się spodziewał, że Merana będzie przed nim dygała, bijąc czołem w posadzkę, to długo sobie poczeka. Na pewno istniał jakiś sposób, dzięki któremu ona mogłaby jakoś załagodzić sytuację, tylko najpierw musiała jeszcze go znaleźć. A drugi problem to Aes Sedai. Rand zdawał się uważać, że one stroją jakieś fochy, więc wystarczy, że tupnie, a położy temu kres. Min nie była taka pewna, czy Aes Sedai zwykły stroić fochy, ale jeśli nawet, to w jej przekonaniu tym razem szło o coś znacznie poważniejszego. Jedyne miejsce, gdzie mogła się tego dowiedzieć, była „Różana Korona”.

Odebrawszy Dziką Różę ze stajni przy frontowym dziedzińcu, pogalopowała z powrotem do oberży, gdzie przekazała klacz stajennemu obdarzonemu wielkimi uszami, żądając jednocześnie, by ją dobrze wytarł i nakarmił owsem. Również drogę do pałacu pokonała, pędząc na łeb, na szyję. Dzika Róża zasłużyła sobie na nagrodę za to, że pomogła w udaremnieniu spisku Merany i pozostałych. Sądząc po chłodnej furii w głosie Randa, nie była pewna, co by się stało, gdyby nagle, niczym grom z jasnego nieba, spadła na niego wiadomość, że oto siedem Aes Sedai czeka na niego w Wielkiej Sali.

Główna sala w „Różanej Koronie” wyglądała niemalże tak samo, jak wtedy, gdy wcześniej wymknęła się z niej kuchennymi drzwiami. Przy stołach siedzieli Strażnicy, jedni grali w domino albo w kamienie, inni w kości. Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli w jej stronę, kiedy weszła, po czym, rozpoznawszy ją, powrócili do swych zajęć. Pani Cinchonine stała przed drzwiami sali, w której piło się wino — pod ścianami głównej sali „Różanej Korony” nie stały beczki z trunkami — z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i kwaśnym wyrazem twarzy. Strażnicy byli jedynymi gośćmi, a z zasady pili niewiele i rzadko. Na stołach stała spora liczba cynowych kufl i kubków, ale Min zauważyła, że są nietknięte. Zauważyła natomiast mężczyznę, który ewentualnie mógł jej coś poradzić.

Mahiro Shukosa siedział przy stole samotnie, zajęty tawernowymi układankami; dwa miecze, które zazwyczaj nosił na plecach, stały wsparte o ścianę w zasięgu ręki. Dzięki posiwiałym skroniom i szlachetnej linii nosa Mahiro był przystojny dziką, surową urodą, aczkolwiek z pewnością jedynie zakochana w nim kobieta nazwałaby go pięknym. W Kandorze był lordem. Zwiedził dwory niemalże wszystkich krajów, podróżował z niewielką biblioteką i w grach hazardowych wygrywał albo przegrywał z takim samym niewymuszonym uśmiechem. Umiał recytować wiersze, grać na harfie, a tańczył jak marzenie. Mówiąc krótko, zaliczał się dokładnie do tego typu mężczyzn, jakich przed poznaniem Randa lubiła najbardziej, rzecz jasna, jeśli pominąć fakt, że był Strażnikiem Rafeli. Nadal zresztą wolałaby się z takimi spotykać, zamiast rozmyślać o Randzie. Na szczęście, a może na nieszczęście Mahiro patrzył na nią w sposób, który w Kandorze zapewne uznano by za dziwny, czyli jak na młodszą siostrzyczkę, która potrzebowała czasem kogoś, kto z nią porozmawia i kto jej udzieli drobnych porad, dzięki czemu mogła w pełni korzystać z przywilejów młodości, nie łamiąc sobie przy tym karku. Powiedział jej, że ma zgrabne nogi, ale nawet nie pomyślał, żeby ich dotknąć, i złamałby kark każdemu mężczyźnie, który by wpadł na taki pomysł bez zachęty z jej strony.

Kiedy usiadła naprzeciwko niego, właśnie zsunął skomplikowane elementy odlane z żelaza i umieścił układankę na stosie już ułożonych, po czym wziął następną.

— No i co, kapustko? — zagaił z szerokim uśmiechem. — Z powrotem, cała i zdrowa, nie porwana i nie poślubiona? — Któregoś dnia zamierzała go zapytać,

co on właściwie chce przez to powiedzieć; zawsze to mówił na jej widok.

— Czy coś się zdarzyło od czasu, kiedy wyszłam, Mahiro?

— Chcesz spytać, czy coś się stało oprócz tego, że siostry wróciły z pałacu z minami, które je upodobiły do burzy w górach? — Układanka rozsypała się w jego dłoniach, znowu w taki sposób, jakby Mahiro posługiwał się Mocą.

— Co je tak zdenerwowało?

— Al’Thor, jak przypuszczam. — Układanka została scalona z równą łatwością i dołączyła do stosu ułożonych; w ślad za nią natychmiast powędrowała kolejna z pierwszej kupki. — Tę rozpracowałem już wiele lat temu — wyznał.

— Ale jak, Mahiro? Co się stało?

Ogarnął ją uważnym spojrzeniem; gdyby oczy lampartów były czarne, to przypominałyby oczy Mahiro.

— Min, jednoroczne szczenię, które wtyka nos do niewłaściwej nory, naraża się na utratę uszu.

Min skrzywiła się. Nic dodać, nic ująć. Kobieta potrafi popełniać głupstwa, tylko dlatego, że jest zakochana.

— Tego właśnie chciałabym uniknąć, Mahiro. Jestem tu tylko po to, żeby nosić wiadomości w tę i z powrotem, między Meraną a pałacem, ale ja tam wchodzę, nie mając pojęcia, w co się pakują. Nie wiem, dlaczego siostry przestały spotykać się z nim codziennie, albo dlaczego znowu zaczęły się spotykać, względnie dlaczego dzisiaj poszła ich tam cała grupa zamiast trzech. Przez to, że nic nie wiem, narażam się na coś jeszcze gorszego niż utrata uszu. Merana nie chce mi nic powiedzieć. Stale tylko „idź tam” albo „zrób to”. Chociaż jakąś wskazówkę, Mahiro. Proszę.

Zaczął się przyglądać układance, ona jednak wiedziała, że się zastanawia, ponieważ szczipione kawałki przesuwają się tylko w jego długich palcach, a nic się nie uwalniało.

Jakieś poruszenie na tyłach głównej sali zwróciło jej uwagę; odwróciła głowę i w tym momencie zeszywniał jej kark. Dwie Aes Sedai; musiały wracać z łaźni, wyglądały bowiem na świeżo umyte. Ostatnim razem widziała te dwie miesiąc temu, zanim je wyprawiono z Salidaru, ponieważ Sheriam podejrzewała, że Rand jest gdzieś w Pustkowiu Aiel. Tam właśnie skierowano Berę Harkin i Kirunę Nachimana; do Pustkownia, nie do Caemlyn.

Gdyby nie pozbawiona śladów upływu lat twarz, Bera przypominałaby żonę farmera z tymi kasztanowymi włosami przyciętymi na krótko, ale w tym momencie twarz była zacięta w ponurej determinacji. Kiruna, elegancka i posągowa, zdawała się w każdym calu tym, kim w istocie była, czyli siostrą króla Arafel, arystokratką z możnego rodu. Wielkie, ciemne oczy lśniły, jakby zaraz miała wydać rozkaz wykonania egzekucji i lubować się tym. Obrazy i aury zamigotały wokół nich jak zawsze wokół Aes Sedai i Strażników. Zwłaszcza jedna aura, która na mgnienie oka otoczyła obie kobiety, przykuła wzrok Min, brązowo-żółta

i ciemnopurpurowa. Same te kolory nic nie oznaczały, ale ta aura sprawiła, że Min przestała oddychać.

Stół nie stał daleko od schodów, ale dwie kobiety nie spojrzały na Min, kiedy się ku nim kierowały. Żadna nie widziała jej nawet dwa razy w Salidarze, a teraz były pochłonięte rozmową.

— Że też ta Alanna jeszcze go nie przywołała do porządku. — Kiruna mówiła cichym głosem, wskazującym jednak, że zaraz może wybuchnąć gniewem. — Ja bym tak postąpiła. Powiem jej to, kiedy się zjawi, i do Czarnego z konwencjami!

— Jego trzeba wziąć na smycz — zgodziła się beznamiętnym tonem Bera — i to zanim zdoła narobić kolejnych szkód w Andorze. — Bera była Andoranką. — W każdym razie im szybciej, tym lepiej.

Kiedy te dwie posuwistymi krokami weszły na schody, Min uświadomiła sobie, że Mahiro na nią patrzy.

— Jak one się tutaj dostały? — spytała i zdziwiła się, że jej głos brzmi tak normalnie. Razem z Kiruną i Berą było ich trzynaście. Trzynaście Aes Sedai. I jeszcze ta aura.

— Wędrowały śladem wieści o al'Thorze. Znajdowały się w połowie drogi do Cairhien, kiedy usłyszały, że on jest tutaj. Ja bym je obchodził z daleka, Min. Wiem od ich Gaidinów, że nie mają najlepszych humorów. — Kiruna miała czterech Strażników, a Bera trzech.

Min zdobyła się na uśmiech. Miała ochotę uciec z oberży, ale tym wzbudziłaby najrozmaitsze podejrzenia, nawet w Mahiro.

— To chyba dobra rada. A co ze wskazówką dla mnie?

Wahał się jeszcze chwilę, po czym odłożył układankę.

— Nie powiem, jak jest albo jak nie jest, ale słowo, które wpadnie do właściwego ucha... Może powinnaś założyć, że to al'Thor jest zdenerwowany. Może powinnaś się nawet zastanowić, czy nie poprosić, by ktoś inny dostarczał wiadomości, może nawet jeden z nas. — Miał na myśli Strażników — Może siostry postanowiły udzielić al'Thorowi krótkiej lekcji pokory. No, chyba właśnie powiedziałem o jedno słowo za dużo, kapustko. Przemyślisz to?

Min nie wiedziała, czy ta „krótka lekcja” odnosi się do zdarzeń, które miały miejsce w pałacu, czy raczej do jakichś przyszłych zajęć, ale wszystko pasowało do siebie. I ta aura.

— To chyba dobra rada. Mahiro, czy zechcesz powiedzieć Meranie, gdy ta będzie mnie szukać, żebym przekazała jakąś wiadomość, że przez następnych kilka dni będę zwiedzała Wewnętrzne Miasto?

— A to ci długa wycieczka — odrzekł ze śmiechem i nieznaczną drwiną w głosie. — Jak nie będziesz uważała, to jeszcze złapiesz męża.

Stajenny z wielkimi uszami wytrzeszczył oczy, kiedy Min uparła się, żeby wyprowadził Dziką Różę z jej przegrody i ponownie ją osiodłał. Wyjechała ze stajni stępa, ale tuż za pierwszym zakrętem, kiedy straciła z oczu „Różaną Koro-

nę”, uderzyła piętami boki klaczy i pogalopowała w stronę pałacu najszybciej, jak Dzika Róża potrafiła ją nieść, roztrącając ludzi zagradzających jej drogę.

— Trzynaście — powiedział obojętnie Rand i to wystarczyło, by Lews Therin znowu spróbował przejąć kontrolę nad *saidinem*. Niema walka z warcząca bestią. Kiedy Min go poinformowała, że w Caemlyn jest trzynaście Aes Sedai, Rand ledwie zdążył objąć Moc, zanim zrobił to Lews Therin. Po jego twarzy ciekł pot; na kaftanie miał ciemne plamy. Potrafił się skoncentrować tylko na jednej rzeczy. Na trzymaniu *saidina* z dala od Lewsa Therina. Był tak napięty, drżała mu prawa ręka i mięsień w policzku.

Min przestała spacerować po wyłożonej dywanem posadzce bawialni i podskoczyła na palcach.

— To nie tylko to, Rand! — zawołała dramatycznie. — Ja widziałam aurę. Krew, śmierć, Jedyna Moc, te dwie kobiety i ty, wszystko w tym samym miejscu i o tym samym czasie. — Znowu rozbłyły jej oczy, ale tym razem po policzkach pociekły łzy. — Kiruna i Bera naprawdę cię nie znoszą! Pamiętasz, co widziałam? Kobiety, które potrafią przenosić, które robią ci krzywdę. Te aury, ta trzynasta, i w ogóle, Rand. Tego jest za dużo!

Twierdziła zawsze, że jej widzenia się sprawdzają, aczkolwiek nigdy nie umiała powiedzieć, czy stanie się to za dzień, za rok czy za dziesięć lat; czuł, że jeśli nie opuści w Caemlyn, to w grę może wchodzić dzień. Już sam ten warkot w głowie wystarczał, by wiedzieć, że Lews Therin chce zaatakować Meranę i inne, zanim one napadną na niego pierwsze. A skądinąd ten pomysł nieprzyjemnie go kusił. Może to tylko przypadek, może to, że jako *ta'veren* nagiął los, zwracało się teraz przeciwko niemu samemu, ale fakt pozostawał faktem. Merana postanowiła zaatakować go dokładnie w dniu, w którym liczba Aes Sedai osiągnie trzynaście.

Powstawszy, przeszedł się do sypialni, gdzie wyciągnął z szafy miecz i zapiął sprzączkę w kształcie Smoka.

— Idziesz ze mną, Min — powiedział; pochwycił Berło Smoka i ruszył w stronę drzwi.

— Dokąd? — spytała podniesionym tonem i otarła twarz chusteczką, ale poszła za nim posłusznie; zdążył już wyjść na korytarz. Jalani poderwała się na równe nogi nieco szybciej niż Beralna, chuda rudowłosa dziewczyna o niebieskich oczach i groźnym uśmiechu.

Kiedy nie było przy nim nikogo oprócz Panien, Beralna zwykła gapić się na niego tak, jakby się zastanawiała, czy uczynić mu tę łaskę i zrobić to, czego żądał, ale tym razem skarcił ją ostrym spojrzeniem. Pustka sprawiała, że jego głos brzmiał odlegle i zimno. Głos Lewsa Therina przycichł do stłumionych pojękiwań, ale Rand nie odważył się odetchnąć. Nie w Caemlyn; w ogóle nigdzie w okolicy Caemlyn.



— Beralna, znajdź Nanderę i każ jej spotkać się ze mną w komnatach Perrina, z tyloma Pannami, ile zechce zabrać. — Nie mógł zostawić Perrina i to wcale nie z powodu jakiejś wizji; kiedy Merana odkryje, że Smok Odrodzony zniknął, wtedy jedna z nich może zechcieć związać Perrina więzią, tak jak to zrobiła z nim Alanna. — Prawdopodobnie nie wrócę już tutaj. Jeśli ktoś zobaczy Perrina, Faile albo Loiala, niech im powie, że też mają się ze mną spotkać. Jalani, znajdź panią Harfor. Przekaż jej, że potrzebuję pióra, atramentu i papieru. — Przed wyjazdem musiał napisać kilka listów. Znowu zatrzęsła mu się ręka i dodał: — Mnóstwo papieru. No co jest? Idźże wreszcie! — Wymieniły spojrzenia i puściły się do biegu. Sam ruszył w przeciwnym kierunku; Min z trudem dotrzymywała mu kroku.

— Rand, dokąd się udajemy?

— Do Cairhien. — Za sprawą otaczającej go Pustki zabrzmiało to tak jak uderzenie w twarz. — Zaufaj mi, Min. Ja ci nic nie zrobię. Odetnę sobie rękę, zanim cię skrzywdzę. — Milczała, a kiedy wreszcie spojrzał na nią, wpatrywała się w niego z dziwną miną.

— Bardzo to miło usłyszeć, pasterzu. — Głos miała równie dziwny jak minę. Myśl o trzynastu Aes Sedai przychodzących po niego musiała ją naprawdę przestraszyć i nic dziwnego.

— Min, jeśli dojdzie do potyczki z nimi, to obiecuję, że cię odeślę w jakieś bezpieczne miejsce. — Czy mężczyzna może stawić czoło trzynastu? Wraz z tą myślą Lews Therin znowu drgnął, zaczął krzyczeć.

Ku jego zdziwieniu wyciągnęła noże z rękawów i otworzyła usta, ale po chwili schowała ostrza równie gładkim ruchem — z pewnością dużo ćwiczyła — i dopiero wtedy przemówiła.

— Możesz mnie zaciągnąć do Cairhien za nos albo w ogóle dokądkolwiek, pasterzu, ale lepiej mocno się zaprzyj i użyj wszystkich sił, jeśli zamierzasz mnie odsyłać. — Z jakiegoś powodu był pewien, że wcale nie to zamierzała powiedzieć.

W komnatach Perrina zastali spore zgromadzenie. Jedną część bawialni okupowali Perrin i Loial, w samych koszulach, siedzący na skrzyżowanych nogach na błękitnym dywanie; palili fajki w towarzystwie Gaula, Kamiennego Psa, którego Rand zapamiętał z Kamienia. Po przeciwległej stronie komnaty siedziała Faile, również na posadzce, razem z Bain i Chiad, które także były w Kamieniu. Przez otwarte drzwi do drugiej komnaty Rand widział Sulin zmieniającą pościel; tak się miotła, jakby chciała ją podrzeć na strzępy. Wszyscy podnieśli głowy, kiedy wszedł do środka razem z Min; Sulin podeszła do drzwi sypialni.

Zapanowało spore zamieszanie, kiedy opowiedział o trzynastu Aes Sedai i o tym, co podsłuchała Min. Nie wspomniał tylko o widzeniach; jedni w komnacie wiedzieli, inni nie, a on nie zamierzał mówić o nich nikomu, dopóki ona sama tego nie zrobi. A dotąd tego nie uczyniła. Podobnie, jeśli szło o Lewsa Therina; nie żeby się bał tego, co mogłoby mu się stać w mieście, w którym przebywało trzynaście Aes Sedai. Niech sobie pomyśla, że wpadł w panikę, jeśli tak im się

podoba; nie był zresztą pewien, czy rzeczywiście w nią nie wpał. Lews Therin umilkł, ale Rand czuł jego obecność, niczym czyjeś rozgorzałe oczy obserwujące go w środku nocy. Gniew, strach, i być może również panika, wypełzały z Pustki jak wielkie pająki.

Perrin i Faile zaczęli się natychmiast pospiesznie pakować, Bain i Chiad zamigotały palcami, po czym obwieścili, że zamierzają towarzyszyć Faile, Gaul zaś oznajmił, że będzie towarzyszył Perrinowi. Rand nie bardzo pojmował, co się tutaj dzieje, w każdym razie polegało to na tym, że Gaul unikał patrzenia na Bain i Chiad, a one odwracały wzrok od niego. Loial wybiegł, mrucząc coś pod nosem; bodajże o tym, że Cairhien jest położone znacznie dalej od Dwu Rzek niż Caemlyn, i coś o swojej matce, która słynie z szybkiego chodu. Kiedy wrócił, miał pod pachą w połowie ukończony tobolek, a na ramieniu wielkie sakwy od siodeł, z których wystawały koszule. Loial był gotów natychmiast wyruszyć w drogę. Sulin również gdzieś zniknęła, ale zaraz wróciła, hołubiąc w ramionach węzełek, który zdawał się zrobiony z czerwono-białych sukien. Z tym przylepionym do twarzy wyrazem nie pasującej do niej łagodności warknęła na Randa, że kazono jej służyć jemu, Perrinowi i Faile, i że tylko wyschła na słońcu jaszczurka mogłaby uznać, iż mogłaby to robić w Caemlyn, podczas gdy oni wszyscy będą w Cairhien. Dodała nawet: „Mój lordzie Smoku”, takim tonem, że to zabrzmiało jak przekleństwo, a potem jeszcze dygnęła, o dziwo ani razu się nie zachwiawszy. Ją też to chyba zdumiało.

Nandera pojawiła się niemalże w tej samej chwili co pani Harfor, niosąca skrzyneczkę z przyborami do pisania, w której znajdowało się kilka piór ze stółwkami oraz taka ilość papieru, atramentu i wosku do pieczętowania, która wystarczyłaby na pięćdziesiąt listów.

Perrin chciał posłać wiadomość do Dannila Lewina, że ma pojechać za pozostałymi ludźmi z Dwu Rzek — nie zamierzał zostawiać żadnego z nich na pastwę Aes Sedai — i powstrzymał się przed powiedzeniem Dannilowi, by ten zabrał Bode i inne dziewczęta z „Psa Culaina”, kiedy Rand i Faile zauważyli, że, po pierwsze, Aes Sedai ich nie puszcza, a po drugie, one same raczej nie zechcą pójść. Perrin i Faile nie raz już odwiedzili oberżę i nawet Perrin musiał przyznać, że dziewczęta wyraźnie nie mogły się już doczekać, kiedy zostaną Aes Sedai.

Faile sama pospiesznie napisała dwa listy, jeden do matki, drugi do ojca; żeby się nie martwili, jak powiedziała. Rand nie umiał orzec, który list jest adresowany do którego rodzica, bowiem bardzo się różniły; jeden był zaczynany kilkanaście razy, po czym darty, i każdemu słowu towarzyszył grymas, drugi został nagryzmolony w pośpiechu, z uśmiechami i chichotem. Uznał, że ten jest zapewne skierowany do matki. Min napisała do przyjaciela o imieniu Mahiro, który przebywał w „Różanej Koronie” i z jakiegoś powodu koniecznie chciała zapewnić Randa, że ten mężczyzna jest starcem, aczkolwiek mówiła to, mocno się czerwieniąc. Nawet Loial ujął pióro po chwili wahania. Własne pióro; pióro używane przez

ludzi znikłoby w jego potężnych dłoniach. Po zapieczętowaniu listu wręczył go pani Harfor z butnym żądaniem, by dostarczyła go osobiście, jeśli będzie miała sposobność. Kciuk wielkości grubej kiełbasy zakrył niemalże całe imię adresata, wypisane zarówno pismem ludzkim, jak i ogirów, ale dzięki wyostrzeniu wzroku Jedyną Mocą Rand zauważył imię „Erith”. Niemniej jednak ogir nie zdradzał nawet śladu pragnienia, żeby zaczekać i oddać go jej własnoręcznie.

Rand przeżywał podobne trudności jak Faile przy pisaniu swoich listów, ale z innego powodu. Pot ściekający z twarzy rozmazywał atrament, a ręka tak mu się trzęsła, że kilkakrotnie musiał zaczynać od nowa z powodu kleksów. Wiedział jednak dokładnie, co chce w nich zawrzeć. Do Taima, ostrzeżenie przed trzynastoma Aes Sedai i przypomnienie o swym rozkazie trzymania się od nich z daleka. I do Merany, ostrzeżenie innego rodzaju, a także swoiste zaproszenie; nie było sensu się ukrywać, bo Alanna mogła go znaleźć na całym świecie. Tyle, że w miarę możliwości miało do tego dojść na jego warunkach.

Kiedy nareszcie zapieczętował listy — ujrzawszy pieczęć z zielonego kamienia z wyrzeźbioną sylwetką Smoka, obrzucił panią Harfor stosownym spojrzeniem, na które odpowiedziała niesłychanie bezczelną miną — Rand zwrócił się do Nandery.

— Czy przyprowadziłaś swoich dwadzieścia Panien?

Nandera uniosła brwi.

— Dwadzieścia? Przekazano mi wiadomość, że może być ich tyle, ile zechcę, i że możesz nie wrócić. Jest ich pięćset, a byłoby więcej, gdybym nie nakreśliła linii.

Przytaknął tylko. Głowę przepełniała mu teraz cisza, wyjąwszy jego własne myśli, ale czuł obecność Lewsa Therina wewnątrz wypełniającej go Pustki, czekającego niczym zwinięta sprężyna. Dopiero kiedy przepuścił wszystkich przez bramę do komnaty w Cairhien i zamknął otwór, redukując świadomość bliskości Alanny do niejasnego wrażenia, Lews Therin oddalił się nieco. Jakby poszedł spać, strudzonymi zmaganiem z Randem. Na koniec Rand odepchnął *saidina* i w tym momencie uświadomił sobie, jak bardzo zmęczył się tą walką. Loial musiał go zanieść do jego komnat w Pałacu Słońca.

Merana siedziała spokojnie pod oknem bawialni, odwrócona plecami do widoku na ulicę, z listem od al'Thora na kolanach. Znała jego treść na pamięć.

„Merano”, tak zaczynał się list. Nie Merano Aes Sedai, nawet nie Merano Sedai.

„Merano!

Pewien mój przyjaciel powiedział mi, że w większości gier w kości wyrzucenie trzynastki jest uważane za równie pechowe

jak wyrzucenie Oczu Czarnego. Ja też uważam, że trzynastie to pechowa liczba. Wybieram się do Cairhien. Możesz udać się za mną, w towarzystwie nie więcej jak pięciu sióstr. Dzięki temu będziecie traktowane na równi z emisariuszkami z Białej Wieży. Będę niezadowolony, jeśli spróbujesz przywieźć więcej. I przestań wywierać na mnie presję. Dość już straciłem zaufania.

Rand al'Thor  
Smok Odrodzony”

Pod koniec przyciskał pióro z taką siłą, że omal nie rozdarł papieru; ostatnie dwie linijki zdawały się napisane całkiem innym charakterem niż pozostałe.

Merana siedziała bardzo spokojnie. Nie była sama. Inne członkinie misji, o ile to nadal można było nazywać misją, zasiadły na krzesłach pod ścianą, w najrozmaitszych nastrojach. Jedynie Berancia sprawiała wrażenie równie spokojnej jak Merana; irytująco spokojnej. Pulchne dłonie trzymała złożone na padołku, a głowę lekko schyloną; nie odzywała się ani słowem, o ile ktoś pierwszy do niej nie przemówił. Faeldrin siedziała dumnie wyprostowana i mówiła wtedy, kiedy chciała, podobnie Masuri i Rafela. Seonid, skoro już o tym mowa, zdawała się niewiele mniej ożywiona; przysiadła na brzeżku krzesła i często uśmiechała się z determinacją. Reszta, podobnie jak Valinde niemalże pogodna. Zebrały się wszystkie z wyjątkiem Verin i Alanny; posłano Gaidinów, żeby je odszukali. Kiruna i Bera, stojące na środku izby; ich obecność tutaj najbardziej dawała się we znaki.

— Przysyłanie tego typu listu do Aes Sedai budzi moje obrzydzenie. — Kiruna nie grzmiała; udało jej się mówić głosem chłodnym i spokojnym, a jednocześnie władczy. Za to jej oczy ciskały błyskawice.

— Demiro, czy twój informator potwierdził, że al'Thor udał się do Cairhien?

— Podróżuje — mruknęła Bera z niedowierzaniem. — Kto by pomyślał, że to on ponownie odkryje tę umiejętność!

Faeldrin pokiwała głową, pobrzękując kolorowymi paciorkami wplecionymi do warkoczyków.

— Żadne inne rozwiązanie nie wchodzi w rachubę. Chyba powinniśmy zapamiętać, że on jest być może potężniejszy od Logaina albo Mazrima Taima.

— Czy z Taimem nic nie da się zrobić? — Kragła twarz Faeldrin, normalnie łagodna i miła, przybrała teraz surowy wyraz, a zazwyczaj melodyjny głos brzmiał monotonicznie. — Jest tam co najmniej stu mężczyzn, którzy potrafią przenosić... stu!... oddalonych nawet nie dwadzieścia mil od tego miejsca. — Kairen przytaknęła zdecydowanie, ale się nie odezwała.

— Ci muszą poczekać — stwierdziła stanowczo Kiruna. — Na Światłość i honor, nie wiem, ilu sióstr potrzeba, żeby sobie poradzić z aż tyloma. Jednak najważniejszy jest al'Thor, a z nim możemy sobie dać radę. Demira?

Demira oczywiście zaczekała, aż pozostałe skończą. Lekko skłoniwszy głowę, powiedziała:

— Wiem tylko, że on wyjechał, najwyraźniej w towarzystwie sporej liczby Aielów, i prawdopodobnie zabrał również Perrina Aybare.

Kiedy Demira zaczęła mówić, do izby wślizgnęła się Verin; dodała teraz:

— Co do Perrina nie ma wątpliwości. Posłałam Thomasa, żeby się przyjrzał obozowisku ludzi z Dwu Rzek. Jak się zdaje, posłali do pałacu po konie Perrina i jego żony. Reszta porzuciła wozy i służbę; jadą teraz na wschód, najszybciej jak potrafią. Za wilczym łbem Perrina i Czerwonym Orłem Manetheren. — Błady uśmiech wygiął jej wargi, jakby uważała to za coś zabawnego. Kairen najwyraźniej nie podzielała jej zdania; zachnęła się głośno, po czym zacisnęła usta w cienką kreskę.

Merana też nie uważała tego za zabawne, ale to był drobiazg w porównaniu z całą resztą. Słaba woń zgnilizny, kiedy już się siedziało na stercie nieczystości; ujadający pies, kiedy do twych spódnic przywarły wilki. Pomyśleć, że tak się liczyła z tą Verin, że tak się starała. Verin ledwie zaczęła realizować swoje plany; właściwie zrobiła tylko tyle, że podjudziła Demirę, która wyszła z propozycją tej dzisiejszej nieszczęsnej konfrontacji, która została przeprowadzona ze sporą wprawą. Merana nie sądziła, by ktoś oprócz jakiejś Szarej mógł to zauważyć. A mimo to musiała się zgodzić. Stać je było wyłącznie na patrzenie z góry na al'Thora — na próbę patrzenia na niego z góry. Tak liczyła się z Verin, a tymczasem pojawiły się Kiruna z Berą, żadna nie podlegająca w najmniejszej mierze jej władzy, obie co najmniej tak silne jak Masuri, Faeldrin albo Rafela.

— Teraz to jest zgniła rzepa wrzucona do gulaszu — mruknęła gniewnie Bera. Kairen i kilka pozostałych pokiwało głowami.

— Niewielka rzepa — stwierdziła oschle Kiruna. Niemal wszystkie przytaknęły z wyjątkiem Merany i Verin. Merana tylko cicho westchnęła; Verin obserwowała Kirunę tym swoim ptasim spojrzeniem, przekrzywiając głowę. — Co zatrzymuje Alanę? — zapytała Kiruna. — Nie chciałabym się powtarzać.

Merana podejrzewała, że ona sama to zaczęła, przez to, że skapitulowała wobec Verin. Nadal stała na czele delegacji, wszystkie wypełniały jeszcze jej polecenia, nawet Masuri, Rafela i Faeldrin. Ale wszystkie już wiedziały. Nie miała na razie pojęcia, czy Kiruna albo Bera przejęły już dowodzenie — fakt, że jedna urodziła się na farmie, a druga w pałacu, zupełnie nie miał znaczenia; pochodzenie nie miało nic wspólnego z byciem Aes Sedai — ale nie łudziła się: kierowana przez nią misja rozpadała się. Było to coś, do czego nigdy by nie doszło, gdyby Biała Wieża stanowiła całość, gdyby ambasador posiadał pełną władzę Wieży i Zasiadającej na Tronie Amyrlin; nie liczyłoby się wtedy, że ona sięgnęła po szal dopiero po trzydziestu latach i że miała ledwie tyle siły, by jej nie odesłano. Stanowiły teraz tylko grupkę Aes Sedai, wsuwających się na przysługujące im miejsca bez udziału myśli.

Jakby wypowiedzenie jej imienia stanowiło wezwanie, Alanna pojawiła się w momencie, gdy Bera otwierała usta. Razem z Kiruną wspólnie natarły na nowo przybyłą.

— Al'Thor twierdzi, że pojechał do Cairhien — rzekła bez ogródek Bera. — Czy możesz coś dodać?

Alanna spojrzała im butnie w twarze, z groźnym błyskiem w ciemnych oczach. Ostatecznie mówiły o jej Strażniku.

— On jest gdzieś na wschodzie. To wszystko, co wiem. Być może w Cairhien.

— Skoro już musiałaś związać mężczyznę, nie pytając go o zgodę — powiedziała Kiruna rozkazującym tonem — to dlaczego, na najświętszą Światłość, nie użyłaś więzi, żeby go nagiąć do swej woli? To co zrobiłaś, da się porównać do lekkiego uderzenia w rękę!

Alanna nadal nienajlepiej panowała nad emocjami. W rzeczy samej rumieniec zabarwił jej policzki, częściowo z gniewu, sądząc po błysku w oczach, a z pewnością również ze wstydu.

— Czy nikt wam nie powiedział? — zapytała, trochę jakby zbyt wesoło. — Przypuszczam, że nikt nie chce o tym myśleć. Ja z pewnością nie chcę. — Faeldrin i Seonid wbiły wzrok w posadzkę i nie one jedne. — Usiłowałam go zniewolić w kilka chwil po tym, jak związałam go więzią. — Alanna ciągnęła takim tonem, jakby w ogóle niczego nie zauważyła. — Czy kiedykolwiek próbowałaś wyrwać dąb gołymi rękoma, Kiruna? To było mniej więcej to samo.

Kiruna zareagowała wytrzeszczeniem oczu i powolnym, głębokim wdechem. Bera dla odmiany mruknęła:

— To niemożliwe. Niemożliwe.

Alanna odrzuciła głowę w tył i roześmiała się. Dłonie wsparte na biodrach sprawiły, że ten śmiech zabrzmiał pogardliwie; Bera zacisnęła usta, a w oczach Kiruny pojawił się zimny błysk. Verin spojrzała na nie, a wtedy Meranę naszała niemiła wizja gila wpatzonego w robaki. W jakiś sposób Verin zdawała się buntować bez buntowania, aczkolwiek Merana nie pojmowała, jak ona to robi.

— Nikt dotąd nie związał więzią mężczyzny, który potrafi przenosić — stwierdziła Alanna, kiedy jej wesołość przygasła. — Może to właśnie przenoszenie ma z tym coś wspólnego.

— Niech więc tak będzie — stanowczo stwierdziła Bera. Jej wzrok był równie stanowczy. — Niech tak będzie. Nadal możesz go znaleźć.

— Tak — powiedziała Kiruna. — Pojedziesz z nami, Alanno. — Alanna zamrugnęła, jakby właśnie doszła do siebie. Skłoniła lekko głowę na znak, że się zgadza.

Czas najwyższy, stwierdziła Merana. Jeżeli ma utrzymać władzę nad delegacją, jest to jej ostatnia szansa. Wstała, składając list od al'Thora, żeby zająć czymś ręce.

— Kiedy przywiodłam tę misję do Caemlyn — zaczęła, by przypomnieć im, że to ona tutaj dowodzi; mówiła pewnym głosem, dzięki Światłości — dano mi duże pole manewru, a jednak wydawało się oczywiste, co należy zrobić, i my — żeby przypomnieć, że są delegacją — zabrałyśmy się za to z przekonaniem, że odniesiemy sukces. Al’Thor miał zostać wywabiony z Caemlyn, dzięki czemu mogłybyśmy wrócić z Elayne i dopilnować, by została ukoronowana, co umocniłoby nasze wpływy w Andorze. Al’Thor miał powoli nabierać zaufania do nas, uwierzyć, że nic mu nie zrobimy. I zostać zmuszony do okazania nam należnego szacunku. Dwie albo trzy spośród nas, starannie wybrane, zajęłyby miejsce Moiraine, doradzając mu i kierując jego poczynaniami. W tym Alanna, rzecz jasna.

— Skąd wiesz, że to nie on zabił Moiraine? — przerwała Bera. — Powiadają przecież, że z jego ręki zginęła Morgase.

— Słyszałyśmy najrozmaitsze pogłoski dotyczące jej śmierci — dodała Kiruna. — Nawet takie, że poległa w walce z Lanfear. Większość jednak twierdzi, że znajdowała się sam na sam z al’Thorem, kiedy umarła.

Merana pohamowała się z trudem i nie odpowiedziała. Gdyby chociaż słowem zdradziła wrodzone odruchy, wymusiłyby na niej ujawnienie ich do końca.

— Wszystko to znajdowało się w zasięgu ręki — ciągnęła — a tymczasem pojawiliście się wy dwie. Wiem, że stało się tak przez przypadek, że dostałyście polecenie, aby go znaleźć, a jednak za waszą sprawą nasza liczba urosła do trzynastu. Jaki człowiek pokroju al’Thora nie uciekałby najszybciej jak potrafi, słysząc o trzynastu Aes Sedai? Prawda jest taka, że niezależnie od tego, na ile ucierpiały nasze plany, ty ponosisz za to odpowiedzialność, Kiruna, i ty, Bera. — W tym momencie mogła już tylko czekać. O ile udało jej się zdobyć jakąkolwiek przewagę moralną. . .

— Czy już skończyłaś? — spytała chłodno Bera.

Kiruna zachowała się jeszcze bardziej obcesowo. Zwróciła się do pozostałych.

— Faeldrin, pojedziesz z nami do Cairhien, o ile zechcesz. I wy też, Masuri, Rafela.

Merana zadygotała, złożony list zaszeleścił w jej garści.

— Nie rozumiecie? — krzyknęła. — Mówicie, jakbyśmy miały postępować tak jak przedtem, jakby nic się nie zmieniło. W Cairhien przebywa misja poselska od Elaidy, misja z Białej Wieży. Tak to al’Thor musi widzieć. Potrzebujemy go bardziej niż on nas i obawiam się, że on o tym wie!

Przez chwilę na twarzach wszystkich oprócz Verin malował się wstrząs. Verin tylko z namysłem przytaknęła głową, uśmiechając się tajemniczo. Pozostałe przez chwilę zdradzały oszołomienie. Słowa „Potrzebujemy go bardziej niż on nas” zdawały się ciągle jeszcze dźwięczeć w powietrzu.

Nie potrzebowały Trzech Przysięg, by wiedzieć, że to prawda.

Wtedy Bera powiedziała całkiem stanowczo:

— Usiądź, Merano, i uspokój się. — Merana usiadła, nim zorientowała się, co

robi; nadal się trzęsła, nadal chciała krzyknąć, ale usiadła, mnąc w dłoniach list od al'Thora.

Kiruna odwróciła się do niej plecami.

— Oczywiście ty, Seonid, pojedziesz. Jeszcze jedna para Gaidinów zawsze się przyda. I chyba Verin. — Verin przytaknęła, jakby to było żądanie. — Demira — ciągnęła Kiruna — wiem, że czujesz do niego żal, ale nie chcemy, żeby wpadał w panikę, a poza tym ktoś musi zagnać tę niezwykłą kolekcję dziewcząt z Dwu Rzek do Salidaru. Ty, Valinde, Kairen i Berenicia pomożecie Meranie.

Pozostała wymieniona czwórka bez najmniejszego wahania mruknęła, że się zgadza, ale Merana poczuła chłód. Delegacja już się nie kruszyła; rozpadła się w proch.

— Ja... — Demira zawiesiła głos, kiedy padł na nią wzrok Bery i Kiruny. A także Masuri, Faeldrin i Rafeli. Wszystko przepadło, również jej autorytet. — Być może przyda wam się jakaś Szara — powiedziała omdłym głosem. — Z pewnością dojdzie do jakichś negocjacji i... — Znowu zabrakło jej słów. To by się nigdy nie stało, gdyby Wieża stanowiła całość.

— Bardzo dobrze — oświadczyła na koniec Bera, takim tonem, że tylko dzięki opanowaniu Merana nie dopuściła, by jej policzki oblały się szkarłatem ze wstydu.

— Demiro, ty odwieziesz dziewczęta do Salidaru — powiedziała Kiruna.

Merana siedziała bez ruchu. Modliła się, żeby Komnata wybrała już do tej pory Amyrlin. Kogoś bardzo silnego, zarówno w korzystaniu z Mocy, jak i z ducha. Potrzebna byłaby jeszcze jedna Deane, jeszcze jedna Rashima, żeby uczynić z nich ponownie to, czym kiedyś były. Modliła się, by Alanna zawiodła je do al'Thora, zanim ten zdecyduje się uznać Elaidę. Bo wtedy nawet kolejna Rashima ich nie uratuje.



## CIERNIE

Resztę tamtego dnia Rand spędził w swoim apartamencie w Pałacu Słońca, praktycznie cały czas leżąc na łożu, ogromnym, z czterema wspornikami grubszymi od jego nogi, wykonanymi z hebanu tak wypolerowanego, że aż lśniły pomiędzy zdobiaczymi je elementami z kości słoniowej. Całe umeblowanie sypialni, jakby dla kontrastu ze złoceniami przedsionka i poczekalni, zostało wykonane z hebanu i kości słoniowej, aczkolwiek zachowało znajome, kanciaste linie.

Sulin, dopóki nie kazał jej przestać, to wpadała, to wypadała, strzepując jego wypchane pierzem poduszki i poprawiając lniane prześcieradła. Twierdziła, że koce na posadzce są zdrowsze. Przyniosła też miętową herbatę, o którą nie prosił i poncz, którego nie chciał.

— Jak Lord Smok rozkaże — warknęła z przymilnym uśmiechem. Wykonała drugie, idealne dygnięcie, ale wyszła takim krokiem, jakby nawet nie zamierzała się trudzić otwieraniem sobie drzwi.

Również Min dotrzymywała mu towarzystwa; siadała na materacu, ujmowała go za rękę i krzywiła się zatroskana. W końcu zaczął podejrzewać, że zapewne uznała, iż umiera. W końcu ją też przegnał, przynajmniej na tak długo, by zdążyć wdziać szlafrok z ciemnoszarego jedwabiu, który dotychczas zawsze zostawiał w szafie. Przy okazji znalazł coś jeszcze w jej głębi. Wykonany ze zwykłego drewna futerał z fletem, który podarował mu kiedyś Thom Merrill w, jak się zdawało, całkiem innym żywocie. Zasiadł pod jednym z wysokich, wąskich okien i spróbował zagrać. Nie robił tego od dawna, z początku więc instrument wydawał raczej pisk, niż prawdziwą melodię. Dziwaczne dźwięki przyciągnęły z powrotem Min.

— Zagraj dla mnie — poprosiła, śmiejąc się z zachwytu, a być może ze zdumienia, i, rzecz jasna, usadowiła mu się na kolanach, kiedy on z miernym powodzeniem usiłował wygrać jakąś melodię, która dawałaby się rozpoznać. I tak właśnie zastały go Mądre.

Amys, Bair i Sorilea i z tuzin, może nawet więcej innych. Mocno zaczerwieniona Min prędko zerwała się z jego kolan; ktoś mógłby sobie pomyśleć, że właśnie uprawiali zapasy, tak nerwowo wygładzała kaftanik.

Bair i Sorilea stanęły u jego boku, zanim zdążył powiedzieć słowo.

— Spójrz w lewo — rozkazała Sorilea, odsuwając mu powiekę i przybliżając swe pomarszczone oblicze do jego twarzy. — Spójrz w prawo.

— Masz za szybki puls — mruknęła Bair, przyciskając kościste palce do jego gardła.

Zapewne w momencie, gdy ugięły się pod nim kolana, Nandera rozkazała jakiejś Pannie pobiec do Mądrych. Zapewne Sorilea skrzyknęła niewielką armię z nich złożoną, i postanowiły, że napadną na pałac. I zapewne każda koniecznie chciała się opiekować *Car'a'carnem*, nie przejmując się tym razem obecnością Sorilei. Dlatego właśnie, kiedy Sorilea i Bair skończyły, ich miejsce zajęła Amys, a także Colinda — szczupła kobieta o przenikliwych, szarych oczach, która mimo średniego wieku wyglądała na równie silną jak Sorilea. Ale, rzecz jasna, podobne wrażenie sprawiała Amys i w ogóle każda z ich rzeszy. Dźgały go, szturchały, wpatrywały się w niego surowym wzrokiem oraz nazywały upartym, kiedy nie chciał skakać w górę i w dół. Naprawdę zdawały się sądzić, że będzie to robił.

Min bynajmniej nie była ignorowana, kiedy kolejne Mądre zajmowały swoje miejsca przy jego boku; pozostałe otaczały ją, zadając setki pytań, wszystkie dotyczące jej widzeń. Ona wytrzeszczała oczy i odpowiadała samymi ogólnikami, gapiąc się na nie i na Randa, jakby się zastanawiała, czy ktoś przypadkiem nie czytał w jej myślach. Amys i Bair wyjaśnili — Melaine nie była w stanie zachować wieści o córkach dla siebie, toteż oczy Min przestały nareszcie stawać się coraz większe, co zresztą w tym momencie raczej nie było możliwe, bo i tak wyglądały, jakby zaraz miały wyjść z orbit. Nawet Sorilea zdawała się godzić z poglądem Melaine, że Min dzięki swym umiejętnościom dorównuje im do pewnego stopnia, ale ponieważ Mądre to Mądre — w tym mocno przypominały Aes Sedai — musiała wszystko powtarzać każdej z osobna, ponieważ te, które się przy nim w danym momencie krzątały, chciały mieć pewność, że niczego nie uroniły.

Kiedy już Sorilea i pozostałe orzekły z niechęcią, że musi wypocząć, odeszły. Min znowu umościła się wygodnie na jego kolanach.

— One rozmawiają ze sobą w snach? — spytała, kręcąc głową. — To brzmi całkiem nieprawdopodobnie, zupełnie jak jakieś wymysły bardów. — Mars na jej czole pogłębił się. — Ile, twoim zdaniem, lat ma Sorilea? Albo ta Colinda. Widziałam... Nie. Nie, to nie ma z tobą nic wspólnego. Może ten upał tak na mnie podziałał. Kiedy już coś wiem, to wiem. To na pewno ten upał. — W jej oczach pojawił się psotny błysk i powoli przysunęła się bliżej, wydymając wargi jakby do pocałunku. — Jeśli ułożysz usta w taki sposób — mruknęła, kiedy już prawie dotykały jego warg — to może coś ci wyjdzie. — W tych ostatnich słowach zabrzmiały takie nuty jak w „Kogucie na drzewie”. Zrozumiał, o czym ona mówi dopiero po chwili, bo jej oczy wypełniły mu całe pole widzenia; musiał mieć wtedy wyjątkowo zabawną minę, bo padła mu ze śmiechem na pierś.

Krótką chwilę później przeniesiono list od Coiren, w którym pytała go o zdrowie, wyrażała nadzieję, że nie jest chory i proponowała, że odwiedzi go razem

z dwoma siostrami; oferowała się z Uzdrawianiem, gdyby go pragnął. W trakcie, gdy Rand to czytał, Lews Therin drgnął, jakby się budził ze snu, ale jego niewyraźne, niezadowolone mamrotanie było niczym w porównaniu z tamtą wściekłością, jaka ogarnęła go w Caemlyn, i chyba zasnął ponownie, kiedy Rand odłożył list.

Wszystko to stanowiło ostry kontrast z zachowaniem Merany. A poza tym przypominało, że w Pałacu Słońca nie mogło się do południa zdarzyć nic, o czym Coiren nie wiedziałyby doskonale przed zmierzchem, o ile nie prędzej. W odpowiedzi posłał uprzejme podziękowania za życzenia, a także uprzejmą odmowę. Nadal czuł się zmęczony, mimo że dopiero co wstał z łóżka, i chciał być w pełni władz umysłowych, kiedy stanie twarzą w twarz z jakąś Aes Sedai. Tym częściowo podyktowana była jego odpowiedź.

W tym samym liście Rand poprosił również Gawyna o złożenie mu wizyty. Brata Elayne spotkał wprawdzie tylko raz w życiu, a mimo to od razu polubił tego człowieka. Gawyn jednakże nie pojawił się i nie odpowiedział. Rand wyciągnął z tego smutny wniosek: tamten uwierzył w opowieści, jakie krążyły o jego matce. A raczej nie sposób było kogoś zwyczajnie poprosić o to, by przestał coś takiego traktować poważnie. Za każdym razem, gdy sobie o tym pomyślał, popadał w tak ponury nastrój, że nawet Min zdawała się rozpaczać, iż nie może go rozbawić; ani Perrin, ani Loial nie zbliżali się do niego, kiedy był w takim stanie.

Trzy dni później przysłała następna prośba od Coiren, równie dworna, i jeszcze jedna trzy dni potem, ale i te zbył. Po części z powodu Alanny. Uczucie jej obecności było nadal odległe i niewyraźne, ale z każdą godziną znajdowała się coraz bliżej. Co go wcale nie dziwiło; był przekonany, że Merana wybierze Alannę na jedną z szóstki. Nie miał zamiaru pozwalać Alannie zbliżyć się do siebie choćby na odległość mili ani nawet pozostawać w zasięgu wzroku, ale obiecał, że da im równe szanse z Coiren, i miał zamiar dotrzymać obietnicy. Tak więc Coiren musiała jeszcze cierpliwie poczekać. Poza tym był zajęty, z tych czy innych względów.

Krótką w zamierzeniu wizyta w szkole urządzonej w dawnym pałacu Barthanesa okazała się w końcu nie taka krótka. Idrien Tarsin znowu czekała w progu, żeby mu pokazać najrozmaitsze wynalazki i odkrycia, często całkowicie niezrozumiałe, a także warsztaty, gdzie obecnie wytwarzano na sprzedaż najrozmaitsze nowe pługi, brony i maszyny żniwne, ale to przede wszystkim Herid Fel nastęrczył trudności. Albo może Min. Fel jak zawsze błąkał się gdzieś myślami i pozwalał, by ich śladem błąkał się też jego język, najwyraźniej nie pamiętając, że tym razem jest przy nich Min. Wiele razy o niej zapominał. Ale zanim Rand zdołał go skierować na właściwe tory, Fel znowu ją zauważał, gwałtownie się wzdrygając. Stale ją przeproszał za fajkę wypaloną do połowy, której nigdy na nowo nie rozpałał, i stale też strzepywał popiół ze swego wydatnego brzucha albo przyglądał rzadkie, szpakowate włosy. Min najwyraźniej znakomicie się bawiła, ale dlaczego śmiały ją, że ten człowiek zapomina o jej obecności, tego Rand nawet nie próbował

odgadnąć. Mało tego; pocałowała Fela w czubek głowy, kiedy razem z Randem wstała, by wyjść, na co ten zrobił taką minę, jakby go ogłuszono. Wcale nie pomogła wiedza cóż też Fel wymyślił na temat Pieczęci na więzieniu Czarnego albo o Ostatniej Bitwie.

Następnego dnia przyszedł list, którego treść została wypisana na oddartym rogu arkusza pergaminu.

„Wiara i porządek dają siłę. Każ uprzątnąć gruz, zanim zaczniesz budować. Wyjaśnię to przy naszym następnym spotkaniu. Nie przyprawiaj dziewczyny. Za ładna.

Fel”

Zostało to nabazgrane w pośpiechu, z podpisem wciśniętym na samym dole skrawka, i Rand nie dopatrywał się w tym żadnego sensu. Spróbował raz jeszcze skontaktować się z Felem, ale jak się okazało, ten powiedział Idrien, że znowu czuje się młody i wybiera się na ryby. W samym środku suszy! Rand zastanawiał się, czy staruszek przypadkiem nie zbzikował do reszty. Min z pewnością uznała liścik za zabawny; spytała, czy może go sobie wziąć, i potem kilka razy widział, jak się nad nim zaśmiewała.

Czy Fel postradał zmysły, czy nie, Rand stwierdził, że następnym razem nie zabierze Min, ale po prawdzie trudno mu było zatrzymać ją u swego boku, kiedy akurat pragnął jej towarzystwa. Zdawała się spędzać więcej czasu z Mądrymi niż z nim. Nie potrafił pojąć, dlaczego tak go to drażni, ale zauważył u siebie skłonność do pokrzykiwania na ludzi, kiedy Min szła do namiotów. Bardzo dobrze, że nie towarzyszyła mu zbyt często. Ludzie to zauważali. Ludzie gadali i nic dziwnego. W Cairhien, gdzie nawet służba uprawiała swoją odmianę Gry Domów, dociekania, czy ona przypadkiem nie jest kimś ważnym, mogły się okazać dla niej niebezpieczne. Bardzo dobrze. Starał się nie pokrzykiwać.

Potrzebował jej, rzecz jasna, bo mogła mu opowiadać o wizjach, jakie miewała w obecności tych arystokratów, którzy zaczęli odwiedzać go pojedynczo, wypytując o zdrowie — te miękkie kolana musiały wywołać pogłoski — uśmiechając się, indagując, jak długo zamierza zostać tym razem w Cairhien, jakie są jego plany, jeśli im wolno spytać, uśmiechając się coraz szerzej i szerzej. Jedyńm, który nie szczerzył się do niego tak nachalnie, był Dobraine. Nadal golił przód czaszki na żołnierską modłę i nadal nosił ten sam kaftan z paskami wytartymi od napierśnika. Dobraine zadawał dokładnie te same pytania tak ponurym tonem, że Rand był niemalże szczęśliwszy, widząc, jak odchodzi.

Min udawało się uczestniczyć w tych audiencjach, godząc je jakoś z tym, co robiła razem z Mądrymi; Rand nie zamierzał w to wnikać. Problem polegał na utrzymaniu jej obecności w tajemnicy.

— Mogłabym udawać, że jestem twoją nałożnicą — zaproponowała ze śmiechem Min. — Wieszalabym się na tobie i karmiła cię winogronami, czy raczej rodzynekami, bo od dawna nie widziałam winogron na oczy, ty zaś mógłbyś mnie nazywać swoimi maleńkimi, miodowymi usteczkami. Nikt by się wtedy nie zastanawiał, dlaczego tu jestem.

— Nie! — odwarknęła i Min spoważniała.

— Naprawdę uważasz, że Przekłęci napadliby na mnie z tego powodu?

— Mogliby — odparł z taką samą powagą. — Sprzymierzeniec Ciemności taki jak Padan Fain mógłby, o ile on jeszcze żyje. Nie chcę ryzykować, Min. W każdym razie nie zgodzę się, by tak o tobie myślał któryś z Cairhienian albo Tairenian; oni mają plugawe myśli. — Aielowie byli inni; oni uważali to jej droczenie się z nim za coś bardzo zabawnego, wręcz śmiesznego.

Min z pewnością była zmienna. Będąc uroczystą, potrafiła nagle się rozpromienić, nie popadając w żaden pośredni nastrój; cała stawała w uśmiechach, które nie gasły ani na moment. Aż do chwili rozpoczęcia się audiencji.

Nie wypalił pomysł z parawanem z poślacaną kratką, ustawionym w kącie przedsionka. Rand wiedział, że Maringil przetrząśnie pałac do podszewki, żeby się dowiedzieć, co albo kogo ten parawan ukrywa, tak ostentacyjnie bowiem ciemne, lśniące oczy tego człowieka unikały spoglądania w jego stronę. Rozwiązanie z bawialnią okazało się lepsze; ukryta w niej Min zaglądała do przedsionka przez szczelinę w drzwiach, ale nie każdemu towarzyszyły wizje albo aury podczas audiencji, a to co widziała, zarówno tutaj, jak podczas zwyczajnego spaceru przez korytarze, było niewesołe. Siwowłosa Maringil, szczupły niczym ostrze i zimny jak lód, miał umrzeć od ciosu zadanego nożem. Colavaere, z tą nader urodziwą twarzą, spokojna i skupiona, kiedy się dowiedziała, że tym razem Aviendha nie towarzyszy Randowi, miała zostać powieszona. Meilana, ze spiczastą bródką i przymilnym głosem, czekało otrucie. Przyszłość miała zebrać okrutne żniwo wśród Wysokich Lordów Łzy. Aracome, Maraconn i Gueyam też mieli umrzeć krwawą śmiercią, w bitwie. Twierdziła, że nigdy nie widziała tylu nagłych zgonów w jednej grupie ludzi.

Do czasu, gdy dostrzegła krew na szerokiej twarzy Gueyama, ich piątego dnia w Cairhien, czuła się już tak źle z powodu tych myśli, że Rand kazał jej położyć się do łóżka; Sulin miała okładać jej twarz wilgotnymi ręcznikami. Tym razem to on przysiadł na materacach i trzymał ją za rękę. Bardzo mocno ścisnęła jego dłoń.

Tak czy owak, nie przestała się z nim droczyć. Mógł być absolutnie pewien, że będzie obecna przy dwóch okazjach; kiedy ćwiczył walkę z mieczem, tańcząc formy z czterema czy pięcioma najlepszymi, jakich był w stanie znaleźć wśród taireniańskich albo cairhieniańskich żołnierzy, i kiedy razem z Rhuarkiem albo Gaulem młócili się wzajem i starali jeden drugiego kopnąć w głowę. Min nieodmiennie przejeżdżała palcem po jego obnażonej piersi i mówiła jakiś dowcip

na temat pasterzy owiec, którzy się nie poca, ponieważ przywykli do wełny tak grubej jak skóra ich owiec i tym podobne rzeczy. Czasami dotykała w połowie zaleczonej, nigdy nie zagojonej rany w jego boku, tej zaognionej plamy, ale inaczej, delikatnie; z tego nigdy nie stroiła sobie żartów. Szczypała go poza tym w siedzenie — co było co najmniej zaskakujące, bo robiła to wtedy, gdy patrzyli inni ludzie — Panny i Mądre omal nie przewracały się ze śmiechu za każdym razem, kiedy podskakiwał, a Sulin miała taką minę, jakby miało ją rozsadzić od powstrzymanego śmiechu — wciskała mu się na kolana i całowała przy byle okazji, groziła nawet, że któregoś wieczora przyjdzie mu wyszorować plecy. Kiedy udawał, że popłakuje i jąka się, zaśmiewała się i mówiła, że nie wychodzi mu to najlepiej.

Min wychodziła dość szybko, gdy jakaś Panna wsuwała głowę przez szparę w drzwiach, by zapowiedzieć czyjeś przybycie, zwłaszcza jeśli to był Loial, który nigdy nie bawił długo i cały czas chciał rozmawiać o Bibliotece Królewskiej, albo Perrin, który zostawał jeszcze krócej i z jakiegoś powodu wyglądał na coraz bardziej zmęczonego. Zrywała się z miejsca zwłaszcza wtedy, gdy któremuś towarzyszyła Faile. Zdarzyło się tak dwa razy. Min pospiesznie wtedy chwyciła książkę spośród tych, które Rand miał w swojej sypialni, i siadała, udając, że czyta. Rand nie rozumiał, co się kryje za tymi chłodnymi spojrzeniami, które wymieniały obie kobiety. Nie była to niechęć czy wręcz wrogość, ale Rand podejrzewał, że gdyby któraś sporządziła listę tych, z którymi wolałaby nie spędzać czasu, to imię tej drugiej znalazłoby się na poczesnym miejscu.

Rzecz zabawna; za drugim razem taką książką okazał się oprawiony w skórę pierwszy tom „Esejów o Rozumie” Darii Gahand, które on uważał za wyjątkowo niestrawne i zamierzał odesłać do biblioteki przy najbliższej okazji, gdy wpadnie do niego Loial. Min za to czytała je jeszcze przez jakiś czas po wyjściu Faile, a potem, mimo marszczenia się i pomrukiwania, zabrała tę książkę do swych komnat w apartamentach dla gości.

O ile Min i Faile traktowały się wzajem z chłodną obojętnością, to między Min a Berelain nie było animozji. Kiedy drugiego poranka Somara obwieściła przybycie Berelain, Rand wdział kaftan, wszedł do przedsionka i zasiadł na wysokim, pozłacanym tronie na podium, zanim powiedział Somarze, by ją wpuściła. Min jednak nie spieszyła się z udaniem do bawialni. Berelain weszła posuwistymi krokami, piękna jak zawsze, w miękkiej błękitnej sukni wyciętej jak zwykle głęboko — i jej wzrok padł na Min, odzianą w bladoróżowy kaftanik i spodnie. Przez kilka długich chwil Rand mógł równie dobrze nie istnieć. Berelain otwarcie mierzyła Min wzrokiem od stóp do głów. Ta z kolei zapomniła o bawialni, ułożyła dłonie na biodrach i stała tak z jednym kolaniem ugiętym, równie otwarcie przypatrując się Berelain. Uśmiechały się do siebie; Rand miał wrażenie, że włosy stają mu dęba, kiedy to robiły. Nie przychodziło mu na myśl nic innego jak tylko dwa obce sobie koty, które właśnie odkryły, że zostały zamknięte w jednej małej izdebce. Min, najwyraźniej stwierdziwszy, że już nie ma sensu się ukrywać, podeszła do

krzesła — podpłynęła, byłoby tu lepszym słowem; udało jej się naśladować sposób chodzenia Berelain tak jakby to robił chłopiec! — i usiadła, zakładając nogę na nogę, nadal się uśmiechając. Świątłości, jak te kobiety potrafiły się uśmiechać!

Na koniec Berelain zwróciła się do Randa, rozkładając spódnice i nisko się pochylając. Słyszał jak Lews Therin coś mruczy w jego głowie, napawając się widokiem pięknej kobiety, która była bardziej niż hojna w szafowaniu swymi wdziękami. Rand też podziwiał to, co widział, jednocześnie się zastanawiając, czy nie powinien odwrócić wzroku, przynajmniej dopóki ona się znowu nie wyprostuje, ale usadowił się na podium nie bez powodu. Postarał się, by jego głos zabrzmiał rozsądnie i stanowczo.

— Rhuarkowi wymknęło się, że zaniedbujesz swe obowiązki, Berelain. Jak się zdaje, ukryłaś się w swych komnatach na wiele dni, od czasu, kiedy byłem tu po raz ostatni. Wnoszę, że musiał się z tobą surowo rozmówić, skoro raczyłaś z nich wyjść. — Rhuarc właściwie wcale tego nie powiedział, ale coś takiego dało się wywnioskować. Purpura, jaką okryły się jej policzki, wskazywała, że Rand mówiąc to, miał rację. — Wiesz przecież, dlaczego to ty sprawujesz tutaj władzę, a nie on. Masz słuchać jego rad, a nie zrzucać wszystko na jego barki. Nie życzę sobie, by Cairhienianie postanowili wszcząć rebelię, przekonani, że przekazałem władzę nad nimi w ręce Aiela.

— Ja... ja się zamartwiałam, Lordzie Smoku. — Wbrew temu wahaniu i czerwonym policzkom, mówiła opanowanym głosem. — Od czasu zjawienia się Aes Sedai plotki wyrastają jak chwasty. Czy wolno mi spytać, kto ma wedle twego życzenia tutaj panować?

— Elayne Trakand. Dziedziczka Tronu Andor. Obecnie królowa Andoru. — A w każdym razie już niebawem. — Nie wiem, o jakich pogłoskach mówisz, ale myśl o spokoju w Cairhien. Martwienie się Aes Sedai pozostaw mnie. Elayne będzie wdzięczna za to, co tu zrobiłaś.

Min z jakiegoś powodu głośno pociągnęła nosem.

— To mądry wybór — odrzekła po namyśle Berelain. — Cairhienianie zaakceptują Elayne, jak mi się zdaje, może nawet ci buntownicy w górach. — Dobrze to było słyszeć; Berelain potrafiła bystrze interpretować trendy polityczne, może równie bystrze jak Cairhienianie. Zrobiła głęboki wdech, sprawiając, że Lews Therin przestał szumieć. — Co zaś się tyczy Aes Sedai... plotki mówią, że one tu przybyły, by cię odprowadzić do Białej Wieży.

— A ja powiedziałem, zostaw Aes Sedai mnie. — Nie dlatego, żeby nie ufał Berelain. Ufał jej do tego stopnia, że powierzył jej władzę nad Cairhien, dopóki Elayne nie przejmie Tronu Słońca, nie wierzył też, by ona sama żywiła jakieś ambicje odnośnie korony. Ale wiedział również, że im mniej jest takich, którzy wiedzą, że on w ogóle ma jakieś plany względem Aes Sedai, tym mniejsze są szanse, iż Coiren dowie się, że chodzi o coś więcej niż oferowane przez nią złoto, i klejnoty.

Ledwie drzwi zamknęły się za Berelain, Min znowu pociągnęła nosem. W rzeczy samej tym razem było to niemal parsknięcie.

— Dziwię się, że jej się w ogóle chce wkładać jakiegokolwiek ubrania. No cóż, prędzej czy później ktoś utrże jej nosa. Nie zobaczyłam nic, co by ci się do czegoś przydało. Tylko mężczyznę w bieli, który przyczyni się do jej upadku. Niektóre kobiety nie mają za grosz wstydu!

Tego samego popołudnia poprosiła go o pieniądze, by móc najać całą izbę szwaczek, jako że przybyła z Caemlyn z tym tylko, co miała akurat na sobie, i te bezzwłocznie przystąpiły do szycia kaftanów, spodni i bluzek z jedwabiu i brokatu we wszystkich kolorach tęczy. Kilka bluzek zdawało się bardzo wydekoltoowanych, nawet pod kaftanem. Niektóre ze spodni były takie, że nie miał pojęcia, jak ona się w nie wbiła. Ponadto każdego dnia ćwiczyła rzucanie nożami. Raz nawet zauważył, jak Nandera i Enaila pokazują jej ich technikę walki z użyciem rąk i stóp, która znacznie się różniła od sposobu, w jaki robili to mężczyźni; Panny nie lubiły, kiedy je obserwował przy tych ćwiczeniach; przerywały je i podejmowały dopiero wtedy, kiedy się oddalił. Może Perrin pojąłby to wszystko, ale Rand stwierdził po raz tysięczny, że on sam nie rozumie i nigdy nie zrozumie kobiet.

Każdego dnia do apartamentów Randa przychodził Rhuarc albo Rand udawał się do gabinetu, który Rhuarc dzielił z Berelain. Rand z zadowoleniem obserwował, jak tamten ciężko pracuje nad sprawozdaniami z wysyłek zboża i kwaterowania uchodźców, a także z napraw zniszczeń powstałych w wyniku wojny, którą niektórzy Cairhienianie nazywali Drugą Wojną z Aielami, mimo usilnych starań, by nazywano ją Wojną z Shaido. Rhuarc twierdził, że postanowił zignorować, jak się wyraził, zabawy Cairhienian w *ji'e'toh*, ale nadal burczał za każdym razem, gdy widział jakąś Cairhieniankę z mieczem albo młodzieńców całych odzianych w biel. Rebelianci wciąż się czaili w górach, ich rzesze rosły, ale ci też nie zdawali się go trapić. Przejmował się natomiast Shaido i tym, ile włóczni wyrusza każdego dnia w stronę Łzy. Ci zwiadowcy, którym udało się wrócić, donosili o aktywności Shaido na Sztylcie Zabójcy Rodu. Nic jednak nie wskazywało, w którą stronę zamierzają wyruszyć i kiedy to nastąpi. Rhuarc wspominał nawet o tym, ilu Aielów uległo apatii i odrzuciło włócznie, ilu nie chciało zarzucić bieli *gai'shain*, kiedy ich czas się kończył, a także o tych nielicznych, którzy nadal kierowali się na północ, by się przyłączyć do Shaido. To wszystko świadczyło o jego zaniepokojeniu. O dziwo, Sevanna była w namiotach, a nawet w samym mieście; wyjechała nazajutrz po przybyciu Randa. Rhuarc wspominał o tym przelotnie.

— A czy nie lepiej byłoby ją pojmać? — zapytał Rand. — Rhuarc, ja wiem, że ona jest uważana za Mądrą, według mnie, ona nią nie jest. Nie byłbym zdziwiony, gdyby Shaido okazali się rozsądni, kiedy jej zabraknie.

— Wątpię w to — odparł sucho Rhuarc. Siedział na poduszce, wsparty o ścianę gabinetu, i palił fajkę. — Amys i inne zerkają na siebie za plecami Sevanny, ale przyjmują ją jako Mądrą. Jeżeli Mądre twierdzą, że Sevanna należy do nich,



to tak jest. Widywałem wodzów, dla których nie zmarnowałbym bukłaka wody, choćbym nawet stał w otoczeniu dziesięciu stawów, ale oni nadal byli wodzami.

Rand westchnął i zabrał się za studiowanie mapy rozpostartej na stole. Rhuarc rzeczywiście zdawał się jej nie potrzebować; nie patrząc na nią, potrafił wymienić wszystkie cechy narysowanego na niej terenu. Berelain siedziała na swym krześle z wysokim oparciem po drugiej stronie stołu, z podkulonymi nogami i stertą papierów na kolanach. W rękę trzymała pióro, a na małym stoliku obok jej krzesła stał kałamarz. Dość często zerknęła na niego, ale za każdym razem, gdy widziała, że Rhuarc na nią patrzy, ponownie pochylała głowę nad raportami. Rhuarc z jakiegoś powodu zawsze marszczył czoło, gdy na nią spojrział, a ona wtedy rumieniła się i zaciskała usta. Czasami Rhuarc robił minę wyrażającą dezaprobatę, co nie miało żadnego sensu. Przecież już powróciła do swych obowiązków.

— Będziesz musiał przerwać wysyłanie włóczni na południe — powiedział w końcu Rand. Nie podobał mu się ten pomysł. Sammael musiał koniecznie odczuć, że spada na niego największy młot świata, ale nie mogło się to odbyć kosztem konieczności ponownego wypełniania Shaido z Cairhien. — Nie widzę innego sposobu.

Mijały dni i każdy był czymś wypełniony. Przyjmował uśmiechniętych lordów i lady, tak dla siebie wzajem serdecznych, iż nabrał pewności, że potajemnie knują coś przeciwko sobie. Mądre doradzały mu, jak ma traktować Aes Sedai, czy to z Wieży, czy z Solidaru; Amys i Bair sprawiały, że Melaine wydawała się przy nich łagodna; Sorilea sprawiała, że stygła mu krew. Młodzi Cairhienianie wszczynali zamieszki na ulicach wbrew wydanemu przez Rhuarka zakazowi pojedynków. Rhuarc poradził sobie z tym, pokazując im, co to naprawdę znaczy być *gai'shain*; siedzenie przez cały dzień nago, na pełnym słońcu i pod strażą nieco ostudziło ich zapały, ale Rhuarc nie zamierzał tak dalece występować przeciwko obyczajowi, by wszystkich mieszkańców mokradeł ubrać w biel, toteż ci, których Czerwone Tarcze rzeczywiście złapały, zaczęli się przechwalać całą sprawą. Rand usłyszał Selande tłumaczącą innej młodej kobiecie z mieczem i włosami przystrzyżonymi na krótko, bardzo wyniosłym tonem, że nigdy tak naprawdę nie zrozumie *ji'e'toh*, dopóki nie zostanie wzięta do niewoli przez Aielów. To podnosiło go na duchu, cokolwiek to miało oznaczać.

Niemniej jednak, mimo Shaido i arystokratów, Mądrych i buntowników, mimo zastanawiania się, czy Fel wróci kiedykolwiek z wyprawy na ryby, te dni zdawały się... przyjemne. Ożywiały. Pewnie dlatego, że po przybyciu do Cairhien był taki zmęczony. A poza tym Lews Therin jakby przycichł, być może tylko w porównaniu z tymi ostatnimi godzinami w Caemlyn. Rand stwierdził nawet, że podoba mu się, jak Min się z nim droczy, do tego stopnia, że raz czy dwa musiał sobie przypominać, że to tylko żarty. Po dziesięciu dniach spędzonych w Cairhien uznał, że nie byłoby źle żyć tak do dnia śmierci. Ale oczywiście zdawał sobie sprawę, że to

nie może trwać wiecznie.

Dla Perrina te dziesięć dni wcale nie były przyjemne. Od dawna już szukał towarzystwa Loiala, ale Loial znalazł raj w Bibliotece Królewskiej, gdzie spędzał większą część dnia. Perrin lubił czytać i te z pozoru niezliczone izby, wypełnione książkami aż po sklepienie sufity mogły mu się podobać, ale niestety nawiedzała je pewna Aes Sedai, szczupła, ciemnowłosa kobieta, która zdawała się nigdy nie mrugać oczami. Udawała, że go nie zauważa, ale on nie bardzo ufał Aes Sedai jeszcze przed zdarzeniami w Caemlyn. Ponieważ Loial raczej skąpił mu swego towarzystwa, Perrin często wyprawiał się na polowania z Gaulem, i kilka razy z Rhuarkiem, którego poznał w Kamieniu i bardzo polubił. Problemów przysparzała Perrinowi własna żona. Czy raczej Berelain. Albo jedna i druga. Gdyby Rand nie był taki zajęty, Perrin zapytałby go o radę. Rand zasadniczo znał się na kobietach, ale bywały takie rzeczy, o których mężczyzna zwyczajnie nie mógł otwarcie rozmawiać.

To się zaczęło właśnie tamtego pierwszego dnia; przebywał w Cairhien od tak niedawna, że zdążono mu pokazać zaledwie komnaty Pałacu Słońca. Faile poszła się rozejrzeć w towarzystwie Bain i Chiad, a on mył się właśnie, obnażony do pasa, kiedy nagle poczuł woń perfum, niezbyt silną, ale wystarczającą dla jego nosa, a czyjś ciepły głos za jego plecami powiedział:

— Zawsze się domyślałam, że masz piękne plecy, Perrin.

Odwrócił się tak szybko, że omal nie przewrócił umywalki.

— Słyszałam, że ponoć przybyłeś tu z... żoną? — Berelain stała w drzwiach sypialni; uśmiechała się.

Tak, istotnie przybył z żoną; z żoną, która nie byłaby zachwycona, gdyby zastała go bez ubrania sam na sam z kobietą ubraną w w taką suknię. A zwłaszcza Pierwszą z Mayene. Wciągnąwszy koszulę przez głowę, powiedział Berelain, że Faile właśnie wyszła, że nie wie, kiedy wróci i czy będzie gotowa przyjmować gości, po czym odprawił ją na korytarz tak szybko jak umiał, nie uciekając się do podnoszenia jej z posadzki i wyrzucenia za próg. Myślał, że na tym koniec; Berelain poszła sobie, a jemu udało się nazwać Faile żoną sześć razy w tyłuż samo zdaniach i dwukrotnie zaznaczyć, że bardzo ją kocha. Berelain dowiedziała się, że jest żonaty, dowiedziała się, że on kocha swoją żonę i na tym cała sprawa powinna się była zakończyć.

Faile wróciła niewiele później; zrobiła dwa kroki do wnętrza sypialni i zaczęła buchać wonią zazdrości i gniewu, najeżoną i ostrą jak nóż, od której to kombinacji omal nie poleciała mu krew z nosa. Nie rozumiał; nadal czuł woń perfum Berelain, ale miał przecież zmysł powonienia wyostrzony jak u wilka. Faile z pewnością nie mogła czuć tego zapachu. To było bardzo dziwne. Faile uśmiechała się. Z jej ust nie padło ani jedno niestosowne słowo. Okazywała mu tyle miłości co zawsze i to

nawet jeszcze żarliwiej niż kiedykolwiek, bo wydrapała paznokciami głębokie szramy w jego ramionach, czego nigdy przedtem nie czyniła.

Potem, zbadawszy krwawiące rany w świetle lampy, skubnęła go w ucho zębami, wcale nie delikatnie, i roześmiała się.

— W Saldaei — wymruczała — nacinamy koniom uszy, ale moim zdaniem ja tym ciębie dostatecznie naznaczyłam. — I przez cały ten czas praktycznie pluła zazdrością i gniewem.

Gdyby na tym był koniec, to wszystko by się uspokoiło. Zazdrość Faile potrafiła wybuchać niczym ogień w kuźni buzujący od porywistego wiatru, ale zawsze zamierała równie szybko jak się rodziła, kiedy już do niej dotarło, że nie ma do niej podstaw. A tymczasem następnego poranka zauważył ją, jak rozmawia z Berelain na korytarzu, obie uśmiechały się tak jak nigdy. Posłyszał ostatnią rzecz, jaką powiedziała Berelain, zanim się odwróciła.

— Ja zawsze dotrzymuję swoich obietnic. — Dziwna uwaga, która sprawiła, że od Faile zaleciało czymś żrącym i kolczastym.

Zapytał Faile, o jakich to obietnicach mówiła Berelain, i to chyba był błąd. Zamrugła — czasami rzeczywiście zapominała o jego wyostrzonym słuchu — i odparła:

— Doprawdy nie pamiętam. Ona należy do tych kobiet, które składają najrozmaitsze obietnice, mimo iż nie potrafią ich dotrzymać. — Dorobił się wtedy drugiej serii krwawych bruzd na ramionach, a przecież nawet nie minął środek poranka!

Berelain zaczęła się za nim uganiać. Z początku nie myślał tak o tym. Ta kobieta flirtowała z nim kiedyś, w Kamieniu Łzy, w dość łagodny sposób, bynajmniej nie dając do zrozumienia nic, czego byłby pewien i wiedziała, że on teraz jest żonaty. To była tylko seria przypadkowych spotkań na korytarzach, jak się zdawało, kilka niewinnych słów rzuconych w przelocie. Ale po jakimś czasie wiedział już, że albo to on całkiem zniekształca los jako *ta'veren* albo to Berelain wszystkim manipuluje, mimo iż to się zdawało nieprawdopodobne. Próbował sobie wmówić, że to niedorzeczność. Próbował sobie wmówić, że pewnie mu się ubzdurało, iż jest tak przystojny jak Wil al'Seen. Tylko za Wilem kobiety się uganiały, a z pewnością nigdy nie uganiały się za Perrinem Aybarą. Jednak tych „przypadkowych” spotkań było zbyt wiele.

Dotykała go za każdym razem. Nie żeby jakoś bezczelnie; ot tylko kładła na chwilę palce na jego dłoni, na ramieniu, barku. Niemalże nie było to w ogóle godne zauważenia. Trzeciego dnia przyszła mu do głowy myśl, od której włosy mu się zjeżyły na głowie. Kiedy się ujeżdżało konia, którego nikt nigdy nie dosiadał, to zaczynało się od lekkiego dotykania, aż wreszcie zwierzę wiedziało, że twój dotyk nie zrobi mu krzywdy i ostatecznie stawało nieruchomo pod twoją ręką. Potem przychodziła kolej na derkę, dalej na siodło. Uzdę zakładało się zawsze na końcu.

Zaczął się panicznie bać zapachu perfum Berelain, zionących ku niemu zza jakiegoś rogu. Wystarczyło, że poczuł pierwszy ich powiew i natychmiast kierował się w przeciwnym kierunku, tyle że nie mógł przecież poświęcać całego czasu na wystrzeżenie się tego zapachu. Przede wszystkim do pałacu i z pałacu stale wychodziły całe tabuny buńczucznych, cairhieniańskich durniów, w tym wiele kobiet. Kobiet, które przypasywały sobie miecze! Musiał obchodzić duże grupy mężczyzn i kobiet, którzy specjalnie stawali mu na drodze. Dwukrotnie musiał powalać na ziemię jakiegoś tępaka, który zwyczajnie nie pozwalał się wyminąć, tylko stał przed nim tańcząc. Nie czuł się z tym dobrze — prawie wszyscy Cairhienianie byli od niego znacznie niżsi — ale nie można ryzykować z człowiekiem, który trzyma rękę na rękojeści miecza. Któregoś razu spróbowała tego pewna młoda kobieta i po tym, jak odebrał jej miecz, tak mu się naprzykrzała, że w końcu oddał go jej; tej najpierw odebrało mowę, a potem zaczęła krzyczeć w ślad za nim, że on nie ma honoru, dopóki jakieś Panny nie odciągnęły jej na bok i nie zaczęły czegoś zapalczywie jej tłumaczyć.

Z drugiej zaś strony ludzie wiedzieli, że jest przyjacielem Randa. Niezależnie od okoliczności, w jakich tu przybył, niektórzy Aielowie i Tairenianie pamiętali go z Kamienia i wieść się rozeszła. Na korytarzach przedstawiali mu się lordowie i lady, których nigdy w życiu nie widział, a taireniańscy Wysocy Lordowie, którzy tak zadzierali przed nim nosa w Łzie, w Cairhien zagadywali go niczym starzy przyjaciele. Większość pachniała strachem, a oprócz niego czymś, czego nie potrafił nazwać. Dotarło do niego, że oni wszyscy dążą do jednego.

— Obawiam się, że Lord Smok nie we wszystkim obdarza mnie swym zaufaniem — rzekł uprzejmie do kobiety o chłodnym wzroku, której imię brzmiało Colavaere — a nawet jeśli zdarza mu się to czynić, to chyba nie spodziewasz się, że ja owo zaufanie naruszę. — Uśmiech jego rozmówczyni zdawał się pochodzić z jakichś niebotycznych wyżyn; zdawała się nadto zastanawiać, czy jego skóra nie nadawałaby się przypadkiem na dywanik. Dziwnie pachniała, twardo, gładko i jakoś tak wyniośle.

— Doprawdy nie mam pojęcia, co zamierza Rand — oświadczył Meilanowi. Mężczyzna spoglądał na niego, wysoko zadzierając nos, a uśmiechał się niemalże tak samo jak Colavaere. Wydzielał zresztą identyczny zapach i to podobnie stężony. — Może ty sam powinieneś go zapytać.

— Gdybym to wiedział, to i tak nie głosiłbym o tym po całym mieście — powiedział Maringilowi, siwowłosemu mężczyźnie obdarzonemu twarzą łasicy i zbyt licznymi zębami. W owym czasie zaczął już odczuwać znużenie tymi ciągłymi próbami wyciśnięcia z niego informacji. Również Maringil specyficznie pachniał i to równie silnie jak Colavaere albo Meilan.

Za całą trójką ta woń wlokła się mocniej niż za innymi, niebezpieczna woń — Perrin czuł w kościach — podobna do zwietrzałego wierzchołka góry tuż przed lawiną.

Bezustannie zajęty wystrzeganiem się młodych cairhieniańskich durniów i wciąganiem tej groźnej woni do nosa nie potrafił rozpoznać zapachu Berelain, dopóki ta nie podkradła się dostatecznie blisko, by móc dopaść go z zaskoczenia. Niby sunęła po korytarzach niczym łabędź po gładkiej powierzchni stawu, a mimo to czuł się jak ofiara drapieżnego ptaka.

W rozmowach wymienił imię Faile więcej razy niż potrafił zliczyć; Berelain zdawała się tego nie słyszeć. Prosił ją, żeby przestała; zdziwiła się, co on ma na myśli. Powiedział jej, że ma go zostawić w spokoju; roześmiała się, poklepała go po policzku i zapytała, co takiego ona ma przestać robić. Co oczywiście musiało nastąpić dokładnie w tym momencie, kiedy z najbliższego korytarza wyłoniła się Faile, akurat wtedy, kiedy on cofał się gwałtownie. Faile musiało się wydawać, że on się tak cofnął na jej widok. Bez chwili wahania gładko okręciła się na pięcie, ani nie zwalniając ani nie przyspieszając kroku.

Pobiegł za nią, dogonił i szedł obok w zboliałym milczeniu. Mężczyzna raczej nie jest w stanie powiedzieć tego, co chce tam, gdzie mogą to słyszeć inni. Faile pachniała całkiem przyjemnie przez całą drogę do ich komnat, ale dalej... och, co za ostra woń wypełniła mu nozdrza.

— To wcale nie było tak, jak to wyglądało — powiedział, ledwie drzwi się zamknęły. Z jej strony ani słowa; uniosła brwi, niemo pytając. — Cóż, to... Berelain poklepała mnie po policzku. — Nadal się uśmiechała, ale poza tym ponuro zmarszczyła brwi; wśród cierni wykwitł oset gniewu. — ... zrobiła to sama z siebie. Ja jej nie zachęcałem, Faile. Ona naprawdę zrobiła to sama z siebie. — Bardzo chciał, żeby Faile nareszcie się odezwała, ale ona tylko patrzyła. Wydawało mu się, że na coś czeka, ale na co? Nagłe zrozumienie chwyciło go za gardło i jak to często bywało, kiedy z nią rozmawiał, zacisnęło niczym pętlą. — Faile, przepraszam. — Gniew przekształcił się w brzytwę.

— Ach tak — odparła beznamiętnym tonem i posuwistym krokiem wyszła z komnaty.

Wychodziło na to, że popełniał błąd za błędem, nawet nie rozumiejąc, jak to się dzieje. Przeprosił, a wszak nie zrobił nic, za co miałby przeproszać.

Tamtego dnia podsłuchał Bain i Chiad, które dyskutowały, czy powinny pomóc Faile i razem z nią go zbić! Nie dowiedział się, czy to Faile podsunęła im ten pomysł — była zapalczywa, ale żeby aż tak? — podejrzewał jednak, że one chciały, żeby on to usłyszał. Wpadł w złość. Najwyraźniej jego żona omawiała ich wspólne sprawy z tymi dwiema, sprawy, które powinny pozostać między mężem i żoną; ta myśl sprawiła, że rozzłościł się jeszcze bardziej. O jakich to jeszcze tajnikach ich pożycia gadała z nimi przy herbatce? Tamtego wieczora, ku jego zdumieniu, Faile włożyła mimo upału grubą, wełnianą koszulę nocną. Kiedy próbował pocałować ją w policzek, mruknęła, że ma za sobą męczący dzień i odwróciła się do niego plecami. Pachniała furią, tak ostro, że mogłaby rozpołować brzytwę.

Nie potrafił zasnąć przy tym zapachu i im dłużej tak leżał obok niej, wpatrzony w spowitą w mrok komnatę, tym bardziej stawał się zły. Dlaczego ona to robi? Czy ona nie widzi, że on kocha tylko i wyłącznie ją? Czy nie udowadniał jej co rusz, że bardziej niż czegokolwiek innego w życiu pragnie ją tulić po wsze czasy? Czy należało go winić za to, że jakiejś kobiecie wleciała osa do nosa i zachciało jej się flirtować? Powinien był przełożyć ją sobie przez kolano i tak wysmagać po siedzeniu, żeby nareszcie przejrzała na oczy. Tylko że już to kiedyś zrobił, wtedy, gdy jej się zdawało, że może go bić pięścią, kiedy chciała postawić na swoim. Sam zresztą odczuł to znacznie boleśniej; nie znosił nawet myśli, że Faile mogłaby stać się krzywda. Pragnął z nią żyć w pokoju. Z nią i tylko z nią.

Dlatego właśnie podjął decyzję, gdy tak leżał o pierwszym szarym brzasku ich szóstego dnia w Cairhien. Wiedział, że w Kamieniu Berelain flirtowała z kilkunastoma mężczyznami; niezależnie od tego, co ją podkusiło, by wybrać sobie jego za swoją ofiarę, zasadzi się na innego, jeśli będzie trzymał się od niej z daleka dostatecznie długo. A kiedy już Berelain znajdzie sobie inną ofiarę, Faile odzyska rozsądek. Takie rozwiązanie wydawało mu się najprostsze.

Kiedy już nadeszła pora, że mógł narzucić coś na grzbiet, wyruszył na poszukiwanie Loiala, zjadł z nim śniadanie, a potem towarzyszył mu do Biblioteki Królewskiej. A kiedy zobaczył tam szczupłą Aes Sedai i Loial mu powiedział, że przychodzi tam codziennie — Loial był bardzo nieśmiały przy Aes Sedai, ale nie miał nic przeciwko, gdy otaczało go ich pięćdziesiąt — Perrin znalazł Gaula, po czym zapytał, czy on nie miałby ochoty na polowanie. Na wzgórzach otaczających miasto jeleni albo królików było niewiele, a te nieliczne cierpiały z powodu suszy tak samo jak ludzie, ale nos Perrina mógł ich doprowadzić do odpowiednio licznej zwierzyny, gdyby rzeczywiście zależało mu na zdobyciu mięsa. Nawet nie nałożył strzały na cięciwę, ale uparł się, że pozostanie za miastem, dopóki Gaul nie zapytał, czy on przypadkiem nie zamierza polować na nietoperze przy świetle księżyca — Perrin niekiedy zapominał, że inni ludzie nie widzą tak dobrze w ciemnościach jak on. Następnego dnia też polował aż do zmroku.

Cały problem polegał na tym, że jego prosty plan ewidentnie się nie powiódł. Pierwszej nocy, gdy wrócił do Pałacu Słońca, z łukiem bez naciągniętej cięciwy na ramieniu, przyjemnie zmęczony po tych wszystkich spacerach, jakieś przypadkowe zawriowanie powietrza naniósł w porę zapach Berelain i powstrzymało go przed wejściem do głównej sieni pałacu. Dawszy znak Aielom stojącym na warcie, że mają milczeć, przeszedł ukradkiem pod drzwi jakiegoś sługi i łomotał do nich tak długo, aż wreszcie osobnik o zmętniałym wzroku wpuścił go do środka. Następnego nocy Berelain czekała na korytarzu pod jego komnatami; musiał się ukrywać za rogiem przez połowę nocy, dopóki się nie poddała. I w ten sposób zasadzała się na niego w jakimś miejscu co noc, jakby mogła udawać przypadkowe spotkanie, gdy przecież wszyscy spali z wyjątkiem kilku służących. To było absolutne szaleństwo; dlaczego nie mogła sobie wybrać kogoś innego? I każdej

nocy, kiedy nareszcie wpełzał do swojej sypialni z butami w rękę, Faile spała w tej przeklętej grubej koszuli nocnej. Na długo przed szóstą z rzędu, bezsennością był gotów przyznać, że zblądził, aczkolwiek nadal nie rozumiał, jak do tego doszło. To wydawało się takie cholernie proste. Chciał usłyszeć tylko jedno słowo z ust Faile, jedną wskazówką odnośnie tego, co powinien powiedzieć albo zrobić. Każdej nocy jednak słyszał tylko zgrzytanie własnych zębów.

Dziesiątego dnia Rand otrzymał list od Coiren z kolejną prośbą o audiencję, sformułowaną równie uprzejmie jak poprzednie trzy. Siedział przez jakiś czas, mnąc gruby pergamin kremowej barwy między kciukiem, a palcem wskazującym i zastanawiał się. Wyczuwał Alannę i ponieważ nie umiał orzec, jaki dzieli ich dystans, wywnioskował, że skoro tym razem to uczucie jest znacznie silniejsze w porównaniu z tym, co czuł tamtego pierwszego dnia, ona musi się znajdować w połowie drogi do Cairhien. Jeśli tak rzeczywiście było, to w takim razie Merana nie marnowała czasu. I dobrze; chciał, żeby tak gorliwie dążyła do celu. Mogłaby też okazać skruchę, przynajmniej odrobinę, ale to akurat się równało pragnieniu gwiazdki z nieba; Merana była Aes Sedai. Dotrą do Cairhien za dziesięć dni, pod warunkiem, że utrzymają takie tempo. Dość czasu by jeszcze ze dwa razy spotkać się z Coiren, dzięki czemu udzieliłby obu grupom po trzy audiecje. Merana będzie zmuszona wziąć to pod uwagę, kiedy już się tu zjawi. Obecność delegacji z Białej Wieży pozbawi ją wszelkiej przewagi i nie dowie się też, że on prędzej wsadziłby rękę do gniazda węży, niż zbliżył się do Wieży, zwłaszcza teraz, kiedy Elaida zasiadała na Tronie Amyrlin. Jeszcze dziesięć dni i gotów był zjeść własne buty, że przed upływem kolejnych dziesięciu Merana obieca mu wsparcie ze strony Salidaru, bez tych bzdur o prowadzeniu go albo wskazywaniu mu właściwej drogi. Wtedy będzie mógł nareszcie skierować całą uwagę na Sammaela.

Kiedy Rand zasiadł do pisania listu do Coiren, w którym kazał jej nazajutrz przyprowadzić dwie siostry do pałacu Słońca, Lews Therin zaczął mruzczyć.

„O tak. Sammael. Zabij go tym razem. Demandreda, Sammaela, zabij ich teraz wszystkich. Tak, ja to zrobię”.

Rand ledwie zważał na te słowa.

## UPROWADZENIE

Rand pozwolił Sulin przytrzymać kaftan, który właśnie wkładał, z tego prostego względu, że w przeciwnym razie musiałby wydzierać jej go z rąk. Ona jak zwykle starała się wcisnąć na niego odzienie, nie zważając na takie drobiazgi, jak na przykład miejsce, gdzie akurat znajdowały się jego ręce. W rezultacie odtańczyli krótki taniec na środku sypialni. Zachwycony tym Lews Therin rechotał opętańczo.

„Sammael, tak, ale najpierw Demandred. Przede wszystkim pozbędę się Demandreda, potem Sammaela. O tak!”

Gdyby ten człowiek posiadał ręce, to zapewne zacierałby je z radości. Rand go zignorował.

— Okaż szacunek — mruknęła pod nosem Sulin. — Nie okazałeś szacunku tym Aes Sedai w Caemlyn i sam widziałeś, co z tego wyszło. Mądre. . . Słyszałam różne rzeczy, które mówiły Mądre. . . Musisz okazywać szacunek. Lordzie Smoku — padło jakby po namyśle.

Nareszcie udało mu się wbić w kaftan.

— Czy Min już przyszła?

— A widzisz ją? Mój Lordzie Smoku. — Sulin zebrała nie istniejącą nitkę z czerwonego jedwabiu i zabrała się za zapinanie guzików. Szło jej znacznie szybciej, gdy opuścił ręce, pozwalając jej to robić. — Min przyjdzie, kiedy przyjdzie. . . o ile przyjdzie. Sorilea skończy z nią w namiotach, kiedy skończy. — Nagle przyjrzała mu się podejrzliwie. — A czego ty od niej chcesz? Chyba nie chcesz, żeby ktoś cię podszczypywał w siedzenie, kiedy tu będą Aes Sedai. — Tego popołudnia nie miała na twarzy nieodmiennego, lekko skrywanego uśmiešku.

Bardzo było trudno się nie zasmucić. Wszystko już szło tak dobrze, a teraz to. Sorilea wiedziała, jak bardzo chciał, żeby Min uczestniczyła w dzisiejszej audiencji, jeszcze bardziej niż we wszystkich poprzednich; okazja do zbadania wizji towarzyszących Coiren i pozostałym nie mogła pozostać nie wykorzystana. Sorilea obiecała, że ją puści. Znowu się cofnął, ale Sulin postąpiła za nim, majstrując niezdarnie przy guzikach.

— Sulin, idź do namiotu Sorilei. Znajdź Min i przyprowadź ją tutaj. Żadnych pytań, Sulin. Zrób to po prostu.



Zrobiła z siebie niezłe widowisko, zdobyła się bowiem na uśmiech i jednocześnie zazgrzytała zębami.

— Jak Lord Smok każe. — Dygnęła zgrabnie, rozkładając szeroko czerwono-białe spódnice i schylając głowę ku posadzce.

— Jak długo? — zapytał, kiedy odwróciła się, żeby wyjść. Nie musiał wyjaśniać, o co pyta, a jej wahanie dowiodło, że zrozumiała.

Przemówiła wreszcie, tonem nie opryskliwym, lecz spokojnym i stanowczym.

— Kiedy moja hańba zrównoważy ich hańbę. — Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy dawna Sulin, ale maska wróciła równie szybko. — Lord Smok zechce mi wybaczyć; muszę już biec, jeśli mam wypełnić jego rozkaz. — Co też uczyniła, unosząc spódnice do kolan i wybiegając z komnaty. Rand pokręcił głową i sam zapiął resztę guzików.

Miał dobry nastrój, prawdę powiedziawszy. A właściwie miałby, gdyby nie ta Min. Sorilea obiecała. Min obiecała. Kiedy już zbędzie nieuchronne pytania Coiren odnośnie tego, czy decyduje się wrócić razem z nią do Tar Valon, usadzi Min i... Nie był pewien, co zrobi. Niemniej jednak Alanna znajdowała się o jeden dzień drogi bliżej. Szybko wystucha, co ma do powiedzenia Coiren, a potem przez godzinę będzie ćwiczył z mieczem.

„Demandred — warknął Lews Therin. — On pożądał Ilyeny!” I zaczął szlochać i zawodzić, jak zawsze, gdy wspominał o Ilyenie.

„Ilyena! Och, Światłości, Ilyena!”

Rand zaniósł Berło Smoka do przedsionka. Zastanawiając się, kogo przyprowadzi Coiren, zasiadł na wysokim tronie na podium. Dzięki temu przestał nerwowo spacerować. Nie z powodu Aes Sedai. Z powodu Min. Wiedziała, że on jej potrzebuje. Wiedziała.

Nareszcie jedne z drzwi otworzyły się i do środka weszła jakaś kobieta, ale to była Chiad, a nie Min.

— Aes Sedai są tutaj, *Car'a'carnie*. — Wypowiedziała jego tytuł sztucznym głosem, nadal nie przekonana tym, że mieszkaniec mokradeł pełni rolę wodza wodzów, a także, skoro już o tym mowa, nadal była niepewna, jak go traktować, skoro był synem Panny.

Rand skinął głową, prostując się i kładąc sobie Berło Smoka na kolanach.

— Każ im wejść. — Postanowił, że ostro się rozprawi z Min. Cały swój czas poświęcała Mądrym.

Coiren weszła do środka posuwistymi krokami, podobna do tłustego, pełnego pewności siebie łabędzia. Prowadziła Galinę i jeszcze jedną, kruczowłosą i twar-dooką kobietę z twarzą Aes Sedai. Tego dnia wszystkie były odziane w odcienie szarości, wybrane, jak podejrzewał, po to, by maskowały kurz. Ku jego zdziwieniu i tym razem w ślad za Aes Sedai weszły posługaczki w lekkich płaszczach podróżnych; był ich cały tuzin i wszystkie ugiwały się pod ciężarem dwóch okutych

mosiądzem kufrów. Kilka zerknęło w jego stronę, ale większość miała spuszczone głowy, być może skoncentrowane na ciężarach, a może ze strachu.

Rand ledwie się pohamował od wzdorczego wykrzywienia ust. One naprawdę myślały, że mogą go kupić.

— Jaka szkoda, że nie ma tu dzisiaj przy tobie twojej Zielonej siostry — powiedziała Galina.

Błyskawicznie przeniósł wzrok z posługaczek na nią. Trzy Aes Sedai wpatrywały się w niego z napięciem. Skąd one wiedziały o Alannie?

Nie było jednak czasu na zastanawianie się; prawie w tej samej chwili poczuł pod skórą mrowienie.

Furia rozgorzała nie tylko w nim lecz również w Lewsie Therinie. Rand niemalże wyrwał *saidina* z rąk tamtego. Rozgrzana do białości wściekłość zakotłowała się wzdłuż granic Pustki, a razem z nią pogarda, kiedy tak spoglądał na Coiren, Galinę i tę trzecią, kimkolwiek była. Coiren z determinacją zaciskała łagodnie wykrojone, krągłe usta; pozostałe dwie uśmiechały się. Były równie głupie jak Merana i jej towarzystwo.

Odgrodzenie go tarczą od Prawdziwego Źródła przypominało zamknięcie śluz; przepływ *saidina* ustał, pozostawiając jedynie brudny osad skazy. W porównaniu z tym wrażenie, że powietrze tężeje wokół niego, od stóp aż po głowę, zdawało się niczym. Aż wytrzeszczył oczy; to się nie mogło dziać naprawdę. Trzy kobiety nie mogły go odciąć od Źródła, po tym, jak już objął *saidina*, chyba że były to kobiety równie silne jak Semirhage, Mesaana albo... Próbował dotrzeć do Źródła, przy każdej próbie obijając się o ten niewidzialny kamienny mur. Lews Therin warczał jak dzika bestia, miotał się, jak oszalały drapał paznokciami. Jeden z nich musiał być w stanie dosięgnąć *saidina*; jeden z nich musiał być w stanie rozbić bufor utrzymywany tylko przez trzy kobiety.

Blokada istniała od zaledwie kilku chwil, kiedy obok Galina stanęła jedna z posługaczek i Rand poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Cztery Aes Sedai!

— Co za szkoda, że jednak do tego doszło. — Takim spokojnym, melodyjnym tonem Coiren mogła raczej przemawiać do całego zgromadzenia, a nie do jednego mężczyzny. — Bardzo pragnęłam, byś przybył do Tar Valon z własnej woli, ale stało się oczywiste, że ty zamierzasz się nas pozbyć. Przypuszczam, że miałeś jakieś kontakty z tymi biednymi idiotkami, które uciekły z Wieży po tym, jak nieszczęśnica Sanche została ujarzmiona. Czyżbyś naprawdę wierzył, że one mogą ci coś ofiarować? Coś co mógłbyś wykorzystać przeciwko Białej Wieży? — Mówiła to takim tonem, jakby on ją naprawdę rozczarował.

Oczy były jedyną częścią jego ciała, którą mógł poruszać; przeniósł spojrzenie na posługaczki krzątające się przy jednym z kufrów. Podniosły wieko i wyjęły ze środka płaską tacę. Niektóre z tych twarzy wyglądały młodo, ale te inne... Wszystkie posługaczki były Aes Sedai, nie miał teraz wątpliwości, w tym pięć młodych, wyniesionych niedawno, więc ich twarze nie zdążyły nabrać charakte-

rystycznego, nieruchomego wyrazu. Te pięć miało patrzeć na niego i uspić jego podejrzenia, podczas gdy pozostałe musiały ukryć twarze. Piętnaście Aes Sedai. Trzynaście do połączenia i utkania tarczy, jakiej żaden mężczyzna nie był w stanie rozbić; pozostałe dwie miały go związać. Trzynaście do... Lews Therin uciekł, krzycząc panicznie.

Galina wyrwała Berło Smoka z ręki Randa.

— Teraz ja dowodzę, Coiren. — Ani razu na niego nie spojrzała; równie dobrze mógł stanować element krzesła. — Uzgodniono, że jeśli do tego dojdzie, dowodzenie przejmą Czerwone Ajah. — Wręczyła Berło drugiej czarnowłosej kobiecie odzianej na szaro, po czym powiedziała: — Schowaj to gdzieś, Katerine. Amyrlin może uznać, że to zabawna pamiątka.

Czerwone Ajah. Twarz spłynęła mu potem. Żeby tylko weszła tu teraz któraś z Panien, które pełniły wartę przed drzwiami komnaty, albo jakaś Mądra, Sulin, ktokolwiek, kto mógłby krzyknąć, by zaalarmować pałac. Trzynaście Aes Sedai, dowodzone przez Czerwone Ajah. Gdyby mógł otworzyć usta, to sam zacząłby krzyczeć.

Bain ze zdziwieniem podniosła głowę, kiedy drzwi się otworzyły — Rand al'Thor przyjął Aes Sedai całkiem niedawno — i automatycznie odwróciła wzrok, kiedy zobaczyła posługaczki wynoszące na zewnątrz kufry. Jedna z czarnowłosych Aes Sedai stanęła przed nią i Bain pospiesznie wstała. Nie miała pojęcia, jak rozumieć wieści, które przekazały jej inne Panny w Caemlyn, rzeczy, o których dotąd wiedzieli jedynie wodzowie i Mądre, ale ciemne oczy tej kobiety zdawały się skrywać całą tę wiedzę o tym, jak to Aielowie zawiedli w zamierzchłej przeszłości. Ich spojrzenie nie odrywało się od Bain; ledwie do niej docierało, że druga Aes Sedai, ta o włosach barwy nocy, stoi naprzeciwko Chiad, a trzecia — nadęta — prowadzi przez korytarz posługaczki dźwigające kufry. Bain zastanawiała się, czy stojąca naprzeciwko niej Aes Sedai zamierza ją zabić za zawód sprawiony przez Aielów. Z pewnością zaczęłyby zabijać wcześniej, gdyby miały taki zamiar, ale ciemne oczy tej kobiety lśniły okrutnym blaskiem, który wróżył śmierć. Bain nie bała się śmierci; miała tylko nadzieję, że zdąży zawczasu osłonić twarz.

— Jak się zdaje młody pan al'Thor wyjeżdża i przyjeżdża do Cairhien, kiedy mu się podoba — powiedziała Aes Sedai głosem przywodzącym na myśl kamień. — Nie jesteśmy przyzwyczajone do tego, by ktoś nas tak niegrzecznie zostawiał. Jeśli powróci do pałacu w ciągu następnych kilku dni, to my też powrócimy. Jeśli zaś nie... Nasza cierpliwość nie jest nieskończona. — Odeszła posuwistym krokiem, w ślad za kobietami niosącymi kufry.

Bain wymieniła szybkie spojrzenia z Chiad i pospiesznie wbiegły do komnat

Randa.

— Jak to, „wyjechał”? — spytał podniesionym tonem Perrin. Loial zastrzygł uszami, ale nie podniósł wzroku uparcie wbitego w planszę do gry w kamienie, podobnie jak Faile. Pachniała... Perrin nie potrafił niczego wyróżnić z tej otaczającej ją dżungli zapachów; ta dżungla sprawiała, że miał ochotę gryźć się po rękach.

Nandera tylko wzruszyła ramionami.

— On tak czasem robi. — Wydawała się całkiem spokojna, miała założone ręce i obojętną twarz, ale wydzielala woń irytacji, przywodzącą na myśl maleńkie osty. — Wymyka się czasami potajemnie, nie zabierając nawet jednej Panny, która strzegłaby jego pleców, niekiedy aż na pół dnia. I uważa, że my o tym nie wiemy. Myślałam, że może ty wiesz, dokąd się udał. — Perrin usłyszał w jej głosie coś takiego, co kazało mu pomyśleć, że zamierzała wyprawić się śladem Randa, jeśli się dowie, dokąd on się udał.

— Nie — odrzekł i westchnął. — Nie mam pojęcia.

— Uważaj na grę, Loial — mruknęła Faile. — Z pewnością nie zamierzasz tego kamienia kłaść w tym miejscu.

Perrin ponownie westchnął. Tego dnia postanowił, że ani na chwilę nie odezwie się od boku Faile. Prędzej czy później będzie musiała odezwać się do niego, a poza tym Berelain z pewnością zostawi go w spokoju, jeżeli on będzie przez cały czas z żoną. No i cóż... Berelain istotnie zostawiła go w spokoju, za to Faile, ledwie się zorientowała, że on się nie wybiera na żadne polowanie. Dopadła Loiala, zanim ten zdążył wyjść do biblioteki i od tego czasu bez końca grali w kamienie. I to w milczeniu, mimo iż nie było to specjalnie praktyczne. Perrin żałował, że nie znajduje się tam, gdzie akurat przebywał Rand.

Leżący na wznak Rand wpatrywał się w grube krokwie piwnicy, właściwie ich nie widząc. Łóżko nie było duże, ale leżały na nim dwa materace wypchane pierzem, poduszki i cienkie, lniane prześcieradła. Obok stało niskie krzesło i niewielki stolik, prosty, ale dobrze wykonany. Nadal bolały go mięśnie, po tym, jak niesiono go tutaj w jednym z kufrów. Moc sprawiła, że skulił się bez trudu, z głową wtuloną między kolana; zwykle postronki wystarczyły, by zrobić z niego paczkę.

Odwrócił głowę, słysząc zgrzytanie metalu o metal. Galina posłużyła się wielkim żelaznym kluczem, żeby otworzyć klapę w żelaznej klatce, która otaczała łóżko, stół i krzesło. Posiwiata kobieta z pomarszczoną twarzą wsunęła ręce do klatki, na taką odległość, by postawić nakrytą serwetką tacę na stole, po czym natychmiast odskoczyła w tył.

— Zamierzam dostarczyć cię do Wieży w zadowolającym zdrowiu — oznajmiła chłodno Galina, gdy już zamknęła klapę. — Jedz, bo inaczej będziesz karmiony siłą.

Rand odwrócił wzrok w stronę krokwi. Na krzesłach ustawionych dookoła klatki siedziało sześć Aes Sedai, utrzymujących tarczę. Zatrzymał Pustkę, na wypadek gdyby popełniły jakiś błąd, ale nie atakował bariery. Zrobił to raz, zaraz na początku, gdy wepchnęły go brutalnie do klatki. Kilka się roześmiało. Te, które w ogóle coś zauważyły. Teraz sięgnął ostrożnie w stronę furii *saidina*, burzy ognia i lodu, nadal poza polem widzenia. Sięgnął i obmacał niewidzialny mur odcinający go od Źródła, badając go tak, jakby próbował znaleźć jakąś krawędź. Zamiast niej znalazł takie miejsce, w którym mur zdawał się przekształcać w sześć punktów; więziły go niezwykle skutecznie. Sześć, nie jeden, i były to z całą pewnością punkty.

Od jak dawna tu przebywał? Owładnęła nim szarość apatii, zaciemniając poczucie czasu, wtrącając w letarg. Przebywał tu dostatecznie długo, by zgłodnieć, ale Pustka sprawiała, że to uczucie było odległe; woń gorącego gulaszu i ciepłego chleba napływająca doń od strony tacy nie potrafiła wzbudzić w nim zainteresowania. Powstanie zdawało się wiązać ze znacznym wysiłkiem. Jak dotąd dwanaście Aes Sedai siadało kolejno wokół klatki, ale w piwnicy nie pojawiła się ani jedna twarz, którą widział wcześniej. Ile ich mieszkało w tym domu? To mogło się okazać ważne później. Gdzie się ten dom znajdował? Nie miał pojęcia, jak długą drogę pokonał we wnętrzu kufra, prawie cały ten czas objany na dnie jakiegoś wozu albo fury. Dlaczego zapomniał o radzie Moiraine? Nie ufaj żadnej Aes Sedai, ani na jotę, ani na włos. Sześć Aes Sedai przenoszących dostateczną ilość *saidara*, by utrzymać tarczę, którą mogła od zewnątrz wyczuć każda kobieta potrafiąca przenosić. Żeby tak Amys, Bair albo jakaś inna przechodziła właśnie tą ulicą i zastanowiła się. Przecież na pewno zastanawiali się, dlaczego zniknął po wyjściu Coiren z pałacu. O ile pod domem biegła jakaś ulica. Żeby tak. . .

Znowu wymacał tarczę, delikatnie, żeby nie mogły poczuć. Sześć punktów. Sześć jakby miękkich punktów. One musiały coś oznaczać. Bardzo chciał, żeby Lews Therin znowu się odezwał, ale jedynym dźwiękiem, jaki wypełniał mu głowę, były jego własne myśli sunące po Pustce. Sześć punktów.

Spiesząca spowitą w zmierzch ulicą, która biegła przed wielkim domem zamieszkałym przez Aes Sedai, Sorilea ledwie wyczuła, że one nadal przenoszą w jego wnętrzu. Ledwie, bo prawie wcale nie potrafiła przenosić, ale nie dlatego to zignorowała. Przenosiły dniem i nocą od czasu przybycia do Cairhien; Mądre przestały już poświęcać temu myśli. Sorilea z pewnością miała ważniejsze tematy do rozmyślań. Panny w pałacu zabójców drzew zaczynały się denerwować o Randa al'Thora, mrużąc, że *Car'a'carn* będzie musiał tym razem jakoś się

przed nimi wytłumaczyć po swoim powrocie. Sorilea żyła o wiele dłużej niż któraś z tych Panien, dłużej niż jakakolwiek Mądra, i słaba w posługiwaniu się Mocą czy nie, czuła niepokój. Jak większość mężczyzn Rand al'Thor wyjeżdżał wtedy, kiedy chciał — mężczyźni pod tym względem byli jak koty — ale tym razem, w tym samym czasie, w którym on się ulotnił, gdzieś po drodze między namiotami, a pałacem zniknęła również Min. Sorilea nie lubiła zbiegów okoliczności, nieważne, ile ich towarzyszyło *Car'a'carnowi*. Owinąwszy się szalem z powodu nagłego uczucia chłodu, pospieszyła w stronę namiotów.

## SPLOTY MOCY

Goście siedzący wokół stołu w głównej sali „Pątniczki” zaliczali się przeważnie do miejscowych. Niektórzy z nich pysznili się długimi kamizelami uszytymi z kolorowego jedwabiu, często z dodatkiem brokatu; wkładali je na koszule w pastelowych barwach z obszernymi rękawami. Pierścienie wysadzone były granatami albo perłami, kółka w uszach były złote a nie pozłacane, a w rękojeściach ich zakrzywionych noży zatkniętych za pasy iskrzyły się księżycowe kamienie i szafiry. Kilku mężczyzn miało narzucone na ramiona jedwabne kaftany, z wąskimi klapami haftowanymi w kwiaty albo zwierzęta, połączonymi srebrnym albo złotym łańcuszkiem. Te kaftany były doprawdy dziwaczne — zbyt małe, by je włożyć; nie mogły służyć za nic innego niż peleryna — ale noszący je mieli przy sobie długie, wąskie miecze, a także zakrzywione sztylety i zdawali się równie chętni do użycia i jednego i drugiego za jedno złe słowo, za jedno niewłaściwe spojrzenie albo zwyczajnie dlatego, że naszła ich taka ochota.

Ogólnie mówiąc był to mocno zróżnicowany tłumek. Dwaj murandiańscy kupcy z zakręconymi wąsami i śmiesznymi bródkami, jeden Domani z włosami opadającymi na ramiona i cienkimi wąsikami, noszący złotą bransoletę, obcisły złoty naszyjnik i wielką perłę w lewym uchu. Ciemny Atha'an Miere w jasnozielonym kaftanie, z rękoma pokrytymi tatuażami i dwoma nożami wepchniętymi za czerwoną szarfę, Tarabonianin w przezroczystym woalu zakrywającym gęste wąsy, które zachodziły mu na usta i wielu innych cudzoziemców, którzy mogli pochodzić z do wolnego miejsca na świecie. Za to przed każdym jednak leżał stosik monet, tyle że różnej wielkości. W takiej bliskości Pałacu, „Pątniczka” przyciągała gości, którzy mogli szafować złotem.

Mat potrząsnął pięcioma kostkami w skórzanym kubku i wyrzucił je na stół. Zatrzymały się, pokazując dwie korony, dwie gwiazdy i jeden kielich. Niezły rzut; lepszy nie istniał. Szczęście napływało falami, lecz od pewnego czasu zdawała się niska, co znaczyło, że wygrywał nie częściej jak co najwyżej w połowie rzutów. Udało mu się nawet przegrać dziesięć razy pod rząd, co normalnie w jego przypadku było czymś niezwykłym. Kości powędrowały do rąk niebieskookiego cudzoziemca, mężczyzny o twardej, wąskiej twarzy, który mimo burego kaftana zdawał się posiadać bardzo dużo pieniędzy.

Vanin pochylił się, by szepnąć Matowi do ucha:

— Znowu wyszły. Thom twierdzi, że nadal nie wie, jak to robia. — Mat posłał grymas w stronę tęgiego mężczyzny, sprawiając, że tamten wyprostował się, zaskakująco szybko jak na człowieka z taką tuszą.

Mat wypił połowę melonowego ponczu ze srebrnego pucharu, po czym ogarnął siedzących krzywym spojrzeniem. Znowu! Kości rzucone przez niebieskookiego mężczyznę poturlały się po stole i zatrzymawszy się, pokazały trzy korony, różę i różdżkę. Wokół stołu rozległ się szmer podziwu wobec tak zwycięskiego rzutu.

— Krew i popioły — mruknął Mat. — Jeszcze chwila, a wejdzie tu Córka Dziewięciu Księżyców i zabierze mnie sobie. — Niebieskooki mężczyzna udławił się napojem, którym świętował wygraną. — Znasz ją może? — spytał Mat.

— Poncz wpadł mi nie w tę dziurkę, co trzeba — odparł mężczyzna miękkim, bełkotliwym akcentem, którego Mat nie rozpoznał. — Jak, powiedziałaś, ona się nazywa?

Mat wykonał uspokajający gest; widywał już bójki, wybuchające bez takich powodów. Wcisnął swoje złoto i srebro do sakiewki, po czym wepchnął ją do kieszeni kaftana.

— Kończę na dzisiaj. Oby Światłość pobłogosławiła wszystkich tu obecnych. — Pozostali przy stole powtórzyli to jednogłośnie, nawet cudzoziemcy. Ludzie w Ebou Dar byli bardzo uprzejmi.

Mimo wczesnej pory w głównej sali było stosunkowo pełno i w kości grano przy jeszcze jednym stole; tamci też mieli swój udział w ogólnym śmiechu i jękach zawodu. Dwaj młodszy synowie pani Anan pomagali posługaczkom podawać późne śniadania. Sama oberżystka siedziała na tyłach izby, blisko schodów z białego kamienia, skąd mogła mieć na wszystko oko, a towarzyszyła jej młoda piękna kobieta, której wielkie, czarne oczy iskrzyły się wesoło, jakby znała jakiś dowcip, którego nie znał nikt inny. Miała twarz w kształcie idealnego owalu, okolonę lśniąco czarnymi włosami, a głęboki dekolt szarej sukni obrzeżonej czerwienią prezentował prowokacyjny widok. Uśmiechnęła się do Mata z jeszcze większym rozbawieniem.

— Mój mąż powinien cię wypytać, dokąd ma posłać swe łódki rybackie, lordzie Cauthon — zagadnęła go pani Anan — bo tak ci dopisuje szczęście. — Z jakiegoś powodu powiedziała to bardzo oschłym tonem.

Mat przyjął tytuł bez mrugnięcia okiem. W Ebou Dar mało kto odważyłby się wyzwąć lorda na pojedynek z wyjątkiem innych lordów i na tej podstawie dokonał prostego wyliczenia. Lordów było o wiele mniej niż przedstawiciele gminu, a zatem istniały niewielkie szanse na to, iż ktoś spróbuje ugodzić go nożem. Ale i tak musiał rozbić aż trzy głowy w ciągu ostatnich dziesięciu dni.

— Obawiam się, że moje szczęście nie stosuje się do takich rzeczy, pani Anan. U jego boku, jakby spod ziemi wyrósł nagle Olver.



— Czy możemy iść się pościgać na koniach, Mat? — spytał natarczywym tonem.

Frielle, jedna z trzech córek pani Anan, podbiegła do chłopca i chwyciła go za ramiona.

— Wybacz mi, lordzie Cauthon — przeprosiła przestraszonym głosem. — Uciekł mi właśnie. Światłość mi świadkiem, że to prawda. — Niebawem wychodziła za mąż, jej szyję już opinał srebrny naszyjnik, na którym miał zawisnąć małżeński nóż; sama się zgłosiła do pilnowania Olvera, zaśmiewając się przy tym, że chciałaby urodzić sześciu synów. Mat podejrzewał, że teraz będzie jednak śnić o córkach.

Jednak to Nalesean, który właśnie schodził na dół po schodach, przykuł wściekłe spojrzenie Mata, tak twarde, że Tairenianin stanął jak wryty. To Nalesean zgłosił Wichra do udziału w dwóch wyścigach, z Olverem w roli jeźdźca — tutaj jeźdźcami rzeczywiście byli mali chłopcy — i Mat o niczym nie miał pojęcia, dopóki nie było po wszystkim. Nie pomógł w tej sprawie fakt, że Wiatr okazał się równie szybki jak jego imię. Dwa zwycięstwa sprawiły, że Olver nabrał ochoty do dalszych wyścigów.

— Nie twoja wina — uspokoił Frielle Mat. — W razie konieczności wsadź go do beczki, masz na to moje błogosławieństwo.

Olver obdarzył go oskarżycielskim spojrzeniem, ale chwilę później obrócił się, by popatrzeć na Frielle z beczelnym uśmiechem, którego nie wiadomo gdzie się nauczył. Wyglądało to dość dziwnie przy tych jego wielkich uszach i szerokich ustach; nic nie zapowiadało, że kiedyś stanie się przystojniejszym młodzieńcem.

— Będę siedział spokojnie, pod warunkiem, że będę mógł patrzeć ci w oczy. Masz naprawdę piękne oczy.

Frielle miała w sobie dużo z jej matki i to nie tylko w wyglądzie. Zaśmiała się słodko i ujęła chłopca pod brodę, sprawiając, że się zarumienił. Matka i obdarzona wielkimi oczyma młoda kobieta uśmiechały się do blatu stołu.

Mat ruszył na górę, kręcąc głową. Musi porozmawiać z tym chłopcem. Nie powinien tak się uśmiechać do każdej kobiety, którą napotka. Ani też mówić kobiecie, że ma piękne oczy ! W jego wieku! Mat nie miał pojęcia, gdzie Olver się tego nauczył.

Zrównał się z Naleseanem, który powiedział:

— Znowu uciekły, prawda? — Nie było to pytanie i kiedy Mat skinął głową, skubnął swą spiczastą bródkę i zaklął. — Skrzyknę ludzi, Mat.

Nerim krzątał się w izbie Mata, wycierając stół szmatką, jakby pokojówki nie odkurzały już tam tego ranka. Dzielił izbę z Olverem i rzadko kiedy opuszczał „Pątniczkę”. Ebou Dar jest rozwiązłe i niecywilizowane, twierdził.

— Czy mój pan wybiera się gdzieś? — spytał żalobnym tonem, kiedy Mat wziął kapelusz. — W tym kaftanie? Obawiam się, że na ramieniu jest plama po

winie, z ubiegłej nocy. Usunąłbym ją, gdyby mój pan nie odział się w takim pośpiechu tego ranka, a poza tym w rękawie jest rozcięcie... od noża, jak mi się zdaje... które mógłbym zaszyć.

Mat pozwolił mu przynieść sobie popielaty kaftan ze srebrnymi zakrętasami wyhaftowanymi na mankietach i wysokim kołnierzu, po czym oddał mu zielony, haftowany złotem.

— Ufam, że mój pan przynajmniej dzisiaj postara się nie zakrwawić kaftana. Trudno usunąć plamy od krwi.

Był to kompromis, którego dopracowali się wspólnie. Mat godził się na pełną oburzenia minę i ponure spostrzeżenia Nerima, pozwalając temu człowiekowi przynosić, czyścić i podawać sobie różne przedmioty, które równie dobrze mógłby brać sam, w zamian za to Nerim zgodził się, aczkolwiek niechętnie, że nie będzie próbował go ubierać.

Po sprawdzeniu noży ukrytych w rękawach, pod kaftanem, a także za cholewami butów, Mat zostawił włócznię obok łuku w kącie i zszedł na dół, przed budynek oberży. Tak jak miód przyciąga muchy, tak włócznia zdawała się przyciągać żądnych bójki idiotów.

Mimo kapelusza na twarzy Mata zebrały się kropelki potu już w chwili, gdy wyszedł z cienia i względnego chłodu panującego we wnętrzu oberży. W normalnych czasach takie słońce jak tego poranka świeciłoby w samo południe, ale na placu Mol Hara już roilo się od ludzi. Najpierw powstał chwilę, patrząc krzywo na Pałac Tarasin. Jak im się udało wyjść niepostrzeżenie, skoro Juilin i Thom pilnowali od wewnątrz, a Vanin od zewnątrz? Wychodziły niemalże każdego dnia. Po trzecim razie Mat kazał swym ludziom warować przy wszystkich wyjściach z tej sterty białego kamienia i gipsu; zajmowali swoje stanowiska tuż przed świtem. Licząc jego i Naleseana, było ich dostatecznie wielu. Żaden nic nie zauważył, a mimo to tuż przed południem pojawił się Thom z informacją, że kobiety w jakiś sposób zniknęły. Stary bard zdawał się odchodzić od zmysłów; był wręcz gotów wyrwać sobie wąsy. Mat doskonale wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. One robiły to po to tylko, żeby mu dopiec.

Nalesean i pozostali czekali; wyglądali jak gromadka spoconych ponuraków. Nalesean gładził rękojeść miecza, chcąc wreszcie skorzystać z okazji i go użyć. Właśnie tego dnia.

— Dzisiaj rozejrzymy się za rzeką — oświadczył Mat. Kilku Czerwonoręczkich wymieniło niespokojne spojrzenia; słyszeli opowieści.

Vanin przestąpił z nogi na nogę i pokręcił głową.

— Strata czasu — stwierdził obojętnie. — Lady Elayne w życiu by nie odwiedziła takiego miejsca. Ta kobieta Aiel może tak, albo Birgitte, ale nie lady Elayne.

Mat zamknął na chwilę oczy. Jak tej Elayne udało się w tak krótkim czasie wypaczyć porządnego człowieka? Dotąd miał nadzieję, że jakiś czas spędzony

z dala od jej wpływu naprostuje Vanina, ale już zaczynał ją tracić. Światłości, jak on gardził arystokratkami.

— Cóż, jeśli nie znajdziemy ich dzisiaj, to możemy zapomnieć o Rahad; tam wyróżniałyby się niczym farbowane skowronki w stadzie gawronów. Ja w każdym razie zamierzam je znaleźć, choćby się ukryły pod łóżkiem w Szczelinie Zagłady. Szukajcie jak zwykle parami i niech jeden strzeże pleców drugiego. Teraz trzeba znaleźć jakiegoś przewoźnika, który odstawi nas na drugi brzeg. A żebym szczęśliwy, mam nadzieję, że one nie wyprawiły się na sprzedawanie owoców załogom ze statków Ludu Morza.

Zdaniem Elayne ta ulica wyglądała tak samo jak w *Tel'aran'rhiod*: zbudowane z cegieł domostwa, wysokości czterech i pięciu pięt, upstrzone łatami odpadającego tynku, stłoczone i górujące nad nierównym chodnikiem. Tylko o tej porze dnia, pod złotym słońcem płonącym na niebie, cienie całkiem znikwały z wąskich przejść. Wszędzie brzęczały muchy. Jedyne, co tę ulicę różniło od jej odpowiednika w Świecie Snów, było pranie wiszące w oknach, przechodnie — w danej chwili, rzecz jasna, nieliczni — i zapach: intensywny, cuchnący miazmat rozkładu, który sprawiał, że Elayne starała się nie oddychać zbyt głęboko. Niestety, w Rahad wszystkie ulice wyglądały jednakowo.

Zatrzymała Birgitte, kładąc dłoń na jej ramieniu, i przyjrzała się podejrzej bryle skonstruowanej z cegieł; w połowie okien dyndało bure pranie. Z wnętrza dobiegł ją cichy płacz dziecka. Budynek miał właściwą liczbę pięt — pięć. Była o tym przekonana. Nynaeve upierała się, że cztery.

— Chyba nie powinnyśmy tak tu stać i się gapić — powiedziała cicho Birgitte. — Ludzie patrzą.

Co nie było do końca prawdą; po prostu Birgitte bała się o nią. Po ulicy chodzili mężczyźni bez koszul, często w podartych kamizelach, z kolczykami w uszach, od których odbijały się promienie słońca, z pierścieniami z kolorowym szkłem; niektórzy skradali się, podobni do bezpańskich psów, które mogły zacząć warczeć albo nawet je pogryźć. Kobiety, skoro już o tym mowa, wyglądały podobnie, w zazwyczaj podartych sukniach i z biżuterią z mosiądzu i szkła. Wszyscy za pasem zakrzywione noże i często także zwykłe noże robocze.

Po prawdzie nikt nie spojrział ani na nią, ani na jej towarzyszkę po raz drugi, aczkolwiek postarzona twarz Birgitte często przybierała wyzywający wyraz, a poza tym była za wysoka jak na mieszkankę Ebou Dar. Tak je właśnie widziało, dzięki skomplikowanym splotom Powietrza i Ognia, które Elayne przenicowała i podwiązała. Kiedy spojrzała na Birgitte, zobaczyła kobietę z cieniutkimi zmarszczkami w kącikach czarnych oczu i z czarnymi włosami przyprószonymi siwizną. Przybieranie innej postaci sprawiało mniej trudności, jeśli była ona w miarę bliska prawdziwemu wyglądowi, tak więc włosy spływające na plecy Bir-

gitte, związane w czterech miejscach postrzępioną, zieloną wstążką, były znacznie dłuższe od włosów kobiet z Ebou Dar, a Elayne też nie skróciła swoich; nikt nie zdawał się zwracać na to uwagi. Było to doskonale przebranie; żałowała tylko, że musi się pocić. Dzięki jeszcze bardziej skomplikowanemu splotowi Ducha, temu, który maskował umiejętność przenoszenia, Elayne wyszła tego dnia z pałacu, mijając po drodze Merilille. Nadal go stosowała; nie raz spotykały Vandene i Adelas po tej stronie rzeki.

Nie odziały się, rzecz jasna, w sploty, tylko w zgrzebne wełniane suknie z postrzępionymi haftami na rękawach i wokół głębokich, wąskich dekoltów. Bieliznę i pończochy też nosiły wełniane i Elayne czuła, jak swędzi ją od nich skóra. Tylin dostarczyła ozdób, a także najrozmaitszych rad i małżeńskie noże. Mężatki, a tym bardziej wdowy, które nie chciały ponownie wychodzić za mąż, były mniej narażone na przemoc niż kobiety niezamężne. Wiek też zrobił swoje. Nikt nie napada na siwowłose babcie.

— Myślę, że powinnyśmy wejść do środka — powiedziała Elayne. Birgitte wyprzedziła ją, trzymając jedną dłoń na nożu zatkniętym za pas ze zgrzebnej, brązowej wełny, i otworzyła drzwi. Wewnątrz znajdował się ciemny korytarz, z szeregiem drzwi z nieociosanego drewna, oraz strome schody z wyszczerbioną cegłą na tyłach. Elayne daleko było do uczucia ulgi.

Nawet dla kobiety z małżeńskim nożem w białej pochwie wejście do budynku, w którym nikt nie mieszkał, stanowiło znakomity sposób na to, by wdać się w walkę na noże. Podobnie zresztą jak zadawanie pytań albo nadmierna ciekawość. Mimo iż Tylin odradzała im to, pierwszego dnia odwiedzały oboje oznakowane jedynie pomalowanymi na niebiesko drzwiami. Zawczasu postanowiły mówić, że skupują rupiecie ze starych magazynów, naprawiają je i ponownie sprzedają. Połączyła się w parę z Birgitte, drugą parę stworzyły Nynaeve i Aviendha, dzięki czemu mogły sprawdzić więcej miejsc. W głównych salach było ciemno i ponuro, toteż dwakroć częściej, niż się w nich zatrzymywały, Birgitte wyganiała ją na zewnątrz, zanim zaczęły się poważne problemy; zdarzało się, że obie trzymały sztylety w ręku. Za drugim razem Elayne musiała przez chwilę przenosić, dzięki czemu dwie kobiety, które wyszły za nimi na ulicę, potknęły się; mimo to Birgitte była pewna, że ktoś je śledził do końca dnia. Nynaeve i Aviendha też miały kłopoty, tyle że ich nie śledzono; Nynaeve uderzyła jakąś kobietę stołkiem. Tak więc zrezygnowały nawet z zadawania niewinnych pytań i miały nadzieję, że po przestąpieniu jakiegoś progu nie nadzieją się na czyjś nóż.

Birgitte wspinała się po stromych stopniach, ale często oglądała się za siebie. Zapachy gotowanej stawy mieszały się z wonią dominującą w całym Rahad, wywołując mdłości. Dziecko przestało płakać, za to gdzieś we wnętrzu budynku zaczęła krzyczeć jakaś kobieta. Na drugim piętrze barczysty mężczyzna, bez koszuli albo kamizeli, otworzył drzwi dokładnie w tym momencie, w którym weszły na górę. Birgitte spojrzała na niego krzywo, a wtedy podniósł obie ręce, wnętrza-

mi dłoni w ich stronę, i wycofał się w głąb mieszkania, kopniakiem zatrzaskując drzwi. Na najwyższym piętrze, gdzie powinien znajdować się magazyn, o ile weszły do właściwego budynku, wychudła kobieta w zgrzebnej, lnianej bieliźnie siedziała na stołku ustawionym na progu, i chłodząc się w panującym tam łagodnym przeciągu, ostrzyła sztylet. Błyskawicznie zwróciła głowę w ich stronę i ostrze przestało się poruszać po ośelce. Nie spuściła z nich wzroku, kiedy zaczęły się powoli wycofywać w dół klatki schodowej, a ciche zgrzytanie metalu na kamieniu odezwało się ponownie dopiero wtedy, gdy dotarły na sam dół. Elayne odetchnęła z ulgą.

Była co najmniej zadowolona, że Nynaeve jednak się nie założyła. Dziesięć dni. Ależ z niej optymistyczna idiotka. Minęło już jedenaście dni od momentu, kiedy tak się przechwalała, jedenaście dni, podczas których zdarzało jej się myśleć wieczorem, że znajduje się na tej samej ulicy, na której była już rano. Jedenaście dni a one nadal nie dysponowały żadną wskazówką, gdzie może znajdować się czara. Czasami zostawały w pałacu, tylko dla oczyszczenia umysłów. Wszystko to było takie przygnębiające. Przynajmniej Vandene i Adelas też nie miały szczęścia. Na ile Elayne się orientowała, nikt w Rahad nie chciał powiedzieć dwóch życzliwych słów do Aes Sedai. Ludzie natychmiast się ulatniali, gdy tylko się orientowali, kim one są; zauważyła dwie kobiety, które próbowały ugodzić Adelas nożem, bez wątpienia po to, by obrabować idiotkę spacerującą po Rahad w jedwabiach, i zanim Brażowa siostra uniosła je z pomocą splotów Powietrza i wepchnęła przez okno na drugim piętrze, w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Cóż, nie zamierzała dopuścić, by te dwie sprzątnęły jej czarę sprzed nosa.

Po powrocie na ulicę znowu jej przypomniano, że w Rahad można się narażać nie tylko na frustrację. Tuż przed nią, z jednego z domostw wyskoczył nagle szczupły mężczyzna z torsem całym zalany krwią i nożem w rękę, wyskoczył i błyskawicznie okręcił się na pięcie, by stanąć twarzą do człowieka, który go gonił; ten drugi był wyższy, roślejszy i krwawił mu policzek. Zaczęli się wzajem obchodzić, nie odrywając od siebie wzroku i wymachując nożami. Zebrał się niewielki tłumek gapiów, jakby spod ziemi; nikt wprawdzie tutaj nie przybiegł, ale nikt też nie szedł dalej.

Elayne i Birgitte zeszły na bok, ale nie oddaliły się. W Rahad takie zachowanie ściągnęłoby na nie uwagę, a była to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyły. Wmieszanie się w tłum łączyło się z koniecznością oglądania zajścia, ale Elayne udało się patrzeć w przestrzeń, nieco ponad dwoma walczącymi, więc widziała jedynie zamazane plamy szybkich ruchów, aż do momentu, gdy wszystko uległo spowolnieniu. Zamrugła i zmusiła się, by spojrzeć. Mężczyzna z torsem zalany krwią paradował dumnie, uśmiechając się szeroko i wymachując nożem, również ociekającym krwią. Drugi mężczyzna leżał twarzą do ziemi, ochryple pokaszując, w odległości niecałych dwudziestu kroków od niej.

Elayne zrobiła instynktowny ruch — jej minimalna umiejętność Uzdrawiania była lepsza niż żadna, kiedy człowiek wykrwawiał się na śmierć, i do Szczeliny Zagłady z tym, co tu myślano o Aes Sedai — ale zanim zrobiła drugi krok, u boku mężczyzny przyklękła jakaś kobieta. Może trochę starsza od Nynaeve, miała na sobie niebieską suknię z czerwonym pasem, w nieco lepszym stanie niż większość strojów noszonych przez mieszkanki Rahad. Elayne z początku uznała, że to ukochana umierającego, zwłaszcza wtedy, gdy zwycięzca pojedynku spochmurniał. Nikt się nie ruszył; wszyscy obserwowali w milczeniu, kiedy obracała rannego na plecy.

Elayne wzdrygnęła się, kiedy kobieta, bynajmniej nie delikatnie, otarła mu krew z warg, a potem wyciągnęła z mieszka garść ziół i pospiesznie wepchnęła je do ust mężczyzny. Jeszcze zanim odjęła dłoń od jego twarzy, otoczyła ją łuna *saidara*, a potem zaczęła tkać strumienie Uzdrawiania, o wiele zręczniejsze niż potrafiła Elayne. Mężczyzna odetchnął, dostatecznie silnie, by rozgonić leżące wokół liście, zadrżał i znieruchomiał, wpatrzony lekko otwartymi oczyma w słońce.

— Chyba za późno. — Kobieta powstała i popatrzyła na zwycięzcę. — Musisz powiedzieć żonie Masika, że zabiłeś jej męża, Baris.

— Tak, Asra — odparł potulnie Baris.

Asra odwróciła się, nie patrząc więcej na żadnego z mężczyzn, i w rzadkim tłumie utworzyło się przejście. Kiedy mijala je, w odległości kilku kroków, Elayne zauważyła dwie rzeczy. Jedną z nich była siła tej kobiety; Elayne postarała się ją ocenić. Spodziewała się poczuć całkiem sporo, ale Asra najprawdopodobniej nigdy by nie pozwoliła zrobić sobie sprawdzianu na Przyjętą. Uzdrawianie musiało być jej najsilniejszym Talentem — być może jedynym, jako że zapewne była dzikuską — i znakomicie wyćwiczonym dzięki stałemu używaniu. Może nawet wierzyła, że te zioła są niezbędne. Drugą rzeczą, na jaką Elayne zwróciła uwagę, była twarz kobiety. Ogorzała wcale nie od słońca, jak jej się z początku wydawało. Asra z całą pewnością pochodziła z Arad Doman. Co, na Światłość, dzikuska z Arad Doman robiła w Rahad?

Elayne miała ochotę pójść za nią, ale Birgitte pociągnęła ją w przeciwną stronę.

— Znam to twoje spojrzenie, Elayne. — Birgitte omiotła wzrokiem ulicę, jakby się spodziewała, że któryś z przechodniów może podsłuchiwać. — Nie wiem, dlaczego chcesz gonić tę kobietę, ale ją tutaj wyraźnie szanują. Spróbuj ją zaczepić, a zobaczysz więcej dobotych noży, niż ty i ja razem wzięte potrafiłybyśmy odeprzeć.

Miała rację, zresztą nie po to przyjechały do Ebou Dar, żeby szukać dzikuszek z Arad Doman.

Dotknąwszy ramienia Birgitte, skinęła głową w stronę dwóch mężczyzn, którzy właśnie wychodzili zza rogu. Nalesean, ubrany w niebieski kaftan z satynowymi paskami, wyglądał w każdym calu na taireniańskiego lorda; był zapięty po

szyję, toteż jego spocona twarz błyszczała niemalże tak samo jak wypomadowana bródka. Spoglądał krzywo na każdego, kto bodaj na niego zerknął, i z pewnością już dawno wdałby się w bójkę, gdyby cały czas nie gładził rękojeści miecza, dając do zrozumienia, że ma na to wielką ochotę. Mat, dla odmiany, nie stroił żadnych min. Szedł obok chwiejnym krokiem i gdyby nie ewidentnie zły humor, mógłby się znakomicie bawić. W rozchełstany kaftanie, kapeluszu naciągniętym na czoło i chuście zawiązanej na szyi, wyglądał tak jakby spędził całą noc na wałęsaniu się po tawernach, co zresztą było jak najbardziej prawdopodobne. Zdziwiła się, ponieważ dotarło do niej, że nie myślała o nim od wielu dni. Aż ją zaświerzbiliły ręce, tak chciała je położyć na jego *ter'angrealu*, ale czara była nieskończenie ważniejsza.

— Dotąd nigdy mi to nie przyszło do głowy — mruknęła Birgitte — ale uważam, że Mat jest o wiele bardziej niebezpieczny niż ci dwaj. N'Shar z Mameris. Zastanawiam się, co oni robią po tej stronie Eldar.

Elayne wytrzeszczyła oczy. Co? Gdzie?

— Pewnie wypili całe wino po drugiej stronie. Birgitte, wołałabym doprawdy, żebyś się skupiła na tym, co my tutaj robimy. — Tym razem nie zamierzała zadawać żadnych pytań.

Kiedy Mat z Naleseanem przeszli dalej, Elayne znowu przestała o nich myśleć i zaczęła uważnie obserwować ulicę. Byłoby cudownie, gdyby znalazły dzisiaj czarę. Nie tylko dlatego, że następnym razem miała się połączyć w parę z Aviendhą. Zaczynała już lubić tę kobietę — mimo jej nadzwyczaj osobliwych wyobrażeń na temat Randa i ich obu; nadzwyczaj! — niestety, Aviendha lubiła prowokować kobiety, które zdawały się chętne do użycia noża. Była wręcz rozczarowana, że mężczyźni spuszczaali wzrok, kiedy na nich popatrzyła; zamiast dać się sprowokować, tak jak to czyniły kobiety!

— To ten — powiedziała Elayne, pokazując palcem. Nynaeve mogła nie mieć racji odnośnie czterech pięt. Czyżby? Elayne naprawdę liczyła, że Egwene znalazła jakieś rozwiązanie.

Egwene czekała cierpliwie, a Logain tymczasem napił się wody. Jego namiot nie był taki przestronny jak kwatery w Salidarze, ale i tak obszerniejszy niż większość rozbitych w obozie. Musiało w nim starczyć miejsca dla sześciu sióstr siedzących na zydlach, podtrzymujących jego tarczę. Sugestia Egwene, żeby ją podwiązać, wywołała niemalże wstrząs, aczkolwiek żadna tego nie uzewnętrzniła, zwłaszcza teraz, po tym, jak wyniosła cztery kobiety do godności Aes Sedai bez przeprowadzenia sprawdzianów i bez Róźdzki Przysiąg, i istniała możliwość, że nie zechce na tym poprzestać. Siuan uprzedziła, że one się na to nie zgodzą. Nie liczyło się dla nich, że Logain, podobnie jak Siuan i Leane, w wyniku poskromienia i Uzdrawienia, nie jest już taki silny jak kiedyś, w związku z czym jego tarczę

mogły podtrzymać trzy siostry; obyczaj dyktował, że ma ich być sześć i że tarcza odcinająca mężczyznę od Źródła powinna być podtrzymywana, nie podwiązywana. Pojedyncza lampa rzucała migotliwe światło. Ona i Logain siedzieli na kocach rozłożonych w zastępstwie dywaników.

— Żebyśmy się właściwie zrozumieli — powiedział Logain po odstawieniu cynowego pucharu. — Chcesz wiedzieć, co ja myślę o amnestii al'Thora? — Część sióstr poruszyła się niespokojnie na zydlach, może dlatego, że nie raczył nazwać jej „Matką”, ale najprawdopodobniej powodem był wstręt, który wzbudzał w nich ten temat.

— Tak, chcemy znać twoje przemyślenia. Z pewnością jakieś musisz mieć. W Caemlyn, przy nim, bez wątpienia otrzymałbyś jakieś zaszczytne stanowisko. Tutaj możesz lada dzień zostać poskromiony. Ale do rzeczy. Twierdzisz, że od sześciu lat skutecznie bronisz się przed obłędem. Jakie, twoim zdaniem, są szanse, że tym mężczyznom też się to uda?

— Czy one naprawdę znowu chcą mnie poskromić? — Mówił cicho, zbolalym i jednocześnie gniewnym głosem. — Połączyłem z wami swój los. Zrobiłem wszystko, o co prosiłyście. Sam zaproponowałem, że przysięgnę na wszystko, co chcecie.

— Komnata niebawem o tym zadecyduje. Niektóre wolałyby, żebyś niebawem umarł, w jakichś dogodnych okolicznościach, tak by twoja śmierć wyglądała na całkowicie naturalną. Aes Sedai nie mogą kłamać. Ale nie sądzę, byś musiał się tego obawiać. Nie dopuszczę, żeby coś ci się stało, bo służyłeś nam dobrze. I cokolwiek się zdarzy, nadal możesz to robić i dopatrzeć, by Czerwone Ajah poniosły karę, jeśli tego pragniesz.

Logain gwałtownym ruchem podźwignął się z kolan, z gniewnym grymasem na twarzy; natychmiast objęła *saidara* i w mgnieniu oka został opakowany w strumienie Powietrza. Siostry włożyły w tarczę całą swoją siłę — jeszcze jeden obyczaj; należało włożyć całą siłę w tarczę odcinającą mężczyznę od Źródła — ale niektóre mogły rozszczepić sploty i skierować je przeciwko niemu, jeśli uważały, że chce ją skrzywdzić. Pragnęła go ochronić przed okaleczeniem.

Sploty sprawiły, że musiał ponownie uklęknąć; zdawało się to nie robić na nim wrażenia.

— Chcesz wiedzieć, co myślę o amnestii al'Thora? Żałuję, że nie jestem teraz przy nim! A żebyście szczyły! Zrobiłem wszystko, o co prosiłyście! A żebyście szczyły w Światłości!

— Uspokój się, panie Logain. — Egwene zdziwiła się, że mówi tak spokojnym głosem. Serce jej waliło, aczkolwiek z pewnością nie ze strachu przed tym człowiekiem. — Przysięgam ci to. Nigdy nie uczynię ci krzywdy, ani też nie dopuszczę, by zrobiła to jedna z tych, które podążają za mną, o ile będę miała na to wpływ, chyba że obrócisz się przeciwko nam. — Rozwścieczenie, które do tej pory malowało się na jego twarzy, ustąpiło miejsca obojętności. Czy on jej w ogó-



le słuchał? — Niemniej jednak Komnata postąpi tak, jak zadecyduje. Czy już się uspokoiłeś? — Zmęczony, pokiwał głową, a wtedy uwolniła sploty. Przypadł z powrotem do posadzki namiotu, nie patrząc na nią. — Porozmawiam z tobą na temat amnestii, kiedy będziesz bardziej opanowany. Może za dzień lub dwa. — Znowu skinął głową, szorstko, odwracając wzrok.

Kiedy wymknęła się na zewnątrz, gdzie panował już zmierzch, dwaj Strażnicy stojący na warcie skłonili się przed nią. Przynajmniej Gaidinowie nie dbali o to, że miała osiemnaście lat, że była Przyjętą wyniesioną do godności Aes Sedai tylko dlatego, że uprzednio uczyniono ją Amyrlin. Dla Strażników Aes Sedai była Aes Sedai, a Amyrlin była Amyrlin. A mimo to nie odetchnęła, dopóki nie znalazła się w takiej odległości od tych dwóch, by tego nie mogli usłyszeć.

Obóz był całkiem duży, w lesie rozbito namioty dla setek Aes Sedai, Przyjętych, nowicjuszek i służby, wszędzie, gdzie nie spojrzęła, stały fury, powozy i konie. W powietrzu unosiła się intensywna woń wieczornej strawy. Dookoła płonęły ogniska armii Garetha Bryne' a; większość zgromadzonych tutaj mężczyzn miała spać na ziemi, nie w namiotach. Tak zwany Legion Czerwonej Ręki obozował w odległości niecałych dziesięciu mil na południe; przez całe te dwieście mil z okładem, jakie dotychczas pokonali, Talmanes nie pozwalał, by ten dystans zwiększył się albo zmniejszył o więcej niż milę, zarówno w dzień, jak i w nocy. Ci już wypełnili swoją rolę przewidzianą w jej planie, zgodnie z wypowiedziami Suan i Leane.

Siły Garetha Bryne' a rozrosły się podczas tych szesnastu dni od wyjazdu z Salidaru. Dwie armie maszerujące powoli na północ przez terytorium Altary, najwyraźniej nie usposobione wobec siebie przyjaźnie, przyciągały uwagę. Arystokraci ścigali całymi stadami, ze swoim pospolitym ruszeniem, by wchodzić w sojusze z silniejszym z tych dwóch ugrupowań. Prawda, żadne z tych lordów i lady nie złożyłoby przysięg, gdyby wiedziało, że nie dojdzie do żadnej wielkiej bitwy na ich ziemiach. Gdyby mieli wolny wybór, wszyscy co do jednego odjechaliby, zrozumiałwszy że celem Egwene jest Tar Valon, a nie armia Zaprzysięgłych Smokowi. A jednak złożyli przysięgi przed Amyrlin, jakąś Amyrlin, przed grupką Aes Sedai, które obwołały siebie Komnatą Wieży, w obecności setek innych, które na to patrzyły. Złamanie takiej przysięgi potrafiło potem długo prześladować człowieka. A poza tym żaden z nich nie wierzył, że Elaida kiedykolwiek zapomni o tej obietnicy, nawet gdyby głowę Egwene nabitą na pał w Białej Wieży. Dlatego mieli się zaliczać do jej najzagorzalszych popleczników, mimo iż dali się złapać w pułapkę nie tylko sojuszu, ale wręcz swego lenna. Musieli dopilnować, żeby to Egwene nosiła stulę w Tar Valon, jeżeli chcieli uwolnić się z tej pułapki z nietkniętymi karkami.

Suan i Leane były tym raczej zażenowane. Sama Egwene natomiast nie była pewna, co czuje. Gdyby istniał jakiś sposób na usunięcie Elaidy bez rozlewu krwi, uciekłyby się do niego natychmiast. Ale nie sądziła, by to było możliwe.

Po skromnej kolacji złożonej z kozłego mięsa, rzepy oraz czegoś, czemu nie przyjrzała się zbyt uważnie, Egwene wycofała się do swego namiotu. Nie największego w obozie, ale z pewnością największego z zajmowanych przez jedną osobę. W środku zastała Chesę, która czekała, by pomóc jej się rozebrać. Na widok Egwene z miejsca zaczęła paplać o przednim lnie, nabytym od pokojówki jakiejś altarańskiej lady, z którego chciała jej uszyć cieniuteńką bieliznę. Egwene często pozwalała Chesie spać razem z nią w namiocie, dla towarzystwa, mimo iż legowisko ułożone z koców raczej nie dorównywało stałemu pościeliu Chesy. Tego wieczora jednak odesłała ją, kiedy już była gotowa się położyć. Bycie Amyrlin wiązało się z kilkoma przywilejami. Takimi, na przykład, jak osobny namiot dla pokojówki. Jak, na przykład, spanie w samotności, kiedy tak nakazywała konieczność.

Gdyby Egwene nie była szkolona przez spacerujące po snach Aielów, miała by problem z zaśnięciem; nie była jeszcze dostatecznie zmęczona. Dzięki temu jednak bez trudu weszła do *Tel'aran'rhiod*...

... i stanęła w izbie, która przez jakże krótki czas służyła jej za gabinet w Małej Wieży. Stół i krzesła pozostały, rzecz jasna. Człowiek nie zabiera mebli, kiedy wyrusza w drogę razem z wojskiem. W Świecie Snów każde miejsce zdawało się opustoszałe, ale tu doprawdy było jeszcze bardziej pusto niż gdziekolwiek indziej. Mała Wieża sprawiała wrażenie... wymarłej.

Nagle dotarło do niej, że na szyi ma udrapowaną stułę Amyrlin, sprawiła więc, że zniknęła. Chwilę później pojawiły się Nynaeve i Elayne, Nynaeve tak materialna jak ona, Elayne mglista. Sivan za nic nie chciała oddać oryginalnego pierścienia *ter'angreal*; trzeba się było uciec do stanowczego rozkazu. Elayne miała na sobie zieloną suknię z kaskadami koronek, które skrywały dłonie i zdobiły wąski, za to zaskakująco głęboki dekolt, w którym spoczywał maleńki nóż zawieszony na złotym naszyjniku, z rękojeścią ukrytą między piersiami, pyszniący się masą pereł i ogników. Elayne zdawała się natychmiast dostosowywać do lokalnej mody wszędzie tam, gdzie się udawała. Nynaeve, jak należało się spodziewać, miała na sobie grube wełny z Dwu Rzek, ciemne i proste.

— Sukces? — spytała Egwene z nadzieją.

— Jeszcze nie, ale na pewno nam się powiedzie. — Elayne mówiła tak optymistycznym tonem, że Egwene omal nie wybałuszyła oczu; ta dziewczyna musiała włożyć w to zapewnienie całą swoją duszę.

— Jestem pewna, że to już nie potrwa długo — dodała Nynaeve z jeszcze większym przekonaniem. A przecież miała uczucie, że waliły głowami w mur.

Egwene westchnęła.

— Może powinniście przyłączyć się znowu do mnie. Jestem pewna, że znajdziecie czarę w ciągu najbliższych kilku dni, ale nie mogę przestać myśleć o tym, co mi opowiedziano. — Te dwie potrafiły o siebie zadbać. Sivan twierdziła, że żadna z przytoczonych przez nie opowieści nie zawierała przesady.

— Tylko nie to, Egwene! — zaprotestowała Nynaeve. — Czara jest zbyt ważna. Wiesz przecież. Wszystko przypadnie, jeśli jej nie znajdziemy.

— A poza tym — dodała Elayne — co nam może grozić? Przypominam ci, na wypadek, gdybyś o tym zapomniała, że każdej nocy śpimy w Pałacu Tarasin, i zawsze też możemy pogadać z Tylin, o ile ta akurat nie zadecyduje, że chce nas położyć do łóżek. — Jej suknia zmieniała się, krój pozostał ten sam, ale tkanina stała się zgrzebna i wyświechtana. Nynaeve miała na sobie kopię tego stroju, z tym, że rękojeść jej noża była wysadzana zaledwie dziewięcioma czy dziesięcioma szklanymi paciorkami. Odzienie raczej nie nadające się do pałacowych wnętrz. A co gorsza, starała się robić minę niewiniątka, mimo iż zupełnie nie miała w tym wprawy.

Egwene puściła to wszystko mimo uszu. Czara była ważna, potrafiły zadbać o siebie, i bardzo dobrze wiedziały, że w pałacu Tarasin tak się nie noszą.

— Wykorzystujecie Mata, prawda?

— My... — Elayne nagle zauważyła, jaką ma na sobie suknię, i wzdrygnęła się. A właściwie to zaskoczył ją przede wszystkim ten mały nóż, z jakiegoś niewiadomego powodu. Wytrzeszczywszy oczy, ujęła rękojeść, masę wielkich, czerwonych i białych, szklanych paciorków, i twarz jej całkiem spurpurowiała. Chwilę później odziała się w andorańską szatę z wysokim kołnierzem, uszytą z zielonego jedwabiu.

Zabawne, ale Nynaeve spostrzegła, co ma na sobie, zaledwie mgnienie oka później od Elayne i zareagowała dokładnie tak samo. Dokładnie. Tyle, że jej rumieniec był znacznie bardziej jaskrawy. Wróciła do wełen z Dwu Rzek, nim Elayne zdążyła się przebrać.

Elayne chrząknęła i głuchym głosem stwierdziła:

— Mat się nawet przydaje, nie mam co do tego wątpliwości, ale nie wolno mu pozwalać, by nam wchodził w paradę, Egwene. Znasz go przecież. Niemniej jednak możesz być pewna, że jeśli będziemy robić coś niebezpiecznego, jego żołnierze staną przy nas, ramię przy ramieniu. — Nynaeve milczała i miała kwaśną minę. Może przypomniły jej się pogróżki Mata.

— Nynaeve, nie będziesz traktowała go zbyt surowo, dobrze?

Elayne zaśmiała się.

— Egwene, ona tego nie robi.

— Takie są fakty — wtrąciła prędko Nynaeve. — Od przyjazdu do Ebou Dar nie powiedziałam mu ani jednego przykrego słowa.

Egwene powątpiewająco pokiwała głową. Mogła się dogrzebać do dna tego wszystkiego, ale to by zabrało... Spuściła wzrok, żeby sprawdzić, czy jej stęła nie pojawiła się ponownie, ale zobaczyła tylko błysk czegoś, czego nie zdążyła rozpoznać.

— Egwene — powiedziała Elayne — czy udało ci się już porozmawiać ze spacerującymi po snach?

— O właśnie — dodała Nynaeeve. — Czy one może wiedzą, na czym polega problem?

— Rozmawiałam. — Egwene westchnęła. — Nie, raczej nie wiedzą.

To spotkanie, które odbyło się przed kilkoma dniami, było dziwne, a zaczęło się od wykrycia snów Bair. Bair i Melaine spotkały ją w Kamieniu Łzy; Amys oświadczyła, że nie będzie więcej uczyła Egwene, i nie zjawiała się. Z początku Egwene czuła się niezręcznie. Nie potrafiła się zmusić, by im powiedzieć, że jest już Aes Sedai, a tym bardziej, że jest Amyrlin; bała się, że mogą to uznać za kolejne kłamstwo. Z pewnością nie miała wtedy kłopotów z pojawiającą się znie-nacka stułą. A poza tym pozostawało jeszcze jej *toh* wobec Melaine. Poruszyła ten temat, cały czas myśląc o tym, ile mil będzie musiała spędzić w siodle następnego dnia, ale Melaine była taka zachwycona wizją posiadania dwóch córek, że nie tylko obwieściła prosto z mostu, że Egwene nie ma wobec niej żadnego *toh*, ale dodała jeszcze, że nazwie jedną z dziewczynek jej imieniem. To nieco uprzyjemniło tę noc pełną jałowych działań i irytacji.

— Powiedziały — ciągnęła — że w życiu nie słyszały o kimś, kto próbował coś znaleźć za pomocą potrzeby, po tym jak już to raz odszukał. Bair uważa, że to jak próba zjedzenia tego samego... jabłka dwa razy. — Zjedzenia tego samego *motai*, powiedziała tak naprawdę Bair, czyli pewnego gatunku larw, żyjących w Pustkowiu. Smakowały wysmienicie — dopóki Egwene nie dowiedziała się, co je.

— Innymi słowy, chcesz powiedzieć, że już nigdy nie znajdziemy tego magazynu? — Elayne westchnęła. — A ja miałam nadzieję, że robimy coś złe. No tak... A jednak uda się nam. — Zawahała się i jej suknia znowu się zmieniła, czego zdawała się nie zauważać. Nadal była to andorańska szata, tyle że czerwona, z Białymi Lwami Andoru na rękawach i staniczku. Suknia królowej, nawet bez tej Różanej Korony spoczywającej na rudawo-złoty lokach. Jedynie dekolt był zdecydowanie zbyt głęboki. — Egwene, czy one powiedziały coś na temat Randa?

— On jest w Cairhien, obja się po Pałacu Słońca, jak się zdaje. — Egwene udało się nie skrzywić. Ani Bair, ani Melaine nie były specjalnie rozmowne, ale Melaine wygłosiła jakąś ponurą uwagę na temat Aes Sedai, a Bair stwierdziła, że powinno się je regularnie bić; niezależnie od opinii Sorilei, zwykłe lanie powinno być wystarczyc. Egwene bardzo się bała, że Merana zrobiła coś wielce niewłaściwego. Ale przynajmniej zbywał jakoś emisariuszki Elaidy; jej zdaniem nie wiedział, wbrew temu, co mu się wydawało, jak sobie z nimi skutecznie radzić. — Jest z nim Perrin. I żona Perrina! Perrin ożenił się z Faile! — Tym wywołała głośne okrzyki; Nynaeeve twierdziła, że Faile jest dla niego o wiele za dobra, ale mówiła to, uśmiechając się szeroko; Elayne rzekła, że ma nadzieję, iż będą szczęśliwi, ale widać było, że z jakiegoś powodu ma wątpliwości. — Jest tam również Loial. I Min. Brakuje tylko Mata i nas trzech.

Elayne zagryzła dolną wargę.

— Egwene, czy mogłabyś przekazać Mądrym wiadomość ode mnie dla Min? Powiedz jej. . . — Zawahała się, w zamyśleniu gryząc wargę. — Powiedz jej, że liczę na to, że polubi Aviendhę tak samo jak mnie. Wiem, że to brzmi cudacznie — zaśmiała się. — To prywatna sprawa między nami. — Nynaeve spojrzała na Elayne bardzo dziwnym wzrokiem, podobnie Egwene.

— Oczywiście, że to uczynię. Ale nie zamierzam tego robić w najbliższym czasie. — Nie było sensu z nimi rozmawiać, odkąd stały się takie niekomunikatywne w stosunku do Randa. I takie wrogie wobec Aes Sedai.

— Och, nie ma sprawy — odparła prędko Elayne. — To naprawdę nie jest ważne. Cóż, skoro nie możemy wykorzystać potrzeby, to w takim razie musimy posłużyć się nogami, a moje nogi w Ebou Dar bolą mnie teraz. Jeśli nie macie nic przeciwko, wrócę do swego ciała i prześpię się odrobinę.

— Proszę bardzo — powiedziała Nynaeve. — Ja też zrobię to niebawem. — Kiedy Elayne zniknęła, zwróciła się do Egwene. Jej suknia też się zmieniła; Egwene znakomicie rozumiała dlaczego. Była to jasnoniebieska suknia, z głębokim dekoltem. Warkocz Nynaeve ozdobiły kwiaty i wstążki. Egwene czuła, jak serce jej się kraje. — Czy słyszałaś może jakieś wieści o Lanie? — spytała cicho Nynaeve.

— Nie, Nynaeve, nic nie słyszałam. Tak mi przykro; żałuję, że nie mogę ci nic powiedzieć. Ale wiem, że on żyje, Nynaeve. I wiem też, że kocha cię tak samo, jak ty jego.

— To oczywiste, że żyje — odparła stanowczo Nynaeve. — Nie pozwolę, by było inaczej. Zamierzam sprawić, że będzie mój. On jest mój i nie dopuszczę, by umarł.

Kiedy Egwene się obudziła, obok jej pośłania siedziała Suan.

— Czy już po wszystkim? — spytała Egwene.

Suan otoczyła łuną; tknęła pas zabezpieczający przeciwko podsłuchiwaniam.

— Z sześciu siostr na służbie, która zacznie się o północy, tylko trzy mają Strażników, a oni z kolei pełnili wartę na zewnątrz. Zostanie im podana miętowa herbata, z odrobiną czegoś, czego nie czują.

Egwene na chwilę zamknęła oczy.

— Czy postępuję właściwie?

— Mnie pytasz? — warknęła Suan. — Zrobiłam, co mi kazałaś, Matko. Gdyby to ode mnie zależało, wolałabym wskoczyć do ławicy srebrów niż pomagać temu mężczyźnie w ucieczce.

— One go poskromią, Suan. — Egwene już to z nią omawiała, ale musiała to uczynić raz jeszcze, dla siebie samej, żeby się utwierdzić w przekonaniu, że nie popełnia błędu. — Nawet Sheriam już nie słucha Carlini, a Lelaine i Romanda wręcz nalegają, żeby to zrobić. Nie dopuszczę do popełnienia morderstwa! Je-

śli nie możemy skazać i stracić mężczyzny, to nie mamy też prawa aranżować jego śmierci. Nie pozwolę, żeby go zamordowano, i nie mogę pozwolić, żeby go poskromiono. Zwłaszcza, że przypominałoby to dorzucanie smolnych szczap do ognia, jeżeli Merana rzeczywiście rozdrażniła Randa jakimś sposobem. Szkoda tylko, że nie wiemy z absolutną pewnością, czy on rzeczywiście pojedzie do Randa, zamiast uciekać, Światłość wie dokąd, i robiąc, Światłość wie co. Wtedy mogłybyśmy mieć jakąś kontrolę nad jego poczynaniami. — Usłyszała, jak Siuan porusza się w ciemności.

— Zawsze uważałam, że stula waży tyle samo co trzech dobrych mężczyzn — rzekła cicho Siuan. — Amyrlin ma niewiele łatwych decyzji do podjęcia i jeszcze mniej takich, co do których może być pewna. Robisz, co musisz, i płacisz za pomyłki. Czasami płacisz nawet wtedy, kiedy masz rację.

Egwene roześmiała się cicho.

— Naprawdę mi się wydaje, że już to kiedyś słyszałam. — Po chwili jej wesołość zgasła. — Dopilnuj, by nikomu niczego nie zrobił przy wyjeździe, Siuan.

— Jak rozkażesz, Matko.

— To straszne — mruknęła Nisao. — Jeżeli ktoś się o tym dowie, to możesz zostać skazana na wygnanie, Myrelle. I ja razem z tobą. Cztery lata temu takie rzeczy mogły być na porządku dziennym, ale dzisiaj nikt tak nie będzie o tym myślał. Ktoś nazwie to zbrodnią.

Myrelle cieszyła się, że księżyc już zaszedł, bo udało jej się ukryć grymas. Sama mogła się zająć Uzdrawianiem, ale to przecież Nisao studiowała choroby umysłu, których Moc się nie imiała. Myrelle nie była wprawdzie pewna, czy to się w ogóle zaliczało do chorób, ale zamierzała wypróbować każde dostępne narzędzie. Nisao mogła sobie mówić, co chciała; Myrelle wiedziała, że ta wolałaby dać sobie uciąć rękę niż zrezygnować z okazji do badań pogłębiających jej wiedzę.

Czuła, że on tam gdzieś jest, w nocnym mroku; wiedziała, że się zbliża. Znajdowały się daleko od namiotów, daleko od żołnierzy, w rzadkiej kępie drzew. Czuła go od chwili, kiedy więź przeszła na nią, kiedy popełniona została zbrodnia, którą tak się trapiła Nisao. Jedna Aes Sedai przekazała drugiej więź bez zgody samego Strażnika. Nisao miała rację odnośnie jednej rzeczy; będą musiały utrzymywać to w tajemnicy tak długo jak się da. Myrelle czuła jego rany, w tym jedne prawie już zaleczone, inne nadal świeże. Niektóre paskudnie zainfekowane. Nie zszedłby z drogi, żeby szukać bitwy. Musiał przyjść do niej, tak jak gład strącony z wierzchołka góry musiał się sturlać na samo dno. Ale też nie zrobiłby nic, by uniknąć bitwy. Wyczuwała jego podróż poprzez odległość i krew, jego krew. Podróż przez Cairhien i Andor, Murandy, a teraz Altarę, przez ziemie nękane plagą rebelii i bandytów, bandytów i Zaprzysięgłych Smokowi, podczas której niczym strzała spiesząca do celu torował sobie drogę, zmiatając z niej każdego uzbrojo-

nego człowieka, który wszedł mu w paradę. Tyle, że nie mógł tego dokonać bez odnoszenia obrażeń. Policzyła wszystkie jego rany i zdziwiła się, że jeszcze żyje.

Najpierw usłyszała tętent konia biegnącego równym tempem i dopiero po chwili dostrzegła wysokiego, czarnego wierzchowca.

Jeździec zdawał się utkany z materii nocy. Miał na sobie płaszcz. Koń zatrzymał się w odległości dobrych pięćdziesięciu kroków od niej.

— Nie trzeba było wysyłać Nuhela i Croia, żeby mnie szukali — zawołał szorstkim głosem niewidzialny jeździec. — Omal ich nie zabiłem, zanim się zorientowałem, kim są. Avar, możesz już wyjść zza drzewa. — Z prawej strony mrok jakby się poruszył; Avar też nosił swój płaszcz i nie spodziewał się, że zostanie zobaczony.

— To szaleństwo — mruknęła Nisao.

— Cicho bądź — syknęła Myrelle, po czym zawołała: — Przyjdź do mnie! — Koń ani drgnął. Wilk opłakujący umarłą panią nie przychodził dobrowolnie do nowej. Delikatnie utkała splot Ducha i dotknęła tej jego części, w której umiejscowiła się więź; splot musiał być delikatny, bo inaczej zaraz by się zorientował; Stwórca tylko wiedział, jaki to mogłoby spowodować wybuch. — Przyjdź do mnie!

Tym razem koń ruszył do przodu i mężczyzna zeskoczył na ziemię, by ostatnie kilka kroków pokonać pieszo; był wysoki, a cienie rzucane przez księżyc sprawiały, że jego kanciasta twarz zdawała się wyrzeźbiona z kamienia. A potem stanął przed nią, nad nią, i kiedy spojrzała w zimne, niebieskie oczy Lana Mandragorana, zobaczyła śmierć. Światłości, dopomóż jej. Czy utrzyma go przy życiu dostatecznie długo?

# ŚWIĘTO ŚWIATEŁ

Ludzie tańczący na ulicach Cairhien drażnili Perrina; utorowanie sobie drogi przez tę ciżbę graniczyło wręcz z niemożliwością. Taneczny wąż wyminął go, postępując śladem osobnika z wielkim nosem, bez koszuli, za to z fletem; na samym końcu podrygiwała krągła i niska kobieta, która zaśmiewała się wesoło. Odjęła rękę od pasa poprzedzającego ją mężczyzny, chcąc pociągnąć za sobą Perrina. Potrząsnął głową i albo to jego żółte oczy ją wystraszyły, albo ponura mina odzwierciedlała to, co akurat czuł, ponieważ kobieta spochmurniała i bezwiednie pozwoliła sznurowi tańczących pociągnąć się dalej; oglądała się na niego przez ramię tak długo, aż nie skrył go tłum. Siwiejąca kobieta, nadal urodziwa, zarzuciła szczupłe ręce na kark Perrina i podała mu roznamiętione usta. Wyglądała na zaskoczoną, kiedy podniósł ją delikatnie za ramiona i odsunął na bok. Zaraz potem osaczyła go gromadka mężczyzn i kobiet równych mu wiekiem; płasali w takt melodii wygrywanej na tamburynach, zanosili radosnym śmiechem i szarpali go za poły kaftana. Ignorowali jego protesty, więc twardo zepchnął z drogi jednego z mężczyzn i warknął jak wilk na pozostałych. Śmiech zamarł, a oni wytrzeszczyli zaskoczone oczy, ale po chwili znowu hałasowali i nawet usiłovali przedrzeć się jego warkot, po czym podrygując, wmieszali się z powrotem w tłum.

Był to pierwszy dzień Święta Świata, ostatni i jednocześnie najkrótszy dzień roku, i miasto obchodziło go w sposób, jakiego Perrin wcześniej nawet nie umiałby sobie wyobrazić. Również w Dwu Rzekach na pewno zorganizowano tańce, ale żeby coś takiego... ! Wyglądało na to, że Cairhienianie postanowili nadrobić cały rok wstrzemięźliwości i z entuzjazmem oddali się rozpuście. Przestał się liczyć status majątkowy i zniknęły wszelkie bariery dzielące gmin od arystokracji, publicznie przynajmniej. Spocone kobiety w prostych, zgrzebnych wełnach chwyciły spoconych mężczyzn w ciemnych jedwabiach z kolorowymi paskami i ciągnęły ich do tańca; mężczyźni w kaftanach woźniców i kamizelach stajenych puszczali się w tan z kobietami, ubranymi w suknie z rozcięciami, bywało, aż do pasa. Pito wino i całowano się z wielkim zapałem, gdziekolwiek Perrin nie spojrział. Starał się zresztą nie przypatrywać z nadto uważnie. Niektóre z arystokratek, z włosami utrefionymi na kształt skomplikowanych wieżyc, nie nosiły nic pod cienkimi kaftanikami, których nie zapięły zbyt dokładnie. Wśród ludzi z gmi-



nu niewiele kobiet, które zrzuciły bluzki, pokwapiły się, by włożyć jakieś okrycie; zasłaniały je tylko włosy, a te rzadko kiedy były dostatecznie długie; tak samo jak mężczyźni oblewały siebie i otaczających ludzi strugami wina. Hałaśliwe śmiechy mieszały się z tysiącem najrozmaitszych melodii wygrywanych na fletach, bębnach i rostkach, cytrach, bitternach i dulcimerach.

W Polu Emonda członkinie Koła Kobiet zapewne pomstowałyby, a przedstawiciele Rady Wioski połknęłyby języki w ataku apopleksji, ale Perrina te przejawy deprawacji drażniły tylko w niewielkim stopniu w porównaniu z jego ogólną irytacją. Kilka godzin, powiedziała Nandera, a tymczasem od zniknięcia Randa upłynęło już sześć dni. Min zniknęła albo razem z nim, albo została z Aielami. I nikt nic nie wiedział. Z wyjątkiem niejakej Sorilei, ale Mądre były równie nieodgadnione jak Aes Sedai, kiedy Perrin próbował którąś wypytać w jakiejś kwestii; Sorilea powiedziała mu prosto z mostu, żeby zajął się swoją żoną i trzymał swój nos z dala od spraw, które nie dotyczą mieszkańców mokradeł. Nie miał pojęcia, skąd Sorilea się dowiedziała o jego kłopotach z Faile, ale nie dbał o to. Czuł, że Rand go potrzebuje, bo stale swędziało go coś pod skórą, z każdym dniem silniej. Wracił teraz ze szkoły Randa, ostatniej instancji, ale tam, jak wszędzie w Cairhien, ludzie zajęci byli piciem, tańcem i cudzołożeniem. Przedstawiono mu dyrektorke szkoły, kobietę o imieniu Idrien, ale kiedy już mu się udało z pewnymi trudnościami i nie mniejszym zażenowaniem przeszkodzić jej w całowaniu się z mężczyzną tak młodym, że mógł być jej synem, w każdym razie na tyle przeszkodzić, że zdołał zadać swoje pytanie, ta potrafiła mu powiedzieć to tylko, że być może niejaki Fel coś wie. Ów Fel, jak się okazało, tańczył właśnie z trzema młodymi kobietami, które mogły być jego wnuczkami. Z wszystkimi trzema naraz. Zdawał się nie bardzo nawet pamiętać, jak się nazywa, co raczej nie dziwiło, zważywszy na okoliczności. A żeby ten Rand szczęśliwie! Wyjechał bez słowa, znając przecież widzenie Min, wiedząc, że będzie rozpaczliwie potrzebował Perrina. Nawet Aes Sedai musiały się oburzyć. Tego ranka właśnie Perrin dowiedział się, że już trzy dni temu wyprawiły się w podróż powrotną do Tar Valon, oświadczywszy, że nie widzą sensu, by zostawać dłużej. Co ten Rand wyprawia? Perrin aż się skręcał, tak go swędziało.

W Pałacu Słońca płonęły wszystkie lampy, a także dziesiątki świec, wszędzie tam, gdzie dało się je postawić; korytarze iskrzyły się niczym klejnoty w słońcu. Również w Dwu Rzekach wszystkie domostwa były zapewne rozświetlone, każdą dostępną lampą i świecą; miały tak płonąć aż do wschodu słońca następnego dnia. Większość pałacowych sług wyszła na ulice, a ci nieliczni, którzy zostali, zdawali się tyle samo śpiewać, śmiać się i tańczyć, co pracować. Nawet tutaj niektóre kobiety obnażyły się do pasa, zarówno dziewczęta na tyle już dorosłe, że w Dwu Rzekach splatałyby już włosy w warkocze, jak i siwe babcie. Aielowie kręcący się po korytarzach okazywali wyraźny niesmak, kiedy taką zauważyli, co po prawdzie nie zdarzało się często. Panny wyglądały nawet na rozzłoszczone,

aczkolwiek Perrin podejrzewał, że nie miało to nic wspólnego z obnażającymi się Cairhieniankami; z każdym dniem, jaki upłynął od wyjazdu Randa, Panny zdawały się coraz bardziej przypominać koty machające ogonami.

Tym razem wędrował przez korytarze otwarcie. Niemalże pragnął, by Berelain na niego wpadła. W myślach błysnęła mu wizja, jak chwyta ją za kark zębami i potrząsa nią tak długo, aż jest gotowa uciec z podkulonym ogonem. Na szczęście jednak dotarł do swych komnat, nie natykając się na nią.

Kiedy wszedł, Faile niemal podniosła wzrok wlepiony w planszę do gry w kamienie; Perrin w każdym razie był przekonany, że to zrobiła. Nadal czuł od niej woń zazdrości, ale to nie ona była najsilniejsza; Faile znacznie ostrzej pachniała gniewem, a oprócz tego wydzielala jeszcze bardziej stężony, mdły, nieokreślony odór, który zidentyfikował jako rozczarowanie. Czym ją rozczarował? Dlaczego ona nie chce z nim rozmawiać? Jedno słowo, dające do zrozumienia, że wszystko w porządku, a padłby na kolana i uznał, że jest winny za wszystko, czym zechciałaby go obarczyć. Niestety, położyła tylko czarny kamyk na planszy i mruknęła:

— Twoja kolej, Loial. Loial?

Loial niespokojnie zastrzygł uszami i zwiesił długie brwi. Ogir być może nie miał specjalnie wyostrzonego zmysłu powonienia — cóż, w każdym razie był w tym lepszy od Faile — ale wyczuwał nastroje tam, gdzie człowiek niczego nie zauważał. Ostatnimi czasy, kiedy Perrin i Faile znajdowali się w jednej komnacie, Loial miał taką minę, jakby chciało mu się płakać. Tym razem z jego ust wyrwało się westchnienie podobne do wycia wiatru w jaskini i postawił biały kamyk tam, gdzie mógł zbudować pułapkę na sporą część kamyków Faile, jeśli ta się nie zorientuje. Prawdopodobnie zauważy to; ona i Loial byli równie dobrymi graczami, o wiele lepszymi od Perrina.

W drzwiach sypialni stanęła Sulin; w rękach trzymała poduszkę i patrzyła krzywo na Faile i Perrina. Jej zapach przywodził na myśl wilczycę ze stadkiem wilcząt uczepionych do ogona. Też pachniała niepokojem. I o dziwo, bała się. Tylko dlaczego siwowłosa posługaczka pachnąca strachem miałaby dziwić — nawet taka z pomarszczoną twarzą Sulin — Perrin nie rozumiał.

Zgarnawszy książkę w skórzanej oprawie ozdobionej złoceniami, zatopił się w krzesło i otworzył ją. Nie czytał jednak, nawet dobrze nie obejrzał, żeby się dowiedzieć, jaki nosi tytuł. Zrobił głęboki wdech, filtrując wszystkie wonie, wyjąwszy woń Faile. Rozczarowanie, gniew, zazdrość, a pod tym wszystkim ona sama. Wdychał łączywe jej zapach. Jedno słowo; tyle by z jej strony wystarczyło.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, Sulin wyszła z sypialni, gwałtownie podkasując czerwono-białe spódnice i popatrując gniewnie na Perrina, Faile i Loiala, jakby się zastanawiała, dlaczego któreś z nich ich nie otworzy. Zrobiła jawnie szyderczą minę, kiedy zobaczyła Dobraine — zdarzało się to całkiem często od wyjazdu Randa — ale potem wzięła głęboki oddech, jakby zbroiła się do czegoś, i wyraźnie zmusiła się do potulności, na widok której cierpła skóra. Głębokie dy-

gnięcie mogło być równie dobrze wykonane przed królem, któremu zachciało się być własnym katem, i tak już pozostała, z twarzą niemalże przy posadzce. Nagle zaczęła się trząść. Zapach jej gniewu stopniał i nawet niepokój został przytłumiony wonią przypominającą tysiące cienkich jak włos, ostrych jak igła odłamków. Perrin już kiedyś czuł od niej zapach wstydu, ale tym razem powiedziałby, że mogła od niego umrzeć. Rozpoznał gorzką słodycz, jaką wydzielają kobiety, kiedy płaczą z emocji.

Rzecz jasna, Dobraine nawet na nią nie spojrział. Przyjrzał się natomiast badawczo Perrinowi głęboko osadzonymi oczyma, z posępną czy wręcz grobową miną. Dobraine nie pachniał alkoholem i raczej nie wyglądał na kogoś, kto właśnie przestał tańczyć. Tamtego jedyne go razu, kiedy Perrin go spotkał, miał wrażenie, że on pachnie czujnością; nie lękiem, ale tak, jakby cały czas brodził przez splełany las pełen jadowitych węży. Tego dnia zapach był dziesięciokrotnie silniejszy.

— Oby ci łaska sprzyjała, lordzie Aybara — rzekł Dobraine, schylając głowę. — Czy mógłbym z tobą porozmawiać w cztery oczy?

Perrin położył książkę na posadzce obok krzesła i wskazał drugie, stojące naprzeciwko niego.

— Oby cię Światłość opromieniła, lordzie Dobraine. — Skoro ten człowiek chciał pokazać dobre maniery, to udowodni, że też je ma. Do pewnych granic. — Moja żona może usłyszeć wszystko, cokolwiek masz do powiedzenia. Nie mam przed nią żadnych sekretów. A Loial jest moim przyjacielem.

Poczuł na sobie wzrok Faile; nagle wydzielony przez nią zapach omal go nie powalił, bo z jakiegoś powodu skojarzył go sobie z jej miłością, z tymi chwilkami, kiedy była dla niego najbardziej czuła albo kiedy jej pocałunki stawały się najgorętsze. Omal nie zemdlął od tego aromatu. Zapragnął powiedzieć Dobraine, by odszedł — a także Loialowi i Sulin; jeżeli Faile pachniała w taki sposób, to z pewnością uda mu się wszystko naprawić — ale Cairhienianin niestety zdążył już usiąść.

— Mężczyzna, który może ufać swej żonie, lordzie Aybara, dostąpił łaski potężniejszej niżli bogactwo. — Mimo tych słów Dobraine jeszcze przez chwilę mierzył wzrokiem Faile, zanim zaczął mówić dalej. — Dzisiejszego dnia w Cairhien doszło do dwóch niefortunnych zdarzeń. Rankiem znaleziono lorda Maringila martwego w jego własnym łóżu; został otruty, jak się zdaje. Niewiele zaś później Wysoki Lord Meilan padł ofiarą noża jakiegoś ulicznego zabijaki. Rzecz to całkiem niezwykła podczas Świąta Świąteł.

— A dlaczego mi o tym opowiadasz? — spytał powoli Perrin.

Dobraine rozłożył ręce.

— Jesteś przyjacielem Lorda Smoka, a jego tu nie ma. — zawahał się, po czym ciągnął dalej takim tonem, jakby przymuszał się do mówienia. — Ostatniej nocy Colavaere wieczerzała z gośćmi z szeregu ostatnich Domów. Z Da-

ganredem, Chuliandredem, Annallin, Osiellin i innymi. Każde z osobna nic nie znaczy, ale jest ich wielu. Tematem był sojusz z Domem Saighan i wsparcie dla Colavaere na rzecz przejęcia przez nią Tronu Słońca. Raczej się nie starała, by utrzymać to spotkanie w tajemnicy. — Znowu urwał, mierząc wzrokiem Perrina. Cokolwiek widział Dobraine, zdawał się uważać, że to wymaga głębszych wyjaśnień. — To niezwykle dziwne, jako że zarówno Maringil, jak i Meilan chcieli zasiąść na tronie: — i każdy zadusiłby ją jej własnymi poduszkami, gdyby się dowiedział o spotkaniu.

Perrin nareszcie zrozumiał, o co chodzi, aczkolwiek nie pojmował, dlaczego ten człowiek nie mówi wprost. Bardzo pragnął, żeby Faile się odezwała; na takich sprawach znała się znacznie lepiej od niego. Widział ją, kątem oka; siedziała z głową pochyloną nad planszą i obserwowała go, również kątem oka.

— Jeżeli uważasz, że Colavaere dopuściła się zbrodni, lordzie Dobraine, to powinieneś udać się do... Rhuarka. — Zamierzał powiedzieć „do Berelain”, ale nuta zazdrości spotęgowała się nieznacznie w zapachu wydzielanym przez Faile.

— Do tego barbarzyńcy z Pustkowiec? — parsknął Dobraine. — Będzie lepiej, jak pojedę do Berelain, choć i to nie bardzo ma sens. Przyznaję, że ta mayeniańska dziewczka potrafi władać miastem, ale jej się wydaje, że każdy dzień to Święto Świąteł. Colavaere każe ją pokroić na plasterki i ugotować z papryką. Ty zaś jesteś przyjacielem Smoka Odrodzonego. Colavaere... — Tym razem umilkł, bo nagle do niego dotarło, że do komnaty weszła bez pukania Berelain, tuląca w ramionach jakiś długi, wąski kształt, owinięty w koc. Jej łono było częściowo obnażone.

Perrin usłyszał szcęknięcie klamki i furia, wywołana jej widokiem, wymiotła mu z głowy praktycznie wszystko, co miał aktualnie na uwadze. Ta kobieta przyszła tu po to, żeby z nim flirtować i to na oczach jego żony? Rozwścieczony poderwał się na równe nogi i z całej siły klasnął w dłonie.

— Wyjdź! Wyjdź stąd, kobieto! Natychmiast! Bo jak nie, to sam cię wyrzucę, a wtedy polecisz tak daleko, że jeszcze dwa razy się odbijesz!

Berelain wzdrygnęła się tak gwałtownie pod wpływem jego pierwszego okrzyku, że upuściła swoje brzemię i z wytrzeszczonymi oczyma cofnęła się o krok, ale nie wyszła. Perrin natomiast, wypowiadając ostatnie słowa, zorientował się, że wszyscy na niego patrzą. Dobraine miał obojętną minę, ale wydzielany przezeń zapach świadczył, że cały aż zastygł ze zdumienia, podobny do wysokiego, kamiennego pala na samym środku płaskiej równiny. Loial miał uszy równie sztywno wyprostowane, a szczęka opadła mu na pierś. Natomiast Faile, z tym chłodnym uśmiechem... Perrin nic z tego nie rozumiał. Spodziewał się, że będą od niej biły fale zazdrości, skoro Berelain znajdowała się w komnacie, a tymczasem... dlaczego pachniała poczuciem krzywdy?

Nagle Perrin zobaczył, co upuściła Berelain. Koc rozchylił się, ukazując miecz i pas ze sprzączką w kształcie Smoka, własność Randa. Czy Rand zostawiłby te przedmioty? Perrin zawsze lubił wszystko przemyśleć; kiedy człowiek działa

w pośpiechu, czasem może kogoś niechcący zranić. Ale ten leżący tutaj miecz był jak grom z jasnego nieba. Perrinowi włosy zjeżyły się na głowie, a z głębi gardła dobył się warkot.

— One go pojmały! — zawyła Sulin, nagle i porażająco. Z głową odrzuconą w tył i zaciśniętymi powiekami, krzyczała dalej, z głową zadartą w stronę powały, a Perrina aż przeszył dreszcz. — Aes Sedai uprowadziły mojego pierwszego-brata! — Policzki jej załśniły od łez.

— Uspokójże się, dobra kobieto — powiedziała stanowczym tonem Berelain. — Idź do sąsiedniej komnaty i uspokój się. — Zwracając się do Perrina i Dobraine, dodała: — Nie możemy dopuścić, by ta wieść się rozeszła. . .

— Ty mnie nie znasz — wtrąciła grubiańsko Sulin — w tej sukni i z dłuższymi włosami. Przemów do mnie raz jeszcze tak, jakby mnie tu nie było, a zrobię z tobą to samo; co Rhuarc w Kamieniu Łzy. Powinien robić to systematycznie, moim zdaniem.

Perrin wymienił zaskoczone spojrzenia z Dobraine i Loialem, a nawet z Faile, zanim ta gwałtownie odwróciła wzrok. Berelain, z kolei, to bladła, to purpurowiała, a wydzielana przez nią woń składała się z najczystszonego upokorzenia.

Sulin długimi krokami podeszła do drzwi i otworzyła je gwałtownie na oścież, zanim ktokolwiek zdążył do nich podejść; przynajmniej Dobraine wyraźnie chciał to zrobić. Jakaś jasnowłosa Panna, która właśnie szła korytarzem, zauważyła ją i uśmiechnęła się z rozbawieniem.

— Wytrzymaj twarz, Luaine — warknęła Sulin. Jej ręce zdawały się poruszać, ukryte przed oczami znajdujących się w komnacie. Uśmiech Luaine znikł tak nagle, jakby istotnie został wytarty. — Powiedz Nanderze, że ma tu natychmiast przyjść. I Rhuarc. Przynieś mi też *cadin'sor* i nożyczki, bo chcę odpowiednio ściąć włosy. Biegnij, kobieto! Jesteś *Far Dareis Mai* czy *Shae'en M'taal*? — Jasnowłosa Panna pomknęła przed siebie, a Sulin odwróciła się do wnętrza komnaty, kiwając z satysfakcją głową i trzaskając drzwiami. Faile gapiła się na nią oszołomiona.

— Los nam sprzyja — warknął Dobraine. — Ona jej nic nie powiedziała; ta kobieta jest niewątpliwie szalona. Możemy zadecydować, co im powiemy, ale najpierw musimy ją związać i zakneblować. — Wyciągnął nawet ciemnozieloną chustę z kieszeni kaftana, jakby rzeczywiście zamierzał to zrobić, ale Perrin złapał go za rękę.

— Ona jest Aielem, Dobraine — powiedziała Berelain. — Panną Włóczni. Nie rozumiem tylko, skąd ta liberia. — O dziwo, w tym momencie to właśnie Berelain ściągnęła na siebie ostrzegawcze spojrzenie Sulin.

Perrin powoli wypuścił powietrze. A on chciał bronić tę siwowłosą staruszkę przed Dobraine. Cairhienianin spojrzał na niego pytającym wzrokiem, nieznacznie podniósł rękę, w której trzymał chustę; najwyraźniej nadal optował za związaniem i kneblowaniem. Perrin wszedł między tych dwoje i podniósł miecz Randa.

— Muszę być pewien. — Nagle dotarło do niego, że stoi bardzo blisko do Berelain. Ta zerknęła niespokojnie na Sulin i ruszyła w jego stronę, jakby w poszukiwaniu ochrony, ale jej zapach mówił o determinacji, a nie niepokoju; pachniała jak myśliwy. — Nie lubię wyciągać pochopnych wniosków — dodał, podchodząc do krzesła, na którym siedziała Faile. Niezbyt szybko; ot tak, jak każdy mężczyzna, który chce stanąć obok własnej żony. — Ten miecz naprawdę niczego jeszcze nie dowodzi. — Faile wstała i dostojnie obeszła stół, by spojrzeć na planszę nad ramieniem Loiala; cóż, tak właściwie to zza jego łokcia. Berelain zrobiła kilka kroków, tyle, że znowu w stronę Perrina; nadal spoglądała z lękiem na Sulin, nie wydzielając przy tym nawet cienia zapachu strachu. Podniosła rękę, jakby chciała go ująć pod ramię. Wtedy on stanął za plecami Faile, starając się, by to wyglądało jak najnaturalniej. — Rand twierdził, że trzy Aes Sedai nie mogą mu nic zrobić, jeśli się będzie pilnował. — Faile pomaszerowała do drugiej strony stołu, z powrotem do swego krzesła. — Jak rozumiem, nigdy nie przyjął więcej niż trzy. — Berelain wciąż popatrywała żałośnie na niego i wyraźnie bojaźliwie na Sulin. — Powiedziano mi, że tamtego dnia, kiedy wyjechał, przyszły tylko trzy. — Ruszył śladem Faile, tym razem trochę szybciej. Ta znowu podniosła się ze swego krzesła, powracając do boku Loiala. Loial ukrył głowę w dłoniach i zaczął jęczeć, jak na ogira wyjątkowo cicho. Berelain ruszyła za Perrinem, ze zogniałymi oczyma, stając się wcieleniem kobiety szukającej ochrony. Światłości, ona pachniała determinacją!

Zwróciwszy ku niej twarz, Perrin wbił zeszywniałe palce w jej pierś z taką siłą, że aż pisnęła.

— Stój dokładnie tutaj! — Nagle dotarło do niego, czego dotyka, i oderwał dłonie, jakby się poparzył. Ale nadal udawało mu się mówić twardym głosem. — Stój dokładnie tutaj! — Cofnął się, patrząc na nią tak srogo, że chyba byłby w stanie rozbić kamienny mur swoim wzrokiem. Potrafił zrozumieć, zazdrość Faile, ale dlaczego tak silnie pachniała poczuciem krzywdy?

— Niewielu ludzi potrafi mnie zmusić do posłuszeństwa — roześmiała się cicho Berelain — ale ty chyba jesteś jednym z nich. — Jej twarz, ton i, co ważniejsze, zapach, nabrały nieco powagi. — Poszłam przeszukać apartamenty Lorda Smoka, ponieważ się bałam. Wszyscy wiedzieli, że Aes Sedai przybyły tu, by odeskortować go do Tar Valon, a ja nie mogłam zrozumieć, dlaczego zrezygnowały. Sama przyjełam nie mniej jak dziesięć wizyt rozmaitych siostr, które udzielały mi rad odnośnie tego, co powinnam uczynić, kiedy on wróci razem z nimi do Wieży. Zdawały się bardzo tego pewne. — Zawahała się i chociaż nie spojrzała na Faile, Perrin odniósł wrażenie, że namyśla się, co może powiedzieć w jej obecności. Również przy Dobraine, ale tu bardziej szło o Faile. Zapach myśliwego powrócił. — Odniosłam wrażenie, że powinnam wrócić do Mayene, i że jeśli tego nie zrobię, to mogę zostać tam zawieziona pod eskortą.

Sulin warknęła coś bezgłośnie, ale uszy Perrina wychwyciły to wyraźnie.

— Rhuarc to dureń. Gdyby ona była jego córką, to nie miałby czasu na nic, bo musiałby wiecznie dawać jej lanie.

— Dziesięć? — spytał Dobraine. — Mnie złożyły tylko jedną. Myślałem, że jest rozczarowana, kiedy dałem jasno do zrozumienia, że przysięgłem wierność Smokowi Odrodzonemu. Ale czy dziesięć, czy jedna, Colavaere jest tutaj kłuczem. Ona wie znakomicie, że lord Smok zamierza przekazać Tron Słońca Elayne Trakand. — Skrzywił się. — Elayne Damodred, tak się ją powinno nazywać. Taringail powinien był zmusić Morgase, by ta poślubiła Damodreda, zamiast sam wżeniac się w Dom Trakand; potrzebowała go przecież dostatecznie, by mógł to osiągnąć. No cóż, Elayne, czy Trakand, czy Damodred, ma takie samo prawo do tronu jak każdy, o wiele większe niż Colavaere. Ja w każdym razie jestem przekonany, że to Colavaere kazała zabić Maringila i Meilana, by sobie utorować drogę do tronu. Nigdy by się na to nie poważyła, gdyby uważała, że Lord Smok może jeszcze powrócić.

— A więc to tak. — Na czole Berelain pojawiła się drobna zmarszczka zaniepokojenia. — Mam dowód, że to ona kazała służącemu dodać trucizny do wina Maringila... była beztrocka, a ja przywiozłam tu ze sobą dwóch dobrych łowców złodziei... nie wiedziałam tylko, dlaczego to zrobiła. — Lekko skłoniła głowę, rejestrując pełne podziwu spojrzenie Dobraine. — Zawisnie za to. O ile istnieje sposób na odbicie Lorda Smoka. Jeśli nie, to obawiam się, że będziemy musieli się sporo nagłowić nad sposobem ujęcia z tego wszystkiego z życiem.

Perrin zacisnął dłoń na pochwie miecza uszytej ze skóry dzika.

— Ja go odbiję — warknął. Dannil i pozostali dwaj ludzie z Dwu Rzek nie mogli pokonać więcej jak połowę drogi do Cairhien; wszak spowalniały ich wozy. Ale pozostawały jeszcze wilki. — Choćbym miał jechać w pojedynkę, sprowadzę go z powrotem.

— Nie pojedziesz w pojedynkę — rzekł Loial zawziętym tonem. — Nigdy nie będziesz sam, dopóki ja tu jestem, Perrin. — Nagle zastrzygł uszami z zażenowania; zawsze zdawał się zażenowany, kiedy ktoś widział jego odwagę. — Ostatecznie moja książka nie skończy się dobrze, jeśli Rand zostanie uwięziony w Wieży. I raczej nie będę mógł pisać o jego wyswobodzeniu, dopóki będę tutaj.

— Nie pojedziesz sam, ogirze — powiedział Dobraine. — Do jutra mogę skrzyknąć pięciuset zaufanych ludzi. Nie wiem, co możemy zdziałać przeciwko sześciu Aes Sedai, ale ja dotrzymuję swoich przysiąg. — Popatrzył na Sulin i przejechał palcami po chuście, którą nadal trzymał w ręku. — Tylko na ile możemy ufać barbarzyńcom?

— A na ile my możemy ufać zabójcom drzew? — spytała Sorilea, głosem tak twardym jak ona sama; weszła właśnie bez pukania. Towarzyszyli jej ponuro pachnący Rhuarc, Amys, z tą nazbyt młodzieńczą i chłodną twarzą, jak u każdej Aes Sedai, osobliwie okoloną siwymi włosami, a także Nandera, ogarnięta morderczą furią i niosąca tobolek w barwach szarości, brązów i zieleni.

— Wiecie już? — spytał z niedowierzaniem Perrin.

Nandera cisnęła tobolek w stronę Sulin.

— Już dawno temu powinnaś była stwierdzić, że wypełniłaś swoje *toh*. Prawie cztery i pół tygodnia, całe półtora miesiąca. Nawet *gai'shain* twierdzą, że twoja pycha jest zbyt wielka. — Obie kobiety zniknęły w sypialni.

W momencie, gdy Perrin przemówił, od strony Faile powiało wonią irytacji.

— Mowa Panien — mruknęła, zbyt cicho, by mogło to pochwycić czyjekolwiek ucho, ale on usłyszał. Obdarzył ją wdzięcznym spojrzeniem, ale udała, że jest pochłonięta sytuacją na planszy. Dlaczego nie brała w tym wszystkim udziału? Udzieliła mu dobrej rady i byłby wdzięczny za każdą następną. Położyła kamyk i spojrzała krzywo na Loiala, który wpatrywał się z napięciem w Perrina i pozostałych.

Perrin postarał się, nie westchnąć i powiedział obojętnie:

— Nie dbam o to, kto komu ufa. Rhuarc, czy zechcesz posłać swoich Aielów przeciwko Aes Sedai? Przeciwko sześciu Aes Sedai. Sto tysięcy Aielów na pewno je zatrzyma. — Aż zamrugał, kiedy ta liczba padła z jego ust — już dziesięć tysięcy stanowiło niemałą armię — ale o takiej właśnie rzeszy mówił Rand, a Perrin mu uwierzył, kiedy zobaczył obozowisko Aielów rozbite wśród wzgórz. Ku jego zdziwieniu Rhuarc pachniał wahaniem.

— Nie da się zgromadzić aż tylu — powiedział powoli wódz klanu i na chwilę umilkł. — Dziś rano pojawili się biegacze. Shaido posuwają się na południe od Sztyletu Zabójcy Rodu, w stronę serca Cairhien. Może mam pod sobą dość, by ich zatrzymać; najwyraźniej nie wszyscy Shaido tu ciągną, ale jeśli wyprowadzę z tej ziemi aż tyle włóczni, to wszystko, czego dokonaliśmy, pójdzie na marne. W najlepszym razie Shaido złupią to miasto, zanim zdążymy wrócić. Kto wie, jak daleko dotrą, może nawet do innych ziem, i ilu zabiorą ze sobą jako *gai'shain*.

Przy tych ostatnich słowach powiało od niego pogardą, ale Perrin nic z tego nie zrozumiał. Jakie to ma znaczenie, ile ziem trzeba będzie odbijać, czy nawet ilu ludzi umrze — aczkolwiek tej myśli towarzyszyły niechęć i ból — skoro stawką był los Randa, Smoka Odrodzonego, wiezionego do Tar Valon w charakterze więźnia?

Sorilea przypatrywała się badawczo Perrinowi. Wzrok Mądrych często sprawia, że Perrin czuł się przy nich tak samo jak w obecności Aes Sedai; miał wrażenie, że ważą go z dokładnością do jednej uncji i mierzą z dokładnością do jednego cala. Przy Sorilei czuł się jak zepsuty pług rozebrany na części; należało zbadać każdą szpilę oddzielnie, żeby orzec, czy coś da się naprawić albo wymienić.

— Powiedz mu wszystko, Rhuarc — rozkazała ostrym tonem.

Amys położyła dłoń na ramieniu Rhuarka.

— On ma prawo wiedzieć, cieniu mego serca. On jest prawie-bratem Randa al'Thora. — Mówiła głosem delikatnym, a pachniała stanowczością.



Rhuarc obdarzył Mądrą twardym spojrzeniem, a Dobraine wzgardliwym. Wreszcie wyprostował się.

— Mogę wziąć tylko Panny i *siswai'aman*. — Jego ton i zapach wskazywały, że wolałby stracić rękę niż wypowiedzieć te słowa. Niewielu jest takich, którzy stawia czoła Aes Sedai.

Dobraine wykrzywił usta z pogardą.

— Ilu Cairhienian stanie do walki z Aes Sedai? — spytał cicho Perrin. — Sześć Aes Sedai, a my nie dysponujemy niczym prócz stali. — Ile Panien i tych *sis-coś-tam* mógł zebrać Rhuarc? Nieważne; zawsze jeszcze pozostawały wilki. Ile wilków zginie?

Grymas opuścił usta Dobraine.

— Ja pójdę, lordzie Aybara — odrzekł sztywno. — I moich pięciuset ludzi, choćby Aes Sedai było nawet sześćdziesiąt.

Śmiech Sorilei zabrzmiał ponuro.

— Nie obawiaj się Aes Sedai, zabójco drzew. — I w tym momencie wykwitł przed nią maleńki płomyk. Ona potrafiła przenosić!

Ugasiła płomyk, kiedy zaczęli sporządzać plan, ale on pozostał w myślach Perrina. Niewielki i kapryśny, a jednak stanowił jakby wypowiedzenie wojny potężniejsze od trąb, wypowiedzenie wojny na noże.

— Jeżeli będziesz współpracowała — powiedziała Galina tonem stosownym dla zwykłej pogawędki — to życie stanie się dla ciebie o wiele miłsze.

Dziewczyna zmierzyła ją ponurym spojrzeniem i poprawiła się na stołku, ale było widać, że jest obolała. Mocno się pociała, mimo iż zdjęła kaftan. Galina nie po raz pierwszy zastanowiła się nad tą Min, Elmindredą, czy jak tam brzmiało jej prawdziwe imię. Kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy, była odziana jak chłopiec, dotrzymywała towarzystwa Nynaeve al'Meara i Egwene al'Vere. A także Elayne Trakand, ale to przede wszystkim tamte dwie były związane z al'Thorem. Za drugim razem Elmindreda zmieniła się w kobietę tego pokroju, jakiego Galina wprost nie znosiła, frywolną i skorą do westchnień, ale wtedy znajdowała się pod osobistą ochroną Siuan Sanche, więc to i tak nie miało żadnego znaczenia. Galina nie pojmowała, jak Elaida mogła być taka głupia, by pozwolić jej wyjechać z Wieży. Jaka wiedza kryła się w głowie tej dziewczyny? Może Elaida nie potrafiła od razu jej przejąć. Ta Elmindreda, gdyby ją odpowiednio wykorzystała w Wieży, pomogłaby Galinie pojmać Elaidę niczym jaskółkę w sieć. Dzięki Alviarin Elaida stała się jedną z tych silnych, kompetentnych Amyrlin, które dzierżyły w swych dłoniach wszystkie wodze; uwięzienie jej z pewnością osłabiłoby Alviarin. Odpowiednio wykorzystana teraz. . .

Galina usiadła prosto, wyczuwając zmianę w splotach Mocy.

— Porozmawiam z tobą znowu, kiedy poświęcisz więcej czasu na przemyśle-

nia, Min. Zastanów się głęboko, ile łoż warto tak naprawdę wylać nad mężczyzną.

Po wyjściu na zewnątrz Galina warknęła na zwalistego Strażnika stojącego na warcie.

— Tym razem pilnuj jej należycie. — Carilo akurat nie pełnił warty, kiedy doszło do pewnego incydentu ubiegłej nocy, ale z pewnością Gaidinów za bardzo rozpieszczano. Skoro już muszą istnieć, powinno się ich traktować jak żołnierzy.

Zignorowała jego ukłon i wyszła z namiotu, rozglądając się, czy nie ma gdzieś w pobliżu Gawyna. Ten młodzieniec zamknął się w sobie od czasu pojmania al'Thora i zachowywał się podejrzanie spokojnie. Nie zamierzała dopuścić, by wszystko popsuł, starając się pomścić śmierć swojej matki. Wypatrzyła go na obrzeżach obozu; siedział na koniu i rozmawiał z garstką tych chłopców, którzy nazywali się Młodymi.

Tego dnia z konieczności przystanęli na popas wcześniej; namioty i wozy rzucały w popołudniowym słońcu długie cienie na drogę. Obozowisko otaczały połałdowane równiny i niskie wzgórza, w zasięgu wzroku było tylko kilka zagajników, rozrzuconych w sporych odległościach, przeważnie rzadkich i małych. Trzydzieści trzy Aes Sedai z służbą i Strażnikami — dziewięć należało do Zielonych, tylko trzynaście do Czerwonych, a pozostałe do Białych, byłych Ajah Alviarin — tworzyły spore obozowisko, nawet jeśli nie liczyć Gawyna i jego żołnierzy. Wiele sióstr stało na zewnątrz namiotów albo z nich wyglądało, wyczuwając to samo, co Galina. Przedmiotem powszechnego zainteresowania była grupa siedmiu Aes Sedai, z których sześć siedziało na zydlach wokół okutego mosiądzem kufra, ustawionego tam, gdzie blask słońca miał jeszcze jaką taką moc. Tą siódmą była Erian; nie oddaliła się od kufra od chwili, kiedy ubiegłej nocy wsadzono doń ponownie al'Thora. Po wyjeździe z Cairhien pozwolono mu raz go opuścić, jednak Galina podejrzewała, że Erian się uprze, by Rand spędził resztę podróży w jego wnętrzu.

Zielone natarły na nią, kiedy podeszła bliżej. Erian była całkiem urodziwa, zwłaszcza dzięki idealnemu owalowi twarzy, ale teraz na policzkach miała purpurowe rumieńce, a piękne, ciemne oczy otaczały czerwone obwódki.

— Znowu próbował przebić się przez tarczę, Galino. — Gniew przemieszany z pogardą dla głupoty tego człowieka sprawiał, że mówiła głuchym i chrapliwym głosem. — Trzeba mu dać nauczkę. Naprawdę pragnę być tą, która wymierzy mu karę.

Galina zawahała się. Znacznie lepiej byłoby ukarać Min; to by powstrzymało zapędy al'Thora. Z pewnością. Wściekł się, kiedy zobaczył, że jest karana za swój wybuch ubiegłej nocy, do którego z kolei doszło wtedy, kiedy ujrzała jak dają nauczkę jemu. A do całego incydentu doszło dlatego, że al'Thor odkrył, iż Min jest w obozie, po tym jak jeden ze Strażników bezmyślnie pozwolił jej na samotną przechadzkę o zmroku, zamiast trzymać ją w zamknięciu namiotu. Kto by przewidział, że al'Thor, otoczony tarczą i siostrami, tak się rozgniewa? Nie

starał się zwyczajnie przebić przez tarczę, tylko gołymi dłońmi zabił Strażnika i poważnie ranił drugiego, mieczem należącym do zabitego, tak poważnie, że ten drugi umarł podczas Uzdrawiania. I wszystko to w ciągu tylko kilku chwil, zanim siostry zdążyły się otrząsnąć i związać go Mocą.

Galina ze swej strony już wiele dni temu skrzyknęłyby Czerwone siostry i poskromiła al'Thora. Zabroniono im tego, więc była skłonna przekazać go do Wieży nietkniętego, pod warunkiem, że będzie się zachowywał właściwie. Musiała jednak ukrócić jego wybryki, a podprowadzenie tam Min, tak żeby usłyszał jej jęk i płacz, na pewno przyniosło by pożądaną efekt. Traf jednak chciał, że obaj zabici Strażnicy należeli do Erian, toteż większość sióstr mogła uznać, że ona jest w swoim prawie. Galina natomiast pragnęła, by ta lalkowata Zielona możliwie jak najprędzej pchłonęła gniewu. Znacznie lepiej byłoby podróżować i podziwiać tę porcelanową twarzyczkę niezmienną do końca.

Galina skinęła głową.

Rand zamrugał, kiedy do wnętrza kufra nagle wlało się światło. Wzdrygnął się mimo woli; wiedział, na co się zanosi. Lews Therin zamilkł i znieruchomiał. Rand ostatkiem sił wczepiał się w Pustkę, a mimo to czuł ból ścierpniętych mięśni, kiedy go rozprostowano. Zaciśnął zęby i starał się nie mrużyć oczu, oślepiiony światłem tak jaskrawym, jakby było samo południe. Powietrze zdawało się cudownie świeże; przesiąknięta potem koszula przywarła mu do ciała. Nie krępowyły go żadne powrozy, a mimo to nie mógłby zrobić nawet kroku, choćby od tego zależało jego życie. Gdyby nie podtrzymywała go Moc, to zapewne by się przewrócił. Dopóki nie zobaczył, jak nisko na niebie jest słońce, nie miał pojęcia, od jak dawna tu tkwił, z głową między kolanami, w kałuży własnego potu.

Ledwie jednak zainteresował się słońcem. Jego wzrok odruchowo odszukał Erian, jeszcze zanim stanęła tuż przed nim. Niska, szczupła kobieta spojrzała mu w twarz, ciemnymi oczyma pełnymi furii, a onomalże znowu się nie wzdrygnął. Nic nie powiedziała. Tym razem zaczęła od razu.

Pierwszy, niewidzialny cios spadł na jego ramiona, drugi na pierś, trzeci na podudzia. Pustka zadygotała. Powietrze. To tylko Powietrze. Tak to brzmiało łagodniej. Każdy cios był jakby zadawany biczem, przez rękę silniejszą od dłoni jakiegokolwiek mężczyzny. Już przedtem sine pręgi okrywały go od ramion po kolana. Czuł je bardzo wyraźnie; nawet we wnętrzu Pustki miał ochotę płakać. Po utracie Pustki chciało mu się wyć.

Zamiast tego zaciśnął szczęki. Od czasu do czasu przez zaciśnięte zęby wymykało mu się sapnięcie, a wtedy Erian zdawała wysiłki, jakby chciała usłyszeć coś jeszcze. Nie dał jej tej satysfakcji. Nie potrafił nie dygotać przy każdym uderzeniu niewidzialnego bicia, ale nie czynił tego gwałtowniej, niż chciał jej okazać. Nie odrywał od niej wzroku, nie mrugał.

„Zabiłem Ilyenę” — jęczał Lews Therin za każdym razem, gdy na jego ciele lądował cios.

Rand odmawiał własną litanię. Ból rozrywał mu pierś.

„Koniec z ufaniem Aes Sedai”. Ogień smagał mu plecy. „Już nigdy, ani na cal, ani na włos”. Jakby cięto go brzytwą. „Koniec z ufaniem Aes Sedai”.

One myślały, że go złamią. Myślały, że doprowadzą go do tego, że poczołga się do Elaidy! Zmusił się więc do najtrudniejszej rzeczy, jaką kiedykolwiek zrobił w życiu. Uśmiechnął się. Uśmiech z pewnością nie objął niczego prócz ust, a jednak zrobił to: spojrzął w oczy Erian i uśmiechnął się. Ta wytrzeszczyła oczy i syknęła. Razy zaczęły padać zewsząd.

Świat stał się jednym bólem i ogniem. Nie widział tego, tylko czuł. Agonia. *Inferno*. Zdawał sobie sprawę, że ręce trzęsą mu się niepoohamowanie w ich niewidzialnych pętach, ale skupił się na zaciskaniu zębów.

„Tak to jest, jak... Nie krzyknę! Nie będę krzy...! Już nigdy w ży...! Choćbym miał...! Już nigdy! Nigdy! Ani na...! Nigdy! Nigdy! NIGDY!”

Najpierw zauważył, że oddycha. Że oddycha powietrzem, że chwytą je łapczywie nozdrzami. Jego ciało pulsowało, ale bicie ustało: Przeżył wstrząs, kiedy to do niego dotarło. Koniec, a już zaczął się spodziewać, że to nigdy nie ustanie. Poczłł smak krwi i zrozumiał, że szczęki bolą go prawie tak samo jak całe ciało. Dobrze. Nie krzyknął. Mięśnie twarzy zacisnęły mu się w ścierpnięty węzeł; musiałyby włożyć wiele wysiłku w otworzenie ust, jeśliby tego chciał.

Zmysł wzroku powrócił na samym końcu; przyszło mu na myśl, że ten ból przywoływał halucynacje. Razem z Aes Sedai stała grupa Mądrych, poprawiających szale i wpatrujących się w tamte z całą arogancją, na jaką je było stać. Najpierw, kiedy już uznał, że one są prawdziwe — chyba że sobie tylko wyimaginował Galinę rozmawiającą z Mądrą z jego halucynacji — przyszło mu na myśl, że to ratunek. Mądre w jakiś sposób... To było niemożliwe, ale jakoś... Po chwili rozpoznał kobiety rozmawiające z Galiną.

Sevanna podeszła do niego spacerowym krokiem, z uśmiechem na wydatnych, pożądliwych wargach. Jasnozielone oczy spozierały na niego z urodziwej twarzy okolonej włosami podobnymi do złotej przędzy. Rand wolałby widzieć przed sobą pysk wściekłego wilka. W jej postawie było coś dziwnego, w tym lekkim skłonie z ramionami odchylonymi w tył. Przypatrywała się jego oczom. Nagle, mimo iż tak bardzo go wszystko bolało, zachciało mu się śmiać; śmiałby się, gdyby był pewien, że jakikolwiek dźwięk wyjdzie z jego ust. Pobito go tak mocno, że znajdował się o włos od śmierci. Jego ciało pokryły palące szramy. Tymczasem kobieta, która z całą pewnością go nienawidziła, która prawdopodobnie obwiniała go za śmierć ukochanego, sprawdzała, czy zajrzy jej za bluzkę!

Powoli przejechała mu paznokciem po gardle — starając się sięgnąć karku — jakby sobie wyobrażała, że odcina mu głowę. Zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę los Couladina.

— Widziałam go — powiedziała z westchnieniem satysfakcji i dreszczem rozkoszy. — Dotrzymanyście swej części umowy, a ja mojej.

Aes Sedai ponownie złożyły go w pół i wepchnęły do kufra; znowu musiał przycupnąć w kałuży potu. Zamknęły wieko i otoczyła go ciemność.

Dopiero wtedy zaczął ruszać szczękami, aż wreszcie mógł otworzyć usta i wypuścić długi, drżący oddech. Nie był pewien, czy nie zacznie łkać. Światłości, przecież on cały płonął!

Co Sevanna tutaj robiła? Co za umowa? Nie. Dobrze wiedzieć, że doszło do jakiegoś porozumienia między Wieżą a Shaido, ale tym będzie przejmował się później. Teraz najważniejsza jest Min. Musi się uwolnić. One robią jej krzywdę. Zawziętość nieledwie stłumiła ból. Prawie.

Przywołanie Pustki zdawało się znojną pracą, brnięciem przez bagno śmiertelnego bólu, ale wreszcie otoczyła go skorupa Pustki i teraz wyciągał się w stronę *saidina*. . . ale w tym samym momencie natrafił tam na Lewsa Therina; dwie pary rąk macały niezdarnie, by złapać coś, co mogła uchwycić tylko jedna osoba.

„A żebyś szczeł! — warknął w myślach Rand. — A żebyś szczeł! Żebyś tak chociaż raz zechciał ze mną współpracować, zamiast zwracać się przeciwko mnie!”

„To ty będziesz współpracował ze mną!”

Wstrząśnięty Rand omal nie wypuścił Pustki. Tym razem nie mogło być pomyłki; Lews Therin słyszał go i odpowiadał.

„Moglibyśmy pracować razem, Lewsie Therinie”.

Nie chciał tego; chciał się pozbyć tego człowieka ze swej głowy. Gdyby nie Min. Za ile dni dotrą do Tar Valon? Z jakiegoś powodu był pewien, że kiedy go tam dowiozą, nie będzie miał żadnej szansy. Już nigdy jej nie będzie miał.

Odpowiedział mu niepewny, porozumiewawczy śmiech. A potem pytanie: „Razem?” Znowu śmiech, tym razem całkiem już obłąkańczy. „Razem. Kimkolwiek jesteś”. I wtedy i głos, i wrażenie obecności zniknęły.

Rand zadygotał. Klęczał, powiększając kałużę potu, w której spoczywała jego głowa, i dygotał.

Znowu powoli sięgnął do *saidina*. . . I oczywiście zderzył się z tarczą. Czy w każdym razie z tym czymś, czego szukał. Powoli, jak najdelikatniej, wyczuwał drogę do niego, do tego miejsca, gdzie twarda płaszczyzna zmieniała się znienacka w sześć miękkich punktów.

„Są miękkie — wyrzeźił Lews Therin — bo one tu są. Dzięki nim podtrzymują bufor. Twardnieją, gdy sploty zostają podwiązane. Nic się nie da zrobić, kiedy są miękkie, ale ja potrafię rozplątać sieć, jeśli ją podwiążę. Z czasem”.

Umilkł na tak długo, że Rand pomyślał, że znowu zniknął, ale po chwili usłyszał szept.

„Czy ty istniejesz naprawdę?”

I wtedy na dobre zniknął.

Rand gorączkowo wymacał drogę do sześciu punktów. Do sześciu Aes Sedai. Z czasem? Gdyby ją podwiązały, czego nie uczyniły od... Ile to było? Sześć dni? Siedem? Osiem? Nieważne. Nie mógł sobie pozwolić na zbyt długie czekanie. Każdy dzień przybliżał go do Tar Valon. Jutro znowu spróbuje przebić się przez barierę; przypominało to wprawdzie walenie gołymi pięściami w mur, ale bił w nią, ile miał sił. Jutro, kiedy Erian będzie go chłostać — był pewien, że to będzie ona — uśmiechnie się do niej znowu, a kiedy ból stanie się dotkliwy, pozwoli sobie na krzyk. Następnego dnia najwyżej otrze się o tarczę, może nawet tak mocno, by to poczuły, ale tylko tyle, i już więcej tego nie powtórzy, czy będą go karać, czy nie. Może zacznie błagać o wodę. Przyniosły mu trochę o świcie, ale znowu doskwierało mu pragnienie; nawet jeśli dadzą mu pić częściej niż raz dziennie, to błaganie wywoła właściwy efekt. Jeżeli wtedy nadal będą go zamykały w tym kufrze, to może będzie też prosił, żeby go wypuściły. Spodziewał się tego; raczej go nie wypuszczą na dłużej, dopóki nie nabiorą przekonania, że zmażdżał. Ścierpnięte mięśnie zadrgały na samą myśl o dwóch czy trzech kolejnych dniach w tym zamknięciu. Tu nie było miejsca na poruszenie czymkolwiek. Dwa albo trzy dni i nabiorą pewności, że go złamały. Uda, że go nastraszyły, i będzie unikał czyjegokolwiek wzroku. Stanie się wrakiem człowieka, którego będą mogły bezpiecznie wypuścić. I, co ważniejsze, wrakiem, którego nie będą musiały tak mocno strzec. A wtedy być może stwierdzą, że nie potrzebują aż sześciu Aes Sedai do podtrzymywania tarczy, albo że mogą ją podwiązać, albo... albo cokolwiek. Potrzebował jakiegoś punktu zaczepienia. Jakiegokolwiek!

Te rozważania dyktowała mu desperacja, ale zorientował się, że się śmieje, i nie potrafił się pohamować. Nie potrafił przestać dotykać bariery, niczym ślepiec, który rozpaczliwie gładzi kawałek gładkiego szkła.

Galina odprowadziła krzywym spojrzeniem oddalające się kobiety Aiel, dopóki nie wspięły się na sam szczyt wzgórza i nie zniknęły po drugiej stronie. Wszystkie one z wyjątkiem Sevanny potrafiły przenosić, a kilka nawet bardzo silnie. Sevanna bez wątpienia czuła się bezpieczniejsza w otoczeniu kilkunastu dzikusów. Ci barbarzyńcy byli naprawdę nieufni. Za kilka dni znowu je wykorzysta, w ramach drugiej części „umowy Sevanny”. Gawyn Trakand i znaczna część jego Młodych zginą żalosną śmiercią.

Po powrocie do serca obozu znalazła Erian nadal stojącą nad kufrem, w którym więziły al'Thora.

— On naprawdę płacze, Galino — zauważyła impulsywnie. — Słyszysz go? On naprawdę... — Nagle po twarzy Erian polały się łzy; stała tam tylko i cicho szlochała, z dłońmi zaciśniętymi na fałdach spódnicy.

— Przyjdź do mojego namiotu — powiedziała Galina pocieszającym tonem. — Dostaniesz dobrej jagodowej herbaty i przyłożę ci do skroni chłodny, wilgotny

ręcznik.

Erian uśmiechnęła się przez łzy.

— Dziękuję ci, Galino, ale nie mogę. Rashan i Bartol będą na mnie czekać: Obawiam się, że czują się jeszcze gorzej niż ja. Oni nie tylko czują mój ból, ale cierpią, ponieważ wiedzą, że ja cierpię. Muszę ich pocieszyć. — Raz jeszcze z wdzięcznością uściśnęła dłoń Galiny i wyszła.

Galina spojrzała krzywo na kufer. Al'Thor chyba rzeczywiście płakał. A może się śmiał; w to jednak mocno wątpiła. Powiodła wzrokiem za Erian, która właśnie zniknęła w namiocie jej Strażnika. Al'Thor będzie płakał. Do Tar Valon mieli dotrzeć za co najmniej dwa tygodnie i Elaida zaplanowała triumfalny wjazd; tak, jeszcze co najmniej dwadzieścia dni. Do tego czasu, czy Erian sobie tego życzyła, czy nie, miał być karany od świtu do zmierzchu. A kiedy przywiezie go już do Tar Valon, ten człowiek ucałuje pierścień Elaidy; będzie odzywał się wtedy, kiedy mu pozwolą i będzie klęczał w kącie, kiedy nie będą go potrzebowały. Zaciśnęła powieki i zaczęła popijać jagodową herbatę.

Kiedy weszły pomiędzy drzewa, Sevanna zwróciła się do pozostałych, rozmyślając, że to znaczące, iż myśli o drzewach tak obojętnie. Do czasu przekroczenia Muru Smoka nigdy nie widziała aż tylu drzew.

— Czy wy też zauważyliście, do jakich środków się uciekły, żeby go pojmać? — spytała, akcentując słowo „też”.

Therava powiodła wzrokiem po pozostałych; pokiwały głowami.

— Potrafimy utkać takie same sploty — oświadczyła Therava.

Sevanna skinęła głową i przejechała palcem po niewielkiej, kamiennej bryłce ukrytej w mieszk, czując skomplikowane rzeźbienia. Dziwny mieszkanięc mokradeł, który jej dał ten przedmiot, twierdził, że powinna użyć go właśnie teraz, kiedy al'Thor został wzięty do niewoli. Dopóki na niego nie spojrzała, miała taki zamiar; teraz postanowiła, że wyrzuci bryłkę. Była wdową po wodzu, który odbył wyprawę do Rhuidean, a także po mężczyźnie, który mienił się wodzem, mimo iż tam nie był. A teraz postanowiła zostać żoną samego *Car'a'carna*. Zbierze pod sobą wszystkie włócznie Aielów. Nadal czuła na czubku palca kark al'Thora; narkreśliła na nim linię obroży, w którą zamierzała go ubrać.

— Czas już, Desaine — powiedziała.

Desaine oczywiście zamrugnęła ze zdziwieniem, a potem zdążyła tylko krzyknąć przeraźliwie, zanim pozostałe rozpoczęły swoją pracę. Desaine bezustannie, z pasją gderwała na temat pozycji zajmowanej przez Sevannę. A Sevanna lepiej wykorzystywała swój czas. Z wyjątkiem Desaine, wszystkie te kobiety popierały ją solidarnie, a oprócz nich wiele innych.

Sevanna obserwowała bardzo uważnie to, co robiły pozostałe Mądre; Jedyna Moc ją fascynowała, wszystkie te rzeczy, które zakrawały na cud, a wykonywane

były całkiem bez wysiłku. To, co uczyniono z Desaine, mogło być możliwe jedynie z użyciem Mocy. Jakie to zdumiewające, pomyślała, że ludzkie ciało da się rozedrzeć na kawałki i upuści przy tym tak mało krwi.



## POSŁANIE

Drugiego dnia Święta Świąteł, kiedy nad horyzontem jarzył się już tylko cieniuteńki płatek słońca, ulice Cairhien wypełnili świętujący. Poprzedniej nocy praktycznie ani na moment nie pustoszały. Także i teraz wszędzie panowała atmosfera zbliżającej się zabawy, dlatego mało kto poświęcił więcej niż jedno spojrzenie mężczyźnie z kędzierzawą brodą, ponurą miną i toporem u biodra, który jechał na rośłym wierzchowcu po prostych jak strzała ulicach w stronę rzeki. Przypatrywano się natomiast jego towarzyszom; przywykli już do widoku Aielów, którzy wprawdzie zniknęli gdzieś wraz z początkiem święta, ale nie codziennie spotykało się ogira, wyższego od człowieka i usadowionego na końskim grzbiecie, a zwłaszcza ogira z toporem wspartym na ramieniu, z drzewcem długością niemalże dorównującym jego wzrostowi. W porównaniu z nim brodaty mężczyzna wyglądał na wesołego.

Na statkach płynących po Alguenyi zapalono wszystkie latarnie, nawet na statku Ludu Morza, którego sama obecność, sam fakt, że w ogóle zawitał do Cairhien, wywołał moc plotek, i który stał na kotwicy od dawna, a prawie wcale nie nawiązywał kontaktu z nabrzeżem. Z pogłosek zasłyszanych przez Perrina wynikało, że Ludowi Morza stan rzeczy w mieście nie podobał się jeszcze bardziej niż Aielom, a przecież miał wrażenie, że Gaul jest gotów umrzeć z zażenowania za każdym razem, gdy widział mężczyznę całującego się publicznie z kobietą. Gaula zdawało się wytrącać z równowagi nie to, że taka kobieta z reguły nie miała na sobie bluzki, tylko fakt, że całowali się w miejscach, gdzie ktoś mógł ich zobaczyć.

Długie, kamienne pomosty, ograniczone wysokimi murami, wcinały się w rzekę; do nich przycumowane były łodzie, wszelkich wielkości i typów, w tym również promy, które mogły przewieźć i jednego konia, i pięćdziesiąt, ale Perrin nie zauważył na żadnym więcej jak jednego człowieka. Ściągnął wodze, kiedy dotarł do szerokiego promu bez masztów, długości sześciu, może siedmiu piędzi, przywiązanego do kamiennych słupów. Trap łączący go z nabrzeżem był na swoim miejscu. Na pokładzie, na beczce siedział gruby, siwowłosy mężczyzna; trzymał na kolanach równie siwą kobietę w ciemnej sukni z kolorowymi rozcięciami.

— Chcemy się przeprawić na drugi brzeg — powiedział głośno Perrin, starając się przyglądać tym dwojgu na tyle tylko, by wiedzieć, czy przestali się obej-

mować. Nie przestali. Perrin cisnął andorańską koronę na pokład promu; brzęk grubej, złotej monety sprawił, że grubas odwrócił głowę. — Chcemy się przeprawić na drugi brzeg — powtórzył Perrin, pokazując drugą złotą koronę. Po chwili wyjął jeszcze jedną.

Przewoźnik oblizwał wargi.

— Będę musiał znaleźć wioślarzy — mruknął, wpatrując się w dłoń Perrina.

Westchnąwszy, Perrin wyciągnął kolejne dwie monety ze swej sakiewki; jeszcze pamiętał czasy, kiedy jemu samemu oczy gotowe były wyskoczyć z orbit na widok tylu pieniędzy.

Przewoźnik poderwał się z miejsca, zrzucając z kolan szlachciankę, która klapnęła na siedzenie z głuchym łomotem, po czym zaczął się gramolić przez trap i wołać zadyszczanym głosem, że „będzie za kilka chwil, dobry panie, kilka chwil”. Kobieta obrzuciła Perrina spojrzeniem pełnym przygany, po czym ruszyła w dół doku, majestatycznym krokiem, którego ewentualne wrażenie zresztą mocno zepsuła, ponieważ jednocześnie drapała się; nie uszła tak zresztą daleko, w pewnym momencie podkasła spódnicę i pobięła przyłączyć się do grupy tańczących na nabrzeżu. Perrin usłyszał jej głośny śmiech.

Potrwało to trochę dłużej niż kilka chwil, ale najwyraźniej obietnica złota zrobiła swoje, bo przewoźnik zebrał dość ludzi, by obsadzić wiosła. Perrin stał i gładził pysk swojego konia, gdy tymczasem prom wypłynął na środek rzeki. Nie zdecydował jeszcze, jak go nazwie; zwierzę pochodziło ze stajni Pałacu Słońca. Dobrze podkute, obdarzone białymi pęcunami, wyglądało na wytrzymałe, aczkolwiek nijak nie dorównywało Stepperowi.

Łuk z Dwu Rzek miał wepchnięty za popręg, przed siodłem z wysokim łękiem wisiał wypełniony kołczan, na końcu którego balansował schludnie zapakowany tobolek, długi i wąski. Miecz Randa. To Faile sporządziła ten pakunek i wręczyła mu go bez słowa. Coś powiedziała, kiedy się odwrócił, zrozumiawszy, że nie otrzyma pocałunku na pożegnanie.

„Jeśli polegniesz — wyszeptwała — ja podejmę twój miecz”.

Nie był pewien, czy chciała, żeby on to usłyszał. Pachniała taką gmatwaną emocji, że niczego już nie potrafił odróżnić.

Wiedział, że powinien myśleć tylko o tym, co go czeka, ale myśli o Faile cały czas wpełzały ukradkiem do jakiegoś zakamarka jego umysłu. W pewnym momencie nabrał nawet pewności, że ona go zaraz poinformuje o swym zamiarze towarzyszenia mu w tej wyprawie, i aż mu się serce ścisnęło. Gdyby to zrobiła, chyba nie miałby siły jej odmówić — ani tego, ani czegokolwiek innego, po tym, jak wyrządził jej taką krzywdę — ale przed nim było sześc Aes Sedai, krew i śmierć. Wiedział, że oszalałby, gdyby Faile umarła. Taki właśnie wniosek przyszedł mu do głowy w momencie, gdy Berelain oświadczyła, że będzie dowodziła Mayeniańską Skrzydlatą Gwardią w tej pogoni. Na całe szczęście sytuacja została szybko rozwiązana, w dość dziwny zresztą sposób.

„Jeśli opuścisz miasto, które Rand al’Thor ofiarował ci jako swej prawej ręce — rzekł cicho Rhuarc — ile z tego zrodzi się gadania? Ile będzie plotek, jeśli wyprawisz z miasta wszystkie swoje włócznie? Co z tego wyniknie?” — Zabrzmiało to jak rada i jednocześnie wcale nie jak rada; jakaś dziwna nuta w głosie wodza klanu sprawiła, że było to znacznie bardziej dosadne.

Pachnąca uporem Berelain spojrzała na niego, buńczucznie zadzierając głowę. Po dłuższej chwili woń uporę straciła na mocy i Mayenianka mruknęła do siebie:

— Niekiedy odnoszę wrażenie, że zbyt wielu jest tych mężczyzn, którzy. . . — Perrin usłyszał te słowa. Uśmiechając się, dodała głośno, nadzwyczaj wyniosłym tonem: — To rozsądna rada, Rhuarc. Chyba jej usłucham.

Osobliwy był sposób, w jaki mieszały się zapachy tych dwojga. Perrinowi przypominali starego wilka i ledwie wyrosniętego szczeniaka, pobłażliwego ojca, który uwielbia swoją córkę, z wzajemnością, ale czasami musi jej dać prztyczka w nos, by ją zmusić do właściwego zachowania. Dla Perrina jednakże liczyło się przede wszystkim to, co zobaczył w wyrazie oczu Faile: powoli rezygnowała ze swojego zamiaru. Co miał zrobić? Co miał zrobić, o ile przeżyje i jeszcze ją kiedykolwiek zobaczy?

Na samym początku przeprawy przez rzekę zgrzebnie odziani, niekiedy obnażeni do pasa wiosłarze stroili sobie grubiańskie, aczkolwiek nie wrogie, żarty, mówiąc, że żadne złoto nie wynagrodzi im tego, co tracą. Śmiali się, chodząc po pokładzie, machając wiosłami, i każdy bez wyjątku chwalił się, że tańczył albo całował się z arystokratką. Wychudły osobnik z wielkim podbródkiem twierdził nawet, że trzymał taireniańską arystokratkę na kolanie, zanim przyszedł na wołanie Manala, ale nikt w to nie uwierzył. W każdym razie na pewno nie uwierzył w to Perrin; Tairenianie spoglądali tylko raz na to, co się działo, i wskakiwali w wir świętowania, Tairenianki rzucały raz okiem i natychmiast zamykały się w swych izbach, ze strażami przy drzwiach.

Żarty i śmiechy nie trwały długo. Gaul stał na samym środku pokładu, z lekko błędnym wzrokiem utkwionym w drugim brzegu, cały czas na ugiętych nogach, jakby był gotów natychmiast skoczyć. Wszystko to przez wodę oczywiście, ale wiosłarze nie mogli o tym wiedzieć. Loial zaś, wsparty nieruchomo na znalezionym w Pałacu Słońca toporze z długim styliskiem, ozdobiony rzeźbioną głowicą, przypominał posąg, zwłaszcza przez tę szeroką twarz jakby wyrzeźbioną z granitu. Ludzie z promu pozamykali usta i wiosłowali co sił w rękach, prawie nie ośmielając się spoglądać na swych pasażerów. Kiedy prom nareszcie dopłynął do kamiennego doku przy zachodnim brzegu Alguenyi, Perrin dał właścicielowi — miał w każdym razie nadzieję, że to rzeczywiście właściciel promu — resztę obiecane złota, dorzucając garść srebra dla załogi, by im wynagrodzić strach, jaki wzbudzili w nich Loial i Gaul. Grubas wzdrygał się z przyjęciem należności i mimo przeszkadzającej mu w tym tuszy, kłaniał tak nisko, że głową omalże dotykał kolan. Może zresztą nie tylko Gaul i Loial mieli twarze, które budziły respekt.

Ogromne, pozbawione okien budynki, skonstruowane z poczerńiałego kamienia i często chylące się ku upadkowi, były otoczone drewnianymi rusztowaniami. Spichlerze dawno temu spłonęły podczas zamieszek i tak naprawdę odbudowywano je tylko po to, żeby się ostatecznie nie zapadły; na ulicach obrzeżonych spichlerzami i stajniami, magazynami oraz dziedzińcami dla wozów, było całkiem pusto. Wszyscy ludzie, co do ostatniego, którzy tu pracowali, przebywali teraz w mieście. Ani żywej duszy, dopóki na ulicy nie pojawiło się dwóch mężczyzn.

— Jesteśmy gotowi, lordzie Aybara — zapewnił go gorliwie Havien Nurelle. Ten młodzieniec o różowych policzkach, znacznie wyższy od swego towarzysza, zdawał się krzykliwie ubrany przez pomalowany na czerwono napierśnik i hełm z pojedynczym, cienkim, czerwonym piórem. Cały pachniał gorliwością i młodością.

— Już zaczynałem myśleć, że nie przyjedziecie — mruknął Dobraine. Nie miał hełmu, ale za to nosił rękawice ze stalowymi wierzchami i wygięty napierśnik z resztkami niegdyś paradnych złocień. Spojrzał na Perrina i dodał: — Na Światłość, nie chciałem okazać braku szacunku, lordzie Aybara.

— Mamy do pokonania długą drogę — powiedział Perrin, zawracając wierzchowca. Biegun? Co zrobić z Faile? Czuł przez skórę, że Rand go potrzebuje. — Mają teraz nad nami przewagę czterech dni. — Wbił lekko pięty w boki konia i przymusił Bieguna do galopu. Długi pościg; nic z tego nie wyjdzie, jeśli nie będą mieli zapasowych koni. Ani Gaul, ani Loial nie mieli trudności z dotrzymaniem im kroku.

Najszersza z prostych ulic przeszła nagle w Trakt Tar Valon — cairhieniański Trakt Tar Valon, drogi o takiej samej nazwie zdarzały się również w innych krajach — szeroki pas ubitej ziemi wijący się na północny zachód, przez zalesione wzgórza, niższe od tych, na których wznosiło się miasto. Kiedy już pokonali milę w głąb lasu, przyłączyło się do nich dwustu członków mayeniańskiej Skrzydlatej Gwardii i pięciuset zbrojnych Domu Taborwin; wszyscy na najlepszych wierzchowcach, jakie udało im się znaleźć.

Mayenianie ubrali się w czerwone napierśniki i kapaliny, podobne do garnków hełmy z wywiniętym okapem i nakarczkiem, a na końcach zawiązane mieli czerwone wstążki. Wielu z nich wyraźnie rwało się do działania tak samo jak Nurelle. Niżsi od nich Cairhienianie nosili proste, częstokroć pogięte napierśniki i podobne do dzwonów hełmy, z otworami, z których wyzierały twarde oblicza. Nie ozdobili niczym lanc, aczkolwiek tu i ówdzie *con* Dobraine, mały, sztywny kwadrat na krótkim drzewcu, dwa białe romby na niebieskim tle, wyznaczał oficerów albo ostatnich lordów Domu Taborwin. Nie wyglądali na takich, którzy się rwą do działania; mieli za to ponure miny. Wiedzieli, co to walka. W Cairhien nazywano ją „spotkaniem z wilkiem”.

Niewiele brakowało, a Perrin by się roześmiał. Jeszcze nie przyszła pora na wilki.

Okolo południa spomiędzy drzew wyłoniła się zwarta grupka Aielów; po chwili zbiegli po zboczu na drogę. Przy ramieniu Rhuarka podążały dwie Panny, Nandera, a także — Perrin zorientował się dopiero po chwili — Sulin. W *cadin'sor* wyglądała zupełnie inaczej, z tymi siwymi włosami przyciętymi przy skórze i jednym krótkim kosmykiem nad karkiem. Wyglądała... naturalnie... co jej się nigdy nie zdarzało w liberii. Towarzyszyły im Amys i Sorilea, z szalami zapętłonymi wokół ramion, pobrzękujące naszyjnikami i bransoletami ze złota oraz kości słoniowej, w podkasanych spódnicach, ale nie zostawały nawet o krok z tyłu.

Perrin zsiadł z konia, by iść razem z nimi pieszo, na czele procesji.

— Ilu? — zapytał tylko.

Rhuarc obejrzał się w stronę Gaula i Loiala, którzy szli obok Dobraine i Nurrelle na czele kolumny wojska. Zbyt daleko, do tego stopnia daleko, że nawet sam Perrin nie usłyszałby nic poprzez tętent kopyt, pobrzękiwanie uzd i chrzęst siodeł, ale Rhuarc i tak zniżył głos.

— Pięć tysięcy ludzi z rozmaitych społeczności, trochę więcej niż pięć. Nie mogłem zabrać zbyt wielu. Timolan zaczął coś podejrzewać, kiedy się okazało, że nie wyruszam razem z nim przeciwko Shaido. Obawiam się, że wszystkich nas pokona apatia, jeśli rozejdzie się wieść, że Aes Sedai wzięły do niewoli *Car'a'carna*. — Nandera i Sulin głośno zakaszłały w jednym momencie, po czym popatrzyły na siebie spode łba. Sulin odwróciła wzrok, czerwieniąc się. Pachnący rozdrażnieniem Rhuarc oszczędził im jednak mrocznego spojrzenia i mruknął: — Mam także blisko tysiąc Panien. Gdybym nie zacisnął pięści, wszystkie co do jednej pobiegłyby za mną z pochodniami, by głosić światu, że Rand al'Thor znalazł się w niebezpieczeństwie. — Nagle stwardniał mu głos. — Każda Panna, która podąży za nami, i którą znajdę, przekona się, że naprawdę zrobię to, co powiedziałem.

Na twardych, ogorzałych od słońca twarzach Sulin i Nandery wykwitły dziwaczne rumieńce.

— Ja... — zaczęły obie w jednym momencie. Ponownie wymieniły te same ponure spojrzenia i znowu Sulin odwróciła wzrok, z twarzą jeszcze bardziej zaczerwienioną. Perrin nie pamiętał, by Bain albo Chiad, jedyne Panny, jakie bliżej poznał, aż tak się peszyły.

— Obiecałam — oświadczyła sztywno Nandera — i wszystkie Panny złożyły obietnicę. Będzie, jak wódz przykazał.

Perrin nie zapytał, co to jest apatia, podobnie, jak nie zapytał, w jaki sposób Rhuarc przeprowadził Aielów na drugi brzeg Alguenyi. Przecież woda, której Aiel nie jest w stanie przestąpić, to jedyna rzecz na świecie, jaka może go zatrzymać. Z chęcią by się tego dowiedział, ale to akurat teraz było nieważne. Sześć tysięcy Aielów, pięciuset zbrojnych Dobraine i dwustu ze Skrzydlatej Gwardii. To powinno wystarczyć przeciwko sześciu Aes Sedai, ich Strażnikom oraz pięciuset gwardzistom. Z jednym zastrzeżeniem. Aes Sedai trzymały w niewoli Randa. Je-

zeli przyłożą mu nóż do gardła, czy ktoś odważy się podnieść na nie rękę?

— Mamy także dziewięćdziesiąt cztery Mądre — oznajmiła Amys. — Te najbieglejsze w sztuce posługiwania się Jedyńą Mocą — dodała z niechęcią, przez co uznał, że kobiety Aielów nie lubią się przyznawać do umiejętności przenoszenia. Po chwili jednakże w jej głosie pojawiło się nieco więcej entuzjazmu. — Nie przywiodłybyśmy aż tylu, ale wszystkie chciały pójść. — Sorilea chrząknęła w tym momencie i tym razem to Amys się zaczerwieniła. Postanowił, że wypyta o to Gaula. Aielowie tak bardzo się różnili od wszystkich innych nacji, jakie udało mu się dotychczas poznać; może zaczęli się czerwienić, kiedy się starzeli. — Dowodzi nami Sorilea — zakończyła Amys, na co starsza kobieta parsknęła z bezbrzeżną satysfakcją. W każdym razie z pewnością nią pachniała.

Perrin tylko przystanął i pokręcił głową. Cała jego wiedza o Jedynej Mocy dałaby się wcisnąć do naparstka i jeszcze zostałyby miejsce na gruby kciuk, ale był świadkiem dokonania Verin i Alanny, widział też płomyk stworzony przez Sorileę. Jeżeli była najbieglejsza spośród Mądrych w posługiwaniu się Mocą, to obawiał się, że sześć Aes Sedai jest w stanie wrzucić te wszystkie dziewięćdziesiąt cztery do jednego tobołka. W tym momencie jednak nie oddaliłby nawet polnej myszy.

— Muszą nas wyprzedzać o jakieś siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt mil — stwierdził. — Może nawet i sto, jeśli poganiają swoje zaprzęgi. Trzeba będzie pędzić do przodu najszybciej jak się da. — Kiedy ponownie dosiadł konia, Rhuarc i pozostali Aielowie już wbiegali na wzgórze. Perrin podniósł rękę i Dobraine dał sygnał konnym, że mają ruszać. Perrinowi ani przez moment nie przyszło do głowy, żeby się zastanawiać, dlaczego mężczyźni w wieku tak podeszłym, że mogli być jego ojcami, i kobiety dostatecznie stare, by móc być jego matkami, jedni i drudzy nawykli od dawna do rozkazywania innym, jednak idą za nim.

Zastanawiał się natomiast, a nawet martwił, czy będą potrafili się przemieszczać dostatecznie szybko. Wiedział, że Aielowie w *cadin'sor* dotrzymują tempa koniom, niemniej jednak z początku bał się o Mądre, wśród nich bowiem niektóre były równie wiekowe jak Sorilea. Spódnice czy *cadin'sor*, siwe włosy czy lśniące, Mądre szły równie szybko jak pozostali, dotrzymując kroku koniom, a jednocześnie wiodąc przyciszonymi głosami rozmowy.

W zasięgu wzroku na krętej drodze nie było nikogo; podczas samego Święta Świąteł i w ciągu kilku poprzedzających go dni nikt nie wyprawiał się w podróż, o ile nie miał równie pilnej sprawy do załatwienia jak Perrin. Słońce wspięło się wyżej, a wzgórze stały nieco niższe, i zanim rozbili obóz o zmierzchu, oszacował, że byliby w stanie pokonywać dziennie aż trzydzieści pięć mil. Bardzo dobry rezultat; wręcz znakomity jak na tak liczny oddział; półtora raza tyle, na ile było stać Aes Sedai, chyba że te postanowiły zajeździć zaprzęgi ciągnące ich wozy. Już się nie zastanawiał, czy potrafi je dogonić, zanim dotrą do Tar Valon, tylko czy potrafi dokonać tego, czego już raz dokonał.

Leżał na kocach, z głową wspartą na siodle i uśmiechał się do połyskliwego księżyca w trzeciej kwadrze. Ta noc nie byłaby wcale taka jasna, gdyby nie brak chmur na niebie. Dobra noc na polowanie. Dobra noc dla wilków.

Ukształtował w umyśle obraz. Młody byk z kędzierzawymi włosami, dziki i dumny, obdarzony rogami, które połyskiwały niczym polerowany metal w porannym słońcu. Przejechał kciukiem po leżącym obok toporze, po jego złowieszczym, zakrzywionym ostrzu i ostrym kolcu. Stalowe rogi Młodego Byka, tak właśnie nazywały go wilki.

Wyprawił umysł na poszukiwania, posłał wizję w noc. Gdzieś tam są wilki i one rozpoznają Młodego Byka. Wieści o człowieku, który potrafi rozmawiać z wilkami, rozejdą się po tej krainie z prędkością porywistego wiatru. Perrin poznał dotychczas jedynie dwóch takich jak on. Jeden był przyjacielem, drugi biednym kaleką, który nie potrafił żyć wśród ludzi. A poza tym słyszał opowieści od uchodźców, którzy ścigali do Dwu Rzek. Ci przytaczali najrozmaitsze historie o ludziach zmieniających się w wilki, historie, w które rzadko kiedy dawało się uwierzyć, podobne bajkom służącym zabawianiu dzieci. Troje wśród nich twierdziło, że znali takich, którzy przemienili się w wilki i zdziczeli; mimo iż niektóre szczegóły wydały się Perrinowi podejrzanym, a dwoje z opowiadających w niemiły sposób unikało spojrzenia jego żółtych oczu, to jednak otrzymał swoiste potwierdzenie. Tych dwoje, kobieta z Tarabonu i mężczyzna z Równiny Almoth, nie wychodziło nocami z domu. Stale też z jakiegoś powodu dawali mu w prezencie chleb, który on zjadał z wielką przyjemnością. Ale więcej już nie próbował szukać takich jak on.

Wyczuł wilki i po chwili już poznał ich imiona. Dwa Księżyce, Dziki Ogień, Stary Jeleń i kilkanaście innych wlały mu się do głowy niczym kaskada. A właściwie nie były to imiona jako takie, tylko związane z nimi wizje i wrażenia. Obraz przedstawiający Młodego Byka był dostatecznie prosty, by dawało się zeń odczytać imię wilka, ale Dwa Księżyce reprezentował staw o zmroku, o powierzchni gładkiej jak lód, na chwilę przed zerwaniem się lekkiego wiatru, z wonią jesieni w powietrzu; jeden księżyc, w pełni, wisiał na niebie, a drugi odbijał się w wodzie, tak wiernie, że trudno było orzec, który z nich jest prawdziwy.

Przez jakiś czas trwała jedynie wymiana imion i zapachów. A potem pomyślał: „Szukam ludzi, którzy są gdzieś przede mną. Aes Sedai i mężczyźni, z końmi i wozami”. — Nie myślał dokładnie takimi słowami, oczywiście, tak jak Dwa Księżyce to nie były dokładnie dwa księżyce. W mowie wilków ludzie nazywali się „dwunożnymi”, a konie „czteronożnymi o twardych stopach”. Aes Sedai były „dwunożnymi, które dotykają wiatru, żeby poruszył słońce i wezwał ogień”. Wilki nie lubiły ognia, a Aes Sedai wystrzegały się jeszcze bardziej niż innych istot ludzkich; bardzo się dziwowały, że on nie potrafi ich z miejsca odróżnić od innych ludzi. Dla nich ta umiejętność była tak oczywista jak dla niego umiejętność wyróżnienia jednego białego konia pośród całego stada czarnych, umiejętność z pew-

nością nie warta nawet wzmianki i nie poddająca się precyzyjnej definicji.

Miał wrażenie, jakby nocne niebo w jego głowie zaczynało wirować, tworząc nagle rodzaj kopuły nad jakimś obcym obozowiskiem utworzonym z wozów, namiotów i ognisk. Nie zostało odzwierciedlone wiernie — wilki nie interesowały się niczym, co należało do ludzi, dlatego więc wozy i namioty miały niewyraźne kształty; obozowe ogniska zdawały się groźnie buzować, a konie sprawiały wrażenie nadzwyczaj smakowitych — i ta wizja przechodziła od jednego wilka do drugiego i dopiero na samym końcu trafiała do Perrina. Obóz był większy, niż się Perrin spodziewał, ale Dzikie Ogień nie miała wątpliwości. Jej stado nawet wtedy obchodziło z daleka miejsce, gdzie zgromadziły się „dwunożne, które dotykają wiatru, żeby poruszyć słońce i wezwał ogień”. Perrin próbował się dowiedzieć, ile ich jest, ale wilki nie potrafiły liczyć; oceniały liczby przez pokazanie tego, co widziały. Dzikie Ogień wyczuła Aes Sedai i nie miała zamiaru zbliżać się do nich.

Na pytanie: „Jak daleko?” otrzymał dokładniejszą odpowiedź, znowu przekazaną od wilka do wilka, aczkolwiek musiał ją rzecz jasna rozszyfrować. Dzikie Ogień powiedziała, że udało jej się podejść do wzgórza, na którym pewien zgorzkniały samiec, zwany Połowa Ogona, strzegł stada posilającego się upolowanym jeleniem, gdy tymczasem księżyc wędrował właśnie tamtędy przez niebo, pod takim a takim kątem. Połowa Ogona z kolei dotarł do Króliczego Pyska — młodego i bardzo zapalczego samca — gdy księżyc zaszedł tam właśnie, pod innym kątem. I tak to trwało, aż ostatecznie trafiło do Dwóch Księżyców. Dwa Księżyce zachował pełne godności milczenie, jak przystało na starego samca z prawie całkowicie posiwanym pyskiem; on i jego stado nie znajdowali się dalej niż w odległości mili od Perrina. Nie mógł pomyśleć, że Perrin nie wie dokładnie, gdzie oni są, bo by go tym obraził.

Perrin wyciągnął z tego tyle danych, ile potrafił, i wyszło mu, że to sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt mil. Jutro będzie mógł orzec, jak szybko się do nich zbliża.

„Dlaczego?” To był Połowa Ogona, przekazany i naznaczony zapachem.

Perrin zawahał się, zanim odpowiedział. Bał się tego. Czuł wobec wilków to samo, co wobec ludzi z Dwu Rzek.

„Oni wsadzili do klatki Zabójcę Cieni”, pomyślał wreszcie. Tak właśnie wilki nazywały Randa; nie miał jednak pojęcia, czy uważają go za kogoś ważnego.

Wstrząs, jaki w tym momencie wypełnił mu umysł, stanowił dostateczną odpowiedź; noc zatętniała wyciem, bliskim i dalekim, wyciem gniewu i strachu. W obozowisku zarżały zalęknione konie; rozległ się stukot kopyt, kiedy zaczęły się płoszyć przy palikach. Jedni ludzie biegli, żeby je uspokoić, inni starali się przebić ciemność wzrokiem, jakby się spodziewali, że zaraz wypadnie stamtąd jakieś wielkie stado i rzuci się na ich wierzchowce.

„Przybujemy” — oznajmił na koniec Połowa Ogona. Tylko to, a po chwili odpowiedziały mu inne stada, te, z którymi Perrin rozmawiał, i te, które w mil-



czeniu wysłuchały dwunożnego znającego mowę wilków. „Przybywamy”. I nic więcej.

Perrin długo jeszcze przewracał się z boku na bok, aż wreszcie zmorzył go sen; śniło mu się, że jest wilkiem biegnącym po bezkresnych wzgórzach. Następnego ranka po wilkach nie było ani śladu — nawet Aielowie nie donieśli o żadnym — ale Perrin je czuł; przybyło ich już kilkaset, a nadciągały wciąż nowe.

Przez następne cztery dni teren wyrównywał się, przechodząc w pofałdowane równiny, gdzie najwyższe wzniesienia ledwie zasługiwały na miano pagórka w porównaniu z tymi, które ich otaczały nad brzegami Alguenyi. Las rzedł i bladł, przeradzając się w łąki, zbrązowiałe i martwe, z zaroślami rozrzuconymi w coraz to większych odległościach. Woda w rzekach i strumieniach, przez które się przeprawiali, rzadko kiedy moczyła koniom pęciny; po jakimś czasie ich koryta całkiem się zwięzły między brzegami ze stwardniałej na słońcu gliny i kamieni. Wilki każdej nocy informowały Perrina o wszystkim, co wiedziały na temat wyprzedzających je Aes Sedai, ale nie było tego wiele. Stado Dzikiego Ognia podążało za nimi jak cień, utrzymując przy tym spory dystans. Niemniej jedna rzecz naprawdę się potwierdziła. Każdego dnia pokonywali taką samą odległość, co pierwszego, i z każdym dniem ujmowali Aes Sedai co najmniej dziesięć mil ich przewagi. Tylko co będzie, kiedy już je dogonią?

Przed spotkaniem z wilkami Perrin zwykł każdej nocy siadywać z Loialem; palili fajki i cicho rozmawiali. Właśnie o tym „co będzie” chciał rozmawiać Perrin. Dobrane zdawał się uważać, że najlepszym rozwiązaniem jest szarża; polegną wtedy, ale przynajmniej zrobią, co mogą. Rhuarc nie zaproponował nic lepszego; stwierdził jedynie, że powinni poczekać do następnego dnia, żeby sprawdzić, jakie będzie słońce, i że wszyscy muszą się przebudzić ze snu. Loial mógł być młody jako ogir, ale miał przecież dziewięćdziesiąt kilka lat; Perrin podejrzewał, że musiał przeczytać więcej książek, niżli on kiedykolwiek widział, i często się okazywało, że posiada zaskakującą wiedzę odnośnie Aes Sedai.

— Jest kilka książek na temat Aes Sedai i sposobu, w jaki traktują mężczyzn przenoszących Moc. — Loial skrzywił się, nie wyjmując fajki z ust; rzeźbiona w liście główka była wielka jak dwie pięści Perrina. — Elora, córka Amar, córki Coury, napisała *Mężczyzn z Ognia i Kobiety z Powietrza* za wczesnych lat panowania Artura Hawkwinga. A jakieś trzysta lat temu Ledar, syn Shandina, syna Koimala, napisał *Traktat o Mężczyznach, Kobietach i Jedynej Mocy pośród ludzi*. To chyba dwie najlepsze. Zwłaszcza dzieło Elory; pisała w stylu... Nie. Będę się streszczał. — Perrin wąpił w to; Loial rzadko kiedy bywał zwięzły, kiedy mówił o książkach. Ogir odkaszlnął. — Zgodnie z prawem obowiązującym w Wieży mężczyzna winien zostać zabrany do Wieży na proces, zanim go poskromią. — Loialowi przez chwilę drgały uszy, a długie brwi obwisły mu ponuro, ale poklepał Perrina po ramieniu, starając się go pocieszyć. — Moim zdaniem one nie chcą tego zrobić, Perrin. Słyszałem, jak mówiły o obsypaniu go zaszczytami, a poza tym

on jest Smokiem Odrodzonym. One o tym wiedzą.

— Zaszczyty? — spytał cicho Perrin. — Może one pozwalają mu spać na jedwabkach, ale więzien jest tylko więzieniem.

— Jestem pewien, że traktują go dobrze, Perrin. Jestem pewien. — W głosie ogira nie było słycać tej pewności, a jego westchnienie zabrzmiało jak głuchy powiew wiatru. — I będzie bezpieczny, dopóki nie dotrze do Tar Valon. Elora i Ledar, a także kilkoro innych pisarzy, zgadzają się, że do poskromienia mężczyzny potrzebnych jest trzynaście Aes Sedai. Nie rozumiem natomiast, w jaki sposób udało im się pojmać Randa. — Ogromna głowa zatrzęsała się z jawnym zdumieniem. — Perrin, Elora i Ledar twierdzą, że kiedy Aes Sedai znajdują mężczyznę dysponującego wielką siłą, to zawsze zbierają się w trzynaście, żeby go poskromić. Och, opowiadają historie z udziałem tylko czterech albo pięciu i obie wspominają Caraighan; ta wiozła pewnego mężczyznę przez prawie dwa tysiące mil do Wieży, całkiem sama, po tym, jak ów wymordował jej Strażników, ale... Perrin, oni pisali o Yurianie Stonebow i Guaire Amalasanie. O Raolinie Darksbane i Davianie także, ale to właśnie ci dwaj mnie niepokoją. — Byli to czterej najpotężniejsi spośród mężczyzn, którzy ogłosili się Smokiem Odrodzonym, wszyscy w zamierzchłych czasach, jeszcze przed Arturem Hawkingiem. — Sześć Aes Sedai próbowało pojmać Stonebowa, a on w pojedynkę zabił trzy i wziął do niewoli pozostałe. Sześć usiłowało pojmać Amalasanę; ten zabił jedną i ujarzmił dwie inne. Z pewnością Rand jest równie silny jak Stonebow albo Amalasan. Czy przed nami jest rzeczywiście tylko sześć? Jeżeli nie, to by wiele wyjaśniało.

Może by i wyjaśniało, ale wcale nie pocieszało. Trzynaście Aes Sedai mogło odeprzeć każdy atak, na jaki było stać Perrina, i to bez Strażników oraz żołnierzy. Trzynaście Aes Sedai mogło zagrozić, że poskromi Randa, jeśli Perrin je zaatakuje. Z pewnością tego by nie zrobiły — wiedziały, że Rand to Smok Odrodzony; wiedziały, że musi dotrzeć do Ostatniej Bitwy — tylko czy Perrin mógł podjąć takie ryzyko? Kto był w stanie przejrzeć motywy działania Aes Sedai? Nigdy jakoś nie zaufał żadnej z nich, nawet takiej, która usiłowała mu dowieść, że jest przyjaciółką. One zawsze miały swoje sekrety, więc na jakiej podstawie człowiek mógł być czegokolwiek pewien, skoro czuł, że skradają się za jego plecami, nawet jeśli inne w twarz mu się uśmiechały. Kto mógł przewidzieć, co zrobi Aes Sedai?

Loial, jak się okazało, wcale nie posiadał wiedzy, która mogłaby się na coś przydać, kiedy już dojdzie co do czego, a poza tym wolał rozmawiać o Erith. Perrin wiedział, że zostawił u Faile dwa listy, jeden zaadresowany do matki, a drugi do Erith; Faile miała je dostarczyć, kiedy będzie mogła, o ile nie zdarzy się coś nieprzewidzianego. Loial omal nie stanął na głowie, tak usilnie starał się ją zapewnić, że nic się nie zdarzy; zawsze strasznie się przejmował cudzymi zmartwieniami. Perrin ze swej strony napisał list do Faile; Amys zabrała go do namiotów Mądrych w obozie Aielów.

— Ona jest taka piękna — mrucał Loial, wpatrzony w nocny mrok, jakby ją

tam widział. — Ma taką delikatną, a jednocześnie silną twarz. Kiedy spojrzałem jej w oczy, zdawało mi się, że nie widzę niczego innego. A te jej uszy! — Nagle pędzelki własnych zawibrowały mu gwałtownie i zakrztusił się dymem z fajki. — Proszę — powiedział bez tchu — zapomnij, że wspomniałem. . . Nie powinienem był mówić o. . . Wiesz przecież, że nie jestem grubianinem, Perrin.

— Już zapomniałem — odparł słabym głosem Perrin. Jej uszy?

Loial chciał wiedzieć, jak to jest, kiedy jest się żonatym. Nie żeby zamierzał już się żenić, dodał szybko; jest za młody i musi jeszcze dokończyć swoją książkę, a poza tym nie dojrzał jeszcze do życia, w którym nie opuszcza się *stedding*, wyjąwszy zamiar odwiedzenia innego, na co z pewnością nalegałaby żona. Po prostu był ciekaw. Nic więcej.

Perrin opowiedział mu o pożyciu z Faile, o tym, jak ona przesadziła jego korenienie, zanim się w ogóle zorientował. Kiedyś jego domem były Dwie Rzeki; teraz dom był tam, gdzie Faile. Przyspieszał kroku już na samą myśl o tym, że ona czeka na niego. Jej obecność rozjaśniała każde wnętrze, a kiedy się uśmiechała, zapominał o kłopotach. Oczywiście nie mógł opowiadać o tym, jak to myślenie o niej sprawiało, że burzyła mu się krew, albo jak od patrzenia na nią łomotało mu serce — to nie byłoby przyzwoite — i z pewnością nie miał zamiaru wspominać o rozlicznych kłopotach. Cóż miał począć? Naprawdę był gotów iść do niej na kolanach, ale czuł, że ma w sobie jakiś upór, i uważał, że to ona powinna wyciągnąć rękę do zgody. Żeby chociaż powiedziała, że chce, by wszystko było tak jak kiedyś.

— A co z jej zazdrością? — spytał Loial i tym razem to Perrin się zakrztusił. — Czy wszystkie żony są takie?

— Zazdrość? — odparł zdecydowanym tonem Perrin. — Faile wcale nie jest zazdrosna. Skąd ci to przyszło do głowy? Ona jest doskonała.

— O tak, jest doskonała — odrzekł słabym głosem Loial, zaglądając do główki fajki. — Czy masz jeszcze tytoń z Dwu Rzek? Mnie już został tylko ten ostry, cairhieniański.

Gdyby cały czas tak to wyglądało, ich podróż byłaby do pewnego stopnia spokojna, na tyle, na ile spokojna mogła być pogoń. W mijanych przez nich okolicach nie napotkali żywej duszy. Słońce przypominało kulę stopionego złota, która zamieniała świat we wnętrzu pieca, a po bezchmurnym, błękitnym niebie często kołowały jastrzębie. Wilki, które nie życzyły sobie, by ludzie pojawiali się tam gdzie one, pędziły jelenie w stronę drogi, w liczbie wręcz nazbyt wielkiej jak na własne potrzeby; widok dumnego byka z łaniami nie należał do rzadkości. Ale było jeszcze takie dawne porzekadło: „Tylko człowiek bez pępka jest człowiekiem całkiem spokojnym”.

Cairhienianie oczywiście nie zachowywali się szczególnie swobodnie w towarzystwie Aielów; często popatrywali na nich krzywo albo wręcz z jawną drwiną. Dobraine nie raz mruczał pod nosem, że ulegli przewadze liczebnej w stosunku

dwunastu do jednego. Szanował ich umiejętności bitewne, ale w sposób, w jaki się szanuje niebezpieczne cechy stada wściekłych wilków. Aielowie nie rzucali nienawistnych spojrzeń ani też nie drwili; dawali tylko jasno do zrozumienia, że Cairhienianie nie warto nawet zauważać. Perrin nie byłby zdziwiony, gdyby zobaczył, jak któryś z nich próbuje przejść po jakimś Cairhienianinie, nie chcąc przyznać, że ten w ogóle istnieje. Rhuarc obiecał, że nie będzie kłopotów dopóty, dopóki zabójcy drzew kogoś nie sprowokują. Dobraine obiecał, że nie będzie kłopotów dopóty, dopóki barbarzyńcy będą im schodzić z drogi. Perrin bardzo żałował, że nie może mieć pewności, czy nie zaczną się zabijać nawzajem, zanim w ogóle zobaczą Aes Sedai, które wzięły Randa do niewoli.

Przedtem żywił pewne nadzieje, że Mayenianie będą stanowili pomost między tymi dwoma nacjami, aczkolwiek teraz stwierdzał czasami, że tego żałuje. Ludzie w czerwonych napierśnikach dogadywali się z niższymi od nich mężczyznami odzianymi w proste zbroje — między Mayene a Cairhien nigdy nie było wojny — i Mayenianie również dobrze się dogadywali z Aielami. Z wyjątkiem Wojny z Aielami, Mayenianie nigdy z nimi nie walczyli. Dobraine zachował się dość przyjaźnie wobec Nurelle, często spożywając wspólnie z nim wieczorny posiłek, a Nurelle nabrał zwyczaju palenia fajki w towarzystwie Aielów. A zwłaszcza z Gaulem. I z tego właśnie powodu brał się żal.

— Rozmawiałem z Gaulem — oznajmił niepewnie Nurelle. Był to ich czwarty dzień w drodze i właśnie oderwał się od grupy Mayenian, by przyłączyć się do Perrina jadącego na czele kolumny. Perrin słuchał go jednym uchem; Dziki Ogień pozwoliła jednemu ze swych młodych samców podpełznąć bliżej, tuż po tym, jak Aes Sedai wyruszyły tego ranka w drogę, ale ten nie zobaczył Randa. Wszystkie wilki wiedziały, jak wygląda Zabójca Cienia, na to przynajmniej wyglądało. A mimo to Poranne Chmury zauważył jedynie, że wszystkie wozy oprócz jednego mają płócienne płachty rozpięte na pałakach. Rand był prawdopodobnie wieziony na jednym z tych wozów i było mu o wiele wygodniej niż Perrinowi, któremu po plecach bezustannie spływały strugi potu. — Opowiadał mi o bitwie pod Polem Emonda — ciągnął Nurelle — o twojej kampanii w Dwu Rzekach. Lordzie Aybara, to będzie dla mnie wielki zaszczyt, jeśli będzie mi dane usłyszeć historię tych bitew z twoich własnych ust.

Nagle Perrin wyprostował się sztywno w siodle, zapatrzony w chłopca. Nie, nie chłopca; mimo tych różowych policzków i szczerej twarzy, Nurelle był z pewnością równy mu wiekiem. Ale zapach tego mężczyzny, takiego rozpromienionego i lekko drżącego... Perrin omal nie jęknął. Zdarzało mu się czuć taki zapach od małych chłopców z jego okolic, ale nie potrafił ścierpieć, by rówieśnik wielbił go jak jakiegoś bohatera.

Nie to było jednak najgorsze. Spodziewał się, że Aielowie i Cairhienianie nie polubią się wzajem. I powinien być świadom, że młodzieniec, który na oczy nie widział bitwy, będzie chciał naśladować takiego, który walczył z trollkami. Nie-

pokoily go natomiast rzeczy, których nie przewidział. To, czego człowiek nie przewidział, może go pogrążyć, kiedy się tego najmniej spodziewa; dlatego właśnie nie wolno sobie pozwalać na żadne roztargnienie.

Z wyjątkiem Gaula i Rhuarka wszyscy Aielowie nosili skrawek purpurowej tkaniny na skroniach, z czarno-białym krążkiem nad brwiami. Perrin widywał takie w Cairhien i w Caemlyn, ale teraz, kiedy spytał Gaula, a potem Rhuarka, czy to ich wyróżnia jako tych *siswai'aman*, o których wspominał Rhuarc, obaj mężczyźni udawali, że nie wiedzą, o czym mówi, jakby nie widzieli czerwonych opasek na głowach pięciu tysięcy ludzi. Perrin zapytał nawet o to człowieka, który zdawał się dowodzić w zastępstwie Rhuarka, Uriena, ze szczepu Reyn Dwie Iglice, którego poznał dawno temu, ale Urien też udał, że niczego nie rozumie. No cóż... Rhuarc powiedział, że może zabrać tylko *siswai'aman*, więc Perrin tak o nich myślał, mimo że nie wiedział, co ten termin oznacza.

Wiedział natomiast, że może dojść do konfliktu między *siswai'aman* i Pannami. Zawsze czuł woń zazdrości, kiedy któryś z tych mężczyzn patrzył na Panny. Kiedy niektóre Panny patrzyły na *siswai'aman*, ich zapach przywodził mu na myśl wilka pożerającego padłego jelenia, który nie zamierza pozwolić, by ktoś inny ze stada też się pożywił, choćby miał się udławić. Nie potrafił wykoncypować, skąd się to bierze, ale naprawdę czuł tę woń i to w wielkim stężeniu.

Jednak do takiego konfliktu mogło dojść dopiero w przyszłości. W odróżnieniu od niesnasek innego rodzaju. Przez pierwsze dwa dni po opuszczeniu miasta Sulin i Nandera jednocześnie występowały naprzód za każdym razem, gdy Rhuarc mówił coś, co dotyczyło Panien; Sulin jednak wycofywała się, zaczerwieniona. Mimo to zawsze była na miejscu. Drugiego wieczora, kiedy rozbili już obóz, próbowały się nawzajem pozabijać gołymi dłońmi.

Przynajmniej tak to wyglądało dla Perrina, to kopanie, uderzanie pięściami, ciskanie się wzajem na ziemię, wykręcanie rąk, z taką siłą, że musiały im chyba pękać kości — dopóki ta, która akurat przegrywała, nie wyswobodziła się zręcznym skretem ciała albo ciosem. Rhuarc powstrzymał go, kiedy próbował się wtrącić, i wyraźnie się zdziwił, że w ogóle chciał to zrobić. Wokół zgromadziło się całkiem sporo Cairhienian i Mayenian; przypatrywali się walce i zakładali się o jej wynik, ale żaden Aiel ani nie zerknął, nawet Mądre.

Wreszcie Sulin przydusiła Nanderę i boleśnie wykręciła jej ramię; złapawszy ją za włosy, wciskała jej twarz w ziemię tak długo, aż tamta osłabła. Przez dłuższy czas starsza kobieta stała i patrzyła na pokonaną. Po chwili Sulin podźwignęła nieprzytomną Nanderę za ramiona i z wielkim wysiłkiem odciągnęła ją na bok.

Perrin zakładał, że od tego czasu to Sulin będzie odpowiedzialna za rozmowy, ale mylił się. Nadal zawsze przychodziła, ale to posiniaczona Nandera odpowiadała na pytania Rhuarka i przyjmowała jego rozkazy, podczas gdy równie posiniaczona Sulin milczała, a kiedy Nandera prosiła ją o coś, robiła to bez wahania. Perrin mógł tylko podrapać się po głowie i zastanowić, czy walka rzeczywiście

skończyła się tak, jak mu się zdawało.

Mądre zawsze szły poboczem drogi, w grupkach różniących się liczbą, również stałe zmieniał się ich skład. Pod koniec pierwszego dnia Perrin zrozumiał, że wszystkie te rotacje tak naprawdę koncentrują się wokół dwóch kobiet, Sorilei i Amys. Pod koniec drugiego nabrał pewności, że te dwie prezentują dwa krańcowo różne punkty widzenia; za dużo było tych wściekłych spojrzeń i grymasów. Z czasem Amys zaczęła się wycofywać mniej skwapliwie i znacznie rzadziej czerwienić. Rhuarc niekiedy pachniał lekkim niepokojem, kiedy spoglądał na żonę, ale to był jedyny znak, że w ogóle cokolwiek spostrzegł. Po rozbiciu trzeciego obozowiska Perrin niemalże się spodziewał, że wśród Mądrych dojdzie do takiej samej bójki jak między Sulin i Nanderą.

A tymczasem dwie kobiety wzięły bukłak i odeszły na bok; usiadły na ziemi i zdjęły złożone chusty, którymi miały przewiązane włosy. Obserwował je w mroku rozświetlonym światłem księżyca, trzymając się w takiej odległości, by nawet przypadkiem czegoś nie podsłuchać, jednak ostatecznie poszedł się położyć, bo one tylko piły wodę i o czymś gwarzyły. Następnego ranka pozostałe Mądre nadal przechodziły od grupy z grupy, ale zanim długa kolumna pokonała trzy mile, Perrin pojął, że wszystko teraz skupia się wokół Sorilei. Co jakiś czas ona i Amys schodziły z drogi, żeby o czymś porozmawiać, ale przestały prowadzić walkę na wściekle spojrzenia. Gdyby były wilkami, Perrin uznałby, że przywódca stada pokonał tego, który rzucił mu wyzwanie, ale to były Mądre i o ile mógł je osądzać na podstawie zapachów, Sorilea akceptowała Amys niemalże jak równą sobie, a taki układ zupełnie nie pasował do wilczych obyczajów.

Siódmego dnia po opuszczeniu Cairhien, jazdy pod wrzącym słońcem, zaczął się denerwować, że nie wie, jaką to niespodziankę zgotują mu Aielowie następnym razem, że nie wie, czy Aielowie i Cairhienianie nie zaczną nazajutrz skakać sobie do gardeł, i że nie wie, co robi, gdy za trzy albo cztery dni dogoni Aes Sedai.

Te wszystkie strapienia poszły w niepamięć wraz z wieścią od Połowy Ogonu, który w odległości kilku mil na zachód wypatrzył dużą grupę ludzi — w tym być może również kobiet; wilki miały czasem trudności z odróżnianiem jednej płci od drugiej — zdążali w tym samym kierunku co Perrin, i równie szybko. Niewyraźny obraz dwóch sztandarów jadących w tyle sprawił, że Perrin wyprostował się gwałtownie.

Został szybko otoczony przez Dobraine, Nurelle, Rhuarka, Uriena, Nanderę i Sulin, Sorileę i Amys.

— Idźcie dalej — powiedział im, kierując Bieguna na zachód. — Być może przyłączy się do nas kilku przyjaciół, ale nie możemy tracić czasu.

On jechał, a oni dalej szli, ale nie pozwolono mu podążać samotnie. Zanim pokonał ćwierć mili, ciągnęło za nim kilkunastu członków Skrzydlatej Gwardii i tyleż samo Cairhienian, co najmniej dwadzieścia Panien pod dowództwem Sulin

i taka sama liczba *siswai'aman* za siwowłosym mężczyzną o zielonych oczach i twarzy, która zdawała się nadawać do rozbijania kamieni. Perrin dziwił się jedynie, że nie ma wśród nich kilku Mądrych.

— Przyjaciele — mruknęła Sulin do siebie, biegnąc tuż przy jego strzemieniu. — Przyjaciele, którzy pojawiają się znieacka, bez ostrzeżenia, i on nagle wie, że już są. — Zadarła ku niemu twarz i przemówiła głośniej. — Nie chciałbym już więcej widzieć, jak się potykasz o poduszkę i padasz na nos.

Perrin pokręcił głową, zastanawiając, jakie jeszcze cięgi jej dał, kiedy przebiegała się za służącą. Dziwny naród ci Aielowie.

Sądząc po położeniu słońca, jechał już od prawie godziny, prowadzony przez wilki, tak pewnie jak strzała do celu, a kiedy osiągnął szczyt niewielkiego wzniesienia, nie zdziwił się, gdy w odległości dwóch mil zobaczył podwójną kolumnę jeźdźców, utworzoną przez ludzi z Dwu Rzek, z jego sztandarem Czerwonej Wilczej Głowy na czele powiewającym na lekkim wietrze. Zdziwiło go natomiast, że naprawdę towarzyszyły im kobiety — doliczył się dziewięciu — a oprócz nich spora grupa mężczyzn, którzy z całą pewnością nie pochodzili z Dwu Rzek. Na widok drugiego sztandaru zacisnął szczęki. Czerwony Orzeł Manetheren. Nie umiał powiedzieć, ile razy im powtarzał, że nie mają go zabierać z Dwu Rzek; jedną z kilku rzeczy, którym w domu za nic nie umiał położyć kresu, było wymachiwanie tym sztandarem. Niemniej jednak dzięki nawet nie do końca dokładnemu przesłaniu od wilków zawczasu przygotował się wewnątrz na ten widok.

Tamci, rzecz jasna, natychmiast go zauważyli, a także jego towarzyszy. Ludzie z tej grupy mieli dobry wzrok. Czekali; niektórzy zdjęli łuki z pleców, wielkie łuki z Dwu Rzek, za pomocą których zabijało się z odległości nawet trzystu kroków.

— Niech nikt mnie nie wyprzedza — rozkazał Perrin. — Nie będą strzelać, jeśli mnie rozpoznają.

— Jak się zdaje, żółte oczy daleko widzą — odparła obojętnie Sulin. Wielu innych patrzyło na niego jednak bardzo dziwnym wzrokiem.

— Trzymajcie się z tyłu — przykazał im Perrin z westchnieniem.

Kiedy podjechał bliżej czoła tej dziwnej partii, podniesione łuki opuszczono, a strzały opuściły cięgiwy. Mieli Steppera, zauważył z radością, a po chwili ze znacznie mniejszym zachwytem wypatrył również Jaskółkę. Faile mu nigdy nie wybaczy, jeżeli dopuści, by jej czarna klacz została okaleczona. Byłoby dobrze dosiąść z powrotem siwka, ale może uda mu się zatrzymać również Bieguna; lord miał przecież prawo do posiadania dwóch koni. Nawet lord, któremu nie zostało więcej jak cztery dni życia.

Z kolumny ludzi z Dwu Rzek wyjechał naprzód Dannil, gładzący kłykciami długie wąsy, a także Aram; towarzyszyły im jakieś kobiety. Perrin rozpoznał pozbawione wieku twarze Aes Sedai, jeszcze zanim dostrzegł Verin i Alannę, obie jadące z tyłu. Nie znał żadnej z pozostałych, ale był pewien, że to Aes Sedai, mimo iż nie wiedział, skąd się tu wzięły. Dziewięć. Dziewięć Aes Sedai mogło

się okazać bardziej niż przydatne za trzy albo cztery dni, tylko do jakiego stopnia mógł im ufać? Było ich dziewięć, a Rand powiedział przecież, że może za nim jechać tylko sześć. Zastanawiał się, która z nich to Merana, ich przywódczyni.

Zanim Dannil zdążył coś powiedzieć, odezwała się Aes Sedai o grubych rysach, które sprawiały, że wyglądała na wieśniaczkę, pomimo charakterystycznego braku śladów upływu lat. Jechała na krępej, brązowej klaczy.

— A więc to ty jesteś Perrin Aybara. Lord Perrin, powinnam powiedzieć. Dużo o tobie słyszałyśmy.

— To dziwne, że cię spotykamy właśnie tutaj — dodała chłodno arogancka, choć piękna kobieta — i to w tak dziwnym towarzystwie. — Jechała na ciemnym wałachu o zapalczywych oczach; Perrin założyłby się, że zwierzę zostało wyszkolone na konia wojennego. — Myślałyśmy, że do tej pory zdołasz nas wyprzedzić.

Perrin zignorował je i spojrzał na Dannila.

— Nie żebym był niezadowolony, ale jak tu dotarliście?

Dannil zerknął na Aes Sedai i gwałtownie potarł wąsy.

— Wyruszyliśmy tak, jak chciałeś, lordzie Perrinie, i tak szybko, jak mogliśmy. Chciałem rzec, porzuciliśmy wozy i całą resztę, jako że zdawało się, iż miałeś powód do wyjazdu i to tak niespodzianego. A potem dogoniły nas Kiruna Sedai, Bera Sedai i inne; powiedziały, że Alanna potrafi znaleźć Randa, lorda Smoka, chciałem rzec, a ponieważ ty jechałeś razem z nim, więc byłem pewien, że będziesz tam, gdzie on, a że nie było jak sprawdzić, czyś ty opuścił Cairhien i... — Zrobił głęboki wdech. — W każdym razie wychodzi na to, że miały rację, czy tak?

Perrin zmarszczył brwi, zastanawiając, w jaki sposób Alanna mogła odnaleźć Randa. Ale widocznie musiała być w stanie, bo inaczej Dannila i pozostałych nie byłoby tutaj. Ona i Verin nadal trzymały się z tyłu, razem ze szczupłą kobietą o orzechowych oczach, która zdawała się często wzdychać.

— Jestem Bera Harkin — oznajmiła kobieta o grubych rysach — a to Kiruna Nachiman. — Wskazała swą ponurą towarzyszkę. Ta druga najwyraźniej była gotowa obyć się bez prezentacji. — Czy zechcesz nam powiedzieć, dlaczego jesteś tutaj, skoro młody al'Thor, Lord Smok, znajduje się na północy, w odległości kilku dni jazdy?

To akurat nie wymagało głębszego namysłu. Jeśli te dziewięć zamierzało przyłączyć się do wyprzedzających je Aes Sedai, to nie mógł zrobić wiele, żeby je zatrzymać. Niemniej jednak, z dziewięcioma Aes Sedai u swego boku...

— Został wzięty do niewoli. Aes Sedai o imieniu Coiren razem z co najmniej pięcioma innymi wiezie go do Tar Valon. A przynajmniej taki mają cel. Ja zaś mam zamiar im w tym przeszkodzić. — Tymi słowami musiał wywołać znaczny wstrząs, Dannil bowiem wytrzeszczył oczy, a Aes Sedai zaczęły mówić wszystkie naraz. Aram był jedynym, na którym to jakby nie zrobiło wrażenia, ale z kolei jego z pozoru nie interesowało nic oprócz Perrina i jego miecza. Wszystkie Aes Sedai



miały spokojne oblicza, ale bijące od nich zapachy mówiły o gniewie i strachu.

— Musimy je powstrzymać, Bera — te słowa padły z ust kobiety z włosami zaplecionymi w taraboniańskie warkoczyki, dokładnie w tym samym momencie, w którym błada Cairhienianka na szczupłej klaczy powiedziała:

— Nie możemy dopuścić, by go dowiozły do Elaidy, Bera.

— Sześć? — spytała z niedowierzaniem kobieta o orzechowych oczach. — Sześć nie byłoby w stanie go pojmać. Jestem tego pewna.

— Mówiłam wam przecież, że jest ranny — prawie załkała Alanna. Perrin dostatecznie dobrze znał jej zapach, by to wychwycić; pachniała bólem. — Mówiłam wam. — Verin milczała, za to pachniała wściekłością. A także lękiem.

Kiruna omiotła pogardliwym wzrokiem grupę Perrina.

— Zamierzasz czymś takim zatrzymać Aes Sedai, młodzieńcze? Verin nas nie uprzedziła, żeś jest głupcem.

— Mam jeszcze kilku na Trakcie Tar Valon — odparł sucho.

— W takim razie możecie przyłączyć się do nas — powiedziała Kiruna, takim tonem, jakby szła na jakieś ustępstwo. — Tak będzie dobrze, nieprawdaż, Bero?

Bera przytaknęła.

Nie potrafił pojąć, dlaczego postawa Kiruny tak go irytuje, ale to nie była pora na zastanawianie się nad czymś takim.

— Mam także trzystu łuczników z Dwu Rzek, których zamierzam zabrać ze sobą. — Skąd Alanna wiedziała, że Rand jest ranny? — Wy też możecie jechać z nami.

To im się z pewnością nie spodobało. Odjechały na odległość kilkunastu kroków, żeby to przedyskutować — nawet on nic nie słyszał; musiały chyba posługiwać się Mocą, żeby zabezpieczyć się przed podsłuchiwaniami — i przez chwilę Perrin myślał, że postanowią pojechać dalej same.

Ostatecznie wróciły, ale Bera i Kiruna trzymały się obok niego aż do samej drogi, na zmianę tłumacząc mu, jaka niebezpieczna i delikatna jest ta sytuacja, i że nie wolno mu zrobić niczego, co by zagroziło młodemu al'Thorowi. Bera przynajmniej pamiętała, by od czasu do czasu tytułować Randa Smokiem Odrodzonym. Dały jasno do zrozumienia, że Perrinowi nie wolno zrobić choćby jednego kroku bez ich zgody. Bera zaczęła sprawiać wrażenie zaniepokojonej, że nie zechciał posłusznie powtórzyć jej słów; Kiruna najwyraźniej uznała, że je wypowiedział. Perrin, ze swej strony, głowił się, czy zapraszając je do wspólnej jazdy, przypadkiem nie popełnił błędu.

Aes Sedai nie dały po sobie poznać, czy zgromadzenie Aielów, Mayenian i Cairhienian maszerujących drogą zrobiło na nich wrażenie. Za to z pewnością spotęgowały ogólne wrzenie w tym kotle. Widok dziewięciu Aes Sedai i ich szesnastu Strażników wyraźnie podniósł na duchu Mayenian i Cairhien; niemalże kłaniali się i szurali nogami, gdy któraś z tych kobiet podeszła bliżej. Z kolei Panny i *siswai'aman* wpatrywali się złowróbnie w Aes Sedai; ci przynajmniej, którzy

nie mieli takich min, jakby się spodziewali, że te kobiety zaraz ich zmiążdżą. Mądre zachowały twarze równie gładkie jak Aes Sedai, ale Perrin wyczuwał w nich fale czystej furii. Z wyjątkiem Brązowej o imieniu Masuri, Aes Sedai z początku całkowicie ignorowały Mądre, ale gdy w ciągu następnych kilku dni Masuri została odepchnięta co najmniej kilkanaście razy — była uparta, ale Mądre uniikały Aes Sedai tak zręcznie, że zdaniem Perrina musiały to robić instynktownie — Bera, Kiruna i wszystkie inne stałe patrzyły na Mądre, ale niestety rozmawiały między sobą, chroniąc się za niewidzialną barierą, która nie pozwalała Perrinowi usłyszeć, o czym mówią.

A podsłuchiwałyby, gdyby mógł; ukrywały coś więcej, nie tylko to, co myślą o kobietach Aielów. Z jednej strony Alanna za nic nie chciała mu zdradzić, skąd wiedziała, gdzie jest Rand — „Jest taka wiedza, od której zgorzałby każdy umysł z wyjątkiem umysłu Aes Sedai” — powiedziała mu, chłodno i tajemniczo, ale w rzeczywistości ociekała niepokojem i bólem. Mało tego, nie chciała się nawet przyznać, że rzeczywiście powiedziała, iż on w jakiś sposób został ranny. Verin ledwie się do niego odzywała; obserwowała tylko wszystko tymi ptasimi oczyma, ze skąpym, tajemniczym uśmiechem, a mimo to były od niej fale frustracji i gniewu. Na podstawie ich zapachów powiedziałby, że przewodzi im Bera albo Kiruna; sądził, że to raczej Bera, ale bywało niekiedy, że już nabierał absolutnej pewności, a tymczasem okazywało się, że jest inaczej. Poza tym niewiele więcej mógł orzec, mimo że ta czy inna jechała obok niego dobrą godzinę każdego dnia, snując wariacje na temat ich pierwotnej „rady” i generalnie zakładając, że to one dowodzą. Nurrelle zdawał się być o tym przekonany i przyjmował od nich rozkazy, nawet nie spojrzawszy na Perrina, a Dobraine robił właściwie to samo, tyle że rzucał najpierw jedno spojrzenie w jego stronę. Przez dobre półtora dnia Perrin sądził, że Merana została w Caemlyn, toteż ze zdumieniem usłyszał, jak tym imieniem zwracają się inne do szczupłej kobiety o orzechowych oczach. Rand twierdził, że to ona stała na czele misji poselskiej z Salidaru, ale mimo iż Aes Sedai pozornie zdawały się sobie równe, Perrin wyróżniał ją jako pośledniego wilka w stadzie; jej zapach mówił o tępej rezygnacji i niepokoju. Rzecz jasna, nie było nic dziwnego w tym, że Aes Sedai mają swoje tajemnice, jednak Perrin zamierzał wyswobodzić Randa z rąk Coiren i jej towarzyszek, bardzo chciał więc zdobyć jakąś wskazówkę, by wiedzieć, czy potem przypadkiem nie będzie go musiał ratować również z rąk Kiruny i jej sióstr.

Dobrze chociaż, że ponownie się połączył z Dannilem i innymi, nawet jeśli ci czuli się znacznie gorzej w towarzystwie Aes Sedai niż Mayenianie i Cairhienianie. Ludzie z Dwu Rzek do tego stopnia ucieszyli się na jego widok, że niewiele gderało, kiedy kazał im schować Czerwonego Orła; Perrin był pewien, że ten sztandar pojawi się jeszcze, ale kuzyn Dannila, Ban, który wyglądałby niemalże identycznie jak Dannil, gdyby nie nos podobny do kilofa i długie, cienkie wąsy na modłę Domani, schował go starannie do sakiew przy siodłach. Nie jechali da-

lej bez sztandarów, ma się rozumieć. Nieśli przede wszystkim jego Wilczy Łeb. Wiedział, że byliby w stanie go zignorować, gdyby kazał im spakować ten sztandar, a ponadto z jakiegoś powodu chłodny, wzgardliwy wzrok Kiruny sprawiał, że właśnie chciał go demonstrować. Również Dobraine i Nurelle wyciągnęli sztandary. Nie były to wszak Wschodzące Słońce Cairhien czy Złoty Jastrząb Mayene, ale dwa sztandary Randa, czerwono-złoty Smok na białym tle i czarno-biały dysk na purpurowym. Aielów zdawały się one nie obchodzić, a Aes Sedai stały się na ich widok bardzo chłodne, ale te sztandary co nieco ubarwiały ich przemarsz.

Dziesiątego dnia, kiedy słońce znajdowało się niemalże w połowie drogi na szczyt nieboskłonu, Perrin poczuł przygnębienie, mimo barwnych sztandarów, ludzi z Dwu Rzek i Steppera. Tego popołudnia mieli dogonić Aes Sedai, a on nadal nie wiedział, co potem zrobi. I właśnie wtedy nadeszło posłanie od wilków.

„Już przybywają. Wielu dwunożnych. Wielu, wielu, wielu! Przybywają teraz!”

## STUDNIE DUMAI

Jadący na czele kolumny Gawyn starał się skupić myśli na okolicy. Tego typu pofałdowany teren, z rozproszonymi zagajnikami, był dostatecznie płaski, by komuś mogło się zdawać, że widzi przed sobą rozległą przestrzeń, podczas gdy tak naprawdę niektóre z tych nieczęstych, długich brzd i niskich wzgórz wcale nie były aż taka niepozorne. Tego dnia wiatr wzbijał tumany pyłu, a pył też niejedno potrafił skryć. Studnie Dumai znajdowały się po prawej stronie drogi, trzy kamienne zbiorniki w niewielkim zagajniku; mogli napełnić beczki, zwłaszcza że od następnego źródła wody dzieliły ich cztery dni drogi, o ile Źródło Alianelle nie wyschło, ale Galina wydała rozkaz, że mają się nie zatrzymywać. Starał się skupiać całą swoją uwagę na tym, na czym powinien, ale nie potrafił.

Od czasu do czasu wykręcał się w siodle, oglądając na długi wąż wozów; równolegle do niego jechały konno Aes Sedai ze Strażnikami i szli pieszo ci służący, dla których nie starczyło miejsca na wozach. Większość Młodych zamykała tyły procesji, tak jak im kazała Galina. Nie widział tego jedyne go wozu bez płócienej płachty, w środku kolumny, zawsze otoczonego sześcioma Aes Sedai. Zabiłby al'Thora, gdyby mógł, niemniej od tego widoku robiło mu się mdło. Nawet Erian odmówiła brania w tym udziału drugiego dnia i Światłość tylko wiedziała, że miała ku temu powód. Galina była jednak nieubłagana.

Stanowczo patrząc przed siebie, dotknął kieszeni kaftana, gdzie spoczywał list od Egwene, pieczętowiec owinięty w kilka warstw jedwabiu. Za ledwie kilka słów; mówiła mu, że go kocha, że musi jechać; nic więcej. Czytał go pięć albo sześć razy dziennie. W ogóle nie wspominała o jego obietnicy. No cóż, nie podniósł ręki na al'Thora. Z oszołomieniem przyjął wiadomość, że ten człowiek jest więźniem, i minęło wiele dni od czasu, kiedy się o tym dowiedział. Musiał w jakiś sposób sprawić, by to zrozumiała. Obiecał, że nie podniesie na niego ręki, i nie zrobiłby tego, choćby nawet miał umrzeć, ale też nie ruszy palcem, żeby mu pomóc. Egwene musiała to zrozumieć. Światłości, musiała.

Pot ściekał mu z twarzy, więc wytarł oczy rękawem. Nie mógł nic zrobić w związku z Egwene, pozostawała mu jedynie modlitwa. Mógł natomiast zrobić coś z Min. Musiał, z jakiegoś powodu. Nie zasłużyła sobie na to, by ją wieziono do Tar Valon w charakterze więźnia. Gdyby tylko Strażnicy rozluźnili szyk straży

przy niej, to...

Nagle zauważył konia galopującego w stronę wozów wśród tumanów pyłu, jak się zdawało, bez jeźdźca.

— Jisao — rozkazał — każ woźnicom, żeby się zatrzymali. Hal, powiedz Rajarowi, żeby postawił Młodych w pogotowiu. — Bez słowa zawrócili konie i pogalopowali. Gawyn czekał.

Był to stalowoszary wałach Benji Dalfora i kiedy się zbliżył, Gawyn dostrzegł Benjiego, który zgięty w pół jechał wczepiony w kark wierzchowca. Gawyn ledwie zdążył schwycić wodze, kiedy koń go mijał.

Benji odwrócił tylko głowę, nie prostując się; spojrzął na Gawyna szklistym wzrokiem. Wokół ust miał obwódkę z krwi i przyciskał jedną rękę do brzucha, jakby się bał, że może się rozpaść na kawałki.

— Aielowie — wymamrotał. — Tysiące. Chyba z wszystkich stron. — Nagle uśmiechnął się. — Zimno dziś, czy nie... — Z ust trysnęła mu krew i zwałił się bezwładnie na drogę.

Gawyn błyskawicznie zawrócił konia i pogalopował w stronę wozów. Benjim zajmą się później, o ile któryś z nich przeżyje.

Galina wyjechała mu na spotkanie, w rozdymającym się za nią płaszczu; ciemne oczy osadzone w pogodnej twarzy połyskiwały z furją. Od tego dnia, w którym al'Thor próbował uciec, była stale wściekła.

— A kim ty jesteś, że każesz wozom się zatrzymać? — spytała podniesionym tonem.

— Otaczają nas tysiące Aielów, Aes Sedai — udało mu się odpowiedzieć uprzejmym tonem. Wozy nareszcie przystanęły i Młodzi uformowali szyk obronny, ale woźnice niecierpliwie gładzili wodze, słudzy się wachlowali, Aes Sedai gawędziły ze Strażnikami.

Galina z pogardą wydeła wargi.

— Ty głupcze. To bez wątpienia Shaido. Sevanna obiecała dać nam eskortę. Ale jeśli w to wątpisz, to weź swoich Młodych i sam sprawdź. Te wozy mają się nie zatrzymywać, tylko jechać w stronę Tar Valon. Czas, byś się dowiedział, że ja tu wydaję rozkazy, nie...

— A jeśli to nie ci twoi oswojeni Aielowie? — Nie po raz pierwszy podczas ostatnich kilku dni sugerowała, by to on osobiście prowadził zwiadowców; podejrzewał, że gdyby to robił, znalazłby Aielów i to bynajmniej nie oswojonych. — Kimkolwiek są, zabili jednego z moich ludzi. — Co najmniej jednego; w terenie pozostało jeszcze sześciu zwiadowców. — Może jednak powinnaś wziąć pod uwagę ewentualność, że to Aielowie od al'Thora, którzy przychodzą mu z odsieczą. Będzie za późno, kiedy zaczną nas nadziewać na swoje włócznie.

Dopiero wtedy dotarło do niego, że krzyczy, za to Galina jakby się uspokoiła. Popatrzyła na drogę, w stronę miejsca, gdzie leżało ciało Benjiego, po czym powoli skinęła głową.

— Może rzeczywiście tym razem nie będzie od rzeczy zachować ostrożność.

Rand mozolnie walczył o oddech; powietrze w kufrze zdawało się lepkie i gorące. Na szczęście nie czuł już żadnego zapachu. Każdego wieczora oblewano go wiadrem wody, co raczej nie zastępowało kąpieli, toteż przez jakiś czas po tym, kiedy rankiem Aes Sedai zamknęły wieko i zaciągnęły zasuwę, smród spotęgowany jeszcze jednym dniem w pełnym blasku słońca atakował jego nozdrza. Trzymanie się Pustki kosztowało go wiele wysiłku. Cały był okryty szramami; na ciele, od kolan po ramiona, nie było ani jednego miejsca, które by go nie piekło, jeszcze zanim zalał go pot, i te dziesięć tysięcy płomyków migotało na granicach Pustki; usiłując ją pochłonąć. Nie zaleczona rana w boku pulsowała nieznacznie, ale otaczająca go skorupa Pustki drżała przy każdym pojedynczym dreszczu. Alanna. Czuł Alannę. Blisko. Nie. Nie może marnować czasu na myślenie o niej; nawet jeśli jedzie w ślad za nim, sześć Aes Sedai nie da rady go uwolnić. O ile na przykład nie postanowiły przyłączyć się do Galiny. Koniec z zaufaniem. Już nigdy nie zaufa żadnej Aes Sedai. Może zresztą tylko to sobie wyobrażał. Czasami lęły mu się w wyobraźni różne rzeczy, chłodne wiatry, spacer. Czasami przedstawiał myśleć o czymkolwiek i wydawało mu się, że po prostu idzie. Tylko idzie. Mozolnie walczył o oddech i szukał po omacku drogi przez śliską jak lód barierę, która odgradzała go od Źródła. Wymacywanie tych sześciu miękkich punktów, raz po raz. Ciągłe miękkie. Nie potrafił się powstrzymać. Musiał ich szukać.

„Ciemno — jęczał Lews Therin w czeluściach jego głowy. — Dość tej ciemności. Dość!” I tak bez końca. Ale nie nazbyt dokuczliwie. Tym razem Rand go ignorował.

Nagle zaparło mu dech; kufer poruszył się, zaszurał głośno na dnie wozu. Czy już zapadła noc? Pokryte pręgami ciało drgnęło mimo woli. Będzie kolejne bicie, zanim przed snem go nakarmią, obleją wodą i zwiążą niczym gęś. Ale przynajmniej wyjdzie z tego pudła. Na zewnątrz panował nie tyle całkowity mrok, co raczej głęboka szarówka. Małe szczeliny w wieku wpuszczały drobinę światła, aczkolwiek on jej nie widział, ponieważ głowę miał wepchniętą między kolana, a jego oczy każdego dnia przyzwyczajały się równie długo do światła, tak jak nos przechodził kolejne stadia martwicy. Ale noc musiała już zapaść.

Nie wytrzymał i jęknął, kiedy kufer się zakołysał; nie miał jak się przesunąć, ale poruszył się, zadając ból napiętym mięśniom. Jego mikroskopijne więzienie zważyło się z głośnym łomotem na ziemię. Zaraz uniosą wieko. Ile dni na tym palącym słońcu? Ile jeszcze nocy? Stracił rachubę. Która to będzie tym razem? W głowie zawirowały mu twarze. Zapamiętał każdą, która się nad nim pastwiła. Teraz zwały się w jedno; nie umiał już sobie przypomnieć, kiedy która przychodziła. Wiedział jednak, że były go najczęściej Galina, Erian i Katherine, jedyne, które robiły to więcej niż raz. Ich twarze jarzyły mu się w myślach piekielnym światłem. Jak często chciały słuchać jego przeraźliwego krzyku?

Nagle dotarło do niego, że przecież kufer już do tej pory powinien być zostać

otwarty. Zamierzały zostawić go tutaj na całą noc, a kiedy wzejdzie poranne słońce i... Mięśnie zbyt obolałe, by wykonać ruch, zdobyły się na szaleńczy wysiłek.

— Wypuście mnie! — krzyknął ochryple. Ręce związane na plecach drapały boleśnie, na próżno. — Wypuście mnie! — krzyknął. Miał wrażenie, że słyszy kobiecy śmiech.

Płakał przez jakiś czas, ale po chwili łzy wysuszyła wściekłość zbliżona zarem do temperatury wnętrza pieca. „Pomóż mi”, warknął do Lewsa Therina.

„Pomóż mi — jęknął w odpowiedzi mężczyzna. — Światłości, pomóż mi”.

Mrucząc ponuro, Rand zaczął znowu obmacywać ścianę wiodącą do sześciu miękkich punktów. Prędzej czy później one go wypuszczą. Prędzej czy później zlużują strażę. A kiedy to zrobią... Nawet nie zauważył, jak zaczął głośno krzyczeć.

Perrin podczołgał się do szczytu łagodnego zbocza, ostrożnie uniósł głowę i zobaczył scenę jak ze snów Czarnego. Wilki dały mu jakieś pojęcie, czego się ma spodziewać, ale wszystko to bladło wobec rzeczywistości. W odległości jakiejś mili od tego miejsca, gdzie się ułożył, pod słońcem samego środka dnia, ogromna, skłębiona rzesza Shaido otaczała coś, co z daleka wyglądało jak pierścień utworzony z wozów i ludzi, którego oś stanowiła niewielka grupka drzew nie opodal drogi. Kilka wozów stało w ogniu. Na Aielów spadały ogniste kule, jedne wielkości pięści, inne duże jak gązdy, wybuchy płomieni zamieniały kilkunastu za jednym zamachem w pochodnie. Oprócz tego z bezchmurnego nieba padały błyskawice, które podrzucały w powietrze fontanny ziemi i odziane w *cadin'sor* sylwetki. Jednak takie same srebrne widły trafiały także w wozy i również strona Aielów bywała źródłem ognia. Spora część płonących lanc gasła zniemacka albo eksplodowała, nie trafiając w żaden cel, wiele błyskawic nagle zamierało, a jednak Shaido musieli je ostatecznie pokonać.

— Tam musi być około dwustu albo i trzystu przenoszących kobiet, o ile nie więcej. — Na Kirunie, leżącej obok niego, to wyraźnie robiło wrażenie. Sorileą, spoczywającą tuż za Zieloną siostrą, z pewnością to wstrząsnęło. Mądra pachniała niepokojem; nie bała się, ale była zaniepokojona. — W życiu nie widziałam tylu splotów równocześnie — ciągnęła Aes Sedai. — Moim zdaniem w obozie jest co najmniej trzydzieści siostr. Wrzuciłeś nas do kotła z wrzątkiem, młody Aybara.

— Czterdzieści tysięcy Shaido — mruknął ponuro Rhuarc, leżący po drugiej stronie Perrina. Nawet pachniał ponurością: — Co najmniej czterdzieści tysięcy i niewielka satysfakcja z wiedzy, dlaczego wysłali ich tak niewielu na południe.

— Czy Lord Smok tam jest? — spytał Dobraine, patrząc na Rhuarka. Perrin przytaknął. — I zamierzasz tam wejść i wyprowadzić go? — Perrin znowu przytaknął, na co Dobraine odpowiedział westchnieniem. Pachniał rezygnacją, nie strachem. — Wejdziemy tam, lordzie Aybara, ale moim zdaniem już stamtąd

nie wyjdziemy. — Tym razem to Rhuarc przytaknął.

Kiruna popatrzyła na mężczyzn.

— Zdajecie sobie chyba sprawę, że jest nas za mało. Dziewięć. Nawet jeśli wasze Mądre potrafią przenosić z jakim takim skutkiem, to i tak jest nas za mało, żeby temu sprostać.

Sorilea parsknęła głośno.

— No to zawróć i jedź na południe — powiedział jej Perrin. — Ja nie dopuszczę, by Rand wpadł w ręce Elaidy.

— No i dobrze — odparła z uśmiechem Kiruna. — Bo ja też nie. — Bardzo pragnął, żeby pod wpływem jej uśmiechu aż tak nie cierpła mu skóra. Aes Sedai zresztą też zapewne ścierpłaby skóra, gdyby zobaczyła to złowrogie spojrzenie, jakie Sorilea skierowała w jej stronę.

Perrin dał znać tym na samym dole grani i Sorilea wraz z Zieloną zsunęły się po zboczu, do tego miejsca, gdzie mogły się bezpiecznie wyprostować, po czym pospiesznie rozeszły się w przeciwnych kierunkach.

Nie opracowali żadnego specjalnego planu. Wszystko po prostu sprowadzało się do tego, że jakoś dotrą do Randa, że jakoś go uwolnią, z nadzieją, że nie odniósł zbyt poważnych obrażeń, dzięki czemu będzie mógł stworzyć bramę dla tyłu, ilu uda się razem z nim uciec, zanim albo Shaido, albo Aes Sedai zdążą ich wszystkich wymordować. Drobnostka, bez wątpienia, dla bohatera z opowieści barda, ale Perrin żałował, że nie mają czasu na sporządzenie jakiejś porządnej strategii, zamiast opierać się na pomyśle, że on, Dobraine i Rhuarc wypadną niczym tarany, przy czym wódz będzie biegł tak szybko, jak potrafi, między końmi ich dwóch. Nie wiadomo, czy Aes Sedai z Wieży będą w stanie bronić się przed Shaido przez choćby jeszcze jedną godzinę.

Jako pierwsi mieli ruszyć ludzie z Dwu Rzek oraz członkowie Skrzydlatej Gwardii, podzieleni na dwie kompanie: jedna miała osłaniać idące pieszo Mądre, druga dosiadające koni Aes Sedai i Strażników. Obie grupy pokonały już grań od lewej i prawej strony. Dannil pozwolił im ponownie dobyć Czerwonego Orła, oprócz Czerwonego Wilczego Łba. Rhuarc nawet się nie obejrzał w stronę Amys, która szła w niewielkiej odległości od ciemnego wałacha Kiruny, ale Perrin usłyszał, jak mruczy:

— Obyśmy obejrzelili razem wschód słońca, cieniu mego serca.

Pod koniec Mayenianie i ludzie z Dwu Rzek mieli ubezpieczać odwrót Mądrych i Aes Sedai, albo to one miały ubezpieczać ich odwrót. W obu wypadkach Berze i Kirunie ten plan raczej się nie podobał; bardzo chciały być tam, gdzie Rand.

— Jesteś pewien, że nie chcesz dosiąść konia, lordzie Aybara? — spytał Dobraine ze swego siodła; dla niego walka pieszo równała się bluźnierstwu.

Perrin poklepał zawieszony u biodra topór.



— Niewiele z niego pożytku na końskim grzbiecie. — Pożytek był, prawdę powiedziawszy, ale nie chciał wjeżdżać na Stepperze albo Biegunie w to, co ich czekało. Ludzie mogli wybierać, czy chcą się rzucać w sam środek wiru stali i śmierci, on decydował za swoje konie i tego dnia powiedział „nie”. — Może ty użyczysz mi strzemienia, kiedy nadejdzie pora. — Dobraine zamrugnął; Cairhienianie raczej nie używali piechoty, ale chyba zrozumiał, bo ostatecznie przytaknął.

— Czas, by dudy zagrały do tańca — powiedział Rhuarc, unosząc czarną zasłonę, mimo iż tego dnia, ku niezadowoleniu niektórych Aielów, nie mieli im przygrywać dudziarze. Pannom dla odmiany nie spodobały się paski z czerwonej materii, które musiały zawiązać na rękach, żeby się wyróżniać wśród Panien Shaido w oczach mieszkańców mokradel; zdawały się uważać, że każdy powinien je rozpoznać na pierwszy rzut oka.

Gruba kolumna utworzona z Panien z osłoniętymi na czarno twarzami oraz *si-swai'aman* wbiegała już na wzgórze, a Perrin i Dobraine przyłączyli się do Loiala, który stanął na czele Cairhienian, ściskając oburącz topór; uszy przylegały mu płasko do czaszki. Był tam również Aram, pieszo, z obnażonym mieczem; były Druciarz uśmiechał się wyczekująco. Dobraine dał mu ręką znak, że ma ruszać za bliźniaczymi sztandarami Randa; rozległ się chrzęst siodeł, kiedy niewielki las pięciuset lanc wspiął się po zboczu równoległe do Aielów.

Perrin zdziwił się, widząc, że w przebiegu bitwy nic nie uległo zmianie, dopóki nie pojął, że przecież upłynęło zaledwie kilka chwil od czasu, kiedy po raz ostatni jej się przyglądał. Wydawało mu się, że to było znacznie dawniej. Wielka rzesza Shaido wciąż napierała do przodu, wozy nadal płonęły, może nawet więcej niż przedtem, z nieba ciągle spadały błyskawice, ogień wybuchał kształtami kul i splotów.

Ludzie z Dwu Rzek docierali już na swoje pozycje, razem z Mayenianami, Aes Sedai i Mądrymi, niemalże bez pośpiechu pokonując pofałdowaną równinę. Perrin kazałby mi trzymać się bardziej z tyłu, żeby w razie czego mieli możliwość odwrotu, ale Dannil uparł się, że powinni podejść na odległość co najmniej trzystu kroków, jeżeli ich łuki mają się okazać skuteczne. Zresztą również Nurle zaprotestował, kiedy kazał im zostać z tyłu. Upierały się nawet Aes Sedai, które zdaniem Perrina znajdowały się dostatecznie blisko, by widzieć wszystko wyraźnie. Nie spostrzegł ich jeszcze żaden Shaido. A w każdym razie żaden nie ostrzegł pozostałych przed niebezpieczeństwem nadciągającym powoli na ich tyły, bowiem nikt się dotąd nie odwrócił. Napierali na krąg utworzony z wozów, potem cofali się przed ogniem i błyskawicami, znowu napierali, pochłonięci tym bez reszty. Wystarczyłoby, żeby któryś się obejrzał, ale ich wzrok przykuwało tylko to piekło, które mieli przed oczyma.

Osiemset kroków. Siedemset. Ludzie z Dwu Rzek posiadali z koni, ujmując łuki w ręce. Sześćset. Pięćset. Czteryset.

Dobraine dobył miecza, podniósł go wysoko.

— Za Lorda Smoka, Taborwin i zwycięstwo! — krzyknął, i ten sam okrzyk wyrwał się z pięciuset gardeł. Lance zostały opuszczone.

Perrin miał tylko tyle czasu, żeby złapać za strzemień Dobraine, nim Cairhienianin pognał niczym burza do przodu. Loial dzięki swym długim nogom dotrzymywał kroku koniom. Sącząc długie susy, pozwalając, by koń ciągnął go długimi skokami, Perrin wyprawił swój umysł w przestrzeń. Przybywajcie.

Porośnięty zbrązowiałą trawą grunt, z pozoru pusty, zrodził zniecacka tysiąc wilków, w tym szczupłe, bure wilki z równin i ich ciemniejszych, bardziej masywnych leśnych kuzynów, które biegły tuż przy ziemi i rzucały się na plecy Shaido ze obnażonymi kłami, w tym samym momencie, w którym pierwsze, długie drzewce z Dwu Rzek lunęły na nich niczym rześista ulewa. Drugi rzut już wzbijał się łukiem w górę. Nowe błyskawice spadały wraz ze strzałami, wykwitwały nowe ognie. Shaido z osłoniętymi twarzami, którzy się odwrócili, by stanąć do walki z wilkami, mieli zaledwie kilka chwil, by pojąć, że to nie jedyne zagrożenie, kiedy obok młota cairhieniańskich lansjerów zaczęły ich razić solidne włócznie Aielów.

Wyswobodziwszy topór, Perrin zaraz skosił zagradzającego mu drogę Shaido i przeskoczył przez ciało padającego. Musieli dotrzeć do Randa; od tego zależało wszystko. Obok niego rzeźbił ścieżkę wielki topór Loiala, unosząc się, opadając i zataczając kręgi. Aram zdawał się tańczyć ze swym mieczem; kosił wszystko, co napotkał po drodze, i zaśmiewał się wniebogłose. Nie było czasu, by myśleć o czymkolwiek innym. Perrin pracował metodycznie swym toporem; jakby rąbał drewno, nie ciała; z twarzą zlaną posoką, starał się nie patrzeć na tryskającą krew. Musiał dotrzeć do Randa. Wycinał sobie drogę.

Skoncentrował całą swą uwagę na mężczyźnie, który akurat stanął przed nim — myślał o nich wszystkich jak o mężczyznach, mimo iż wzrost niektórych mówił, że to być może Panna; nie był pewien, czy potrafi wykonać wymach tym ociekającym czerwienią ostrzem w kształcie półksiężyca, jeśli pozwoli sobie na myśl, że zamierza się na kobietę — starał się skupić i utorować sobie drogę, a mimo to w pole widzenia wdzierało mu się, to, co działo się wokół. Srebrzysta błyskawica wyrzucała odziane w *cadin'sor* sylwetki w powietrze, niektóre ze szkarłatnymi opaskami na czołach, niektóre bez. Jeszcze jeden błysk zrzucił Dobraine z konia; Cairhienianin z trudem podźwignął się na nogi, wymachując mieczem. Ogień ogarnął garstkę Cairhienian i Aielów, ludzi i koni zmienionych w rozwrzeszczane pochodnie, przynajmniej tych, którzy jeszcze zdolni byli wrzeszczeć.

Wszystko to przelatywało mu przed oczyma, ale i tak nie chciał się niczemu przyglądać. Miał przed sobą samych mężczyzn, konary, które należało ściąć za pomocą własnego topora, topora Loiala i miecza Arama. W pewnym momencie coś jednak przykuło jego uwagę. Zobaczył konia stojącego dęba i spadającego zeń jeźdźca, dżganego przez włócznie Aielów. Jeździec w czerwonym napierśniku. Zaraz za nim pojawił się jeszcze jeden ze Skrzydlatej Gwardii, potem cała ich grupka. Wycelowano lance, a wśród nich zafalował pióropusz Nurelle. Chwi-

łę później zobaczył Kirunę, z twarzą bez śladu zafrasowania, kroczącą niczym królowa bitew po ścieżce wyrzeźbionej dla niej przez trzech Strażników, i ogień wytryskujący jej z rąk. Za nią szła Bera, potem Faeldrin, Masuri i... Co, na Świątłość, one tutaj robiły? Co one tu robiły? Miały zostać razem z Mądrymi!

Gdzieś w przodzie rozległ się głuchy huk, jakby trzask gromu, który wciął się w zgiełek krzyków i wrzasków. Chwilę później w odległości niecałych dwudziestu kroków od niego pojawiła się świetlna kreska; zaczęła się rozszerzać, niczym gigantyczna brzytwa tnąc na pół kilku mężczyzn i jednego konia przypadkowo stojących na jej drodze, aż wreszcie przekształciła się w bramę. Wskoczył z niej odziany na czarno człowiek z mieczem, który z miejsca padł na ziemię, przeszyty włócznią Shaido, ale chwilę potem z bramy, która zaczęła już znikać, wyskoczyło dalszych ośmiu albo dziewięciu, tworząc pierścień wokół tego pierwszego; oni też mieli miecze. I nie tylko. Część atakujących ich Shaido ginęła od mieczy, ale znacznie więcej zwyczajnie stawało w ogniu. Głowy eksplodowały niczym melony rzucone z wysokości prosto na kamień. Perrinowi wydało się, że widzi jeszcze jeden taki pierścień utworzony przez odzianych na czarno mężczyzn, w odległości jakichś stu kroków za tym pierwszym, tak samo jak ten siejący wokół ogień i śmierć, ale nie miał czasu, żeby się teraz nad tym głowić. Jego też otaczali Shaido.

Ustawivszy się plecami do Loiala i Arama, rąbał i siekł desperacko. Teraz już nie parli do przodu. Stać go było tylko na utrzymanie się w tym miejscu, gdzie akurat stał. W uszach tętniła mu krew; słyszał własny, urywany oddech. Słyszał też Loiala, który dyszał niczym olbrzymie miechy. Perrin odepchnął atakującą go włócznię toporem, zamachnął się kolcem na jeszcze jednego Aiela, łapiąc jednocześnie grot czyjejs włóczni, niepomny, że rozdziera mu dłoń, po czym rozpołowił osłoniętą na czarno twarz. Nie sądził, że utrzymają się długo. Każdą swoją częścią skupił się na ratowaniu własnego życia, przedłużeniu go na jeszcze jedną chwilę. Prawie każdą częścią. W zakamarku umysłu majaczył mu obraz Faile i smutek, że nie będzie jej mógł przeprosić za to, że do niej nie wrócił.

Bolesnie złożony w pół we wnętrzu kufra Rand szukał po omacku tarczy odgradzającej go od Źródła. Pustka wypełniła się jękiem, a jej skrajem sunęła ponura furia i palący strach; nie wiedział już, co się bierze z niego, a co z Lewsa Therina. Nagle zaparło mu dech. Znalazł sześć punktów; jeden był twardy. Nie miękki; twardy. Zaraz potem stwardniał drugi. Trzeci. Uszy wypełniał mu chrapliwy śmiech; jego własny śmiech, uświadomił sobie po chwili. Stwardniał czwarty węzeł. Cekał, starając się zdusić ten nieprzyjemny dźwięk, jakby obłąkańczy chichot. Ostatnie dwa punkty pozostały miękkie. Rehot umilkł.

„One to poczują — jęknął desperacko Lews Therin. — Poczują i przywołają tamte z powrotem”.

Rand oblizał spękane wargi niemalże równie wyschlłym językiem; wszelka wilgoć jakby odeszła wraz z potem, który oblewał go całego i wgryzał się w rany. Jeżeli spróbuje i poniesie porażkę, to już nie będzie miał drugiej szansy. Nie mógł czekać. Może zresztą już nigdy więcej nie będzie takiej okazji.

Ostrożnie, na ślepo, obmacał kolejno cztery twarde punkty. Oprócz tarczy nie było tam nic więcej, nic, co mógłby poczuć albo zobaczyć, ale jakoś potrafił wytropić coś wokół tej nicości, poznać jej kształt. Przypominały teraz węzły. W każdym węźle, jak mocno by nie był zaciągnięty, zawsze istniała jakaś przestrzeń wśród tworzących go sznurów, przerwy cieńsze od włosa, gdzie mogło wejść jedynie powietrze. Bardzo wolno, najwolniej jak potrafił, obmacał niezdarnie te przerwy, wciskając się w mikroskopijne odstępy oddzielające to, czego tam jakby wcale nie było. Powoli. Ile minie czasu, zanim tamte wrócą? Jeżeli znowu ujmą tarczę, zanim on znajdzie drogę w tym pokrętnym labiryncie... Powoli. I nagle poczuł Źródło, jakby otarł się o nie paznokciem; samym brzeżkiem paznokcia. *Saidin* nadal znajdował się poza jego zasięgiem — wciąż odgradzała go tarcza — ale czuł nadzieję wzbierającą w Lewsie Therinie. Nadzieję i drzenie. Dwie Aes Sedai nadal trzymały swoją część bariery, nadal świadome tego, co trzymają.

Rand nie umiałby wyjaśnić, co zrobił potem, wiedział tylko, że Lews Therin mu to pokazał; wytłumaczył pomiędzy odpływami swoich własnych szalonych fantazji, pomiędzy rosnącymi atakami wściekłości, a łkaniem po utraconej Ilyenie, między bełkotaniem, że zasłużył na śmierć, i pokrzykiwaniem, że nie dopuści, by one go odcięły od Źródła. Polegało to jakby na naciąganiu tego, co przepchnął przez węzeł, z całej siły. Węzeł opierał się. Drżał. I nagle się rozpadł. Zostało już tylko pięć. Tarcza rzedła. Czuł, że się kurczy. Niewidzialny mur, teraz zbudowany tylko z pięciu cegieł zamiast sześciu. Dwie Aes Sedai też musiały to poczuć, mimo iż mogły nie zrozumieć ani co się stało, ani jak do tego doszło. Błagam, Światłości, tylko nie teraz. Jeszcze nie.

Szybko, niemalże jak oszalały, zaatakował kolejny węzeł. Rozpadł się; tarcza stała się jeszcze cieńsza. A potem szło mu coraz szybciej, coraz szybciej z każdym następnym, jakby to robił z pamięci, mimo iż za każdym razem wszystko było inaczej. Zniknął trzeci węzeł. I pojawił się trzeci miękki punkt; może Aes Sedai nie wiedziały, co on robi, ale nie siedziałyby tak spokojnie, gdy tymczasem tarcza stawała się coraz mniejsza. Teraz już zupełnie jak oszalały rzucił się na czwarty węzeł. Musiał go rozplątać, zanim czwarta siostra przyłączy się do tarczy; cztery mogły ją utrzymać, bez względu jak by się starał. Niemalże łkając, przeciskał się mozolnie przez skomplikowane sploty, wślizgując się w nicość. Napiął się gorączkowo i rozsadził kolejny węzeł. Tarcza nadal istniała, ale utrzymywały ją już tylko trzy węzły. Teraz wystarczy, że będzie operował dostatecznie prędko.

Kiedy sięgnął do *saidina*, niewidzialna bariera nadal tam była, ale już nie zdawała się zbudowana z kamienia bądź cegły. Nacisnął i nie napotkał oporu; poddawała się, poddawała, poddawała... i nagle rozdarła się niczym zetlała tkanina.

Wypełniła go Moc i w tym momencie pochwycił tamte trzy miękkie punkty, miażdżąc je bezlitośnie w pięściach Ducha. Poza tym mógł przenosić tylko do tego, co widział, a widział jedynie i to niewyraźnie wewnątrz kufra, tyle, ile mógł z głową wciśniętą między kolana. Zanim więc skończył działać kułakami Ducha, przeniósł Powietrze. Kufer eksplodował z głośnym łomotem.

„Wolny — wydyszał Lews Therin i było to echo myśli Randa. — Wolny”. A może było na odwrót.

„Zapłacą za to — warknął Lews Therin. — Ja jestem Panem Poranka”.

Rand wiedział, że teraz musi działać szybciej, jeszcze szybciej i o wiele bardziej agresywnie, ale z początku miał wielkie trudności, żeby się w ogóle poruszyć. Ciało bite dwa razy dziennie — nawet nie wiedział od jak dawna — wciskane codziennie do kufra, zabolowało straszliwie, kiedy zgrzytając zębami powoli powstawał na czworaki. Był to odległy krzyk, krzyk cudzego ciała ogarniętego bólem, ale nie mógł go zmusić, by poruszało się szybciej, mimo siły, jaką napełnił go *saidin*. Skorupa Pustki stworzyła bufor dla emocji, a jednak usiłowało się pod nią wcisnąć coś pokrewnego panice.

Znajdował się w sporej kępie drzew rosnących w dużych odległościach od siebie; pomiędzy prawie bezlistnymi konarami wlewały się szerokie strugi słonecznego światła. Wstrząśnięty pojął, że to nadal dzień, może nawet sam środek dnia. Musiał się ruszać; zaraz mogły nadejść inne Aes Sedai. Dwie leżały na ziemi obok niego, nieprzytomne; jedna miała na czole paskudną, krwawiącą ranę. Trzecia, kobieta o kanciastych kształtach, klęczała i ścisnęła obiema dłońmi głowę, krzycząc przeraźliwie. Wydawało się, że nie została trafiona odłamkami eksplodującego kufra. Nie znał żadnej. Chwila żalu, że to nie Galinę albo Erian ujarzmił — nie był pewien, czy zamierzał to zrobić; Lews Therin zaczął teraz się rozwodzić nad tym, jak to zamierza odciąć od Źródła każdą, która go uwięziła; Rand miał nadzieję, że to jego własny pomysł. Pod szczątkami kufra zauważył jeszcze jedno ciało. Odziane w różowy kaftanik i spodnie.

Kobieta o kanciastych kształtach nie spojrzała na niego ani nie przestała krzyczeć wniebogłose, nawet wtedy, gdy pełznąc obok, cisnął ją na kamienną cembrowinę studni. Zastanawiał się, dlaczego nikt nie przybiegł, dlaczego jej krzyk nikogo nie zaalarmował. W połowie drogi do Min zauważył błyskawice padające z nieba niczym lance i kule ognia eksplodujące nad głową. Poczul woń płonącego drewna, usłyszał krzyki i wrzaski, wyrrywające się z męskich gardeł, szczęk metalu, kakofonię bitwy. Nie dbał o to, czy to Tarmon Gai'don. Jeżeli zabił Min... Obrócił ją delikatnie na plecy.

Wielkie, czarne oczy spojrzały na niego.

— Rand — wyszeptwała. — Ty żyjesz. Bałam się sprawdzić. Coś tak strasznie ryknęło i wszędzie było pełno kawałków drewna, poznałam, że to szczątki kufra i... — Po policzkach polały jej się łzy. — Myślałam, że one... Bałam się, że ty... — Zrobiła głęboki wdech, pocierając twarz związanymi dłońmi. Nogi też

miała związane w kostkach. — A może byś tak mnie rozwiązał, pasterzu, i zrobił tu jakąś bramę? Albo nie, nie trudź się rozwiązywaniem. Po prostu przerzuć mnie przez ramię i idź.

Posłużył się zrećnie Ogniem, rozdzielając niewolące ją sznury.

— To nie takie proste, Min. — Nie znał tego miejsca; brama otwarta tutaj mogła prowadzić wszędzie. O ile w ogóle jakąś otworzy. Ból i zmęczenie okroiły granice Pustki. Nie był pewien, ile Mocy może zaczerpnąć. Nagle zrozumiał, że zewsząd czuje przenoszenie *saidina*. Wśród drzew, za kręgiem płonących wozów, widział Aielów walczących ze Strażnikami i odzianymi na zielono żołnierzami Gawyna; ogień i błyskawice przenoszone przez Aes Sedai spychały ich w tył, a mimo to uparcie atakowali. Taim znalazł go w jakiś sposób i przybył mu na ratunek z Asha'manami i Aielami. — Jeszcze nie mogę stąd odejść. Chyba przyjaciele przyszli mi z pomocą. Nie bój się, ja cię obronię.

Poszarpany, srebrny blask rozpołowił drzewo na skraju zagajnika, tak blisko, że aż zwichrzył mu włosy. Min wzdrygnęła się. — Przyjaciele — mruknęła, rozcierając nadgarstki.

Gestem nakazał jej nie ruszać się z miejsca — wyjąwszy ten jeden przypadkowy wybuch, zagajnik zdawał się nietknięty — ale kiedy podniósł się na nogi, była obok i podtrzymywała go z jednej strony. Podszedł chwiejnie do skraju rzadkiej linii drzew, wdzięczny za wsparcie, ale zmusił się, by się wyprostować i przestać na niej wspierać. Czy mogła uwierzyć, że on ją ochroni, skoro bez jej pomocy mógłby upaść na twarz? Wsparł się o pień roztrzaskanego drzewa i to pomogło. Spod kory snuły się smugi dymu, ale drzewo nie stało w ogniu.

Wozy utworzyły wielki pierścień wokół drzew. Część służących starała się chyba utrzymać konie w jednym miejscu — wszystkie zaprzęgi stały nadal w uprzęży — ale większość kuliła się, gdzie popadło, w nadziei, że uniknie błyskawic spadających z nieba. Wyjąwszy tamten jeden zabłąkany piorun, cały ten ognisty ostrzał zdawał się wycelowany w wozy i walczących ludzi. A może również w Aes Sedai. Siedziały na swych koniach, w pewnym oddaleniu od wiru włóczy, mieczy i płomieni, ale niezbyt daleko; niektóre co jakiś czas stawały w strzemionach, by móc lepiej widzieć.

Rand prędko wypatrzył Erian, szczupłą i ciemnowłosą na siwej klaczy. Lews Therin warknął, a Rand zaatakował niemalże bez zastanowienia. Poczuł rozczarowanie drugiego mężczyzny, kiedy to zrobił. Splot Ducha, żeby odgrodzić ją tarczą, z lekkim oporem przy przecinaniu połączenia z *saidarem*, a kiedy tarcza została podwiązana, pałka z Powietrza, żeby zwalić ją nieprzytomną z siodła. Nie ujarzmił jej teraz, bo chciał, żeby wiedziała, kto to zrobił i dlaczego. Jedna z Aes Sedai krzyknęła, że ktoś ma zająć się Erian, ale żadna nawet nie spojrzała w stronę drzew. Żadna nie czuła *saidina* z tamtej strony; myślały, że została strącona na ziemię przez coś, co znajdowało się za wozami.

Omiótł wzrokiem pozostałe kobiety na koniach i zatrzymał się na Katerine,

kraążącej tam i z powrotem na długonogiej gniadej klaczy. Za każdym razem, gdy spojrzała w stronę Aielów, wybuchał tam ogień. Duch, Powietrze, i osunęła się bezwładnie na ziemię, z jedną nogą zaplątaną w strzemionie.

„O tak! — zaśmiał się Lews Therin. — A teraz Galina. Na niej mi zależy szczególnie”.

Rand z całej siły zacisnął powieki. Co on wyprawia? To przecież Lews Therin tak bardzo chciał dopaść tych trzech, że nie potrafił myśleć o niczym innym. Rand chciał im odpłacić za to, co mu zrobiły, ale przecież tam toczyła się bitwa, ginęli ludzie, gdy tymczasem on polował na poszczególne Aes Sedai. Z całą pewnością ginęły również Panny.

Potraktował Duchem i Powietrzem następną Aes Sedai, po lewej stronie od Katerine, w odległości dwudziestu kroków, po czym przeszedł do innego drzewa i powalił Sarene Nemdahl na ziemię, nieprzytomną i otoczoną tarczą. Chwiejnym krokiem, niczym złodziej kieszonkowy skradał się powoli skrajem zagajnika i atakował raz za razem. Min już nie próbowała go podtrzymywać, ale jej ręce cały czas były obok, gotowe go złapać.

— One nas zobaczą — mruknęła. — Jedna z nich się obejrzy i zobaczy nas.

„Galina — warknął Lews Therin. — Gdzie ona jest?”

Rand ignorował i jego, i Min. Padła Coiren i jeszcze dwie inne, których imion nie znał. Musiał robić to, na co go było stać.

Aes Sedai nie rozumiały, co się dzieje. Rozstawione wzdłuż pierścienia utworzonego z wozów po kolei spadały z koni. Te, które jeszcze nie zostały pozbawione przytomności, rozciągały szyk, starając się zająć cały obwód; w sposobie, w jaki prowadziły konie, pojawiło się zdenerwowanie, a furia, z jaką ciskały ogniem i błyskawicami w Aielów spotęgowała się. To musiało być coś z zewnątrz, ale Aes Sedai padały na ziemię, nie wiedząc ani jak, ani dlaczego.

Ich szeregi topniały i nietrudno było przewidzieć skutki. Coraz mniej błyskawic wykwiatało nagle w powietrzu, a coraz więcej uderzało w Strażników i żołnierzy. Coraz mniej kul ognia znikało albo eksplodowało, zanim dotarło do wozów. Aielowie zaczęli się wciskać w przestrzenie między wozami i przewracać je. Kilka chwil potem byli już wszędzie — Aielowie z osłoniętymi na czarno twarzami i chaos. Rand wpatrywał się w to zdumiony.

Strażnicy i odziani na zielono żołnierze walczyli w grupkach z Aielami, a Aes Sedai otoczyły się ognistym deszczem. Ale również Aielowie walczyli z Aielami; mężczyźni z czerwonymi opaskami *siswai'aman* i Panny z czerwonymi opaskami na ramieniu walczyli z Aielami bez tych oznakowań. I nagle wśród wozów pojawili się również cairhieniańscy lansjerzy w ich hełmach w kształcie dzwoonu i Mayenianie w czerwonych napierśnikach; atakowali zarówno Aielów, jak i Strażników. Czyżby wreszcie dopadł go obłąd? Czuł obecność Min, wtulonej w jego plecy i drżącej. Ona była realna. To, co widział, musiało się dziać naprawdę.

Kilkunastu Aielów, każdy równy mu wzrostem albo i wyższy, zaczęło biec w jego stronę. Nie nosili żadnych oznak. Obserwował ich z ciekawością, dopóki w odległości kroku od niego jeden z nich nie uniósł odwróconej włóczni, jakby to była pałka. Rand przeniósł i nagle z kilkunastu miejsc wytrysnął ogień. Zwęglone i powykręcane ciała potoczyły mu się do nóg.

Gawyn ściągnął wodze karego wierzchowca w odległości niecałych dziesięciu kroków od niego, z mieczem w rękę; tuż za nim jechało dwudziestu paru mężczyzn w zielonych kaftanach. Przez chwilę tylko patrzyli na siebie, a Rand modlił się, żeby nie musiał zrobić krzywdy bratu Elayne.

— Min — wychrypiął Gawyn. — Zabieram cię stąd.

Dziewczyna wyjrzała zza ramienia Randa i pokręciła głową; przywarła do niego tak mocno, że nie sądził, by Gawynowi udało się ją od niego oderwać, nawet gdyby chciał.

— Zostaję przy nim, Gawyn. Gawyn, Elayne go kocha.

Dzięki wypełniającej go Mocy Rand widział, jak Gawynowi bieleją stawy dłoni zaciśniętej na rękojeści miecza.

— Jisao — powiedział obojętnym głosem. — Skrzyknij Młodych. Wycinamy sobie odwrót. — O ile jego głos był przedtem obojętny, to teraz stał się zupełnie martwy. — Al’Thor, któregoś dnia zobaczę, jak umierasz. — Wbił pięty w boki konia i pogalopował przed siebie, on i pozostali, którzy co sił w płucach krzyczeli:

— Młodzi! — i jeszcze więcej mężczyzn w zielonych kaftanach torowało sobie drogę, by móc się do nich przyłączyć.

Randowi zabiegł drogę mężczyzna w czarnym kaftanie; spojrzał w ślad za Gawynem i w tym momencie ziemia wybuchła; wielkie grudy obaliły kilka koni, które już docierały do wozów. Rand zdążył zauważyć, jak Gawyn chwieje się w siodle, tuż zanim powalił odzianego na czarno mężczyznę maczugą z Powietrza. Nie znał tego młodzieńca o twardym obliczu, który spojrzał na niego krzywo, ale nosił zarówno miecz, jak i Smoka na wysokim kołnierzu, a poza tym wypełniał *go saidin*.

W mgnieniu oka, jak się zdawało, pojawił się tam Taim, w czarnym kaftanie z rękawami oplecionymi niebiesko-złotymi Smokami; spojrzał na leżącego. Nie miał odznaki przypiętej do kołnierza.

— Nie wolno atakować Smoka Odrodzonego, Gedwyn — powiedział Taim głosem jednocześnie łagodnym i stalowym. Mężczyzna o twardym obliczu podniósł się niezdarnie i zasalutował, przykładając pięść do serca.

Rand spojrzał w stronę, gdzie ostatnio widział Gawyna, ale zobaczył tylko dużą grupę mężczyzn ze sztandarem Białego Dzika, wycinających sobie drogę w otaczających ich tłumie Aielów. Jeszcze więcej mężczyzn odzianych w zielone kaftany walczyło, żeby się do nich przyłączyć.

Taim zwrócił się do Randa z tym swoim prawie uśmiechem na wargach.

— Ufam, że w takich okolicznościach nie zwrócisz się przeciwko mnie, za



to że naruszyłem twój nakaz nie stawania do konfrontacji z Aes Sedai. Miałem powód, by złożyć ci wizytę w Cairhien i... — Wzruszył ramionami. — Wyglądasz na wykończonego. Pozwól, że... — Nieznacznie wywinięte usta zacisnęły się w cienką kreskę, kiedy Rand odsunął się poza zasięg wyciągniętej ręki, wlokąc za sobą Min. Wtuliła się w niego mocniej niż kiedykolwiek.

Lews Therin zaczął swoje tyrady o zabijaniu, jak zwykle na widok Taima, bredząc coś na temat Przeklętych i konieczności zabicia wszystkich, ale Rand przestał słuchać, odegnał tego człowieka niczym muchę. Była to sztuczka, której nauczył się w kufrze, w którym nie miał nic do roboty oprócz obmacywania tarczy i słuchania głosu, w jego głowie, przeważnie wypowiadającego zupełnie obłąkańcze treści. A mimo to nawet bez Lewsa Therina nie chciał, by ten człowiek go Uzdrawiał. Pomyślał, że jeśli Taim kiedykolwiek dotknie go Mocą, wtedy go zabije.

— Jak sobie życzysz — odparł kwaśnym tonem mężczyzna o orlim nosie. — Chyba już zabezpieczyłem obozowisko.

Wydawało się, że mówi prawdę. Ciała zaściewały ziemię, a ludzie bili się już tylko w kilku miejscach, we wnętrzu pierścienia utworzonego z wozów. I nagle nad obozowiskiem wykwitła kopuła z Powietrza; dymy z pożarów wzbity się do otworu pozostawionego na czubku. Nie był to jeden solidny splot *saidina*; Rand widział poszczególne sploty wspólnie tworzące kopułę. Oszacował, że jest pod nią co najmniej dwustu odzianych na czarno mężczyzn. Grad błyskawic i ognia uderzał w tę barierę, eksplodując bez żadnego efektu. Samo niebo zdawało się trzaskać i płonąć; nieustający ryk wypełniał powietrze. Panny ze strzępkami czerwonych opasek zwisającymi z ramion i *siswai'man* stali wzdłuż ściany, której nie mogli widzieć, przemieszani z Mayenianami i Cairhienianami, wśród których wielu potraciło już konie. Z drugiej strony zbita masa Shaido wpatrywała się w niewidzialną barykadę, odgradzącą ich od wroga; niektórzy uderzali w nią włóczniami albo rzucali się na nią całym ciałem. Włócznie napotykały na opór, a ciała odbijały się bezskutecznie.

We wnętrzu kopuły wygasły ostatnie walki. Na oczach skromnej garstki oznakowanych na czerwono mężczyzn i pańien rozbrojeni Shaido o zmartwiałych obliczach zdejmowali przyodziewek; pojmani do niewoli podczas bitwy mieli nosić biel *gai'shain* przez rok i jeden dzień, nawet gdyby Shaido w jakiś sposób udało się opanować obóz. Cairhienianie i Mayenianie dostarczyli strażę dla sporej grupki rozwścieczonych Strażników i Młodych, przemieszanych z przerażonymi służącymi, przy czym pilnujących było niemalże tyle samo co jeńców. Bliżko tuzin Aes Sedai został otoczony tarczą przez taką samą liczbę Asha'manów, noszących miecz i Smoka. Aes Sedai wyglądały na chore i przestraszone. Rand rozpoznał trzy, aczkolwiek Nesune była jedyną, którą znalazł z imienia. Nie rozpoznał żadnego wśród Asha'manów. Sporo tych kobiet, które Rand otoczył tarczą i pozbawił przytomności, leżało obok wziętych do niewoli pod kopułą; niektóre

już zaczynały się ruszać, podczas gdy odziani na czarno żołnierze i Oddani ze srebrnymi mieczami na kołnierzach z pomocą *saidina* wlekli je po ziemi i układali w szeregu. Przynieśli też dwie nieprzytomne Aes Sedai i kanciąstą kobietę z zagajnika; ta nadal krzyczała wniebogłosy. Kiedy dołączono je do tej grupki, część Aes Sedai nagle odwróciła głowy i zaczęła wymiotować.

Były tam jeszcze inne Aes Sedai, otoczone przez Strażników i obserwowane przez odzianych na czarno mężczyzn, aczkolwiek nie otoczone tarczą, obserwowały Asha'manów z równym niepokojem jak kobiety pod strażą. Wpatrywały się w Randa i zapewne przyszłyby do niego, gdyby nie Asha'mani. Rand spiorunował je wzrokiem. Była tam Alanna; a więc nie miał halucynacji. Znał kilka jej towarzyszek, aczkolwiek nie wszystkie. Razem dziewięć. Nagła wściekłość rozszalała się niczym burza poza Pustką i mamrotanie Lewsa Therina wezbrało na sile.

W takiej sytuacji nie przeżył bynajmniej zaskoczenia, gdy zobaczył słaniającego się Perrina, z twarzą i brodą zalanyymi krwią, za którym szedł Loial z ogromnym toporem oraz jasnooki mężczyzna, który dzięki kaftanowi w czerwone paski wyglądałby jak Druciarz, gdyby nie miecz z ostrzem całym skażonym purpurą. Rand omal się nie obejrzał, by sprawdzić, czy nie ma tu też jakimś cudem Mata. Zobaczył natomiast Dobraine, idącego pieszo, z mieczem w jednym ręku oraz drzewcem z purpurowym sztandarem Randa w drugiej. Do Perrina przyłączyła się Nandera, już z odsłoniętą twarzą, i jeszcze jedna Panna, której Rand z początku nie rozpoznał. Dobrze było zobaczyć Sulin znowu odzianą w *cadin'sor*.

— Rand! — zawołał zadyszany głosem Perrin. — Dzięki Światłości, ty jeszcze żyjesz! Chcieliśmy dostać się do ciebie, żebyś zrobił bramę, przez którą moglibyśmy uciec, ale sytuacja wymknęła się spod kontroli. Rhuarc i prawie wszyscy Aielowie są jeszcze wśród Shaido, razem z nimi większość Mayenian i Cairhienian, ale nie mam pojęcia, co się stało z ludźmi z Dwu Rzek i Mądrymi. Aes Sedai miały zostać przy nich, ale... — Postawił topór na ziemi i zadyszany wsparł się na drzewcu; wyglądał, jakby bez tej podpory miał się przewrócić.

Tuż za barierą zaczęli pojawiać się jeźdźcy, a także Aielowie w czerwonych opaskach i Panny z czerwonymi paskami zwisającymi z ramion. Bariera zagradzała drogę również im. Wszędzie tam gdzie się pojawiali, roilo się zaraz od Shaido.

— Niech ta kopuła zniknie — rozkazał Rand. Perrin westchnął z ulgą; też coś. Czyżby uważał, że Rand pozwoli na rzeź jego własnych ludzi? Ale Loial też westchnął. Światłości, co oni o nim myśleli? Min zaczęła masować mu plecy, mrużąc coś pod nosem uspokajającym tonem. Z jakiegoś powodu Perrin obdarzył ją zdziwionym spojrzeniem.

Taim mógł wyglądać na zaskoczonego, ale z pewnością nie ulżyło mu.

— Lordzie Smoku — powiedział zduszonym głosem — moim zdaniem jest tam jeszcze kilka tysięcy kobiet Shaido, co chyba nie jest bez znaczenia. Nie wspominając już o kilku tysiącach Shaido z włóczyniami. Proponuję zacząć kil-

ka godzin, dopóki nie poznamy tego miejsca dostatecznie dobrze, by móc tworzyć bramy wiedząc, gdzie się otworzą, i dopiero potem stąd odejść, no chyba, że chcesz sprawdzić, czy jesteś nieśmiertelny. Ponieśliśmy podczas bitwy wiele ofiar. Ja straciłem dziś kilku żołnierzy, dziewięciu ludzi, których będzie trudniej zastąpić niżli jakąkolwiek liczbę odszczepieńczych Aielów. Ktokolwiek tam umrze, umrze za Smoka Odrodzonego. — Jeżeli w ogóle zauważył Nanderę albo Sulin, to mógł złagodzić ton i staranniej dobrać słowa. Panny zamigotały mową dłoni; wyglądały na gotowe zaatakować go na miejscu.

Perrin wyprostował się, utkwił spojrzenie żółtych oczu w Randzie, stanowcze i jednocześnie pełne niepokoju.

— Rand, nawet jeśli Dannil i Mądre trzymali się na uboczu, tak, jak im to przykazano, to nie odejdą, dopóki będą to widzieć. — Wskazał gestem kopułę nad ich głowami, gdzie ogień i błyskawice tworzyły litą płachtę światła. — Jeśli będziemy tu tak siedzieli godzinami, Shaido zaatakują ich prędzej czy później, o ile już tego nie zrobili. Światłości, Rand! Dannil, Ban, Wil i Tell. . . Tam gdzieś jest także Amys i Sorilea i. . . ! A żebyś ty szczeł, Rand, nawet nie wiesz, ilu za ciebie poległo! — Zrobił głęboki wdech. — Wypuść przynajmniej mnie. Jeżeli uda mi się do nich dotrzeć, to powiadomię ich, że żyjesz, dzięki czemu zdążą się wycofać, zanim zostaną zabici.

— Możemy się stąd wymknąć we dwóch — powiedział cicho Loial, podnosząc swój ogromny topór. — We dwóch będziemy mieli większe szanse. — Druciarz tylko się uśmiechnął, ale za to z dużym zapalem.

— Zrobię otwór w barierze — zaczął Taim, jednak Rand przerwał mu ostro.

— Nie! — To nie dla ludzi z Dwu Rzek. Nie mógł jednak pokazać, że martwi się o nich bardziej niż o Mądre. Prawdę powiedziawszy, musiał udawać, że martwi się mniej. Tam gdzieś jest Amys? Przecież Mądre nie brały udziału w bitwach; słyły nietknięte przez pola bitewne i waśnie krwi. Naruszyły obyczaj, o ile nie prawo. po to żeby go ratować. Wolałby już raczej wpuścić Perrina z powrotem do tego wiru, niż tak je zostawić. Nie, to nie dla Mądrych albo ludzi z Dwu Rzek. — Sevanna chce mojej głowy, Taim. Najwyraźniej uznała, że zdobędzie ją dzisiaj. — Pustka nadała jego głosowi stosowny, pozbawiony emocji ton. Co chyba zmartwiło Min; gładziła jego plecy, jakby chciała go uspokoić. — Musi się dowiedzieć, że popełniła błąd. Kazałem ci wykonać broń, Taim. Pokaż mi, jak jest śmiercionośna. Rozpędź Shaido. Rozbij ich szeregi.

— Jak każesz. — O ile Taim był dotąd sztywny, to teraz zamienił się w kamień.

— Wystawcie na pokaz mój porzecz, w takim miejscu, z którego będzie widoczny dla wszystkich — rozkazał Rand. Niechaj ci poza kopułą zobaczą, kto zdobył obóz. Może Mądre i ludzie z Dwu Rzek się wycofają, kiedy go zobaczą.

Loialowi niepewnie zadrgały uszy, a Perrin chwycił Randa za rękę, kiedy Taim odszedł.

— Na własne oczy widziałem, do czego są zdolni, Rand. To... — Miał zakrwawioną twarz i trzymał w ręku zakrwawiony topór, a mimo to w jego głosie słyhać było niesmak.

— To co ja mam zrobić, twoim zdaniem? — spytał gniewnie Rand. — Co jeszcze mogę zrobić?

Perrin opuścił rękę i westchnął.

— Nie wiem. Ale wcale mi się to nie musi podobać.

— Grady, wznieś Sztandar Światłości! — zawołał Taim, donośnym i grzmiącym za sprawą Mocy głosem. Jur Grady wyrwał za pomocą strumieni Powietrza drzewce z rąk zaskoczonego Dobraine i wznosił je aż do otworu w szczycie kopuły. Jaskrawa czerwień wybiła się ponad kłębowisko dymu unoszącego się od płonących wozów; wokół wytrysnął ogień, a w tle załśniła błyskawica. Rand rozpoznał wiele twarzy wśród mężczyzn w czarnych kaftanach, ale oprócz Jura tylko nielicznych znał z nazwiska. Damer, Fedwin i Eben, Jahar i Torvil; jedynie Torvil nosił Smoka na kołnierzu.

— Asha'mani, utwórzcie szyk bitewny! — zagrział Taim.

Odziani na czarno mężczyźni pobiegli pędem zająć pozycje między barierą, a pozostałymi uczestnikami bitwy, wszyscy z wyjątkiem Jura i tych, którzy pilnowali Aes Sedai. Oprócz Nesune, która przyglądała się wszystkiemu z napięciem, kobiety z Wieży padły na kolana, w ogóle nie patrząc na mężczyzn, którzy otoczyli je tarczami, i nawet Nesune nadal miała taką minę, jakby zaraz miała zwymiotować. Większość sióstr z Salidaru przypatrywała się obojętnie strzegącym je Asha'manom, co jakiś czas przenosząc lodowaty wzrok na Randa. Alanna, dla odmiany, wpatrywała się tylko w niego. Zorientował się, że lekko świerzbi go skóra; wszystkie musiały obejmować *saidara*, skoro czuł to mimo dzielącej ich odległości. Miał nadzieję, że będą na tyle rozsądni, by teraz nie przenosić; patrzący na nich mężczyźni o kamiennych twarzach dzierżyli takie ilości *saidina*; które mogły ich rozsadzić, i wyglądali na równie spiętych jak gładzący miecze Strażnicy.

— Asha'mani, unieście barykadę na wysokość dwóch piędzi! — Na rozkaz Taima krawędzie kopuły podniosły się dookoła. Zaskoczeni Shaido, którzy napięrali na to, czego nie mogli widzieć, zatoczyli się do przodu. Ochłonęli natychmiast na widok pędzącej do przodu rzeszy z osłoniętymi na czarno twarzami, ale zdążyli zrobić tylko jeden krok, kiedy Taim znowu krzyknął. — Asha'mani, zabijajcie!

Przedni szereg Shaido eksplodował. Inaczej ująć się tego nie dało. Odziane w *cadin'sor* sylwetki rozpadały się w fontannach krwi i ciała. Strumienie *saidina* przebijały się przez gęstą mgłę, w mgnieniu oka pomykając od jednego wojownika do drugiego, i już padał następny szereg Shaido, potem znowu następny i jeszcze kolejny, jakby oni wszyscy wbiegali w otwór jakiejś monstrualnej maszyny do mielenia mięsa. Wpatrzony w tę rzeź Rand nerwowo przełknął ślinę. Perrin pochylił się, by zwymiotować, i Rand w pełni go rozumiał. Poległ kolejny szereg. Nandera zakryła oczy, a Sulin odwróciła się plecami. Krwawe szczątki zaczynały

spiętrzać się w mur.

Nikt nie byłby w stanie stawić temu czoła. Już po pierwszym wybuchu śmierci Shaido z przedniego szeregu próbowali zawrócić, ale zderzali się z tymi, którzy napierali do przodu. Wirująca masa splątanych ciał eksplodowała raz jeszcze i wtedy cofali się już wszyscy. Nie cofali się, uciekali. Deszcz z ognia i błyskawic atakujący kopułę zelżał.

— Asha'mani! — zadźwięczał głos Taima. — Utwórzcie pierścień z Ziemi i Ognia!

Pod stopami Shaido, tych znajdujących się najbliżej wozów, nagle wybuchła ziemia, fontannami ognia i ziemi; rozrzuciła ich we wszystkich kierunkach. Ciała ciągle jeszcze wisiały w powietrzu, a tymczasem spod ziemi wytryskiwały kolejne jezory ognia, huczac głośno, coraz liczniejsze, oplatając wozy coraz szerszym kręgiem, ścigając Shaido przez odległość pięćdziesięciu kroków, stu, dwustu. Nie było tam teraz nic prócz paniki i śmierci. Jeden po drugim odrzucali włócznie i tarcze. A nad wszystkim górowała kopuła, doskonale widoczna mimo kłębow dymu unoszących się od płonących wozów.

— Przestańcie! — Ryk wybuchów zagłuszył okrzyk Randa, tak samo jak zagłuszał przeraźliwe wrzaski ginących. Utkął więc takie same sploty, jakimi posłużył się Taim. — Wstrzymaj to, Taim! — Tym razem jego głos zadudnił niczym grzmot, wybijając się ponad wszystkie inne dźwięki.

Jeszcze jedna salwa wybuchów i Taim zawołał:

— Asha'mani, spocznij!

Przez chwilę powietrze zdawała się wypełniać ogłuszająca cisza. Randowi dźwięczało w uszach. Potem usłyszał krzyki i jęki. Ranni ślaniali się na stoczach zabitych. A dalej biegli Shaido, zostawiając za sobą rozproszone grupki *si-swai'aman* i Panien z czerwonymi opaskami na rękach, Cairhienian i Mayenian, wśród których część jeszcze dosiadała koni. Ci, niemalże z wahaniem, ruszyli w stronę wozów, niektórzy Aielowie opuszczali zasłony. Dzięki Mocy wyostrażającej wzrok dostrzegł Rhuarka; wódz kulał, jedna ręka zwisała mu bezwładnie, ale szedł o własnych siłach. Potem, w sporej odległości za Rhuarkiem, wypatrzył dużą grupę kobiet w borych, baniastych spódnicach i jasnych bluzkach, strzeżonych przez mężczyzn z Dwu Rzek z długimi łukami w rękach. Stali zbyt daleko od niego, by mógł rozpoznać twarze.

Rand poczuł, jak wzbiera w nim poczucie dojmującej ulgi, aczkolwiek nie wystarczającej, by pozbyć się pieczenia w żołądku. Min wtuliła twarz w jego koszulę, płakała. Pogładził ją po włosach.

— Asha'mani! — Nigdy dotąd nie był taki zadowolony, że Pustka pozbawia jego głos wszelkich emocji. — Dobrze się spisaliście. Gratuluję, Taim. — Odwrócił się, nie chcąc dłużej patrzeć na tę rzeź, ledwie słysząc okrzyki „Lord Smok!” i „Asha'mani!”, które zagrzmiały od strony odzianych na czarno mężczyzn.

Kiedy się odwrócił, zobaczył Aes Sedai. Merana kryła się z tyłu, za to Alan-

na stanęła niemalże twarzą w twarz z nim, obok dwóch Aes Sedai, których nie rozpoznał.

— To ty się dobrze spisałeś — powiedziała jedna z nich, ta obdarzona kanciastymi rysami. Wieśniaczka, z twarzą pozbawioną śladów upływu lat i spojrzeniem, które wskazywało, że ostatkiem sił zachowuje spokój i ignoruje otaczających ją Asha'manów. Ostentacyjnie ich ignoruje. — Jestem Bera Harkin, a to Kiruna Nachiman. Przybyliśmy, żeby cię uratować... korzystając z pomocy Alanny... — To, rzecz jasna, musiała dodać, ponieważ Alanna nagle zmarszczyła brew — ale wychodzi na to, że niewielki był z nas pożytek. Niemniej jednak nadal się liczą intencje i...

— Wasze miejsce jest razem z nimi — powiedział Rand, wskazując Aes Sedai, otoczone tarczami i pod strażą. Dwadzieścia trzy, zauważył, a brakowało jeszcze Galiny. Mamrotanie Lewsa Therina wezbrało na sile, jednak nie chciał go słuchać. To nie była pora na wybuchy opętającej furii.

Kiruna wyprostowała się z godnością. Kimkolwiek była, na pewno nie wieśniaczką.

— Zapominasz, kim jesteśmy. Może one traktowały cię źle, ale my...

— Ja niczego nie zapominam, Aes Sedai — odparł chłodno Rand. — Powiedziałem, że może przybyć sześć, a doliczyłem się dziewięciu. Mówiłem, że będziecie traktowane na równi z emisariuszkami z Wieży i tak też się stanie. Tamte klęczą, Aes Sedai. Klęczajcie!

Chłodne, spokojne twarze zwróciły się w jego stronę. Poczuł, że Asha'mani szykują tarcze z Ducha. Na obliczu Kiruny pojawił się wyraz buty, i taki sam na twarzy Bery oraz pozostałych. Dwa tuziny odzianych w czarne kaftany mężczyzn stworzyło krąg wokół Randa i Aes Sedai.

Rand jeszcze nigdy nie widział, by Taim był równie bliski uśmiechu.

— Klęczajcie i przysięgajcie posłuszeństwo Lordowi Smokowi — rzekł cicho — albo zostaniecie zmuszone.

I tak, jak to bywa z opowieściami, również ta obiegła wszystkie zakątki Cairhien, i te na północy, i te na południu, wędrując razem z kupieckimi karawanami, handlarzami i zwykłymi podróżnikami plotkującymi po gospodach. I tak, jak to bywa w opowieściach, każdy z opowiadających jakoś ją zmieniał. Aielowie zaatakowali Smoka Odrodzonego i zabili go, przy Studniach Dumai, a może gdzieś indziej. Nie, Aes Sedai uratowały Smoka Odrodzonego. Nie, one go zabiły. Nie, nie zabiły go, tylko poskromiły. Nie, zawiozły go do Tar Valon, gdzie zmarniał w lochach Białej Wieży. Nie, wcale nie zmarniał, bo przecież Zasiadająca na Tronie Amyrlin uklękła przed nim. I inaczej, niż to bywa zazwyczaj w przypadku opowieści, najczęściej wierzone w relacje najbardziej zbliżone do prawdy.

W dniu ognia i krwi nad Studniami Dumai załopotał postrzępiony sztandar,

sztandar ze starożytnym symbolem Aes Sedai.

W dniu ognia, krwi i Jedynej Mocy, jak to przepowiedziało proroctwo, nie-skalana wieża, niczym złamana, ukłękła przed zapomnianym znakiem.

Pierwsze dziewięć Aes Sedai przysięgło posłuszeństwo Smokowi Odrodzone-mu i świat odmienił się na zawsze.

## EPILOG

### ODPOWIEDŹ

Mężczyzna zatrzymał się tylko na chwilę; wsparł dłoń o drzwi lektyki i kiedy Falion odebrała list z jego rąk, natychmiast się oddalił. Zastukała w ściankę i dwaj tragarze ruszyli z miejsca, zanim mężczyzna ubrany w liberię Pałacu Tarasin zdążył się wmieszać w tłum wypełniający plac.

Na małym skrawku papieru widniało tylko jedno słowo: „Zniknęły”. Zmiała go w garści. Znowu się wymknęły jakimś sposobem; nawet jej ludzie niczego nie zauważyli. Miesiące jałowych poszukiwań przekonały ją, że nie ma żadnej skrzyni z *angrealami*, niezależnie od tego, w co wierzyła Moghedien. Zastanawiała się wręcz, czy nie poddać kilku Mądrych przesłuchaniu; któraś z nich mogła wiedzieć, gdzie się ta skrzynia znajduje, o ile rzeczywiście istniała. O, na pewno, tak samo jak konie potrafią latać. W tym plugawym mieście trzymało ją jedynie to, że kiedy jeden z Wybranych wydawał rozkaz, należało się go trzymać, dopóki nie został anulowany. Każde inne działanie to najkrótsza droga do bolesnej śmierci. Ale skoro były tutaj Elayne i Nynaeve... W Tanchico wszystko zniszczyły. Niezależnie od tego, czy były, czy nie były pełnymi siostrami — wydawało się, że to niemożliwe — Falion nie uznałaby ich obecności tutaj za zwykły zbieg okoliczności. Może jakaś skrzynia rzeczywiście istniała. Po raz pierwszy cieszyła się, że Moghedien ignorowała ją od czasu, kiedy otrzymała swoje rozkazy dawno temu w Amadicii. To, co wyglądało na odrzucenie, mogło się jeszcze okazać szansą na awans w oczach Wybranych. Te dwie mogły ją jeszcze doprowadzić do skrzyni, a jeśli nie... jeśli skrzynia nie istniała... Moghedien zdawała się bardziej interesować osobami Elayne i Nynaeve. Z pewnością dostarczenie ich będzie czymś lepszym niż dostarczenie jakiegoś nie istniejącego *angreala*.

Oparłszy się, pozwoliła, by kołysanie lektyki ją uspokoiło. Naprawdę nie cierpiała tego miasta — przybyła tu w czasach, kiedy była zbiegłą nowicjuską — ale może tym razem wizyta będzie miała miłe zakończenie.

Siedzący w swym gabinecie Herid właśnie zaglądał do główki wygasłej fajki i zastanawiał się, czy ma pod ręką coś, czym mógłby ją zapalić, kiedy przez szparę pod drzwiami wślizgnął się gholam. Fel, rzecz jasna, nie uwierzyłby własnym oczom, nawet gdyby zwrócił uwagę na intruza, a zresztą niewielu ludzi miałoby jeszcze jakąś szansę, kiedy gholam znajdował się już w izbie.



Idrien, która jakiś czas później przysłała do gabinetu Fela, wytrzeszczyła oczy na widok tego, co zostało zwalone na niezbyt schludny stos, tuż obok stołu. Dopiero po chwili zrozumiała, co to takiego, a wtedy zemdląła, nie zdoławszy nawet krzyknąć. Tyle razy słyszała o kimś, komu coś wyrwało z ciała kończynę, ale w życiu czegoś takiego nie widziała na własne oczy.

Jeździec ściągnął wodze koniowi na szczycie wzgórza, żeby po raz ostatni obejrzeć się na Ebou Dar, połyskujące bielą w słońcu. W takim mieście było co grabić, a ponieważ wiedział, że miejscowa ludność będzie stawiać opór, więc Krew pozwoli na grabież. Będą się bronić, ale liczył na to, że inni również przywożą raporty o braku jedności. Opór nie potrwa długo tam, gdzie jakaś tak zwana królowa władała małym kawałeczkiem ziemi, a to stwarzało wielkie możliwości. Zawrócił swego wierzchowca i ruszył na zachód. Kto wie? Może komentarz tamtego człowieka stanowił dobry znak. Może już niebawem zacznie się Powrót i razem z nim pojawi się Córka Dziewięciu Księżyców. Z pewnością to byłby najlepszy omen dla zwycięstwa.

Leżąca na plecach w nocnym mroku Moghedien wpatrywała się w dach małego namiotu, który jej było wolno zamieszkiwać jako jednej ze służących Amyrlin. Od czasu do czasu zgrzytała zębami, ale kiedy zdawała sobie z tego sprawę, zaciskała szczęki, świadoma aż za bardzo naszyjnika *a'dam* ciasno opiętego wokół szyi. Ta Egwene al'Vere okazała się jeszcze gorsza od Elayne czy Nynaeve; mniej tolerowała, a za to wymagała więcej. A kiedy przekazywała bransoletę Sivan albo Leane, a zwłaszcza Sivan... Moghedien zadrżała. Tak by to pewnie było, gdyby to Birgitte nosiła bransoletę.

Kłapa wejściowa namiotu odsunęła się i do wnętrza wpadło tyle tylko światła księżycy, by mogła zobaczyć przesłaniającą je sylwetkę jakiejś kobiety.

— Kim jesteś? — spytała szorstkim tonem Moghedien. Kiedy przysyłano po nią kogoś w środku nocy, ten ktoś zawsze przychodził z latarnią.

— Nazywaj mnie Arangar, Moghedien — przemówił rozbawiony głos i w namiocie zabłyśło niewielkie światło.

Jej własne imię sprawiło, że język przywarł Moghedien do podniebienia; to imię oznaczało tutaj śmierć. Usiłowała coś powiedzieć, wyjaśnić, że ma na imię Marigan, kiedy nagle zdała sobie sprawę, co jest źródłem tego światła. Była to mała, rozżarzona bielą kula, która unosiła się w powietrzu tuż obok głowy nowo przybyłej. Z powodu *a'dam* mogła tutaj najwyżej pomyśleć o *saidarze* bez pozwolenia, ale nadal czuła, jak jest przenoszony, widziała tkane sploty. Tym razem nic nie poczuła, nic nie zobaczyła. Tylko małą kulę czystego światła.

Zapatrzyła się na kobietę, która przedstawiła się jako Aran'gar, rozpoznając

ją teraz. Halima, tak jej się wydawało; bodajże sekretarzowała jednej z Zasiadających. Z pewnością była tylko kobietą, nie ważne że o takim wyglądzie, jakby wyśnił ją sobie mężczyzna. Kobieta. Przecież ta kula światła musiała być utkana z *saidina*!

— Kim jesteś? — Głos zadrżał jej nieznacznie, ale i tak zdziwiła się, że jest taki silny.

Kobieta uśmiechnęła się — uśmiechem pełnym rozbawienia — i usadowiła obok jej legowiska.

— Powiedziałam ci, Moghedien. Mam na imię Arangar. Poznasz to imię w przyszłości, jeśli będziesz miała szczęście. A teraz posłuchaj mnie uważnie i nie zadawaj dalszych pytań. Powiem ci to, co powinnaś wiedzieć. Za chwilę zdejmę z ciebie ten uroczy naszyjnik. Kiedy to zrobię, znikniesz, równie szybko i cicho jak Logain. Umrzesz tutaj, jeśli tego nie uczynisz. A źle by się stało, ponieważ na tę właśnie noc zostałam wezwana do Shayol Ghul.

Moghedien oblizwała usta. Wezwana do Shayol Ghul. To mogło oznaczać wieczność w Szczelinie Zagłady, nieśmiertelność we władaniu światem albo wszystko pomiędzy. Niewielka szansa, że oznaczało to nazwanie jej Nae'blis, na pewno nie, skoro Wielki Władca się dowiedział, jak spędziła ostatnie miesiące, i przysyłał kogoś, żeby ją uwolnił. Ale było to wezwanie, na które nie mogła się nie stawić. A poza tym oznaczało koniec *a'dam*.

— Tak, zdejmij to. Pójdę natychmiast. — Nie było zresztą sensu zwlekać; była silniejsza od jakiegokolwiek kobiety w obozie, ale nie zamierzała dopuszczać, by krąg złożony z trzynastu spróbował na niej swych poczynań.

— Wiedziałam, że tak na to spojrzysz. — Halima zaniósła się śmiechem. Dotknęła naszyjnika, wzdrygając się nieznacznie. Moghedien znowu poczęła rozmyślać o tej kobiecie, która ewidentnie przenosiła *saidina* i odczuwała ból, nieważne że lekki, dotykając czegoś, co mogło zranić jedynie mężczyznę, który potrafił przenosić. Wtedy naszyjnik został zdjęty, zniknął szybko w sakwie kobiety. — Idź, Moghedien. Ruszaj natychmiast.

Kiedy Egwene dotarła do namiotu, wsunęła do środka głowę i latarnię, znalazła jedynie rozkopane koce. Powoli się wycofała.

— Matko — Chesa kręciła się za nią — nie powinnaś wychodzić na nocne powietrze. Nocne powietrze to złe powietrze. Przecież mogłam przyprowadzić Marigan, jeśli to z nią chciałaś się widzieć.

Egwene rozejrzała się dookoła. Czowała, jak naszyjnik spadał, i czuła błysk bólu, który oznaczał, że mężczyzna, który potrafił przenosić, musnął połączenie. Większość ludzi już spała, ale kilku siedziało jeszcze przed namiotami przy małych ogniskach i niektórzy nawet wcale nie daleko. Może uda jej się dowiedzieć, który z mężczyzn przyszedł do namiotu „Marigan”.

— Moim zdaniem ona uciekła, Chesa — odparła. Gniewne pomrukiwania Chesy na temat kobiet, które opuszczają swoją panią, odprowadzały ją do namiotu. To raczej nie mógł być Logain. Nie wróciłby, nie mógłby wiedzieć. A może?

Demandred ukląkł w Szczelinie Zagłady i raz przynajmniej go nie obchodziło, że Shaidar Haran obserwuje jego dygot bezokim, obojętnym spojrzeniem.

— Czy nie spałem się dobrze, Wielki Władco?

Głowę Demandreda wypełnił śmiech Wielkiego Władcy.

*Nieskażona wieża łamie się i klęka przed zapomnianym znakiem.*

*Morza się pienią i wzbierają niewidzialne chmury burzowe.*

*Za horyzontem pęcznieją ukryte ognie i węże gnieźdzą się w tonie*

*Wyniesione do chwały zostaje odrzucone; odrzucone wyniesionym jest.*

*Proroctwa Smoka*

tłumaczenie Jeorad Manyard,

Gubernator Prowincji Andor

dla Wysokiego Króla, Artura Paendraga Tanrealla.

## GLOSARIUSZ

Nota o datach w poniższym glosariuszu. Kalendarz Tomański (opracowany przez Tomędur Ahmida) został przyjęty około dwu wieków po śmierci ostatniego mężczyzny Aes Sedai i rejestrował lata, które upływały Od Pęknięcia Świata (OP). Wiele zapisów uległo zniszczeniu podczas Wojen z Trollokami i pod ich koniec wybuchł spór o poszczególne daty liczone według starego systemu. Opracowany zatem został nowy kalendarz, autorstwa Tiama z Gazar, którego początkiem był koniec Wojen, i który uświetniał wyzwolenie spod zagrożenia ze strony trolloków. Każdy odnotowany w nim rok określano jako Wolny Rok (WR). Kalendarz Gazarański wszedł do powszechnego użytku w ciągu dwudziestu lat od zakończenia Wojen. Artur Hawkwing starał się wprowadzić nowy kalendarz, który miał się zaczynać od ufundowania jego imperium (OU), ale dzisiaj znany jest on jedynie historykom. Po tym jak Wojna Stu Lat przyniosła z sobą ogólną destrukcję, śmierć i zniszczenia, pojawił się trzeci kalendarz, opracowany przez Uren din Jubai Szybującą Mewę, uczoną Ludu Morza, i upowszechniony przez Farede, Parnarch Tarabon. Kalendarz Faredański, zapisujący lata Nowej Ery (NE), liczone od arbitralnie przyjętego końca Wojny Stu Lat, jest obecnie w powszechnym użytku.

***a'dam* (AYE-dam):** Instrument służący do podporządkowania kobiety, która potrafi przenosić; przydatny jedynie w odniesieniu do kobiet, które potrafią przenosić względnie takich, których można nauczyć przenoszenia. Tworzy połączenie między dwoma kobietami. Jego seanchańska odmiana składa się z kołnierza i bransolety, połączonych smyczą ze srebrzystego metalu. Jeżeli połączy się mężczyznę, który potrafi przenosić z jakąś kobietą za pomocą *a'dam*, wówczas oboje zapewne umrą. Już samo dotykanie *a'dam* może wywołać ból u mężczyzny, który potrafi przenosić, jeżeli *a'dam* jest noszony przez kobietę, która potrafi przenosić. Patrz również: łączenie, Seanchanie.

**Aes Sedai (EYEZ seh-DEYE):** Władający Jedyłą Mocą. Od Czasu Szaleństwa jedynymi pozostałymi przy życiu Aes Sedai są kobiety. Budzące powszechną nieufność, strach, a nawet nienawiść, są przez wielu ludzi obwiniane za Pęknięcie Świata, uważa się powszechnie, iż mieszają się do polityki poszczególnych państw. Jednocześnie niewielu władców obywa się bez rad Aes Sedai, nawet w tych krajach, w których istnienie takich koneksji musi być utrzymywane w tajemnicy. Po latach przenoszenia Jedynej

Mocy, twarze Aes Sedai uzyskują wygląd nie pozwalający domyślić się ich wieku, tak że Aes Sedai, która jest wystarczająco stara, by mogła być prababką, może nie posiadać znamion wieku, wyjąwszy kilka siwych włosów. Patrz również: Ajah; Pęknięcie Świata; Zasiadająca na Tronie Amyrlin.

**Aiel (eye-EEL):** Lud żyjący na Pustkowiu Aiel. Waleczny i odważny. Zanim zabiją, osłaniają twarz woalem. Wojownicy, którzy walczą na śmierć i życie, za pomocą broni albo nawet gołych rąk, nie dotykają jednak mieczy. Nie jeżdżą również konno, chyba że zmuszeni. Przed bitwą ich dudziarze grają im taneczne melodie, Aielowie nazywają bitwę „Tańcem” oraz „Tańcem włóczni”. Dzielą się na dwanaście klanów: Chareen, Codarra, Daryne, Goshien, Miagoma, Nakai, Reyn, Sharaad, Shaido, Shiande, Taardad i Tomanelle. Zdarza im się mówić o trzynastym klanie, Klanie Którego Nie Ma, Jenn, którego członkowie byli budowniczymi Rhuidean. Wiadome jest powszechnie, że Aielowie zawiedli kiedyś Aes Sedai, za który to występek zostali wygnani do Pustkowie Aiel i że jeśli zawiodą je ponownie, wówczas czeka ich ostateczna zagłada. Patrz również: Apatia; *gai' shain*; Pustkowie Aiel; Rhuidean; Społeczności Wojowników Aiel.

**Ajah (AH-jah):** Społeczności Aes Sedai, do których należą wszystkie Aes Sedai z wyjątkiem Zasiadającej na Tronie Amyrlin, którą uznaje się za członkinię wszystkich Ajah. Swoje nazwy biorą od poszczególnych barw: Błękitne Ajah, Czerwone Ajah, Białe Ajah, Zielone Ajah, Brązowe Ajah, Żółte Ajah i Szare Ajah. Wszystkie wyznają odrębne filozofie korzystania z Jedynej Mocy i celu, jakim służą Aes Sedai. Czerwone Ajah całą swoją energię koncentrują na wyszukiwaniu i poskramianiu mężczyzn, którzy próbują władać Mocą. Brązowe Ajah, dla odmiany, odmawiają zaangażowania w sprawy świata i poświęcają się poszukiwaniu wiedzy, natomiast Białe Ajah rezygnują i z jednego, i z drugiego, poświęcając się pytaniom filozoficznym oraz ogólnej teorii prawdy. Zielone Ajah (nazwane Bojowymi Ajah podczas Wojen z Trollokami) trwają w gotowości, oczekując Tarmon Gaidon, Żółte oddają się studiom nad Uzdrawianiem, a Błękitne siostry uczestniczą aktywnie w sprawach polityki i sprawiedliwości. Szare są mediatorami, poszukującymi harmonii i wzajemnego zrozumienia. Pogłoski o istnieniu Czarnych Ajah, które poświęciły się służbie dla Czarnego, są oficjalnie dementowane.

**Altara (al-TAH-rah):** Kraina położona nad Morzem Burz, ale tak naprawdę to niewiele ją jednoczy oprócz nazwy. Altarani uważają siebie za mieszkańców danego miasta albo wioski względnie poddanych jakiegoś lorda albo lady, a dopiero w drugiej kolejności za mieszkańców Altary. Niewielu arystokratów płaci podatki na rzecz Korony, względnie czyni coś więcej poza

opowiadaniem się za swym państwem. Władca Altary (obecnie królowa Tylin Quintara z Domu Mitsobar, TIE-lihn quin-TAHR-ah; MIHT-soh-bahr) rzadko kiedy jest kimś więcej niżli najpotężniejszym arystokratą w kraju, a bywało, że nie był nawet kimś takim. Tron Wiatrów dysponuje tak niewielką władzą, że wielu arystokratów wzdragałoby się przed jego przyjęciem, gdyby stanęli wobec takiej konieczności.

**Amadicia (ah-mah-DEE-cee-ah):** Państwo położone na południe od Gór Mgły, między Tarabonem a Altarą. Jej stolica, Amador (AH-mah-door), jest siedzibą Synów Światłości; Lord Kapitan Komandor posiada tam, nawet jeśli nie z tytułu, więcej władzy niż król. W Amadicii każdy, kto posiada umiejętność przenoszenia Mocy, zostaje wyjęty spod prawa, zgodnie z nim takie osoby winny być skazywane na więzienie względnie wygnanie, jednakże w rzeczywistości często są zabijane przy „stawianiu oporu podczas aresztowania”. Sztandar Amadicii przedstawia sześcioramienną gwiazdę oplecioną czerwonym ostem na niebieskim tle. Patrz również: Przenosić Jedyńą Moc; Synowie Światłości.

**Amys (ah-MEESE):** Mądra z Siedziby Zimnych Skał i wędrująca po snach. Kobieta Aiel ze szczepu Dziewięciu Dolin, Taardad Aiel. Żona Rhuarka, siostra-żona Lian (lee-AHN), pani dachu Siedziby Zimnych Skał oraz siostra-matka Aviendhy.

**angreal (ahn-gree-AHL):** Pozostałość Wieku Legend, dzięki któremu każdy, kto jest zdolny do przenoszenia Jedynej Mocy, może bezpiecznie zaczerpnąć większą jej ilość, niż to jest możliwe bez wspomagania. Niektóre tworzono z myślą o mężczyznach, inne dla kobiet. Pogłoski o *ter'angrealach*, których zdolni byliby używać zarówno mężczyźni, jak i kobiety, nie zostały nigdy potwierdzone. Sposób jego wytwarzania nie jest już znany. Pozostało ich niewiele. Patrz również: Przenosić Jedyńą Moc; *sa'angreal*; *ter'angreal*.

**Apatia:** Termin Aielów, określający skutki, jakie u wielu spośród nich wywołało odkrycie, że ich przodkowie nie byli zapalczywymi wojownikami tylko surowymi wyznawcami pokojowych rozwiązań, zmuszonymi do walki w obronie życia podczas Pęknięcia Świata i lat, które po nim nastąpiły. Wielu uważa, że tym właśnie zawiedli Aes Sedai. Jedni odrzucają włącznie i uciekają. Drudzy nie chcą zdjąć bieli *gai'shain*, kiedy czas ich służby dobiegnie końca. Jeszcze inni podważają to wszystkiego i dlatego nie wierzą, że Rand al'Thor jest rzeczywiście *Car'a'carnem*; ci albo wracają do Pustkowie Aiel, albo przyłączają się do Shaido, którzy są w opozycji wobec al'Thora. Patrz również: Aiel; *Car'a'carn*; *gai'shain*, Pustkowie Aiel.

**Arad Doman (AH-rad do-MAHN):** Lud żyjący na wybrzeżu Oceanu Aryth. Obecnie rozrywany wojną domową, a równocześnie walkami z tymi, którzy opowiedzieli się po stronie Smoka Odrodzonego oraz przeciwko Tarabon. Kobiety Domani sławne są — lub niesławne — ze swojego piękna, uwodzicielstwa i skandalicznego ubioru.

**Artur Hawkwing:** Legendarny król Artur Paendrag Tanreall (AHR-tuhr PAY-ehn-DRAG tahn-RE-ahl). Panował w latach WR 943–994. Zjednoczył wszystkie ziemie na zachód od Grzbietu Świata, a także niektóre krainy położone za Pustkowiec Aiel. Wysłał nawet wojska za ocean Aryth (WR 992), jednakże po jego śmierci, która wywołała Wojnę Stu Lat, utracono z nimi wszelki kontakt. Jego godłem był złoty jastrząb w locie. Patrz również: Wojna Stu Lat.

**Avendoraldera (AH-ven-doh-ral-DEH-rah):** Drzewo, które wyhodowano w mieście Cairhien z sadzonki *Avendesory*. Sadzonka ta stanowiła dar od Aielów, przekazany przez nich w roku 566 NE, pomimo że żadne zapisy nie wskazują na jakikolwiek możliwy związek między Aielami a legendarnym Drzewem Życia.

**Atha'an Miere (Ah-thah-AHN mee-EHR). Patrz:** Lud Morza

**Bair (BAYR):** Mądra ze szczepu Haido, Shaarad Aiel. Wędrująca po snach. Nie potrafi przenosić. Patrz również: Wędrująca po snach.

**bard:** Wędrowny gawędziarz, muzyk, zongler, akrobata i wszechstronny artysta. Bardowie, rozpoznawani dzięki swym tradycyjnym płaszczom uszytym z kolorowych łątek, dają swe przedstawienia głównie po wsiach i mniejszych miejscowościach.

**Berelain sur Paendrag (BEH-reh-fain suhr PAY-ehn-DRAG):** Pierwsza z Mayene, Błogosławiona Światłością Obrończyni Fal, Zasiadająca na Wysokim Tronie Domu Paeron (pay-eh-ROHN). Piękna i zdecydowana młoda kobieta, nadto utalentowana władczyni: Patrz: Mayene.

**Biała Wieża:** Centrum i jednocześnie serce potęgi Aes Sedai, mieszczące się w samym środku Tar Valon, wielkiego miasta-wyspy.

**Białe Płaszcze:** Patrz: Synowie Światłości.

**Birgitte (ber-GEST-teh):** Złotowłosa heroina legend i opowieści bardów, sławna ze swej urody w tym samym stopniu niemalże, co z odwagi i talentów łuczniczych. Ma srebrny łuk i srebrne strzały, którymi nigdy nie chybia celu. Należy do bohaterów, którzy stawiają się na wezwanie Rogu Valere. Oprócz



urody i talentu hzczniczego niewiele ma wspólnego z tym, co głoszą o niej pieśni. Zawsze występuje u boku bohatera-szermierza, Gaidala Caina. Patrz również: Róg Valere.

**Bryne Gareth (BRIHN, GAH-rehth):** Niegdyś kapitan-generał Gwardii Królowej w Andorze. Uważany za jednego z najlepszych żyjących dowódców. Godłem Domu Bryne jest dziki byk z różaną koroną Andoru na karku. Osobistym godłem Garetha Bryne'a są trzy złote pięcioramienne gwiazdy.

***cadin'sor* (KAH-din-sohr):** Ubiór wojowników Aiel; kaftan i spodnie w barwach szarości i brązu, łatwo wtapiających się w skaliste lub cieniste otoczenie, oraz miękkie sznurowane buty sięgające kolan. W Dawnej Mowie zwrot ten oznacza: „ubiór roboczy”, aczkolwiek jest to, rzecz jasna, przykład niedokładny.

**Cairhien (KEYE-ree-EHN):** Nazwa kraju położonego przy Grzbiecie Świata i jednocześnie nazwa jego stolicy. Miasto zostało spalone i złupione podczas Wojen z Aielami, podobnie jak wiele innych miast i wsi. Na skutek wojen opuszczone zostały tereny uprawne w pobliżu Grzbietu Świata, co z kolei zmusiło kraj do importu ogromnych ilości ziarna. Zabójstwo króla Galdriana (998 NE) wtrąciło Cairhien w wojnę domową o sukcesję na Tronie Słońca między szlacheckimi Domami, a także spowodowało przerwę w dostawach zboża i w konsekwencji klęskę głodu. Miasto było oblegane przez Shaido podczas konfliktu zwanego obecnie przez niektórych Drugą Wojną z Aielami; z odsieczą obleżonym przyszli inni Aielowie dowodzeni przez Randa al'Thora. Godłem Cairhien jest złote słońce o licznych promieniach, wschodzące na samym dole tła, którym jest niebo. Patrz również: Wojna z Aielami.

***Callandor* (CAH-lahn-DOOR):** Miecz Który Nie Jest Mieczem, Miecz Którego Nie Można Dotknąć. Kryształowy miecz ongiś przechowywany w Kamieniu Łzy. Potężny *sa'angreal*. Jego usunięcie z komnaty zwanej Sercem Kamienia było, obok upadku Kamienia Łzy, jednym z głównych znaków Odrodzenia Smoka oraz rychłego nadejścia Tarmon Gai'don. Ponownie umieszczony w Sercu, gdzie wbił go w kamienną posadzkę Rand al'Thor: Patrz także: Kamień Łzy; *sa'angreal*; Smok Odrodzony.

***Car'a'carn*:** „Wódz wodzów” w Dawnej Mowie. Według proroctwa Aielówznaczony dwoma Smokami mężczyzna, który przyjdzie o świcie z Rhuidean, i przeprowadzi ich przez Mur Smoka. Proroctwo Rhuidean powiada, że mąż ów najpierw zjednoczy, a potem zniszczy Aielów, niemalże co do ostatniego. Patrz również: Aiel; Rhuidean.

**Caraighan Maconar (kah-RYE-gihn mah-CON-ahr):** legendarna Zielona siostra (212–373 OP), bohaterka około stu przygód, spośród których część nawet niektóre Aes Sedai uważają za niewiarygodne, mimo wzmianek o nich w dokumentach Białej Wieży; np. stłumienie rebelii w Mosadorin w pojedynkę, a także zażegnanie Zamieszek w Comaidin w czasie, kiedy Caraighan nie miała żadnych Strazników. Przez Zielone Ajah uważana za archetyp Zielonej siostry. Patrz również: Aes Sedai; Ajah.

**Carridin, Jaichim (CAHR-ih-dihn, JAY-kim):** Inkwizytor Ręki Światłości, wysoki rangą oficer Synów Światłości, a także Sprzymierzeniec Ciemności.

**Cauthon, Abell (CAW-thom AY-bell):** Farmer z Dwu Rzek. Ojciec Mata Cauthona. Żona: Natti (Nat-tee). Córci: Eldrin (EHL-drihn) i Bodewhin (BOHD-wihn), zwana po prostu Bode.

**Czarny:** Powszechnie używane we wszystkich krajach imię *Shai'tana*: źródło zła, antyteza Stwórcy. Uwięziony przez Stwórcę w momencie Stworzenia w więzieniu Shayol Ghul. Próba uwolnienia go z tego więzienia wywołała Wojnę o Cień, skażenie *saidina*, Pęknięcie Świata i koniec Wieku Legend. Patrz również: Proroctwa Smoka; Smok.

**damane:** W Dawnej Mowie, literalnie: „wzięta na smycz”. Seanchański termin dla oznaczenia kobiet, które potrafią przenosić, i które, jak uważają, należy kontrolować przy użyciu *a'dam*. Kobiety, które potrafią przenosić, a które jeszcze nie zostały uczynione *damane*, zwane są *marath'damane*, czyli: „te, które muszą być wzięte na smycz”. Patrz również: *a'dam*; Seanchan; *sul'dam*.

**Dawna Mowa:** Język, którym mówiono w Wieku Legend. Jej znajomości oczekuje się zazwyczaj od ludzi szlachtetnie urodzonych i wykształconych, większość jednak zna zaledwie kilka słów. Tłumaczenia częstokroć następczą wiele trudności ze względu na to, że jego słowa wyposażone są w rozmaitość subtelnie różniących się znaczeń. Patrz również: Wiek Legend.

**Deane Aryman (dee-AHN-eh AH-rih-mahn):** Zasiadająca na Tronie Amyrlin, która uratowała Białą Wieżę od zniszczeń spowodowanych przez Bonwhin dążącą do przejęcia kontroli nad Arturem Hawkwingiem. Urodzona około roku 920 WR w wiosce Salidar na terytorium Eharonu, została wyniesiona do godności Amyrlin z Błękitnych Ajah w 992 WR. Uważa się, że to ona przekonała Sourana Maravaile, by ten odstąpił od oblegania Tar Valon (zaczętego w 975 WR) po śmierci Hawkwinga. Deane przywróciła Wieżę

jej prestiż i podobno tuż przed śmiercią, która nastąpiła w 1084 w wyniku upadku z konia, prawie udało jej się namówić arystokratów walczących między sobą o szczątki imperium Hawkwinga, by zgodzili się na przywództwo Białej Wieży, co miało przywrócić jedność ziemiom imperium. Patrz również: Artur Hawkwing; Zasiadająca na Tronie Amyrlin.

**Druciarze:** Właściwa nazwa Tuatha'an (too-AH-thah-AHN); zwani również Ludem Wędrowców. Wędrowni lud mieszkający w jaskrawo pomalowanych wozach i wyznający pacyfistyczną filozofię, zwaną Drogą Liścia. Należą do tych nielicznych, którzy mogą bez przeszkód przeprować się przez Pustkowie Aiel, bowiem Aielowie unikają wszelkich kontaktów z nimi. Mało kto podejrzewa, że Tuatha'anie to tak naprawdę potomkowie Aielów, którzy oderwali się od pozostałych klanów podczas Pęknięcia Świata, pragnąc odnaleźć drogę powrotną do czasów pokoju. Patrz również: Aiel.

**Dziedziczka Tronu:** Tytuł nadawany spadkobierczyni tronu Andoru. Jeżeli królowa nie ma żadnej córki, wówczas korona przechodzi na jej najbliższą krewną. Spory odnośnie tego, kto jest ową najbliższą krewną, kilkakrotnie doprowadziły do walk o władzę. W wyniku ostatniej z nich, zwanej w Andorze „Sukcesją”, a poza jego granicami „Trzecią Wojną o Andorańską Sukcesję”, na tronie zasiadła Morgase z Domu Trakand.

**Dzikuska:** Kobieta, która zupełnie sama nauczyła się przenosić Jedyne Moc, przeżywając kryzys, co udawało się tylko jednej na cztery. Takie kobiety zazwyczaj budują bariery mentalne wokół wiedzy dotyczącej tego, co rzeczywiście robią, ale kiedy uda się przełamać owe bariery, wówczas taka kobieta może znaleźć się wśród najpotężniejszych z przenoszących. Przydomku tego używa się często w pogardliwy sposób.

**Elaida do Avriny a'Roihan (eh-Ly-da doh AHV-rih-nee ahROY-han):** Aes Sedai, dawniej należąca do Czerwonych Ajah; obecnie wyniesiona do godności Zasiadającej na Tronie Amyrlin. W przeszłości była doradczynią Morgase, królowej Andoru. Czasami potrafi głosić Przepowiednie.

**Fałszywy Smok:** Imię nadawane różnym mężczyznom, którzy utrzymywali, że są Smokiem Odrodzonym. Kilka takich postaci było powodem wybuchu wojen, wciągających wiele narodów. Na przestrzeni stuleci większość z nich nie potrafiła korzystać z Jedynej Mocy, niemniej jednak niektórzy rzeczywiście byli w stanie to osiągnąć. Wszyscy albo znikali, albo brano ich do niewoli i zabijano, zanim spełnili którekolwiek z Proroctw dotyczących Odrodzenia Smoka. Do najpotężniejszych spośród tych, którzy potrafili przenosić, zaliczali się Raolin Darkbane (335–362 OP), Yurian

Stonebow (ok. 1300–1308 OP), Davian (WR 351 ), Guaire Amalasan (WR 939–43), Logain (997 NE) i Mazrim Taim (998 NE). Patrz także: Smok Odrodzony.

***Far Dareis Mai* (FAHR DAH-rize MY):** W Dawnej Mowie dosłownie „Panny Włóczni”. Jedna ze społeczności wojowników Aiel; w odróżnieniu od innych, przyjmuje w swe szeregi wyłącznie kobiety. Żadna Panna nie może wyjść za mąż i pozostać członkinią społeczności, nie może także walczyć, jeśli spodziewa się dziecka. Każde dziecko urodzone przez Pannę jest oddawane na wychowanie innej kobiecie, i to tak, by nikt się nie dowiedział, kim była matka dziecka. („Nie będziesz należała do żadnego mężczyzny ani żaden mężczyzna nie może należeć do ciebie. Włócznia jest twym kochankiem, twym dzieckiem i twym życiem”.) Patrz także; Aiel; Społeczności Wojowników Aiel.

**Gaidin (GYE-deen):** W Dawnej Mowie „Brat Bitew”. Tytuł, który Aes Sedai nadają Strażnikom. Patrz również: Strażnik.

***gai'skain* (GYE-shain):** Z Dawnej Mowy; „Zaprzysiężony Pokojowi w Bitwie” jest chyba najbardziej odpowiednim tłumaczeniem tego zwrotu. Aiel wzięty do niewoli podczas rajdu albo bitwy przez innego Aiela, który zgodnie z wymogami *ji'e'toh* musi służyć temu lub tej, którzy go pojмали, pokornie i posłusznie przez jeden rok i jeden dzień, nie dotykając broni i nie stosując przemocy. Nie można uczynić *gai'shain* z Mądrej, z kowala, z dziecka, względnie z kobiety, która ma dziecko poniżej dziesięciu lat. Patrz także: Apatia.

**Galad (gah-LAHD):** Damodred, Lord Galadedrid (DAHM-oh-drehd, gah-LAHD-eh-drihd). Przyrodni brat Elayne i Gawyna; ojcem wszystkich trojga był Taringail (TAH-rihn-gail) Damodred. Godłem Galada jest zakrzywiony srebrny miecz, skierowany ostrzem w dół.

**Gawyn (GAH-wihn) z Dynastii Trakand (trah-KAND):** Syn Królowej Morgase i brat Elayne, który będzie Pierwszym Księciem Miecza, gdy Elayne zasiądzie na tronie. Przyrodni brat Galada. Jego godłem jest biały dzik.

**Gra Domów:** Nazwa nadana knowaniom, spiskom i manipulacjom uprawianym przez arystokratyczne domy. Wysoko ceni się wyrafinowanie polegające na dążeniu do jednej rzeczy pod pozorem, że dąży się do innej, a także osiągnięcie celu przy użyciu najskromniejszych, niedostrzegalnych dla innych środków. Określana także Wielką Grą, a czasami nazwą wziętą z Dawnej Mowy: *Daes Dae'mar* (DAH-ess day-MAR).

**Grzbiet Świata:** Wysokie pasmo górskie z bardzo niewielką liczbą przełęczy, które oddziela Pustkowie Aiel od ziem położonych na zachodzie. Zwany również Murem Smoka.

**Illian (IHL-lee-an):** Wielkie miasto portowe położone nad Morzem Sztormów; stolica kraju o tej samej nazwie.

**Jedyna Moc:** Moc przenoszona z Prawdziwego Źródła. Przeważająca większość ludzi jest całkowicie niezdolna do przenoszenia Jedynej Mocy. Niewielu z nich można nauczyć przenoszenia jej, a zupełnie znikoma liczba ma tę zdolność wrodzoną. Tych nielicznych nie trzeba uczyć, dotyczą Prawdziwego Źródła i przenoszą Moc, czy tego chcą czy nie, być może nawet sobie nie uświadamiają, co robią. Ta wrodzona zdolność objawia się zazwyczaj pod koniec okresu dojrzewania lub tuż po osiągnięciu dojrzałości. Jeżeli taki człowiek nie zostanie nauczony kontroli albo uczy się sam (co jest nadzwyczaj trudne, sukces osiąga jedynie jedna na cztery osoby), jego śmierć jest pewna. Od Czasu Szaleństwa żaden mężczyzna nie potrafił przenosić Mocy i nie popaść w rezultacie w straszliwy obłąd, a następnie, nawet jeśli nabył odrobinę umiejętności kontrolowania, to umierał na wyniszczającą chorobę, która powoduje; że cierpiący na nią gnije za życia — chorobę, podobnie jak obłąd, powodowała skaza, jaką Czarny dotknął *saidina*. Patrz również: Aes Sedai; Pęknięcie Świata; Pięć Mocy; Prawdziwe Źródło; Przenosić Jedyną Moc.

**Juilin Sandar (JUY-lihn sahn-DAHR):** Łowca złodziei z Łzy.

**kalendarz:** Tydzień składa się z dziesięciu dni, miesiąc z dwudziestu ośmiu dni, a rok z trzynastu miesięcy. Kilka świąt nie należy do żadnego z miesięcy; są to Niedziela (najdłuższy dzień w roku, Święto Dziękczynienia (raz na cztery lata podczas wiosennego zrównania dnia z nocą) oraz Święto Zbawienia Wszystkich Dusz, zwane również Dniem Wszystkich Dusz (raz na dziesięć lat podczas jesienno-zimowego zrównania dnia z nocą).

**Kamień Łzy:** Wielka forteca w mieście Łza, o której powiada się, iż wzniesiono ją wkrótce po Pęknięciu Świata, oraz że do jej zbudowania użyto Jedynej Mocy. Była oblegana i atakowana niezliczoną ilość razy, zawsze jednak bez powodzenia; padła w ciągu jednej nocy, zdobyta przez Smoka Odrodzonego i kilka setek Aielów, w ten sposób wypełnione zostały dwa Proroctwa Smoka. Patrz również: Proroctwa Smoka; Smok.

**Koło Czasu:** Czas jest Kołem wyposażonym w siedem szprych, każda szprycha to Wiek. Koło Czasu obraca się, a Wieki nadchodzą i mijają, pozostawiając wspomnienia, które stają się legendą, a potem mitem i są zapomniane wraz

z ponownym nadejściem tego Wieku. Wzór Wieku zmienia się nieznacznie za każdym razem, gdy ten Wiek nastaje i za każdym razem ulega większym zmianom, aczkolwiek jest to zawsze ten sam Wiek.

**Lan, al'Lan Mandragoran (LAN, AHL-LAN man-DRAG-oran):** Nie koronowany król Malkier, krainy pochłoniętej przez Ugór w tym samym roku, w którym Lan się urodził (953 NE). Dai Shan (Władca Bitew) i ostatni pozostały przy życiu malkierski lord. Kiedy ukończył szesnaście lat, wszczął swoją własną, prywatną wojnę przeciwko Ugorowi i Cieniowi, którą kontynuował do roku 979 NE, kiedy Moiraine połączyła go ze sobą więzią jako Strażnika. Patrz również: Moiraine; Strażnik.

**Lews Therin Telamon; Lews Therin Zabójca Rodu:** Patrz: Smok.

**Lini (LIHN-nee):** Piastunka lady Elayne, a przed nią jej matki, Morgase, a także matki Morgase. Kobieta dysponująca wielką siłą wewnętrzną, spostrzegawczością oraz mnóstwem powiedzonek.

**Logain (loh-GAIN):** Człowiek, który ongiś proklamował się Smokiem Odrodzonym. Pojmany po tym, gdy wywołał wojnę w Ghealdan, Altarze i Murandy, został zawieszony do Białej Wieży i tam poskromiony. Uciekł w trakcie zamieszania po obaleniu Suan Sanche. Mężczyzna, którego czekają jeszcze chwile chwały. Patrz także: Fałszywy Smok.

**Lud Morza:** Bardziej właściwa nazwa Atha'an Miere (a-thah-AHN mee-EHR), Morski Naród. Mieszkańcy wysp położonych na Oceanie Aryth (AH-rihth) i Morzu Burz, spędzają tam niewiele czasu, żyjąc przede wszystkim na statkach. Większość handlu morskiego jest uprawiana za pomocą statków Ludu Morza.

**Łączenie:** Umiejętność kobiet zdolnych do przenoszenia, która polega na łączeniu strumieni Jedynej Mocy. Połączonymi splotami kieruje jedna osoba, dzięki czemu można je wykorzystać bardziej precyzyjnie i ze znacznie lepszym skutkiem niż w przypadku pojedynczych splotów. Mężczyźni nie są w stanie łączyć swoich zdolności, jeżeli w utworzonym przez nich kręgu nie znajdzie się co najmniej jedna kobieta. Z kolei bez udziału mężczyzny w krąg może się połączyć do trzynastu kobiet. Przy udziale jednego mężczyzny w kręgu może się zebrać dwadzieścia sześć kobiet. Dzięki dwóm mężczyznom ich liczba wzrasta do trzydziestu czterech, i tak dalej, dopóki nie zostanie osiągnięta granica sześciu mężczyzn i sześćdziesięciu sześciu kobiet. Zdarzają się połączenia, w których te proporcje są zachwiane; bierze w nich udział więcej mężczyzn a za to mniej kobiet, ale wyjąwszy połączenie jednego mężczyzny z jedną kobietą, w kręgu musi być zawsze o co

najmniej jedną kobietę więcej niż mężczyzn. W większości kręgów połączenie może kontrolować zarówno mężczyzna jak i kobieta, ale to mężczyzna musi kontrolować krąg złożony z siedemdziesięciu dwóch osób, a także kręgi mieszane, w których bierze udział mniej niż trzynaście osób. Mimo iż mężczyźni są zasadniczo silniejsi we władaniu Jedyną Mocą, jednak najsilniejsze kręgi to takie, w których liczba mężczyzn i kobiet jest mniej więcej równa. Patrz również: Aes Sedai.

**Łza:** Kraj położony nad Morzem Burz, a także stolica tego kraju, wielki port. Na sztandarze Łzy widnieją trzy białe półksiężyce na polu w połowie czerwonym, a połowie złotym. Patrz również: Kamień Łzy.

**Manetheren (mann-EHTH-ehr-ehn):** Jeden z Dziesięciu Krajów, które utworzyły Drugie Przymierze, a także stolica tego kraju. Zarówno miasto, jak i kraj zostały całkowicie zniszczone podczas Wojen z Trollokami. Godłem Manetheren był Czerwony Orzeł w locie. Patrz również: Wojny z Trollokami.

**Mayene (may-EHN):** Miasto-państwo nad Morzem Burt terytorialnie i historycznie zawsze zależne od Łzy. Obecnie władcą Mayene jest „Pierwsza z Mayene”; przedtem władał nim zawsze Pierwszy Lord albo Pierwsza Lady. Pierwsi utrzymują, iż są potomkami Artura Hawkwinga. Tytuł Drugiego bądź Drugiej, niegdyś dzierżony przez pojedynczego lorda lub lady, w ciągu ostatnich czterystu lat był niekiedy dzielony nawet przez dziewięć osób. Godłem Mayene jest złoty jastrząb w locie na niebieskim tle.

**Mazrim Taim (MAHZ-rihm tah-EEM):** Fałszywy Smok, który wszczął zamieszki w Saldaei; ostatecznie pokonany i pojmany do niewoli. Nie tylko zdolny przenosić, ale również dysponujący znaczną siłą. Patrz również: Fałszywy Smok.

**Mądra:** Wśród Aielów Mądre są kobietami wybranymi przez inne Mądre i wyuczonymi w leczeniu, stosowaniu ziół, itp., mniej więcej tak jak Wiedzące. Cieszą się wielkim autorytetem, ale również spoczywa na nich znaczna odpowiedzialność; ich wpływ na wodzów klanów i szczeptów jest niemały, chociaż mężczyźni często oskarżają je o wtrącanie się w nie swoje sprawy. Sporo Mądrych potraci przenosić, z mniejszym lub większym skutkiem; wyszukują wszystkie kobiety Aielów, które urodziły się z iskrą i większość takich, które mogą się uczyć przenoszenia. Obyczaj zakazuje Aielom mówić o tym, że Mądre potrafią przenosić. Również zgodnie z obyczajem Mądre unikają wszelkich kontaktów z Aes Sedai, jeszcze bardziej niż pozostali Aielowie. Mądre stoją ponad wszelkimi waściami krwi i bitwami; zgodnie

z nakazami *ji'e'toh* nie wolno im zadać żadnej krzywdy fizycznej ani też przeszkodzić w jakichkolwiek działaniach. Udział Mądrej w walce byłby niewiarygodnym naruszeniem tradycji i obyczaju. Wśród żyjących obecnie trzy Mądre są wędrującymi po snach, obdarzonymi umiejętnością wchodzenia do *Tel'aran'rhiod* oraz, między innymi, przemawiania do innych ludzi w ich snach. Patrz również: *Tel'aran'rhiod*; Wędrująca po snach.

**Melaine (meh-LAYN):** Mądra ze szczepu Jhirad, Goshien Aiel. Wędrująca po snach. Umiarkowanie silna we władaniu Jedyńą Mocą. Żona Baela, wodza klanu Goshien. Siostra-żona Dorhindy, pani dachu Siedziby Dymiących Źródeł. Patrz również: Wędrująca po snach.

**miary odległości :** 10 cali = 3 dłonie = 1 stopa; 3 stopy = 1 krok; 2 kroki = 1 piędź; 1000 piędzi = 1 mila; 4 mile = 1 liga.

**miary wag:** 10 uncji = 1 funt; 10 funtów = 1 kamień; 10 kamieni = 1 cetnar; 10 cetnarów = 1 tona.

**Moiraine Damodred (mwah-rain DHAM-oh-drehd):** Aes Sedai z Błękitnych Ajah. Urodzona w roku 956 NE w Pałacu Królewskim w Cairhien. Przybyła do Białej Wieży jako nowicjuszka w 972 NE; pokonywała kolejne stopnie wtajemniczenia z prędkością meteorytu: już po trzech latach została Przyjętą i po kolejnych trzech, pod koniec Wojny z Aielami, wyniesiono ją do godności Aes Sedai. Od tego momentu rozpoczęła poszukiwania młodego mężczyzny, który (jak to przepowiedziała inna Aes Sedai, Kitaro Moroso), urodził się na zboczach Góry Smoka podczas Bitwy o Lśniące Mury, i który miał zostać Smokiem Odrodzonym. To właśnie ona wywiozła z Dwu Rzek Randa al'Thora, Mata Cauthona, Perrina Aybarę i Egwene al' Vere. Zagięła we wnętrzu *ter'angreal* w Cairhien, podczas swej potyczki z Lanfear, najwyraźniej zabijając i siebie, i Przekłątą.

**Morgase (moor-GAYZ):** Z Łaski Światłości Królowa Andoru, Obrończyni Królestwa, Opiekunka Ludu, Dziedziczka Dynastii Trakand. Obecnie przebywa na wygnaniu, przy czym wielu ludzi jest przekonanych, iż została zamordowana przez Smoka Odrodzonego. Jej godłem są trzy złote klucze. Godłem Dynastii Trakand jest srebrny klucz sklepienia.

**Myrddraal (MUHRD-draal):** Twory Czarnego, dowódcy trolloków. Pomiot trolloków, w którym ujawniły się cechy ludzkiej rasy, użyte do stworzenia trolloków, lecz skażone przez zło, dzięki którym powstały trolloki. Fizycznie przypomina człowieka, tyle że bez oczu, ma jednak sokoli wzrok zarówno przy świetle, jak i o zmroku. Dysponuje pewnymi mocami wywodzącymi



się od Czarnego, między innymi zdolnością do paraliżowania samym swoim widokiem i umiejętnością znikania wszędzie tam, gdzie jest cień. Jedną z jego nielicznych poznanych słabości jest niechęć do zanurzania się w płynącej wodzie. W lustrach odbijają się jedynie jakby za mgłą. W różnych krajach nadano mu różne przydomki, między innymi Półczłowiek, Bezoki, Zaczajony, Człowiek-Cień i Pomor.

**Ogirowie (OH-gehr):** Rasa niehumanoidalna, charakteryzująca się wysokim wzrostem (dorosły mężczyzna liczył sobie przeciętnie dziesięć stóp), szerokimi, przypominającymi niemalże pyski nosami oraz długimi uszami, zakończonymi pędzelkami. Żyją na obszarach zwanych *stedding*, które rzadko opuszczają i zazwyczaj nie utrzymują żywszych kontaktów z ludzkością. Wśród ludzi wiedza na ich temat jest niewielka i wielu wierzy, iż Ogirowie są jedynie legendą, powszechnie jednak słyną jako budowniczości i wiadomo też, że to oni skonstruowali większość miast po Pęknięciu Świata. Chociaż uważa się ich za lud miłujący pokój i niezwykle trudno wpadający w gniew, to jednak niektóre dawne opowieści głoszą, iż walczyli u boku ludzi podczas Wojen z Trollokami; te same opowieści przedstawiają ich jako nieubłaganych w boju dla swych wrogów. Ogólnie rzecz biorąc, miłują wiedzę, a ich księgi i opowieści często zawierają informacje stracone dla ludzkości. Średni czas życia ogirów jest przynajmniej trzy- lub czterokrotnie dłuższy od ludzkiego. Patrz również: Pęknięcie Świata, *stedding*.

**Padan Fain (PAD-an FAIN):** Niegdyś wędrowny handlarz krążący po Dwu Rzekach i Sprzymierzeniec Ciemności; w Shayol Ghul uległ transformacji, za sprawą której nie tylko jest zdolny odnaleźć młodego mężczyznę, który zostanie Smokiem Odrodzonym, dokładnie tak, jak psy myśliwskie odnajdują upolowaną zwierzynę dla myśliwego, ale również ma w sobie zaszczepioną potrzebę, by owego młodzieńca odnaleźć. Wynikły z tego ból zaszczepił w Fainie nienawiść zarówno wobec Czarnego, jak i Randa al'Thora. W trakcie swej pogoni za al'Thorem, natknął się w Shadar Logoth na uwięzioną duszę Mordetha; starała się ona zawładnąć ciałem Faina. „Wchłaniając” ową duszę Fain nabył umiejętności dalece wykraczające poza to, czym on sam i tamten drugi uprzednio dysponowali, aczkolwiek Fain jeszcze nie do końca pojmuje, na czym one dokładnie polegają. Większość ludzi obawia się bezokiego spojrzenia Myrddraala; Myrddraale czują lęk na widok spojrzenia Faina.

**Pęknięcie Świata:** Podczas Czasu Szaleństwa mężczyźni Aes Sedai, którzy popadli w obłąd, zmienili oblicze ziemi. Spowodowali wielkie trzęsienia, zrównanie górskich łańcuchów, wypiętrzenie nowych gór, powstanie suchych łądów w miejscach, gdzie przedtem były morza, zalanie przez mo-

rza dawnych lądów. Wiele części świata uległo całkowitemu wyludnieniu, a ocalali rozproszyli się jak pył na wietrze. O tych zniszczeniach wspomina się w opowieściach, legendach i historii jako o Pęknięciu Świata.

**pierwsza-siostra; pierwszy brat:** termin stosowany przez Aielów w relacjach pokrewieństwa, a oznaczający posiadanie wspólnej matki. Wśród Aielów posiadanie tej samej matki oznacza bliższe pokrewieństwo niż posiadanie tego samego ojca.

**Pięć Mocy:** Jedyną Moc splatają wątki, których nazwy pochodzą od tego, co można z nimi zrobić — Ziemia, Powietrze (czasami nazywane Wiatrem), Ogień, Woda i Duch — i nazywa się je Pięcioma Mocami. Każdy władający Jedyną Mocą sprawniej posługuje się jedną z nich, ewentualnie dwoma, natomiast mniejsze kompetencje ma w przypadku pozostałych. W Wieku Legend Moce Ducha były w równym stopniu własnością mężczyzn, jak i kobiet, wielkie zdolności operowania Ziemią i/lub Ogniem właściwe były raczej mężczyznom, a Wodą i/lub Powietrzem kobietom. Zdarzają się wyjątki, jednak Ziemię i Ogień zasadniczo uważa się za Moce męskie, natomiast Powietrze i Wodę za żeńskie.

**Płomień Tar Valon:** Symbol Tar Valon, Tronu Amyrlin i Aes Sedai. Stylizowany wizerunek ognia, biała łza ustawiona czubkiem do góry.

**Poskramianie:** Uprawiany przez Aes Sedai akt unieszkodliwiania mężczyzny, który potraci korzystać z Jedynej Mocy. Jest on niezbędny, ponieważ każdy mężczyzna, który nauczy się to robić, popada w obłęd pod wpływem skazy na *saidinie* i w swoim szaleństwie nieuchronnie będzie dokonywał straszliwych rzeczy z Mocą, nim skaza go zabije. Mężczyzna, który został poskromiony, nadal może wyczuwać Prawdziwe Źródło, jednak nie może go dotykać. Wszelkie oznaki szaleństwa, które dają się zauważyć przed poskromieniem, zostają powstrzymane przez akt poskramiania, mimo że samo szaleństwo nie zostaje uleczone, jednak jeśli wykona się ten akt dostatecznie szybko, można zapobiec śmierci. Należy jednak dodać, iż poskromiony mężczyzna nieuchronnie traci wolę życia; ci, którym nie udaje się popełnić samobójstwa, zazwyczaj i tak umierają przed upływem dwóch lat. Patrz również: Jedyna Moc; Ujarzmianie.

**Prawdziwe Źródło:** Siła napędzająca świat, która obraca Kołem Czasu. Jest podzielona na męską połowę (*saidin*) i żeńską połowę (*saidar*), które jednocześnie pracują razem i przeciwko sobie. Jedynie mężczyzna może czerpać Moc z *saidina*, a tylko kobieta z *saidara*. Od ponad trzech tysięcy lat *saidin* jest skażony przez dotknięcie Czarnego. Patrz również: Jedyna Moc.

**prawie-siostra; prawie-brat:** Termin stosowany przez Aielów w relacjach pokrewieństwa, a oznaczający przyjaciółkę bądź przyjaciela równie bliskich jak pierwsza-siostra czy pierwszy-brat. Prawie-siostry często adoptują się wzajemnie jako pierwsze-siostry. Niezwykle rzadko zdarza się by czynili to prawie-bracia.

**Proroctwa Smoka:** Niewiele wiadomo i niewiele się mówi o Proroctwach, podanych w *Cykle Karaethon* (ka-REE-ah-thon). Przepowiadają one, że Czarny ponownie się uwolni i wtedy Lews Therin Telamon, Smok, Sprawca Pęknięcia Świata, odrodzi się, by stoczyć Tarmon Gai'don, Ostatnią Bitwę z Cieniem, i ocali świat-po raz kolejny też wywołując Pęknięcie Świata. Patrz również: Smok.

**Przekleci:** Przydomek nadany trzynastu najpotężniejszym Aes Sedai Wieku Legend, jednym z najpotężniejszych, jacy kiedykolwiek żyli, którzy przeszli na stronę Czarnego podczas Wojny z Cieniem w zamian za obietnicę nieśmiertelności. Sami siebie nazywają „Wybranymi”. Zgodnie z legendą, a także szczątkowymi zapisami, zostali uwięzieni razem z Czarnym, kiedy na mury jego więzienia ponownie nałożono pieczęcie. Nadane im imiona do dziś wykorzystuje się w celu straszenia dzieci. Oto one: Aginor (AGH-ih-nor), Asmodean (ahs-MOH-dee-an), Balthamel (BAAL-thah-mell), Belal (BEH-lahl), Demandred (DE-man-drehd), Graendal (GREHN-dahl), Ishamael (ih-SHAH-may-Ehl), Lanfear (LAN-feer), Mesaana (meh-SAH-nah), Moghedien (moh-GHEH-dee-ehn), Rahvin (RAAV-ihn), Sammael (SAHMmay-EHL) oraz Semirhage (SEH-mitrRHAHG).

**Przenosić Jedyńą Moc:** (*czasownik*) kontrolować przepływ Jedynej Mocy. Patrz również: Jedyńa Moc.

**Przyjęta:** Młoda kobieta, studiująca i ćwicząca w celu zostania Aes Sedai, która osiągnęła już pewien stopień opanowania Mocy i przeszła określone próby. Normalnie wyniesienie z nowicjatu do godności Przyjętej zajmuje pięć do dziesięciu lat. Przyjęte są do pewnego stopnia mniej ograniczone regułą niżli nowicjuszki, pozwala im się również, w pewnych granicach, samym dobierać przedmioty studiów. Przyjęte noszą pierścień z Wielkim Wężem na środkowym palcu lewej dłoni. Przyjęta wyniesiona do godności Aes Sedai wybiera swoje Ajah, uzyskuje prawo do noszenia szala i może nosić pierścień na każdym palcu lub nie nosić wcale, jes'li usprawiedliwiają to okoliczności. Patry także: Aes Sedai.

**Przysięgi, Trzy:** Przysięgi składane przez Przyjętą wynoszoną do godności Aes Sedai. Podczas ceremonii Przyjęta trzyma w dłoni Różdżkę Przysięg,

*ter'angreal*, który czyni przysięgę wiążącą. Sens przysięg jest następujący: (1) Nie wypowiadać żadnych innych słów prócz prawdy. (2) Nie wytwarzać żadnej broni, za pomocą której jeden człowiek mógłby zabić drugiego. (3) Nigdy nie używać Jedynej Mocy jako broni, z wyjątkiem sytuacji, kiedy kieruje się ją przeciwko Pomiotowi Cienia, albo w przypadku zagrożenia własnego życia, życia Strażnika lub innej Aes Sedai. Druga Przysięga jest historycznie pierwsza, była efektem Wojny z Cieniem. Pierwsza przysięga, jeżeli traktować ją literalnie, daje się częściowo przynajmniej ominąć, dzięki ostrożnemu dobieraniu słów. Sądzi się jednak, iż pozostałe dwie są nienaruszalne.

**Pustkowie Aiel:** Dzika, chaotycznie ukształtowana i zupełnie pozbawiona wody kraina na wschód od Grzbietu Świata. Przez Aielów zwana Ziemią Trzech Sfer. Niewielu ludzi z zewnątrz odważa się zapuszczać w głąb Pustkowie; Aielowie uważają, iż prowadzą wojnę z innymi narodami i niechętnie witają obcych. Wkraczać tam bezpiecznie mogą jedynie handlarze, bardowie oraz Tuatha'nowie, ale kontaktu z tymi ostatnimi Aielowie unikają, określając ich mianem „Zatraczonych”. Nic nie wiadomo o istnieniu jakichkolwiek map Pustkowie.

**Rashima Kerenmosa (rah-SHE-mah kelyrehn-MOH-sah):** Nazywana Wojującą Amyrlin. Urodziła się ok. 1150 roku OP. Na Tron Amyrlin wyniesiona z Zielonych Ajah w roku 1251 OP. Osobiście dowodziła wojskami Wieży, odnosząc niezliczone zwycięstwa, wśród których najznamienitsze to bitwy pod Przełęczą Kaisin, Krokiem Sorelle, Larapelle, Tel Norwin i Maighande, gdzie poległa w roku 1301 OP. Ciało Rashimy i pięciu Strażników znaleziono po bitwie otoczone przez potężny mur z trupów trolloków i Myrddraali, a także co najmniej dziewięciu Władców Strachu. Patrz również: Aes Sedai; Ajah; Strażnicy; Władcy Strachu; Zasiadająca na Tronie Amyrlin.

**Rhuidean (RHUY-dee-ahn):** Wielkie miasto, jedyne w Pustkowie Aiel i całkowicie nieznane zewnętrznemu światu. Porzucone od blisko trzech tysięcy lat. W przeszłości mężczyznom spośród Aielów wolno było wejść do Rhuidean tylko raz, po to, by poddać się sprawdzianowi we wnętrzu wielkiego *ter'angrealu*, czy nadają się na wodza klanu (po takim sprawdzianie żył tylko jeden na trzech), kobietom natomiast dwa razy, celem odbycia sprawdzianu w tym samym *ter'angrealu* i ponownie, gdy miały zostać Mądrymi, aczkolwiek w ich przypadku liczba tych, które owe próby przeżyła, była znacznie większa. Obecnie miasto jest ponownie zamieszkałe przez Aielów i w jednym krańcu doliny Rhuidean znajduje się wielkie jezioro, zasilane przez podziemny ocean świeżej wody, który dla odmiany zasila jedyną rzekę płynącą przez Pustkowie. Patrz również: Aiel.

**Róg Valere (vah-LEER):** Legendarny cel Wielkiego Polowania Na Róg. Uważa się, iż za jego pomocą można wezwać z grobu legendarnych bohaterów, aby walczyli z Cieniem. Obecnie ogłoszono nowe Polowanie na Róg i w wielu krajach można napotkać zaprzysiężonych Myśliwych.

**sa'angreal (SAH-ahn-GREE-ahl):** Pozostałości Wieku Legend, które pozwalają posiadającej je osobie korzystać ze znacznie większej ilości Jedynej Mocy, niż byłoby to w innym przypadku możliwe albo bezpieczne. *Sa'angreal* jest podobny, lecz znacznie potężniejszy od *angreala*. Ilość Mocy, którą można zaczerpnąć za pomocą *sa'angreala*, jest porównywalna z ilością Mocy, z której można korzystać za pomocą *angreala* w takim samym stopniu, w jakim ilość Mocy, którą można władać za pomocą *angreala*, ma się do ilości Mocy, którą można władać bez wspomagania. Sposób jego wytwarzania nie jest już znany. Tak jak w przypadku *angreali*, istnieją *sa'angreali* przeznaczone tylko dla kobiet, i inne, wyłącznie dla mężczyzn. Egzemplarzy *sa'angreali* pozostała już jedynie garstka, znacznie mniej jeszcze niż *angreali*.

**saidar, saidin (sah-ih-DAHR, sah-ih-DEEN):** Patrz: Prawdziwe Źródło.

**Seanchan (SHAWN-CHAN):** Kraina, z której przybyli Seanchanie.

**Seanchanie:** Potomkowie armii wysłanych przez Artura Hawkwinga na drugi brzeg oceanu Aryth, które powróciły, by ponownie przejąć we władanie ziemie swych przodków. Uważają, że każda kobieta, która potrafi przenosić, winna być kontrolowana dla bezpieczeństwa innych i że tych samych względów powinno się zabijać wszystkich mężczyzn, którzy potrafią przenosić.

**Shayol Ghul (SHAY-ol GHOOL):** Góra w Ziemiach Przeklętych, za Wielkim Ugorem, teren więzienia Czarnego.

**siostra-żona:** Termin stosowany przez Aielów w relacjach pokrewieństwa. Te kobiety Aielów, które są dla siebie prawie-siostrami albo pierwszymi siostrami, a odkrywają, że kochają tego samego mężczyznę, względnie nie chcą, by jakiś mężczyzna stanął między nimi, poślubiają go obie, tym samym stając się siostrami-żonami. Kobiety, które kochają tego samego mężczyznę, starają się niekiedy sprawdzić, czy mogą się stać prawie-siostrami i adoptowanymi pierwszymi-siostrami, co stanowi pierwszy krok w celu zostania siostrami-żonami.

**Smok:** Przydomek, pod którym Lews Therin Telamon był znany podczas Wojny z Cieniem trzy tysiące albo i więcej lat temu. Kierowany oblędem, jaki

owładnął wszystkimi mężczyznami Aes Sedai, Lews Therin zabił wszystkich, w żyłach których płynęła choć kropla jego krwi, a także wszystkich, których kochał, zyskując sobie w ten sposób miano Zabójcy Rodu. Patrz również: Proroctwa Smoka; Smok Odrodzony.

**Smok Odrodzony:** Zgodnie z Proroctwami Smoka, człowiek który jest Odrodzonym Lewsem Therinem Zabójcą Rodu. Większość ludzi, aczkolwiek nie wszyscy, uznaje, że Smokiem Odrodzonym jest Rand al'Thor. Patrz również: Fałszywy Smok; Proroctwa Smoka; Smok.

**Sorilea (soh-rih-LEE-ah):** Mądra z siedziby Shende, Jarra Chareen. Wielce możliwe, iż zdolna do Przenoszenia Jedynej Mocy. Jest najstarszą żyjącą Mądrą, aczkolwiek nie jest aż tak wiekowa, jak niektórzy sądzą.

**Spółeczności wojowników Aiel:** Każdy wojownik Aiel jest członkiem jednej z dwunastu społeczności. Są to: Czame Oczy (*Seia Doon*), Bracia Orła (*Far ALdazar Din*), Biegacze Świtu (*Rahien Sorei*), Ręce Noża (*Sovin Nai*), Tancerze Gór (*Hania N'dore*), Włócznie Nocy (*Cor Darei*), Wędrowcy Burzy (*Sha'mad Conde*), Prawdziwa Krew (*Taro Shari*), Kamienne Psy (*Shae'en M'taal*), Czerwone Tarcze (*Aethan Dor*), Poszukiwacze Wody (*Duah-de Mahdi'in*) i Panny Włóczni (*Far Dareis Mai*). Każda społeczność ma własne obyczaje, niekiedy poświęca się wypełnianiu specyficznych obowiązków. Na przykład Czerwone Tarcze funkcjonują jako rodzaj policji. Kamienne Psy często pełnią rolę tylnej straży podczas odwrotu, Panny zaś wykorzystywane są jako zwiadowcy. Klany Aielów często walczą między sobą, jednakże członkowie tej samej społeczności nie prowadzą z sobą walki, nawet jeśli robią to ich klany. Dzięki temu klany zawsze utrzymują z sobą kontakt, mimo otwartej waśni. Patrz również: Aiel; *FarDareis Mai*; Pustkowie Aiel.

**Sprzymierzeńcy Ciemności:** Wyznawcy Czarnego, którzy wierzą, że zdobędą wielką władzę i nagrody, a nawet nieśmiertelność, po tym, jak on zdoła uwolnić się ze swego więzienia. Między sobą posługują się niekiedy dawnym mianem „Przyjaciół Ciemności”.

**steding (STHED-ding):** Miejsce, w którym mieszkają ogirowie. Wiele z nich zostało opuszczonych po Pęknięciu Świata. W jakiś sposób, obecnie już nie znany, *steding* są zabezpieczone, dzięki czemu żadna Aes Sedai nie potrafi Przenosić Jedynej Mocy, ani nawet wyczuć Prawdziwego Źródła. Próby władania Jedyzną Mocą z zewnątrz *steding* nie przyniosły żadnych efektów wewnątrz granic *steding*. Żaden trollok nie wejdzie do *steding*, chyba że zostanie tam zapędzony, nawet Myrddraal uczyni to tylko pod

wpływem najwyższej konieczności, a i wtedy z niechęcią i obrzydzeniem. Nawet Sprzymierzeńcy Ciemności, jeśli są szczerze oddani swemu władcy, czują się nieswojo w *stedding*.

**Strażnik:** Wojownik połączony zobowiązaniem z Aes Sedai. Zobowiązanie zostaje utrwalone za pomocą Jedynej Mocy, dzięki czemu Strażnik jest obdarzony zdolnością szybkiego odzyskiwania zdrowia, długiego obywania się bez jedzenia, wody albo wypoczynku, a także wyczuwania z dużej odległości skazy Czarnego. Dopóki dany Strażnik żyje, dopóty Aes Sedai, z którą jest połączony zobowiązaniem, wie, że on żyje, niezależnie od tego, jak duża dzieli ich odległość, gdy zaś umiera, Aes Sedai zna dokładnie moment i sposób, w jaki umarł. Większość Aes Sedai jest zdania, że mogą być połączone zobowiązaniem z tylko jednym Strażnikiem, aczkolwiek Czerwone Ajah nie chcą więzi z żadnym, natomiast Zielone Ajah uważają, że Aes Sedai może być połączona więzią z tyloma Strażnikami, ile tylko zechce. Zgodnie z etyką Strażnik winien wyrazić zgodę na połączenie go zobowiązaniem, znane są jednak przypadki, gdy czyniono to wbrew jego woli. To, co Aes Sedai zyskują dzięki więzi zobowiązania, jest utrzymywane w ścisłej tajemnicy. Patrz również: Aes Sedai.

**Synowie Światłości:** Społeczność wyznająca surowe, ascetyczne reguły; jej członkowie nie poczuwają się do przynależności do jakiegokolwiek ludu, powstała w celu pokonania Czarnego i zniszczenia wszystkich Sprzymierzeńców Ciemności. Założona podczas Wojny Stulecia w celu nawracania rosnących rzesz Sprzymierzeńców Ciemności, przekształciła się podczas wojny w organizację całkowicie militarną, nadzwyczaj sztywno trzymającą się swych reguł, zrzeszającą ludzi całkowicie przekonanych, że tylko oni znają prawdę i prawo. Nienawidzą Aes Sedai, uważając je i wszystkich, którzy je popierają albo się z nimi przyjaźnią, za Sprzymierzeńców Ciemności. Pogardliwie nazywa się ich Białymi Płaszczami, ich godłem jest promieniście słońce na białym tle. Patrz także: Śledczy.

**Szary Człowiek:** Osoba, która dobrowolnie oddała swoją duszę, by móc zostać skrytobójcą na usługach Cienia. Szary Człowiek charakteryzuje się wyglądem tak niepozornym, że wzrok potrafi prześlizgnąć się po nim, w ogóle go nie zauważając. Przytłaczająca większość spośród nich to mężczyźni, ale niekiedy zdarzają się również kobiety. Nazywa się ich także Bezduśnymi.

**Śledczy:** Kasta wewnątrz społeczności Synów Światłości. Ich celem jest odkrywanie prawdy na drodze dysput i demaskowanie Sprzymierzeńców Ciemności. W poszukiwaniu prawdy i Światłości ich normalną metodą prowadzenia śledztwa są tortury. Uważają, że znają prawdę i muszą tylko zmusić

swoją ofiarę do jej wyznania. Śledczy nazywają samych siebie Ręką Światłości, Ręką która odślania prawdę, i czasami zachowują się tak, jakby działali całkowicie niezależnie od Synów Światłości i Rady Pomazańców, która przewodzi Synom. Przywódcą Śledczych jest Czcigodny Inkwizytor, który Zasiada w Radzie Pomazańców. Ich godłem jest kij pasterski barwy krwi. Patrz również: Synowie Światłości.

**Śniąca:** Patrz: Talenty.

**Talenty:** Zdolności używania Jedynej Mocy w różnych dziedzinach. Uzdolnienia w zakresie poszczególnych Talentów różnią się w zależności od osoby i rzadko kiedy są związane z siłą, jaką taka osoba dysponuje w przenoszeniu Mocy. Są Talenty o znacznie randze; najlepiej spośród nich znanym jest, oczywiście, Uzdrawianie. Innymi przykładami będą tu: Tańczenie po Chmurach, czyli kontrolowanie pogody oraz Śpiewanie Ziemi, czyli kontrolowanie ruchów ziemi: zapobieganie, względnie powodowanie trzęsień ziemi lub lawin. Istnieją również pomniejsze Talenty, takie na przykład jak umiejętność rozróżniania *ta'veren*, lub zmian wywołanych jego obecnością, aczkolwiek jedynie na bardzo ograniczonym obszarze, zazwyczaj nie większym niż kilka stóp kwadratowych. Po innych pozostała już tylko nazwa albo niejasne wzmianki. Niektóre, takie jak Podróżowanie (zdolność przenoszenia się z miejsca na miejsce bez konieczności pokonywania dzielącej je przestrzeni) zostały dopiero niedawno ponownie odkryte. Inne, jak Wrózenie (zdolność przepowiadania przyszłych wydarzeń, ale na sposób ogólny i wysoce abstrakcyjny) występują obecnie rzadko, jeśli w ogóle. Kolejnym Talentem, o którym długo myślano, iż został zapomniany, jest Śnienie, które zawiera w sobie, między innymi, zdolność przepowiadania przez Śniącego przyszłości w sposób znacznie bardziej szczegółowy niż ma to miejsce we Wrózeniu. Niektórzy Śniący posiadają umiejętność wejścia do *Tel'aran'rhiod*, Świata Snów oraz (jak się twierdzi) w sny innych ludzi. Ostatnią znaną Śniącą była Corianin Nedeal, która zmarła w roku 526 NE, chociaż ostatnio pojawiła się kolejna. Patrz również: *Tel'aran'rhiod*.

**Tallanvor, Martyn (TAL-lahn-vohr, makr-TEEN):** Porucznik Gwardii Królowej, który kocha swoją królową bardziej niż własne życie albo honor.

**Tam al'Thor (TAM al-THOR):** Farmer i pasterz z Dwu Rzek. Jako młodzieniec opuścił swoje rodzinne strony, aby zostać żołnierzem. Powrócił do domu, przywożąc ze sobą żonę (Kaci, już nieżyjącą) i dziecko (Randa).

**Tarabon (Tah-rah-BON):** Kraina na brzegu Oceany Aryth. Stolica: Tanchico (tan-CHEE-coh). Ongiś bogaty naród kupiecki, źródło między innymi: dy-



wanów, barwników i fajerwerków produkowanych przez Gildię Iluminatorów. Obecnie niewiele wieści dociera z tego kraju zniszczonego wojną domową oraz równoległe prowadzonymi wojnami z Arad Doman i ludźmi zaprzysiężonymi Smokowi Odrodzoneму.

**Tarmon Gai'don (TAHR-mohn GAY-dohn):** Ostatnia Bitwa. Patrz również: Proroctwa Smoka; Róg Valere; Smok.

**ta'veren (tah-VEER-ehn):** Osoba, wokół której Koło Czasu oplata wątki losów otaczających ją ludzi, a może nawet wątki losów wszystkich ludzi. Patrz również: Wzór Wieku.

**Telamon, Lews Therin (TEHL-ah-mon, LOOZ THEH-rihn):** Patrz: Smok.

**Tel'aran'rhiod (tel-AYE-rahn-rhee-ODD):** W Dawnej Mowie „Niewidzialny Świat” albo „Świat Snów”. Realność dostępna jedynie fragmentarycznie w snach, o której starożytni sądzili, że przenika i otacza wszystkie pozostałe możliwe światy. Wiele osób może na kilka chwil dotknąć *Tel'aran'rhiod* w swoich snach, niewiele natomiast posiada umiejętność wchodzenia do niego z własnej woli, aczkolwiek ostatnimi czasy stwierdzono, iż niektóre *ter'angreal* mogą nadać taką umiejętność. W przeciwieństwie do zwykłych snów, to co przydarza się żywym istotom w Świecie Snów jest najzupełniej rzeczywiste, otrzymana tam rana nie zniknie po przebudzeniu, a ktoś kto umrze w *Telaran'rhiod* nie obudzi się wcale. Oczywiście czyny dokonane w *Tel'aran'rhiod* nie mają żadnego wpływu na świat rzeczywisty. Patrz również: *ter'angreal*.

**ter'angreal (TEER-ahn-GREE-ahl):** Jedna z kilku pozostałości po Wieku Legend, służących do korzystania z Jedynej Mocy. W odróżnieniu od *angreal* i *sa'angreal*, każdy *ter'angreal* został wykonany w specyficznym celu. Niektóre są używane przez Aes Sedai, aczkolwiek ich pierwotne przeznaczenie jest zasadniczo nieznane. Jedne wymagają przenoszenia, innymi może się posłużyć każdy. Są też takie, które mogą zabić zdolność do przenoszenia Mocy u kobiety, która ich użyje. Podobnie jak w przypadku *angreali* i *sa'angreali* wiedza o ich wytwarzaniu została utracona podczas Pęknięcia Świata. Patrz również: *angreal*; *sa'angreal*.

**Thom Merrilin (TOM MER-rih-lihn):** Nie tak zwyczajny bard i podróżnik. Patrz również: bard; Gra Domów.

**trolloki (TRAHL-lohks):** Istoty stworzone przez Czarnego podczas Wojny o Cień. Potężnego wzrostu, nadzwyczaj podstępne, stanowią skrzyżowanie zwierząt z rasą ludzką i zabijają dla czystej przyjemności zabijania.

Przebiegłe, zakłamate i zdradzieckie; nie można im żadną miarą zaufać, z wyjątkiem tej sytuacji, w której wzbudzi się w nich przerażenie. Zjedzą wszystko — i każdego. Patrz również: Wojny z Trollokami.

**Tron Amyrlin (AHM-ehr-lin):** Tron, na którym zasiada przywódczyni Aes Sedai.

**Ugór:** Patrz: Wielki Ugór.

**Ujarzmianie:** Uprawiany przez Aes Sedai akt unieszkodliwiania kobiety, która potrafi korzystać z Jedynej Mocy. Kobieta, która została ujarzmiona, nadal wyczuwa Prawdziwe Źródło, jednak nie może go dotykać. Robi się to tak rzadko, że nowicjuszkom każe się uczyć na pamięć imion oraz zbrodni popełnionych przez kobiety, które zostały ujarzmione. Oficjalnie ujarzmienie jest następstwem procesu i wyroku za popełnioną zbrodnię. Kiedy zdarza się przypadkowo zwane jest wypaleniem. W praktyce jednak termin ujarzmienie stosuje się do obu sytuacji. Ujarzmione kobiety, niezależnie od przyczyny, rzadko żyją długo; poddają się jakby i umierają, chyba że znajdą coś, co wypełni pustkę po Jedynej Mocy.

**wędrująca po snach:** Tak Aielowie określają kobietę zdolną do wchodzenia do *Tel'aran'rhiod*, interpretowania snów oraz do przemawiania do ludzi w snach. Również Aes Sedai posługują się tym terminem w odniesieniu do Śniących, ale czynią to rzadziej, a nadto stosują w tym przypadku wielkie litery — Wędrująca Po Snach. Patrz także: Talenty; *Tel'aran'rhiod*.

**Wiedząca:** Kobieta wybierana w wioskach przez Koło Kobiet ze względu na wiedzę o takich sprawach, jak leczenie i przepowiadanie pogody, jak również zdrowy rozsądek. Wiedzącą uważa się na ogół za równą burmistrzowi, a w niektórych wioskach za ważniejszą od niego. Wiedząca jest wybierana dożywotnio i rzadko kiedy pozbawia się ją stanowiska. W zależności od kraju może używać innego tytułu, na przykład Prowadząca, Uzdrawiająca, Mądra Kobieta albo Wieszcza.

**Wiek Legend:** Wiek zakończony Wojną o Cień i Pęknięciem Świata. Czasy, w których Aes Sedai czyniły cuda, o jakich dzisiaj nikomu nawet się nie śni. Patrz również: Pęknięcie Świata; Wojna z Cieniem.

**Wielki Ugór:** Obszar położony na dalekiej północy, całkowicie skażony przez Czarnego. Kryjówka trolloków, Myrddraali i innych stworzeń Czarnego.

**Wielki Wąż:** Symbol czasu i wieczności, starszy niż początek Wieku Legend, przedstawiający węża pożerającego własny ogon. Pierścień w kształcie

Wielkiego Węża dawany jest tym kobietom, które Aes Sedai wyniosły do godności Przyjętej.

**Wielki Władca Ciemności:** Przydomek, którego Sprzymierzeńcy Ciemności używają, mówiąc o Czarnym, i twierdząc, że używanie jego prawdziwego imienia byłoby bluźnierstwem.

**Władcy Strachu:** Ci mężczyźni i kobiety, którzy, zdolni do korzystania z Jedynej Mocy, przeszli na stronę Cienia podczas Wojen z Trollokami, prowadząc działalność jako dowódcy wojsk trolloków i Sprzymierzeńców Ciemności. Ludzie, zwłaszcza ci gorzej wykształceni, myślą ich niekiedy z Przeklętymi.

**Wojna z Aielami:** (976–978 NE) Kiedy król Cairhien, Laman (LAY-malm), *ściął Avendoralderę*, cztery klany Aiel przekroczyły Grzbiet Świata. Złupili i spalili stolicę Cairhien, podobnie zresztą jak wiele innych miast i miasteczek, a konflikt rozszerzył się na tereny Andoru i Łzy. Powszechnie mówi się, że Aielowie zostali na koniec pokonani w Bitwie pod Lśniącymi Murami, pod Tar Valon, ale w rzeczywistości w tej bitwie zginął Laman, a spełniwszy swój zamiar, Aielowie wrócili za Grzbiet Świata. Patrz również: *Avendoraldera*; Cairhien, Grzbiet Świata.

**Wojna o Moc:** Patrz: Wojna z Cieniem.

**Wojna Stu Lat:** (994–1 I 17 WR). Ciąg nakładających się w czasie wojen między wiecznie zmieniającymi się sojuszami, których wybuch przyspieszyła śmierć Artura Hawkwinga i wynikała z niej walka o jego imperium. Wojna ta była przyczyną wyludnienia dużych obszarów ziem położonych między oceanem Aryth i Pustkowiec Aiel, od Morza Sztormów do Wielkiego Ugoru. Zasięg zniszczeń był tak ogromny, iż ocalały jedynie fragmentaryczne zapiski z tamtych czasów. Imperium Artura Hawkwinga zostało rozdarte na mniejsze części podczas wojen, dając początek krainom istniejącym obecnie. Patrz również: Artur Hawkwing.

**Wojna z Cieniem:** Znana również jako Wojna o Moc. Zaczęła się krótko po próbie wyzwolenia Czarnego i wkrótce ogarnęła cały świat. W świecie, w którym całkowicie zapomniano o wojnie, odkryto na nowo każde jej oblicze, często wypaczone przez dotknięcie Czarnego ciężące na świecie; jako broń użyto Jedynej Mocy. Wojna zakończyła się przez ponowne zapieczerowanie Czarnego w jego więzieniu, w wyniku ataku Lewsa Therina Telamona, Smoka, oraz stu Aes Sedai, mężczyzn, zwanych Stu Towarzyszami. Przeciwuderzenie Czarnego skaziło *saidina* i doprowadziło Lewsa Therina i Stu Towarzyszy do obłędu, dając tym samym początek Czasowi Szaleństwa i Pęknięciu Świata. Patrz również: Jedyne Mocy; Smok.

**Wojny z Trollokami:** Wiele wojen, które rozpoczęły się około 1000 OP i trwały ponad trzysta lat, w trakcie których armie trolloków, dowodzone przez Myrddraali i Władców strachu, siały zniszczenie po całym świecie. Ostatecznie trolloków wybito albo zapędzono z powrotem na Ugór, jednak kilka krajów przestało istnieć, inne zaś zostały prawie całkowicie wyludnione. Wszystkie zapisy z tamtych czasów są jedynie fragmentaryczne. Patrz również: Myrddraal; trolloki; Władcy Strachu.

**Wysocy Lordowie Łzy:** Działając jako rada, Wysocy Lordowie Łzy stanowią naczelną władzę narodu Łzy, który nie ma ani króla, ani królowej. Ich liczba nie jest ściśle określona i zmieniała się przez lata od dwudziestu do jedynie sześciu. Nie należy mylić tego tytułu z Lordami Prowincji, którzy stanowią pomniejszą arystokrację taireniańską.

**Wzór Wieku:** Koło Czasu wplata wątki ludzkich losów we Wzór Wieku, często zwany po prostu Wzorem, który tworzy istotę rzeczywistości dla danego Wieku. Patrz również: *ta'veren*.

**Zasiadająca na Tronie Amyrlin (AHM-ehr-lin):** Przywódczyni Aes Sedai. Wybierana dożywotnio przez Komnatę Wieży, najwyższą Radę Aes Sedai, w skład której wchodzi po trzy przedstawicielki wszystkich siedmiu Ajah (zwane Zasiadającymi, np. „Zasiadająca w imieniu Zielonych”). Tron Amyrlin dzierży, przynajmniej w teorii, nieomal nadrzędną władzę nad wszystkimi Aes Sedai. Rangą dorównuje tytułowi królewskiemu. Nieco mniej formalny zwrot: „Amyrlin”.

**Ziemie Graniczne:** Kraje graniczące z Wielkim Ugorem: Saldaea, Arafel, Kandor i Shienar. Ich historie obejmują niekończące się pasmo rajdów i wojen przeciwko trollokom i Myrddraalom. Patrz również: Wielki Ugór.